



Migotania

Gazeta Literacka

Nr 3 (88) 2025 kwartalnik

Fundacja
ŚwiatłoLiteratury

nic nie jest poezją
prócz tego co nią jest
więc wszystko

(Andrzej Szuba,
Postscriptum MXVIII)

POLECAMY

- poezja m. innymi: Fabrizio de Andre, Anna Frajlich, Stefan Pastuszewski, Zdzisław Drzewiecki
- O Julianie Przybosiu, Maria Jentys - Borelowska, Świat odlotny, z dala - bliski ...
- Marian Kisiel o Wierszach zebranych, A. K. Waśkiewicza, Poeta AKW
- Czesława Karkowski, Nowy Jork, New York, esej
- Kenneth White, Okrzyki nura na rzece Kennebec, fragm. prozy w tłum. K. Brakonieckiego

- Marek Wawrzekiewicz, Poetyckie podróże w przestrzeni, czasie i wyobraźni
- Wojśław Brydak, Orzech, fragm. prozy
- Andrzej Wołoszewicz, omówienia książek: Kładka nad nicością prowadzi z „Rynku 11” na pole trzcin (o Wawrzekiewiczu) oraz Miasto jest w nas (o Joachimiaku)
- O Mario Vargasię Llosie mówi Roman Warszawski



Jerzy Suchanek

Mój wiersz (fragment)

*Położyłem przed sobą wiersz, wcześniej
zmiotłem ze stołu brokat okruszków,
skorupek, soli i pieprzu, zatrzymałem
w ściereczce kręcące się kółka kawy,
herbaty, piwa i wina. Nie ma przeciągu
i kota, który się zaszył w poszwie ciszy.
Wyprują go dopiero rybiki, kłócące się
w łazience. Butelka po wódce, która
stała potulnie przy nodze, przestała —
ledwie upadła, toczyć po podłodze spór
pusty o dno, nakrętkę i dywan.*

CAŁY WIERSZ NA STRONIE OSTATNIEJ

W numerze prezentujemy prace Emiliji i Stojče Tocinovskich

Plakat poetycki: Emilija i Stojče Tocinovski

Plakat poetycki: Stefan Pastuszewski

Gazeta literacka ISSN 2083-2494 Fundacja Światło Literatury Gdańsk 2025



Roman Warszawski

PRZERAŻONY ŚWIAT, KTÓRY JUŻ SIĘ NIE ŚMIEJE

Kiedyś Erich Fromm pisał o Ucieczce od Wolności, dziś dr Russell Razzaque pisze o ucieczce od rozsądku i rozumu.

Dlaczego świat zwariował? Dlaczego zwariował aż tak bardzo? To pytanie w tej chwili zadaje sobie bardzo wielu. Jak to możliwe, że w USA, dotychczasowej ostoi i wzorcu demokracji na prezydenta został wybrany de facto przestępca i gwałcieciel, a w wielu innych krajach (daleko szukać nie trzeba) wyniki prezydenckich elekcji też są takie jakby urwały się z choinki.

Ciekawego wglądu w to, co się dzieje na arenie międzynarodowej dokonuje brytyjski psychiatra **dr Russell Razzaque**, który analizie poddał przemiany społeczne dokonujące się w tej chwili na Zachodzie. Dotarł do unikatowych informacji, które opisują mechanizmy manipulowania ludźmi przez czynniki zewnętrzne w celu wywołania, a następnie wzmocnienia destrukcyjnych tendencji niszczących demokrację liberalną.

Dr Razzaque zwrócił uwagę na bardzo wysoki poziom strachu i lęku w amerykańskim społeczeństwie, co od kilku lat jest wynikiem rozwijającego się procesu erozji fundamentów państwa, zapoczątkowanego pandemią i lockdownami. Po nich przyszły obawy związane z inflacją i z utrzymaniem źródeł dochodu. To natomiast każe się na nowo zastanowić, czy pandemia nie została wywołana celowo by zastraszyć ludzi.

Taki stan rzeczy z psychologicznego punktu widzenia rodzi silną potrzebę kompensacji w postaci tożsamości zastępczej poprzez identyfikację z grupą. Dr Razzaque zwrócił uwagę, że zaburzyło to (jeśli nie wręcz zdezaktywizowało) procesy demokratyczne nie tylko w USA. Przywołał tu przykład brexitu, którego kampania sfinansowana została w dużej mierze przez kilku rosyjskich oligarchów i toczyła się pod hasłami podobnymi do tych, którymi później posługiwał się Donald Trump.

Oligarchowie rosyjscy pojawiają się tu nie bez kozery. Dr Razzaque uważa bowiem, że sianie strachu i niepewności inicjowane jest przez wroga demokracji siły – służby specjalne Rosji. Na poparcie tej tezy demonstrowało wideo zawierające wywiad z byłym oficerem rosyjskich służb specjalnych. Ową osobą, dezerterskim **Jurij Biesmienow** już wiele lat temu zwrócił uwagę na celowe wspieranie regresu psychologicznego społeczeństw zachodnich, które przestraszone dają się łatwiej manipulować i coraz częściej zaczynają się opowiadać po stronie populistów.

Jurij Biesmienow mówi: „Większość aktywności służb rosyjskich nie ma w tej chwili w ogóle związku z pozyskaniem informacji. Tylko zaledwie 15 proc. czasu, funduszy i ludzi zaangażowanych jest w klasyczny wywiad. Z kolei około 85 proc. zasobów inwestuje się w budowanie antyliberalnej percepcji ideologicznej. Jej celem jest diametralna zmiana postrzegania rzeczywistości przez każdego obywatela Zachodu – do tego stopnia, że pomimo obfitości informacji nikt nie jest w stanie dojść do sensownych

wniosków. Prowadzi to do tego, że jeśli te osoby mają nawet dostęp do niezmanipulowanych informacji, to wciąż nie można zmienić ich logiki zachowań. Innymi słowy u tych osób proces demoralizacji jest pełny i nieodwracalny”.

Celem opartej na strachu manipulacji jest wywołanie zachowań destrukcyjnych co jest o tyle ułatwione, że duże grupy społeczne zachowują się, jakby były porażone. Podstawą zachowań tych ludzi są symbole i emocje, co najczęściej rozmija się z normalną logiką przyczyny i skutku. Przed wyborami w USA można było sterować ludźmi tworząc fałszywą wizję masowej fali przestępczości wywołanej przez imigrantów albo skutecznie zakorzenić wyobrażenie, że syn idący do szkoły wróci z niej jako dziewczynka. Zastraszeni ludzie byli skłonni to bezkrytycznie akceptować. Zręczne przekazanie przez Trumpa takich „prawd” dla przerażonych ludzi miało znaczenie decydujące.

Podsumowując: Zależniony świat zachodni, który (nawiązując do historii kineematografii) już się nie śmieje, znajduje się w tej chwili jakby w stanie psychozy. Jak słusznie zauważył zacytowany były rosyjski agent stan ten jest trudny do odwrócenia. Może coś się zmieni w następnym pokoleniu, ale przebudowa współczesnie nieświadomie odgrywających swe role ludzie jest w zasadzie niemożliwa.

Jeśli uwzględnimy fundamentalny w psychologii fakt, że psychotyczna dysocjacja osobowości następuje proporcjonalnie do natężenia lęków, wizja przyszłości, która się przed nami wyłania jest bardzo ponura. A nawiązując do tego, co zostało powiedziane na początku ucieczka od wolności i ucieczka od rozumu i racjonalności są blisko z sobą powiązane. Druga z ucieczek jest wyższą fazą ucieczki pierwszej. Ale to już temat na inny artykuł.

ROMAN WARSZEWSKI



Roman Warszawski, Prerażony Świat, który już się nie śmieje FELIETON.....	str.2
Maria Jentys-Borelowska, Świat odlotny, z dala - bliski... (O Julianie Przybosiu).....	str.3
Anna Frajlich, Ostatni list, Ostatni list, wiersz.....	str.7
Anna Frajlich Przesuwać granice zrozumienia, ESEJ.....	str.8
Wojśław Brydak, Orzech, PROZA.....	str.13
Doroła Czerwińska, POEZJA.....	str.15
Christian Medard Manteuffel, Refugium nieba i ziemi, POEZJA.....	str.16
Marian Kisiel, Poeta AKW, ESEJ.....	str.18
Kenneth White, Okrzyki nura na rzece Kennebec, PROZA tłum. K. Brakoniecki.....	str.20
Czesław Karkowski, Nowy Jork, New York, 4, ESEJ.....	str.24
Czesław Sobkowiak, Medytacje z gór, POEZJA.....	str.30
Andrzej Wołoszewicz, Miasto jest w nas, czyli o najnowszym tomiku Zbigniewa Joachimiaka, ESEJ.....	str.32
Grzegorz Jacek Brzustowicz, Olkiennicka potrzeba, ESEJ HISTORYCZNY.....	str.36
Ryszard Biberstajn, Wbrew wszystkiemu - nadzieja, O twórczości Anny Janko w 50-lecie jej debiutu prasowego, ESEJ.....	str.42
Dariusz Pawlicki, O ogniu, nie tylko z Heraklitem w tle, ESEJ.....	str.44
Stefan Pastuszewski, POEZJA.....	str.46
Marek Wawrzkiwicz, Poetyckie podróże w przestrzeni, czasie i wyobraźni, ESEJ.....	str.47
Mariusz Zimoński, Labirynt, PROZA.....	str.49
Zdzisław Drzewiecki, Margot, POEZJA.....	str.50
Emilia Iwaniec, Despotyzm jako skutek wolności... ESEJ.....	str.52
Maria Jolanta Fraszewska, Umożliwić - nie posiada miary: nie ma osoby, czasu..., ESEJ.....	str.54
Tomasz Łaczny, Andrzej Puska, PROZA.....	str.58
Ewa Niezgoda - Gierszewska, POEZJA.....	str.60
Michał Skrzętek, Jack London - literacki włóczęga, ESEJ.....	str.61
Elżbieta Musiał, Przestrzeń z poematu TOTUM.....	str.64
Irina Kosmala, Gorycz oczekiwania - Stosunek nietowarzystki Igora Frendera w zwierciadle kryzysu wieku średniego, TEATR.....	str.65
Fabrizio De Andre, POEZJA, tłum. Maciej Froński.....	str.66
Mirostław G. Majewski, Everyman, PROZA.....	str.67
Joanna Wyrzykowska, POEZJA.....	str.69
Ryszard K. Hetnarowicz, To tylko list, PROZA.....	str.70
Hubert Czarnocki, POEZJA.....	str.73
Stanisław Topaz, Dorobek artystyczny Stanisława Chyczyńskiego.....	str.74
Stanisław Topaz, Przed nawiasem, wiersz Stanisławowi Chyczyńskiemu.....	str.76
Piotr Kmita, POEZJA.....	str.77
Andrzej Wołoszewicz, Kłódka nad nicością prowadzi z „Rynku 11”...OMÓWIENIE.....	str.78
RECENZJE.....	str.82
Agnieszka Moroz, KSIĄŻKI NA HACZYKU	
Mateusz Wabik, Z PÓŁKI MATEUSZA WABIKA	
- Wychodzenie z siebie, Baran	
- Bóg i turystyka, Rapnicki	
- Precyzja zestawiania obrazów, Grzebalski	
- Labirynt z ledwie przeczuwaną drogą do wyjścia z niego, Podborski	
- Polsko-ukraińska konfrontacja poetycka, Akant	
Alicja Dmowska, To, o czym nie chcemy słyszeć	
Dariusz T. Lebiada, Kalifornijscy włóczędzy, Stainbeck	
Dariusz T. Lebiada, Ludzkie przepaście	
Andrzej Walter, Co też nam się przytrafiło	
Krystyna Cel, Algorytmy naszego istnienia (O poemacie Totum Elżbiety Musiał)	
Marcelina Koncewicz, Zza ekranu - recenzja tomu poetyckiego Małgorzaty Kulisiewicz „Kinopiecznia”	
Maria Jolanta Fraszewska, Niewiele - a tak dużo	
Jan S. Smalewski, Opisywanie życia. Wyimek na temat pasji twórczych Marii J. Fraszewskiej	
Andrzej Wołoszewicz, Czym pobrzmiwa „Stary dom”? O poezji Marka Wawrzkiwicza	
Małgorzata Doma-Wendrychowska, Kartki z odległej Macedonii, o malarstwie Emiliji i Stojce Tocinowskich, SZTUKA.....	str.100
Marek Wawrzkiwicz, Okruchy (11).....	str.102
Wojśław Brydak, Z boisk i stadionów FELIETON.....	str.104
Anna Czyrska, PISARKA W ŚWIECIE AI, Rozmowy o poezji, ESEJ.....	str.105
MIGOTANIA JESZCZE WIĘCEJ:	
Z Romanem Warszawskim o niedawno zmarłym pisarzu i nobliście Mario Vargasie Llosie rozmawia Alicja Dmowska, ZMOWA.....	str.107
Maciej Żakiewicz, Zbyszek Żakiewicz i droga do Gdańska, DOKUMENTY.....	str.109
Jerzy Suchanek, Mój wiersz, POEZJA.....	str.116

Maria Jentys-
Borelowska

ŚWIAT ODLOTNY, Z DALA - BLISKI... (O JULIANIE PRZYBOSIU W 55. ROCZNICĘ ŚMIERCI)

Wierszem, który otwiera obszerny, bez mała siedemsetstronicowy zbiór Utworów poetyckich Juliana Przybosia, jest Ów halcjon¹, pochodzący z tomiku Na znak, przedostatniego w dorobku poety, wydane na pięć lat przed jego śmiercią, w roku 1965. Nie bez powodu on właśnie - objawieniowy, opisujący wydarzenie, które sprawiło, że pastuszek z podkarpackiej wsi zaczął nagle widzieć więcej, dalej i ostrzej, a może tylko zdał sobie sprawę z tego, że tak właśnie widzi, może po prostu odkrył swoją cudowną n a d w z r o c z n o ś ć, swoją zdolność widzenia w p o d z i w i e i w z a c h w y c i e. Zdolność właściwą dzieciom i... poetom. Żeby więc zrozumieć poezję Przybosia, trzeba zacząć czytanie od tego wiersza. A oto Ów halcjon:

W roziskrzonym
z archaniołów gęsih dartym na puch śniegu
ów halcjon... ptak Słowackiego,
zimorodek.

Nad potokiem ściętym
w cieniu cienkim łodem
z bugaju olch i wierzbiny
frunął nagle i ogniście
ów dziw... szafir skojarzony
przeciwbłyskiem
ze szmaragdem!

I rozwinął się diadem
zimowego horyzontu.

Leciał w swoją istność złotą,

¹ Julian Przyboś: *Utwory poetyckie: zbiór*. Wydanie 1. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1971, stron 690. Tom został przygotowany do druku w Redakcji Literatury Pięknej Współczesnej, przez Autora i redaktora Klemensa Górskiego, także znakomitego poetę. Jest zaopatrzony w słowo wstępne Od Autora i skomponowany wedle jego oryginalnej koncepcji. Mottem tomu jest cytat z XIII-wiecznej Księgi henrykowskiej: "Daj, ac ja pobruszę, a ty poczywaj". Przyboś kontrolował pracę nad tomem do pierwszej korekty szpaltowej, którą sam wykonał nader skrupulatnie. Gotowej księgi już nie doczekał. Zmarł nagle 6 października 1970 roku, podczas zjazdu tłumaczy poezji, któremu przewodniczył. Chorował na serce od kilku dekad. Drugie wydanie tej edycji ukazało się w LSW w roku 1975. Wiersz Ów halcjon znajduje się na stronie 13-14.

zwijał przestrzeń
i przemieniał, wyświetlając sobą inny
świat: odlotny, z dala - bliski -

Krzykiem ostrym zranił serce
do nerwicy dobrowieszczej:
czułem radość tak za wielką,
że z rozpaczki słodkiej tylko,
że już nie jest do zniesienia,
trwała jeszcze...
rzeczywiście...

Dziw się zjawia tylko raz prawdziwie.
Zjawił mi się w pastuszym dzieciństwie
na znak:
Istniej!
Żyję w podziwie.

Przeżycie tego wiersza jest dostatecznie czytelne bez komentarza, jednak objaśnienie wersu: ów halcjon... ptak Słowackiego - wydaje się niezbędne dla lepszego zrozumienia symbolu, którym Przyboś posłużył się, by wskazać dwa równorzędne źródła swych ośnień i ... poetyckich inspiracji: przyrodę (pod postacią zjawiskowo pięknego ptaka) i poezję (w jej istic zjawiskowym wydaniu - w poemacie wielkiego romantycznego poety). Otóż halcjon to dawna nazwa zimorodka, najbarwniejszego wśród skrzydlatych stworzeń, istnego „klejnotu nad wodami” (jak napisał ktoś, kogo oczarowały szafirowo-szmaragdowe błyski w nadrzecznych zaroślach). Dlaczego Przyboś użył w tytule tej archaicznej nazwy, dziś nieznanej, nieobecnej nawet w słowniku profesora Witolda Doroszewskiego, w którym jest wszystko?! Odpowiedzi nie trzeba szukać daleko: jest w wierszu. Wypada tylko znaleźć powiązanie między halcjonem-zimorodkiem a Słowackim.

Jest! Jawi się ów dziw lasu tak rzadko widziany w poemacie Pan Tadeusz Juliusza Słowackiego, poemacie, który poeta zaczął pisać roku 1847, zamierzając opowiedzieć o dalszych losach bohaterów Mickiewiczowskiej epopei, lecz niestety, nie zdołał go dokończyć, udaremniła mu to przedwczesna śmierć. Za to jego halcjon, ptak pięknosćią zaklęty i dziki, dokonał cudu - wyświetlając sobą - dla kogoś z dalekiej przyszłości - inny świat: odlotny, z dala-bliski.

Wielkimi gromadami - przez [bramę] do sieni →

Wchodzą strzynadłe złote i gile w czerwieni,
A nawet ów dziw lasu, tak rzadko widziany
Halcyjon, a na Litwie zimorodkiem zwany,
Który czasem strzelcowi pokaże się w borach
Przez mgłę gałązek, niby w anioła kolorach,
Nad zwierciadłem przełomki,
piękny i błyszczący
Jak anioł, w równi złote skrzydła trzymający -
Nawet ów ptak pięknością zakłęty i dziki
Zbłąkał się i nad domu zleciał gołębniki,
A potem nad sadzawki w ogrodzie kopane,
Gdzie leszcze, karpie, pstrągi
pięknie malowane
Wojski kazał powpuszczać, ów
ptak z jasnym grzbiem
Poleciał i bił w ryby dziobem jak sztyłem2.

Kiedy słyszę, jak Uta Przyboś, córka Juliana i jego godna następczyni na poetyckiej niwie, mówi z goryczą o swoim ojcu jako poecie nieczytanym i prawie zapomnianym, kiedy czytam w pismach literackich artykuły pod prowokacyjnymi tytułami: Dlaczego nie lubię Przybosia i Dlaczego poezja Przybosia mnie „nie bierze”³, myślę ze smutkiem, że może twórczość tego ze wszech miar godnego uwagi twórcy nie była po jego śmierci umiejętnie prezentowana i upowszechniana? Zadbano co prawda o zapewnienie mu należytego miejsca w kulturze, wydając w różnych edycjach jego dzieła zebrane i rozproszone⁴, publikując utwory nieznane i listy⁵, a także niezliczone prace historyczno-krytycznoliterackie, w tym przede wszystkim trytomową biografię literacką pióra Józefa Duka⁶, ale czy pomyślano o tzw. zwyczajnym czytelniku, który lubi poezję, nawet tzw. trudną, ale raczej nie kupuje grubasnych (i horrendalnie drogich) zbiorów, za to dość chętnie sięga po małe, poręczne wybory czytelnych liryków, odpowiadających na jego pytania, smutki i tęsknoty. O ile wiem, poezji

Przybosia - trudnej, metafizycznej, mocno zmetaforyzowanej - w ten sposób nie próbowano popularyzować. Wybory, które powstały - Sytuacje liryczne oraz Świat się wiecznie zaczyna - są przeznaczone dla czytelników profesjonalnych: badaczy literatury, eseistów, dziennikarzy do spraw kultury. Sytuacje liryczne to obszerny wybór krytyczny, opracowany przez Edwarda Balcerzana i Annę Legeżyńską, wydany przez Ossolineum w roku 1989, w serii I Biblioteki Narodowej. Świat się wiecznie zaczyna zaś to antologia wymyślona i ułożona przez Utę Przyboś z wierszy wybranych, na jej prośbę, przez poetki i poetów z całej Polski i przez nich opatrzonych komentarzami. Cenna to i ciekawa książka, ale chyba tylko dla tych, którzy są gotowi podjąć wyprawę w głąb poezji Przybosia i w ogóle poezji.

Nasuwa się pytanie, czy człowiek wrażliwy i trawiony niepokojami metafizycznymi, lecz pozbawiony gruntownego przygotowania filologicznego, lingwistycznego, filozoficznego, nie zawsze rozpoznający znaki i kody kultury, niewdrożony do myślenia abstrakcyjnego, może czytać poezję Przybosia? Otóż sądzę, że może, nie tyle jednak ze zrozumieniem, dogłębnym i dającym się zwerbalizować, ile z radosnym poczuciem pewności, że w tej przedziwnie pięknej budowlie ze słów znajduje to, czego szuka i co nauczył go istnieć w podziwie, widzieć jasno, w zachwyceniu⁷. Aby dowieść swojej racji, pozwołam sobie przytoczyć własny szkic, który napisałam pół wieku temu, po przeczytaniu *Utworów poetyckich* Juliana Przybosia, wydanych wówczas (w roku 1975, po raz drugi), w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej, gdzie wówczas pracowałam. Wrażenie, jakie zrobił na mnie, początkującej redaktorce i krytyczce, *W głąb las (III)*, było szczególnym przeżyciem, wręcz olśnieniem, nauczyłam się go na pamięć i jeszcze dziś potrafię wyrecytować prawie bez zająknięcia. Nie mam wątpliwości, że to jeden z najdoskonalszych liryków poety i najcenniejszych klejnotów polskiej poezji. A dla mnie - mój osobisty skarb. Oto ów szkic, opublikowany w 43 numerze „Tygodnika Kulturalnego” z 26 października 1975 roku.

Ku niepowtarzalnej jedyności

Mówić o Przybosiu na podstawie dwóch tylko jego wierszy, ale wierszy tak ważnych, jak *W głąb las* i *W głąb las (III)*, to jakby zatoczyć powietrzny łuk ponad heroiczną drogą człowieka-artysty od miejsca, w którym w pełni świadomie wstąpił w mrok, do miejsca, w którym z niego też w pełni świadomie wyszedł. To - zatem - opuścić go w jego wędrówce, zbagatelizować to, z czym się w trakcie jej trwania zmagat, co w wyniku tych zmagat stworzył. Nie, nie bagatelizuję tej wędrówki, mozołnym, wielokrotnym, pełnym oporów i nierozumień czytaniem próbuję ją za nim odbyć. Ale właśnie od tej chwili dopiero należyście, rzetelnie od momentu, kiedy zobaczyłam jej początek i jej kres.

Obiegowe opinie o poezji Przybosia - o jej rzekomym „chłodzie” - uprzedziły mnie do niej. Nie uczyniłam żadnego wysiłku, aby je zweryfikować. Aż wreszcie trafił mi do rąk wiersz *Róża (III)*. Odtąd stałam się na pewien czas wierną czytelniczką jednego, jedyne go liryku Przybosia. Czytałam go tak długo, aż pokonałam barierę dzielącą mój zachwyt tym wierszem od jego rozumienia. Z tą chwilą ulotniło się moje uprzedzenie do

poety. Teraz zdaje mi się, iż wiem, skąd się wziął ów jakże niesłuszny zarzut „chłodu”: Przyboś olśniewa tak wysublimowanym, tak duchowym pięknem swych poetyckich kreacji, że wydaje się zjawiskowy, jak znikliwe zalsnienie za wcięciem na szkle gruboświe-tlistym, dźwięcznym, żytkowanym migotem zimnych barw półtęczy. A przecież z bólu najdotkliwszego wywabia ze siebie na ze-wnątrz / ze dna kryształowego wazonu nad wręby różę, palcami w kropkach krwi zerwaną. W każdym wierszu to czyni - kosztem ogromnym. Takim, jak akt stworzenia róży, symbolu dotkliwego piękna, ze śmiertelnego bólu serca. Przyboś przeżywa ból świadomie i heroicznie - cierpliwie, zawzięcie, / Długo, najdłużej; dotąd, dopóki nie stanie się on bez ciemi - niedotknięciem róży; formą tchu po pojęku; pojęciem czystym. Przeżywa go w pełni, całą swą żarliwą istotą, zaciśnięciem zębów pokonując bunt, dlatego dobywa z siebie nie jęk, nie lament, lecz dzieło, będące sublimatem bólu.

Wszystkie jego utwory są takimi sublimatami żarliwego, zawziętego doznawania. Nie, nie wszystkie. Tylko te najdoskonalsze, najjaśniejsze, których dynamika i jedyność formy zdradzają maksymalne napięcie dramatycznych zmagat wewnętrznych. *W głąb las* na pewno nie. Melancholijny *W głąb las*, napisany przez trzydziestoletniego Przybosia, jest właśnie jękiem, lamentem. Jest obrazem człowieka-artysty zagubionego, załknionego, więcej: rozpaczonego, lecz - a raczej: bo - już świadomego swego losu. A więc na pozór zagubionego, może chroniącego się w zagubieniu przed nieuchronnością tego losu, którym miała być wielkość i nieodowny jej heroizm. A przede wszystkim: świadoma wędrówka w *głąb las*, ku temu, co było mu niezbędne do pełnego zaistnienia.

Przyboś pojął swoją wielkość bardzo wcześnie. Pisze o tym w *Zapiskach bez daty*, swoim dzienniku poetyckim: *U węglu chatupy, o zmierzchu, podniosłem się z pogródki. (Zapewne bawiłem się z dziećmi, wygrzebując próchno i cieniuchny piasek z drózek podziemnych, napuszonych po zmierzchu przez mrówki, i nie spostrzegłem się, jak dzieci mnie odbiegły.). Zostałem sam. Podniosłem się i ujrzałem po raz pierwszy świat: Wysoko, na tle dębów nad drogą, paliło się czerwona zorzą ogromne niebo. Przejęło mnie zdumienie i groza-myśl: To Wielkie JEST a to JA. W trwodze i drzeniu tego pierwszego doznania świata i samouswiadomienia sobie siebie czułem jednak obok samotności coś, co utwierdzało równowagę strachu i opowania, drżenia i spokoju.*

U progu wszakże pełnej dojrzałości, pod wpływem jakiegoś wstrząsu, Przyboś utracił to „coś”, co pozwalało mu utrzymać ową równowagę między drżeniem a spokojem. Wówczas to w wieku lat około trzydziestu, wieku przełomowym, kiedy zaczyna się istnienie całkowicie świadome, kiedy dokonuje się raz jeszcze wyboru swej drogi, lecz już jasnowidząco, Przyboś zląkł się. Drżenie prze-ważało spokój. I oto w *głąb las* nasunięty na las drzewami się zasnuł. Bohater liryczny wierszy Przybosia, tożsamy z ich autorem, ujrzał swoje rozdarcie w nieodpartej wizji. Przeraziła go ona, przestał widzieć. I chyba jeden jedyny raz pozwolił sobie na skargę, na krzyk. Heroiczny przedtem i potem, wykrzyczał w słowach, których nie cierpiat, na które sobie nie pozwalał, swoją rozpacz. *Pusty zmierzch, złamana gałąź wiatru, ja jak powietrznik, strąsnięte lasy, żółte liście na wicherze, polana opadła pod samotne buki.* Nie trzeba komentować. Słowa dostatecznie głośne, tak głośne, że aż banalne.

Ale wiersz nie jest banalny. Wiersz nosi tytuł-haśło: *W głąb las*. Wiersz zaczyna się od *w głąb las*. Jest w nim więc wola pójścia na-

2 Juliusz Słowacki: *Pan Tadeusz [Fragmenty poematu]*, w: *Dzieła*, pod redakcją Juliana Krzyżanowskiego, tom IV: *Poematy*, opracował Jerzy Pelc. Wydanie trzecie. Wrocław, Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich 1959, fragment [II] s. 158.

3 Mowa to o artykułach Stanisława Dłuskiego, rzeszowskiego poety, krytyka literackiego i wykładowcy uniwersyteckiego, opublikowanych w „Zeszytach Literackich” 1991 z. 38 i w „Dekadzie Literackiej” 1992 nr 5.

4 Poza dwoma wydaniem *Utworów poetyckich* LSW, o których mowa w przypisie 1, wymienić trzeba: *Pisma zebrane. Utwory poetyckie*. Tomy 1-2. Wydawnictwo Literackie 1984. Tom 1 liczy 670 stron i zawiera tomiki z lat 1925-1955. Tom 2 liczy 1061 stron i zawiera tomiki pozostałe, utwory z planowanego tomu ostatniego pt. 22 wiersze, wiersze rozproszone, z rękopisów, przekłady. Ponadto *Pisma rozproszone*, opracowane przez Agnieszkę Kwiatkowską, Joannę Grądział-Wójcik i Jerzego Borowczyka, pod kierunkiem Edwarda Balcerzana. Wydawnictwo Naukowe UAM w Poznaniu, 2020, liczba stron 958. Zawartość: artykuły publicystyczne Juliana Przybosia drukowane w „Zwrotnicy”, „Linii”, „Odrodzeniu”, recenzje publikowane w „Przeglądzie Kulturalnym”, „Życiu Warszawy”, a w Dodatku najciekawsze teksty z Domowego Archiwum Przybosia, m.in. nieznane listy.

5 Listy Juliana Przybosia do rodziny 1921-1931. Opracował Adam Przyboś. Wydawnictwo Literackie 1974 stron 113.

6 Józef Duk: *Julian Przyboś - biografia literacka*. Tomy 1-3. Wydanie I. Wydawnictwo ASTRA, Łódź. Tom 1: *Kształtujące lata (1901-1925) - rok wydania 2010*; tom 2: *O nową sztukę (1926-1939) - 2020 i tom 3: Dojrzałość (1939-1970) - rok wydania 2020*. Warto też zwrócić uwagę na inną cenną pracę tegoż autora - na *Korespondencję literacką Juliana Przybosia*, ogłoszoną w „Pracach Polonistycznych” 1987 nr 44 (część I: Duże zespoły) i w tymże piśmie 1988 nr 44 (część II: Drobne zespoły).

7 *Widzieć jasno, w zachwyceniu to tytuł znakomitej książki (z roku 1985) profesora Jana Błońskiego o arcydziele Marcela Prousta W poszukiwaniu straconego czasu. Posłużyłam się nim tutaj jako nader celnym określeniem także widzenia Przybosioowego.*

przód i pewność dojścia do celu. To nie tylko skarga-krzyk. To także jedyna Przybosiowa tak jawna deklaracja. To akt wyboru. Akt dramatycznego wyboru między pragnieniem bycia zwykłym człowiekiem, z jego prawem do słabości, do skargi i do współczucia, a koniecznością stania się człowiekiem heroicznym, bez prawa do słabości, do skargi, do współczucia. Koniecznością? Tak. Przyboś, aby odzyskać to „coś”, co mu pozwalało utrzymać równowagę między *drżeniem* a *spokojem*, musiał zdecydować się na heroizm. A tym samym na samotność. Najgłębszą, lecz kryjącą w sobie nadzieję najistotniejszej wspólnoty. Takiej, o jakiej inny poeta mówi: *Tyle mnie szczęśliwego, ile do podziatu*. Przyboś dzielił siebie bez ograniczeń. Był człowiekiem wielkodusznym. W chwili, gdy pisał (przeżywał) *W głąb las*, dał się ponieść wielkodusznej małoduszności. Był człowiekiem głęboko ludzkim. Wykrzyczał swą skargę - poszedł w głąb; w mrok. Tam rozżarzał się, rozpałał, rozpłomieniał (*samopożar*), w ukryciu, niewidoczny, aby jedynie najwyższymi, niejątrzącymi, lecz za to najpiękniejszymi płomieniami rozświetlić świat. Takimi bowiem płomieniami są jego wiersze. Był człowiekiem niezmiernie delikatnym, choć też najbardziej zdecydowanym.

I oto *W głąb las (III)*. Wiersz napisany na cztery miesiące przed śmiercią, u kresu drogi. Tak jedyny w swym kształcie, że prawie nie do opisanie: każde słowo, którym chciałoby się go dotknąć, wydaje się zbędne, natrętne. Tak prosty, że wszystko, co chciałoby się mu od siebie dopowiedzieć, zdaje się nietaktowne. Tak czuły i cichy, że chce się przy nim tylko milczeć. A jednak nie całkiem prosty i nie całkiem cichy. Jeszcze dramatyczny. Obraz umierania człowieka. Umierania? Tak, choć to słowo może zbyt tu dobitne i w dobitności brutalne. Ale właśnie umierania, przeżywanego w pełni świadomie, jako proces sublimacji. Rozdarcie bohatera lirycznego jest tu znów widoczne (*Sam. Ze sobą-niemową*), tylko z innej, odwrotnej perspektywy. Las, mrok, gąszcz nie budzi już *drżenia*, został prześwietlony na wskroś. Szala *spokoju* przeważa.

Leśne, rośne i wonne rano.
Słońce wschodzi z gałęzi,
idę wolno, chwiejnie, polaną,
jak po lek, po dziewięcił...

Po dziewięcił nie do walki o życie, lecz przeciw życiu: do ostatniego, heroicznego aktu twórczego - aktu scalenia się. Ze sobą, ze światem, z wszechświatem.

Sam. Ze sobą-niemową,
słucham ciszy i na przemian szumu:
co on znaczy, przeszło do szeptunów
zapomnianych, dawnych, wybyłych;
słabosilny, doszły pół siły,
idę chwiejnie, jak po lek, polaną
i w głąb –
w las
w starodrzewny przebyt bez domu.

Starodrzewny przebyt bez domu. Może lęk jest w tym przeczuciu bezdomności? Może dlatego chwiejność kroku zamienia się w stanowczą miarowość, a droga w przebyt - w drogę ku czemuś, co mogłoby być domem, czyli formą istnienia? Może po to przywołuje się *imaginowaną kukułkę majową*, chłopską wróżbiarkę, aby wykukała ów dom? Możliwe, choć lęk ów jest tu nieomal tchnieniem lęku.

Czas mi nastał. Stąpam miarowo,
postukując imaginowaną

laską w dąb:
kukułką majową.

Przepowiada mi wieczność — nikomu.
Ile kroków rokrocznie wykuka,
ile lat mi o ziemię stuknie?

Już od dębu omszałego do buka
naliczyłem kilkadziesiąt; słucham,
a kukułka nie ustaje, kuka
w dębie, zaprzyszłej trumnie.
Głos odlata, dolata
i znika
nisko,
niżej
dzikiego storczyka

Bohater wiersza cofa się w przeszłość, od dębu omszałego do buka (od *W głąb las (III)* do *W głąb las*), i jeszcze bardziej, do dzieciństwa, i jeszcze, aż do delikatnego korzonka tego, co przez całe dramatyczne życie utwierdzało w nim równowagę *drżenia* i *spokoju* - do tkliwej i prostej matczynej miłości. Do miłości, która jego rozdarcie nadawała twórczą moc i która

pozwoliła mu u krańca wędrówki odnaleźć swą jedyność. I prostotę. I zbliżyć się do śmierci bez lęku. I znaleźć sobie przyszły kształt. Jaki?

Słyszę...
To Matka,
ona z głębi wytyka mi tkliwie
w wykukanym z przeszłości dzieciństwie
- tak jak drzewiej - roślinkę - na nowo:
niepowtórna jedyność kwiatka.

Taję oddech, jakbym echo łapał
i odpukał je w żywym drzewie...

— Mamo, czy to znak? Nieme słowo?
Równanie Świata?

- Sam zapach.

Sam zapach. Tego już nie trzeba komentować. Nie można. Bohater liryczny wiersza obwarował tym, co najbardziej nieuchwytnie, a więc nierozszczepialne, swoją jedyność. A Przybosiowi prawie oszczędzony został dramat przedśmiertnych zmagają. ➔



→ **E**SE
 Tak pięć dekad temu czytałam Przybosią, urzeczona jego poetycką n a d w z r o c z n o ś c i ą, poruszona n a d c z u ł o ś c i ą zmysłów, zadziwiona zdolnością pojmowania i wyrażania tego, co n i e w y r a ż a ł a n e. Nie tylko w lirykach i poematach szukałam wiedzy o tym niezwykłym człowieku, który przyszedł na świat 5 marca 1901 roku w podkarpackiej wsi Gwoźnica Dolna, jako piątę z siedmiorga dzieci Józefa Przybosi, gospodarza na pięciu hektarach niezbyt urodzajnej ziemi, i Heleny z Pełyniaków, córki wiejskiego nauczyciela, zdobył (z pomocą ojca) wykształcenie uniwersyteckie, walczył z narażeniem życia o Niepodległość, pracował (pełniąc w różnych okresach różne funkcje, od nauczyciela i redaktora, do ambasadora, dyrektora i na koniec wiceprezesa polskiego PEN Clubu), kształcił się bezustannie i tworzył w najwyższym napięciu siły serca i umysłu, walcząc o siebie takiego, jakim - w jego przekonaniu - powinien być jako przedstawiciel dumnego rodu Przybosiów, mających za dewizę: Wyżej! Wciąż wyżej! Już pierwszymi tomikami - były to *Śruby* z 1925 i *Oburącz* z 1926 - zdobył miano czołowego przedstawiciela Krakowskiej Awan-gardy, a następnymi - *W głąb las*, *Równanie serca*, *Póki my żyjemy*, *Dla ciebie o mnie*, *Miejsce na ziemi*, *Rzut pionowy*, *Najmniej słów*, *Narzędzie ze światła*, *Próba całości* - wywalczył sobie miejsce wśród najwybitniejszych polskich poetów XX wieku.

Był jednak nie tylko wielkim poetą. Był także wybitnym eseistą i epistolografem. Jego *Zapiski bez daty*, wydane w roku 1970, oraz listy do rodziny z lat 1921-1931, opublikowane w 1974, pozwoliły mi napisać o nim to, co mimo onieśmielenia jego wielkością wyartykułować się ośmieliłam, mając do dyspozycji jakieś takie odczytanie w poezji, naiwną miłość do tej najszlachetniejszej ze sztuk słowa, wrażliwość na piękno języka i niewiele więcej. A oto co napisałam o Przybosisiu na podstawie owych listów do rodziny w roku 1980, a więc w dziesiątą rocznicę śmierci poety. Pozwalam sobie i ten krótki szkic tutaj przytoczyć, jako że nigdy nie był publikowany.

Zawrzeć się w sobie

W nakreślonym w młodzińskich listach do rodziny autoportrecie Juliana Przybosi, prawie już krystalicznym, z głębokim pęknięciem, dostrzec można, jak w zawiązku, przyszły duchowy los poety: wytężone dążenie, by zawrzeć się w sobie i ostać wobec żywiołu - wobec chaosu. Aby to dostrzec jednak, trzeba wejrzeć w owo pęknięcie. Niechętnie na to pozwala młodziutki Julek. Nawet sobie. Zapewne przede wszystkim sobie. Już bowiem w roku 1921 formułuje po raz pierwszy, jeszcze z naiwną przesadą, ową filozofię, której będzie później nieustępliwie podporządkowywał swe życie-twórczość. Pisze:

Niech Stryjenka zapomni o czerni życia, płaczu, rozpacz i bólu, niech się Stryjenka nauczy śmiać. Proszę się śmiać, śmiać słoneczną radością, kipiącą i musującą jak wino - jak wiosna i wino. A z radości wystrzeli purpurowy i biały upojny kwiat - wieńce, naręcza i rzese kwiecia i w diademy tęczy-wych skrzeń owiją szarą pleśń i pospolitość rzeczy. Rozwiośni się, rozręczą, rozdzwięczy świat i uderzy w mocny, najmocniejszy akord miłości. [...]

[...] Ja jestem cynik w mglistych regionach utudy, ale białorunna, pasterska Dobroć urok na mnie rzuca niewolny i dziwię się, gdy ktoś dobrze mi czyni. Potem w głębokościach dusznych, poza granicą dobra i zła - rodzi się prawda i trwa pamięć

rzeczy najdziwniejszej, przedziwnej: miękkiego dotknięcia, ręką dobrych.

Jest więc ów młodzieniaszek świadomy swego pęknięcia i świadomy swego celu: widzi w rzeczach szarą pleśń i pospolitość, a nakazuje sobie widzieć piękno; nie wierzy w dobroć - dziwi się jej - lecz przechowuje w sobie najprostsze jej oznaki, by z nich krześć miłość. Jest owładnięty ideą piękną i miłości. Ideą piękną-miłości. Jest zdecydowany żyć w imię tej idei i dla tej idei. Jest gotów przeczytać czerni życia, szarości i pospolitości, szpetocie i złu. Po wielu latach w wierszu *Ów halcjon* ukaże poetycką genezę tej postawy.

Na razie, w latach dwudziestych, w listach do stryjenki - listach tak hermetycznych, że prawie nieprzenikliwych - Przybós sygnalizuje borykanie się ze swoim rozdarcie, z niemożnością ujęcia w silne ręce samego siebie. Oto pośród brawurowych opisów życia pracowitego i ruchliwego, życia pełnego rozmachu i animuszu, twórczych zamierzeń i przedsięwzięć, trafiają się słowa ukazujące podłoże owej nadmiernej pracowitości i ruchliwości, owego rozmachu i animuszu - lęk przed pustką, lęk przed rozpaczą, lęk przed śmiercią. Z Krakowa: *Huk wrażeń i płatanina gorączkowej roboty trzyma mię w bezczasie; Szarzyzna i targanina nerwów na przemiany, tym się żyje; z Gwoźnicy: Sam usycham tutaj z nudów, które mnie bardziej trapią niż choroba [...]* Można zwariować z takich nudów albo w łeb sobie palnąć z desperacji [...] Zresztą straszliwa pustka...

Niewiele jest tych słów-skarg w korespondencjach Przybosi, ale są i znaczą jego drogę do filozofii świadomego heroizmu, którą wyraził w liście do stryjenki z maja 1922 roku:

Istotą jego (człowieka), kwintesencją uczuciową nie jest ani smutek, ani też i radość, ale trwały nastrój heroizmu, stawiającego czoło zadaniom twórczości i ciągłego budowania wiecznie narastającej rzeczy-

wistości, tej codziennej, tej dzisiejszej, która tu oto jest, tylko trzeba ją umieć dojrzeć, a raczej w y ż y ć s i ę w nią nie przez abstrakcję, przez błądzenie marzeniami w krainie cieniów, ale przez krzepkie podparcie jej ramieniem, zanurzenie ręk w jej płynnym, żywym prądzie.

Tak więc młodziutki, zaledwie dwudziestoletni Przybós, zbyt uczuciowy i zbyt wrażliwy, by zharmonizować się ze sobą i wewnątrz ustalić, by oprzeć się naporowi świata i świat ten ogarnąć, przywołał ideę heroizmu przeciwko grożącemu mu żywiołowi chaosu. Z tym imperatywem intelektualnym związał jeszcze nakaz ustawicznej gotowości wyobraźni i serca. Siłą rozumu i siłą woli dźwignął się ponad swą słabość, ponad swe rozdarcie. W 1925 roku, w liście do brata stryjecznego Adama, wypowiedział wprost swój dumny program:

Idziesz w życie, to znaczy idziesz w trud, który trzeba pokonać własną mocą. Teraz dopiero poznasz, co to jest troska samotności opartej o siebie samego, o istotną wartość duszy bezpomocnej i jedynej w kosmosie. Nie możesz, nie powinienes odtąd oglądać się na pomocną dłoń najbliższych i przyjaciół, będziesz tym i o tyle sobą, o ile pokonasz wszystkich, zawrzesz się w sobie i ostoisz wobec żywiołu. Naturalnie, o ile chcesz, jeśli masz ambicję zostać Przybosisiem, to jest tym tragicznym i dumnym bojownikiem wyższości, Don Juanem mórz i przygód nieobesztych, którego dewizą: Wyżej! Bo wiedz, Kochany Adamie, że u podstawy moralnej naszego rodu leży ten boski niepokój i ambicja, którym, trwając przy sztandarze honoru, na zawsze pozostan wierny!

Przybós przez całe swe życie-twórczość był wierny - wierny idei piękna, idei miłości, idei heroizmu. Ta wierność nacechowała jego los wielkością i tragizmem.

MARIA JENTYS-BOREŁOWSKA

WARSZAWA, PAŹDZIERNIK 1975 - PAŹDZIERNIK 1980

- LIPIEC 2025.



Ostatni list

Ostatni list od Janka
znalazłam na monitorze
natknęłam się przypadkowo
był właśnie wtedy w Paryżu - mieście,
które pokochał jeszcze
w latach młodości
teraz ze Szwecji pojechał odwiedzić tam
siostrzenicę i siostrzeńca
oni – napisał
on ona – pisał
to były ostatnie słowa
skierowane do mnie

a kiedy były pierwsze?
w Szczecinie tuż po wojnie jeździliśmy
tym samym tramwajem
każde do swego przedszkola
nasi rodzice przyjaźnili się od chwili
zamieszkania w tym dziwnym
poniemieckim mieście
do szkoły Janek poszedł
już w Warszawie
widywaliśmy się rzadko
ale pamięć tych lat
powojennego dzieciństwa wiązała nas
jak kokarda
moje dziewczęce warkocze.

Anna Frajlich

PRZESUWAĆ GRANICE
ZROZUMIENIA

Na to sformułowanie natknęłam się podczas lektury artykułu Kamila Wrzeszcza pod tytułem „O Janie Błońskim na podstawie listów z Czesławem Miłoszem”¹. Jan Błoński, którego raz w życiu miałam zaszczyt spotkać, widział w tym zadanie krytyki. Ja czytając te słowa uświadomiłam sobie, że podczas mojej wieloletniej pracy ze studentami amerykańskimi czytającymi polską literaturę niejednokrotnie przeżywałam podobny proces. Może też odwołam się tutaj do spostrzeżenia Macieja Tremera, który w książce „Literatura i skandal” zwraca uwagę na rolę kodu kultury w oczekiwaniu odbiorcy. „Odbiorca zamyka się w horyzoncie własnych oczekiwań”² pisze autor. Ale dla kogoś, kto nie ma tych tradycyjnych oczekiwań wyniesionych ze szkoły i wychowania, ten kod jest otwarty. I taka osoba odnajduje tam wiele innych obrazów i problemów niż ktoś, komu przez lata wpajano tradycyjną percepcję.

Moje doświadczenia opierają się na pracy na Uniwersytecie Columbia, gdzie w latach 1982-2016 uczyłam języka polskiego, a od początku lat dziewięćdziesiątych prowadziłam też wykłady z literatury i indywidualne zajęcia ze studentami. Z chwilą zlikwidowania etatu profesora literatury wschodnio-europejskiej, w ciągu ostatnich ośmiu lat nauczanie języka i literatury, wszelkie konsultacje weszły wyłącznie w zakres moich obowiązków. A ponieważ uniwersytet jest członkiem konsorcjum, na nasze zajęcia uczęszczali studenci spoza Columbii. Głównie z uniwersytetów tzw. ligi bluszczonej, ale też z innych uczelni nowojorskich. Z zainteresowaniem językami i kulturą Wschodniej Europy na uniwersytetach amerykańskich jest różnie. Czasem miałam kilkunastu studentów na lektoracie lub wykładzie, a czasem siedziałam naprzeciwko jednej osoby. To ostatnie mogło zdarzyć się tylko na Columbii, bo na innych nawet prywatnych uniwersytetach wymagano co najmniej trzech osób, aby wykład został zaakceptowany.

Wspomnieć też należy, że wszystkie listy lektury musiały być dwujęzyczne, obejmujące głównie angielskie przekłady, ale też i w innych językach.

Studenci czytali czasem polską literaturę po rosyjsku lub francusku. Kiedyś musiałam sprowadzić niemiecki przekład powieści „Grypa szaleje w Naprawie” Jalu Kurka, przełożonej w 1936 roku w ówczesnym Breslau, obecnie Wrocławiu.

Moim zdaniem nauka języka jest przedmiotem akademickim. Na tych samych zajęciach obok studentów, którzy chcą zaliczyć obcy język, siedzieli doktoranci, zajmujący się historią środkowej Europy, historią Żydów, studenci prawa i niemal każdej innej specjalności. Motywacje są bardziej złożone niż to się wydaje, szczególnie niż to się wydaje ludziom, że konieczna jest motywacja pochodzeniowa. W pewnym momencie na pytanie, dlaczego uczą się języka polskiego zaczęłam odpowiadać: dlaczego nie?

Od wielu już lat na Columbii, zarówno język jak i literaturę mogą wyklądać doktoranci, ale kiedy zaczynałam pracę, od wykładowcy literatury wymagano doktoratu.

Ja sama obroniłam w 1990 roku doktorat z literatury rosyjskiej na Uniwersytecie Nowojorskim, drugim co do prestiżu w Stanach dość bogata i to poszerzyło w dużym stopniu moją perspektywę, nawet na językoznawstwo. Moja profesor Zoya Yurieff była studentką profesora Ingardena we Lwowie i Jakobsona w Nowym Jorku. Ja sama miałam jeszcze okazję usłyszeć wykład Jakobsona.

Wychowana w mniej lub bardziej uświęconej percepcji dzieł literackich, a szczególnie arcydzieł, których interpretację akceptowało się z pokolenia na pokolenie, musiałam się otworzyć na sytuację, że perspektywa z jakiej patrzy się na dzieło literatury wpływa właśnie **na przesunięcie granic zrozumienia**.

Studenci uczęszczający na wykłady i seminaria z literatury podchodzili do tekstów bez znajomości polskiej historii, lub polityki, co pozwoliło im odkryć elementy, które istniały w danym dziele, ale były zakryte przez tę wiedzę z jaką my podchodzimy i jaką narzucamy tekstowi.

Poza lektoratami, wykładami i seminariami, wydział oferował indywidualne zajęcia, na które student przychodził z własnym tematem badań, a czasem prosił o sugestię tematu. W ramach takich zajęć najchętniej czytałam ze studentami „Wesele” Wyspiańskiego, Marka Hłaskę, Norwida, także utwory na tematy żydowskie w polskiej literaturze, raz zdarzyło mi się studiować materiały dotyczące łysenizmu w Polsce. Zależnie od potrzeb i predyspozycji studenta, takie indywidualne zajęcia oscylują pomiędzy czwartym rokiem lektoratu, a doktoranckim seminarium.

Dość szybko zauważyłam, że prace moich studentów zaskakują mnie swoją perspektywą i potraktowaniem tematu. Przy całej fascynacji polską literaturą, patrzyli oni na to przez pryzmat swoich doświadczeń, lektur, innej metodologii i często odkrywali rzeczy w polskim literaturoznawstwie nieobecne. Nieraz było mi żal, że tylko ja jedna czytałam ich prace... Skłaniałam ich do udziału w konferencjach, często publikowali swoje eseje w kwartalnikach naukowych. Sama też znajdowałam możliwości nagłośnienia. Kiedyś opublikowałam artykuł „Państwo Słowikowie – małżeństwo niedoskonałe” oparty na dowcipnych wypowiedziach studentów. Innym razem Tadeuszowi Różewiczowi postąpiam wypowiedzi studentów związane z lekturą doskonałego opowiadania Grzech, poeta zanim jeszcze mi odpisał wystąpił ten tekst do *Kwartalnika Artystycznego*³, gdzie został opublikowany tak, jak był, włącznie z błędami językowymi. Jest to zaskakująca lektura.

Kiedyś znów w czteroosobowej grupie lektoratu miałam dwoje Polaków, studenta urodzonego w Stanach, studentkę, która wyjechała z Polski w dzieciństwie, prócz nich jedną Niemkę z bardzo dobrą znajomością polskiego i Amerykankę, która w Polsce spędziła rok chodząc do polskiego liceum i mieszkając w tak zwanej „host” rodzinie. Czytając ich impresje związane

z lekturami zorientowałam się, że stanowią one grupowy portret, poprosiłam wydział o fundusze na broszurę. Ponieważ jednym z omawianych tekstów była nowela Jerzego Szaniawskiego „O trudzie daremny”, zatytułowaliśmy naszą broszurę „Trud niedaremy”.

Lektura prac semestralnych i dzienników lektury studentów stawała się dla mnie przygodą intelektualną. Studenci czytali literaturę każdego okresu poprzez swoje doświadczenia akademickie i życiowe. Czy specjalizowali się w literaturze francuskiej, angielskiej lub rosyjskiej, historii lub medycynie, zawsze odnaleźli jakiś kontekst w tekstach czytanych na zajęciach z polskiego. Jeden ze studentów, który spędził w Polsce jakiś czas jako mormoński misjonarz, a po powrocie studiował medycynę na Columbii, jednocześnie wybrał mój kurs z prozy dwudziestolecia międzywojennego, swoje wrażenia podsumował w pracy zatytułowanej *Existence and Essence of Medicine in Polish Novel* (Egzystencja i esencja medycyny w polskiej powieści). Pod tym kątem przeanalizował *Cudzoziemkę* Kuncewiczowej, *Sól ziemi* Wittlina, *Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy* Piaseckiego, *Zazdrość i medycynę* Choromańskiego, *Wspólny pokój* Uniówskiego, *Panny z Wilka* Iwaszkiewicza i oczywiście Gombrowicza i Schulza.

Przez dziesiątki lat zaskakiwana byłam różnorodnym podejściem do naszej literatury. Zacznę może od *Pana Tadeusza*, a szczególnie od odczytywania postaci Telimeny. Polscy czytelnicy na ogół traktują Telimenę dość protekcyjnie, mimo że jest to przecież jedyna osoba w *Panu Tadeuszu*, która posiada biurko, a więc - intelektualistka. W biurku Telimeny Mickiewicz umieścił dorobek polskiej elity intelektualnej Petersburga. Poeta znał dobrze to fascynujące środowisko i wiele mu zawdzięczał. W Polsce, przynajmniej za moich czasów mało interesowano się tą warstwą polskiej inteligencji, która kształciła się na uniwersytetach rosyjskich i niejednokrotnie odgrywała rolę w nauce i sztuce. Ja sama jeszcze w ósmej klasie w Szczecinie miałam nauczyciela matematyki, który był absolwentem uniwersytetu w Petersburgu. O tym się za wiele nie mówiło. Wiem, że moja profesor z Uniwersytetu Warszawskiego, Janina Kulczycka-Saloni opracowała tom pism krytycznych Włodzimierza Spasowicza wydany w PIW-ie w 1981 roku.

Największym zaskoczeniem była dla mnie teża mojej ówczesnej studentki, która obecnie jest profesorem zwyczajnym, że najważniejsze dla struktury *Pana Tadeusza* sceny są wynikiem podglądania. Tzw. wojeryzm, czyli podglądactwo ma w zasadzie negatywną konotację i kojarzone jest z zaburzeniami psychoseksualnymi. Ale Prof. Colleen McQuillen, a wówczas studentka pisząc o tych scenach odwołała się do malarstwa Vermeera, Fragonarda, do niektórych filmów, a także teorii związanych z teatrem.

Zaskoczona tym interesującym podejściem zaprosiłam Colleen do udziału w mickiewiczowskich sympozjach z okazji stulecia urodzin poety, a także - jak ona sama teraz mi przypomina - zdołałam skłonić wycho-

1 Migotania, Gazeta Literacka, #2,3(63,64) 2019 Kwartalnik, s. 47

2 Maciej Tramer, Literatura i skandal. Na przykładzie okresu międzywojennego.str.85

3 Kwartalnik Artystyczny, Głosy studentów Uniwersytetu Columbia na kanwie Grzechu Tadeusza Różewicza.

dzący w Stanach kwartalnik „The Polish Review” do opublikowania tej pracy.

Artykuł pod tytułem „Private pleasures made public: voyeurism in „Pan Tadeusz” ukazał się w 1998 roku.⁴

Jako motto autorka wybrała cytāt z ósmej księgi:

Między stawami w rowie młyn ukryty siedzi;
Jako stary opiekun, co kochanków śledzi,
Podśluhał ich rozmowę, gniewa się szamoco,
Trzęsie głową i groźby belkoce.

A więc nawet młyn podpatruje. Zwykle podczas lektury przelatujemy nad tym fragmentem, bo po co czytać o młynie, a tymczasem okazuje się, że tu kryje się klucz do zasady strukturalnej eposu. Analiza jest dostępna w języku angielskim, ale dla przykładu przytoczę jeden przełożony cytāt:

Podśluha jest fonetycznym odpowiednikiem szpiegostwa, a nie podglądania: podśluha i szpiegostwo są podejmowane z racjonalnym celem zdobywania wiedzy, podczas gdy podglądanie jest irracjonalnym działaniem, którego celem jest zmysłowa przyjemność. Mickiewicz stosuje podśluha zarówno wizualny, jak i dźwiękowy, w różny sposób połączony z inspirowanymi seksualnie chwilkami podglądania, aby przenieść fabułę na pierwszy plan kluczowych wydarzeń.⁵

Cztery lata później, inna studentka, Anna Dojka w pracy pod tytułem *Telimena vs. Zosia: Refleksja o pięknie w Panu Tadeuszu*⁶ poprzez analizę postaci Telimeny i Zosi zaproponowała odmienną formułę strukturalną Pana Tadeusza. Wzajemne relacje, różnice, a także transformacje obu kobiet wypełniają czas akcji. W charakterze Zosi góruje fascynacja i związek z naturą, natomiast Telimena odznacza się intelektem. Żaden z tych mężczyzn, na których poluje Telimena, nie dorównuje jej intelektualnie. Ale Telimena nie zna przyrody, Zosia – zwraca uwagę Anna Dojka – nigdy nie położyłaby się w lesie na mrowisku. Pracę swą studentka kończy słowami:

Studiując relacje tych dwóch postaci i sposób, w jaki ze sobą obcuje, bardzo łatwo jest zauważyć błyskotliwość Mickiewicza. Przedstawiając takie interakcje, Mickiewicz wydaje się mieć dostęp do niesamowitego zrozumienia ludzkiego umysłu i psychologii emocji, której brakuje w wielu współczesnych utworach.⁷

Zetknąwszy się z utworem literackim bez uprzedniego nastawienia studentki moi odkrywali nowe elementy, przesuwając w ten sposób i moje granice zrozumienia. Równie interesujący jest esej Anny Czaplińskiej poświęcony symbolizmowi grzybów i grzybobraniu pod tytułem *Małe sprawy o wielkim znaczeniu – grzyby w „Panu Tadeuszu”*.⁸

Poprzez swoje indywidualne właściwości/atrybuty (grzyby) są w stanie służyć jako siła jednocząca różne narody i klasy. Bezkrwawe polowanie zapewnia poczucie ekscytującej konkurencji. Zdolność Mickiewicza do podkreślania znaczenia tak małych elementów globalnego świata pokazuje nam, że nawet zwykłe codzienne detale mają wielkie znaczenie życiowe.

4 The Polish Review, Vol. XLIII, No.4, 1998:419-428; The Polish Inst. of Arts and Science

5 Colleen McQuillen, jak wyżej str. 426. (Przkład przy pomocy google translator)

6 Anna Dojka, *Telimena vs. Zosia: A Reflection on Beauty in Mickiewicz's „Pan Tadeusz”* /May 2004.

7 Anna Dojka (przekład przy pomocy Gogle translator)

8 Literature; Mickiewicz; Students' papers; A. Czaplńska, *Grzyby Small Elements of Life with Great Meanings: The Grzyby of Pan Tadeusz* (. (przekład przy pomocy google translator z poprawką).

Przytoczę tu tytuły dwóch innych prac: Maryni Kruk (2004) pod tytułem *Adam Mickiewicz i Wielka improwizacja; Poza epilepsją i depresją maniacką*,⁹ oraz Julii Sitarz – *Co Francuz wymyślił to Polak polubił – czyli: Problemy francuskich wpływów kulturowych w Panu Tadeuszu*.¹⁰

Byli to studenci różnych specjalności i na różnym etapie studiów i każdy z nich wnosł jakieś inne spojrzenie na, zdawałoby się, ogólnie znany temat.

Twórczość Mickiewicza i problematyka z nią związana wypełniała cały semestr, toteż reszta lektur okresu Romantyzmu przenosiłam do następnego semestru, aby dać się studentom nacieszyć Stowackim, Krasińskim, Fredrą i innymi współczesnymi im pisarzami. Przytoczę interesujące odczytanie Fredry.

Diana Saciłowski, obecnie też już profesor, swoją pracę pod tytułem (*Podważanie konwencji: Fredry nawoływanie do śmiechu*)¹¹ zamyka następującą konkluzją:

Wydawałoby się na pozór, że Fredro rozkoszuje się swoim małym wszechświatem bez odniesienia do prawdziwego świata, w którym żył. Nie ma wzmianki o walce o niepodległość ani o zajmowaniu się problemami krajowymi. Jego bohaterowie nie zajmują się egzystencjalnymi dylematami ani nie kwestionują swojej roli w świecie. Ton jego komedii jest zabawny, a nie ponury ani żarliwy. Jego utwory kończą się szczęśliwie, z dominującą miłością i pokojem, a nie w zgnębieniu i melancholii odzwierciedlającej czasy. Ale wezwanie Fredry do śmiechu, choć pozwala przynajmniej na bardzo potrzebną formę ucieczki od prawdziwego świata, może być również postrzegane jako wzywanie do rozbicia zakorzenionych konwencji i propagowanie innej perspektywy na życie. **Fakt, że jego krytycy zasadniczo zmusili go do milczenia, pokazuje, że te konwencje.**¹²

Wdzięczna jestem studentom, że wprowadzali mnie w świat swojego rozumienia moich ulubionych autorów i okresów literatury.

Na jednym lektoracie zapoznałam studentów z wierszem Józefa Wittlina *Hymn o łyżce zupy* napisanym w 1918 roku. Istnieje nawet nagranie tego wiersza czytanego przez poetę.

Kilka dni potem jedna ze studentek zwierzyła mi się, że przeczytała ten wiersz podczas rodzinnej kolacji w Dniu Dziękczynienia, aby uczcić pamięć brata, który zginął na wojnie w Wietnamie.

To ułożsamienie rodzinnej tragedii z tym niezwykłym wierszem głęboko mnie poruszyło. Od tego czasu przez wszystkie lata czytałam ze studentami *Hymn o łyżce zupy* przed Dniem Dziękczynienia, który przypada w czwartą czwartek listopada. Z czasem dodałam wiersz Zbigniewa Herberta *Guziki*, upamiętniający ofiary Katynia.

Przytoczę tutaj dwie wypowiedzi, pisane po polsku, w których nie wszystko poprawiałam

Diana Sacilowski:

W wierszach „Guziki” Zbigniewa Herberta i „Hymn o łyżce zupy” Józefa Wittlina ofiara żołnierska zasadza się na prostych rzeczach, na guzikach i zupie, ale te rzeczy pokazują, że ofiara żołnierska to ofiara ludzka, ofiara osobista dla człowieczeństwa.

Z jednej strony, Herbert pisze o ofierze

9 Adam Mickiewicz and The Great Improvisation; Beyond Epilepsy and Into Manic-Depression

10 Problems of French Cultural Influence in Pan Tadeusz

11 Subverting Conventions: Fredro's Call to Laughter

(przekład przy pomocy Google translator)

12 Diana Sacilowski, directed research, Dec. 2009.

(przekład przy pomocy Google translator)

prostymi słowami, (...) że „Tylko guziki” pozostały i sugeruje nam, że to guzik, że to nic takiego, że tylko tyle zostało po ofiarach. Żołnierze zapłacili swoim życiem, a tu tylko są teraz guziki. Ale z drugiej strony, te guziki reprezentują rzeczy życiowe, reprezentują mundury, koszulki, płaszcze – wszystko, co ci żołnierze nosili, w czym oni chodzili na świecie. Ponadto, te guziki są „nieugięte,” trwałe, wytrzymałe, niewzruszone. Guzik może być pomnikiem jedynym, małym i błahym, ale jest też świadectwem ofiary ludzkiej.

Józef Wittlin podobnie pisze o stronie życiowej ofiar wojennych, reprezentowanej przez łyżkę zupy. Żołnierz, głodny, zmęczony i na krawędzi śmierci, tylko chce łyżki zupy. Ale tak, jak Herbert używa słów prostych i pisze o tym jakby z dystansu, Wittlin raczej używa słów pełnych emocji. Chce jakby zakomunikować jakie było ich życie. Wiersz jest pełen wyobrażeń horroru i strachu wojny. Wittlin dokładnie pokazuje, na czym ta ofiara żołnierska polega. On pisze, „I szedł, i szedł, / I bez końca ciągle-ś szedł, i szedł / ... / I spleśniałe chleby w rowach jadł, / I tabakę z krowich gnojów żuł.” Ponadto, nikt nie wie, dlaczego to wszystko się dzieje, dlaczego jest wojna, o co się biją. „Tego nie wiesz ani ty, ni ja, / Może ci to kiedyś powie Bóg.” To jest sytuacja bez sensu, bez nadziei.

Moim zdaniem, te wiersze przedstawiają tragedię wojenną na poziomie człowieczym. Żołnierze nie są tylko wielkimi bohaterami. Żołnierz jest najpierw człowiekiem. Jemu jest zimno, jest głodny i zmęczony, nie zaznaje ani spokoju, ani ukojenia, ani nadziei. Żołnierz porzuca życie wygodne, w którym guzik jest guzikiem i zupa jest po prostu jednym daniem obiadu. Ofiara żołnierska to ofiara ludzka.

Erin Carls w podobny sposób odczytała ten wiersz.

W wierszu „Guziki” nic i nikt nie mógł pomóc bezimiennym ofiarom. Naturalny rytm życia nie zatrzymał się, kiedy masakra w Smoleńskim lesie się stała. Nawet „przeleciał ptak, przepływa obłok” po tym, jak żołnierze zostali zamordowani. (...) Tylko guziki pozostały jako „świadkowie zbrodni”, żeby opowiedzieć światu o tym, co się stało tam w 1940 roku. Guziki także muszą przypomnieć Bogu „policzyć[ć] i ulitować[ć] się nad [żołnierzami]”. To, co się stało w Smoleńskim lesie jest tak złe, że Bóg nie mógł wiedzieć o tym, inaczej nie pozwoliłby, żeby żołnierze umarli tak tragicznie. Raczej, Bóg chyba nie wiedział o tym i teraz guziki muszą mu opowiedzieć. Jednak, nawet jeżeli żołnierze musieli umrzeć okropnie, może dzięki guzikom te ofiary stały się bliższe Bogu.

W wierszu „Hymn o łyżce zupy” (...) bezimienne ofiary Wittlina pokazują to, co robią, żeby żyć. Jako żołnierze, którzy jedli badyle i pili gnojówki, widąc, że tylko chcą przetrwać i będą robić to, co muszą, żeby się uratować. Nie ma podstawowego pożywienia, które jest niezbędne do życia. Więc jedzą i piją to, co tylko zwierzęta jadłyby i piłyby (i czasami to, czego zwierzęta chyba nie jadłyby i nie piłyby). Jednak, wydaje mi się, że w ten sposób, Wittlin przedstawia żołnierzy, którzy stają się wyższymi niż ludzie. W ten sposób, są bliżsi Bogu, dopóki jeszcze żyją, tak jak bohaterowie Herberta za pomocą guzika.

Autorka sięga jeszcze poza sam tekst wiersza:

Te wiersze przypominają mi, że w życiu nasze losy są w dużej mierze arbitralne i mam szczęście, ponieważ nie muszę przeżywać takiej strasznej sytuacji jak wojna. Mam obowiązek wiedzieć o tym, jak ludzie cierpią i umierają w czasie wojny. (.....) nie mogę po prostu

→ **ES** siedzieć i nic nie robić. Mam motywację usilnie pracować, żeby mieć sukcesy, ponieważ ja mogę, a nie wszyscy mogą to powiedzieć.

Zarówno w wykładaniu jak i w analizie zawsze bardziej fascynowała mnie proza. Na przestrzeni lat przygotowałam kilka kluczowych dla mnie zespołów tematów, które sprawdziły się w toku wspólnej lektury.

Oto moje i moich studentów ulubione seminaria:

Bestsellers of Polish Prose (Bestsellery polskiej prozy); *Polish Short Story in the Comparative Context* (Nowela polska w kontekście komparatystycznym); *North America in the Mirror of Polish Literature* (Ameryka Północna w zwierciadle polskiej literatury), *Un-bound and Post Dependent: The Polish Novel after 1989* (Wyzwolona i post-zależnościowa powieść polska po 1989 r).

Seminarium *Bestsellers of Polish Prose* obejmowało powieści okresu międzywojennego; początkowo chciałam je nazwać „zapomniane bestsellery”, ale zaistniała obawa, że zapomnianymi mało kto się zainteresuje. Studenci czasem zwracali mi uwagę, że ich rówieśnicy w Polsce nigdy o niektórych z tych książek nie słyszeli – *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy*, *Cudzoziemka*, *Pałę Paryż*. Na seminarium uczęszczali, jak wspominałam, studenci z innych uczelni, zdarzyło się nawet, że student z Yale University, co tydzień poświęcał prawie cały dzień przyjeżdżając na seminarium i napisał bardzo ciekawą pracę o „Soli ziemi” Wittlina.

Pewnego razu, kiedy zarejestrowało się 17 osób, szef zapytał mnie: skąd ty ich bierzesz?

Dziewiętnaście lat temu Barbara Szlancik, doktorantka z wydziału Romanistyki, która w swojej pracy doktorskiej koncentrowała się na Prouście, czytając Schulza znalazła analogie w stylu tych dwóch pisarzy. Odkryła też przez nikogo niezauważoną korelację elementów teorii antropozofii Rudolfa Steinera, bardzo popularną w środowiskach intelektualno-artystycznych w Rosji i w Europie na początku 20 wieku. Dowód został dobrze przeprowadzony, miałam tylko problem, skąd antropozofia Steinera do Schulza, a Schulz do antropozofii.

Pod koniec lutego 2002 napisałam do Miłosza:

Drogi Panie Czesławie,
mam do Pana pytanie, na które nikt nie potrafi mi odpowiedzieć. A mianowicie szukam jakichś śladów wpływów myśli Rudolfa Steinera na polskich pisarzy.

Wiem, że miał wyznawców w Czechach, Rosji (b. silne towarzystwa antropozoficzne), w Anglii, no i w Stanach.

Czy to możliwe, aby to zupełnie nad Polską przepłynęło górą? Wiem, że we Francji też było małe zainteresowanie, czy to ze względu na materializm i skłonność Francuzów do racjonalizmu, a co „Francuz wymyślił ...”.

Jeżeli oczywiście to Pana nie interesuje, to proszę mi wybaczyć, ale rozmawiam z ludźmi starszych (przedwojennych) pokoleń i nikt nie słyszał, nie mogę też nigdzie znaleźć jakiegoś śladu.

Serdecznie się skłaniam i życzę wszystkiego najlepszego Państwu obojgu.

Anna Frajlich
Febr. 28.02

Droga Pani Anno,
Odpowiadam na Pani pytanie dotyczące Rudolfa Steinera. Z pewnością istniały jakieś grupy teozoficzne, ale mnie nie o tym nie było wiadomo i przed wojną nic o Rudolfie Steinerze nie słyszałam.

Łączę serdeczne pozdrowienia,
Czesław Miłosz

W Nowym Jorku na 79 ulicy, którą kilka razy w tygodniu przejeżdżałam autobusem znajduje się szkoła średnia imienia twórcy antropozofii, pewnego razu imię „Rudolf” jakoś szczególnie mnie uderzyło. Wzięłam znów do ręki *Sanatorium pod klepsydrą* i w opowiadaniu „Wiosna” znalazłam fragmenty:

Zostałam adeptem nowej Ewangelii. Za przyjaźnięciem się z Rudolfem. Podziwiałam go, przeczuwając niejasno, że jest on tylko narzędziem, że księga dla kogo innego jest przeznaczona.¹³

A kilka zdań dalej o tej księdze czytamy: Poznałam to już po tym, że nikt nie czuł się jej (Księgi) właścicielem. Nawet Rudolf, który ją raczej obsługiwał.¹⁴

Tutaj moje granice rozumienia uległy znacznemu przesunięciu. Może Schulz przywiózł to z Wiednia?

Pozwalam sobie zacytować konkluzję tej analizy, która znajduje się w opracowaniu Barbary A. Szlancik, Schulz and Steiner: *The Importance of Color in Sanatorium under the Sign of the Hourglass*. January 2002, p. 8.:

Oto konkluzja:

Fascynacja Schulza zarówno kolorem jako sygnałem zmysłowym emanującym z rzeczy, jak i ukrytym znaczeniem tych obiektów zaskakująco ściśle koreluje z szeroką gamą pomysłów zawartych w tekstach i wykładach Rudolfa Steinera na temat antropozofii. Uważam, że dalsze dokładne badanie korespondencji między „Sanatorium” Schulza a tekstami Steinera przyniosłoby interesujące krytyczne wyniki.¹⁵ Barbara Szlancik zachęca czytelników do przeprowadzenia takiej analizy.

Lektura powieści międzywojennej za każdym razem przynosiła fascynujące efekty. Przytoczę kilka tematów, które studenci sami sobie zadawali.

Oto analiza porównawcza „Choucas” Zofii Nałkowskiej i „Mrs. Dalloway” Virginii Woolf pod tytułem: *Zofia Nałkowska i Virginia Woolf: Poetki tego samego Meritum*¹⁶(2015); *Natura Witolda Gombrowicza: dziedzictwo Bakakaj w jego późniejszych dziełach* (2005).¹⁷ *Walka Róży (Z „Cudzoziemki” Kuncewiczowej) z „matką Polką” w niej samej*¹⁸ (2005).

W 2012 Bart Zelażyty zaimponował mi analizą *Zazdrości i medycyny* zatytułowaną: *Michał Choromański, Manfred Kridl, Baruch Spinoza i Bóg: Integracja „Zazdrości i medycyny” w upadek człowieka*.¹⁹ Swą pracę zakończył wnioskiem, że bohaterowie: okresu międzywojennego i powojennego (*II wojna światowa*), odzwierciedlają upadek Europy kontynentalnej i społeczeństwa polskiego, ponieważ człowiek postrzega niespełnienie swoich pragnień jako odrębne od zewnętrznej woli, jaką stwarzają ich autodestrukcyjne działania.

Mogłabym tak cytować i cytować, ale pozwolę sobie przytoczyć jeszcze jedną pracę pod tytułem: *Feministyczna pewność siebie w polskiej literaturze międzywojennej*

13 Bruno Schulz, *Proza*, WL, Kraków, s. 154

14 Tamże, s. 155

15 B.A. Szlancik, Schulz and Steiner: *The Importance of Color in Sanatorium under the Sign of the Hourglass*. January 2002, p. 8. (przekład przy pomocy Google translator)

16 Aleksandra Prybyła, Zofia Nałkowska and Virginia Woolf: *Poets of the Same Merit*

17 Taylor Kirk: *The Nature of Witold Gombrowicz: The Legacy of Bacacay in His Later Works*

18 Anna Czaplinska, „Cudzoziemka” Kuncewiczowej, Róża battles with the Matka Polka within her,

19 Bart Zelażyty, *Michał Choromański, Manfred Kridl, Baruch Spinoza and God: The Integration of Jealousy and Medicine Into The Decline of Man*

na przykładzie „Pani z Wilka” Iwaszkiewicza i „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy” Piaseckiego.²⁰

Monika Bujak (2013) pisze:

(.....), zarówno utwory Piaseckiego, jak i Iwaszkiewicza stanowią mocny dowód na nadrzędne metafory radykalnego feminizmu w okresie międzywojennym. Jednym z największych osiągnięć tego ruchu jest to, że tendencja do homogeniczności seksualnej i ideologicznej była dyskutowana i obserwowana również przez autorów ptci męskiej, jak widać w tych dwóch powieściach. Jest to znaczący sukces, ponieważ heterogeniczne poparcie seksualne dla emancypacji kobiety pozwala na szersze niż tylko lokalne rozprzestrzenienie się tego zjawiska. Niestety, jak chcą wszystkie ideologie, szczególnie radykalne, to chronologiczne studium polskiej literatury z początku lat dwudziestych i drugiej awangardy z lat trzydziestych ujawnia, że piąta fala polskiego feminizmu ostatecznie upadnie, ponieważ podstawy rozmaitych podziałów, społecznych, etnicznych, ekonomicznych lub seksualnych, nie są trwałe.

Te przykłady wybrane są nie ze względu na ich doskonałość, bo może ominęłam lepsze, ale chodzi mi o pokazanie różnorodności odczytania i głębokie zaangażowanie prowadzące do obojętnej interakcji. Nasze lektury kształciły nas, a my kształciliśmy się nawzajem.

W 1996 roku zorganizowałam z poparciem Wydziału, Instytutu Harimana i Fundacji Kościuszkowskiej międzynarodową konferencję poświęconą twórczości Józefa Wittlina, która była znaczącym sukcesem. Materiały zostały opublikowane w książce „Between Lvov, New York and Ulysses Ithaca. Józef Wittlin poet, essayist, novelist”, edited by Anna Frajlich.²¹

Seminarium o noweli w kontekście komparatystycznym zaczynaliśmy od lektury Dekamera Boccaccia i kilku najśawniejszych światowych nowel, do polskich nowel od Romantyzmu do współczesności z literaturą emigracyjną włącznie. Seminarium obejmowało rozwój noweli polskiej na przestrzeni dwóch wieków, a przy tym dawało możliwość analizy strukturalnych właściwości noweli, czyli nieśmiertelnego „sokoła”, który mnie zawsze fascynował.

Temat ten jest też jakby związany z historią polonistyki na Columbia, bo właśnie tam Olga Sherer-Virski, obrońca doktorat na temat *The Modern Polish Short Story* u profesora Manfreda Kridla. Jej praca opublikowana po latach jest bardzo ważnym źródłem do studiowania noweli polskiej.

Żałuję, że nie mogę tu zacytować niezliczonych odkryć moich studentów.

Kiedyś wystąpiłam do Sławomira Mrożka kilka interpretacji jego noweli.

Tak jak były, niejednokrotnie z językowymi błędami. Mroźek zareagował bardzo sympatycznie króciutką kartką z 8 lutego 1985 roku:

Droga Pani, Proszę mi wierzyć, że te krótkie opinie mają dla mnie większą wartość niż wiele uczonych artykułów. Nawet trudności języka polskiego, jakie, studenci muszą pokonywać są bardziej przekonywujące niż pusta biegłość, nieraz w uczonych artykułach spotykana.

Łączę najlepsze pozdrowienia,
Sł. Mroźek²²

20 Monika Bujak, *The Feminist conceit in the interwar Polish literature as studied through “Girls from Wilko” by Iwaszkiewicz and “The lover of the Great Bear” by Piasecki*. (Przekład przy pomocy google translator).

21 Pomiedzy Lwowem, Nowym Jorkiem i Itaką Ulyssesa. Józef Wittlin poeta, eseista i powieściopisarz.

22 Anna Frajlich, *Dwa spotkania ze Sławomirem Mrożkiem*, Migotania, 24 maja 2014



Przytoczę tylko tytuły prac studentów na zakończenie semestru: *Wpływ natury/przyrody i pogody na polskie nowele*; Czechow, Cheever i Gombrowicz; *Kobiety w literaturze polskiej*; *Femme Fatale*, matka i żona; *Norwid: Symbol Krzyża w "Krzyż i dziecko" i "Ad leones"*; „Błędne interpretacje: czytanie i pisanie sztuki w „Trylogii włoskiej” Norwida; *Nie ma miejsca na miłość w dwóch nowelach Marka Hłaski*; *O prowincji i centrum: język Dąbrowskiej i Schulza*,²³

Nie pamiętam dokładnie, co mnie skłoniło do opracowania seminarium *North America in the Mirror of Polish literature* czyli *Ameryka Północna w zwierciadle polskiej literatury*. Uważałam, że będzie to zarówno interesujące dla studentów z Polski, Polaków urodzonych i wychowanych w Stanach i dla Amerykanów różnorodnego pochodzenia. Każdy znalazł jakiś swój obraz w tym zwierciadle.

W pewnym momencie zorganizowałam sesję w Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku pod tym samym tytułem i uczestniczył w niej późniejszy ambasador Polski w Stanach – Piotr Wilczek.

Podstawę teoretyczną i filozoficzną tego seminarium stanowiły następujące teksty: Alexis de Tocqueville's *Journey to America*, Charles Dickens' *American Notes*, Tzvetan Todorov, *The Conquest of America: The Question of the „Other”*, oraz kilka innych pozycji. Czytaliśmy pamiętniki, dzienniki, opowiadania i wiersze od Kajetana Węgierskiego (w Stanach w 1783 r.) i Juliana Ursyna

Niemcewicz do Janusza Głowackiego.

W 2000 roku Wiśława Szymborska przysłała mi, wydane w Znak pamiętniki swego dziadka Antoniego Szymborskiego pod tytułem: *Burzliwe fortuny obroty: mój pamiętnik 1831-1881*, włączyłam tę pozycję do listy i posłałam poetce wyjątki ze studenckich dzienników lektury. Jeden ze słuchaczy porównał m.in. sytuację emigracyjną Antoniego Szymborskiego z sytuacją Norwida, w sensie motywacji i czasu.

Dostałam wzruszające podziękowanie od Wiśławy w liście z 4 kwietnia 2003 r:

Tymczasem przysyłaś mi nową niespodziankę – prace swoich uczniów o moim Dziadku...

Mój Boże, czy Dziadunio kiedykolwiek myślał, że będą go czytali amerykańscy studenci? W dodatku całkiem bystrzy czytelnicy? Życie doprawdy jest dziwne – ale Ty o tym dobrze wiesz.²⁴

Ciekawe jest to, że polscy studenci w dużej mierze utożsamiali się z odbiorem Ameryki przez polskich pisarzy. Tomasz Grabowski zakończył swoje uwagi bardzo ciekawą konkluzją z lektury sienkiewiczowskich Listów z Ameryki:

W odróżnieniu od wielu innych ludzi, którzy „odkrywali” Amerykę, zarówno setki lat temu jak Krzysztof Kolumb, jak i każdy imigrant, który przybywa do Ameryki dzisiaj, Sienkiewicz, jako jeden z niewielu, naprawdę odkrył Amerykę. Udało mu się to zrobić poprzez to, że przybywając do Ameryki zostawił za sobą nie tylko swój stary kraj i kontynent, ale także swoje stare stereotypy i spojrzenie na świat. Poprzez to, że otworzył się on na nowy świat, nowe doświadczenia

i nowych ludzi, Sienkiewicz mógł spojrzeć na Amerykę z wielu punktów widzenia, co pozwoliło mu zauważyć wiele pozytywnych i przydatnych rzeczy, których bez tego nie udałoby mu się zauważyć. Sienkiewicz, jak wielu innych patriotów polskich z tamtych czasów, wciąż zastanawiał się jak uczynić Polskę potężniejszą, aby mogła wyzwolić się i znowu uzyskać niepodległość. Udało mu się to znaleźć dzięki otwarciu się na nowe doświadczenia. Każdy z nas, który przybywa do Ameryki, także może znaleźć tu to, czego szukamy, ale tylko pod warunkiem, że otworzymy się na nowe doświadczenia poprzez wyrwanie się z naszych środowisk i bycie także wśród ludzi innych od nas.²⁵

Podaję w przekładzie z angielskiego spostrzeżenie innego studenta, Yoshuy G. Yorgasona:

Jednym z przykładów jak Sienkiewicz, w odróżnieniu od Kolumba, traktuje z szacunkiem ludzi o innym pochodzeniu jest jego pogląd na Żydów. (.....) On jednoznacznie dowodzi, że jak wszyscy inni ludzie, Żydzi powinni być traktowani sprawiedliwie i równoprawnie, przyznając, że nie są oni ani lepsi, ani gorsi niż przedstawiciele jakiegokolwiek innej odrębnej kultury.²⁶

Anna Czaplinski, w Stanach urodzona Polka, zatytułowała swoją pracę „Everlasting Images: Polonia in the Eyes of Sienkiewicz”²⁷ czyli „Odwieczne obrazy: Polonia w oczach Sienkiewicza”.

Z ciekawym projektem przyszedł do mnie student ekonomii Roman Śl.²⁸, który

²⁵ Tomasz Grabowski, praca pisana po polsku

²⁶ Yoshua G. Yorgason (przekład AF)

²⁷ Anna Czaplinski

²⁸ Roman Śl., (przekład AF)

²³ Nazwiska w kolejności przytaczanych tytułów:

Agnieszka Sablińska, Eva Grzesik, Ula Kudelska, Meghan Harker, Anna Olejniczak, Greta Matzner-Gore, Ross Utberg, Thomas E. Starky.

²⁴ *Kwartalnik Artystyczny*, 1/2014; 81; s.56.

użnał dziennik Juliana Ursyna Niemcewicza za bezcenny dokument ekonomiczny początkowego okresu Stanów Zjednoczonych. W pracy semestralnej przeliczył wszystkie ceny i transakcje ekonomiczne podawane przez Niemcewicza w latach 1797-1799 na ceny współczesne.

Pracę tę, napisaną po angielsku zakończył słowami: *wprawdzie aspekt ekonomiczny jest jednym z wielu aspektów poruszanych przez Niemcewicza, ma on wielkie znaczenie dla historyków ekonomii, którym często brakuje źródeł z pierwszej ręki oraz opisów specyficznej sytuacji ekonomicznej pod koniec 18 wieku.*"

Skądinąd wiemy, że na tekstach Niemcewicza opierano się w Stanach m. in. przy restaurowaniu rezydencji Waszyngtona.

Wśród osób, które chciały zaliczyć poboczną specjalność, dwie osoby zainteresowane były tematem żydowskim w polskiej literaturze.

Jedną z nich Jessica Aquilar sławistka z Meksyku, obecnie profesor literatury, zmusiła mnie do lektury „Żyda” Kraszewskiego. Wzbraniałam się nieco, ale stwierdzam, że to jedna z najlepszych książek na temat żydowsko-polski. Nie wiedziałam nigdy, że Kraszewski był takim znawcą środowiska. To co tam napisał jest uniwersalnie przystające do wszystkich czasów. Francuski przekład ukazał się w 1886, angielski w Nowym Jorku 1890, a drugi angielski w Londynie w 1893.

Kiedyś doktorant germanistyki, obecnie również profesor, poprosił mnie o komparatystyczny temat polsko-niemiecki i z kilku zaproponowanych wybrał charakterystykę porównawczą pisarstwa Egora Erwina Kisha i Ryszarda Kapuścińskiego.

Pierwsze seminarium z literatury tzw. postzależnościowej odbyło się na naszym wydziale w semestrze wiosennym 2012 roku.

Przytoczę kilka tytułów przetłumaczonych: *Silne i słabe strony inności w walce o kontrolę społeczną, co znajduje odzwierciedlenie w „Innych rozkoszach” Jerzego Pilcha; „Co za cholerny bałagan!” Funkcje cielesne i krytyka społeczna we współczesnej literaturze polskiej i rosyjskiej;*

Nostalgia pokolenia Nyet 29

Większość pozycji była już przetłoczona na angielski, ale miałam studentów z bardzo dobrą znajomością polskiego, więc jako Szczecinianka, wstawiłam na listę lektury dwie nieprzetłoczone powieści autorów szczecińskich Ingi Iwasiów i Artura Liskowackiego.

Na zakończenie tego przesuwania granic zrozumienia pozwolę sobie skoncentrować się właśnie na Szczecinie. Oto jak Katarzyna Szurant³⁰ zaczęła swoją analizę powieści „Bambino” Ingi Iwasiów:

„Bambino” napisane przez Ingę Iwasiów w 2008 roku zostało bardzo dobrze przyjęte przez większość czytelników i krytyków; powieść nominowana była także do prestiżowej polskiej nagrody literackiej Nike w 2009 roku. Książka reprezentuje polską literaturę postzależnościową i opisuje życie ludzi polskiego, niemieckiego i ukraińskiego pochodzenia, mieszkających w czasach PRL w Szczecinie od lat 50. do wczesnych lat 80. (...) przedstawia interesujący obraz codziennych problemów, z którymi ludzie musieli zmagać się w tych trudnych, komunistycznych czasach w Polsce.

29 Nazwiska w kolejności tytułów: Joanna Caytas, *The Strong and Weak Forces of Otherness in Struggles for Social Control as reflected in Jerzy Pilch, Inne rozkosze (His Current Woman)/Emily Traverse, What a Bloody Mess! Bodily Functions and Social Critique in Contemporary Polish and Russian Literature/Bartłomiej Zelajtyś, The Nostalgia of Generation Nyet/ 30 11 maja 2012. „Bambino” Inga Iwasiów*

„Bambino” proponuje również ważne podejście feministyczne w spojrzeniu na życie kobiet w czasach PRL-u w Polsce.

A oto konkluzja tej analizy:

Każdy z nas, czytelników, mógł być jedną z postaci opisanych przez Iwasiów i mogliśmy być zaangażowani w niektóre z wydarzeń, które były ich udziałem. Dlatego uważam, że ta książka jest świetną lekturą, ponieważ bada wpływ naszego dzieciństwa, historycznych czasów, w których żyjemy oraz naszych związków i działań, które odgrywają tak ogromną rolę w kształtowaniu naszych decyzji i naszego życia.

Monika Bujak³¹ wybrała „Murzynka B.” Artura Daniela Liskowackiego, w jej pracy czytamy:

Najnowsza powieść Artura Daniela Liskowackiego „Murzynek B.” jest jak długa czarna rzeka, która ma dotrzeć do świadomości czytelników. Bardzo czarny tekst na białych stronach wyraźnie przedstawia kulturowy i mentalny obraz Polaków, (...). Główny bohater jest jak czarna magia w białej rozpacz. Zwykle ma czarne myśli, ponieważ doskonale rozumie, że otaczający go świat jest przerażający i pełen białej nienawiści skierowanej na niego. Autor oczernia rodzimą polską pleśń, bliżej określaną jako Polska tylko dla Polaków. Nie bez powodu jako miejsce akcji decyduje się wybrać miejsce pełne patriotyzmu, ale także nietolerancji. „Murzynek B.” jest zatem niezwykle interesującą realizacją prozy, która zatrzymuje się w połowie drogi między roszczeniami dotyczącymi narzędzi poznawczych a wiarą w czyste pochodzenie. Głównym celem tej książki jest polskość, bo Murzynek B. nie boi się nikogo innego, tylko swoich polskich

31 13 maja 2012, Monika Bujak, „Murzynek B.” Artura Daniela Liskowackiego.

sąsiadów, przyjaciół, kolegów ze szkoły. Dlatego jest to opowieść o nas, mimo że nie jesteśmy jej częścią. Doskonale uwiadamia nasze słabości w spotkaniu z Innym i bezczynność wobec sprawców. To pokazuje nam, że mamy wielką skłonność do życia w wielkim kłamstwie na swój temat. Kraj otwarty, dobrze poinformowany i doświadczony wydaje się pozorną reprezentacją polskiej społeczności.

Monika Bujak kończy swój esej:

To my naprawdę opowiadamy tę historię w tej trudnej, bolesnej i gorzkiej powieści. To jest nasza narracja, zależna od naszej pamięci, naszych przekonań, doświadczeń, wrażliwości i empatii. (...) Liskowacki zdaje się mówić: nie bądź śmieszny, zobacz, jak wszyscy okłamują siebie. Mówi to, pisząc powieść o niewygodnym problemie, że wspólną świadomością językową, pełną gorzkiego humoru i ostrych oskarżeń. Pod czarnym kolorem skóry B. Liskowacki ukrywa inne odmienne cechy, które są piętnowane w Polsce. Chce uleczyć Polaków z ksenofobii i potępionego rasizmu. Próbuje nam pokazać, że każdy z nas w dowolnym miejscu i czasie może stać się kosmitą i być narażony na podobne represje.

Niektóre z tych impresji to spostrzeżenia, ale kilka z nich to odkrycia, których podstawą była analiza strukturalna dzieła. To otwiera nam nową perspektywę na utwór, który wydawał nam się całkowicie przetrawiony.

Znajdujemy nagle w biurku Telimeny ważne elementy kultury polskiej emigracji w Petersburgu, Schulz przekonuje nas, że antropozofia dotarła do Drohobycza, dowiadujemy się o medycynie i feminizmie w powieściach 20 wieku.

ANNA FRAJLICH



Ciepły powiew – i oto korona orzecha śpiewa. Tonację podpowiada chór liści, wiatr taktuje, swingują słoneczne iskry, a kiedy zielony wielogłos na chwilę cichnie, z solówką wyrwa się synogarlica. Gdyby tak jeszcze – marzy Olo – dojrzały orzech pacnął w łeb ciotkę Irkę, chwila byłaby niezapomniana.

Podobno ogrody otulały Rzeszów już za Kazimierza Wielkiego. Wszystko możliwe. Za płótem rozciąga się następny ogród, dalej

orzechu, nad tą czeredą? Niedobrze mu od tej sielanki. Nie wytrzyma.

Kiedyś z zapartym tchem chłonał biesiadne wywody, od Churchilla po śpiewaczki rzekomo pozbawione głosu i słuchu. A jeszcze jest Irunia, która wciąż zadaje się na co dzień z tamtym światem. No i Czerwona Wala, co z tego, że niegłupia, skoro męcząca. Czasem odezwie się dziadek, on akurat do rzeczy. Ale dzisiaj nie działa czar popołudniowych opowieści. Olo wyobraża sobie, że z wysokości orzecha, uwieszony jak pawian na jednej ręce, kaleczy biesiadników krzykiem ostrym jak szkło.

– Ile tak można?

Między gałęziami pomyka wiewiórka, a nad obrusem nieśpiesznie krąży wonie, kawa, tytoń, mięta z ogrodu; w salaterce wdzięczy się jeszcze porzeczkowa galaretką, z patery kusi kolejny piszinger, stry-

licka zostanie. Ta wymodlona na książce, gdyby ktoś pytał.

Irunia właśnie zawiesza głos, tymczasem w biegle odmierzoną pauzę wdzierają się smarkule, Agnieszka i Dorotka, córki stryja Tomka. Wypadły z domu krzycząc radośnie, a na początek starsza Agnieszka oznajmia, że strachy są głupie, ona brzęgić się nie boi; siostry chcą się pobawić za szopą, nie nad Wiśłokiem. Dziadek przyzwala kiwnięciem głowy, skrzaty w wykruchmalonych sukieneczkach nikną w półmroku.

Wschodzi księżyc.

Cichną liście, dziadkowego krzesa strzeże Azor. Kiedy tak siedzi, istic posagowy, bardziej czyni dziadka władcą stołu niż babka, synowie z synowymi i cokolwiek pofyrane córki. Azor przypomina marmurowe charty przy koronowanych sarkofagach; tutaj przez mgnienie oka pies mianuje dziadka monarchą. A dziadek?

ORZECH

(FRAGMENT POWIEŚCI TAM)

jeszcze jeden, i jeszcze. A druga strona ulicy? No właśnie! Tamte ogrody uchodzą za chlubę miasta.

Jak wszystko, co po tamtej stronie – gotów warknąć Olo.

Jeśli dopisze pogoda, a w sierpniu zawodzi rzadko, pod orzechem sadowią się biesiadnicy, rodzina, bywa że kilkanaście dusz. Jedzą, rozmawiają, piją, znów jedzą; niedzielny obiad niepostrzeżenie przechodzi w podwieczorek, ba, w kolację. A kiedy ma się ku zmierzchowi, dziadek już nie protestuje, że reszka kurczaka brata się na stole z nadgryzionym piszingerem, a cytrynówkę domowej roboty ktoś zagryza wystygłym skwarkiem. Do tego wszystkiego – wyłączając wódeczkę – chce się dobrać pies Azor, zwierzę bezczelne, z grubsza rzecz biorąc ogar.

Orzech nad głowami, a pod orzechem stryj Tomek cytuję złote myśli Churchilla. W Rzeszowie, nieopodal Wiśłoka, biegle rozprawia o angielskich wełnach, londyńskiej mgie, wywodzi jak na Wyspie xeres przemienił się w sherry. Wiadomo, stryj Tomek upodobał sobie Anglików. Rozgryzł sekrety Soho, a jeśli siada do brydża, to najchętniej z partnerem, który rozumie od zwykłą cue bid.

Z kolei ciotka Wanda ciska gromy na poczynania amatorskiego studia operowego, nowości w dziejach miasta. Nie opuści żadnego przedstawienia, dzięki czemu rodzina już wie, że tutaj żadna, ale to żadna śpiewaczka nie nadaje się na Halkę. Na Hannę w *Straszny dwór* też nie. Nawet na Basię z *Straszny dwór* i *Górali*. Ciotka teraz żałuje wypowiedzianego przez nieuwagę słowa „śpiewaczka”, ale co już powiedziała, to powiedziała; trzeba uważać. Bo ten ostatni recital, szczególnie *Prząśniczka*, to dno.

Olo opuścił głowę, patrzy pod obrus, na czubki własnych trampek. Gdyby tak wskoczyć na krzesło, myśli, z krzesła na stół, potem jeszcze się odbić i uwiesić na

jowie dolewają sobie jarzębiaku, paniom cytrynówki. Nawet babka, która na synowe tylko syczy, bo niczego psie krwie nie zrobią jak należy, teraz nęka je z mniejszym zapałem, ba, mięknie:

– Siednij se, Kinga.

Stryj Tomek wypatrzył solidnie przypieczony kawałek kurczaka, więc je, dzięki czemu wściubia się wreszcie Irunia. Tylko czekała. Cienie dłuższe, słońce już ledwie-ledwie, chór liści omdlewa; a światło postawiony półszept Iruni sięga krańca ogrodu, gdzie po kątach tkwią – kto wie – mamuny? Wiły? Brzeginie? Dla porządku wypada dodać, że przecież Irunia się nie wściubia. Żadną miarą! Nie rozdzubuje, nie roztrząsa. Irunia wtajemnicza.

Rozstaje i strzygi to jeszcze nic. O południcach i wapiarach strach myśleć, pewnie, ale i tego człowiek chce się dowiedzieć, prawda czy bajki. Zgoda, Irunia wtajemnicza, kiedy jednak idzie dalej, kiedy tyka tych nieobecnych, nieproszonych, ale swoich, to już co innego, zwłszcza dla babki. Brzeginie to brzeginie. Może są. Może nie są. Niech tam. Ale wuj Lechu? Szwagierka Renia? Siadywali pod tym samym orzechem. Babka ich jeszcze pamięta. Irunia w najlepsze opowiada, że zmarli potrafią cichcem przysiąść się do stołu, skubną z talerza, czegoś powąchać, burknąć pół słowa, niby nie wiadomo, ale nigdy do końca. Niech sobie skubną, babka nie będzie im żałować, swoi to swoi, co innego złości babkę. Ludzie, strzygi, brzeginie, dla Iruni to bez różnicy. A co ona tam wie, ta Irunia? Wuj Lechu sam się powiesił, dawno temu, szwagierka Renia skończyła w Wiśłoku, tylko, niby jak, że babka ma coś do tego? Aż trzeba było dać ludziom w kufę, żeby przycichli, przecież tej Reni brakowało piątej kleпки. O wuju też szkoda gadać. Skubią? Niech sobie skubią. Potem się jedno z drugim przepoczwarzy, że niby przywidzenie, opar jarzębiaku, wspominek. Tylko wiara kato-

Cóż, przed wojną wierny czytelnik „Robotnika” i paru galicyjskich powieściopisarzy puszcza mimo uszu wywody Iruni, która odzyskała już werwę po wybryku smarkul. Gdyby dziadka pytano, o co jej chodzi, pewnie by pytanie przemilczał. No bo jak? Irunia sobie roi, że odstawia ukryty wymiar, jakieś zaświaty zaświat, że wtajemnicza w wiarę głębszej próby, tymczasem dziadka bawi, że w Iruninych wywodach Trójca Święta – na przykład ta złocista, rzeźbiona w wiśniowym drewnie, na szczycie głównego ołtarza miejskiej fary – kuma się z widłami szatana, diablím smrodem, beztrosko lezie w opar siarki, i to chytliem, za plecami rozśpiewanych serafinów i – co gorsza – za plecami zwykłych pocziwych świętych, nie rzadko żywcem gotowanych w oleju.

Olo – który zdążył tymczasem przekonać samego siebie, że już tu nie wytrzyma – czuje nagle delikatne dotknięcie. Miękkie, jedwabiste, zmysłowe. W tydkę. Udaże, że niby nic, ani drgnie, ale zeżuje ku dołowi. Co u licha? Irunia dalej nawija, że kłobuki, brzeginie... Olo już zaplanował jak stąd zaraz pryśnie, zagląda jednak pod obrus. A tam ślepia, wdzik i zadarty ogon. Z domu wykradł się kocur Biś. Mruczy.

Dotyk kociej sierści rozbraja chłopca, Olo głaszcze zwierzaka, drapie rozczapierzonymi palcami, przez chwilę kocur poddaje się pieczętom, potem smyrga głębiej, odstawia prowokacyjny slalom między nogami krzesel, przeskakuje stopy biesiadników i przepada, by szukać przegód w krzakach. To nie Azor, który obzał się, spęczniał od godności, usiadł przy dziadku i udaje majordoma.

Znowu ogarnia Ola gniew. Skoro ciotka Wanda tak się zna, to niech sama powącha sceny. Nie sztuka śpiewać w łazience. Niech się Wanda na tę scenę najpierw wepchnie. Takie to proste? Niech nabierze powietrza w płuca i spróbuje wziąć za pysk publikę, niech zaczaruje tę matpią horde.

→ Nic trudnego? A skoro Tomek tak kocha Anglię, niech zaryzykuje, niech spróbuje kariery w City. Gdyby tam uciekł tuż po wojnie, a można było, to Olo miałby dziś stryja zagranicą. W Anglii. O Iruni szkoda gadać. Katastrofa.

PRZONA Dziadek patrzy w górę, nie na młody księżyc przed sierpniową pełnią, nie na otchłanie międzygwiezdne; emerytowany kolejarz, który jeszcze pamięta austriackie parowozy, wypatruje wehikułu pętającego się po niebie, podobno widocznego przy dobrej pogodzie pod zachód słońca. Sputnik? Vanguard? Za daleko, żeby odróżnić, ale pewnie ten drugi, Vanguard, bo Sputnik z psem Łajką podobno się spalił.

Na twarzy dziadka wschodzi uśmiech, dziadek głaszcze Azora, potem na głos śmieje się z samego siebie, bo to wszystko wprost nie do wiary, tymczasem z głębi ogrodu dobiega nagle wrzask podlany paniką, z kąta, gdzie zaszyły się dziewczynki. Ciotka Wanda podskakuje, nieomal spada z krzesła, stryj Tomek macha ręką i doradza spokój, bo – przypomina – dziewczynki poszły bawić się w sklep, więc teraz, kiedy się ściemnia, pewnie bawią się w napad na kasę. Irunia sztyletuje Tomka wzrokiem, syczy „to ma być ojciec?” a potem wali pięścią w stół tak zmyślnie, że przewraca karafkę; strumyk cytrynowki nieuchronnie ścieka na

Tomkowe spodnie, skazując angielską wętnę na męki w lokalnej pralni chemicznej. A krzyk dziewczynek wzmacnia się, wpierw forte, potem fortissimo, w półmroku trzaskają gałęzie, jedna, druga, na całe gardło ujada Azor, obraca się dziadek – i oto zza krzaków wypadają dziewczynki: Agnieszka z kijem w ręce, Dorotka uzbrojona w tenisówkę. Na stole zaś na ugiętych łapach ląduje kocur Biś.

Między kieliskami i resztkami deseru na spodkach wydaje się dwa razy większy. Zjeżony, z czarnym ogonem, jest jak chmura zwiastującą orkan. Z kociej krtani dobiega złowrogi ni pomruk, ni zaśpiew. Przerażona ciotka Wanda podnosi dłoń do ust. W pysku Biś trzyma miotającą się wiewiórkę. Zastygł w półprzysiadzie i najwyraźniej czeka na brawa. Wstuchuje się w jakże słodką sekundę ostupienia, w ogólny bezdech. Nawet walczący gryzoń na chwilę zamiera. Teraz Biś jest panem sceny.

Lecz kocia rozkosz nie trwa długo. Agnieszka dźga Bisia kijem, Dorotka zamiera się tenisówką. Ciotka Wanda piszczy, Azor niestrudzenie ujada, babka złorzeczy, że Biś, ten miglanc, myszy tępi niedbale, ale poleci za byle rudą kitą. Stryj Tomek, swego czasu major, barytonem podobnym do stukania młotka wydaje kotu rozkaz, bo kot to tylko zakichana cywilbanda i ma słu-

chać, Irunia zaś, wcale nie pótszeptem śle zaklęcie do zaświatów: niechże to wszystko diabeł porwie!

Zdumiony takim obrotem rzeczy Biś puszcza wiewiórkę, ta natychmiast skacze ze stołu na orzech. Gorzko rozczarowany kot przygląda się jazgocącym ludziom. Wycofuje się i znika pod stołem. W zamieszaniu nikt nie dostrzega, że i Olo gdzieś przepadł, jak upiór z opowieści Iruni.

Pecha, jak zwykle, ma Wala, ciotka cioteczna, krawcowa i bezbożnica, której w głowie tylko jedno: wyzwolenie kobiet; obok stosu wykrojów uskładała drugi: wycinanki gazetowych rycin i zdjęć, od cesarzowej Sissi przebijanej pilnikiem, od sufrażystek trawianych przez konie, po świeże podobizny dźwigowych i pilotek, a także po portrety – Florence Nightingale w pielęgniarskim czepku oraz Ludmiły Pawliczenko z karabinem snajperskim. Niestety, córki dziadka – z pomocą wnuczek, kota i wiewiórki – skradły Wali publiczność. Nie będzie uświadamiać pustych krzeseł. Za stołem drzemie babka i kiwa się podpiły Wojtek, do którego jeszcze wrócimy.

Przedwcześnie dojrzały orzech spada z gałęzi i toczy się po stole. Na obrusie krzepnie kropła krwi.

WOJŚLAW BRYDAK



fot. Wojsław Brydak

Dorota Czerwińska

aura

przed burzą po burzy czy w trakcie
ważne żeby nie być najwyższym punktem
więc leżę twarzą w gęstości
z czarną ruchomą plamą która
zderzyła się z czołem

mętnieje
nędznieje i kłębi się

niedowierzanie

Kadr

zapach placków kartoflanych połączony z sokiem
wiśniowym
sok mdli staje w gardle

wnuki są pyszne

wnuki są harde intensywnie tupią
brakuje im smartfonu i głośnej muzyki

stop

klatka

mru

umościło się na moich kolanach
leży i mruczy
mruczy intensywnie bołą
bołą kości drętwieją ramiona

niech pozwoli zamrugać
miauknąć prychnąć wstać

przyziemnie

małe jest blisko ziemi
małe się nie uniesie
(chyba że w dłoniach ojca)

całkiem dobrze pozuje
może chce zostać pomnikiem

nie

małe chyba nie wie
ale wygląda na to
że nie jest mu za dobrze
w kruchości

głód

wiosną Joanna nabiera rozpędu
wkręca ją warkocz aut i pędzi na rowerze
w kolorach rozkwitniętego głogu
prosto do Muranowa

wsluchana w woń lilaków kwitnące kasztany
zatrzymuje się tu i teraz

z prośbą o nigdy

Dorota Czerwińska – urodzona 24 października 1968 roku, terapeutka pedagogiczna, trenerka umiejętności społecznych z Warszawy.

Wiersze publikowała między innymi w „Helikopterze”, „Afronie”, „eleWatorze”, „e-eleWatorze”, „Migotaniach”, „Post Scriptum”, „Akancie”, „Przekroju”, magazynie „Suburbia”, „Wydawnictwie J”.

Autorka objętego patronatem Polskiego Stowarzyszenia Haiku tomiku wierszy haiku „nieboziemia” (Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2024) oraz tomików poezji „Ba!Lans!” (Fundacja Duży Format, Warszawa 2024) i „Naloty” (Fundacja Duży Format, 2025). Jej haiku ukazały się też w Almanachu nr 5 Polskiego Stowarzyszenia Haiku „Ptaki Wędrowne” oraz w japońskim piśmie KUZU. Wyróżniona VIII edycji ogólnopolskiego konkursu PSH „Wiśnie i Wierzyby”.

Pomysłodawczyni i realizatorka projektów pracy z dziećmi propagującymi poezję, między innymi „Jesień w haiku”.

Christian Medard
Manteuffel

REFUGIUM

NIEBA I ZIEMI

(impresje, uniesienia i geneza)

willkommen im Senckenberg!

...wszystko wydaje się być jak zawsze, ale nie jest już tak samo;
przemiany zachodzą z szybkością jednostajnie przyspieszoną

(przyspieszenie jakie osiąga ciało jest wprost proporcjonalne
do siły wypadkowej i odwrotnie proporcjonalne do masy ciała)

wody topniejących lodowców nie gaszą złąknionym pragnienia,
do sytych brzegów dopływają tratwy pełne wysuszonych mumii

w ociepleniu klimatu mógłbym widzieć nadejście raju na ziemię,
lecz w odkrytych skałach odciskają się ślady zniszczonego Edenu

w skamielinach otwierają się szkielety wielkich ptaków, lecz Boga
ani aniołów nie można się dopatrzeć w wymarłych formach życia

ten świat w łańcuchu narodzin, śmierci i ponownych narodzin,
uwolniony z namiętności w bezcelowym paśmie ziemskich cierpień

tutaj Schopenhauer mógłby dopatrzeć się odejścia w nirwanę,
w niepojętą ludzkim rozumem ucieczkę ze splotów sansary

lecz media wskazują mnie jako winnego niepojętej zagłady
i zaczynam wierzyć, że jestem nieodrodnym stworem kogoś

kto zniszczył własne dzieło...

FRANKFURT N. M., 2008

góra rodzi rzekę

...nakazał górze, by wydała rzekę
i było oniemienie i wiara

wtedy stał się ranek i w brzasku nieba góra rodzi rzekę;
jest bezimienna jak świat do którego bieży
i jak losy ziemi, którym będzie świadczyć

rzeka nazywa napotkaną skałę skałą,
poznaje radość, jaką daje spływ kaskadami i wolność

gdy wypływa w dolinę, nazywa ją doliną

dostrzega czas i jego przemijanie, które nazwie życiem

o zmierzchu słońce wchodzi do rzeki,
jak purpurowy sen, a nad brzeg nadchodzi wiatr
kojący znój dnia; to tylko pierwsze doznania,
nic więcej

czas gasi niebo; szum rzeki staje się senny
i będzie tak do zarania, gdy rzeka odnajdzie pierwszy kształt
złamanej gałęzi niesionej nurtem,
czerwień przelanej krwi pierwszego człowieka
i słoność łez pierwszej człowieczej matki...

LIPIEC, 2007

wiatr zawraca

...wiatr znów zawraca; stoją jeszcze drzewce dawnych chorągwi,
a wiatr strzepuje z nich nierozpoznawalne barwy i wyblakłe hasła

wiatr niesie wieści o dinozaurach wychodzących ze skamielin

pierwszy człowiek szuka samicy; własne żebro oblepia gliną,
pożądanie wodzi jego dłonie w kształty, które wygładza językiem

wiatr pędzi chmury; bezwolne trą się skrapiając ziemię;
po zboczach niesie się krzyk orgazmu i glina staje się brzemienna

samiec krwawi ciągle z rozdartego boku i czerwienieje oko wulkanu,
czerwienieje brzeg i odpływająca fala,
płonący las
i usta kobiety...

SZWARCWALD, KLINIKA KARDIOLOGICZNA - 2007

genésthai

„gwiazdy krążyły i było jak być powinno“
Zbigniew Herbert: „Modlitwa Pana Cogito – podróżnika”

...na początku była muzyka; była sama
- i unosiła się nad ogrodami Niniwy, jak On chciał

i nie było w niej rzeczy zakazanych,
bo była tam wolność nikomu nie pisana,
nikomu nie dana, i nie odebrana
- sama była muzyką

nie było dobra, bo zła nie było w ogrodach,
któremu miałoby się ono sprzeciwić;
nie było pojęcia wiary, bo nie było tego,
kto mógłby zdradzić

miłością była muzyka, bo nie kalala Boga,
a Bóg wyjął słowo z muzyki i stworzył dlań
człowieka na podobieństwo swoje, aby
śpiewem Go chwalił

człowiek upodobał sobie słowo
i posiał nim niewiarę

a wtedy poeta prosił Boga,
i Bóg stworzył Jeana Michaela Jarre'a,
aby spełniła się modlitwa jego i:
„gwiazdy krążyły i było jak być powinno“...

PO KONCERCIE JEAN-MICHAEL`A JARRE, NOC 26 SIERPNIA 2005 W GDAŃSKU,
25 LAT PO „SOLIDARNOŚCI

1

Przez kilkanaście lat zmagam się z poezjami Andrzeja Krzysztofa Waśkiewicza. Ania Sobecka, jego żona, poprosiła mnie, abym opracował całość. Podjąłem to staranie. Nie ukazały się wszakże poezje zebrane Andrzeja na dziesięciolecie jego śmierci (choć taka była nasza intencja), ani w kolejnych latach. Nie było to skutkiem mojego lenistwa, ile wynikiem jakiejś przytłaczającej niepewności, czy uda się odczytać zamysł twórczy poety. Tak bardzo był meandryczny w komponowaniu swoich tomów, tak nieoczekiwanie zmieniał swoją propozycję lekturową, że trzeba było się stale zatrzymywać nad tą (ustawicznie nową) całością, aby pomyśleć, wymyślić, przemyśleć — Całość.

2

Całość — to była idee fixe Andrzeja. Mierzył się z nią od początku. Kiedy od najmłodszych lat jest się fotografem ruin, to chce się odnaleźć w świecie, który będzie miał swój kształt, kolor, zapach i gwar. Andrzej, jak Miron Białoszewski, tęsknił za tym warszawskim światem, o którym pewnie słyszał od matki, a który opuszczał — jak wielu Warszawian — w traumie łęku.

3

Rzucony na drugi, nieznaną sobie i jego bliskim, najzupełniej obcy kraniec „nowej Polski”, nie pogodził się z odrzuceniem „starej Polski”, czyli Warszawy. Warszawa powracać będzie do niego w snach, będzie go prześladować w natłoku ruin. I pewnie nikt nie przeczuwał, że program formuły Andrzej będzie próbą wydobycia się ze stale napierającej, rosnącej, nie do opanowania, ogromniejącej rzeczywistości rozspanego świata. Pisał krytyk (a nie poeta, choć czytamy w tych słowach intencję poety): „Formulizm realizuje w poezji integrację. Jest całościowym i całościującym widzeniem świata. Odbudowuje wiarę w wartości zasadnicze. Jest skierowany przeciw dezintegracji i chaosowi. Jest poetyką synkretyczną. A więc także poezją scalającą. W miejsce destrukcji i rozpacz wprowadza ideę integrującą. Jest próbą ocalenia całości i całościowości świata” (w: *Modele i formuła. Szkice o młodej poezji lat sześćdziesiątych*, Wrocław 1978, s. 73).

4

Formulizm „jest skierowany przeciw dezintegracji i chaosowi”. Wyróżniłem to zdanie, aby zwrócić uwagę na to, co było ustawiczną, wciąż ponawianą, z lepszym lub gorszym skutkiem stale podnoszoną, ideą Andrzeja. To nie była tylko jego idea, to była idea ocalonej generacji, w której imieniu Andrzej zechciał podnieść głos. Głos — upomnienie. Głos — rozpacz.

5

Zazwyczaj pogodny, wycofany, mądrze słuchający innych, lecz wiedzący swoje, z tym swoim przedłużonym „iiii”, kiedy — nie wiadomo — czy zgadzał się, czy nie zgadzał z rozmówcą, Andrzej był skierowany na łączenie tego, co rozdzielone. Widzę to dzisiaj wyraźniej przez skoncentrowanie uwagi na poetyckiej genologii Andrzeja. To, co kiedyś wydawać się mogło jakąś manierą, a może nie tyle manierą, ile kaprysem, grą, formalną fantazją poety, dzisiaj odzyskuje swoją wagę, wartość, znaczenie. I — nowoczesność. Andrzej jako poeta fragmentu — ktoś z nas to wtedy rozumiał? — okazuje się tłumaczem naszej nowoczesności. Jednym z najważniejszych analityków fragmentu, fragmentu biografii.

6

Fragment, notatka, nota, sekwencja... Gdyby nie późny Różewicz, pewnie nie zwrócilibyśmy uwagi na tę szczątkową formę literacką. Poeta wybitny, głośny, o rozpoznawalnym nazwisku czasami otwiera drzwi poecie, który jest schowany w kącie, jest milczący, nierozpoznany. Różewicz w tomie *Zawsze fragment* uczulił nas na to, o czym wiedzieliśmy, lecz może w swojej kurzej ślepocie zanadto zlekceważyliśmy. Fragment jako forma ocalenia, forma zniszczenia, rzecz wyrzucona na śmietnik, lecz godna z tego śmietnika podniesienia. Boże polonistów! Przecież wiemy o tym nie od dzisiaj, choćby od romantyków niemieckich, nie potrzeba tu było pośrednictwa Różewicza. Ale w naszych czasach wszystko się wielokrotnie anihilowało. Więc i takie zdanie — jak Ciorana — brzmi teraz zdumiewająco ostro: „Dzieła umierają; fragmenty nie żyły, tym bardziej nie mogą więc umrzeć”. Bo — dopowiedzmy naiwnie — twórca jest zawsze pofragmentowany; kiedy umiera całość, nie umiera tylko jego cząstka.

7

Ale ta cząstka okazuje się najważniejsza. Już nie pamiętam, ale chyba Mieczysław Jastrun pisał w jednym ze swoich wierszy, że wszystko jest ważne, więc i skrzydełko ważki, i że trzeba (musisz) zanotować szczegół. Szczegół, fragment, odprysk, sekwencję czegoś, coś, dla czego nie mamy dobrej nazwy, ponieważ jest skazane na niebyt, nieistnienie, odrzucenie, zlekceważenie, zagładę.

8

Andrzej wielokrotnie powracał swoimi sekwencjami do tej samej całości. Dopełniał ją, ale też wyodrębniał sekwencję jako całość, czyli fragmentaryzował to, co było już całością. To była jakaś neurotyczna praca nad tekstem. Z jednej strony Andrzej zachowywał każdy zapisany fragment, opatry-

wał go datą, uznawał, że jest to zamknięta całość. Z drugiej strony włączał uprzedni fragment w już istniejącą całość, rozrywał wcześniej podjęty zamysł, dopowiadał go, umykał przed jego dookreśleniem. Ta „faniaberia” poetycka dla edytora jest przekleństwem. Co jest ostateczną redakcją, skoro tych redakcji / redukcji jest wiele? Co jest częścią, a co całością?

9

Edytor ze starej szkoły rwałby włosy, siwiął w ciągu geometrycznym, ścierał zęby w bezustannym zgrzycie. Wielość wariantów zawsze poszerza komentarz krytyczny, do którego sięga się rzadko. Jeżeli znajdzie się genialny i nieustępliwy edytor, odkrywca sensów niejawnych, wówczas komentarz krytyczny okazuje się nieoceniony w odkrywaniu wielości wariantów tekstu. Nie mnoży jednak kauzyperdalnej rzeczywistości. Dopisywanie, odpisywanie, przepisywanie fragmentów było w praktyce poetyckiej Andrzeja czynnością procesualną. Tak, jak nasze życie nie domyka żadnego z fragmentów, tak samo nie otwiera innego. W stałym przepracowywaniu całości, której przecież nie rozumiemy i nie poznajemy, urywek, odprysk i fragment stają się w pewnym sensie engramem, czymś, co powraca, jest natręctwem, psychologicznym rozdygotaniem, nawet nie wiem jak nazwać ten stan, który odczuwamy jako coś, co nas niepokoi, przeraża, w każdym razie — burzy spokój.

10

Poeta fragmentu. To brzmi może lepiej, może trafniej niż — używane przez nas wcześniej i w nadmiarze — określenie „poeta ruin”. „Kategorie «fragmentu» i «całości» — pisał w odniesieniu do poezji Tadeusza Różewicza Tomasz Kunz — znajdując [...] uzasadnienie jedynie pod warunkiem zastąpienia przedmiotowej koncepcji dzieła literackiego jego rozumieniem procesualnym, jako struktury dynamicznej i niestabilnej, co pociąga za sobą konieczność ujmowania owych kategorii nie jako cech dających się obiektywnie wyprowadzić z jego wewnętrznej, substancjalnej organizacji, ale raczej jako swoistych projektów czy dyspozycji, nierozzerwalnie związanych z problemem stosunku autora do własnego tekstu oraz preferowanymi sposobami jego czytelniczego odbioru” (*Strategie negatywne w poezji Tadeusza Różewicza. Od poetyki tekstu do poetyki lektury*, Universitas, Kraków 2005, s. 193).

11

Procesualność nie jest kategorią poetyki, jest kategorią poetyckiej świadomości. Wszystko to, co rozpada się w naszym umyśle, dzieli na drobiny, odnajduje w jakichś strzępach zapisanych, w jakichś słowach

przypadkowo zanotowanych – więc właśnie: wszystko to nieskładne, byle jakie, pofragmentowane, rozrzucone, nawet nieczytelne odnajduje się w procesie, którego jesteśmy bezustannymi świadkami. Składamy te zerwane paciorki z wielkiego różańca, jak u Achmatowej, staramy się z nich odtworzyć Całość.

12

Przepisuję fragment ze wstępu do Poezji zebranych: „Dla Andrzeja K. Waśkiewicza poezja była konstruowaniem – dostępnego naszemu doświadczeniu – obrazu świata i rekonstruowaniem pamięci (biografii, przeżycia) jednostki w akcie mowy. Wprowadźcie każda poezja wypowiada swoje doświadczenie w formach języka, lecz nie każda

czyni z nich «instrument» szczególnego uprzywilejowania. Waśkiewicz, wybitny interpretator awangardowego dziedzictwa futurystów i «zwrótniczyn», doskonale wiedział, że wierszem nie rządzi momentalna, nagła i bezosobowa siła natchnienia, lecz siła wyobraźni i rozumu. I jakkolwiek poeta może, a nawet powinien, ulegać czarowi «marzenia», to jednak jego podstawową powinnością w trakcie tworzenia jest dyscyplinowanie języka, «rygor».

13

Mam nadzieję, że edycja dwutomowa Poezji zebranych AKW* przywróci go czytelnikowi. Nie rozumiem, dlaczego nie chciał wydawać swoich wierszy w renomowanych oficynach. Wydawał je – ponieważ – pokątnie. Może jak awangardziści, którzy

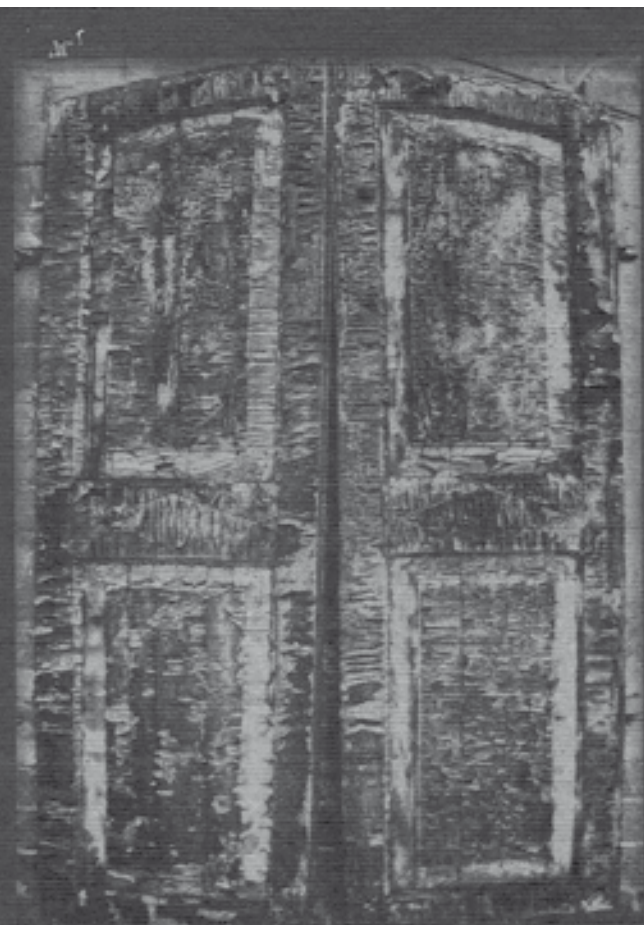
także nie wchodzili do uznanych domów wydawniczych? Teraz tą edycją się ukłasychnia. Znów – niby na uboczu, ale jednak w centrum.

14

Andrzeju, dobrze, że wracasz do nas Całością swojej poezji. Przeciw dezintegracji i chaosowi, Poezją integrującą i integralną.

MARIAN KISIEL

*Andrzej K. Waśkiewicz, Poezje zebrane 1 i 2, Opracowanie Marian Kisiel, wyd. Fundacja Światło Literatury, Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Gdańsku, 2025r



Andrzej K. Waśkiewicz

POEZJE ZEBRANE 1



Andrzej K. Waśkiewicz

POEZJE ZEBRANE 2

To wielka radość dla wydawcy, gdy może opublikować tak znaczącego dla kultury polskiej autora, jakim jest Andrzej Krzysztof Waśkiewicz. Krytyk i ideolog pokolenia „Orientacji” jako poeta wyrazisty i odrębny zrodził się w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX wieku, gdy już mieszkali w Gdańsku. Wiersze uwolnione od pęt formalnych linij oryginalnością intelektualną i poetycką. Te mądre, powściągliwe i nieco minimalistyczne wiersze najbardziej oddają prawdę o osobowości Waśkiewicza. Są mądre. I do mądrych ludzi są kierowane.

Zbigniew Joachimiak
Fundacja Światło Literatury

Dla Andrzeja K. Waśkiewicza poezja była konstruowaniem – dostępnego naszemu doświadczeniu – obrazu świata i rekonstruowaniem pamięci (biografii, przeżycia) jednostki w akcie mowy. Wprowadźcie każda poezja wypowiada swoje doświadczenie w formach języka, lecz nie każda czyni z nich „instrument” szczególnego uprzywilejowania. Waśkiewicz, wybitny interpretator awangardowego dziedzictwa futurystów i „zwrótniczyn”, doskonale wiedział, że wierszem nie rządzi momentalna, nagła i bezosobowa siła natchnienia, lecz siła wyobraźni i rozumu. I jakkolwiek poeta może, a nawet powinien, ulegać czarowi „marzenia”, to jednak jego podstawową powinnością w trakcie tworzenia jest dyscyplinowanie języka, „rygor”.

Kenneth White

Przekład z j. angielskiego: Kazimierz Brakoniecki

OKRZYKI NURA NA RZECIE KENNEBEC

(FRAGMENTY)

W wrześniu – w towarzystwie trzech francuskich Kanadyjczyków z Québecu (Québécois, Quebecers): Gabriela Bellechasse'a, Sylvaina Jolicoeura, Arsène'a Tremblay'a – opuściłem miasto Montreal, żeby udać się do lasów i nad atlantyckie wybrzeże w amerykańskim stanie Maine.

Był piękny, jasnoniebieski poranek, kiedy skierowaliśmy się przez Champlain Bridge w kierunku Route 147, którą – stale jadąc na południe – mijaliśmy takie quebeckie miejscowości, jak Scotstown, Stornoway. Ustaliliśmy demokratycznie, że zatrzymamy się przy jakimś supermarkecie, żeby zrobić zakupy, ponieważ nie byliśmy pewni, czy w tym konkretnym miejscu w lesie, w którym zaplanowaliśmy postój, znajdziemy coś do jedzenia. Moi towarzysze kupili nieprawdopodobną ilość różnorodnego żarcia, w tym wielgachną torbę ziemniaczanych chipsów. Cokolwiek nam się wydarzy w Maine, to na pewno nie umrzemy z głodu.

I tak dotarliśmy blisko Coburn Gap. Księżyc w kwadrze przesłakiwał przez chmury jak duch w szamańskim tańcu indiańskim. Różowa Mount Magantic pojawiła się na horyzoncie. Gabriel zauważył: „Ce sont les endroits perdus du Québec” (To odległe okolice Quebecu). W Notre-Dame-des-Bois podświetlony krzyż na pagórku informował, że mijamy ostatnią francuskojęzyczną miejscowość. Za nią rozciągały się pogańskie anglosaksońskie ciemności.

Na granicy tablica ostrzegła nas, że wszystkie samochody muszą zatrzymać się do kontroli – silniki trzeba wygasić, pasażerowie mają pozostać w środku i czekać na funkcjonariusza. Wszystko to skrupulatnie wykonaliśmy. Arsène beztrudno podśpiewał przy tym jakiś szlagier.

- Gdzie mieszkacie?
- W Montrealu.
- Obywatele Kanady?
- Tak.
- Dokąd jedziecie?
- Do Maine.
- W jakim celu?
- Turystycznym.
- Jak długo będziecie w USA?
- Kilka dni.
- Macie coś do oclenia?
- Nic.
- OK, możecie jechać.

Arsène westchnął z ulgą: „Batêche, je me sens rudement soulagé” (Stary, ale mi odpuściło).

Pojechaliśmy lasami, mijając Carabasset, Kingfield, New Portland, North Anson, a następnie w kierunku rzeki Kennebec przez Solon, Bingham, Moscow, Caratunk do Forks, gdzie do rzeki Kennebec wpływa Dead.

*

Po zameldowaniu w Northern Outdoors Centre (wielkie głowy łosia spoglądające smętnie w recepcji), udaliśmy się do chaty, w której oczekiwał nas Rick Rodrick.

Rick Rodrick był Amerykaninem, który myślał, że pochodzi ze Szkocji, ale ostatnio

odkrył, że jego korzenie prawdopodobnie znajdują się w kraju Basków. To stworzyło problem podwójnej tożsamości, co zainspirowało go do zdwojenia pracy nad jej poznaniem. Zajmował się poza tym naukowym projektem w dziedzinie etnologii na Uniwersytecie Quebecu, szczególnie interesując się historią dawnych dróg prowadzących z Quebecu do stanu Maine przez Kennebec i Chaudière.

Po śniadaniu przeprawiliśmy się przez Kennebec na pontonach, aby spędzić dzień na poszukiwaniu śladów po mieszkających na kanadyjskim szlaku. Rick wziął ze sobą broń swojego dziadka na wypadek, gdyby jakiś ktoś zdecydował się na atak w naszą stronę. To się mu kiedyś przydarzyło na Alasce. Wielki ktoś ruszył na niego z odległości dwudziestu kroków. Pomyślał, że warto użyć swojego szkockiego repertuaru i oczarować pieśnią bestię jak jakiś celtycki Orfeusz, więc zaczął śpiewać z całych sił w płucach „Men of Harlech”. Łos widocznie poczuł się urażony i zaatakował, a Richard Lwie Serce musiał go zastrzelić ze swojej rodowej flinty.

Po drugiej stronie rzeki spotkaliśmy geodetę, zajmującego się ustanawianiem granic narodowego parku: „Wlokę swoją drogę przez trzynaście godzin dziennie”. Jeden z jego kolegów zapadł na „niedźwiedzią gorączkę”, pijąc tylko samą wodę. Co do zasad wytęczenia szlaku, to trzeba puścić luzem świnie i po prostu iść za nią. Są takie dni i takie miejsca, że człowieka zjadają chmury różnorodnych much, a to *brûlots*, *mouches à chevreul*, *frappe-à-bord* i wiele innych w ogóle nieznanych. Tak (to odpowiedź na pytanie Ricky'ego) – widział resztki jakiejś chaty w parowie.

Poważaliśmy się po tym terenie i znaleźliśmy dwa groby. Według Rickiego osadnicy, wybierając się w takie odludzie, zabierali ze sobą w drogę płyty nagrobne z wrytymi nazwiskami poza samą datą śmierci. Później odkryliśmy resztki muru z kamienia, starą patelnię, fragmenty pieca. Rick wszystko pilnie notował w swoim tablecie i wpisywał do satelitarnego systemu GPS.

Kiedy już sam wyruszyłem w wyższe Appalache, myślałem o amerykańskich szlakach, a osobliwie o wielkiej Travellers' Highway, liczącej trzy tysiące mil, która szła od Montrealu przez Grand Portage, Lake of the Woods, Lake Winnipeg, Flin Flon, Ile-à-la-Crosse, Fort MacMurray prosto do Fort Chipewyan nad Lake Athabasca. Podróżników na tym wielkim trakcie traktować można jako *voyageurs* – wynajmowali canoe (canoe montrealskie ma 36 stóp długości (ok.11m) dla dwunastu wioślarzy; canoe północne – 25 stóp (ok.6m) dla ośmiu) – albo jako wolnych traperów czy handlarzy, *coureurs de bois*. Niektórzy z nich to byli ludzie prymitywni: nie mieli nawet talerzy, zagotowaną zupę na ognisku przenosili chochlą do dziury w skale i chłepali ją jak psy. Generalnie uznawani byli za niewierzących. „Kiedy chrześcijanin udaje się w podróż, jak głosi jedno z osiemna-

stowiecznych kazań, to podąża prosto do piekła”. Władza pogardzała nimi, ale to oni byli prawdziwymi odkrywcami Ameryki. Ich dewizą było: „Dźwigać, wioślować, wędrować i śpiewać”.

Poza szlakami moje myśli biegły w stronę krajobrazów. W jaki sposób łańcuch Gór Kaledońskich w Szkocji należy do tego ciągu arktycznych wyniesień, które zawierają Grenlandię, Tarczę kanadyjską, Appalache? Jak szkocki Great Glen idealnie dopasował się do Cabot Fault we wschodniej Kanadzie?

*

Tego wieczoru po powrocie do chaty zgromadziliśmy się przy butelce burbonu z Kentucky, aby pogadać o Quebecu.

Wszyscy moi współtowarzysze mniej lub bardziej należeli do kontestatorów Quebecu. Sylvain z powodów geo-kulturowych, Rick polityczno-historycznych. Gabriela nękała nostalgia za tym, co określał jako „prosty lud”, a osobliwie „prostych Kanadyjczyków”, których można napotkać w całej Ameryce (*Partout où il y a des trous de monde pauvre, il y a des francophones* – Wszędzie, gdzie znajdziesz biedne zadupia, tam są ludzie mówiący po francusku). Jeśli chodzi o Arsène, to ten jako zamartwiający się facet, widział jak zwykle po swojemu tylko negatywne objawy.

- Od samego początku – zaczął Sylvain – Francja chciała stworzyć w Nowej Francji coś na wzór swojej kopii, pogubiony bastion feudalnego i papieskiego państwa, który zawałił się w kraju macierzystym. Oczywiście, to sprawa zamknięta. Ale w czasach nam współczesnych Francja patrzy na Quebec jak na coś w rodzaju festynu folklorystycznego: *Les Québécois sont arrivés, gais, gais...* (Quebecczycy przybyli, weseli, weseli...). Jeśli chodzi o Anglosaskich Kanadyjczyków, to oni wydawali się być zadowoleni, uważając Quebec za rodzaj getta etnicznego albo luksusowy rezerwat w rodzaju Luizjany, licząc że dotrze i tu wielki międzynarodowy biznes, żeby przekształcić Montreal w kolejną wersję Nowego Jorku. Montreal, tak czy owak, to autentyczna północna Ameryka... Quebec nigdy nie potrafił znaleźć dla siebie oryginalnej drogi. Są ludzie, którzy nie lubią miejsca na planecie, w którym przypadło im żyć. Jakiś klimatyczny i geograficzny rasizm wisi w takiej atmosferze. Większość nich nie znosi na przykład zimy – lokalny rymopis, który uważa się za barda, uznał że błękitne zimowe niebo jest *aggressive*. I dlatego Franc w oczach Ameryki zdaje się być typem malowniczym i sympatycznym, ale tak naprawdę do niczego. To po części prawda, ale może oni nie mieli kiedy i jak się wykaazać. Resztą nie zawsze taki ich obraz był prawdziwy. Byli i tacy, którzy wyruszyli na wyprawy odkrywcze, ale szybko takich skreślano. Za przykład można wziąć kapitana Berniera, który wyprawiał się do Arktyki, handlował z Inuitami, a może nawet dotarł do bieguna północnego, kiedy otrzymał rozkaz, że ma natychmiast wracać. To było nie do pojęcia, całkowicie nie



do zaakceptowania, żeby jakiś tchórzliwy kanadyjski Francuzik osiągnął biegun północny przed odważnymi i przedsiębiorczymi Anglosasami.

- Innym przykładem tego samego zjawiska – wtrącił się Rick – jest Tom Plant. Urodził się tutaj w Maine we francuskiej rodzinie z dwóch stron, od ojca i matki (jego ojciec nazywał się Antoine Plante); wędrował po lasach w latach 20. i 30. XIX wieku. Tom wychował się na tzw. „French Hill” w Bath, tu w dole drogi. Po opuszczeniu szkoły w wieku czternastu lat, pracował jako kotlarz, rębacz lodu, zanim wyruszył do Lynn w Massachusetts, aby zatrudnić się w przemyśle obuwniczym. W końcu sam założył własną firmę, która stała się największą fabryką obuwia w tym pieprzonym świecie. Ale to nie należy do folkloru ani do tego obrazu. Tak naprawdę, to zalewani jesteśmy stekiem kłamstw.

A Sylavin ciągnął dalej: - To, co zawsze zamiatano pod dywan, jeśli o nas chodzi, to oskarżenie o „rasową metyszację”. Metys Louis Riel opisywany był jako wariat. To była wieloletnia, udana metyszacja, którą niszczone. Wiele razy próbowano zlikwidować tę więź pomiędzy Kanadyjczykami a Sauvage (dzikimi ludami, Indianami)...

Koniec końców Quebec to Quebec. Żadnej nadziei od (anglojęzycznej) Kanady, żadnej nadziei od Francji. Jedyńm możliwym wzorem do naśladowania pozostawała rzeka Św. Wawrzyńca/Saint Laurent/S. Lawrence), która majestatycznie toruje sobie drogę w głębokim korycie po nieogarnionej przestrzeni.

Ojciec Sylaina pracował jako pilot na rzece św. Wawrzyńca. Powiedział, że w ich rodzinie byli Indianie. Sylvain był akurat na wielkiej autochtonicznej wędrowce, brał udział w zjeździe Half-Breed (metysów), uroczystościach i obrzędach First Nations (Pierwszych Ludów, Indian) od Montrealu

po Montanę. To nie znaczy, że jest członkiem plemienia „Wanabee”, czyli takich co chcą „być” Indianami. Woli o sobie myśleć, że jest „Malecit”, czyli w połowie Indianinem i w połowie Malouinem (potomek Francuza z portowego miasta w Bretanii Saint-Malo).

*

Kolejnego ranka zostawiliśmy Ricka z jego badaniami tożsamości na Canada Road, a sami pojechaliśmy w dół Maine Route 201.

Route 201, „kręgosłup Maine”, biegnie od granicy z Kanadą w pobliżu Jackman w kierunku atlantyckiego wybrzeża do Topsham; stąd możesz udać się nawet do Aten albo i Chin...

Przejechaliśmy przez Caratunk i Moscow, zatrzymaliśmy się na posiłek w „Breakfast Special”, który składał się jajek, bekonu, kietbasek, placzków z klonowym syropem, miejscowych frytek – wszystko na jednym talerzu. „Kolis, c'est chaud, ça!” (Kurde, ale to gorące!) – wykrzyknął Arsène, kiedy widelcem podniósł do ust gorącą strawę, a potem dodał z wyjaśnieniem, że jeżeli nie chcemy stać się takimi „tłuszciochami jak Jankesi”, to musimy zadowolić się teraz i potem posiłkami z płatków zbożowych typu „granola”.

Domy z drewna i czerwonej cegły. Amerykańskie flagi w ogrodach. W garażach canoe wiszące nad autem. Sklepy sprzedające poroże łosi, skóry jeleni, oraz wiele innych wyrobów skórzanych z tych zwierząt. Zaszedłem do magazynu „Now and Then Shop”, w którym stara para rakiet śnieżnych leżała obok zakurzonej płyty Franka Sinatry oraz podniszczonej Biblii.

Dalekie peryferie USA. Nieco smutne, ale bardziej do zniesienia, niżli te panoszące się wszędzie gdzie indziej błyszczące, hałaśliwe, wulgarne amerykańskie wytwory.

Dalej przejechaliśmy przez Solon („Trap-

per Muzzleloading Supplies”, „Flytying Angling Supplies”), Skowhegan („The Kingdom Hall of Jehovah's Witness”), następnie opuściliśmy 201 na rzecz East 12.

Kolejne miejscowości po drodze to: Canaan, Palmyra, Newport, Etna, Damascus, Carmel, Hermon, skrzyżowanie w Penobscot, gdzie wybraliśmy South 15 w kierunku Orrington, Bucksport („Live Lobster”, „Clams”, „New Taters”) do Castine.

W Castine zobaczyłem tablicę z informacją, że jest to dawne siedlisko Etchemin Camping Place liczące stale 80 wigwamów i 300... (następny wyraz został zamazany i zastąpiony sformułowaniem „Native Americans”/Rdzenni Amerykanie). W innym miejscu podano, że „w 1692 roku James Giles, angielski chłopiec złapany został nad zatoką Gasco, trzymano go w niewoli za próbę ucieczki przez wodza Madockawando, torturowano go ogniem i zmuszono zjeść nos i uszy, na końcu spalono na stosie”.

Nazwa miejscowości Castine pochodzi od niejakiego Jean Vincent d'Abbadie de Saint-Castin, urodzonego w 1652 roku w pobliżu Oloron (Pireneje Atlantyczne). Jego relacje z Indianami były o wiele bardziej poprawne niż to przedstawiano. W 1687 roku Minnerval, gubernator Acadii (Nowej Francji zawierającej obszary Maine i Maritimes) napisał: „Pan de St-Castin jest absolutnym władcą dzikich i ich wszystkich spraw, żyje w lesie z nimi od 1665 roku, mając przy sobie dwie córki wodza tych dzikusów Madockawando, z którymi ma liczne dzieci”. Dwóch jego synów-metysów – po jego powrocie do Francji w 1701 – miało dowodzić warownią u ujścia rzeki Penobscot, zwaną Pentagoet.

Zatrzymaliśmy się w Village Inn niedaleko od Bah Bake House, który sam się reklamował jako „bakery extraordinaire”. Potem trafiliśmy do Harbour Tavern, gdzie wypiliśmy za zdrowie Henry'ego Thoreau, Henry'ego

→ Miller, Jacka Kerouaca i innych amerykańskich tego typu samotników, aby wrócić coś zjeść w Village Inn: czarna zupa fasolowa, ryba w cieście, surówka coleslaw. Naszą kelnerką okazała się atrakcyjna dziewczyna z Oregonu. Przybyła do Maine za swoim chłopakiem, który uczy się w miejscowej akademii morskiej, ale uważa, że życie tutaj jest nudne i powolne. Zadana nam pytanie, co tu nas sprowadza, a Sylvain odparł, że przyjechalśmy specjalnie do niej.

Po wieczornym posiłku moi towarzysze postanowili ponownie zajrzeć do Harbour Tavern, aby kontynuować toasty za coraz lepsze zdrowie, ale już beze mnie.

Do ściany w moim pokoju (ściany z ciemnej boazerii, na której wisiła bładniebieska i biała patchworkowa tkanina) przyczepiłem pineskami, tak jak zazwyczaj to robię, wielką mapę wybrzeży Maine wykonaną przez NOAA (National Oceanic and Atmospheric Administration) oraz wyjęłem dwie grube książki z mojej torby: pierwszy wolumin z sześciotomowego wydania „Voyages” Champlaina, nakładem Champlain Society of Toronto w 1922 roku oraz uzupełniające te tomy Portfolio od Plates and Maps, które zakupiłem na kiermaszu all-American Book Fair w Montrealu.

W ten sposób przygotowałem się do nocnej sesji.

Drugiego września Champlain opuścił Ste Croix, francuskie osiedle nad zatoką Passamaquoddy, w celu „zbadiania linii wybrzeża Norumbergi”. Norumburga to część Penobscot. Zła pogoda i towarzysząca jej gęsta mgła utrzymywały się przez kilka dni. „Tegoż dnia, kontynuując nasz kurs wzdłuż wybrzeża, przepłynęliśmy około 25 mil, mijając dużą liczbę wysp, piaszczystych brzegów, ławic, skał, które w niektórych miejscach wchodziły do morza na więcej niż 4 mile.”

Na mapie Champlaina z 1607 roku wypatrzyłem takie wyspy, jak: Isle Haute (High Island), Monts Déserts (Desert Heights), Isle-aux-Perdrix (Patridge Island), Isle-aux-Perroquets (Puffin Island), Isle-aux-Corneilles (Raven Island) oraz szereg wysp, którym nadano wspólne nazwy, takie jak: Isles Rangées (the Ordered Islands), Orsène Isles (the Outer Islands), Isles Perdues (the Sunken Islands). Zauważyłem poza tym River Norumbegue i warownię Pentegoët, której nazwa jest może francuską transkrypcją indiańskiego wyrażenia „penobscot”, trochę też przypomina nazwy bretońskie jakby coś takiego, jak „czoło/głowa lasu”. Na innych mapach znalazłem inne miejsce nazwane Pentecost. Na mapie z 1616 roku Pentegoët to Pemetgoit i leży nad rzeką Quinibequey. Na „Carte Géographique de la Nouvelle France”, która obejmuje większy obszar, na północnym brzegu Św. Wawrzyńca umieszczono notę: *L'auteur n'a point encore recogny cette coste* (Autor jeszcze nie zbadał tego wybrzeża). Mimo to zaznaczono kilka miejsc: Baye Sauvage, Croix Blanche. Jeśli chodzi o Isles Orsènes to wydaje się, że stały się Isles Jetées. Na „Carte de la Nouvelle France Augmentée” z 1632 Pemetgoit jest wyraźnie zaznaczone, a Isles Horsaines tak samo dobrze, jak Isles-aux-Tanguieux (Gannet Islands) oraz Isles-aux-Loups Marins (Sealion Island). A na północ od rzeki Św. Wawrzyńca jest nota: *Terres de la Brador – Esquimaux* (Ziemie / La/ Brador-Eskimosi).

Powrót do lektury:

Następnego dnia, szóstego tego miesiąca, poczyniliśmy dwie mile i spostrzegliśmy dym nad zatoczką, która znajdowała się u stóp wyżej wspomnianych gór: ujrzeliśmy dwa canoe kierowane przez Indian,

którzy obserwowali nas na odległość strzału z muszketu. Wystąpiłem w canoe dwóch naszych Indian, aby upewnić ich o naszych przyjacielskich zamiarach, ale ci z bojaźni przed nami zawrócili. Nazajutrz rano powrócili i zbliżyli się do burt naszej pinasy, rozmawiając z naszymi Indianami. Miałem dla nich trochę ciastek, tytoniu, oraz nieco innych drobiazgów. Ci Indianie, co wypłynęli polować na bobry, na połów ryb – podarowali nam trochę swoich zdobyczy. Stając się w ten sposób naszymi przyjaciółmi, poprowadzili nas do rzeki, zwanej przez nich, Peimtegouët, gdzie, jak nam powiedzieli, mieszkali ich wódz zwany Bessabez, władca tej rzeki. Sądzę, że ta rzeka jest tą, którą – inni piloci i historycy – nazywali Norumbega. Wielu z nich opisywało ją jako szeroką i rozlaną, mającą wiele wysp.

Po lekturze wróciłem do wielkiej mapy NOAA przedstawiającej wybrzeże Maine, która kupiłem w Newport – piękna i wybitnie dokładna mapa w kolorze płowym, jasnoniebieskim. I tak czytając, spoglądając na mapy dotrwałem prawie do trzeciej nad ranem.

Na zewnątrz zbierał się wiatr i zaczynał padać deszcz.

W Stonington zajrzelśmy do księgarni i po chwili, podczas której wertowaliśmy książki, rozpoczęliśmy rozmowę z jej właścicielami, parą emerytowanych nauczycieli. Kiedy właścicielka grzecznie zapytała, co my robimy w Maine, Sylvain zarepostował: „Przybyliśmy tutaj, aby odbić naszą utraconą ziemię! „To my mówimy pierwszym językiem Maine!” Kobieta spojrzała na niego jakby miał zaraz wyjąć tomahawk albo jak na wariata.

Ruszyliśmy dalej w drogę.

Tuż za Sullivan czarny niedźwiedź prze-maszerował przez jezdnię. Już miał zniknąć w lesie, kiedy Sylvain wykrzyknął: *Salut, frère* (Witaj, bracie!), a niedźwiedź zaraz do nas się obrócił.

– *C'est le seul ours francophone du voisinage!* (To jedyny miejscowy niedźwiedź frankofoński) – wyszeptał Sylvain.

Ashville, West Gouldsboro, Prospect Harbor, Gouldsboro, Millbridge, Harrington, Columbia Falls. Potem przez Indian River w stronę Jonesport.

Zatrzymaliśmy się w West Bay Hotel, w którym odkryliśmy Old Curiosity Shoppe. Rozmawialiśmy w otoczeniu kombinezonu do nurkowania, pary wioseł, kotwicy, stółki wypełnionej książkami i pudełkami pełnymi muszli i innych drobiazgów. „Robię w starociach – to właściciel – wszystko z daleka, nawet z Florydy. Biorę wszystko, jak tylko gdzieś się znajdę, jeśli to mi odpowiada. Nie mam z tego zysku, ale wiadomo: jeden dolar na plusie, drugi na minusie, i jakoś tak to wszystko działa”.

Poprzednio pracował w Detroit. Tam spędzał trzy czwarte czasu na wypełnianiu urzędowych papierzyk: „Pomyślałem sobie, że jeżeli mam jakoś bardziej pozytywnie spędzać czas, to lepiej żeby pojechał na wschód i nic nie robił”.

Na kolację podano nam jakieś nieokreślone jedzenie. Wróciliśmy do hotelu. Na ścianie w pokoju miałem powieszoną japońską flagę, harpun oraz uroczysty banner Knights of Pytheas.

Wcześniej rano przemaszerowałem przez Moosebec most do Beals Islands. Dwie, trzy ładne pinasy stały w zatoczce. Dalej hodowla ryb, ciemne skały, sosnowy las.

Kiedy wracałem z górnego cypla wyspy, który spoglądał na Great Wass (według Champlaina to Crow Island), zobaczyłem ostatnią turystkę tego sezonu, a mianowicie

kobietę z Vermont w wieku około 35 lat, która stała na werandzie domku z kawą w ręku i patrzyła przed siebie nieobecny spojrzeniem.

Przed południem mineliśmy Machias, Whiting, Lubec. Wkroczyliśmy w prawdziwie autentyczny obszar „głębokiego wschodu”: coraz więcej białych, z łuszczącymi pasami farby, drewnianych domków...

W Pleasant Point nad Passamaquoddy Bay, przekroczyliśmy na drugą stronę jezdnię, aby obejrzeć rudę, do której przyczepiono kartkę z informacją, że jest to Indian Township Thrift Shop (Recycling Center otwarty w soboty). Sylvain powiedział, że jest to osada plemienia Passamaquoddy i zasugerował, że tu zatrzymamy się. Nikt nie oponował, a Gabriel wyraził nadzieję, że może znajdzie tutaj indiański koszyk w prezencie dla córeczki.

Szereg pomalowanych na biało chat ukrytych w drzewach. Samochody i canoe na wózkach transportowych.

Wielka chata pokryta gontem zawierająca dwa punkty: Indian Handicrafts oraz Molly's take Out Shop.

Brązowy pies z czerwoną obrozą odpoczywający na werandzie.

Wewnątrz gromadka Indian pijących kawę lub colę.

Wśród nich naczelnik Indian, z którym Sylvain zaczyna rozmowę. Ja przeglądam indiański kalendarz („Opol ah-souwehs”, miesiąc wirującego wiatru; „piyatokonis”, kiedy czubki świerka upadają; „sigon”, wiosenny księżyc; „ponatom”, miesiąc znożenia jajek...), przysłuchując się rozmowie, w której pada dziwne nazwisko Ovid Mercredi (Owidiusz Środa).

W końcu naczelnik zwrócił się do nas wszystkich i rzekł: – „Miałem dobrą podróż”.

Kiedy wyszliśmy, zapytałem Sylaina o jakiego Owidiusza Środę chodzi. O przewodniczącego Zgromadzenia Pierwszych Narodów, odparł, i zaraz dodał: On jest jak i ty Szkotem. Ten „Mercredi” to tak naprawdę nazywał się McCreadie.

Robbinston, Red Beach, Calais, Princeton, Waite, Topsfield, Brookton, Eaton, Danforth, Weston, Orient, Houlton, Monticello, Bridgewater, Blaine, Presque Isle...

Lasy, lasy, lasy. Błękitne pagóry na horyzoncie.

Welcome to Caribou.

Sądząc po wywieszkach z nazwiskami na sklepikach, ludność miasteczka Caribou to mieszkanka Anglosasów, Francuzów i Skandynawów. (Później dowiedziałem się, że w połowie XIX stulecia, kiedy Amerykanie ruszyli na podbój Zachodu, Commissioner of Immigration z Maine, zaprosił Szwedów z Göteborga, aby załudnić ten surowy północno-wschodni przyczółek).

Gabriel and Arsène kupili, co chcieli. Kiedy płacili Harold, właściciel magazynu z koszykami, powiedział o teraźniejszym życiu w Washburn: „Kiedy zamknęło bazę samolotów, nadszedł straszny koniec. Tylko kartofle i wyprzedaż mebli. Sklepy i restauracje zamknięte na stałe”...

To efekt końca zimnej wojny.

Ale poczekajmy. Nas pewno pojawi się kolejna.

Powróciwszy do Caribu udaliśmy się na posiłek. Jakaś kobieta, usłyszawszy, że mówimy po francusku, zaczęła z nami pogawędkę w tym języku, posługując się dawnym i dziwnym akcentem („droite” brzmiało jak „drwet”). Sylvain był zachwycony. Jeszcze bardziej, kiedy z kuchni podeszła do nas druga kobieta i także zaczęła mówić po francusku. „Nie wiedziałam, że mówisz po francusku”, zauważyła pierwsza. Dru-



ga odpowiedziała: „Nigdy mnie o to nie pytałaś, a ja nie wiedziałam, że ty znasz”. Sylvain był wniebowzięty.

- *Partout en Amérique tu tombes sur de vieux Français* (Wszędzie w Ameryce trafisz na starego Francuza) – skwitowała sytuację ta pierwsza.

Kiedy tak rozmawialiśmy po francusku, przystojny, siwowłosy, stary Jankes wszedł, zamówił sandwich, który wziął ze sobą i na odchodne rzekł: „Już jesień. Niedługo śnieg”.

*

„From Key West to Fort Kent” – to zwyczajowa fraza na oddanie długości drogi wzdłuż wschodniej części USA od Florydy do granicy z Kanadą.

Znaleźliśmy się na Fort Kent Road, opuszczając 161 Caribou i w trasę: New Seweden, Jentland, Guerette, Daigle.

Staremodne Revival Center.

New Life Baptist Church.

Stary człowiek na polu ziemniaków.

Jeśli w Caribou znaleźliśmy francuskie nazwiska, to o wiele więcej w Fort Kent: Deschaine, Caron, Voisine...

Northen Timber Trucking.

Northland Frozen Foods.

Kilka mil za Caron Brook przekroczyliśmy tory linii Brunswick-Quebec.

QUEBEC VOUS SOUHAITE LA BIENVENUE.

Les Étroits.

St. Marc du Lac Long.

W Rivière-Bleue Arsène ma rodzinę, chce ją odwiedzić. Sylvain i Gabriel decydują się mu towarzyszyć, ja poczekam na nich w pobliskim barze. I tak siedziałem do około 17.30 w barze w miasteczku Blue River, w regionie Témiscouata, w słabo zaludnionej okolicy niedaleko Rivière-du-Loup, pijąc ciepłą whisky, patrząc się przez okno na światło późnej jesieni tego popołudnia w naszym kosmosie.

*

Granica w Estcourt Station.

Estcourt Station to rząd domów zwanych le Rang de la Frontière, drewniany most znany jako Le Pont des Contrebandiers (Most Kontrabandzystów) i sklep noszący nazwę Magasin Général Américain. Zatrzymaliśmy się, aby szybko się rozejrzeć, kupić gumę do żucia w sklepiku i ruszyć dalej.

Jezioro w złotej poświacie.

Nie mogłem zapisywać mijanych miejscowości, albowiem dalej jechaliśmy już w ciemności: aż zobaczyliśmy rzekę Św. Wawrzyńca.

Nieduże i schludne miejscowości: St-Jean-Port-Joli, Bellechasse i w końcu Quebec City.

*

Pewnego poranka w mieście Québec szedłem szlakiem ułożonym z desek przy rzece Św. Wawrzyńca w kierunku Równiny Abrahama (dawne pole bitwy między Francuzami i Anglikami w 1759 r.). Na wzgórzu spotkałem starszego człowieka, który opowiedział mi, że gdyby Quebeczycy ruszyli do bitwy *à la canadienne* (tak jak to robili Indianie) zamiast *à la mode parfumée* (tak jak nakazywały to ówczesne poradniki wojenne), to Brytyjczycy nie wygraliby tej wojny i Kanada pozostałaby francuska.

Biata dzika gęś leci nad rzeką Św. Wawrzyńca, kierując się na południe. Na tyłach budynku małe brązowe i srebrnoszare wiewiórki krzątają się żwawo, zbierając pożywienie na zimę.

KENNETH WHITE



Czesław Karkowski

Megalopolis

Znalazłem się w mieście miast. Zamieszkałem w nim – w symbolu nowoczesności, wcieleniu miejskości w jej dobrych i złych wymiarach ludzkiej wyobraźni. Kiedy Fritz Lang po raz pierwszy ujrzał Nowy Jork zobaczył w nim nie tylko konkretne miasto, ale i inkarnację w betonie, żelazie i szkłe ideę postępu, miejskości – metropolis: nieludzki wykwit technologicznych osiągnięć, produkcji i organizacji życia zróżnicowanych klasowo, majątkowo, etnicznie mas na niebywałą skalę; triumf funkcjonalności w potężnym z mechanizacją i mizerią ludzkiego bytowania pośród owych rzekomych udogodnień. Nie na ludzką miarę...

Jak objąć, zrozumieć, przyswoić sobie Nowy Jork? Gorączkowo zastanawiałem się w pierwszych latach pobytu, chcąc jak najszybciej zapanować nad nim. I do dziś zastanawiam się. Chłonąc pięcioma zmysłami nie sposób go ogarnąć. Natłok, zgiełk wrażeń i spiętrzenie doznań przekraczają możliwości percepcji jednostki. Za dużo doświadczeń jednocześnie atakuje człowieka: wzrok nie może zatrzymać się na jakimś fragmencie rzeczywistości nowojorskiej, bo wokół, w sąsiedztwie, w polu widzenia dzieje się mnóstwo innych spraw – domy, ludzie, samochody na ulicach, tłum przechodniów na chodnikach; sklepy, wystawy, reklamy – wszystko ucieka w dal prostymi ulicami, alejami, pnie się w górę aż do zadarcia głowy ponad podniebny horyzont. Kolory, kształty i ruch, który wszystko „uptylnia”, stwarza wrażenie chwilowości, doraźności tego, co jest.

Nos wprost dusi się od zapachów – nowych, niezwykłych, raczej nieprzyjemnych (określał ich doraźnym mianem „chemicznych”). Trwało to lata, póki nie oswoiłem się z nimi, nie uznałem ich za „normalne”. Słuch razi kakofonia dźwięków od potężnego ryku syren wozów strażackich pędzących – nie koniecznie do pożaru; może do wypadku – po zwyczajny zgiełk uliczny: klaksony samochodów, którymi kierowcy dają wyraz zniecierpliwieniu i irytacji z powodu powstających co trochę zatorów na drogach. Hałas maszyn budowlanych, nieustannie pracujących – tu się burzy dom, tam powstaje nowy; tutaj roboty drogowe, nieopodal służby wodno-kanalizacyjne, elektryczne lub gazowe, kopią głęboko we wnętrzościach metropolii. Miasto w ciągłej, nieustannej przebudowie i naprawie o czym sygnalizują przy pomocy hataśliwego sprzętu. Miasto w stanie ciągłego stawania się.

Gwar rozmów – przechodniów i turystów na ulicach, lokalnych sprzedawców, „naganiaczy” zachęcających do kupna czegoś lub owego. Za dużo – chcę zamknąć uszy.

Dotyk, ten najbardziej bezpośredni ze zmysłów; kiedy wrażenie ociera się wprost o ciało, to przede wszystkim doświadczenie upału i ogromnej wilgoci powietrza latem. Ciało spływa potem, oblepia ubraniem, czyni każdy strój niewygodnym, nieprzyjemnym, wszelki ruch – mozołnym cierpieniem. W zimie częste doznania lodowatych podmuchów wiatru, przed którymi trudno się ochronić. Wcisną się wszelkimi porami zimowych ubrań do wnętrza. Zmrożona twarz, zgrabiata ręce.

Smak, albo smaki, to przede wszystkim różnorodność kuchni dostępnych w Nowym Jorku. Restauracje z wszelkich zakątków

świata oferują swoje specjały (patrz kuchnie etniczne).

Agresja miasta na wszelkie doświadczenie zmysłowe – przepiętna, sprawia, że nie wytrzymują natarcia. Nie, tylko rozumowe podejście stworzy niezbędny dystans między miastem z jego rozbuchanymi falami dźwięków, zapachów, widoków, cielesnych odczuć, zmysłowych doznań, a ograniczonymi możliwościami przetworzenia tej nawałnicy i przyswojenia przez przybysza, mieszkańca. Dystans, a więc swoisty chłód umysłu destylujących informacje. Sprawia to na postronnych wrażenie zbławowania kogoś obytego z Nowym Jorkiem. Ale to tylko pozór. Faszada postawy „cool”, podczas gdy w środku, w świadomości nieustannie wyciszanie rozderganej wrażliwości.

„Wytęczam” więc zmysły uznając ich „niższość”, doraźność spowodowaną do sekwenencji chwilowych stymulacji. A te są zbyt silne i rozmaite jak na wytrzymałość jednostki Rezerwa, nieufność wobec tej rzeczywistości dziejącej się, kipiącej w ogromnej amplitudzie doświadczeń jakby za szybą, w oddali. Nie ma innego wyjścia, w przeciwnym wypadku – katastrofa emocjonalna. Spotkałem wielu, bardzo wielu polskich emigrantów, którzy nie radzili sobie z miastem (na pewno inni też), popełnili błąd chłonąc je zbyt chciwie. Doskonale zapowiadający się artysta specjalizujący się w formach szklanych, zmarginalizowany, wpadł w manię wielkości, która nie pozwoliła mu funkcjonować normalnie. Ludzie bezradni w obliczu miasta-metropolis dali się opanować, obezwładnić nagłym frontalnym atakiem opanowującym ciało i duszę. Dawno temu pewien dalszy znajomy zaczął mnie i opowiadał, iż nie może normalnie żyć, bo CIA albo FBI (już nie pamiętam) wszczęło mu urządzenie do podsłuchiwania myśli. Schizofrenik – każdy powie. Może, ale dostrzegłem w nim człowieka, jednego z mnóstwa, który stracił kontrolę nad sobą właśnie z powodu agresji metropolis. Na jego namolne skargi zachowałem się jednak głupio; powiedziałem: na pana miejscu poszedłbym do lekarza i kazałbym operacyjnie usunąć ten aparat. Zamilkł, odszedł. Ewidentnie oczekiwał ode mnie czegoś innego, odpowiedzi, jak sobie poradzić; tonął w nowej rzeczywistości nadmiaru sensualnych wrażeń.

Owa nieporadność jest jednym z częstych objawów szoku emigracyjnego w Nowym Jorku: konieczności życia w tym mieście miast i nieustannego odpierniania jego ataku na zmysły. Turysta tego właśnie poszukuje, krótkotrwałej podnieci jak narkotyku. Emigrant, mieszkaniec – wręcz przeciwnie: chce normalności, swojskości.

Trzej poeci

Może lepszym określeniem byłoby „ludzie pióra”, bowiem Edgar Allan Poe, Herman Melville i Walt Whitman, trzej nowojorscy twórcy starali się żyć z pisania – Poe ze swych kryminalnych, horrorystycznych opowiadań publikowanych w prasie nowojorskiej. Płacono nędźnie, ale chętnie brano jego teksty. Poe, wiecznie bez pieniędzy, publikował pod przykrywką. Chwilowy sukces odniósł dzięki poematowi „Kruk”, opublikowanym zimą

Nowy Jork,
New York, 4

1845 r. Utwór otworzył mu drzwi nowojorskich salonów, które wkrótce przed nim zatrzęsiano. Naraził się snobistycznemu towarzystwu miasta.

Dwa lata wcześniej przeniósł się z żoną Wirginią i jej matką w tańsze miejsce na farmę położoną dziś między Broadway'em a Hudsonem w okolicach – w dzisiejszych kategoriach – 84 Ulicy zachodniej. Na fotografii z XIX wieku widnieje samotny dwupiętrowy dom przy błotnistej drodze. Niczyj, sierocy na wzgórz, pustka i nędza. Współcześnie jest to środek miasta, ruchliwy, zamożny, rozmaity. Pełen życia.

Po drewnianej farmie oczywiście śladu dziś nie ma, zwarta wysoka, kamienna zabudowa. W niecały rok później przeniósł się dalej na wieś do Fordham. Czyste, wiejskie powietrze miało pomóc śmiertelnie chorej Wirgini. To miejsce, ów domek z wielkim dachem opadającym do ziemi, w 150 lat później znalem doskonale i pisałem o nim wielokrotnie.

Nowojorski epizod był krótki w jego krótkim życiu. Kursował (można powiedzieć) między Bostonem a rodzinnym Richmond, gdzie jest niewielkie, ale ujmujące muzeum poświęcone poecie.

Melville – chciał żyć z powieściopisarstwa, ale tylko jego pierwsza sentymentalno-ekologiczna powieść z mórz południowego Pacyfiku, „Typee” odniosła spory sukces. Jego bezsprzecznie najlepszą powieść „Moby Dick” wręcz wyśmiano, a samego autora podejrzewano o chorobę umysłową. Próbował też sił w poezji, ale z jeszcze mniejszym powodzeniem. W końcu musiał się zadowolić skromną posadą celnika.

Nie znosił Nowego Jorku, w którym rządził pieniądź i tylko pieniądź. Gdzie los ludzki na krawędzi normalnego życia i stoczenia się do rynsztoka, w nędzę, bezdomność. Wyrażnie bał się tego, ocierał się o skrajną biedę, wyjeżdżał z miasta, wracał, gdy finansowo mu się poprawiało, ale do końca z miastem się nie pojednał. Jedyny ślad po obecności pisarza w mieście to jego grób na rozległym cmentarzu Woodlawn na Bronksie. Wędrowka po ogromnym, pustym cmentarzu w poszukiwaniu miejsca pochówku pisarza, zapadła mi w pamięć głęboko.

Walt Whitman był dziennikarzem z temperamentu i zawodu. Zmieniał redakcje, zmieniał pisma, zakładał i redagował swój magazyn. Imał się wielu zawodów. Niepokojny duch i zachłyśnięcie życiem, jego bujnością bogactwem. Był bardem miasta, cywilizacji, ale też rozległych przestrzeni, energii ludzkiej, duchowości człowieka. Na widok Manhattanu (używał dawnego indiańskiego określenia: „Mannahatta”), centralnej wyspy Nowego Jorku, wykrzykiwał w upojeniu:

„Bogata, obficie obrębiona wokół żaglowcami i parowcami, wyspa na 16 mil długa, mocno przytwardzona,

Nieliczone tłumne ulice, wysoki las żelaza, smukły, mocny, lekki, wspaniale wyrastający ku czystym niebiosom (...)

Ulice centrum, sklepy, domy kupców i właścicieli statków, maklerów, ulice nadrzeczne,

Imigranci przybywający 15 albo 20 tysięcy tygodniowo,

Wozy obciążone towarami, męski ród

woźniców, brązowe twarze żeglarzy,

Letnie powietrze, jasny blask słońca i obłok żagli w oddali (...)

Tłumne trotuary, pojazdy, Broadway, kościoły, sklepy i wystawy,

Milion ludzi – maniery swobodne i doskonałe – śmiało głosy – gościnność – młodzi mężczyźni najodważniejsi i przyjaźni

Miasto śpiesznych połyskliwych wód! Miast iglic i masztów!"

Nie ma dziś żaglowców ani parowców, ale reszta, czyli istota Nowego Jorku – bez zmian. Tak samo jak przed stu pięćdziesięciu laty. Ślad po obecności Whitmanie nie pozostał. Ostatecznie zamieszkał w Camden, NJ, gdzie w jego domu urządzono muzeum. Pochowano go na pobliskim cmentarzu w okazałym grobowcu z ciężkich bloków kamiennych.

„Trudno wyobrazić sobie, coś równie matego, nijakiego i pospolitego, jednym słowem – równie niepoetycznego jak życie człowieka w Stanach Zjednoczonych” pisał Alexis de Tocqueville. Ale poeci wracają do Nowego Jorku, choćby pod przymusem, jak polscy twórcy w czasie drugiej wojny światowej, którzy znaleźli schronienie w mieście. Kazimierz Wierzyński, Jan Lechoń, Julian Tuwim, Józef Wittlin, Antoni Cwojdzński, Zenon Kosidowski i inni tworzyli tutaj w trudnych warunkach i materialnych, i emocjonalnych. Zaczęli nawet wydawać pismo, ale nie miało długiego żywota. Nie przyjmowali tego świata do wiadomości. Zajmowali postawę typową dla wszystkich ówczesnych emigrantów, którzy byli przekonani, iż żyją za granicą tylko „na chwilę”. Wojna się skończy i wrócimy – powiadali. Rzeczywistość tę traktowali więc jako chwilowy przystanek. Dzięki temu codzienność, w którą nie chcieli się w pełni wtopić, można było wytrzymać, nie była tak dręcząca. Prawdziwy dramat zaczął się później, kiedy ów chwilowy pobyt „na przetrwanie” nagle okazał się mieszkaniem na stałe.

Trudna i niepewna egzystencja, konieczność dokonywania dramatycznych wyborów w niesprzyjających warunkach bytowania, politycznych, nie wspierała ani swobodnej twórczości, ani spokoju ducha. Te właśnie okoliczności i związane z nimi decyzje poróżniły na trwałe Wierzyńskiego i Tuwima, niegdyś serdecznych przyjaciół z kręgu Skamandra. Jan Lechoń w emigracyjnych warunkach Nowego Jorku cierpiał na niemoc twórczą, choć aktywny i w prozie, i w poezji, jego dokonania były mizerne. Czuł to, wiedział. Odsunął się w życie prywatne i towarzyskie, aż doszedł do kresu – do Hotelu Hudson.

Cwojdzński niebawem wyjechał do Detroit i do Chicago, by wrócić do Londynu; Kosidowski, za młodu poeta związany z ekspresjonistycznym „Zdrojem”, wrócił do Polski.

Ślad po nich nie pozostał, podobnie jak i po poetach amerykańskich. Tylko pamięć: byli tu, tworzyli.

Nowojorskie mosty

Wjeżdżam rowerem na Williamsburg Bridge – jeden z wielu mostów łączących centralną wyspę miasta – Manhattan, z nowojorskimi „sypialniami” – Queensem i Brooklynem. Ta druga dzielnica wysferzyła się w ostatnich dziesięcioleciach do tego stopnia, że dziś (jak w XIX wieku) śmiało konkuruje o palmę pierwszeństwa w owej niesprecyzowanej, ale wyraźnie odczuwalnej rywalizacji na modne miejsca zamieszkania. A po tym, gdzie mieszkasz, wpierw cię oceniają.

Kiedy przyjechałem tutaj, mieszkanie na Brooklynie, gdzie zaczynałem jako biedak-emigrant, wiązało się w świadomości zasiedlonych mieszkańców ze swoistą społeczną degradacją. Na moją odpowiedź o miejsce

zamieszkania wielu niemal zauważalnie wzdychało albo spoglądało ze współczuciem: no tak... jakby chcieli powiedzieć: w nędzy Brooklynu, w jednym z tysięcy tanich mieszkań starych rozpadających się domów znalazł schronienie; na dnie społecznej nierówności. Czy kiedykolwiek stamtąd się wydostanie? – co inaczej mówiąc oznaczało: czy w ogóle sobie poradzi w tym trudnym świecie szaleńczej rywalizacji, czy też może zniszczy go bieda i udręka codziennego marnego bytowania; jak miliony przybyszów przed nim zniknie, przepadnie?

W tym stereotypowym wizerunku było coś na rzeczy: Brooklyn w moich pierwszych nowojorskich latach był dzielnicą ogromnie zaniedbaną, zepchniętą na margines metropolii. Całe miasto dźwigało się wtedy z lat upadku, kiedy na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych groziło mu bankructwo, a władze rozważały „porzucenie” go na rzecz Chicago. Tam, nad jeziorem, na Środkowy Wschód miał się przenieść cały dystrykt finansowy, który stanowił o znaczeniu i potęgze Nowego Jorku. Rozważano zostawienie miasta na pastwę losu, aby sprostać ekonomicznej presji: albo przeżyje, albo zginie. Jak to zrobiono z Detroit, niegdyś chlubą amerykańskiego przemysłu samochodowego, dziś synonimem mizerii, ruiny, degradacji. W podobnej sytuacji znalazły się Baltimore i wiele innych. Z czasem będą badane przez archeologów, oglądane podobnie jak ruiny starożytnych miast, porzuconych, z niewiadomych przyczyn zostawionych i zarosłych później gdzieś w dżungli Jukatanu albo zasypanych w azjatyckiej pustyni, by w innym miejscu budować od nowa.

Dziś Brooklyn łśni i błyszczy lasem nowych wieżowców nad brzegiem rzeki widocznych z mostu. Stare, piękne mieszczańskie dzielnice – odnowione, odremontowane. Znam je, widziałem, wiem, że to, co widzę jadąc rowerem przez Williamsburg Bridge, to tylko zewnętrzna fasada, rodzaj pozłoty okrywającej prawdziwe odrodzenie dzielnicy – na alejach, osiedlach, kwartałach ulic – młodzi ludzie z całej Ameryki zajmują mieszkania. Dawne rudery, dziś zburzone, w to miejsce stoją nowe budynki albo nie do poznania odrestaurowane; stare zabudowania przemysłowe przykrojone do mieszkaniowych potrzeb przybyszów. Nie dla mnie – opuściłem Brooklyn po pierwszych latach pobytu, osiadłem w innym miejscu – ani mi się nie chce już ruszać, ani mnie nie stać na inne w modnej, drogiej dzielnicy, ani nie mam ochoty mieszkać wśród dwudziesto- i trzydziestolatków z ich bardzo specyficzną kulturą dnia codziennego. Coraz bardziej mi obcą. Mój umysł, jaźń, żyje w przeszłości, ciemnych wiekach bez elektronicznego oprządkowania egzystencji ludzi współczesnych, zdomowionych w teraźniejszości.

Na moście ruch pojazdów wszelkiego rodzaju – śmigają rozmaite pojazdy elektryczne – od małych skuterów dostawczych po akumulatorowe rowery, hulajnogi, deskorolki i inne dziwaczne pojazdy niekiedy nawet jednokołowe. Niebezpieczne – bo szybkie i ciche. Z tyłu wymijają zniecierpliwieni z lewej i z prawej – jak popadnie, byle szybciej, byle do przodu.

Nowojorskie mosty fascynowały mnie niemal od pierwszego dnia pobytu. Szokująca pierwsza jazda metrem przez Manhattan Bridge na Brooklyn w poszukiwaniu mieszkania. Ośmiowagonowy ciężki pociąg wtacza się na długi tor mostu. Jedzie wolno, pod spodem nitka autostrady od wschodniej strony, samochody jak zabawki. Gigantyczna, stalowa konstrukcja długo nie utrzyma ciężaru zawieszzonego na takiej wysokości! Mą panikę powiększa skład metra nadjeżdżający z przeciwną stronę. Pociąg dudni, most ugina się, skrzypi, trzęsie się również pod wpływem przejeżdżających ciężarówek. Głęboko w dole

wstążeczka Wschodniej Rzeki. Ogrom budzi lek i jakiś nabożny szacunek dla miasta i jego ludzi, którzy wzniesli tak potężną strukturę.

Widzę przez okno wagonu drugi podobnie wielki most – Brooklyn Bridge, a z drugiej strony – kolejny, a za nim dalszy. Ich architektura pradawna, pokraczna, przysadzista. Stare mosty, ale mocne, wytrzymałe. Trzy z nich mają unieść dodatkowy ciężar wagonów metra; wszystkie – brzemień nasilającego się ruchu samochodowego.

Choć przejeżdżałem nimi wielokrotnie, to jednak naprawdę poznałem ich rozmiar dopiero na rowerze. Największą górą jest Williamsburg Bridge. Trzeba się mozolnie wspinać na nią, minąć zabawną tablicę zawieszoną nad ulicą: „Aj wuj, zostawiasz Brooklyn”. Krzyżowna mostu jest tak wielka, że na szczycie zrównuje się z dachami wieżowców mieszkalnych nad brzegiem rzeki. Widok ogromny i masa powietrza.

Most ten łączący Lower East Side z Brooklynem spowodował na początku XX w. masowy odpływ żydowskich emigrantów (głównie z terenów dawnej Rzeczypospolitej) z przełudnionej dzielnicy Manhattanu na Brooklyn i powstanie w jego pobliżu jednej z dzielnic ortodoksyjnych Żydów. Czuję się w niej jakbym się znalazł w jakimś wschodnim miasteczku przedwojennej Polski.

Najmniej ciekawy z punktu widzenia rowerzysty jest Manhattan Bridge, a sąsiedni Brooklyn Bridge – bez sensu. Stanowi ogromną atrakcję turystyczną. Piękny zeń widok na szkło, stal i beton dystryktu finansowego, na zatokę, Statuę Wolności w dali, ale tłok na drodze dla pieszych powoduje, że nie sposób jechać. Trzeba zsiść z roweru i iść wraz z rzeszą spacerowiczów wędrujących w obie strony.

Góra Queensboro Bridge, drugiego z najczęściej uczęszczanych przeze mnie mostów, nierówna. Od strony Manhattanu stosunkowo krótki podjazd i długi zjazd na dół na Long Island City, niegdyś przemysłową dzielnicę, dziś modny teren obrosnięty śniącymi wieżowcami mieszkaniowymi. Kończąca sekwencja popularnego w latach osiemdziesiątych filmu sensacyjnego „Ucieczka z Nowego Jorku” dzieje się na tym właśnie moście. Nie mogłem wtedy w kinie uwierzyć, iż może istnieć tak długi most, który biegiem bohaterowie usiłują pokonać, by się wydostać z manhattańskiego więzienia przyszłości. Fantastyka naukowa – uznałem.

Wreszcie Triboro Bridge, największy, łączący trzy dzielnice, mocarnie wsparty na środkowej Randal Island. Piękna wyspa, rekreacyjny teren dla nowojorczan. Trzeba przejechać parę dobrych kilometrów, aby dotrzeć do stronej drogi pozwalającej na wjazd na kolejną odnogę mostu. Triboro jest dość niebezpieczny dla rowerzysty, ale nie będę się na ten temat rozpisywał.

Rowerowa wódkowa nowojorskimi mostami pozwala na bezpośredni, fizyczny kontakt wprost z wyspiarską naturą Nowego Jorku. Ani samochodem, który oddziela kierowcę/pasażera od otoczenia, ani na piechotę (odległości!) doświadczenie to nie jest możliwe. Mosty nowojorskie to najlepsza metafora tego osobliwego miasta: w powietrzu scalenie żywiołów - ziemi i wody. A miasto jak feniks - żyje destrukcją i ciągłą odnową - ogniem, pożarem, który je unicestwia i zarazem odradza.

Domek Poego

Mógłbym powiedzieć, jak Józef Wittlin w eseu „Poe w Bronksie”: znam dobrze ów parczek przy Grand Concourse i domek Poego na rozjeździe dróg, wciśnięty pomiędzy duże kamienice czynszowe. Ofoczony płotem i zwykle zamknięty, stoi samotnie i w pełnym niemal zapomnieniu. Okolicę

dzisiaj zamieszkują głównie Latynosi, w oknach domów wokół portorykańskiej flagi, napisy po hiszpańsku, w nielicznych sklepikach i małych firmach południowoamerykańskie specjały.

Jest to jedyny skrawek zieleni na szerokiej, ruchliwej arterii w pobliżu wielkiego handlowego skrzyżowania z Fordham Road. Kiedy znalazłem się tam ostatnio a miało to miejsce lata temu, był czwartek, sobota, potężniący upał poranny. Ludzie garną się więc do cienia, do tawek, dzieci pędzą do rozbudowanej konstrukcji z wielkich kolorowych rur plastikowych. Można pełzać w nich skomplikowanym labirytem, jeździć i wspinąć się. Grają radia, słychać południowe rytmy, ludzie jedzą, piją, bawią się, tańczą, rozmawiają głośno, nieświadomi sąsiedztwa. Domek, otwarty zaledwie parę godzin w sobotę i niedzielę (wstęp 2 dolary) stał pierwotnie w innym miejscu, przeniesiono go na drugą stronę, gdy budowano wielką arterię komunikacyjną Grand Concourse i wzniesiono wysokie domy czynszowe po bokach.

Edgar Allan Poe wprowadził się doń w 1846 r. Wówczas było to miejsce już dobrze za miastem, skoro poprzednio letnie miesiące lat 1843 i 1844 spędzał na farmie przy dzisiejszej 84 Ulicy i Broadwayu. Jeśli tam była prawie wieś (dziś tętniący środek miasta), to co dopiero na Bronksie, gdzie mieszkał z żoną, młodszą córką Virginii. Zmarła ona tutaj na gruźlicę w 1847 r. I pochowano ją na pobliskim cmentarzu. Pisał zresztą, że żyje na wsi zwanej Fordham, 13 mil od miasta. Dziś Fordham to jeden z przystanków metra i duża ulica prowadząca do jezuickiego uniwersytetu i do ogrodu zoologicznego.

Domek Poego, schowany wśród drzew, kuli się przed rozbawionymi, roztańczeniowymi i rozkrzyczanymi Latynosami. Rzadko ktoś tam przychodzi, a jeśli - z tego co widziałem - to tylko biali, starsi ludzie, którym nazwisko poety coś jeszcze mówi. Ale i to nieczęsto: losem Poego „w Bronksie” jest zapomnienie. Nie tylko jego - chyba to los wszystkich poetów w Ameryce. Kiedy parę dobrych lat wcześniej pojechałem do domku „narodowego” poety Stanów Zjednoczonych Walta Whitmana w Camden, także nie było tam nikogo ze zwiedzających. Młody człowiek, który otworzył wtedy drzwi, był jakby trochę zdziwiony gośćmi, do tego mówiącymi z cudzoziemskim akcentem. Pozwolił obejrzeć maleńki, w pełni urządzony domeczek z meblami, książkami, fotografiami i innymi licznymi pamiątkami po Whitmanie. Tutaj autor zbioru „Żółta trawa” spędził ostatnie lata życia.

Także innym razem i w innym domu Walta Whitmana, na Long Island, było pusto. Wnętrze bez sprzętów, domek krzywy, drewniany, mały. Młoda dziewczyna, która pełniła funkcję gospodyni, otworzyła drzwi powtarzając odruch zdziwienia z powodu obcego akcentu zwiedzających. Zaczęła się rozpytywać - i proszę, znała nazwisko Henryka Mikołaja Góreckiego (wymawiając je „Gareki” lub jakoś podobnie). O! i kontakt nawiązano.

Okolica domku Poego z 2000 r. zupełnie nie przypomina dzielnicy opisywanej przez Józefa Wittlina w jego szkicu. Po Żydach ani śladu, wszyscy się wyprowadzili (podobno w ciągu kilku dosłownie lat porzucili to miejsce), dawno zlikwidowano liczne sklepiki, pozostał tylko Emigrant Saving Bank (Wittlin pisze: Dollar Saving Bank) z jakby kościelną wieżą i zegarem opisywanym przez Wittlina - dziś już nie ma neonowych wskazówek, a tylko miedziane, pokryte zieloną śniegą. Stońce, beton, ruch samochodów, a zarazem swoista pustka - wrażenie stwarzane przez szeroką niezmiernie ulicę i wysokie czynszowe kamienice - atmosfera zupełnie inna od elegijnej, opisywanej przez Wittli-

na. Ale kto wie, czy przez to nie bardziej przynębiająca. Zepchnięcie poety na bok życia tym silniej odczuwane, odsunięcie na margines, utrata znaczenia. Było, minęło, nie warto wspominać; dziś weselą się tu Latynosi, smagłe lub ciemne skóry, półnagie, krępe ciała, radość życia, taniec, muzyka. Smutek, choroba, melancholia, rozpacz i groza Poego daleko w cieniu, w bez troskiej niepamięci. Dziś przyszedł czas innych ludzi, innej rasy, innej kultury. Oni opanowali dzielnicę, oni dyktują prawa życia, oni dziedziczyć będą ziemię. Na świat autora „Dzwonów” nie ma już miejsca, nie ma też miejsca na przejmujący smutek Wittlina w obliczu „żydowskiego raju” na Bronksie, szczęścia ludzi niepomnych na tragedię holocaustu gdzieś daleko, daleko stąd.

Niski biały domeczek z czerwoną dachówką, osłonięty drzewami parku chowa się w kącie, jakby starał się skryć w cieniu przed napierającym żywiołem tańczących, głośnych Latynosów, składa się z dwóch części: zasadniczego jednopiętrowego domu oraz czegoś w rodzaju przybudówki z osobnym kominem i dachem, jak równia pochyła spadającym głęboko w dół aż gdzieś na wysokość człowieka. Ganek przed zasadniczą częścią domku, osobny daszek.

Była to kiedyś bardzo ładna dzielnica i wciąż taką jest. Nie ma żadnych śladów po poecie, wspomnianych przez Wittlina - ani barów, ani zakładów usługowych imienia Poego. Odszedł całkowicie w niepamięć. Króluje latynoska kuchnia - małe brudawe na wygląd, nieporządne garkuchnie, a po drugiej stronie parczku - sklepiki hinduskie, chińskie jadłodajnie.

Wittlin nie mógł wybrać się na przechadzkę po Bronksie „w wigilię Świąt Dnia”, by dojść do domku - jak pisze w swoim szkicu. Fieldstone, gdzie mieszkał, dzieli od Grand Concourse i domku Poego ogromny dystans. Nawet dla wytrawnego piechura to przynajmniej dwie godziny drogi marszu i wspinania się po górzystych okolicach tej części miasta, a Wittlin nie należał do najmocniejszych. „Chyba jeździł tam czy to do lekarza, czy może do znajomych, albo w innych sprawach” - mówi córka Józefa Wittlina, pani Elżbieta Lipton.

Covid

Charles Dickens, który odwiedził Nowy Jork ponad prawie 200 lat temu, wyrażał się o mieście z najwyższą niechęcią. Nie tylko irytowały go tłumy na ulicach i wścibstwo ludzi, ale przede wszystkim mizéria ludzka, nędza bytowania, upodlenie egzystencji biedaków, wszystkich nieszczęśników (łącznie z więźniami) zepchniętych na dno społecznej vegetacji. Z uznaniem wyrażał się o eleganckim Broadway'u, ale nie omieszkał odnotować: „dwie dostojne maciory fruchtujące za powozem i doborową grupę z pół tuzina wieprzów właśnie wyłaniających się za rogiem”.

Dwa miasta - jak wtedy pod koniec lat czterdziestych XIX wieku, tak i dzisiaj, choć oczywiście świń (w sensie dosłownym) w Nowym Jorku już nie ma. Natomiast modne się robią kury w przydomowych ogródkach ze „zdrowymi” warzywami. U Dickensa dwa miasta w jednym jak w powieści Eugeniusza Sue - jedno dzienne, ruchliwe, zajęte pomnażaniem dóbr, zamożne. Drugie nocne - przestępcze i ponure, świat nędzy i moralnej deprawacji. Metafora metropolii - część miasta dostatnia i elegancka; część biedna, funkcjonująca na pograniczu prawa. Świat nędzy i nieszczęścia ludzkiego, styka się bezpośrednio z zamożnym. Jak dzień z nocą.

Zgroza metropolii - w amerykańskiej wersji: Gotham City miejsca rozszalałej prze-

stępcości, politycznej korupcji, zbrodniczego podziemia, należy do przeszłości, choć z takim wyobrażeniem do Nowego Jorku przyjechałem. Właściwie wrastałem w Nowy Jork wraz z postępującą zmianą punktu widzenia na miasto jako miejsce przyjazne, atrakcyjne i w dzień, i w nocy, wspaniałe do życia.

Lata dwudzieste XXI wieku przyćmiły ten obraz. Nowy Jork z jego milionami ludzi pędzącymi do pracy, zatłoczonego metra, zakorkowanych ulic, tłumów na ulicach, w restauracjach i kawiarniach, w parkach, teatrach, klubach, operach, wyludnił się. Zaraza. Rzeczywista, ale najprawdopodobniej pozorna, za to silnie nagłośniona politycznie Sceptycy mówią: pieniądź, zysk był w tym czasie największą zarazą. Ludzie zamknęli się w domach, w mieszkaniach, pozostało miasto widmo - pustych ulic, gdzie jeszcze niedawno panował gwar; zamkniętych sklepów, krat i żaluzji lokali, knajpek, kawiarenek; opustoszałych środków transportu miejskiego. Porzucone w panice miasto przejęli we władanie bezdomni, przestępcy, wścibscy. Strach przed wirusem pomnażał strach przed bezkarnym bandytyzmem w biały dzień. I nawet powolne przywracanie Nowego Jorku codziennemu dniu nie wskrzesiło dawnego optymizmu. Podejrzliwość, nieufność pozostała. Miasto to wielomilionowy tłum, każdy człowiek jest potencjalnym zagrożeniem, nosi w sobie zgubę. Wirus stał się wielką metaforą niebezpieczeństwa w masie: jeszcze niedawno radosny i przyjazny tłum w świadomości mieszkańców przekształcił się we wroga zbierającego dyszącą zarazkami, roznoszącą chorobę, zgubę i śmierć. Z dala, na dystans, precz, nie koło mnie: człowiek twój największy wróg. Wraz z tym nastawieniem przyszły negatywne emocje - złość, agresja, niecierpliwość z powodu obecności drugiego, który zawadza, stoi na drodze, przeszkadza i zagraża; albo irytuje samym faktem, że jest, tu oto stał, idzie, przechodzi. Wścieka, bo jest inny, nie taki jak ja, odmienny, a więc zapewne niebezpieczny.

Wychodziłem na opustoszałe miasto. Naturalnie bez zalecanej maski. Martwość, osobliwa cisza, czasem samochód przemknie. Z dala z przeciwnej strony ktoś idzie. Widzi mnie, przechodzi na drugą stronę ulicy. Boi się mnie - może, na pewno rozsiewa zarazki, jak dżumę, oddechem, samą obecnością rozpyla śmiercionośną chorobę? Promieniuję grozą? Może napadnę na samotnego wędrowca albo mam jakieś inne złe zamiary?

W gorący letni dzień czasu zarazy jadę rowerem do Corona Park - ogromny teren zielony wielkiego terenu rekreacyjnego na Flushing - tego, z zespołem kortów, między innymi, gdzie co roku we wrześniu rozgrywany jest wielki turniej tenisowy U.S. Open. Pustawo. Znakomita większość spacerowiczów w maskach ochronnych. Dziesiątki hektarów zieleni wokół, świeże powietrze sięgające błękitnego nieba. Szokuje mnie rozmiar ignorancji, niewiedzy o podstawowych zasadach higieny, rozwoju mikroorganizmów, zarażaniu drogą oddechową. Ale najbardziej przeraża mnie bierność ludzka, szybkie, dobrowolne i bezdyskusyjne poddanie się z nawijką zarządzeniom władz. Nawet tytuł wyreczeń się od nich nie wymaga, a jednak - może jednak trzeba? Chyba lepiej się zabezpieczyć? Zapewne wszystkiego się nie dowiedziałem.

Widzę, jak rodzi się totalitaryzm, rozpoznaję jego podglebie, na której wykwiła. Zabierze moją wolność - krzyczą bezgłośnie zwyczajni mieszkańcy - tylko mnie ratujcie! Godzę się na wszystko!

Dwa czynniki decydują o jakże łatwym zaszczepieniu totalitarnych porządków - ignorancja i strach. W każdym społeczeństwie.

Nowy Jork stracił na sile przyciągania. Znowu atrakcyjne stały się przedmieścia, większe zamieszkanie, mniejsze miejscowości. Trwa exodus także z innych wielkich miast.

Domy modlitwy

Przejeżdżałem przez dzielnice biedy, bardziej zapuszczone, zaśmiecone, zwykle z wielką liczbą „kościół” – domów modlitwy organizowanych w mieszkaniach, na piętrach domów mieszkalnych. Później, kiedy zacząłem jeździć rowerem także po Brooklynie, zrozumiałem, że to bardzo charakterystyczna oznaka niedostatku. Ubóstwo znamionuje w Nowym Jorku wzrost liczby „kościół”, czyli miejsc zgromadzeń dla wiernych znajdujących pocieszenie w wierze. Co trzeci-czwarty dom biednej dzielnicy przekształcony jest w dom modlitwy, gdzie schodzą się wierni. Przybytki te nie wyróżniają się niczym z ciągłej zabudowy ulicy – mieszczą się w zwykłych domach, zaniedbanych, zgoła ruderach. Poznać je można jedynie po szyldach na froncie, jak głoszą dumne, a niekiedy osobliwe nazwy: Borean Church of God International – Kościół Berejan Międzynarodowego Boga; 23rd Psalm Ministries: A Church for all People – Kaptanstwo 23 Psalmu: Kościół Wszystkich Ludzi; St. Luke's Christian Church – Chrześcijański Kościół św. Łukasza; Victorious Church of Jesus Christ – Zwycięski Kościół Jezusa Chrystusa; Church of Fire – Kościół Ognia, itp.

Zastanawia mnie wielka liczba „przydrożnych” kościołów. Na dwóch zaledwie odcinkach ulic Brooklynu, na dystansie nie dłuższym łącznie od jednego kilometra naliczyłem siedem takich miejsc, nie licząc imponującej budowli ewangelickiego kościoła z wieżą, nawami i wielkimi schodami doń prowadzącymi. Po co komu tyle „kościół”? – wypada mniej więcej po 150 metrów na jeden. Ale jeśli istnieją, to jest na nie zapotrzebowanie, niezależnie od tego, że niektóre stworzone być może wyłącznie do celów ulg podatkowych. Muszą jednak spełniać swą funkcję, bo inaczej IRS (urząd podatkowy) odkryłby manipulację.

Miejsca lokalnych zgromadzeń, z dala od ceremoniału i pompy zwłaszcza katolickich świątyń i odprawianych w nich nabożeństw, z dala od surowych, bezosobowych kościołów protestanckich wszelkich odłamów wiary. W domach modlitwy, czyli w istocie – w mieszkaniach, zbiera się okoliczna ludność, często znajomi, choćby z widzenia jedynie. Tworzą matkę społeczność, zintegrowaną dodatkowo wzmocnionymi więzami duchowymi. Nieważne oficjalne artykuły wiary, nieistotna hierarchia kościelna, bez znaczenia specjalne pomieszczenie. Wystarczy Biblia i kaznodzieja, który zjednoczy, przypomni o tym, co najważniejsze w życiu, pocieszy, pokieruje modlitwą, śpiewem.

Fantazjuje, bo nigdy nie byłem w nowojorskim domu modlitwy, ale sobie mogę wyobrazić choćby po dawnej wizycie w kościele św. Klemensa po zachodniej stronie. Wchodzę do mrocznego wnętrza, zaczynam się rozglądać. Poprzez witraż z lewej strony wpadało ostre światło słoneczne rozświetlające dość ciemne wnętrze. Dopiero w chwilę później uświadamiam sobie. Przecież to znajomy obraz! Orzeł biały na czerwonym tle i Pogoń – na błękitnym, w środku wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej. Napis pod spodem na błękitnej wstędze głosi: „Boże zbaw Polskę”. Po obu bokach zaś zamykają całość wstęgi układające się w barwy amerykańskiej flagi. Zrozumiałe napisy, znajome wizerunki. To był kiedyś, od początku XX wieku po lata sześćdziesiąte, polski kościół, dziś świątynia baptystów, grupujący raczej ubogich wiernych. Nie potrzebują splendoru

katolickiego wystroju, świętych witraży, licznych rzeźb i obrazów, ani bogato rzeźbionych ławek. Ołtarz i wykwinna ambona – w zapomnieniu. Zwyczajne, drewniane i metalowe krzesła ustawione w szerokie półkole. Tu zbierają się wierni, siedzą wokół swego kaznodziei, skupieni we wspólnocie w wierze, w modlitwie i refleksji. Budowla świątyni ich przerasta, jest za duża dla wewnętrznego skupienia i cichych słów pastora. Ale Polacy wyprowadzili się z dzielnicy po wybudowaniu dworca autobusowego przy 8 Alei, budynek był to wzięcia, katolicy innych narodowości społeczeństwa amerykańskiego (pochodzenia włoskiego czy irlandzkiego) mają swoje kościoły, które coraz częściej przejmują największa grupa katolicka w USA – Latynosi.

„The Voice”

Dopiero w wiele miesięcy po otrzymaniu przesyłki, otworzyłem matkę książkę napisaną przez dwie autorki na temat Żydów piotrkowskich – ich dziejów do czasu drugiej wojny światowej. Znalazłem w niej list od jednej z autorek do mnie, w którym kilkakrotnie wspomina pana Bena Giladi – wspaniałego kronikarza piotrkowskiej społeczności żydowskiej.

Zarazem przyszedł pocztą kolejny numer „The Voice of Piotrkow Survivors” – fascynującej publikacji redagowanej i publikowanej przez jedną osobę właśnie pana Giladi z Queensu.

Poznałem go przypadkowo kiedyś na prywatnym spotkaniu u pewnego profesora. Był to albo koniec lat 80. albo początek 90. Skromny cichy pan, pogodny i dobronaszny. Trudno powiedzieć, że się natychmiast zaprzyjaźniłem, ale na pewno – polubiłem się. Zaczął mi przysyłać swój biuletyn. Wymienialiśmy krótkie zwykłe listy – moje z wyrazami autentycznego podziwu dla jego pracy. Bo jego kwartalny „Voice” to kilkudziesięciostronicowa publikacja na kserografie w trzech językach – po angielsku, po polsku i hebrajsku – poświęcona wyłącznie Żydom z Piotrkowa Trybunalskiego: czasom przedwojennym, wojennym i losom Piotrkowian żydowskich po wojnie. Wielka kronika społeczności jednego, w końcu niewielkiego miasta, w którym przed wojną mieszkowało około 20 tys. Żydów. Wszystko to robione od 43 lat.

Pierwszy numer swej publikacji wydał w kwietniu 1965 r. – wówczas jeszcze we współpracy z Mosze Muszyńskim i Romanem Mogilańskim jako jednostronicowy informator. Gdy dwaj ostatni zmarli Giladi wziął się sam do pracy przemianował biuletyn w pierw na „The New Bulletin”, a od 1996 r. na „The Voice”.

Nie było to profesjonalnie robione pismo, ale pełne uczucia. Zawierało wspomnienia, listy, zdjęcia, Piotrkowian i ich dzieci czy dalszych krewnych, gości odpowiadających miasto, całą mieszaninę wiadomości, która łącznie składa się na dokumentację, swoistą kronikę tych co zginęli i tych, co przeżyli.

Zastanawiała mnie jego pasja, jego pamięć i jego przywiązanie do społeczności żydowskiej miasta i samego Piotrkowa; jak człowiek urodzony w 1925 r. zachował tak silną pamięć i emocjonalną więź z dawnym już nieistniejącym światem? Uporczywie wydawał swój biuletyn, choć w 1997 r. – jak napisał o nim The Jewish Week – wydawał swój „Głos” dla 700 subskrybentów. Ilu z nich zostało w następnych latach?

Kiedy swego czasu pan Giladi zaprosił mnie (jak się okazało – jedynego goja na sali) do konsulatu na swoją uroczystość (nie pamiętam – jaką? odznaczenie, czy coś podobnego) nie przyszło więcej niż 50 osób, a przecież nie wszyscy z obecnych wywodzili się z Piotrkowa. Wspominał wówczas, iż głów-

nymi autorami materiałów składających się na jego biuletyn nie są już rodowici Piotrkowianie, ale ich dzieci czy wnuki.

Urodził się, oczywiście w Piotrkowie Trybunalskim jako najmłodsze z czwórki dzieci. Hitlerowcy właśnie w tym mieście utworzyli pierwsze w całej Europie getto. Do 1942 r. większość piotrkowskich Żydów wywieziono do Treblinki. Przeżyło tylko dwa tysiące najbardziej zdolnych do pracy. W 1944 r. Bena Giladi wywieziono do Częstochowy, gdzie pracował w fabryce amunicji, ale już w styczniu 1945 r. fabrykę ewakuowano z uwagi na zbliżający się front sowiecki. Wylądował w szeregu niemieckich obozów i tak doczekał wyzwolenia. We wrześniu 1945 r. wrócił do Polski wraz z trójką siostr, które także „cudownie” przeżyły obozy. Ale w 1950 r. wymigrował do Izraela. Tu wstąpił do wojska, spotkał swoją przyszłą żonę, Towę, która także pochodziła z Piotrkowa, osiedlili się w kibucu pod Tel Awiwem. W 1959 r. wraz z córką Iris, wyjechali do USA i osiedlili się na Bronksie, wówczas bardzo żydowskiej dzielnicy. Pracował w związkach zawodowych. Na emeryturę przeszedł w 1987 r.

Pewnego razu napisał do mnie, że chce wydać po polsku zbiór swoich opowiadań i aby mu pomóc w tłumaczeniu. Wziąłem chyba trzy jego krótkie historyjki i przełożyłem dlań jako wyraz uznania dla jego pracy i osiągnięć.

Pan Giladi zmarł pod koniec czerwca 2012 r. Sporo wcześniej rozstał wiadomości, że ze względu na stan zdrowia rezygnuje z redagowania „The Voice” i wydawnictwo przekazuje w inne ręce. Za wydawanie magazynu zabrano się kilka osób i wkrótce przestał wychodzić.

Dzieło jednego człowieka przywiązane do pamięci do dawnego miasta i specyficznej grupy etnicznej. Niektórzy tę obsesyjną pamięć przeszłości nazywają, błędnie moim zdaniem, „nostalgia”. Jest to „proustowski” syndrom uporczywego zachowania i odtworzenia w myśli, w świadomości tego, co było, bezpowrotnie minęło, zginęło w otchłani przeszłości.

Ben Giladi był jednym z wielu polskich Żydów w Nowym Jorku – tych, którzy przyjeżdżali stopniowo do miasta po 1945 roku, albo w większej grupie, jak emigracja „marcowa” po 1968 r., osiedlili się tutaj. Zróżnicowana, zawodowo zwykle dobrze spełniona. Polski był ich językiem podstawowym, siła rzeczy ciążyła ku polskiej grupie, jej organizacji, jej spraw.

Polsce Żydz w Nowym Jorku to osobny temat. Takiego opracowania nikt się już chyba nie podejmie. Ta energiczna, zróżnicowana i ciekawa grupa zanika, jak wszystko z mojego świata, który odchodzi w niebyt. Inni ludzie, nowe otoczenie, odmienne obyczaje.

Sztuka uliczna

Sztuka z lat osiemdziesiątych, czasów moich pierwszych lat w tym mieście – twórczość ulicznych artystów – tych, którzy paprali po murach budynków nowojorskich, irytując zamazanymi ścianami dozorców domów, właścicieli posesji, ale też ciężarów, wagonów metra. Dziś dostojni artyści, ich prace w muzeach, galerie sprzedają ich dzieła za duże pieniądze. Wówczas właściciele chuligani, utrapienie przyzwoitych mieszkańców. Pozostawali pod ogromnym wpływem telewizji, rysunkowych filmów, filmików reklamowych – bawili się w sztukę, w proste artefakty, coś pośredniego między szczeniackim wyglądem, a kontestacją wobec oficjalnej sztuki, do której nie mieli dostępu – bo traktowano ich jako ulicznych niedorostków smarujących mury miasta.

Narkomani (Jean-Michel Basquiat), ho- ➔

→ moseksualiści (David Wojnarowicz) żyli byle jak, szybko, w pośpiechu tworząc coś na marginesie uznanej sztuki. Przez większość uważani za degeneratów, beztalencja, którzy miast parać się sztuką paskudzą tylko ściany. Świetny mural Keitha Haringa na ścianie domu mieszkalnego na szczęście został sfotografowany (zdjęcie widziałem na wystawie w Nassau County Museum), bo oryginał zapewne szybko zmyto jako szpecący fasadę. Miast farb używali barwnego spray'u w puszkach, miast rzeźbiarskich materiałów – odpadków, śmieci, złomu, rzeczy wyrzuconych, znajdujących na chodnikach, z których tworzyli „wyglup”, artefakty prowokacyjnie tandetne, kiczowate, byle jakie – w sensie wykonania. Była to po części zamierzona, celowa działalność poszerzająca granice sztuki i jej „definicję” (nigdy nie-emożliwą do sformułowania) – nie wszystko, co znajduje się w galeriach i muzeach jest sztuką. Często to kicz. Także ulice, tunele metra są miejscem wystawowym a przechodnie taką samą widownią, jak goście odwiedzający przybytki sztuki. Nie tylko płótno i farby, kamień i marmur, ale również odpadki mogą być i są substancją sztuki.

Może nie myśleli w kategoriach „sztuki”, ale rzeczy przetworzonych, substancji użytych z ciekawości, by zobaczyć, co można z tego zrobić dla zabawy, która przekracza komercjalizm doskonałej wytwórczości. Rzeźby zepsute, materiały odrzucone, w nich także tkwi potencjał manipulacji, przetworzenia w coś innego. Bo w istocie o to chodziło, o pokazanie negatywnej, ciemnej strony sztuki galeryjnej, o kontestację i wyzwanie. Po drugiej stronie lustra uznanej twórczości także są ludzie z wyobraźnią, często otwarcie szydzący ze sztuki oficjalnej, egzystujący jako cienie artystów uznanych i podziwianych.

Basquiat jest/był najwybitniejszym przedstawicielem tego nurtu – mazania na ścianach, dawania znaku, że oto jestem, istnieję, inny, ale specyficznie piękno wyrażam; nie uznajecie mnie, ale jestem, trudno mnie zlekceważyć, przeoczyć.

Gdy przyjechałem do Nowego Jorku ta działalność artystyczna – coś pomiędzy życiem w pośpiechu, a twórczością, była w pełnym rozkwicie. Jeśli w ogóle ją zauważyłem, to tylko jako bohema, farbą zapaćkaną fasadę budynków, obok których przechodziłem, szpeceniem wagonów metra – w środku i na zewnątrz. Nawet gdybym przechodził obok malunku świetnego Basquiata, muralu Haringa, nie zauważyłbym ich. Albo odnotowałbym je ze wstrętem, frustracją jako świadectwa brudu miejskiego, bylejakości codziennego życia, upadku obyczajów, zawładnięcia miasta przez element anarchiczny. Burzenie przedziału między sztuką („wysoką” – jedyną zasługującą na to miano), a życiem codziennym z jego energią, witalnością, łapczywą zachłannością. Sztuka jest tu, na ulicy, na twoich oczach, przechodniu, nie musisz iść do galerii; sztuka to przede wszystkim umiejętność patrzenia.

W pierwszych latach pobytu w Nowym Jorku często odwiedzałem East Village, dzielnicę bohemy artystycznej. Oszatomienie widokiem wieczornych tłumów młodych ludzi przewalających się po Druhej, Trzeciej Alei, bocznych ulicach, zwłaszcza Osmej (St. Mark's) – handlowej ze stoiskami oferującymi wszelką tandetę – odnaki, figurki, kolorowe koszulki z najbardziej oburzającymi napisami, podobnej jakości „buttons” (ciekawe, czy jest stosowna polska nazwa na tę rzecz?). Na chodnikach w gorące letnie wieczory panował taki ścisk, że trudno było się przepchnąć. Tłum falował więc, dostojnie posuwając się do przodu, złożony z ludzi o najfantastyczniejszych ubraniach, fryzurach, butach. Jak pa-

nopticum przebierańców. Czułem się wśród tej karnawałowej (dla mnie) ciżby obco, odstawiałem i wyglądem, i ubiorem – zwyczajnym pospolitym, bez śladu awangardowego zmysłu. Szokował mnie i bawił zarazem, ale i odręczał. Nie chciałem do tej kategorii ludzi należeć. Byłem osobny, odległy, tak jak i ów świat fantazyjny, groteskowo dziwny był mi całkowicie obcy.

Z takim też dystansem spoglądałem na mury zdewastowane farbą ze sprayu. Dla mnie całkowita abominacja, oszpecenie codziennego życia. I dalej wciąż tak uważam. Ich program sugerował: każdy jest artystą; nie masz dostępu do galerii, spróbuj na murze domu, pokaż, co potrafisz, a znajdziesz liczniejszą publiczność niż galeryjnych gości. Twój bohema jest tyle samo wart, co dzieło w muzeum pośród nieskazitelnych ścian. Wmawianie ludziom, że są utalentowani, tylko zepchnięci na margines przez społeczny konwenans. To, co robisz, jest świetne, te małżeństwa na murze, to wielkie dzieło sztuki, tylko ci zarozumiali, zadufani w sobie rzekomi konesery nie chcą w tym widzieć artyzmu. Dalej więc, do przodu, brudź ściany, zamazuj swoimi poprawnymi (?) pociągnięciami puszki z farbą, aż cię zobaczą, docenia, uznają.

Patronem tego stylu myślenia był oczywiście Andy Warhol: jesteś wielki i wspaniały, to oni, mali filistrzy, ciasne umysły zamknięte w komercyjnej świadomości, nie potrafią cię docenić. Bo sztuka dla nich to towar, rzecz, przedmiot handlu, oznaka statusu społecznego. Jeśli się tego nie da sprzedać – jak ściany w metrze, jak malunku na froncie budynku – to nie jest sztuką.

Miasto samochodów

Nieco o samochodach. Ja, człowiek chodnika, przestałem na nie zwracać uwagę. A Nowy Jork jest wprost zapchany samochodami, ciężarówkami. Zaskoczyło mnie w pierwszych tygodniach pobytu, że przy tak ogromnym ruchu nie czuć w mieście spalin. Niezależnie od czystej, bezołowiowej benzyny (w tamtych latach rzadkość w PRL-u), wiatry znad oceanu tworzą wspaniały przeciąg. Skutecznie wydymuchują zanieczyszczenia z kratownicy ulic i Alei.

Posiadanie samochodu w Nowym Jorku traktuję jak nieszczęście. Doświadczam go od lat, toteż po mieście jeżdżę autem tylko z najwyższej konieczności. Jazda koła za kołem przeciąga się niemożliwie.

Parkowanie samochodu stanowi osobną sztukę zasadniczo łączącą dwa najważniejsze elementy. Po pierwsze, znalezienie miejsca, gdzie można przy krawężniku ulicy wcisnąć samochód. Po drugie, uważne zlustrowanie wszystkich okolicznych znaków informacyjnych – dla początkującego w mieście kierowcy zadanie nie lada z tego prostego względu, że informacje i zalecenia są jakby sprzeczne. Typowy przykład, który kosztował mnie parę mandatów nim nauczyłem się odczytywać właściwy komunikat, „właściwy” czyli ten, który znosi ważność innych. Informacja przy ulicy zawiadamia, że – powiedzmy – do 8 rano można w tym miejscu parkować. Tuż pod spodem inna tablica zawiadamia, iż sprzątnięcie tego odcinka ulicy zaczyna się od 7.30. Naturalnie, pierwszemu nie można wierzyć; obowiązuje drugie.

Każde wolne miejsce oglądam podejrzliwie nim zostawię samochód. Czy nie ma pompy (nie wolno!), czy nie ma wyjazdu (nie wolno!), czy nie ma kościota (nie wolno!), czy nie ma innych obostrzeń, napisów, zakazów, ograniczeń. Trzeba czytać wszystkie okoliczne tablice, niektóre całkiem zabawne w sformułowaniach: „Don't even think of parking here”, albo: „No parking, no stan-

ding, no stopping, no kidding”.

Porzucam samochód, przesiadam się na rower: przyjemniej i szybciej.

Ponownie: nowojorska samotność

Trudno czuć się samotnym w tłumie nowojorczyków. Mił „samotnego tłumy”, koncepcji wylansowanej przez Veblena, nie znajduje pokrycia w rzeczywistości. Mieszkanie miasta pragnie znaleźć się w ciszy, odosobnieniu, gdzieś na bezludziu, gdzie mógłby rozkoszować się samotnością, byciem tylko z sobą – czy to w przyrodzie, w restauracji, czy na ulicy. Nierealne, więc tylko marzenie pozostaje, w rzeczywistości bowiem napierająca masa ludzi, gęstwa przechodniów, tłum chętnych do korzystania z atrakcji miasta, ciżba przemierzających się – metrem, autobusami, samochodami, a w ostatnich latach coraz częściej rowerami, deskorolkami, hulajnogami i wszelkim pojazdem elektrycznym – jest wszechogarniająca. Gdzie się nie obrócić, tam mrowie – do parku, do kina, do sklepu, na plażę, czy gdzie indziej. Przesycenie ludźmi. Coraz trudniej o przestrzeń, o swobodniejszy oddech. Miasto z jego ośmioma milionami mieszkańców – wliczając codziennych przyjezdnych do pracy i w interesach – ponad dziesięcioma, kipi, tworzy nową jakość – pięty żywioł: ludzkie kłębownisko.

Zjawisko to nie ma nic wspólnego z „buntem mas” Ortegi y Gasseta i jego poprzednikami; nie ma również nic wspólnego z samotnością tłumy wylansowaną przez Veblena. Ortega (i jemu podobni) był zniesmaczony postępującym egalitaryzmem i wzdraniem się mas do „centrum”; Veblen widział w tłumie siłę alienacyjną, która nie pozwala jednostce zakotwiczyć się wśród ludzi, nawiązać w społeczeństwie współczesnym serdecznych więzi z drugim człowiekiem. Dzisiejszy tłum nowojorski to zbiorowisko milionów indywidualności uzbrojonych w telefon, pozostających w nieustannym kontakcie ze „swoimi”, choć bez wymarzonej przed dawnymi myślicielami bezpośredniej bliskości. Ani wyalienowani, ani nie szczęśliwi z powodu „awansu” społecznego do „centrum”. Jednostki wolne, swobodne, poruszające się w swojej przestrzeni. Łącznie nie tworzą w milionowym mieście pazerne tłumy Ortegi, wciskającego się wszędzie tam, gdzie nie jego miejsce, zagrażającego porządkowi społecznemu; ani nie tchną zagrożeniem, gotowi w każdej chwili przekształcić się w niebezpieczną tłuszcę, bezrozumną, działającą na ślepo, niszczącą i zabijającą – jak w wyobraźni Eliasa Canettiego.

Tłum nowojorski to całkiem coś innego. Nie pasuje do niego określenie „tłum”, bo słowo niesie ze sobą dawne – negatywne – konotacje, podczas gdy dziś charakteryzuje nową jakość, w którą przekształcają się jednostki, kiedy osiągną „masę krytyczną” natężenia, nasyceni ludźmi. Wolni, swobodni, zajęci sobą, nawet w tak ogromnej liczbie są wciąż indywidualnościami. Odrębne rasy, kultury, obyczaje, stroje i zachowania. Nowy Jork jest tygłem narodowości (podobno tylko na Queensie – najbardziej międzynarodowej dzielnicy Nowego Jorku – mieszkańcy mówią ponad stu językami) mieszkających razem, a zarazem osobno. Jedziesz do Jackson Heights i znajdziesz się jak w Indiach, na Brighton Beach – wkraczasz w świat rosyjski, coraz to nowe wielkie skupiska tworzą Chińczycy, ludzie z Jamajki, wysp karaibskich zwanych łącznie „Indiami zachodnimi” – w Brooklynie, w okolicach Flatbush Ave., Grecy – na Astorii. Nie są to enklawy stałe, zmieniają się, przesuwają. Polacy zawężeni do Greenpointu znikają i z tej dzielnicy, a jeszcze w latach osiemdziesiątych byli silnie obecni

na East Village. Pamiętam z tamtych czasów skupiska niemieckie na Manhattanie. Już ich nie ma.

Nowojorski tłum nie jest samotny, bo też i nie ma „tłumu”. W angielskim istnieją trzy słowa na określenie tego stanu: loneliness, solitude i solitary. W podstawowym słownikowym wyjaśnieniu podaje się dla nich „samotność”, tymczasem „loneliness” dotyczy kategorii veblenowskiej, podczas gdy „solitude” oznacza dobrowolne odseparowanie się w sensie o jakim pisał, na przykład John Keats w znanym wierszu „O Solitude”, marzeniu o ostepach natury, gdzie wolne, pokrewne duchy mogą swobodnie, nawet bez słów, komunikować się, poeta może być sam ze sobą.

„Solitude” jest kondycją mieszkańców Nowego Jorku. Uciec „w naturę” bezludną nie można, bo wszędzie jest pełno ludzi. Zresztą nie ma takiej potrzeby, bo „solitude” zapewnia ów romantyczny komfort stawiony przez Keatsa – odrodzenia się, odseparowania, zamknięcia w sobie. Stan zadowolenia, a nie bynajmniej desperacji z koniecznej izolacji, wyobcowania. Jeśli mieszkaniowiec współczesnego wielkomiejskiego zbiorowiska wykształcił jakąś szczególną umiejętność ułatwiającą funkcjonowanie, to jest nim właśnie swoisty błogostan „solitude” w tłumie, zdolność bycia sam z sobą pośród ludzkiej ciżby.

Heat wave,

czyli fala upałów. Zdarza się kilka razy każdego lata. Trwa parę, niekiedy nawet paręnaście dni. Miasto jak rozpalona patelnia, żar leje się z nieba. Nowy Jork zwykle wypętniony na chodnikach przechodniami – tubylcami spieszącymi w swoich sprawach, przybyszami w interesach, turystami – pustoszeje. Ludzie znikają, a jeśli idą, to ocienioną stroną ulicy, chroniąc się przed bezpośrednim atakiem słońca tam, gdzie budynki rzucają cień. Choć minimalna ulga, choćby pozór chłodniejszego miejsca przynosi ulgę ciałom skatowanym upałem.

Przechodnie, czyli ci, którzy ze znanych sobie powodów muszą wyjść, wpadają od czasu do czasu do sklepów, lokali, innych dostępnych pomieszczeń – tam, gdzie klimatyzowane wnętrza owiewają ożywczym chłodem. Pierwsza reakcja takiej ulgi – pot bijący na całe ciało i mokre ubranie. Po paru minutach wilgoć paruje i następuje ochłodzenie. Można iść dalej.

Podobno – czytałem o tym w historycznie udokumentowanej powieści Susan Sontag o Helenie Modrzejewskiej – dawniej kobiety ubrane w grube ciężkie, wełniane spódnice i podobnego gatunku bluzki, mdały na ulicach miasta, ale po skropleniu zimną wodą, odpoczynku, jakby nigdy nic ruszały w swoją drogę. Czyżby mężczyźni byli odporniejsi na nowojorski upał, że o ich słabościach się nie wspomina?

Bary, restauracje, a zwłaszcza kina reklamowały się chłodzonymi pomieszczeniami. Na wielu starych filmach widziałem ogłoszenia tej treści. Nawet jeśli film nie był dobry albo już widziany, warto było kupić bilet, wejść, by posiedzieć w chłodzie dwie godziny.

Przed każdą falą upałów media biją na alarm: uwaga, gorąco, niebezpiecznie zwłaszcza dla starszych. Nie wychodzić z domu, siedzieć w klimatyzowanym pomieszczeniu, pić dużo wody! Uruchamiane są specjalne „cooling centers”, czyli miejsca, dokąd mogą przysiąc ci, którzy nie mają klimatyzatorów – posiedzieć w chłodku, otrzymać zimny napój, przeżyć dzieńne uderzenie słońca.

Na letnie upały Amerykanie mają lód, lody i t-shirt – dwa sposoby zaradzenia, albo przynajmniej ulżenia dolegliwościom ciała wynikają-

jącym z gorącej aury. Lody – najpopularniejszy bodaj deser sprzedawany w najrozmaitszych postaciach i smakowych kombinacjach. Sporych rozmiarów paczki, wiaderka lodów zalegają ściany lodówek w supermarketach; zamrażarki w mniejszych sklepikach. Na dodatek w lecie ulicami przejeżdżają chłodziarki sprzedające lody. Swą obecność zapowiadają jakąś znaną prostą melodyjką, jak dźwięcznym kurantem obwieszczając dzieciom zwłaszcza, że lody przyjechały pod ich dom. Ich natrętny klangor jest irytujący. Z rezygnacją reaguję na dźwięczne, donośne tony muzyki ludowej „pop, goes the weasel” pod moim domem: nich jak najprędzej odjedzie!

„Nie zapomnij o lodzie”, głoszą letnie napisy w sklepach.

Lód dodaje się do wszelkich napojów, a mrożonki do picia wymyślane są w coraz to rozmaitszych wariantach. Anglicy na gorące indyjskie czy afrykańskie aury mieli gorącą herbatę; Amerykanie na swoje upały – mrożone napoje albo coca colę z lodem – mówią metaforycznie, bo wybór tzw. sody pitej z lodem jest ogromny.

Politycy, działacze społecznie przegrali walkę z „sodami”. Wielka w nich zawartość cukru jest szkodliwa dla zdrowia, przyczynia się to otyłości dzieci (nie wspominając o dorosłych), powoduje wiele chorób. Rozpoczęto kampanię uświadamiającą o niszczących skutkach cukru w organizmie, przekonywania do picia wody miast sody. Bez skutku. Amerykanie od dziesiętków lat stoją wiernie przy swojej coca-coli czy pepsi z lodem. Politycy domagali się zakazu sprzedaży wielkich dwulitrowych i tanich przy tym butli „sody”. Naderemnie. Przemocna siła ceny i przyzwyczajenia wzięty górę.

W upalne nowojorskie lata człowiek staje się głównie ciałem udręczonym, narażonym na parówkę duszącej, wilgotnej aury. Wszelkie ubranie dokucza nadmiarem. Niewiele pomaga t-shirt, ów uniwersalny strój zastępujący koszulę. Z krótkimi rękawami, bez uwierającego szyję kołnierza, wdzianko, które dawniej nazwalibyśmy podkoszulkiem. Taką też rolę spełniał w minionych latach, kiedy był również częścią wygodnego roboczego stroju (wraz z džinsami) w ciepłych warunkach.

Tak jak dzinsy, również t-shirt podbił świat. Stał się powszechnym przyodziewkiem dla kobiet i mężczyzn. Niedługo, dawno, wylansował go Marlon Brando, który jako filmowy Stanley Kowalski prezentował męską sylwetkę odzianego w t-shirt prostaka i gbura, ale ognistego kochanka.

Noszą go ludzie na wszystkich kontynentach, produkują go największe firmy dyktujące modę, ceny za sztukę rosną, materiały coraz bardziej wyrefinowane, kolory – wystudiowane. Kariera t-shirtu z podrzędnego robociarskiego okrycia ciała po szynkową część odzieży, ewentualnie pod marynarkę, na wytworne przyjęcia. Prostota a zarazem wystudiowana elegancja. Bo przecież w tym stroju niczego się nie wymyśli. T-shirt ma standardowy krój dwóch płatów płótna w kształcie litery „T” szytych razem i nic więcej.

Idę nowojorskimi ulicami w upalne lato. T-shirt i krótkie spodnie – jak najmniejsza powierzchnia ciała zakryta. Wycham wilgotne, rozgrzane powietrze. Lubię upał.

Malinowski

Poszedłem na wystawę fotografii Stanisława Ignacego Witkiewicza do jednej z renomowanych galerii. Już w latach dziewięćdziesiątych Witkacy był artystą znanym i cenionym w artystycznych środowiskach amerykańskich, a w szczególności fascynowano się jego sztuką fotograficzną – eksperymentami z aparatem i obiektywem, kiedy jeszcze był to sprzęt pomocny do jarmarcznej rozrywki, co najwyżej

– pospolitych portretów – jak uważano. Szanujący się artysta bierze się za pędzel i farby, a nie za aparat do robienia zdjęć, czyli dla odwórczej, rzemieślniczej czynności.

W obszernej galerii rozmieszczono czarno-białe fotografie Witkacego. Chodzę, oglądam. Wśród portretów natykam się na podobiznę młodego wówczas Bronisława Malinowskiego, serdecznego przyjaciela malarza, z którym nawet wyruszył w podróż na odległą wyspę południowego Pacyfiku, gdzie jego towarzysz miał badać życie „dzikich”. Daleko zresztą nie popłynął, bo zatrzymał go wybuch wojny, zwanej później „pierwszą”. Witkiewicz jako poddany rosyjski, wrócił, a inicjator wyprawy popłynął dalej i tak rozpoczęła się jego kariera wielkiego antropologa i droga życiowa – z Polski do Anglii, Francji i Włoch – do Londynu, by skończyć w New Haven, niedaleko Nowego Jorku, gdzie mieści się Yale University.

Ponieważ w tamtych latach pozostawałem w kontakcie z dwiema z trzech córek słynnego antropologa – najstarszą Józefą i średnią – Wandą, mieszkankami Nowego Jorku, toteż zadzwoniłem do tej drugiej, szczególnie wrogo nastawionej do ojca. Nie mogła mu wybaczyć powtórnego ożenku, a zwłaszcza pogardliwego stosunku ojca do jej, Wandy, pracy jako modelki. Córka bez wykształcenia nie chciała się uczyć, studiować, ale poświęciła się dość frywolnemu – w jego pojęciu – zajęciu pozowania na pokaz, była dlań – uczonemu, intelektualisty, arystokraty ducha – życiowym wstydem.

Namawiam ją na pójście na tę wystawę. „Zobaczysz – mówię – jakim przystojnym człowiekiem był twój ojciec w latach młodości.”

Zainteresował się. O tak, koniecznie chce to zobaczyć. Wezmę Józefę i pójdziemy razem.

Drugą część tej anegdotycznej historii znam z opowieści.

Siostry zatrzymały się przed portretem ojca. Zachwycają się. Idą do właściciela galerii i mówią, że chcą kupić tę fotografię. Człowiek ów tłumaczy, że zdjęcia na wystawie nie są na sprzedaż, ani nawet nie wolno ich kopiować. Zainteresował się jednak, dlaczego właśnie ten spośród wielu portretów Witkacego tak się starszym już wówczas paniom podoba: czyżby szczególnie przypadł im do gustu ów przystojny młody człowiek przedstawiony na zdjęciu w „intelektualnych” druczanych okularach.

Bo to jest przecież wizerunek Bronisława Malinowskiego, naszego ojca, bo my jesteśmy z domu Malinowskie – mówią.

Właściciel galerii się podekscytował. To fantastyczna sytuacja – zawołał. – Zadzwonię zaraz po mojego fotografa, aby zrobił pamiątkowe zdjęcie – co za okazja: ojciec na zdjęciu i dwie córki obok.

Nie trzeba dzwonić – odezwał się na to mężczyzna stojący obok. – Ja zrobię zdjęcie.

- A pan kto?

- Jestem zawodowym fotografem. Nazywam się Malinowski.

Traf zrządzili, iż wizyta Józefy i Wandy zbiegła się z odwiedzinami w galerii Zygmunta Malinowskiego, doskonałego fotografa, znanego w polskim środowisku z wielu reportaży i artystycznych zdjęć.

Właśnie on opowiedział mi tę anegdotę. Nie jestem pewien, czy ostatecznie zrobił to zdjęcie. Nie pamięta, czy mi pokazał, chyba nie widziałem. Właściciel galerii stracił entuzjazm; był podobno mocno zdezorientowany, niepewny, czy przypadkiem nie jest ofiarą tego, co Amerykanie nazywają „practical joke”, psikusa w wykonaniu trzech nieznanym mu osób, strojących sobie żarty z nazwiska „Malinowski”.

CZESŁAW KARKOWSKI

Widok szeroki i daleki błękit. Są w nim ramiona obejmujące niebo i ziemię, domy, ścieżki, drzewa, trawy, strumienie, obłoki, horyzont, dają widok, te ramiona. Wielkości widzialne i niewidzialne.

Liczę oddechy, puls, kroki, dni, przebyte ścieżki, odwiedzone domy, upadki, zmęczenia przytłaczające, rozmowy, twarze spotkane na drodze. Tu przyszedłem, żeby liczyć z kroku na krok, powoli swój rachunek.

Pokazały się mocne, leśne korzenie, oplatają twardą, kamienistą ziemię, są jak odwieczne, więc trzeba mieć korzenie, trzymać się ziemi.

I ta zieleń prześwietlona promieniami, wysokie jej gejzery, wznoszą się jeden obok drugiego, a ja patrzę, akurat tu i teraz. To są rzeczy podstawowe.

Tu jestem stopami obolałymi, utrudzonymi myślami, samotnymi oczami, i taki jaki jestem. Zostawiam co ciężkie, co już nic, zostawiam. Nie muszę wiedzieć, co i jak pojawia się w jako poeta.

Otwarta przestrzeń, znak plus gdzie wzrokiem nie sięgać. I gdyby to zdanie nie zatrzymywało się, ale Tam nie ma dostępu.

Szeroko na niebie smugi, co jeszcze jest potrzebne, poza rozsnutym malarstwem.

Jest zwyczajna zieleń, zieleń która leczy. We wszystkich tonacjach chlorofil. Spełnia swoje posłannictwo bez pośpiechu.

Ku dolinie poboczem w potoku zbiega woda, woda szeleści tak cicho, że słyszą ten szelest kamienie, małe i większe. I ja zbiegam ku dolinie. Skarpa przy potoku nie za stroma, powietrze czyste, płucom lekkość, i tak to trwa, nisko, wysoko i wszędzie.

Można zatrzymać się, odzyskiwać oczy, patrzeć w dół urwiska, aż do zniknięcia blasku. Iluminują liście. Wyrwał się ptak. Skrzydła niosą. Za zakrętem rosną gęste, wysokie trawy. Jestem w środku. Nic tu przeciw życiu nie urosło. Znaki, rośliny, wytrwałe kamienie, przyjazne, jak bez nich byłibyśmy ludźmi.

Milczenie się powtarza. To samo we mnie skupienie, które dają siłę. Tylko inaczej ukształtowane, w gęstwinie ciała. Jest w tych powtórzeniach milczenie wszystkiemu pomocne. Pracuje z całych sił słońce.

Odkrywa się. Przed kim się odkrywa to dziwne istnienie, oddycha, drży, objawia światło i daje wodę, tak jawne, że aż poświadcza tajemnicę.

Wzniosła się skała, linie pionowe nie znają samotności, skała obwieszcza swoje proroctwo, poumieszczały się w jej załomach zieleń, wilgoć, pyłki, nasiona, które w maleńkich szczelinach trzymają się.

Tu jest miejsce dla życia jak te dzwonki żółte, kielichy subtelne z wonnościami co wiedzą, że są tylko chwilę, wolne od namysłu czy znaczenie ich jest mniejsze, że tylko tyle, delikatne płatki, taka jest ich jedyność, do której pielgrzymują. Piękno nieskalane. Jeszcze się opiera o skałę.

Na wysokich łądach kwiaty. Oby oczom jak najdłużej.

Z ostrych linii skał, pionowych, nagich, pełnych ciężaru i kosmicznego trudu, z załomów ciemnych, jaskrawych krawędzi, doświadczanych lat, idzie hymn ku niebu. A moje sprawy, słowa, myśli, dni grzęzną.

To jak modlitwa, czemu jak, nieporównywalna modlitwa, wyznanie do końca, pytanie o jestem, kim jestem, przechodzę zdany, zdany na swoje być albo nie być. I gdzie jest jeszcze jedno wyjście.

I znowu, kim jestem? Ja lub nie ja. Skalną ścianą, pnem rzuconym na pobocze, domem dla małych roślin, małych zwierząt, owadów, skrzydlatych istot, skończoność w nieskończoności, moja drobnosc, mój pyłek, motyl dziecięcy w naiwności, znikomy oddech, tutaj odnaleziony. Jaki niedoczytany ten sen naprawdę.

Rozlega się śpiew, najdrobniejsze technienie w nim się zanurza. Czasem człowiek słyszy ten śpiew i też się zanurza.

Przedziera się światło do rzeczy w cieniu, co pozostają w oczekiwaniu. Pograżone w samych sobie. Cienie przypominają, tak, przypominają, ile jest pamięci, obecności w każdym spojrzeniu i słowie i także w dotyku, który jest sam.

Tak bardzo tu jestem, że prawie mnie nie ma. I nie szukam nazwy.

Zatrzymuję kroki, cofam się, popadam w pustkę, w niezgodę, co jest naprawdę, pytam i kogo pytam.

Tu nic nie jest kupione, jest wszystko, w pełni ze sobą, skąd wzięte, ile może być, tyle jest, jako okna i drzwi aż po nieskończoność, a jednak tylko dla niektórych, którzy chcą iść dalej i dalej.

Nie myśl, że od ciebie zależy rozpięta, wypełniona barwą i kształtem ta wieczna chwila, To może być garść promieni na trawie, która nie wymaga uzupełnień. A pozostaje ze mną.

Na trawie, na piasku, na liściach, na wodzie ta opowieść. Dotykalna baśń o nieznanym wnętrzu, które skutecznie unika definicji, i to, że nic poza nim. Idę dotknąć, zobaczyć. Idę uwierzyć po prostu. Więc czemu tak trudno.

Nie piszę światła, światło mnie pisze. A ja.... Lepiej nie mówić.

Patrzę światła, cienie, swoimi snami, kamieniami, nierównościami ścieżki, porostami, powojami, małutkimi kwiatkami, kroplami, mówią coś, lecz milczą, co jeszcze odgadnę, co mówię, nie wiem, jaki mój przedział.

Zaciemniają się jasne rzeczy tego świata i przejaśniają ciemne. W nich odczuta dostępność. Gdzie przestrzenie otwarte, gdzie przestrzenie zamknięte. We mnie ścieżki. I ten tekst czytelny po części.

Nigdy nie będziesz tak blisko, nie dojdiesz końca, żeby wiedzieć to samo, co jest obok, na centymetr, tuż, niczym nie skażone, żadnym błędzeniem, osądem, który powiększa samotność. Ale nie zostawiaj tej myśli samej sobie.

Nie gub czułości, którą istnienie ma dla ciebie.

Odsłonił się zaulek, w którym łodygi, nie połamane, wysmukłe, w tonacji beżu i brązu, tkwią w ciszy, nic nie krzyczy o uzupełnienie przestrzeni.

Widzę granatowe, niebieskie, zielenie w zieleniach, czerwienie i czerwienie w fioletach, wszystko objęte, przemienne, przechodzę, moje i nie moje, co dalekie blisko.

I odnalazła się uroczystość blasku, już nic innego, to, co nie poplątane trwa w glorii, odjęte zmęczeniu, znużeniu, pracom bezowocnym, wiedzy zasmucającej, liczeniu strat i zysków i tylko daje znak odsłona jasności, jednej jasności, jak wstęp do nie ujrzanej, więc nie zaprzeczaj.

Idę ścieżką. Poza sobą. Piszą się kroki, lata, godziny. Drogi niepowrotne. Daleko, długo tak, jedno mgnienie. Stopy, ręce, ramiona, plecy wyężdżają się. Dotyk dotyka. Smak poznaje. Ból wskazuje. Oczy. Gubiące się oczy. Czemu mi żal.

I liście, i światło, i kamienie, kamyki, piasek, ślady stóp, światło na liściach, na twarzy, na rękach, na kartce, i głosy z daleka, coraz bliższe obłoki, i skrzydła dające lot, skały idące w wyż, pochyłości, przepaście, i smugi mgielne. Jak te kiedyś, nisko nad łąkami w dzieciństwie.

Otworzyło się jedno z drugim, wyjawilo się, tak jak miało być, i są te liście jak rysunki, jako liście akacji, lipy, dębu, bzu i olchy, są wgłębienia, darnie, kora, igliwie, osypiska, gniazda, nitki pajęczce, krople wody, chłodne powiewy, wypiętrzenia, łodygi, gałązki, i przemawiają całymi sobą.

MIASTO JEST W NAS, CZYLI O NAJNOWSZYM TOMIKU ZBIGNIEWA JOACHIMIAKA

Zbigniew Joachimiak wydał tomik „Miasto, miasta, w mieście”, miasto odmieniane przez (wszystkie?) przypadki. Takie mam pierwsze skojarzenia z samym tytułem bez świadomości, co jest wewnątrz. I drugie skojarzenie-wyzwanie, to mianowicie, że ja jestem ze wsi więc jest ryzyko zderzenia, tym większe, że nie darzę miasta zbytnią sympatią, mam dość stosunek słodko-gorzki. Co prawda będąc blisko siedemdziesiątki konstatuję, że łwią część życia, bo całe półwieku przeżyłem w mieście, ale właśnie zdążyłem się, że wyprowadzić zamieniając warszawskie Śródmieście, jego centrum, okolice warszawskiego pigalaka (trochę swojskiej francuszczyzny dla tych, którzy wiedzą, o co chodzi i o jakim kwadracie warszawskich ulic tu mowa) na wieś... warszawską, warszawskie Koło, zieloną enklawę betonowego miasta. Dowodem niechaj będzie opinia mego brata, który odwiedzając mnie po tej przeprowadzce stwierdził, że tak zielono to w jego Suwałkach nie jest a przecież Mazury i Suwalszczyzna to zielone płuca Polski. Piszę o tym, bo chcę mieć jasność dla samego siebie z tego nastawienia, skoro po otwarciu koperty z przesyłką od Zbyszka od razu mi się ono nasunęło. Może będzie miało wpływ na lekturę, może nie, zobaczymy. Tymczasem zostawmy te recenzenckie „groźby”.

Drugie skojarzenie, już po pierwszym oglądzie dotyczy samej „grafiki” wierszy na stronach tomiku: są one różnej długości, wersy długie, ale i jednowyrazowe, trudno tu mówić o jakiegokolwiek regularności, wielka różnorodność – dokładnie tak jak z ulicami w mieście, każda inna.

Tomik otwierają „Wstydlive ogrody”. I od razu jestem pod wrażeniem. Zobaczcie, co się w tym wierszu wydarzyło:

Wstydlive ogrody

Za zaułkiem
za murem
za niestosownymi torami kolejowymi,
za wąską uliczką, za zapomnianą
pordzewiała cysterną,
za śpiącym tramwajem na tym
ostatnim śpiącym przystanku,
za porośniętym chwastami placem
zabaw za moim i twoim domem,
za niedokończoną urywającą się nagle
ulicą za tym ostatnim czerwonym
budynkiem pomiędzy szkołą i lśniącą
nowością Biedronką, za tym niejasnym

twoim mglistym końcem miasta

Za tym ostatnim odcinkiem naszych
codziennych spacerów, za tymi miejscami
dokąd chodziłeś, gdy ogarniał cię smutek,
za wspomnieniami dziecięcych
przygód, za laskiem, który widoczny
jest tylko z dziesiątego piętra,
za ukrytymi domostwami
miastowych słowników i sikorek,
za niejasną pamięcią niejasnych
miejsc pobliza i dali,
za tajemniczą furtką pomiędzy
dwoma willami
za tym pobliskim ocienionym cmentarzem,
za nocnymi krzykami miejskich kotów,
za domyślanym tylko końcem świata

Za
tam,
tam jesteśmy my miejskie
ogrody, wstydlive zielenimy się, kwitniemy,
nocą szeleścimy, za dnia barwimy się
i rozsiewamy bukiety aromatów

tak, jesteśmy wstydliwymi ogrodami
w bezwstydnym mieście

GDĄŃSK 18 LUTEGO 2025

Dla mnie kompletne zaskoczenie! Któż tu ma głos – nie człowiek, tylko ogród, ta wstydliva, bo wszak mało miejska, a właściwie nie miejska wcale przyroda, ale ta przyroda jest tu obsadzona w roli Jej Wysokości, jest ożywiona, ma głos i głos ten zabiera. To wstydlive ogrody przekazują nam pierwszy opis miasta. Są lirycznym głosem suflującym ten wstępny opis – miasto widziane zza swoich granic, z punktu widzenia tych ogrodów. Na dodatek wstydlivych w zestawieniu – jak się okazuje – bezwstydnym miastem. Ciekawie się zaczyna.

Drugi, czteroczęściowy wiersz pt. „A pośród ścian i kamieni” byłby zwykłym choć poetyckim, opisem najpierw miejskiego ulicznego gwaru, z którego ułamek, strzępów słów i zdań, fraz i sylab tka się w naszym uchu polifoniczny dywan ulicznego wielogłosu, potem utłuszonym, stonowanym także dla czytelniczego ucha i oka słowo-obrazem tka (miejskiej?), która – w części kolejnej wybucha symbolicznym (chyba) ogniem myśli, przywidzeń i przewidyzeń, przetrawień, by spojrzeć na wszystko z perspektywy ptaka, który „będzie czuł się jak u siebie/ bo może polecieć wolny i swobodny/ i może przysiąc gdy mu tylko

będzie/ wygodnie zatrzymać się/ by wzmocnić i opatrzyć skrzydła/ z jego perspektywy świat jest przecięty w połowie” – byłby więc to „zwykły” poetycki opis, gdyby nie został w ostatnim wersie skontrolowany zaskakującą puentą: „– to jest biblioteka”. W ogrodzie więc jesteśmy czy przed półką z książkami? Ciekawie się zaczęło. Wszak „na początku było Słowo” więc może i na końcu „świat musi zakończyć się księgą”? Początek i koniec będą jednakże? Tego jeszcze nie wiem, nie mogę się rozpędzić w lekturze, bo zatrzymał mnie kolejny przepiękny wiersz:

107 Milton Street

Droga w dół jest południe upał ścina rzęsy
aż trudno patrzeć wprost aż trudno widzieć
długo tutaj dochodziłem a więc
nie odwrócę się plecami zresztą tego nie chcę
idę przecież właściwą drogą
pod właściwy adres

Na schodach stoi wazon
z wyschniętymi kwiatami
obok niego siedzi czarnoskóry chłopiec
skrobie wargę myśli
to Benjamin Forester
przyjaciel
tej dziewczynki, która wygląda przez okno

Biała Księżniczka mówi o niej
gdy jako jedyna wykonuje bezbłędnie piruet
pośród swoich kolegów i koleżanek
w tej czarnej zapomnianej
dzielnicy spadającej w dół
aż do samego downtown
aż do samej fontanny
która jest tu jedynym ratunkiem
bo jest wilgocią

Benjamin prowadzi mnie do góry
woła coś do dziewczynki w oknie
wie że czeka na mnie
ale nie wchodzi do środka
zostaje przed domem
a mnie wchłania zaciemniona sień
kolejne tajemnicze pokoje
jak ciemne wiersze Edgara A. Poe

Księżniczka mówi czekałam

zbyt długo za długo
ale proszę siadaj a ja popatrzę na ciebie
potem jeśli zechcesz zejdziemy w dół ulicy
nawet dalej niż do fontanny
zejdziemy aż do mostów
aż do jaśniejszej szerokiej i cichej Pani Ohio

być może tam czeka na nas
łódź choćby małą łódka
(nie martw się to nie będzie jeszcze
podwózka Charona)
może jest niewielka, ale nas pomieści
i poniesie dalej może aż do Missisipi
aż otworzą się szeroko usta rozlewiska

Dopłyniemy do celu
jeśli na tej kamiennej opuszczonej ulicy
znajdziemy właściwe słowa
i – może o tym nie wiesz – mnie,
bo jestem przecież tym poszukiwanym głosem

ale teraz posiedźmy w ciszy na tym
rozgrzanym pełnym oczekiwań ganku

Czy tak?

Ulica. Ulica miasta. Ulica miasta została zaprzęgnięta do zupełnie nie-ulicznej roboty, chyba, że potraktujemy ją jako uliczkę w międzyludzkim krwiobiegu. Piszę tak, bo czuję tu wspólnotowy zew krwi, inaczej skąd i po co idący Milton Street tam się znalazł? Obraz nie wygląda na przypadkową scenę dobrze zaczynającego się filmu a idący nie wygląda na przypadkowego przechodnia. Zresztą mówi wprost „*idę przecież właściwą drogą i pod właściwy adres*”. Zatem ulica jako tęcznik między ludźmi, arteria wymiany uczuć i serdecznych wspomnień czy nie mniej serdecznych oczekiwań. To piękny i wzruszający wiersz! A jednocześnie – co się wzruszającym słabym wierszom zdarza – nie jest sentymentalnie rozmazany, rozlazły, wręcz przeciwnie: inspiruje czytelniczą ciekawość i fabułą i kryjącym się za nią przekazem. Są jeszcze inne wiersze „amerykańskie”, tak je roboczo nazywam, bo fabularnie dzieją się na ulicach tamtych miast, których nie jestem w stanie ocenić pod kątem ich „przystawalności” do opisywanej rzeczywistości, w której się rozgrywają, bo jej nie znam ale jestem w stanie powiedzieć, że niosą w sobie życie w jego różnorodnych przejawach. Dlatego, że cały tomik, czy to w wierszu „Przystanek tramwajowy” (akurat dziejącym się w Trójmieście) czy innych jest mierzaniem się z życiem, próbą jego oceny choćby tylko przez zadawanie niewygodnych pytań jak w wierszu „Złoto” czy oceną moralną naszej rzeczywistości politycznej jak w sarkastycznym wierszu „Wiosna na miękkich poduszkach 2025 roku”. Zatem miasto ze swoimi ulicami, zaułkami, placami, ciemnymi i jaśniejszymi stronami, miasto tu i miasto za Wielką Wodą. Miasto jest z jednej strony pretekstem do przyglądania się, poetycko-intelektualnego przyglądania się – bo trzeba podkreślić, że wiersze Joachimiaka są intelektualnie przenikliwe, analityczne – sobie (wiersz „Patrz do środka mózgu mój”), światu z jego wielką i małą polityką (np. w wierszu „Dwa ognie”) czy wreszcie światu widzianemu z perspektywy pętli tramwajowej jak we wspomnianym już wierszu „Przystanek tramwajowy”. Ten nasz najbliższy świat dookoły, ten świat

codziennie przemierzany jest dany a może lepiej powiedzieć podawany do oglądu na różne sposoby. Jakby Joachimiak „ćwiczył” możliwe warianty zachowań, jak w wierszu „Newport”, który jest właściwie wierszem-etyką, wierszem-moralnością a przynajmniej sygnałem moralnej potrzeby uporządkowania rzeczywistości. Tak jak tą samą potrzebą tłumaczę wiersz „Droga do nieba Pomywaczki okien seminarium biskupiego w Oliwie”, w którym poeta posłużył się fantastyczno-surrealistyczno-realistycznym przekazem, aby wyrazić co następuje:

Stanęła w otwartym oknie
trzymając w zaciśniętej dłoni transparent
który fugą szeroką rozwinął się
na niebieskawym niebie
a na transparencie rozpiął się głos Pana Boga

Zawtórowali mu aniołowie i w szatach
długich opięli okno
Pańskiej Pomywaczki

- okna swoje myj długo,
powiedzieli anieli po kolei
- okna myj w spokoju i ku jasności chwały
rozkazali
ona rozkazu posłuchała

Niżej na chodniku przeszedł
zamyślonym krokiem szepc

Wiatr westchnął
Anieli po kolei zasnęli
wtedy fuga w dłoniach zafalowała
zakotyła się we framugach dzień

ręka z niebieskim sztandarem
uniosła się wyżej i wyżej
postać pomywaczki na parapecie
na chwilę zawisła
dzwony w katedrze ruszyły się powoli
lecz czar ciszy nie prysnął
jęknął tylko zaczajony
w pobliskiej bramie cień

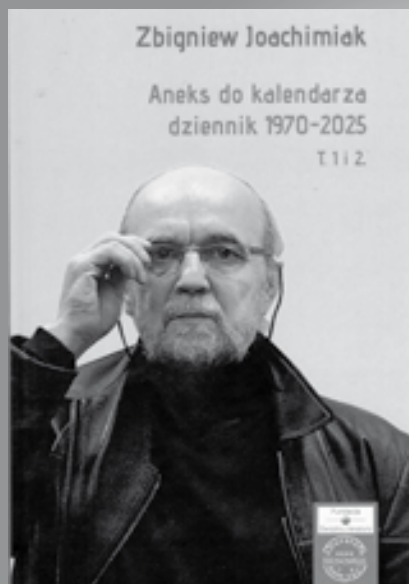
Dopiero po chwili zabrzmiały dzwony
obudzili się wówczas Anieli po kolei
stanęli sznurem
murem wejście zasłonili

W biskupim seminarium
puste okno w pustych framugach
pokołysało się jeszcze chwilę
w odbiciu szyb zamajaczyła
jeszcze przerażona
twarz dziwnego zapóźnionego przechodnia
i upał letni zasnuł wszystko

w czystym szkle czerwone słońce się iskrzy

Cała finezja tego wiersza sprowadza się do tego, że mówi on tak poetycko przekonująco o czymś, czego tylko każe czytelnikowi domyślać się na własną rękę. Ja czuję tu śmierć, o której... nie ma w wierszu ani słowa! Sprzątaczką, kobietą-lkar obserwowaną przy zwykłej czynności uwikłaną została w tragiczno-eschatologiczny wymiar swego losu. Przyjrzyjmy się tej magii literackiej Joachimiaka, jego zdolności pokazania zwykłych czynności – choćby odgarniania śniegu - w niezwykle sposób, bo wyczarowujący z nich takie wiersze:

Migotania polecają:



książki można zamawiać na joa@migotania.pl

Odgarniam zaspę

Zima nie ma się ku końcowi.
Zaspy przyrastają, układają się w fale
zмирchów i długich, za długich
poranków.
Odgarniam wielką łopatą nawarstwione
przedmioty, książki,
obrazy z zeszłego roku, a też
te ze skraju pamięci,
przesuwam z miejsca na miejsce
wielkie sterty słów.
Pod machnięciami łopoty przesypują
się zmarznięte myśli,
szeleszczą, zgrzytają
fragmenty wierszy i początki
nie napisanych listów.
Ręce marzną.
Kolana się uginają. Wysiłek jest
chwilami ponad miarę,
ale trzeba się przekopać. Trzeba
się przekopywać.
Drogę trzeba oczyścić niezależnie
w którą stronę potem
pójdzie spóźniony przechodzień,
gość lub może
po prostu pójdę ja z moja schorowaną
suką, wiernym labradorem.
Warto przetrzeć szlak choćby
dla tego starego psa.

Zmierzch nie chyli się do końca.
Stań w gęstej szarości (jeśli zmierzchy
mogą stawać), rozwleka się na cały
dzień
a potem jeszcze pokrywa dzień
wczorajszy i zasnuwa mi oczy.
Przestaje widzieć wyraźnie.
Chciałbym, aby nadeszła już noc,
choć bardziej jeszcze, aby ten
wieczór się rozjaśnił
czerwonym kolorem zachodu nad
Zatoką Gdańską widoczną
w drganiach światła na gałązkach
w moim przydomowym ogrodzie.

Muszę uporać się z narastającymi opadami,
z szelestem białych mroczków
w oczach, gdy podnoszę gwałtownie

schylone plecy.
Czas, Pan Czas, jest niełaskawy.
Wydłuża zaspę. Odbiera końce końcom.
Zaśnieża migoczącymi pikselami obrazy.

Idę drogą, którą sam oczyściłem przed chwilą.
Idę tą właśnie chwilą.
Chwilowo idę.
Odśnieżam otoczenie mojego domu.
Odkrywam,
wiersze nie mogą mieć zakończeń.
To, co się urywa jest początkiem
następnych tysięcy płatków,
które jeszcze nie myśla,

być hałdą śniegu.
Poczekam, niech rośnie ta moja zaspę.
Istotne jest aby trwać w wyczekiwaniu.

Warto było przytoczyć całość wiersza,
w którym łopatą tak samo odśnieża się jak
i „odstawia”: „Pod machnięciami łopaty
przesypują się zmarznięte myśli, / szeleszczą,
zgrzytają/ fragmenty wierszy i początki nie
napisanych listów”.

Chcę się jeszcze pochylić nad struk-
turą wiersza Joachimiaka, bo jest ona
dość nietypowa. Najpierw przyjrzyjmy
się temu, co rzuca się w oczy w pierw-
szym oglądzie czyli długości tych wierszy.
W większości dość długie. Wiersz długi dla
mnie to wiersz wykraczający poza stronę,
a tutaj dominują wiersze często ciągnące
się przez stronę kilka. Można by je nazwać
poematami. Takie określenie pojawia się
choćby w dwutygodniku www.pisarze.pl
(numer wyd. 17/25 [593] z dnia 20.08.2025r.)
gdzie znajdziecie wiersz „A pośród ścian
i kamieni”, o którym piszę niżej. Chociaż
ja wolę dla wierszy Zbyszka inne, dla mnie
lepsze, bardziej plastyczne określenie – są to
opowieści poetyckie układające się w po-
etycką sagę. Ten tomik to poetycka saga.
(Jeszcze do tego wrócę.) Nie pisze się tak
długich wierszy dla samej długości, tym
bardziej, że nie ma tu pustych przestrzeni
literackich, są to utwory nad wyraz gęste,
powiedziałbym nawet - ściśnięte. Te wiersze
składają się z kilku warstw „układanych”
przez poetę na przestrzeni utworu jedno-
cześnie! Oto stosowny dowód, fragment
II części wiersza, o którym już mówiłem –
„A pośród ścian i kamieni” gdzie pośród
zdawałoby się spokojnie prowadzonego
opisu, przedstawiania poetyckiego obrazu
znajdujemy nagle słowa z zupełnie innego
ontologicznie porządku:

To jest pole zielone
(...)
sam najbardziej lubię dzikie pola
gdzie rym jest równy a potem
niespodziewanie się płacze
te obszerne łąki gdzie wciąż się powtarza
pieśń lub krótki takt mierzony w setki
gdzie pomiędzy korzonkami
myśl rozwija się powolnie
wersy zdania gdzie **myślniki** i **wykrzykniki**
i **wielokropki** tworzą darń sieć i
i nierozwinięte w pełni **słowne zwoje**
tu na tej wolnej nieograniczonej
niczym przestrzeni
warto usiąść stanąć na chwilę
(...)

Nawet trzeba zatrzymać się, usiąść
na chwilę, na dłuższą chwilę, bo inaczej
umknie nam coś ważnego. (**Wyboldowałem**
ważne **dla** mnie do analizy Joachimiako-
wej struktury wiersza słowa). Co my tutaj
mamy? W normalnym przebiegu poetyc-
kiego malowania słowami obrazu ukwie-
conej tką pojawiają się słowa z zupełnie
innej warstwy naszego odniesienia, naszego
odbioru świata, czyli: myśl, wersy zdania,
myślniki itd. I to pojawiają się tak jakby *nie*
stało a przecież literacko stało się
wiele! Jesteśmy w kilku planach jednocze-
śnie: myśl, język i obraz są bardzo różnymi
sposobami naszego odniesienia do rzeczy-
wistości. Poeta prezentuje nam swoje *udo-
stępnianie* rzeczywistości, o którą mu chodzi
równocześnie operując językiem, o którym

mówi jako o języku (myślniki, wielokropki)
a nie o języku jako nośniku treści. Jesteśmy
nagle w gramatycznej i składniowej war-
stwie języka, w jego syntaktyce a nie se-
mantyce czy pragmatyce. Ale ostatecznie
- ponieważ **myśl** jest naszą ludzką robotą,
naszym objaśnianiem świata, praktyczną
stroną naszej aktywności, także aktywności
poznawczej, poetyckiej, robotą po prostu,
pozostajemy nadal – jednocześnie! - na
poziomie wiersza jako wiersza, mamy do
czynienia ze wszystkimi trzema semiotycz-
nymi elementami, poziomami sensownego
systemu znaków, sensownego odniesienia
do świata: semantyką, syntaktyką i prag-
matyką. Rzadko spotykam tak bezpośrednio
ujawniane, choć w rzeczywistości przecież
zawsze obecne, te trzy nierozłączne poizo-
my języka. To jest rzeczywista, mami-
komplikacja, bo, bądźmy szczerzy, mało
kto tak operuje językiem poetyckim nar-
uszając w gruncie rzeczy nasze, rzekłbym,
codzienne przyzwyczajenia lekturowe. Jo-
achimiak to robi. Na pewno jest to znak
rozpoznawczy jego wierszy, jego podejścia
do rozmowy z czytelnikiem i do swojej roz-
mowy z upodmiotowioną w wierszu rze-
czywistością. Innym przykładem, być może
łatwiejszym do śledzenia tej gry literackiej
między semiotycznymi poziomami języka
jest wiersz „Stara kobieta mnie pyta”.

Podsumowując wracam, bo obiecałem.
Potraktowane razem wiersze omawianego
tomiku tworzą sagę o mieście, o chodzeniu,
przemieszczaniu się jako niezbędnym sposo-
bie pokonywania miejskiej przestrzeni, sagę
o pewnym zapomnianym czy raczej pomija-
nym tle naszego życiowego wysiłku, celów,
do których dążymy, sagę o niemożliwych
do pominięcia ulicach, które w „Miasto,
miasta, w mieście” dostąpiły mocnego po-
etyckiego upodmiotowienia umożliwiając
ogląd miasta z perspektywy, która nie jest
na co dzień naszym udziałem, bo raczej
jesteśmy *konsumantami* miasta a nie jego
bezinteresownie ciekawskimi *obserwatorami*
obdarzonymi, tak jak w tym wypadku Zby-
szek Joachimiak, nadprzeciętnym zmysłem
obserwacji i umiejętności upoetycznienia
też. Ale poeta ku czytelniczemu zasko-
czeniu często odwraca relację *konsumen-
t-obserwator*, bo oto – jak w wierszu „Ulice
Gdańska”, to ulice żyją, myślą, mówią, ob-
serwują słowem *konsumują* nas:

Piękne ulice Gdańska piękne ulice
wrzeszczą, są w porannych stogach, oleją się
na całej długości miasta
lampy paradnie pobłyskują i strzyżą
w ciemnościach najbardziej obficie,
kolibią się spacerowiczami,
motławią się w starym mieście,
które nie jest aż tak stare
(...)

W lekturę tych wierszy trzeba włożyć
sporo wysiłku, bo nie są one łatwe w swej
wielogłosowości, poetyckiej polifonii. Od-
mieniane przez wszystkie przypadki miasto
(„Miasto, miasta, w mieście”) ze swoimi
ulicami, całą ich pajęczyną i „złapanymi”
w nią ludźmi stuży Joachimiakowi do *czyta-
nia* życia, do tegoż życia *moralnych* podsu-
mowań, także do samoanalizy czasami za-
haczającej aż o wiwisekcję samego siebie.
Te relacje są zwrotne, bo miasto – jak by
to dziwnie nie zabrzmiało – jest żywe, czyn-
ne: *odgryza* się nam, *zawłaszcza*, *wrasta*
w naszą świadomość stając się częścią nas
albo naszym *alter* ego. W tym pojemnym,
bogatym w znaczenia prezentowanym nam
poetyckim obrazie, w tej poetyckiej sadze

otrzymujemy literacką opowieść o wzajemnym zapętlaniu ulic i naszych żył. Wskazując na to nawet już same tytuły poszczególnych wierszy, choćby taki – „Ta kobieta ma na imię Gdańsk”. A to wykorzystanie nazw dzielnic Gdańska do czynnych form czasownikowych to majstersztyk, ale już dla koneserów i znawców tak Gdańska jak i języka.

Zwracam jeszcze uwagę na dodatkowy literacki smaczek, bo tomik jest – w drugiej swojej połowie *przetłumaczany* prozą. W każdym razie za taką biorę chociażby teksty ze stron 50, 56, 67, 70 czy te zatytułowane „Syrena” (s. 89) i „Trzy gracie” (s. 52). Zastrzeżenia „za takie biorę” czynię dlatego, że tomik ma podtytuł „nowe i stare wiersze miejskie”, więc do końca nie wiem, jak sam poeta te fragmenty traktuje; być może w jego *ars poetica* są wierszami. Ten ostatni problem pozwala mi na poczynienie kolejnej czytelniczej obserwacji, która mi się nasunęła. Tomik zamyka wiersz „Trudno odróżnić ulice”. To pasuje do moich dywagacji o wszelkich zapętleniach, wielopoziomowych (świadomość, ulica, język) wędrówkach poety, przemieszania poezji i prozy – trudno czasami to wszystko odróżnić, zdecydować czytelniczo co jest

czym. Tę trudność poczytuję za duży plus tomiku „Miasto, miasta, w mieście”, który stanowi jakby zapis strumienia świadomości, poetyckiego strumienia świadomości albo strumienia świadomości poetyckiej. Wybierzcie sami pasujące Wam określenie albo zapytajcie Zbigniewa Joachimiaka.

Do tego stopnia niełatwo te wiersze się czyta, że mam ochotę powiedzieć o wrażeniu swoistej psychodeliczności książki w jej całości. A dla „usprawiedliwienia” tego podejrzenia taki fragment:

„Była ze światła, a przynajmniej nie stanowiła najmniejszej przeszkody dla przenikania światła. W upale sierpniowego Newport ślizgała się z pierwszego piętra wynajmowanego przez nas domu, po grubych, zakurzonych promieniach słońca. Ślizgała się i ponownie wracała na górę, aby znowu zjechać wprost w moje oczy, w otwarte ramiona. Ja też wracałem ponownie, ponownie i codziennie do niej jak do centrum świata, do leja czasu i przestrzeni. Świat, ziemia nie tylko przestała być kulą, ale wręcz stała się wklęsłą soczewką, w środku było moje zmęczenie, pośpiech, zapomnienie. Okrętnym ślizgowym lotem przebijając się przez wiry nad rzeką, przez

ciszę Atlantyku i kropla po kropli wyciekałem światłem w nowe, jasne ciato mojej córki.”

Wracam do recenzenckiej żrędlowości z początku niniejszego tekstu, bo już wiem na czym polega zasadnicza różnica między moim postrzeganiem, odbieraniem miasta a Joachimiakowym. Ja z całą wiejską a nawet leśną (moje wsie zawsze były pośród lasu lub na jego skraju: jestem synem leśnika) mentalnością mam dość dobre, a przynajmniej skuteczne zdolności adaptacyjne, więc i w betonowej pustyni jak zwykłem określać w końcu moją Warszawę, odnalazłem się nie najgorzej. Tymczasem U Zbyszka jest, moim zdaniem (wynikającym z czytania zbioru „Miasto, miasta, w mieście”) coś znacznie ciekawszego: miasto jest pretekstem do wszelkich dywagacji, ale jest też pre-tekstem, czyli materiałem literackim albo lepiej powiedzieć od razu – literaturą, tekstem, chociaż tekstem pre- to znaczy wcześniejszym, poprzedzającym pisanie. I teraz wyjaśnia nam się i biblioteka z wiersza „Wstydlive ogrody” inicjującego tomik i to, że „Ta kobieta ma na imię Gdańsk”, i wszystkie pozostałe zapętlenia, których rozwikłanie polecam już czynić samemu.

ANDRZEJ WOŁOSEWICZ



Grzegorz Jacek
Brzustowicz

OLKIENICKA POTRZEBA,

CZYLI THEATRUM REBELII I KRWIE BRATNIEJ
ROZLANIE ORAZ TEGO SKUTKI

Rok tedy nastał 1700, który miał być spokojnego w Rzeczypospolitej czasu początkiem, a stał się theatrum rebelii i krwi bratniej rozlania¹. Rankiem 18 listopada 1700 roku rozjuszona szlachta litewska ze wszystkich powiatów, ruszyła z Olkienik (lit. Valkinikai) w szyku bojowym pod Lejpuny, gdzie wraz z chorągwiami wołoskimi na lewym i ruskimi na prawym skrzydle, stanęła naprzeciwko sił sapieżyńskich.

Zaraz podciągnięto działa, które ukryto pomiędzy szeregami piechoty. Podobnie postąpiono z rezerwami. A przed tymi szeregami, stał główny dowódca - dwudziestoletni młodzieniec, nie posiadający żadnego militarnego doświadczenia - Michał Serwacy Korybut Wiśniowiecki (*1680-†1744). Na prawym skrzydle dowodził Hrehory Antoni Ogiński (*1654-†17.10.1709), któremu dotąd w kampanii przeciwko Sapiehom się nie wiodło i poniósł klęskę pod Kownem (30.04.1698) i Jurborkiem (22.07.1698). Podlegali zaś ich rozkazom stojący pod chorągwiami znakomici pułkownicy i rotmistrzowie.

Naprzeciwko nich sapieżyńscy. Z uszczerbkiem na duchu, bo w większej części pod przymusem popchnięci do walki z własną bracią szlachecką. A wojsko to miało na prawym skrzydle hufce tatarskie, a na lewym rajtarię. W centrum też stanęła piechota, a w odwodzie lekkie chorągwie złożone z dworzan i obywateli miast². Na czele tych sił stał hetman Kazimierz Jan Paweł Sapieha (*1642-†1720), osobiście dowodzący na prawym skrzydle. W centrum znajdował się syn hetmana - generał artylerii litewskiej Michał Franciszek Sapieha (*1670-†19.11.1700), a na lewym marszałek wielki litewski Aleksander (*1672-†1734) i Michał Franciszek Sapieha (*1670-†19.11.1700) koniuszy i starosta onykszyński.

Podskarbi:

Zgromadza z drugiej strony sił
swoich wzmocnienie

Pospolite z Województw, powiatów, ruszenie
Szlachta gminem napelnia, miasto Olkieniki
Skąd od potrzeby miała iść w porządne szyki³
(...)

Kiedy Biskup Brzostowski, i mądry i święty
Gorliwością pasterską w tym rozruchu zdjęty
Przybywszy do Olkienik, zgromadzone stany
Zaklina na niewinną krew Pana nad Pany
By się trochę wstrzymawszy
od Wnętrznego boju
Za instrument go wzięły zgodny do pokoju
(...)

Bracia, coście narody dzikie zwojowali

1 B. Królikowski, *Błażeja Siennickiego z wojen przeszłych notacje*, Warszawa 1978, s. 307. Taka ocena ówczesnych, stała się podstawą do podobnych sądów późniejszych historyków. Olkieniki w samym roku otwierającym wiek osiemnasty w Polsce, stały się smutnej pamiętki historycznym miejscem w całym kraju. Powiększający się olbrzymim krokiem nierząd wewnętrzny na schyłku panowania Jana Sobieskiego, postawił Litwę w najopłakawszym stanie. Trzęśli ją samowolnie możnowładcy, gniotąc swoją przemocą gmin szlachty i natrącając się z praw i władzy królewskiej. M. Baliński, T. Lipiński, *Starożytna Polska pod względem historycznym, jeograficznym i statystycznym*, T. 2, Warszawa 1844, Tom III, cz. 2, s. 328-338.
2 Tamże, III/2, s. 328-338.
3 G. Olizar, *Olkienicka potrzeba w r. 1700*, rękopis. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, nr 403, k. 8.



Józef Brandt, *Bogurodzica*. Obraz olejny z 1909 r.



Hetman wielki litewski, książę Michał Serwacy Korybut Wiśniowiecki

Czy tegoż niedostaje byście zabijali

Brat przyjaciela swego, a przyjaciel brata ?

Nie ta jest śmierć chwalebna, u Boga i Świata !

Wstrzymajcie się w zapędzie,

a uważcie wprzód

Co o nas m owić będą, postronne narody⁴.

(...)

Trąb, odgłos kotłów, bębnow

łoskot, grzmoty, krzyki

Napelniały hałasem całe Olkieniki !

Każdy do swej chorągwi

spiesząc, na koń wsiada

Sam Xiążę, rząd potyczki, Półkownik, uklada

Z przednią strażą wysłał Pocięja, Strażnika

A za nim się niedługo, sam

z wojskiem pomyka

Lewe skrzydło, wołoskie chorągwie zajmują

Na prawem, województwa ruskie się lokują

Korpus, wzięła piechota z którą się mieściły

Wyborniejszych powiatów, połączone siły

Procz tego odłączony żołnierz na posiłek

W rezerwie za szykami, ogarnął zatylek

Piesi, z drzew zaostrzone rogiatki dźwigają

Którymi regimienta swoje zakrywają i

Już zaś Artylerja wszystkie swoje działa

Ukryte dosyć sztucznie, między szykiem miała

Ten kształt, ten widok, z siebie powiaty czyniły

I wszystkie pola, gęste szeregi okryły⁵

4 Tamże, k. 9v.

5 Tamże, k. 10-10v.



Starosta generalny żmudzki Hrehory Antoni Ogiński

Hetman już na widok pierwszych szyków przeciwnika rozpoczął bój wystrzałem ze wszystkich dział swoich. Kolejne godziny wypełniły potyczki i zabawy harcowników. Dopiero około południa rozwinęła się właściwa bitwa. Zanim jednak do szturmów ruszono, znowu odezwały się działa obydwu stron. Sapiehowie mając więcej artylerii liczyli, że ogniem armatnim szlachtę z pola spędzą. Ale się na swoim mylili rachunku, bo szlachta wytrzymała sapieżyński ogień, na który nie bacząc, z desperacją wstępnym uderzyła bojem⁶.

Impet republikanów szlacheckich zaskoczył piechotę sapieżyńską, ale ta dzielnie stanęła do boju. Mimo gęstych salw, nie zważając na straty, szlachta przedostała się na tyły lewego skrzydła Sapiechów. Tuż chorągwy wielki litewski Hrehory Ogiński z chorągwym pińskim Piotrem Stanisławem Godebskim, na czele rot pińskich i witebskich okrutnie brali odwet na sapieżyńskim wojsku. Tym jednak sprzyjało szczęście. Na lewym skrzydle walczono zacięcie z obu stron. Podobnie było na prawym skrzydle, gdzie u boku Sapiechów walczył dzielnie Stanisław Poniatowski (*1676-†1762) z chorągwią mściławską. Krwią okryty się szeregi kawaleryjskie i padł pułkownik Poniatowski. Legło przy nim wielu z mściławskiego województwa. Przerzedziły się szeregi kawalerów z powiatu pińskiego⁷.

6 B. Królikowski, *Błażeja Siennickiego z wojen przeszłych notacje*, s. 310.

7 A. Sajkowski, *W stronę Wiednia. Dole i niedole wojenne w świetle listów i pamiątek*, Poznań 1984, s. 340.



Hetman wielki litewski Kazimierz Jan Paweł Sapieha

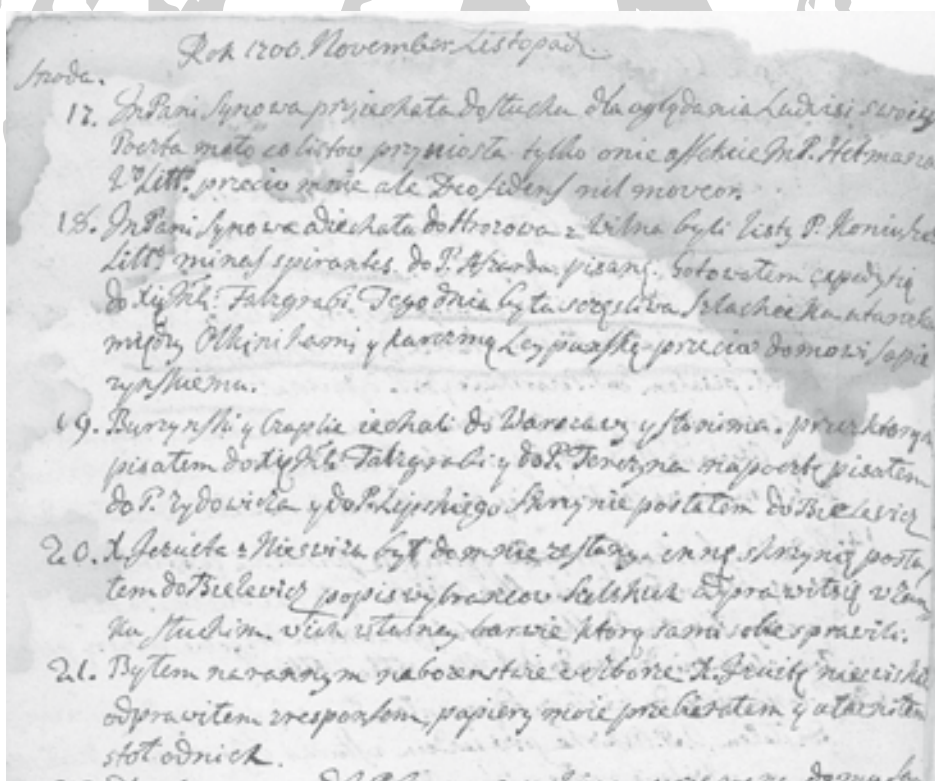
Długo się obopólnie, harcami bawili
I jeszcze wstępny bojem w się nieuderzyli
Gdy często dział z obu stron, pioruny latają
Temu rękę, drugiemu nogę urywają
Aż zmieszał harcowników
dym, że nieznac prawie
Kto swój, kto nieprzyjaciel,
w ciemnej prochu wrzawie⁸
(...)

Odgłos wojennych huków,
rozległ się obszernie
Kule, strzały, pociski sypią się niezmiernie
Już lewe skrzydło i straż pod Pocięją sprawą
Długo się mordowały tą zabawą krwawą
Równo się waży szala, krew z obu stron lana
Nie da poznać, gdzie tryumf a kędy przegrana
Nic widać tylko ogień, dym i błyskawice
Na powietrzu, a Ziemią krwie płyną krynice
Gęste kule w pogromie koło głowy świszczą
Szable, flinty i groty, trochę
się w mgłę błyszczą
Z prochu ustawicznego, tak gęsta kurzawa
Że się miesza wojenna w obu szykach sprawa
Przecież się gęstym ogniem, z obu stron prażą
I wielu swoich zamiast, nieprzyjaciół rażą
Gęsty trup okrył pola, jeszcze się pasują
Wojska, ani tryumfu sobie ustępują⁹

Tymczasem naczelny wódz książę Michał
Wiśniowiecki widząc niepewność wyniku
boju, przyprowadził hufce odwodowe.
Rozjątrzenie szlachty było tak wielkie, że
z największą zawziętością rzuciła się w ogień
walki. Gdy przybyły posiłki, Sapieżyńscy
upadając na siłach i duchu - tyły podali¹⁰.
Ten był pobjed Lejpuński, ten widok żałosny
Obraz wojny domowej
wszystkim wiekom głośny
Nie tak straszny Juliusz był
w Farsalskiej bitwie
Rzymianom, jak domowe Olkieniaki w Litwie¹¹

8 G.Olizar, *Olkieniacka potrzeba*, k. 11v.-12.

9 Tamże, k. 12.

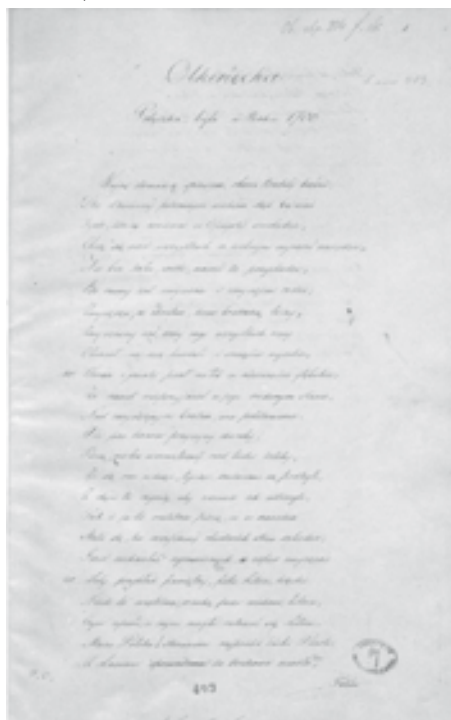
10 M.Baliński, T.Lipiński, *Starożytna Polska*, III/2, s. 328-338.11 G.Olizar, *Olkieniacka potrzeba*, k. 13.

Informacja o szczęśliwej szlacheckiej utarczce między Olkieniakami a karczmą Lejpuńską przeciw domowi Sapieżyńskiemu w pamiętniku Stanisława Niezabitowskiego (*1541-†1717).
Biblioteka Narodowa w Warszawie

Widzicie tam było inszą nieprzyjaciół minę
Gdy jawna swęj przegranej
wyrzekli przyczynę
Już zuchwałych pogroźek,
chełpliwie nie głoszą
Ale pokornie życia od zwycięzców proszą¹².

Przed oddziałami republikańców pierzchy chorągwie kompuktowe, nie chcąc przelewać krwi bratniej. Ostały się jedynie sapieżyńska dragonia, rajtaria i piechota, które nietrwożnym stanęły sercem i skiero-

12 Tamże, k. 13.



Rękopis z pierwszej połowy XIX wieku Gustawa Olizara, *Olkieniacka potrzeba* w r. 1700.
Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Wrocławiu, nr 403/II, k. 1-14

wały muszkiety w szlacheckie piersi. Jednak szlachta tego dnia na ogień baczenia nie mając, bohaterów starodawnych ducha w sobie poczuwszy, zaraz na nich ruszyła w dym z gołymi szablami. Padły salwy muszkietowe. Polała się krew. Ziemia zadudniła, kiedy szlacheckie chorągwie ku sapieżyńskim ruszyły. Kurz chmurami wznosił się od kopyt, rozświetlony błyskiem uniesionych tysięcy szabel szlacheckich i tysięcy szabel Sapiechów na placu boju¹³.

I tak pola lejpuńskie przyzdziały gęste trupy. Nielicznie jeszcze oddawali ostatnie oddechy w obecności kapelanów¹⁴.

Siła ludu legła u panów Sapiechów. A i spośród szlachty także nierzadki, którym zdrowie utracił albo żywot miły oddał. Naliczono potem tysiące ludzi padłych na polu tej nieszczęsnej bitwy, a kilka razy tyle - rany odniosło¹⁵.

*

Przyczyny wojny domowej na Litwie tkwiły w rywalizacji Sobieskiego z Pacami, przeciwko którym Jan III Sobieski wzmocnił Sapiechów¹⁶. Po upadku domu Paców, Sapiehowie na Litwie przejęli wręcz absolutną pozycję. Zachowywali się jednak tak, że całą Litwę oburzyli na siebie. Wojska dowodzone przez hetmana Kazimierza Jana Sapiechę terroryzowały kraj i angażowały się w prywatne polityczne rozgrywki. Sapiehowie poczuli się potężniejsi od władzy królewskiej. Próbowano więc z nimi walczyć. Szlachta wsparła licznie opór przeciwko Sapiehom, gdy ci w 1694 roku zakwaterowali wojska na leże

13 B.Królikowski, *Błazeja Siennickiego z wojen przeszłych notacje*, s. 310-311.14 Biblioteka im. Czartoryskich w Krakowie, Dział rękopisów, nr 536: S.Niezabitowski, *Wiersze o olkieniackiej potrzebie. Pospolite ruszenie po zwycięstwie ojczystym nieprzyjaciela pod Olkieniakami nadz powracające polski wita Apollo*, A. D. 1700.15 M.Baliński, T.Lipiński, *Starożytna Polska*, III/2, s. 328-338.16 J.Urwanowicz, *Drobna szlachta w wojnie domowej na Litwie w XVII/XVIII wieku*, w: *Drobna szlachta podlaska w XVI-XIX wieku*, Białystok 1991, s. 75.



Król Polski August II Mocny

zimowe w dobrach kościelnych i biskupich, biskup wileński Konstanty Brzostowski (*1644-†1722) rzucił na hetmana Sapiechę klątwę. Sapieżyńscy dawali się też mocno we znaki szerokim rzeszom szlachty drobnej, którą traktowali jak ludność poddańczą, co tylko wzmagало wielki opór szlachty litewskiej i doprowadziło do wybuchu wojny domowej na Litwie w 1695 roku. Na czele przeciwników Sapiechów stanęli Radziwiłłowie¹⁷.

Początkowo szlachta spisała cały rejestr zarzutów wobec Sapiechów. Znalazły się w nim zabójstwa, porwania, łamanie praw, zajazdy i rabunki. Ale i opozycja antysapieżyńska lepsza nie była. Po śmierci króla Jana III Sobieskiego (†17 czerwca 1696) chwyciła za broń i po elekcji Augusta II Sasa (15 września 1697), zbrojnie odpowiadała na każdy najazd¹⁸.

Do przyczyn tej wojny doszły też cele polityczne, bowiem Sapiehowie nie chcieli zrównania Litwy z Koroną, co uchwalił sejm w 1697 roku. Według nich uchwała godziła w przywileje urzędników litewskich. Sytuacja zaogniła się tak bardzo, iż już jesienią 1697 roku doszło do walk pospolitego ruszenia żmudzkiego dowodzonego przez Ogińskiego z Sapiehami. 20 marca 1698 roku hetman wielki litewski wydał manifest, w którym oskarżył szlachtę o łamanie prawa i występowanie przeciwko legalnej władzy, a także celowe niszczenie dóbr sapieżyńskich na Żmudzi. Podobne oskarżenia szlachta związkowa skierowała pod kierunkiem Sapiechów i 24 marca 1698 roku wydała manifest skonfederowanego wojska będącego pod dowództwem regimentarza generalnego Hrehorego Antoniego Ogińskiego¹⁹.

Król August II Mocny zainicjował porozumienie pomiędzy stronami, podpisane 22 lipca 1698 roku w Warszawie. Był to jednak rozejm na papierze, bo już następnego dnia pod Jurborkiem, przy ujściu Niewiary do Niemna, wojska sapieżyńskie dowodzone przez Michała Sapiechę, uderzyły na konfederatów i ich rozbiły. Ogiński uciekł do Prus.

17 A.Sajkowski, *W stronę Wiednia*, s. 326-335. *Hetman Sapieha w celu swej obrony wydał druk: Enucleatio Nullitatis Excommunicationis, ratione pratensae devastationis ecclesiarum bonorumque Diocesis Vilnensi publicatae, Anno 1695, oraz Manifest Rogu i Światu przez Jaśnie Wielmożnego Jego Mści: Pana Kazimierza Jana Hrabę na Bychowie, Zaslaviu i Dąbrowie Sapiechę Woiewodę Wileńskiego Hetmana W. W. X. L., do powszechnej wiadomości podany Roku 1699*, k. 1-16.

18 J.Urwanowicz, *Drobna szlachta*, s. 77-78.

19 M.Sawicki, *Manifest Sapiechów z 6 marca 1702 roku*, „Wieki stare i nowe”, 12 (2017), s. 26.



Józef Brandt, *Na rekonesansie*. Obraz olejny z 1873 r.

14 sierpnia 1698 roku szlachta litewska zawiązała kolejną konfederację, na której czele stanął Michał Kazimierz Kocięł (*1644-†1722) kasztelan wileński i złożyła przysięgę, że nie złoży broni dopóki Sapiehowie zrównania nie uznają. Szlachta z powiatu wileńskiego i wiłkomirskiego nie uczestniczyła w pospolitym ruszeniu, jakie stawili się 14 sierpnia 1698 roku w powiecie grodzieńskim i gdzie wspomniano szlachtę z powiatów bractawskiego, lidzkiego i oszmiańskiego²⁰.

Kolejne pospolite ruszenie litewskie zwołano na 12 listopada 1698 roku pod Grodnem. Już wówczas zmierzano zmierzyć się na polu bitwy. Szlachta zjechała do obozu w licz-

szlachta wielu litewskich powiatów na sejmikach gromniczych 9 lutego 1699 roku wypowiedziała się za zwołaniem sejmiku. Często zwoływać sejmiki przedsejmowe. Choraży powiatowy Kazimierz Dowmont Siesicki wydał 6 kwietnia uniwersał zobowiązujący szlachtę wiłkomierską do stawienia się 2 maja na pospolite ruszenie pod Wilno. Sejmik przedsejmowy odbył się w Wiłkomierzu 11 maja 1699 roku. Tutaj i w innych powiatach wybrano posłów na sejm i zaopatrzone ich w instrukcje.

W początkach 1700 roku doszło do walk, kiedy August II Mocny podjął działania wojenne przeciwko Szwecji w ramach wojny



bie 15 tysięcy. Obydwie armie spotkały się 8 grudnia 1698 roku pod Kamionką. Próby mediacji nie doprowadziły do porozumienia. Szykowano się do walnej rozprawy²¹. Na Litwę dotarł król na czele wojsk saskich i zainicjował mediację oraz zawarcie ugody pużewickiej (20.12.1698), niezadawalającej nikogo²².

20 Acta stanów Wielkiego Xięstwa Litewskiego na pospolite ruszenie. Vigore Lavdvm Wileńskiego 14. Augusti 1698. Postanowione między Ławnem a Pużewiczami w powiecie grodzieńskim zgromadzonych Anno Domini 1698. Dnia 21 Decembris, Wilno 1699, s. 32-44.

21 M.Sawicki, *Manifest Sapiechów*, s. 26.

22 J.Urwanowicz, *Drobna szlachta*, s. 77; M.Baliński,

północnej. Sapiehowie ofiarowali władcy skwapliwie swoją pomoc wojskową, natomiast ich przeciwnicy: Kocięł i Ślizień, postanowili przejąć inicjatywę i pod pozorem formowania oddziałów przeciwko Szwecji, postanowili uderzyć na Sapiechów²³.

Z rozkazu króla Augusta II w lipcu 1700 roku zwołano litewskie pospolite ruszenie w celu obrony granic przed Szwedami²⁴. Przeciwnicy Sapiechów nie czekając aż całe pospolite ruszenie się zbierze, zaraz ruszyli

T.Lipiński, *Starożytna Polska*, III/2, s. 328-338.

23 A.Sajkowski, *W stronę Wiednia*, s. 326-335.

24 J.Urwanowicz, *Drobna szlachta*, s. 78.



Bitwa pod Olkienikami. Miedzioryt sprzed 1800. Biblioteka Narodowa w Warszawie

na Wilno. Wyprawa zakończyła się ich niepowodzeniem w bitwie pod Oszmianą²⁵. Republikanci, jak nazywali siebie przeciwnicy Sapiehów, posiadali pod Oszmianą 12 tysięcy żołnierzy i szlachty. Natomiast Sapiehowie jedynie 9 tysięcy, w tym dwa tysiące żołnierzy autoramentu cudzoziemskiego, dwa tysiące jazdy wołoskiej i Tatarów oraz sześć chorągwi z województwa wileńskiego i powiatu kowieńskiego, z których część była przy republikantach²⁶. Jak widać szlachta wileńska i kowieńska były podzielone między dwa stronnictwa.

W październiku 1700 dochodzi w powiecie oszmiańskim do pierwszych starć z ludźmi Sapiehów. Sapieha zwyciężył Kocięłowych. Wszczęta się tandem rebelia w Wielkim Księstwie²⁷. Do wzmożenia walk przyczyniły się obelgi sług hetmańskich rzucone w Wilnie na Wiśniowieckich:

Roku 1700 dwaj książęta Wiśniowieccy żelzeni zostali od sług hetmańskich w Wilnie na ulicy i chociaż młody Sapieha nic będąc winnym tej obelgi, dał nawet pomoc rannym i ubolewał nad ich przypadkiem: Wiśniowieccy jedynie chęcią zemsty patając wyjechali z miasta i łatwo podburzyli do nowego związku szlachtę. Zebrali się ona we 20.000 w powiecie oszmiańskim pod Lipniskami, w skutek niby uniwersatu królewskiego dla obmyślenia obrony granic od Inflant najechanych przez Karola XII, i obrawszy pułkownikiem generałem Michała Serwacego Korybuta Wiśniowieckiego, pociągnęła zbrojnie dnia 10 listopada z Lipnisk ku Olkienikom odgrając się na Sapiehów i dalej Sapiehowie zebrawszy do 9.000 wojska domowego i z cudzoziemców złożonego, wyszli z Wilna na przeciw szlachcie i spotkawszy się z nią o półtorej mili od Olkienik w Lejpunach, na głowę pobici zostali²⁸.

Gdy Wiśniowieccy, Radziwiłłowie i Ogiński ruszyli w kierunku Wilna, Sapiehowie wyszli z miasta i założyli obóz w Lejpunach. Tym siłami dowodził Michał Sapieha koniuszy wielki litewski, syn hetmana:

Młody ten człowiek, szlachetnej duszy, pełen odwagi rycerskiej i wysokiego polotu, znając cały ogrom klęsk, jakimi te kłótnie domowe przynębiały kraj w nieładzie pogrążony, długo usiłował powściągnąć zapamiętałość ojca i stryja, długo walczył w duszy między obowiązkami syna a powinnością obywatela, aż póki wszelkich środków do zgody nie wyczerpał. Ale rozjątrzenie szlachty, oddającej się na ślepo zawistnym domowi Sapieżyńskiemu lub od niego pokrzywdzonym możnowładcom, z jednej strony; duma bez granic hetmańskiej i podskarbiego z drugiej: usuwały nadzieję nawet uczynienia jakiegokolwiek

25 A.Sajkowski, *W stronę Wiednia*, s. 335.

26 J.Urwanowicz, *Drobna szlachta*, s. 78.

27 B.Królikowski, *Błażeja Siennickiego z wojen przeszłych notacje*, s. 308.

28 M.Baliński, *T.Lipiński, Starożytna Polska*, 2/III, s. 328-338.



Józef Brandt, *Składanie sztandarów*. Obraz olejny z 1905 r.

między nimi pokoju. Kusił się jeszcze o to biskup Brzostowski, zniewoliwszy zjazd olkienicki do podania warunków Sapiehom, i z temi przybył 17 listopada do ich obozu w Lejpunach. Twarde być musiały i niezręczne, kiedy hetman i podskarbi za nadto ufni w sprawność hufców swoich, odrzucili je z oburzeniem: oświadczając, że szable rozstrzygnie ten spór najlepiej²⁹.

Finat wojny domowej dokonał się w bitwie³⁰. Wojsko Sapiehów chociaż mniejsze liczebnie, to lepiej było wyćwiczone oraz posiadało posiłki Tatarów i Wołochów. Gdy Sapieżyńscy dotarli pod Olkieniki, siły republikanów wzrosły już do 13 tysięcy³¹. Ale przyjmując się, że nie przekroczyły 14 tysięcy. Siły Sapiehów były mniejsze. Obydwe strony od godziny dziewiątej z rana, do trzeciej po południu 18 listopada 1700 roku potykały się pod Olkienikami³², niby pod drugim Farsalos³³. Podczas walk piechota republikańska przełamała resztki oporu wojsk sapieżyńskich:

Widząc przegraną, Sapiehowie zebrali przy sobie kilkadziesiąt ludzi na koniach, ruszyli do Wilna, by choć życie uratować. pozostał natomiast Michał Sapieha, zdecydowany w przegranej umierać rycersko, niżli z pola spędzony ująć niekawalersko³⁴.

Koniuszego do niewoli wziął Wiśniowiecki, i aby zapobiec samosądowi ze strony

29 Tamże, III/2, s. 328-338.

30 J.Narbutt, *Dzieje wewnętrzne narodu litewskiego*, t. II, Wilno 1843, s. 76-77; O.Korytyński, *Olkienicka potyczka*, w: *Źródła do dziejów polskich*, t. 1, Opr. M.Grabowski, A.Przedziecki. Wilno 1843. s. 201; K.Zawisza, *Pamiętniki Krzysztofa Zawiszy, wojewody mińskiego (1666-1721)*, opr. J.Bartoszewicz. Warszawa 1862, s. 208; J.Oleszewski, *Abrys domowej nieszczęśliwości y wewnętrznej niesnaski, wojny Korony Polskiej y Wielkiego Księstwa Litewskiego pro informacjom potomnym następującym czasem przez jedną zakonną osobę świata pokazany y z żałością wyrażony anno 1721*, Opr. F.K.Kluczycki. Kraków 1899. s. 10 W.Kuczyński, *Pamiętnik 1668-1737*, opr. J.Marosza, Białystok 1999, s. 28.

31 A.Sajkowski, *W stronę Wiednia*, s. 335-336; J.Urwanowicz, *Drobna szlachta*, s. 78.

32 Czasem podawana jest data 19 listopada 1700 roku. J.Wimmer, *Wojsko Rzeczypospolitej w dobie wojny północnej*, Warszawa 1956. s. 62; T.Ciesielski, *Wojsko litewskie w latach 1698-1709, w: Wojny północne w XVI - XVIII wieku*. Red. Bogusław Dybaś, Toruń 2007. s. 169.

33 B.Królikowski, *Błażeja Siennickiego z wojen przeszłych notacje*, s. 311-312.

34 A.Sajkowski, *W stronę Wiednia*, s. 341.

szlachty, odesłał go do domu do Olkienik.

Po bitwie wygranej siła miodów, wina a gorzałki w wozach sapieżyńskich naszedłszy, koni takież pobrawszy, oręży a inszej galanterii, szlachta zwycięska, krwią swoją i cudzą rozżarta, nad miarę pić pocznie. Podpiwszy, przeciw więźniom burzyć się weźmie, bigosować ich chcąc i na szable brać.

W niebezpieczeństwie znalazł się koniuszy Michał Sapieha, znajdujący się w Olkienikach pod strażą. Tłum pijanej szlachty zaczął napierać na drzwi. Pośniano po pomoc do biskupa wileńskiego Konstantego Brzostowskiego. Przyjechał zaraz szlachtę moderować a solicytować³⁵. Lecz to nie pomogło. Wiśniowieccy też rady dać nie mogli. Sapieha młody, warty obaczysz rozpędzone, drzwi wyważone, okna wybite, a szlachtę nawet przez dach rozebrany wpadającą, śmierć czując bliską, o księdza jął prosić³⁶.

Nic nie pomogło. Został wywleczony na ulicę, gdzie tłum podlegany przez kanonika wileńskiego Krzysztofa Monwida Białłozora (*1650-†1741), w akcie zemsty wydał wyrok rozstrzelania syna hetmańskiego. Ostatecznie jednak został rozszekany.

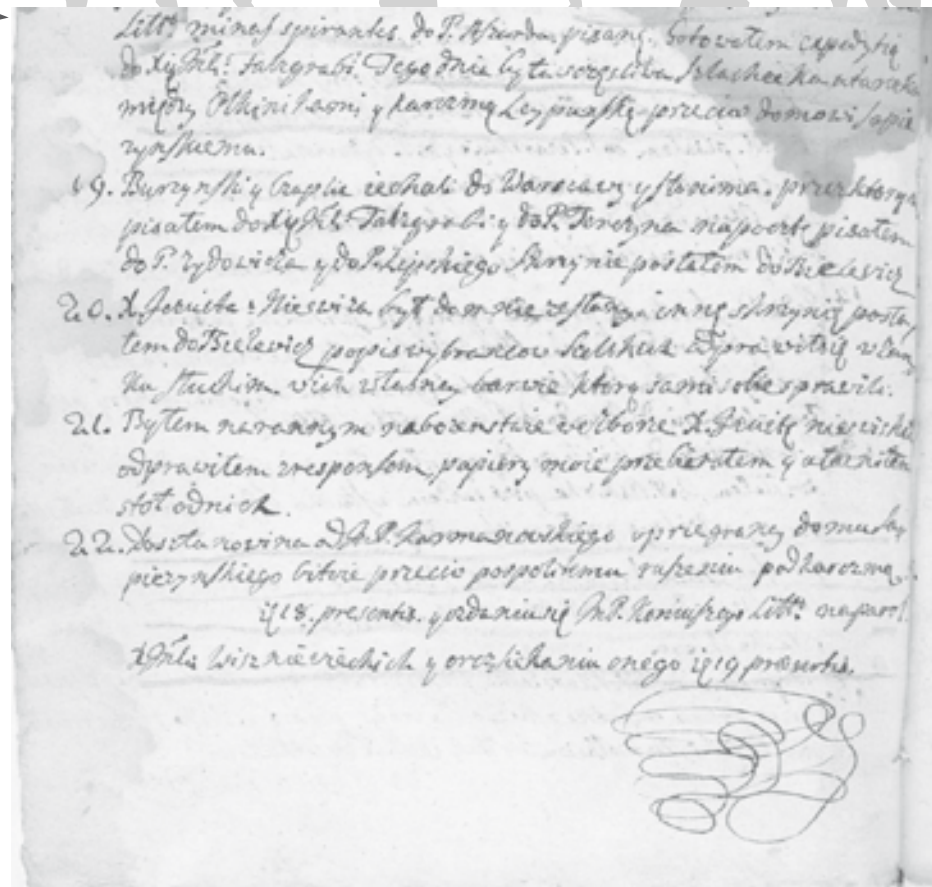
Olkienicka potrzeba zamknęła rachunki krzywd poniesionych przez szlachtę litewską od Sapiehów. Zwycięzcy podpisali postanowienie generalne:

Poczem w dniu 22 listopada roku 1700 stanęto tu laudum, czyli postanowienie zjazdu Olkienickiego, mocą którego związkowi oddali się pod rząd wojskowy księcia Wiśniowieckiego, aż do dalszego rozporządzenia króla i Rzeczypospolitej, naczynając leżę dla wojska w dobrach Sapieżyńskich, i na opłatę żołdu obmyślając podatki. Potem odsądzono wszystkich Sapiehów zacząwszy od hetmana, z wyjątkiem linii kodeńskiej, od urzędów dotąd piastowanych i od wszelkich starostw jakie posiadali, z zabranie dóbr dziedzicznych dla zadosyć uczynienia wierzycielom, a reszty do skarbu publicznego. Ustanowiono wreszcie komissarzy do rady Wiśniowieckiemu z senatu i koła rycerskiego, oraz rezydenta od zjazdu do dworu królewskiego w osobie Krzysztofa Białłozora kanonika wileńskiego; prócz tego opiekę książniczką Nejburjskiej³⁷ i dóbr jej usuwając

35 B.Królikowski, *Błażeja Siennickiego z wojen przeszłych notacje*, s. 311-312.

36 Tamże, s. 312.

37 Chodzi o Ludwikę Karolinę Radziwiłłównę księżniczkę neuburską. Metryka litewska. Rejestry podymnego



Informacja o przegranej domu sapieżyńskiego bitwie przeciwko pospolitemu ruszeniu pod karczmą il. 18. presentis y o zdaniu się W.P.Koniuszego Litt. na parol JMPów Wiszniowieckich y o rozsiekaniu Onego in 19. presentis. Pamiętnik Stanisława Niezabitowskiego. Biblioteka Narodowa w Warszawie

od niej Sapiehów, przeniesiono na osobę księcia Karola Stanisława Radziwiłła kancлера wielkiego litewskiego, zapewniono wynagrodzenie rodzinom zabitych. Tak dokonana została w Olkienikach zemsta nad Sapiehami i poniżenie ich domu, z czego żadnego jednak pożytku kraj nie odniósł, bo po nich inni przewodzić zaczęli. Dowódcami całej tej sprawy byli głównie prócz Wiśniowieckich, Ogińscy, Pociejowie, Pacowie, Śluszkowie i Brzostowscy³⁸.

W wojskach Sapiehów było sześć chorągwi z województwa wileńskiego i powiatu kowieńskiego. Lecz i po stronie republikantów walczyła pod Olkienikami szlachta z powiatów witekomirskiego, kowieńskiego i wileńskiego³⁹, czyli jednolitego stanowiska szlachty tych powiatów nie było.

Po roku republikanci wydali pod datą 24 listopada 1700 roku Postanowienie generalne godzące w pozycję polityczną Sapiehów. Szlachta należąca do tego obozu licznie się tutaj wpisała, ci którzy walczyli po drugiej stronie i wspierali Sapiehów, zostali wyparci z Litwy⁴⁰.

Wielkiego Księstwa Litewskiego. Województwo wileńskie 1690 r., oprac. A.Rachuba, Warszawa 1989, s. 244, przyp. 64.

38 M.Baliński, T.Lipiński, Starożytna Polska, III, s. 328-338.

39 A.J.Woloszyn, Pospolite ruszenie po zwycięstwie ojczystym nieprzyjaciela nazad powracające polski wita Apollo, jako źródło do badań nad wojną domową szlachty litewskiej z Sapiehami w latach 1697-1701, Zielonogórskie Spotkania Źródłoznawcze, t. 1: Na tropie źródła i jego interpretacji, Zielona Góra 2011, s. 141; J.Urwanowicz, Drobna szlachta, s. 78.

40 Postanowienie generalne stanów W. X. Litewskiego wieczne y nigdy nienaruszone, na zieżdzie walnym województw y powiatów. Pospolitem ruszeniem pod Olkienikami uchwalone 1700, Wilno 1700, k. 34; J.Wimmer, Polska-Szwecja. Konflikty zbrojne w XVI-XVIII wieku, Oświęcim 2013, s. 230.

Informacja o przegranej domu sapieżyńskiego bitwie przeciwko pospolitemu ruszeniu pod karczmą il. 18. presentis y o zdaniu się W.P.Koniuszego Litt. na parol JMPów Wiszniowieckich y o rozsiekaniu Onego in 19. presentis. Pamiętnik Stanisława Niezabitowskiego. Biblioteka Narodowa w Warszawie

Oceniając wydarzenie, wypada wspomnieć słowa Gustawa Olizara. Nadal są i zawsze będą aktualne:

Aby się przyszłe po nas nauczyły wieki
Jako z domowej wojny ustępować stadu
I nie brać klęski, własnej
krwią zlanej przykładu
Dość tego, co raz nagle potrzeba kazała
Aby się krwią, z niewoli szlachta wybijała
Na której wolność kto się tylko targnął hardzie
Zły skutek miał swej pychy
i sam zasnął w wżgardzie⁴¹

(...)

Nie bez żalu, zaiste, mówić tu przychodzi
Bo rowny żal zwycięzca i zwyciężon rodzi
Zwycięzca, że okrutnie, krew braterską toczy
Zwyciężony zaś, który ongi wszystkich oczy
Obracał na swą hardość i szczęście wysokie⁴²
(...)
Wojnę domową opiewam, obraz Boskiej kaźni
Dla zbawiennej potomnym,
wiekom stąd bojaźni
Tych, którzy urodzeni w Ojczyźnie swobodzie
Chcą się nad Wszystkich w wolnym
wynosić narodzie⁴³

41 G.Olizar, Olkienicka potrzeba, k. 13v.

42 Tamże, k. 1.

43 Tamże, k. 1.

(...)

Uczcie się komu szczęście i fortuna sprzyja
Niech się wyżej nad równość
Polską nie wybija !⁴⁴

Bitwa pod Olkienikami wojny domowej na Litwie nie zakończyła. Toczono ją na sposób podjazdowy i partyzancki. Ponadto Rzeczpospolita znalazła się w zasięgu działań wojny północnej. Złamani pod Olkienikami Sapiehowie doczekali się w 1701 roku interwencji króla szwedzkiego Karola XII w Rzeczypospolitej. Na Litwę weszły wojska szwedzkie, a do Szwedów przystąpili natychmiast Sapiehowie. Ich wojska wsparły działania armii szwedzkiej. Na Litwie odnowiła się bratobójcza wojna. Republikanci gotowi byli się bić z nimi wszystkimi. Zniszczyli dobra sapieżyńskie i prześladowali wszystkich, którzy się im sprzeciwiali, nazywając ich wrogami ojczyzny. Szwedzi zapuszczali się coraz dalej. 14 grudnia 1701 roku zajęli Kiejdany, a 19 – Kowno. Wojsko litewskie podlegające hetmanowi wielkiemu Kazimierzowi Sapiesze rozprzeczło się i ostatecznie w 1702 roku zostało rozwiązane. Wielu żołnierzy i popleczników Sapiehów próbowało ratować głowy uciekając do Korony.

Republikanci nie zyskali poparcia Szwedów. Ich próby opanowania Wilna przyniosły represje. Za nieudany w 1702 roku atak Pocięja z trzy tysięcznym oddziałem, Szwedzi wieszali potem mieszczan i studentów. W odwecie, gdy jeszcze w tym samym roku Szwedzi odeszli z Litwy do Korony i przewagę odzyskali republikanie, którzy niedobrze sobie poczuli⁴⁵. Przeciwko Sapiehom wybuchła wojna podjazdowa. W Koronie tymczasem 18 lipca 1702 roku doszło do bitwy króla polskiego ze Szwedami pod Kliszowem. Potem wojska szwedzkie i generała Meydela wspierającego Sapiehów, dokonały wielu zniszczeń i rabunków w Wielkopolsce i pod Warszawą⁴⁶. Wojna trwała jeszcze kilka lat. Przyczyniła się do wielu zniszczeń, w tym także do migracji mas ludności.

Wzrost demograficzny utrudniały kataklizmy na przełomie XVII/XVIII wieku. Wylewy wiosenne i powodzie na Litwie odnotowano w latach: 1699, 1701, 1714, 1716, 1736 i 1740, nieurodzaje w: 1706, 1709, 1715, 1716, 1718, głód w: 1697, 1702, 1708, 1710, 1715, 1718 oraz epidemie w: 1707-1711, 1713, 1717 i 1730 roku⁴⁷. Dzięki sporządzonej w 1717 roku Taryfie podymkowej wiemy, że w powiecie wileńskim było 4.070, w oszmiańskim – 8.420, a w witekomirskim – 4.580 dymów. Do 1790 roku trwała odbudowa Litwy do stanu demograficznego i gospodarczego sprzed 1700 roku.

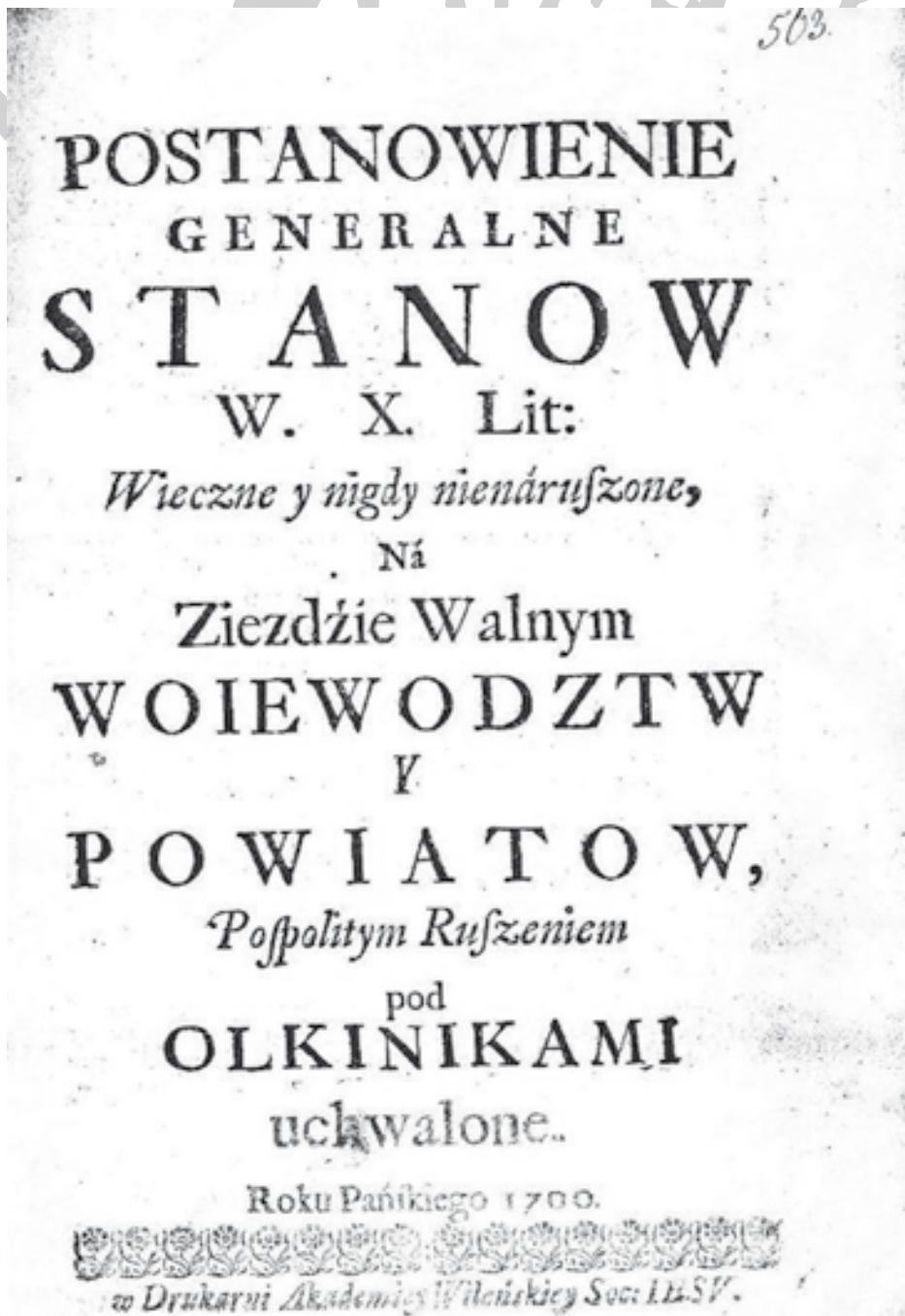
Stan kraju był opłakany. Wiele miejscowości zniknęło. Działania wojenne oraz epidemia dżumy zmniejszyły liczbę mieszkańców. Przypuszcza się, że w początkach XVIII wieku wymarła około połowa ludności z okolic Mejszagoły. Natomiast sąsiednie Podbrzezie w latach 1709-1713 było zupełnie bezludne. Mieszkańcy, którym udało się przeżyć, szukali ratunku w ucieczce. Próbowano powstrzymać to zjawisko dekretem w 1718 roku. Ale nie zatrzymano wielkiej wędrowki ludności w poszukiwaniu znośniejszych warunków życia. Na Wileńszczyźnie

44 Tamże, k. 14v.

45 J.Urwanowicz, Drobna szlachta, s. 81.

46 J.Wimmer, Polska-Szwecja, s. 233, 236.

47 F.Jukiewicz, Zjawiska meteorologiczne i stan urodzajów oraz pomory w Polsce w latach 1697-1750, „Sprawozdania Towarzystwa Naukowego we Lwowie”, 17(1937), z. 1, s. 63-70; M.T.Wójcik, Zjawiska atmosferyczne, elementy meteorologiczne i klęski żywiołowe na Litwie w latach 1697-1763 w wybranych źródłach narracyjnych, „Rocznik Lituanistyczny”, 1(2015), s. 116, przyp. 2.



nastąpiły przesunięcia etniczne. Niegdyś tereny całkowicie niemal etnicznie litewskie, zaludniły się na nowo, ale Polakami. Doszło do tego, że w 1737 roku w kościele św. Jana w Wilnie zaprzestano wygłaszania kazań po litewsku, bo nie było do kogo mówić w tym języku. To zjawisko widać także w księgach ziemskich i grodzkich, gdzie zrezygnowano z zapisów w języku starostwiankim na rzecz języka polskiego.

Kryzys europejski i zagrożenie tureckie sprawiły, że w 1710 roku na Litwę wprowadzono wojska saskie. Wybuchły też walki pomiędzy zwolennikami króla Augusta II Sasa i Stanisława Leszczyńskiego. Pomimo, że do 1714 roku niebezpieczeństwo i walki wygasły, nadal szlachta musiała utrzymywać wojska saskie, co przypominało wszystkie utrapienia z czasów wcześniejszej okupacji szwedzkiej.

Zauważono zamiary królewskie, by wykorzystać niezadowolenie szlachty wpływające ze stacjonowania wojsk, aby stać się mediatorem w tej sprawie. Wtedy król mógłby wyjednać za wyprowadzenie wojsk, zgodę szlachty na realizację swych planów absolutystycznych.

Początkowo szło po myśli króla. W 1714 roku szlachta zaczęła zawiązywać konfederacje wojewódzkie i zwalczać wojska saskie. Ale konfederaci zwrócili się o pomoc w mediacji do cara Rosji Piotra I, który chętnie na to przystał. Kryzys pogłębiły nieurodzaj i rozprzestrzenienie się zarazy od 1713 roku.

Starcia zbrojne rozpoczęły się od bitwy konfederatów z wojskami saskimi pod Radogoszczą 8 października 1715 roku. Potem 26 listopada 1715 roku w Tarnogrodzie zawiązała się oficjalnie konfederacja generalna w celu wyprowadzenia wojsk saskich i odsunięcia od stanowisk państwowych urzędników saskich. Do konfederatów przyłączyła się część wojsk koronnych i litewskich. W styczniu 1716 roku zawarto rozejm. Jednak walki się odnowiły. Po zwycięstwie konfederatów pod Ryczywołem w lutym 1716 roku, zawiązała się konfederacja na Litwie. Siły konfederatów w tym czasie obliczano na blisko 36 tysięcy żołnierzy i do tego kilkanaście tysięcy pospolitego ruszenia.

Po licznych zwycięstwach konfederacji ponieśli klęskę 5 października 1716 roku pod Kowalewem. Rozpoczęto negocjacje. Ustalono, że August II wyprowadzi wojska saskie z Rzeczypospolitej. Zostanie przeprowadzona reforma wojskowo-skarbowa. Przypisano prawo do nadawania najwyższych urzędów do kompetencji sejmu. Wprowadzono zakaz ingerowania ministrów saskich w sprawy polskie. Warunki podpisano 3 listopada 1716 roku w Warszawie i zatwierdzono na Sejmie niemym⁴⁸, po czym ogłoszono amnestię generalną i nastąpił okres spokoju. Ale tylko przez piętnaście lat.

GRZEGORZ JACEK BRZUSTOWICZ



Ugoda między Ogińskimi a Sapiehami pod Olkienikami. Anonimowy rysunek z epoki.

⁴⁸ Konstytucje na Zakończeniu Konfederacji Tarnogrodzkiej, y innych Konfederacji Prowincjonalnych, y Partykularnych do niej referujących się, tak Szlacheckich iako Wojskowych Koronnych, y W.X.L. sub Autoritate Valore Sejmu Pacificationu, vigore Traktatu Warszawskiego, ex Consensu Ordinum totius Reipublicae. R.P. MDCCVII. Miesiąca Lutego, dnia pierwszego w Warszawie postanowione, Warszawa 1717, s. 53-68; Historia dyplomacji polskiej, t. II, red. Z.Wójcik, Warszawa 1982, s. 368.

WBREW WSZYSTKIEMU – NADZIEJA

Według pewnego stereotypu (a uproszczenia, jak wiadomo, wyprowadzają nas zazwyczaj na manowce, gdyż z gruntu fałszują rzeczywistość) poeta to ktoś, z kim trudno się porozumieć. Jednym słowem – pięknoduch i dziwak. A coś dopiero mówić o parze poetów (pisarzy), stanowiących związek dwojga osób? W najnowszych dziejach polskiej literatury było takich całkiem niemało, by wspomnieć tylko o niektórych: Mieczysława Buczkówna i Mieczysław Jastrun, Julia Hartwig i Artur Międzyrzecki, Wiśława Szymborska i Kornel Filipowicz, Teresa Ferenc i Zbigniew Jankowski. Z tej ostatniej pary trop wiedzie wprost do Anny Janko (córci tych dwojga) i Macieja Cisy.

Fenomen par literackich może zadziwiać i intrygować. Na jakich poziomach funkcjonowały, czy radziły sobie z codziennością, czy potrafiły stawiać czoła życiowym problemom, a poza tym czy element konkurencji był tym, co twórczo mobilizowało? A może stanowiło siłę w jakiś sposób destrukcyjną, prowadzącą do dominacji jednej ze stron? To pytania, które z pewnością nie znajdują prostych odpowiedzi, bo czyha w nich niebezpieczeństwo uproszczeń, a życie zanurzone w codzienności, dziś także w sferze wirtualnej, nie jest przecież proste. Odwrotnie – mierzy się miarą zwyczajnych spraw i emocji, które targają każdym o amplitudach wprost kosmicznych. Chociaż wydaje się, że poetka w parze z poetą stanowi tandem korzystny dla obojga, o czym zaświadczały wymienione wyżej przykłady. Anna Janko w wywiadzie udzielonym Polskiej Agencji Prasowej w 2024 r. przyznaje, mówiąc o swoich mistrzach: „Moim mistrzem – nauczycielem był także mój mąż, poeta Maciej Ciso, który pisał w sposób niepodrabialny, śmiały, celny i piękny.”

Najcelniej, jak się wydaje, określił poezję Janko Piotr Matywiecki, twierdząc, że jest ona „ekstremalnym spokojem”. To szczególne napięcie między ekstazą i spokojem widoczne jest w całej twórczości poetki Anny Janko. Już jej pierwsze wiersze zdradzają taką tendencję, chociaż poezja ta jest poddana zrozumiałej dynamice na przestrzeni półwiecznego swego rozwoju, o którym poetka wielokrotnie wspomina.

Janko była (i jest) trochę antywspółnotowa, w jakiś sposób osobna, chociaż pokoleniowo i formalnie przypisano ją do Nowej Prywatności (Nowych Roczników), czego dokonała trójka redaktorów antologii (Maciej Chrzanowski, Zbigniew Jerzyński i Jerzy Koperski) pt. „Poeta jest jak dziecko”. Poetka miała zresztą już wówczas na swoim koncie znaczący dorobek, będąc autorką trzech książek poetyckich: „List do królika doświadczalnego” (1977), „Wykluwa się staruszek” (1979) i „Diabłu święca” (1980). Spośród sześćdziesięciorga twórców ujętych w antologii każde z nich poszło dalej swoją drogą, wyznaczaną doświadczeniem życiowym i artystycznym. Niektórzy już niestety nie żyją. Lech J. Majewski został poetą ekranu, tworząc kino światowej miary, w tym słynny „Młyn i Krzyż” (2011).

Także odrębne są ścieżki uprawiania literatury przez Annę Janko. Już wier-

sze składające się na debiutancki tomik zawierają tę szczególną poetycką dykcję. Uczuciowe eskapady młodzieżowej autorki z lat siedemdziesiątych cechowały się powściągliwością (i tu polemizowałbym z Karolem Maliszewskim). W tytułowym wierszu „List otwarty do królika doświadczalnego” mamy do czynienia z finezyjną grą z czytelnikiem, godną konceptu barokowej poezji dworskiej. Nie o królika tu bowiem idzie, lecz o dramat tęsknoty, żądze posiadania na wyjątkowość, po rozczarowaniu i rozstaniu. Odwieczny syndrom miłości, ubrany w laboratoryjny sztafaż. Bo miłość często jest od zarania skażona, ułomna, bolesna – jak we wczesnym wierszu „Z wadą serca”, więc „odejdziesz skulona / z sercem zaciśniętym w pięść”. Tę możliwość niespełnienia zapowiada Janko już jako poetka debiutująca. W utworze „Szyba” czuje oddzielenie od tego, co ważne w uczuciach, od dotyku, a zmysłowość osadza się we wzroku. Tytułowa szyba może tylko dać szansę na zespolenie z nią, lecz nie na przekroczenie jej granicy. Paradoksalnie owo zjednoczenie się możliwe będzie wraz z utratą zdolności patrzenia.

Tej grze paradoksami, zwykle przebiegającej w pointach, Janko pozostaje wierna do dzisiaj. Od „Nie dotykaj”: „Masz być współczesny / a ty jesteś szczęśliwy / Wstyd się z tobą / pokazać / na ulicy”, „Zuzanna i starcy”: „odrzućmy z włosów cierpienie / i swój taniec tańcz / szczęśliwa bez litości”, „Nie radość”: „liżę z namyśłem plasterki języka” – po wiersze całkiem niedawne, jak „Młodość...”: „...jest jak wyrok, od którego można odwołać się / dopiero po latach”.

Język Janko, wyposażony w stylistyczne narzędzia, sposoby budowania frazy znajdujemy zarówno w jej poezji, jak i w prozie. W tej mierze nie istnieją tu odrębne światy. Wręcz odwrotnie; współbrzmia, uzupełniają się i przenikają wzajemnie. W powieściach „Dziewczyna z zapalnikami”, „Pasja według św. Hanki” i „Finalistka”, składających się na trylogię o Hance, a także w tekstach lirycznych mówi do czytelnika jakby ta sama osoba, a jej głos podporządkowany jest dynamice naturalnych przemian, jakim poddane jest życie. Wczesna młodość, doświadczenia losu wiecznej tułaczki, zmieniającej miejsca zamieszkania, miłosne egzaltacje i dojrzałość uczuć, rozczarowania i dotknięcie spełnienia, iluzoryczność względnej trwałości itp. – wszystko to intensywnie przeżywane i otulone refleksją sprzyja wejściu poetki – jak sama o tym mówi – w „stan podwyższonej gotowości”. W tym stanie wrze od temperatury, lecz Janko, dysponująca świetnym warszatem, potrafi emocje okiełznać. Aby mieć szansę na rezonans czysto artystyczny, stara się pisać „adekwatnie”. Jej wiersze są, jak wspomina, „adekwatne do tego, co czuję i wiem o sobie i o ludziach, o egzystencji w jej ekstremalnych amplitudach”.

Jest zatem w tej poezji ustawiczne napięcie między tym, co spontaniczne i tym, co opanowane, uchwycone w ramy formy, gdyż tylko te ramy dają możliwość znalezienia wspólnoty z drugim człowiekiem;

wspólnoty chociażby w aspekcie kulturowym. Janko zwraca się do czytelnika, który podobnie jak ona, zna twórczość Miłosza, Rilkego, Leśmiana, Apollinaire’a, Baudelaire’a, Julii Hartwig i innych; odbiorcy o podobnym typie wrażliwości, który podejmie trud towarzyszenia poetce w świecie przez nią wykreowanym, ale też bliskim, będącym w zasięgu spojrzenia, dotyku... W świecie przenikniętym autobiografizmem.

Tu przypomina mi się dość znana publikacja autorstwa Duccio Demetrio „Autobiografia. Terapeutyczny wymiar pisania o sobie”. W jednym z rozdziałów pisze on: „(...) myśl autobiograficzna stanowić może rodzaj terapii – odtwarzanie obrazów z przeszłości wprawia opowiadającego w lepsze samopoczucie, samo zaś opowiadanie staje się metodą lepszego poznania i formą wyzwolenia zarazem”. Trudno powiedzieć, czy pisanie polepsza Janko samopoczucie, lecz z pewnością służy samopoznaniu i jakiemuś porządkowaniu rzeczywistości, zarówno zewnętrznej, jak i – może przede wszystkim – wewnętrznej, zamianie chaosu w kosmos, jak sama zresztą mówi.

Autobiografizm u Anny Janko to główny paradygmat jej twórczości literackiej szeroko rozumianej. Wystarczy z pewnej perspektywy spojrzeć na jej powieści, utwory liryczne i liczne felietony, zamieszczane w prasie, uważanej powszechnie za kobiecą („Pani”, „Zwierciadło”), by się przekonać, że to pewna odmiana życiopisania, choć odległa od standardów wytyczonych przez Stachurę. Nie ma tu owej egzaltacji, także mitologizowania, tak charakterystycznych dla „kaskadera literatury”. Jest natomiast szczerość, czasami „do bólu”, lecz zarazem wyrażana ze stoickim dystansem, także wówczas, gdy dotyka kwestii najtrudniejszych, nawet najboleśniejszych. W felietonach, mających cechę doraźności, taka perspektywa jest najmocniej widoczna. Zawsze za tymi tekstami stoi osobiste doświadczanie życia, a w szczególnych okolicznościach także śmierci. I to nie w kategoriach filozoficznej, egzystencjalnej figury, lecz całkiem dostownej, odczutej najgłębiej – jako ostateczne odejście osoby najbliższej. Stąd też felietony mają w sobie wyrazistą nutę konfesyjną, a najdoniośniej wieloma akordami zabrzmiała ona w eseju – „żałobnym liście”, zamieszczonym w 2024 r. w „Zwierciadle”, z którym zresztą Janko jako felietonistka rozstała się po siedemnastu latach kilka miesięcy wcześniej. „Bo mi umarłeś i teraz nagle zostałam wobec nikogo” to rzecz o żałobie i końcu wszystkiego. Takiego, jaki znajdujemy u Czesława Miłosza w znanym wierszu „Piosenka o końcu świata”. Nie potrzebuje trąb i jeźdźców, i znaków szczególnych na niebie. Ten koniec przychodzi do każdego z osobna, podczas gdy „pszczoła krąży nad kwiatem nasturcji, / Rybak naprawia błyszczącą sieć”. Esei Janko (choć to nazwa w tym wypadku jakby nieostojowa; raczej wyznanie czy spowiedź) dotyczy najgłębszych pokładów ludzkiego (należałoby powiedzieć: ludzkiego) bólu i bezdennej bezradności. Także trudnej drogi wychodzenia z niej o własnych i nie-własnych siłach, dramatycznych pró-

bach przetrwania w świecie nowym, już bez niego (męża Macieja Cisy).

Można chyba z niewielkim marginesem ewentualnego błędu stwierdzić, że ten tekst, podobnie jak cała twórczość Janko, jest próbą radzenia sobie z życiem, które znalazło się w stanie entropii; niszczącego rozpadu. Dotyczy to również innych książek, jak „Boscy i nieznosni. Niezwykłe biografie” (2012) oraz książeczki dla dzieci „Oleś i Pani Róża” (2018).

Wiara w słowo scalające świat, a niekiedy ocalające człowieka, jeśli nawet nie jest przez poetkę obwieszczana, to z pewnością jest przez nią sączona w tekstach, może zwłaszcza poetyckich. Natomiast usiłowanie scalenia siebie samej jako poetki, przynajmniej na obecnym etapie życia i twórczości, wydaje się być „Załamaniem pogody”. Rzecz ta ukazała się niedawno (w 2024 r.) w PIW-ie w autorskim wyborze. Pozwala ujrzeć Janko stosunkowo kompletnie, jednak wiersze, ułożone w porządku chronologicznym według ukazywania się poszczególnych tomików, zostały ujęte w rozdziały, tworzone już z dzisiejszej perspektywy – osoby dojrzałej, doświadczonej życiowo (i w całym dosłownym wymiarze: śmiertelnie). Ostateczne rozstania z rodzicami, a potem z ukochanym mężem, to wydarzenia, które nosiły znamiona końca świata w owym Miłoszowym ujęciu. Zatem początek („Wiersze przedwczesne”), młodość („Wiersze dwudziestolecie”), dojrzałość („Wiek męski”), później ów katastroficzny ton („Wiersze na koniec świata”). A potem trzeba się odbudować, co prawda na innych zasadach, całkiem nowe konstrukcje stawiać. Nic więc nie będzie już jak dawniej. Będzie inaczej, choć wcale nie łatwiej. Odbudowa nie byłaby możliwa, gdyby nie miłość, choćby zaszyta we wspomnieniach, więc jednak nadal żywa. Wtedy „twój pocałunek / uderzył mnie jak przetamana gałązka” („Pocałunek”).

Istnienie świata jest więc możliwe. Zresztą sama mówi w wywiadzie: „Pisząc, jestem bardziej i dokładniej”. Choć miłość i śmierć to dwie siostry. Także dla Janko. Obie te domeny się splatają i wydają się nierozłączne. A jednak nie całkiem. Jeśli miłość, to do dna i w całości, a jeśli śmierć, to nie bezwzględnie: „Ona jest taka silna. Trzyma mnie całą. / Tak. Bóg jest. Czuję go. // Ale idę dalej” („Śmierć”). Czy da się „iść” pomimo zatrzymania się czasu? Słyszeć głosy ptaków, zobaczyć zachód słońca nad morzem, zanurzyć palce w piasku na wydmie... To możliwe, bo przecież „Innego końca świata nie będzie”.

Ów krytyczny moment byłby może nie do zniesienia i przetrwania, gdyby nie swoista „szczepionka”, jaką poetka jako dziecko otrzymała w relacjach rodzinnych, kiedy to żyła w cieniu doświadczeń wojennych swej matki. Te doświadczenia to graniczny strach, głód, poniewierka. Z tego zapewne zrodził się imperatyw napisania i wydania w 2015 r. „Małej zagłady”, która wypełnia lukę w historii martyrologicznej, tym razem z pozycji polskiego chłopstwa. „To nie jest utwór literacki określonego gatunku, to formalny mieszaniec” – mówi poetka w wywiadzie udzielonym Agnieszce Kostuch, zamieszczonym w książce „O literaturze. Otwarcie” (2022). „Mała zagłada” jest przy tym boleśnie osobista (a czyż mogło być inaczej?). Toż przecież w powieściach i w poezji, w felietonach i w „Małej zagładzie” Janko jest poniekąd ta sama, przy oczywistych przemianach jej twórczości, podporządkowanej artystycznemu dojrzywaniu. U jego źródła leży prawie zawsze cierpienie, a ono, jak powiada poetka, prowadzi do wierszy albo na oddział psychiatryczny. Coś w tym jest.

Maria Kuncewiczowa powiedziała kiedyś, że gdyby nie pisała, to by zwariowała. Ona, taka uporządkowana, a jednak wydawała się balansować na cienkiej linii dzielącej ją od mroku...

Ów stan „podwyższonej gotowości” towarzyszy Annie Janko do dzisiaj i, jak wolno przypuszczać, poetka się go nie wyzbędzie. To dobra perspektywa dla autorki i jej czytelników. Ta twórczość co prawda nie wybawi świata od wojen i klimatycznego kryzysu.

Nie zmieni sposobu myślenia strategów od polityki i gospodarki, ale może przynieść to, co nieśmiało czai się na dnie puszek Pandory. Gdy z tejże rozpetzło się całe plugastwo, z dna błagalnie spojrzała nadzieja. Ona niczego radykalnie nie odmieni. Dokona jednak jedyne go możliwego cudu...

Nie pozwoli pograć się w chaosie bez reszty.

RYSZARD BIBERSTAJN



O OGNIU, NIE TYLKO Z HERAKLITEM W TLE

I.

Jakże łapczywy, wręcz pazerny jest ogień w unicestwianiu tego, co wody w sobie ma niewiele: w tym wypadku, trawy i gałęzi. Pozostałe żywyoty, gdy ogarnie je pasja niszczenia, pozostawiają po swym działaniu więcej śladów. A nie tylko coś tak mało przypominającego *materiał wyjściowy*, jak popiół.

Według Heraklita ogień jest substancją najpierwotniejszą, przy tym wieczną. To z niego powstały w dalszej kolejności morze, powietrze, ziemia. Następnie znowu staną się wyłączone ogniem. Z niego zaś ponownie powstaną wspomniane trzy elementy. Z nich zaś... I tak bez końca. Za tą ustawiczną zmiennością stoi Logos będący rozumną zasadą porządkującą Świat (także kierującą/inicjującą wydarzenia w społeczeństwach ludzkich). Ten zaś, jak twierdził Heraklit, jest wieczny. I dodawał, że ponieważ wiecznotrwałość jest atrybutem Bogów, więc Logos ma charakter boski. Tak jak i sam ogień będący wspomnianym wiecznotrwałym składnikiem rzeczywistości.

Kontynuując wątek filozoficzny należy wspomnieć o Platonie, który w *Timajosie* wspomina o kilku rodzajach ognia. Zaś Zenon z Kition, założyciel szkoły stoików rozróżniał (tylko) dwa jego rodzaje: „jeden jest nietwórczy [...], przetwarzający paliwo w samego siebie, drugi jest twórczy [...], powodujący wzrost i zachowanie” (cytat z: Adam Drozdek, *Greccy filozofowie jako teolodzy*).

Także stoicy „widzieli” Logos w postaci ognia. Z tym, że Logos, który był dla nich powszechnym Rozumem, wprost utożsamiali z Bogiem. Miał On być, przy tym, owym Zenonowym twórczym ogniem. To bowiem za sprawą Boga posługującego się, właśnie tego rodzaju ogniem (mają znajdować się w nim stosowne informacje), Świat jest odbudowywany po każdej kolejnej katastrofie. Bertrand Russell w *Dziejach zachodniej filozofii* na temat ognia w koncepcjach stoików, tak oto napisał:

„Wcześniej czy później wybuchnie kosmiczny pożar i wszystko stanie się na powrót ogniem. Według większości stoików nie jest to jednak ostateczne spełnienie podobne do końca świata w doktrynie chrześcijańskiej, lecz tylko domknięcie jednego cyklu; cały ten proces będzie powtarzał się w nieskończoność. Wszystko, co się dzieje, dzieło się już wcześniej, wydarzy się znowu, i to nie raz, lecz niezliczoną ilość razy”.

Bez względu jednak na żywioł dominujący w koncepcjach filozofów starożytnych, uważali oni, że cztery żywioły współtworzą zarówno Kosmos, tak też budują mikrokosmos, to znaczy człowieka. Należy mieć na uwadze fakt, że owa czwórnia obecna jest również w myśli średniowiecznej. Za przykład może posłużyć Honoriusz z Autun, według którego „wszechświat ma kształt jaja. Na podstawie średniowiecznej nauki o czterech pierwiastkach – jak pisze w *Czasie* Henryk Paprocki – Honoriusz wyróżnił cztery elementy wszechświata: ziemię, jako najcięższą, znajdującą się w jego centrum, wodę, (jako lżejszą od ziemi, otaczającą ją i przenikającą), powietrze, wypełniające pustkę między Księżycem a Ziemią oraz ogień, «którego naturalnym miejscem jest „góra”, obejmują-



Johannes Moreelse, *Heraklit*, ok. 1630 r.

ca przestrzeń od Księżyca do firmamentu», strefa zwana eterem, z którego mają się formować ciała astralne. Te cztery elementy wszechświata Honoriusz przyporządkował czterem pierwiastkom i porównał z czterema elementami jaja:

Niebo = woda = skorupka
Eter = ogień = białko
Powietrze = powietrze = żółtko
Ziemia = ziemia = zarodek”.

Jest wiele przykładów każących odrzucić obraz wiedzy w wiekach średnich, ukształtowany w stuleciach XVIII i XIX (zwłaszcza w tym pierwszym), a funkcjonujący jeszcze – i to bez zastrzeżeń – przez większość wieku XX: śmiało można mówić o klasycznej postaci resentymentu. Był to bowiem obraz, jako całości, czasów wyjątkowo ciemnych. Ognisk wiedzy, w porównaniu np. z epoką hellenistyczną, było niewątpliwie mniej, ale te które paliły się (szczególnie w wiekach XI-XIV), paliły się równie intensywnie (ach, ten ogień). A żyjący w latach: ok. 1175-1235 Robert Grosseteste był niewątpliwie takim ogniskiem, a tym samym, oczywiście, źródłem światła, a ono (obok barw) bardzo go interesowało, jako uczonego. Swoje poglądy w tej materii zaprezentował w dziele *De Luce* (*O świetle*). A brzmią one bardzo, bardzo nowocześnie, a przy tym znająco: na myśl przychodzi teoria Wielkiego Wybuchu. Ów Anglik uważał bowiem, że świat wziął swój początek w stworzonym przez Boga punkcie materialnym. Rozchodzące się od niego światło porywało ze sobą cząstki materii. Konsekwencją czego był rozszerzający się Wszechświat. Jego granicę wyznaczała powierzchnia kuli stale zwiększającej swą

średnicę. Towarzyszyła też temu malejąca stopniowo gęstość materii w nim istniejącej. Grosseteste rozróżniał światło nazywane *lux*, wypełniające Wszechświat, i światło *lumen* istniejące poza nim.

II.

Łapczywość ognia sprawia, że zagrożone jest życie skrywające się w resztkach roślinnych, które zwożę taczka, z coraz odleglejszych części ogrodu. To dlatego, mając na uwadze drobne żywe organizmy – nazwę je żyjątkami – zanim wrzucę w ogień kolejną partię suchej trawy i suchych badyli, potrząsam nią na boku. Tak, aby one nie stały się ofiarami ognia (liczę się jednak z tym, że nie zawsze to mi się udaje). Tak, jak zwierzęta domowe i – w szczególnych sytuacjach – dzieci składane w ofierze Baalowi. Tak, jak miało to miejsce w fenickich i kartagińskich świątyniach przed wiekami.

Z pewnością jest jakiś – najpewniej istotny (dla mnie) – powód tego, że ogień tak często kojarzy mi się z zadawaniem bólu / uśmiercaniem (natomiast w o wiele mniejszym stopniu – jako siła twórcza / stwórcza chociażby w postaci działalności górotwórczej). I mam tu na myśli nie tylko bliższe mym czasom palenie np. czarownic, stosowanie ognia podczas tortur. Mam bowiem na uwadze takie przypadki, jak wskoczenie, jakoby, Empedoklesa do jednego z kraterów Etny (na jego krawędzi został potem odnaleziony sandał samobójcy); także upieczenie we wnętrzu spiżowego byka, jego konstruktora – Perillusa, na rozkaz Falarisa, tyrana sycylijskiego Akragasu (Agrigento).

Przejawem niszczycielskiej, wręcz morderczej siły tego żywiołu jest pojęcie „ognia” występujące w wojskowości (w tym wypadku stoi za tym, tylko i wyłącznie, człowiek).

Skrywa się za nim „sposób niszczenia sił i środków przeciwnika w wyniku ostrzeliwania go z rozmaitych rodzajów broni”. Termin ów ma w sobie sporo z eufemizmu, aby nie powiedzieć tego, co ów rodzaj ognia niesie z sobą. Z całą pewnością żadnym oględnym terminem nie jest „miotacz płomieni” (poprzedzony, stosowanym w niektórych bitwach morskich średniowiecza, tzw. ogniem greckim). Trzeba być osobą o wyjątkowo ograniczonej wyobraźni, by słysząc tę dwuwyzową nazwę nie poczuć swądu palących się ciał żywych (jeszcze) ludzi. A przede wszystkim nie wyobrazić sobie odczuwanego przez nich potwornego bólu.

III.

Z wielką ulgą stwierdzam fakt następujący: powszechny jeszcze niedawno obyczaj wypalania wiosną traw stał się bardzo rzadkim zjawiskiem: prawo i zmiana obyczajów stoją za tym, chyba, w tym samym stopniu. A śmierć w płomieniach lub w wyniku uduszenia, zaskoczonych bądź nazbyt powolnych stworzeń, stała mi przed oczami każdorazowo, gdy widziałem języki ognia przesuwające się po ziemi (gasilem je, gdy tylko mogłem). Również widok wypalonych pól, łąk, czy miedzi rozdzielających je, szybko sprawiał, że wyobraźnia zaczynała malować sugestywne obrazy.

Opisywane spalanie suchej trawy i rozmaitych badyli, ma miejsce na początku kwietnia. I zaskakuje mnie liczna obecność niewielkich ślimaków w skorupkach ozdobionych różnokolorowymi pasemkami. Zbieram je, gdy pojawiają się nazbyt blisko ogniska. Nie mija jednak wiele czasu, gdy ponownie stwierdzam ich obecność w tych samych miejscach. Może wysoka temperatura przywabia je?

IV.

„Ogień jest symbolem wieczności, przyczyną, pierwiastką podstawowego, zasady; światła, Stoiła, ciepła, Boga-Stwórcy, gniewu bóstwa, miłości bóstwa; oświecenia duchowego; życia, miłości, nienawiści, śmierci, ducha; zła, diabelstwa, piekła, kary, prześladowania; oczyszczenia, męczeństwa, tortury, ofiary; pocieszyciela; mowy; potęgę; pożerania; zasady męskiej, chuci, płciowości, płodności; zapachu; autorytetu; zimy, ogniska domowego, gościnności, ochrony przed strachem” (*Słownik symboli*, W. Kopaliński).

Tak wiele wysiłku wymagało jeszcze stosunkowo niedawno skrzeseć ognia. A następnie jego utrzymanie. Gdy w świątyni Westy zgwałcił ogień, winna temu, jedna z sześciu westalek, była karana chłostą (nie była ona symboliczną). Wierzone bowiem, że wygaśnięcie ognia w świątyni na stoku Palatynu, przyniesie nieszczęście państwu rzymskiemu.

A teraz... A teraz zapalam zapałkę i przykładam ją do wiechcia suchej trawy. Ta zaś natychmiast zajmuje się ogniem. Chociażby dlatego współcześnie o wiele łatwiej przychodzi zaspokajać swe patologiczne żądze piromanom.

Ogień, tak jak i pozostałe trzy czynniki, jest siłą i niszczycielską, i stwórczą. Trudno jednak orzec, co w jego przypadku, dominuje (nie inaczej jest, zresztą w przypadku pozostałych żywiołów). Jego niszczycielskość przejawia się, choćby, w postaci żaru lejącego się z nieba, powodującego suszę, a w przypadku dłuższego trwania, czy częściej powtarzalności, może doprowadzić do pustynnienia pewnych obszarów (liczne są tego przykłady choć powód nie musi być wyłącznie ten

właśnie). Biorąc pod uwagę „sprawczość” ognia należy, przykładowo, widzieć powstawanie / wypiętrzanie się łańcuchów górskich (jeśli plutonizm – nazwa od rzymskiego boga świata podziemnego – opisuje jedną stronę rzeczywistości, za drugą odpowiada neptunizm) w wyniku oddziaływania na skorupę Ziemi czynników mających swe źródło w jej rozgrzanym jądrze, tym ziemskim piecu.

Według mitologii nordyckiej ogień jest też siłą sprawczą narodzin wszystkich ciał niebieskich. Konkretnie stoją za tym... iskry. Te zaś powstały w wyniku kontaktu ognia wypełniającego Muspelheim/Muspel (Kraję płomieni) z lodem z Niflheim (Kraju lodu). Obie te części (w sumie jest ich dziewięć) Świata nordyckiego sąsiadują ze sobą.

Jeśli chodzi o ogień i sprawy boskie, nie można stracić z widnokręgu – choć w grę wchodzi tu bardziej układ wertykalny – pewnego zdarzenia mistycznego. Miało ono miejsce u podnóża góry Synaj (rzadziej można zetknąć się z poglądem, że chodzi o którąś z pobliskich dwóch gór: Świętej Katarzyny bądź Sirbal). To tam Mojżeszowi, pod postacią krzewu, który płonął, ale nie spalał się, objawił się Jahwe. Wtedy to, zgodnie z tradycją judeochrześcijańską Mojżesz otrzymał od Boga kamienne tablice z dziesięciorgiem przykazań. Wówczas też zostało zawarte przymierze pomiędzy Najwyższym a Izraelitami.

Z owym krzewem (Krzewem gorejącym) identyfikowany jest krzak jeżyny krwistej rosnący na terenie bardzo starego klasztoru świętej Katarzyny usytuowanego u podnóża góry Synaj i góry Świętej Katarzyny. Jest to, jakoby, jedyny na całym półwyspie Synaj okaz tej rośliny.

V.

Ogień przez to, że ogrzewa, sprawia, że życie, mimo niesprzyjających często warunków, może trwać (niekiedy inspiruje czy też sprzyja takim, czy innym ludzkim poczynaniom). Także to w postaci zwyczajnego zasilania wieczorem w wygodnym fotelu przed kominkiem, w którym palą się drwa. I w takiej to scenarii możemy wyobrazić sobie na przykład Charlesa Lamba czytającego swej siostrze Mary i przyjacielowi Samuelowi Taylorowi Coleridge'owi jeden z napisanych przez siebie esejów, jakie w latach 1820-1825 zamieszczał w „The London Magazine”. Albo też – pisząc te słowa rozmarzył się – Maurycyego Mochnackiego czytającego kilku osobom rękopis swej rozprawy „O duchu i źródłach poezji w Polsce”. Tekst ten ukazał się nieco później w numerze 2 „Dziennika Warszawskiego” (w rzeczywistości miesięcznika) w 1825 r.

Piec, w którym ogień jest zamknięty pomiędzy kaflami i za drzwiczkami żeliwnymi, nie wywalała tyłu, i takich, wrażeń (w tym estetycznych), jak kominek. To fakt. Do starczy za to więcej ciepła. Tym samym intensywniej może ogrzać, chociażby, myśli. Doświadczył tego Kartezjusz. W listopadzie 1619 r. (drugi rok trwania okrutnej wojny trzydziestoletniej), był wtedy oficerem armii księcia bawarskiego Maksymiliana I, przebywał na południu Niemiec. W kwatery, którą zajmował, a noce były już wyjątkowo zimne, na szczęście znajdował się piec. I to za sprawą ciepła przezeń wydzielanego Kartezjusz dobrze spał. A jednej nocy miał trzy sny, których treść zainspirowała go do sformułowania zasad, które stały się następnie m. in. podstawą zaproponowanego przezeń septyczizmu metodologicznego, tak istotnego dla dalszego rozwoju nauki.

VI.

Ogień, istotny składnik, od tysiącleci towarzyszący człowiekowi, musiał – inne

możliwości nie było i nie ma – zaistnieć jako temat w rozmaitych sztukach plastycznych (potem również w dziełach filmowych). Szczególnie, i trudno temu się dziwić, w malarstwie. Jest on bowiem czynnikiem/zjawiskiem niezmiennie... malarskim. I mogłoby się wydawać – przynajmniej mi początkowo tak właśnie się wydawało – że pożary utrwalone na płótnie, papierze czy kartonie, są pożarami dzieł, najrozmaitszej wielkości, ludzkich rąk. Ich przykładami mogą być „Pożar Izby Lordów i Izby Gmin” Williama Turnera, „Płonący okręt” Iwana Ajwazowskiego, „Pożar tureckiej fregaty” Konstantinosa Volanakis, „Pożar Rzymu” Huberta Roberta. Lecz stosunkowo szybko przypomniałem sobie o ogniu unicestwiający – o czym już wcześniej napomknąłem – także ludzkie ciała, jak to, chociażby, farbami olejnymi utrwalił Piotr Miasojedow na obrazie zatytułowanym „Protopop Awwakum na stosie”.

Ogień może być jednak tematem samym w sobie, bez żadnych dodatkowych elementów mających wzbogacić scenę. Taka właśnie sytuacja ma miejsce na obrazie akrylowym „Pożoga” autorstwa Tomasza Olszewskiego: ogień, i tylko on, wypełnia całą przestrzeń obrazu, który do małych nie należy.

VII.

Zmierzcha. Do przysagającego ogniska dorzucam ostatni wiecheć trawy. Ogień ożywia się na kilka minut, po czym zaczyna ponownie przysagać.

Heraklit – przez cały ten czas byłem świadom jego obecności – poprawia na sobie opończę. Jeszcze raz spogląda na dożarzającego się resztki, po czym oddala się nieśpiesznym krokiem.

Nieco dłużej na miejscu pozostaje Honoriusz z Autum. W końcu jednak zarzuca na głowę mnisi kaptur (był benedyktynem), zrobiło się bowiem zimno, i odchodzi. Powoli znika w półmroku, który nastąpił.

„Dokąd obaj udali się?”

Czy był ktoś jeszcze? Niewykluczone, że tak. Lecz z jego/ich obecności nie zdałem sobie sprawy. Co innego jeśli chodzi o tych dwóch – niech mi wybaczą że bezpośrednią formę – którym poświęciłem najwięcej miejsca (w porównaniu z innymi) w mych przysagach rozmyślaniach, a tym samym w pisaniu właśnie tekście. O ile

jednak o Heraklicie często się napomyka – bo to nie jest nic więcej niż napomykanie – przywołując którąś z jego zgrabnych i spektakularnych myśli na temat, choćby, właśnie ognia, to o Honoriuszu z Autum panuje prawie cisza. Długo trzeba w nią się wsłuchiwać, aby dosłyszeć jego imię, i któreś z jego przemyśleń bądź wypowiedzi innych autorów na ich temat; jeśli już to głównie to drugie.

Za oknem panują już kompletne ciemności, gdy zaczynam pić herbatę. Zaparzęłam ją wrzątkiem pochodzącym z czajnika stojącego na piecu kuchennym, w którym paliły się drwa. I kolejny raz – który to już raz? – stwierdzam, że woda zagotowana w ten właśnie sposób sprawia, że herbata (tym razem była to „Assam”, którą zresztą bardzo lubię) nabiera dodatkowych walorów smakowych i aromatycznych. Woda zagotowana w czajniku elektrycznym lub na kuchence gazowej nigdy ich nie da! (Nie, to nie jest sugestia: wiem, o czym piszę; nie ukrywam jednak, że nie mam nic przeciw takim sugestiom).

Bogowie ognia, także Wam, to za wdzięczam.

DARIUSZ PAWLICKI

Stefan Pastuszewski

Chłopcy na rowerach

a przed nimi perspektywa rzeki
 rzeki i tylko...
 może tylko kijanka
 i zielono-szary maszyw wody
 wody!
 wstążka wiatru we włosach
 płacze się
 nie chłodzi
 przeszkadza
 byle szybko
 zaraz

Picie zimnej herbaty

nieubłagany czasie mój
 retoryko życia
 bo przecież te fale i głębie
 i podziemia
 trzeba w jakąś łódkę ująć
 aby jeszcze nie zatonać
 jeszcze piję wczorajszą, zimną już herbatę
 bo ta chwila wczorajszego wieczoru
 została na dziś przesunięta
 ze względów obiektywnych
 na rano

a jednak z tobą na moment wygrałem
 czasie mój
 dałeś się omamić

łódka się kołysze w pełnym słońcu

List

ta róża pachnie dla ciebie
 banalnie i śmiesznie
 teraz tak już się nie pisze
 bo listów się już nie pisze
 tylko wsiada do samochodu lub na rower
 i się bierze
 ale ta róża pachnie
 i nie ma na to rady
 tak jak na tę myśl
 która przychodzi sama
 skrada się przez całe życie

Czereśnia

ja widzę dramat
 w białych butach, których nie opiszę
 jak inni poeci-reporterzy dokładnie
 kupione, ale jak je utrzymać w stanie

ale tu bardziej chodzi o twarz i sylwetkę
 co miały być inne
 według żurnali, filmów i standardów
 a przede wszystkim tej Moniki
 z naprzeciwką
 myśli mojej

dramat zastępstwa
 i wyciągania ręki po czereśnię
 której nigdy się nie dosięgnie

dramaty chodzą po ulicy
 w obcisłych spodniach z pupą jak słońce
 i z wolnymi biustami na wiatr
 tudzież z mocnym kopnięciem przypadkowego kamienia
 w kosmos
 i dalej

CZERWIEC 2025 ROKU

Stefan Pastuszewski – urodził się 1949 roku w Bydgoszczy. Historyk, wydawca, działacz społeczny. Jako poeta debiutował w 1971 roku.

W 1998 roku ukazały się *Wiersze wybrane 1971-1998*, a potem: *Sonety i poematy* (1999), *Po przełomie* (2000), *Pamiętki inflanckie* (2003), *Traktaty* (2013), *Ziarna płonące* (2015), *Powroty* (2018), *Egzystencje i ptaki* (2021), *Życzliwa Li-li* (2022), *Na krawędzi* (2024).

Twórca jest autorem antologii poetyckich: *Pegaz bydgoski* (1994), *Wiersze drapieżne i prowokujące. Od Maryli Wolskiej do Jolanty Baziak* (1999), *Muzy nad Brdą i Dnieprem* (2022), *Ponad. Mosty solidarności* (2023), *Trójkąt poetycki: Bydgoszcz – Cerkasy – Krzemieńczuk* (2024). Wydał 3 powieści i 3 nowele. W 2024 roku ukazał się *Dziennik czasu zarazy i wojny*.

Twórczość Stefana Pastuszewskiego tłumaczona była na język angielski, bułgarski, estoński, francuski, litewski, łotewski, niemiecki, serbski, ukraiński, węgierski i telugu (drawidyjski język Indii). W 1992 roku w Bułgarii ukazał się zbiór poezji *Róża i miecz*, w 1993 roku na Ukrainie zbiór opowiadań i wierszy *Prostri času*, a w 2000 roku w Serbii zbiór opowiadań i wierszy *Grad*.

Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Marek Wawrzekiewicz

POETYCKIE PODRÓŻE W PRZESTRZENI, CZASIE I WYOBRAŹNI

Żadna podróż nie jest urzeczywistnieniem, choć każda jest nadzieją.

J. Iwaszkiewicz

Poeta ma niewiele praw, ale za to wiele obowiązków. Niektóre z nich lubi, innych nie cierpi. Ma prawo do wątplenia, czy to, co stworzył jest doskonałe. Nie cierpi wielu rzeczy, najbardziej pisania. A lubi podróżować.

Poetę lądującego w jakimś obcym mieście czy kraju miejscowi pytają o wrażenia. Mniej lub bardziej szczerze odpowiada, że jest zachwycony. Na to gospodarze powiadają: o, to zapewne powstaną teraz wspaniałe wiersze (o naszym kraju, mieście czy okolicy). Poeta jest więc traktowany jak fotograf: przyjechał, zobaczył, zachwycił się i zrobił zdjęcie, widokówkę. Owszem, znam poetów, którzy po parodniowym pobycie w jakimś kraju napisali o nim kilka, albo nawet kilkanaście wierszy, czasem całą książeczkę. Ale przeważnie są to utwory niewiele warte, choć czasem tłumaczone i zamieszczone np. w okazjonalnych folderach czy albumach. Po co więc poeta podróżuje? Czy mu się to twórczo opłaca? Po co go przyjmują gospodarze, oprowadzają, pokazują, karmią i poją? Z jaką nadzieją udaje się w daleką podróż? Poeta z natury rzeczy jest skąpcem, jest właścicielem wielkiego magazynu rzeczy przydatnych i zbędnych. Gromadzi je świadomie lub nieświadomie w przekonaniu, że mu się kiedyś przydadzą. Ta śróbka, ten kawałek szmatki, gwoździć, zepsuty zegarek, stare okulary. Fragment zobaczonego krajobrazu, zachód słońca nad obcym miastem, przelotne spotkanie z nieznanym człowiekiem, urywek rozmowy, zapach nieznanych ziół, zastyszana historia. Rupieciana. A jednak coś, co w przyszłości okazuje się niezbędne. Pamięć ludzka jest niezbadana, pamięć poety jeszcze bardziej zagadkowa i tajemnicza. Pamięć krótka: zapamiętujemy coś na chwilę, na kilka dni, na miesiąc. I pamięć jak stara, od lat nieaksploatowana, zasypiana piaskiem kopalnia: nagle, po upływie dziesiątków lat wychyla się z niej dawne przeżycie, wzruszenie, informacja, pejzaż. Ożywa coś, co z pozoru było martwe, coś, czego istnienia w naszej pamięci nie podejrzewaliśmy. Poeta więc podróżuje: w przestrzeni, czasie i wyobraźni. I dlatego czasami bywa poetą.

Jarostaw Iwaszkiewicz wielokrotnie wracał w wierszach i prozie na Ukrainę, gdzie się urodził, spędził dzieciństwo i lata młodości. Być może to właśnie - ukraińskie przestrzenie i krajobrazy, zapach stepów, melodie mowy i pieśni - na zawsze nasyciły jego twórczość niepowtarzalną nostalgią, rozległością i refleksyjnością. I nie chodzi tu tylko o utwory młodościowe, a i te, które powstawały wiele lat później. Inną miłością poety była Italia, a szczególnie Sycylia, do której podróżował bardzo często. W jego wierszach i opowiadaniach, a także dziennikach są opisy architektury, pejzaży, klimatu,

zmieniających się pór roku. Ale to wszystko jest drugorzędne, stanowi tylko tło. Dekorację, w której dzieją się uczucia i przeżycia, możliwe do odczucia tylko tam, mogące tylko tam się urodzić. Wśród licznych utworów, których natchnieniem była Italia, były oczywiście takie, które tam powstawały, były zapiskami z teraźniejszości. Przeważają jednak inne - napisane później, czasem po latach. Poeta sięgał do magazynu, jakim była jego wrażliwa pamięć.

Stronami choro, a stronami zdrowo,
Stronami śmiesznie do łez czasem śmiesznie
Czasem pod nogami, a czasem pod głową,
Czasem na Marszałkowskiej,
a czasem na Lesznie.

Czasem w twoim ręku czasem w mym słowie
Czasem na Stawisku, czasem na Sycylii
Czasem w ciemnej stronie
lub w jasnej połowie
Czasem wszystkich oszuka
najczęściej nikogo nie zmyli.

x x x

Poeta nie jest fotografem. Julian Przyboś napisał świetny wiersz o paryskiej katedrze Notre Dame. Wiersz to nie fotografia: opis architektury jest czymś służebnym w stosunku do idei wiersza, a jest nią próba oddania dostojęstwa i majestatu tej budowli, będącej z jednej strony czymś materialnym - dziełem ludzkich rąk i ludzkiej myśli, z drugiej zaś czymś należącym do sfery mistyki.

Wiersz nie jest fotografią. Mieczysław Jastrun w wydanych 60 lat temu wierszach z cyklu „Miasto nad morzem” (tom „Genezy”) pisze - z pozoru - o pewnym greckim mieście, o jego ulicach, domach, alejach nadmorskich, o turystach, którzy tymi ulicami się przechadzają. Ale w gruncie rzeczy są to wiersze o tym, jak przeszłość wpływa na teraźniejszość, o greckich mitach, legendach, o greckiej kulturze, z której wywodzi się cała kultura Europy. Nawiasem mówiąc: dlaczego pamiętam krajobraz i nastrój wierszy przeczytanych pół wieku temu...?

Liście akantu, okwiaty kamieni,
Osoby dramatu,
Na płaskorzeźbie brodaty alchemik
Wśród retort i garnków
Zamienia słońce w strumień złota czuły.
Mały niedźwiadek gwałci dziewczynę,
O naturze aniołów
Mruczą inkunabuły,
Mędrcy badają pierwszą przyczynę.

Chiński poeta z Syczuanu, Liang Ping,

gość Warszawskiej Jesieni Poezji, napisał tom poezji „Polska w kolorze bursztynu”. Obok wierszy, które są portretami współczesnej Warszawy i Polski zamieścił tam utwory o historii Warszawy. Zapewne nie zrozumiał dokładnie tego, który mu tę historię opowiadał, więc dzieje mojego miasta są w tych wierszach zupełnie fantastyczne. Ale czy fakt, że nie mają wiele wspólnego z prawdą historyczną sprawia, że są pozbawione wartości? Poeta pochwycił pewne wątki i zbudował z nich inną, fascynującą historię. O jakości wiersza nie decyduje przecież to, czy wiernie odtwarza rzeczywistość. Prawda bywa nieatrakcyjna, niepoetycka. Napisała z talentem fikcja tworzy nową prawdę. Wiersz nie jest dziennikarskim sprawozdaniem z wydarzenia, nie musi też być kroniką.

Poeci odrzucili aparaty fotograficzne, napisali wiersze, które są podróżami w przestrzeni i czasie.

Poeta odbywa niekiedy podróże w przeszłość albo w przyszłość. Odwołuje się jeszcze raz do Iwaszkiewicza, do jego spostrzeżenia o roli dzieciństwa w rodzeniu się poetyckiej wrażliwości.

Zapewne wielu z nas ma podobne doświadczenia. Wracamy oto po wielu latach nieobecności do miejsc, w których zaczynaliśmy poznawanie świata. Towarzyszy temu i wzruszenie i zdziwienie. Bo to, co zapamiętaliśmy jako wielki i tajemniczy dom, okazuje się małą wiejską chatą. Pokoje, kiedyś ogromne, są dziwnie małe i ciasne. Wielka góra niedaleko domu jest w rzeczywistości piaszczystym pagórkem. Wyróśliśmy, a wszystko, co nas w dzieciństwie otaczało, zmałało... I nagle jesteśmy właścicielami dwóch sprzecznych z sobą prawd: tej dawnej i dzisiejszej. Ale czy to, co dało nam dorosłe widzenie jest więcej warte od tego, co zapamiętaliśmy i co było najważniejsze, zanim go nie zwryfikowała teraźniejszość?

Adam Mickiewicz znalazł się w Paryżu w roku 1831, a swoje ojczyste, litewskie strony opuścił jeszcze dawniej. Nasz narodowy epos „Pan Tadeusz” napisał w roku 1834, a jego akcja rozgrywa się przeszło dwadzieścia lat wcześniej. Pomińmy jednak warstwę fabularną, bo niezależnie od jej atrakcyjności, sugestywnie nakreślonych postaci w niej występujących, bogactwa detali, które uprawdopodobniają opowieść, coś innego jest przynajmniej równie ważne. Jest to opis Litwy, krainy dzieciństwa i młodości, którą jawi się jak raj utracony, za którym się tęskni i powrót do którego jest wątpliwy. Litewskie pejzaże, rośliny, zwierzęta, chmury nad lasami i polami, budowle, pogody i niepogody, słońce - wszystko poeta namalował z miłością, nostalgią i tęsknotą. I to właśnie jest najbardziej autentyczne i najsilniej przemawiające do współczesnego czytelnika.

Od przynajmniej dwustu lat uczeni rozważają czy rzeczywiście w VIII wieku przed

naszą erą żył i tworzył poeta nazwiskiem Homer, czy też „Iliada” i „Odyseja” są dziełami wielu autorów złożonymi później w jedną całość. Zdania są podzielone, ja wolałbym, aby Homer był postacią z krwi i kości i żeby to on napisał te podstawowe dla literatury europejskiej dzieła. W XIX wieku pewien archeolog niemiecki odkrył ruiny Troi, z czego wniosek, że opisane w „Iliadzie” wojny trojańskie rzeczywiście się rozegrały. Ale dokładnie kiedy? Ile dziesięcioleci, a może stuleci po nich Homer je opisał? Mimo tych niepewności utwór jest nie tylko arcydziełem, ale także źródłem historycznym.

Lew Tołstoj pisał „Wojnę i pokój” blisko sześćdziesiąt lat po wojnach napoleońskich. Czy przez to obraz tych wydarzeń jest mniej wiarygodny? Wielka literatura powstaje w dystansie czasowym. Proza czy wiersz reagująca natychmiast, realizująca jakieś społeczne czy polityczne zamówienie, bardzo rzadko opiera się próbie czasu. Aktualność starzeje się najszybciej, a autorzy okazjonalnych wierszy często się ich wstydzą i wymazują je z bibliografii. Wydarzenia, o których sądzi się, że są ważne i trwale zapisujące się w dziejach, ulegają zapomnieniu, natomiast w historii literatury pozostaje to, co pozornie jest mało znaczące - indywidualne losy ludzi, które jednak okazują się uniwersalne.

Dystans w tym przypadku to cofnięcie się w czasie. Czas weryfikuje znaczenie wydarzeń, a literatura przywraca nie tylko pamięć o nich, ale też nadaje im odpowiednie do znaczenia porządkowanie.

* * *

Cała światowa literatura s.f. jest podróżą w przyszłość, jest próbą i sprawdzianem wyobraźni. A bezwzględny i bezlitosny weryfikator wyobraźni jest czas. Czytamy na przykład książki, które powstały 50 czy nawet tylko 30 lat temu i wzruszamy ramionami. Bo oto wynalazki, sprzęty, przyrządy, które w fantazji autora wtedy powstawały, dziś są powszechnie używane. Dwudziestoletni czytelnik nie wyobraża sobie świata bez komputera, telewizji, telefonu komórkowego, nie wierzy, że taki świat w ogóle istniał. Co więc z tej literatury pozostaje, co sprawia, że czas ocala pewne książki? Ludzkie sprawy - miłość, tęsknota, cierpienie, przemijanie. Są wiecznotrwale i nie ma znaczenia w jakiej przyszłości i w jakiej dalekiej galaktyce się dzieją. Przykładem takiej literatury jest „Solaris” Stanisława Lema.

Poezja rzadko się wybiera w podróż do krainy fantastyki. Woli raczej penetrować okolice jeszcze bardziej niesprawdzone, metafizyczne, transcendentne. Nie projektuje jakiejś przyszłej rzeczywistości, nie dlatego, że cierpi na brak wyobraźni, po prostu zdaje się uważać, że najważniejsze ludzkie sprawy, uczucia, bo przeżycia w każdej, nawet najdalszej przyszłości będą w gruncie rzeczy takie same.

Świetny poeta rosyjski Wadim Szefer w jednym ze swoich wierszy pisze o jakiejś bardzo dalekiej przyszłości, ale ten kosmiczny wedrowiec jest przybyszem z równie dalekiej przeszłości. Ale tam, w obydwu czasach, w kosmosie, znajduje to, co występuje tylko (?) na naszej planecie.

Po nieznaną planecie, strasznej
i niezwykłej,
Pozaziemskim bezdrożem, z
ziemskim swoim marzeniem,
Idzie Orfeusz w piekło
włączyny swój nadajnik
I woła Eurydykę, pieśni wabi ją brzmieniem.

Dwa zielonkawe słońca w

obłoku pyłu wschodzą,
Błękitny wawóz jest pełen
bezzgrzesznej cichości –
Po planecie dalekiej w tęsknocie,
w nadziei brodzi
Pieśń niosący Orfeusz ze
swoją ziemską miłością.
(wiersz w moim przekładzie)

Mój zmarły przed trzynastoma laty przyjaciół znakomity poeta Krzysztof Gąsiorowski wydał tom wierszy pt. „Yell. Ballady i romanse s.f.” Tytuł nawiązuje oczywiście do pierwszego zbioru poezji Adama Mickiewicza, ale nie ma z nim nic wspólnego: są to wiersze dziejące się w jakichś absolutnie nieznanach i fantastycznych planetach, wśród do niczego nie podobnych stworów. Ale uczucia są nam znane, bo są to uczucia ludzkie.

W połowie lat siedemdziesiątych, kiedy jeszcze nie mówiło się tak wiele o ekologii i o tym, jak wiele ludzie robią, aby zniszczyć jedyny dom jaki mamy - planetę Ziemię, napisałem długi i gorzki wiersz o przyszłości. Widziałem ją jako śmietnik, jako świat dogorywający w trujących odpadach, pokaleczony, pozbawiony słońca i czystego powietrza, zaludniony przez wyrosłe z brudu stworzenia. I w tym świecie umieściłem Chrystusa miejskiego, Boga tragicznego, który w swej wszechmocy nie może świata uratować. Oby ta moja podróż w czasie i wyobraźni była tylko zapomnianym wierszem! Oto jego ostatnia część.

A potem trochę potem kiedy reflektory
Skierujemy na słońce by świeciło jasnie
Kiedy w jedną się zleją wszystkie roku pory
I w prerażeniu cudzym odnajdziemy własne

Zrozumiemy że każdy jest
jak miejski Chrystus
Co ginie choć nikogo odkupić nie może
To spotkamy się wszyscy
nad równiną wyschlą
Z pistoletem i żalem z nadzieją i nożem

Nim nas jeszcze na strzępy
rozzerwie powietrze
I rozdziobią nas dziwne światłoskrzydłe ptaki
To popłyniemy w szklistym
niegasnącym wietrze
Do swojego Betlejem do swojej Itaki

Lecz tęsknota to sprawi że zaczniemy spadać
Na kamienne pustkowia na piasek jałowy
Gdzie za cywilizację będą nas spowiadać
Czarni mnisi w habitach półneutronowych.

* * *

Daleka podróż to nie tylko przebycie wielkich odległości i zmiana stref czasowych. To także wyprawa do innych krajobrazów, zapachów, obyczajów, innych ludzi, obcego języka, niekiedy nawet do innej epoki. Daleka podróż owocuje fascynacją albo rozczarowaniem. Fascynacja skutkuje chęcią powrotów w to miejsce, rozczarowanie - czymś przeciwnym. Ale zawsze powinniśmy kierować się chęcią rozumienia. Podróże nie tylko kształcą, mogą być także lekcją pokory. Bo oto wyjeżdżamy gdzieś przeświadczeni o swojej wszechwiedzy, o wyższości kręgu kulturowego z którego się wywodzimy,

o bogactwie naszej historii, o wyjątkowości naszego kraju w dziejach świata, a tu nagle daleka podróż ustawia wszystko we właściwych proporcjach i właściwym miejscu. Fakt, że w Chinach byłem dziewięć czy dziesięć razy świadczy z pewnością o fascynacji tym krajem, a być może także o tym, że za mało jest we mnie pokory...

Ponad Lijang wznoszą się turkusowe śnieżne szczyty... napisał w pieśni 63 Ezra Pound. Wielki poeta języka angielskiego czytał książkę o europejskim podróżniku, który osiedlił się na stałe w odległym zakątku Chin. Poznane z lektury krajobrazy zafascynowały go i natchnęły do napisania kilku płomienistych strof. Przypomniałem sobie o tym, kiedy kilkanaście lat temu tłumaczyłem zbiór wierszy „Magiczna ziemia” chińskiego poety Jidi Majia. Pochodzi on z mniejszości narodowej Yi i ze stron, o których pisał angielski poeta. I o których współcześnie pisze wiersze chiński poeta. W ten sposób raptem spięty się we mnie dwie epoki i dwie kultury, a uczyniła to poezja.

Opuściliśmy przed chwilą hałaśliwy dół
I weszliśmy we wrogi szum dworca.
I tak zawsze ścigamy się z czasem
W niepowtarzalnej wciąż podróży.
Nam, ludziom, nie dane jest przeznaczenie.
Mówię wam to ja, syn
koczowniczego narodu,
Miłość i śmierć zawsze są tym samym
I mogą nam się zdarzyć tylko w drodze.
(wiersz w moim przekładzie)

Poeeci podróżują do miejsc bliskich i odległych po to, żeby znaleźć tam coś własnego, lub dopiero branego na własność. A może - żeby znaleźć samych siebie?

MAREK WAWRZKIEWICZ



Kiedy byłem mały, bardzo lubiłem rysować labirynty. Każdą wolną chwilę poświęcałem na to, aby tworzyć korytarze i ściany z kresek. Pamiętam, że zawsze dążyłem do tego, by taki labirynt był jak największy i jak najbardziej pogmatwany. Właściwie nie chodziło chyba do końca o to, by projektować labirynt z jakąś jedną drogą wyjścia, tylko o to, by ilość odnóg, zakrętów i nieoczekiwanych przejść była nieskończona. Najważniejsze było samo rozgąszczanie tych korytarzy, gdyż moment, w którym zaczynałem rysować ich rozwidlenia w różnych kierunkach, fascynował mnie. Był to jakiś impuls, którego nie rozumiałem, ale któremu natychmiast ulegałem, tak jak i otówek w mojej dłoni. Labirynt musiał być skomplikowany, nie było innej możliwości.

To, co z początku miało być proste, automatycznie przekształcało się nagle w jakiś pokręcony i nieokreślony spłot. Gdy kończyłem rysować, od razu próbowałem przechodzić przez swoje labirynty. Wyobrażałem sobie wtedy, że jestem fizycznie w jakimś prawdziwym ciemnym labiryncie, gdzie jedynym źródłem światła była albo paląca się pochodnia, albo trzymana w dłoni latarka oświetlająca tylko fragment tajemniczego miejsca, w którym się znajdowałem. Z jednej strony pociągano mnie to, że nigdy nie wiadomo było, co jest dalej, za najbliższym zakrętem czy rozwidleniem, ale z drugiej strony zawsze się bałem tej sytuacji zamknięcia w czymś tak nieokreślonym, z czego może nie da rady się wydostać. Ktoś mi kiedyś powiedział lub może przeczytał o tym przypadkiem, że jeśli trzymać się tylko lewej lub tylko prawej strony korytarza to zawsze w końcu wyjdzie się na zewnątrz i nie ma takiej możliwości, by człowiek się zagubił. Zaczętem tak próbować i chociaż ten sposób pochłaniał dość dużo czasu, bo zwiadałem przy tym prawie wszystkie odnogi korytarzy, to faktycznie zawsze trafiałem do wyjścia z Labiryntu.

Pewnego dnia jednak zdarzyło się, że labirynt wymknął się spod mojej kontroli. Zaczęł się sam jakby rysować i nie można było w żaden sposób tego zatrzymać. Stałem jak wmurowany, patrząc na to dziwne zjawisko. Staratem sobie to jakoś wytłumaczyć, myślałem, że może to jakaś niesamowita gra światła i cienia jest za to odpowiedzialna albo że może coś wcześniej wylało się na biurko i teraz zaczyna przebijać leżący na nim papier. Ale jakkolwiek się nad tym zastanawiałem, labirynt stawał się coraz większy i większy. Już dawno wykroczył poza arkusz papieru, z którego brał swój początek. Powoli opłatywał najpierw moje biurko, potem ściany, sufit. Wyglądał jak kłębek kwadratowego jelita grubego, który co chwila zdobywa coraz większą płaszczyznę w poziomie i pionie. Gdy opanował już cały pokój i mogłoby się здаwać, że to kres jego możliwości, labirynt nagle zaczął z sufitu skapywać na moją głowę. Kropla po kropli. Bardzo precyzyjnie mierząc w sam czubek. Choć próbowałem się odsuwać i unikać go, to zawsze we mnie trafiał, gdziekolwiek stanąłem. Przenikał przy tym przez moją czaszkę, opanowując każdy zakamarek szarości, który napotkał. Im bardziej próbowałem z tym walczyć i nie dopuszczać labiryntu do siebie, tym bardziej modyfikował się i rozrastał w moim umyśle, tworząc coraz więcej mniejszych i bardziej skomplikowanych układów. I tak pozostał. W pewnym momencie widziałem już tylko korytarze w których tkwiłem, a które rozchodziły się we wszystkich kierunkach mojego organizmu. Chciałem ruszyć, spróbować wydostać się z tego, ale kiedy postępowąłem parę kroków naprzód, to korytarze labiryntu zlewały się nagle ze sobą w jedną

całość. Wydawało się w tym momencie, że każdy korytarz jest jakby wszystkimi korytarzami naraz i na odwrót. Kiedy się zatrzymywałem, korytarze ponownie rozchodziły się w swoich niby kierunkach, dając mi złudne poczucie określenia. Miałem przy tym wrażenie, że labirynt drwi ze mnie i niechęć się przy tym bawi. Na pewno obserwował mnie bardzo uważnie. Poza własną „ułomną” energią, z której nie ma wyjścia, a w której musimy istnieć i określać się wobec układów odniesienia? A może jest to wyjście, ale co wtedy? Dać się zwariować lub rozpaść się na części pierwsze, drugie lub trzecie? Impuls. Otówek rysujący linie.

Cokolwiek się działo lub nie w korytarzach labiryntu, to nadal próbowałem jednak iść. Czulem, że coś mnie do tego popycha, jakiś mechanizm ukryty gdzieś tam, gdzie nie mam dostępu, gdzie nikt nigdy właściwie nie ma, chyba. Jak długo to trwało – nie potrafię określić. Pamiętam tylko, że byłem już mocno wyczerpany. W pewnym momencie coś poprzez powietrze wdarło się w korytarze. Na początku delikatnie, trochę nieśmiało ale potem na tyle intensywnie i mocno, że nic już nie mogło tego powstrzymać. Jak echo odbijało się od ścian labiryntu i docierało do moich uszu. Przeształem krążyć po korytarzu, który po chwili wrócił na kilka swoich pierwotnych pozycji, i zacząłem się wsłuchiwać w to drganie powietrza. „Nie szczekaj! Nie gryź! Nie drap!” – docierało do mnie coraz bardziej intensywnie. Paradoksalnie, im donośniej to brzmiało, tym bardziej potrafiłem się skupić oraz wyciszyć. Zaczętem sobie wyobrażać, że to pewnie znowu sprawa tego tajemniczego mechanizmu, ukrytego gdzieś tam, który czerpie siłę z pokładów naszej „ułomnej” energii. W jakiś dziwny sposób na labirynt też zaczęło to działać. Na początku ściany korytarzy były spięte przy każdym uderzeniu fali, ale potem, kiedy dawałem krok naprzód lub do tyłu, na próbę, jakby się rozluźniły i przestały zlewać się ze sobą. Chciałem więc ruszyć, odnaleźć jakąś drogę wyjścia, ale postanowiłem najpierw dotknąć ściany, by się przekonać, czy korytarz faktycznie jest stabilny i czy nie robi mi znów jakiegoś psikusa. Zbliżyłem się do ściany, wyciągając ostrożnie rękę. Kiedy dłoń oparła się o chłodny kamień, to dźwięk słów, które niosły się po labiryncie, stał się nagle jeszcze bardziej głośniejszy i gromki, jak nigdy wcześniej, wręcz wywołujący ból w moich uszach. Efekt ten narastał z każdą chwilą. Równocześnie miałem wrażenie, że kiedy dotykam ściany, sam staję się częścią labiryntu, jakimś jego fragmentem i choć do końca nie czułem się z tym komfortowo, to pomagało mi to dostrzec, jak funkcjonuje i gdzie może być wyjście. „NIE SZCZEKAJ! NIE GRYŻ! NIE DRAP!” – w tym samym momencie cięło moje zmysły bezlitośnie od prawej do lewej i na odwrót.

Podszedłem do biurka na którym leżała kartka z narysowanym labiryntem. Zastanawiałem się: Po co mi on? Dlaczego ocieranie się o granice percepcji i możliwości własnego „ja” wypala we mnie dziurę, której nic nie jest w stanie uzupełnić? Jakiś korytarz? A co, jeśli to „ja” jest tylko mierzem wewnętrznego świata? Dlaczego człowiek musi się tak męczyć sam ze sobą tylko dlatego, że własna

materia jest zbudowana z energii takiej, a nie innej? Impuls z zewnątrz: Doświadczenie bijące młotkiem po twarz. Impuls wewnątrz: Otówek wypadający z dłoni.

Niewiarygodny jazgot słów, dewastujący mój zmysł, jak i sypiące się przez to poczucie równowagi, oderwało mnie od ścian. Nie upadłem, ale mocno kręciło mi się w głowie. Powoli dochodziłem do siebie, rozglądając się na wszystkie strony tego feralnego miejsca. Natężenie dźwięków opadło znów do poziomu, który pozwalał mi na osiągnięcie względnego spokoju, choć w tym momencie samo słowo „spokój” mogło być już bardzo niepokojącym określeniem. Labirynt, póki co, wydawał się nieporuszony i pierwszy raz miałem wrażenie, że ma mnie kompletnie gdzieś. Dziwne to było doznanie, bo poczułem się nagle trochę swobodniej, bez takiej obsesyjnej obawy, że się stąd nie wydostanę. Mogłem w końcu zacząć klarowniejszą myśl. W tym momencie jedynie co mogłem zrobić, a co wydawało mi się najrozsądniejsze, to spróbować przejść najbliższe korytarze i rozwidlenia. Starać oswoić się z nimi, zapamiętać ich układ, a potem coraz bardziej zwiększać obszar poznawczy. Ruszyłem więc, nie zastanawiając się ani chwili, wkraczając w różne zakamarki i ślepe odnogi labiryntu. Kiedy przemieszczałem się wzdłuż ścian korytarzy, zorientowałem się nagle, że nieświadomie poruszam się w rytm płynących słów. Im dalej szedłem w głąb labiryntu, tym bardziej mój chód harmonizował z nimi, a to pozwalało mi stąpać coraz pewniejszym krokiem pomiędzy ścianami. Uświadamiałem sobie stopniowo, że poruszanie się wraz z drgającą w przestrzeni falą sprawia mi coraz większą radość i pochłania mnie bez reszty. „Nie szczekaj! Nie gryź! Nie drap!” zaczęło mnie wznosić ponad podłoże coraz wyżej i wyżej. Kiedy się unosiłem, zauważyłem jednak też coś niepokojącego, dostrzegłem, że ściany labiryntu niebezpiecznie zbliżają się do siebie, zawężając coraz bardziej moje pole działania. Było to jakieś niesamowite powiązanie, miałem wrażenie, że labirynt zdaje się dopominać o odrobinę swego szacunku względem niego. Gdy zwolniłem trochę, bo aż takich wrażeń, wyciskających ze mnie wszystko, chyba już nie potrzebowałem, ściany automatycznie zaczęły oddalać się od siebie. W końcu zatrzymałem się, by to jakoś ogarnąć, zastanowić się nad wszystkim. Słowa i tak się niosły, a korytarze były stabilne. Jakiegokolwiek wniosku mogłem wyciągnąć i cokolwiek bym zrobił, byłem zależny od labiryntu, od jego dziwnie skonstruowanych praw. Uświadamiałem sobie, że przecież podlegam również pracy tego tajemniczego mechanizmu ukrytego gdzieś tam, gdzie nie mam dostępu, i pewnie wielu jeszcze innym rzeczom, o których nie mam najmniejszego pojęcia. O ile z korytarzami mogłem w jakimś sensie podjąć grę, o tyle z mechanizmem nie było i nie ma takiej możliwości.

Podniosłem kartkę z narysowanym labiryntem, by mu się lepiej przyjrzeć. Pomyślałem: Czemu wymusza na mnie akceptację pola magnetycznego we własnej głowie? A co jeśli człowiek ma takich pół większą ilość? I każda jest tylko na minus lub tylko na plus? Co wtedy? W dół czy w górę?

... „Wtedy musi być cel” – uśmiechnąłem się ironicznie i w chłodnej przestrzeni korytarzy rozebrałem się z wszystkich rzeczy, które miałem na sobie. Podszedłem nagi na czterech kończynach do najbliższego zakrętu, obwąchałem go i podnosząc wysoko nogę, obsikałem pierwszy narożnik.

MARIUSZ ZIMOŃSKI

Zdzisław Drzewiecki

Ruda sukienka Margot

1. jechałem rowerem ścieżką wśród nadrzecznych łopianów
jechałem by sprzedać królicze futerka
zachodzące słońce wesoło igrało na szprychach
i wówczas złapali mnie jacyś ludzie
i długo bili
rozbili mi czaszkę
wyrwali serce
zostawili w nadrzecznej trawie
młody chłopak przypadkowo przechodzący obok
mógł pomyśleć że jestem pijany
tak czy inaczej zabrał moje królicze futerka

2. śpiewałaś swoje niedzielne piosenki
w słonecznej kuchni
siedząc w starym fotelu ojca
i cerując tanie rajstopy

widziałem cię w pustym domu
wysiadywałaś na werandzie
odstraszając nielicznych turystów
z dalekiej północy
swoimi patykowatymi nogami
i okularami w grubej rogowej oprawie

już cię nie słyszę
nie widzę
domyślałem się jedynie
że wieczorami przy mdłym świetle żarówki
przyszywasz guziki
do flanelowej koszuli ojca

3. nie słyszę co pan mówi
te samochody
nie do wytrzymania ten hałas
siostra ma dom na wsi
co za spokój
pokażę panu fotografię
ojciec za życia
robił całą masę zdjęć
aparatem który wygrał
na jakiejś dobroczynnej loterii
proszę jaki duży dom i ogród
wspaniały ogród
ta kobieta na werandzie to moja siostra
w rzeczywistości jest dużo młodsza
to ten kapelusz na zdjęciu postarza ją
pociągi przejeżdżają tu co kwadrans
i jeszcze ten festyn
gwar na ulicach
kolorowa afirmacja życia
miasto zwariowało
nie słyszę pana
nie słyszę

4. po drugiej stronie ulicy
tuż obok zakładu fryzjerskiego
głupia Margot rozkłada swój stragan
głupia Margot
piękna Margot
zbyt często chodziła nad rzekę
straciła tam cnotę i rozum
i teraz sprzedaje ryby
które codziennie przywozi odrapanym wózkiem
i nikt już nie chce głupiej Margot
z opuchniętymi nogami

5. nasze rozmowy wyblakły
jak kokardki twojego kapelusza
usiądźmy na werandzie
i pokaż mi zdjęcia
od pewnego czasu przeglądanie starych fotografii
to nasza jedyna rozrywka
spójrz siostrzyczko to ty
a ten chłopiec obok z drewnianym konikiem w ręku to ja
żywe oczy
rozwiane włosy
błękitne niebo
jakie to banalne
ale jak uspokaja
zaczęło padać
uciekamy do domu
na ścieżce leży drewniany konik
i moknie

6. wychodzę z domu o świcie
kiedy jeszcze śpi miasto i jego kuglarze
zachłystuję się powietrzem i patrzę
jak powoli zaczyna zapełniać się aorta ulicy
jak dziewczyna w niebieskiej bluzce
z piersiami jak uliczne latarnie
przemyka przed wścibskimi cieniami w oknach
własny ojciec uczynił z niej kurwę
w podwórzu ktoś nóż ostrzy
by zarznąć koguta na niedzielny rosół

u wylotu ulicy pojawia się Margot
z chybocącym wózkiem

7. Margot nie chodzi już nad rzekę
chyba że w sobotni wieczór
gdy w pobliskiej remizie
gra orkiestra strażacka
i chłopaki słodkie jak cukierki
wychodzą na łowy
pachną oldspajsem i tanim winem
ale głupia Margot siedzi z dala w trawie
maluje paznokcie i czasami płacze
ale o tym to wie już chyba tylko bóg
i kulawy Szczepan który nad ranem przychodzi
zabrać nieszczęsną do domu

8. mój zabójca robi poranną toaletę
bierze prysznic
myje zęby
goli się
czyści dokładnie paznokcie
wkłada idealnie białą koszulę
wieczorami czyta wiersze Roberta Lowella
mój zabójca nie jest zabójcą
kiedy czyta wiersze
kiedy myje zęby
kiedy pieści kobietę
jednak nasze ścieżki przecięły się
i zabójca zadał mi cios w chwili
kiedy jechałem sprzedać królicze futerka

9. tak bardzo nie lubię jeździć pociągami
czuję się w nich taka zagubiona
teraz kiedy jestem sama
wyjeżdżam stąd na zachodnie wybrzeże
chętnie sprzedam ten dom
najtrudniej będzie mi rozstać się z gołębiami
tak są tu gołębie
brat nie wspominał
on nie przepadał za nimi
jego pasją były króliki
sprzedawał ich futerka
wie pan te gołębie
one tu zostaną
mam nadzieję że pan lubi ptaki
ja wyjeżdżam na zachodnie wybrzeże
tylko te pociągi
te pociągi

10. tańczy głupia Margot
z zaciśniętymi oczyma
wieczór pachnie pokrzywą i miętą
piękna Margot
głupia Margot
zapamiętała się w płasie
słońce za nią opada
w nadrzeczne łopiany
w ogrodach palą ogniska
śpiew czyjs się cicho niesie
powietrze gęstnieje od dymu i wódki
i płonie ruda sukienka Margot
jak jeszcze jedna gwiazda
na firmamencie pamięci

kiedy poeta rozmawia z poetą
to musi być wódka
kwaszone warzywa i poleć słoniny
struny niech jęczą w gitarze
a psy z daleka obnoszą głód w pyskach
tu się serca wyrywa z duszą
tu się boże dzieją igrzyska
kiedy poeta rozmawia z poetą
noc musi być głęboka z latarnią księżyca
i pieśni ochryple w takcie na $\frac{3}{4}$ litra
samotność musi wyskowytać swą trwogę
słowa co nagle utknęły w potrzasku
krawat jaka flaga splamiony musztardą
i łza co wypali w nas puentę o brzasku

Emilia Iwaniec

DESPOTYZM JAKO SKUTEK WOLNOŚCI, CZYLI WIZJE USTROJÓW POREWOLUCYJNYCH

Raju na ziemi zbudować nie można - próbowano od dawna, ale jako ludzkość zawsze kończyliśmy na powrót w piekle. Powszechna metoda buntu - rewolucja - godziła w stary ustrój a w zamian niejednokrotnie wprowadzała jeszcze gorszy. Mało które społeczeństwo decydowało się wybrać drogę powolnej ewolucji, bo szybkie reformy i iluzoryczna obietnica spokoju, dana w niepewnych i trudnych warunkach, zapewniała upragniony cel i wizję bezpieczeństwa. Ale wszystkie te nadzieje kończyły się wraz z nastaniem porewolucyjnego porządku rzeczy. Państwa, klany, społeczności, każdy chciał budować ów NOWY świat po rewolucji dla siebie i podług własnego pomysłu. Jednakże dla siebie mogą budować tylko nieliczni, bo zaspokojenie wszystkich w takim samym stopniu jest nieosiągalne. I właśnie tutaj pojawia się pokusa dotycząca tej części danej społeczności, której przypadnie władza po zwycięstwie rewolucji - olbrzymia potęga, miliony żyć pod sobą, nieograniczone możliwości i tak oto wracamy do starego systemu w jego gorszej, bardziej despotycznej wersji. Ten mechanizm, tak przerażający i odbierający nadzieję, był przedmiotem rozważań wielu twórców. Niewątpliwie najgenialniejszymi dziełami, poruszającymi problem porewolucyjnego terroru są „Biesy” Dostojewskiego i „Rok 1984” Orwella, ponieważ przedstawione przez nich metody zwycięskich reżimów, były i są stosowane w wielu miejscach świata z nieustającym powodzeniem.

Zacznijmy od „Biesów” - ostrzeżenia nie tylko przed wewnętrznymi i personalnymi demonami, ale i przed bliskim ówczesnej Rosji rozkwitem czerwonej rewolucji. System opisany w olbrzymim kajecie, przez utopistę (albo raczej antyutopistę) Szyglewa, jednego z ludzi znajdujących się pod władzą Piotra Stiepanowicza - który sam działa z ramienia Międzynarodówki, to całkowita wolność, przechodząca w całkowitą niewolę.

„Zaczynam od nieograniczonej wolności, lecz kończę na nieograniczonym despotyzmie. Muszę jednak zaznaczyć, że innego rozstrzygnięcia zagadnień społecznych nie ma i być nie może”. Dlaczego Szygiew przedstawia kwestię nowego porządku społecznego w taki sposób? On sam, w przeciwieństwie od Stiepanowicza faktycznie myśli o raju na ziemi, nie tylko o potęgę władzy. Ale jego Eden jest zbudowany na złamaniu wolnej woli człowieka, czyli na czymś, czego w swoim Edenie nie chciał wprowadzić sam Bóg. Pytanie tylko, czy można powrócić do raju, zaprzeczając jego podstawowej idei, brzmiejącej - człowiek jest wolny - ?

„Dochodzi on do ostatecznego wniosku, iż ludzkość musi być podzielona na dwie nierówne części. Dziesiąta część otrzymuje wolność osobistą i nieograniczoną władzę nad pozostałymi dziewięcioma dziesiątymi. Tamci zaś, tracąc osobowość, stają się stadem i bezgraniczne postuszeństwo doprowadza ich w drodze przekształceń do niewinności pierwotnej, do jakiegoś raju przedhistorycznego, w którym jednak będą musieli pracować”. Jest w tym pewna mądrość, ale ostatecznie takie panaceum jest piekłem na ziemi - nie rajem. „To, co ja proponuję - oponował Szygiew zdecydowanym głosem - nie jest podłością, lecz rajem. Rajem na ziemi. Innego rozwiązania nie ma.” Fanatyczna wizja, okrutna, krzywdząca i nie-

sprawiedliwa, ale łatwa do zrealizowania i szybka w jej urzeczywistnianiu. A przecież o to chodziło wszelkim rewolucjom - o czas, bo ludzie pragną widzieć efekty swoich czynów - choćby i już, choćby teraz, natychmiast! Dostojewski się nie pomylił, czerwona rewolucja także się spieszyła i tak jak Piotr Stiepanowicz pytała: „co wolicie, czy drogę powolną, polegającą na płodzeniu powieści obyczajowych i na papierowym tworzeniu przepisów dla przyszłej ludzkości na tysiąc lat naprzód(...) czy też wolicie szybszą decyzję, niezależnie od tego, na czym ona polega, lecz która wreszcie rozwiąże ludzkości ręce i da jej możliwość swobodnie urządzić się pod względem społecznym nie na papierze, lecz w życiu? (...) Brnąć przez błoto żółtym krokiem, czy przemknąć przez nie pełną parą?”

W tym rzecz, że socjalizm jest spreczny z szyglewsczyną. Piotr przyznał Stawroginowi, z którego z racji jego ogromnego autorytetu i demonicznej wręcz siły, pragnął uczynić mistycznym bogiem nowego porządku, że nie jest socjalistą, ale oszustem i teorie Szyglewa są według niego wprost g e n i a l n e. Socjalizm ma na celu, przynajmniej w założeniu, dobro społeczne, a szyglewsczyna dobro jednej dziesiątej ludzkości. Pokróćcie mówiąc, Szygiew wyznaczył kilka punktów przemiany społecznej, a Stiepanowicz przewidział ich trafność:

1) „Teraz niezbędne są ze dwa pokolenia rozpusty. Niestępczanej rozpusty, najpodlejszej, która zrobi z człowieka plugawą, tchórzliwą, okrutną, samolubną istotę. Aby się człowiek przyzwyczaił” - Społeczeństwo musi zapomnieć o moralności, musi się zdegradować, aby zapomniawszy o zasadach, zatraciwszy granicę, łatwiej przyjął te, które zostaną mu narzucone odgórnie. Zepsucie poprzedza upadek.

2) „Zaczyna się od zniżenia poziomu wykształcenia, wiedzy i talentów. (...) Nie trzeba ludzi uzdolnionych! Bardziej uzdolnieni zawsze zdobywali władzę i byli tyranami (...) Tam w dziele Szyglewa, wypęda się ich i skazuje na śmierć. Cyconowi odcina się język. Kopernikowi wykuwa się oczy. Szekspira się kamieniuje! Oto jest szyglewsczyna! Niewolnicy muszą być równi!” - Wiedza to siła, bo daje zrozumienie. Zatem władza należy tylko do wybranych, reszta zaś zostaje ogłupiona, bo im człowiek głupszy tym łatwiej go zmanipulować, podporządkować i ubezwłasnowolnić.

3) „Byłe rodzina, byłe miłość - a już rodzi się pragnienie własności. Zabijemy to pragnienie. Puścimy w ruch pijaństwo, oszczerstwo, denuncjację (...) każdy człowiek społeczeństwa pilnuje drugiego i ma obowiązek denuncjować go. Każdy należy do wszystkich, wszyscy do każdego. Wszyscy są niewolnikami równymi w niewolnictwie” - W ustroju absolutnym nie może ist-

nieć coś takiego jak osobiste pragnienia, cele, marzenia. Muszą być wspólne, ogólne i powszechne. Wymuszając denuncjowanie wprowadza się niepewność, a niepewność i nieufność uniemożliwiają w sposób całkowicie naturalny tworzenie relacji osobistych, opartych o własne decyzje i chęci.

4) „Bóg rosyjski skapitulował przed gorzałką. Lud jest pijany, matki pijane, dzieci pijane, cerkwie puste. O, niech tylko wyróżnie jedno pokolenie!” - Jedynym bogiem może być ustrój i bożek-maskotka ustroju, a resztki pragnień i wątpliwości należy zatopić w używkach. Wtedy w alkoholu, teraz zaś jest o wiele większy wybór środków znieczulenia moralnego, mocniejszych, skuteczniejszych.

5) „Raz na trzydzieści lat Szygiew puszcza dreszcze, a wtedy jedni zaczynają pożerać drugich; tylko do pewnych granic, byle się tłum nie nudził; nuda jest uczuciem arystokratycznym” - Zapewnienie społeczeństwu iluzorycznego poczucia zmian, kontrolowanych wojenek, pozwoli im wierzyć, że coś się przemienia, że to nieprawda, iż u władzy są ciągle i zawsze, wbrew zmianom, jedni i ci sami ludzie.

Wystarczy tylko pomyśleć o tym co działo się w ZSRR i od razu widać, że Dostojewski przewidział w „Biesach” bardzo wiele i rewolucja stała się początkiem wieloletniej niewoli. Może gdyby realna była sytuacja, w której Fiodor porozmawiałby z Orwellem, obydwoj panowie stwierdziliby, że rozumują tak samo. To czego nie widział Dostojewski, zobaczył Orwell - rozkwit potęgi totalitaryzmów i przeżywając przez tego pierwszego apokalipsę, jako w całym swym znaczeniu spełnioną. I znowu, tak jak i Fiodor, poszedł o krok dalej niż ówczesna mu rzeczywistość. „Rok 1984” to odpowiedź na pytanie - do czego to wszystko doprowadzi. Choć historia jest w wielu punktach odmienna, to można pokusić się o stwierdzenie, że dzieło Orwella jest jakby kontynuacją „Biesów”, gdzie owa jedna dziesiąta ludzkości udoskonaliła metody terroru i ubezwłasnowolniania ludzi do niemożliwej dotąd perfekcji i maestrii.

Rewolucja trzech potęg Eurazji, Wschodniej i Oceanii, oparty się o ten sam, wspólny schemat, a agnosc, neobolszewizm i kult śmierci polegały na identycznych założeniach. Opisane na przykładzie Oceanii i towarzyszy Winstona Smitha i Julii mechanizmy są typowe dla społeczeństwa po rewolucji - władza była w rękach niewielkiej garstki wybrańców, nastąpiło zaburzenie więzi, denuncjacje, porwania, tortury, ludzie zostali podzieleni na warstwy i zmuszeni do myślenia (więcej niż działania i udawanej wierności) zgodnie z wolą Partii. Miał być raj a wyszło jak zwykle - odrzucono myśl o raju i nastąpiło piekło gorętsze niż jakiegokolwiek dotąd, niemożliwe do złagodzenia, pokonania, albo samoistnego rozkładu. Gdyby tylko rzeczywiste totalitaryzmy wyrosły pod wpływem rządów tych, którzy głosili uprzed-

nio hasła o wolności i prawach, potrafiły wnikać w umysły ludzkie tak głęboko jak uczyniła to Partia (to jest o wiele głębiej niż zamierzał Szygiew) świat nieuchronnie stałby się jednym wielkim cmentarzem człowieczeństwa. Sama Partia, jak i sztygłyszczyn, miała kilka punktów oparcia swojej wizji nowego ustroju.

„WOJNA TO POKÓJ WOLNOŚĆ TO NIEWOLA IGNORANCJA TO SIŁA”

1) "Zmieniając sojusze, trzy supermocarstwa ustawicznie prowadzą ze sobą wojnę, która trwa już od dwudziestu pięciu lat.(...) a cały czas jest to ta sama wojna, choć co kilka lat następuje zmiana sojuszy(...) Rozpatrując rzecz w kategoriach materialnych, nie ma już o co walczyć. Gospodarka każdego z mocarstw jest samowystarczalna (...) działania wojenne właściwie nigdy nie przenoszą się poza sporne tereny (...)Praca zniewolonych ludów umożliwia wyłącznie eskalację tempa wojny (...) Podstawowym celem działań wojennych(...) jest zużywanie wytworzonych towarów bez podnoszenia stopy życiowej obywateli" - To coś nieco innego niż te okresowe wojenki, na które pozwala teoria Szyglewa, jest to bowiem równoczesne zatrzymanie czasu i postępu techniki oraz nauki, utrzymanie tej większej części ludzi po równo w niewoli i biedzie oraz zapewnienie tej jednej dziesiątej trwałości władzy („Społeczeństwo hierarchiczne musi opierać się na nędzy i ciemnocie aby sprawnie funkcjonować") Tam w Oceanii, hierarchiczność polegała na podziale na proli, czyli ludzi z niewielkim dostępem do jakiegokolwiek wiedzy, niezbyt tylko ograniczonych, bo pozbawionych świadomości swej niewoli, a takich nigdy nie trzeba zbyt uciskać. Członków Partii Zewnętrznej, którzy z racji swego dostępu do pewnych faktów musieli kontrolować swe myśli i czyny oraz tych u władzy dla samej władzy - ludzi z Partii Wewnętrznej. Podział taki funkcjonuje i funkcjonował w każdej strukturze społecznej - w ZSRR najbardziej kontrolowany był nie analfabeta z mózgiem wyprutym przez propagandę, ale ludzie będący blisko samego szczytu, właśnie ze względu na tą wiedzę o istocie całego ustroju. To wcale nie jest sprzeczne, dla pewnych ludzi wojna oznacza pokój, a ponad to niewolnicy unikają nudy, ekscytują się czymś i mają wspólny cel w swym wojennym entuzjazmie (apropos państw z tendencjami imperatorskimi, jak chociażby współczesna Rosja, będąca nieodrodnym potomkiem ZSRR)

2) "Wraz z rozwojem telewizji i postępowem technicznym, który umożliwił podwójną, nadawczo odbiorczą rolę sprzętu telewizyjnego, skończyła się prywatność życia obywateli" - Nieustanna inwigilacja, dostęp do najtajniejszych myśli człowieka, pozwala na utrzymanie władzy na zawsze. Gdy pojedyncze jednostki powoli zatracają swoją tożsamość („zanik <ja>") jednocześnie stale będąc pod personalnym nadzorem, nie ma mowy o zorganizowaniu się żadnej rewolucji przeciw obecnemu systemowi.

3) "Za pośrednictwem takich organizacji jak Kapusie chowano [dzieci] na małych barbarzyńców(...) Było niemal normalne, że ludzie powyżej trzydziestki bali się własnych dzieci(...) Za wroga uważano nie tyle miłość, ile zmysłowość, zarówno w małżeństwie, jak i poza nim (...) niezaspokojenie seksualne wywołuje histerię, stan ogromnie pożądanym" -Rodzina czy inne więzi nie mogą w ogóle funkcjonować, obowiązkowa denuncjacja pozwala na wprowadzenie elementu nieufności, a unicestwienie pragnień osobistych umożliwia przekucie ich w ogólne, równe dla wszystkich niewolników.

4) "Wielki Brat jest nieomylny i wszechmocny (...) to przebranie, w którym Partia ukazuje się światu" - Stalin, Mussolini, Hitler, Wielki Brat itd. itd. - łatwo kochać osobę, trudno bezosobową masę Partii, a niewolnikom trzeba jakiegoś boga.

5) "W Oceanii nie ma praw. Myśli i czynów, których wykrycie oznacza śmierć, nigdy oficjalnie nie zakazano (...) trening myślowy przebyty w dzieciństwie, a związany z takimi pojęciami nowomowy, jak zbrodnio szlaban, czarnobił, czy dwójmyślenie, sprawia zresztą, iż członek Partii, z reguły niechętnie oddaje się jakimkolwiek głębszym rozważaniom, a często nawet tego nie potrafi." - Całkowita wolność, jaką jest brak praw, to w istocie despotyzm i gwałt dokonywany na obywatelach. Specyficzne pojęcia, zakaz nieprawomyślności terror, z czasem doprowadzają do tego, że ludzie sami na siebie nakładają autocenzurę. Nowomowa, która jest językiem uszczuplającym się od-

powiada konieczności ogłupiania i upraszczania myślenia społeczeństw pod rządami porewolucyjnymi.

Czy zatem każda rewolucja jest złem? Niekoniecznie. Zły jest pośpiech z jakim nowa władza decyduje się na powrót do starego porządku w jego zdemonizowanej wersji, ponieważ smak potęgi, otrzymanej tak nagle, zawrócił im w głowach. Oczywiście, że zbudowanie ustroju na wzór społeczeństw Szyglewa i Oceanii, jest prostsze niż powolny rozwój i inwestycja nie tyle w władzę dla władzy (władzę dla samej władzy, jak to mówił Stiepanowicz, a wtórował mu O'Brien) ile w jednostkę i jej moralność, a przez to, w moralność całego społeczeństwa. Jednak trzeba pamiętać, że każdy ma w sobie część tyrana, a na pytanie unde malum, można odpowiedzieć tylko tak jak Różewicz - „z człowieka i zawsze z człowieka".

EMILIA IWANIEC



Maria Jolanta
Fraszewska

UMOŻLIWIĆ - NIE POSIADA MIARY: NIE MA OSOBY, CZASU, TRYBU ANI LICZBY

Motto: „Człowiek, proszę
państwa, moi drodzy, ma duszę,
ciało i narratora”¹

Powieść, jak każda opowieść, jest fikcją. Jednak czy do końca? Pomijając zagadnienie czy koniec w ogóle istnieje. Bo jeśli przyjmujemy, że nieskończoność nie ma końca, to gdzie należałoby go szukać? Czy takowe poszukiwanie ma sens?

Olga Tokarczuk polska pisarka i psycholożka uhonorowana literacką Nagrodą Nobla za 2018 rok proponuje, wprowadzając w powszechne użycie, pojęcie wszechwiedzącego gawędziarza. Takiego, który „wie lepiej” nawet od pisarza, który właśnie „pisze” książkę, bo przecież pisarz w tym momencie sam nie zna losów bohaterów, tych których losy opowiada. A więc gdzie, w jakim czy, w którym miejscu odbywa się, dzieje się twórczość? Czy narrator zna tajemnice głównego bohatera i całego otaczającego go, relacyjnego, świata społeczno-psychologicznego. Cudowny opowiadacz. Narrator wiodący. Jednak przecież życie nie tylko się opowiada, ale też wydarza i toczy na bieżąco. Czasami jest „zamknięte” w literaturze, a podczas czytania czytelnik kawałek po kawałku uwalnia tę przestrzeń do i dla wspólnego przebywania.

„Dla postaci literackich przyjmuję poetycko istnienie pewnego specjalnego wymiaru, czegoś w rodzaju przechowalni bytów. Trafiają tam, kiedy powieść zostaje już opublikowana, i teraz ich historie, dramaty i tragedie rozgrywają się w umysłach czytelników. Niczym wirtualne awatary ucieleśniają w sobie węzły naszych osobnych, a jednak powszednich doświadczeń, zmagając się z nimi za nas i dla nas”.²

Zazwyczaj sięgam po kilka książek naraz. I nie wiem jak to się dzieje, że tematyka ich, choć w pierwszym wydźwięku, zdaje się być odmienna, to jednak poruszane w nich zagadnienia w tajemniczy sposób łączy się z sobą. A może najzwyklejniej w świecie - wszystkie książki poruszają tematykę „jedną w jedni”, czyli krążą jak satelita wokół życia i śmierci, wkraczając w teatr życia codziennego, poszczególnych pojawiających się znikąd znaczeń. Nie wykluczone, że to sam czytelnik wyłania

z ich treści te, dostosowane do momentu zaciekawienia, czyli stawiania sobie w tej chwili, szczególnych pytań, które zazwyczaj, w tym wyjątkowym momencie, go nękają, interesują bądź podsuwane są przez książki dopiero, co przeczytane. A więc tą magiczną różdżką może być podświadomość - nieświadomość lub przypadek, który być może owe zagadnienia stosownie łączy.

A może jednak czułość rozgrzewa do tego stopnia, że ciepło jest początkiem narodzin, nagłych i szybkich płomieni powstałych z nagłych i szybko wyskakujących iskier? Jakbyśmy na suchą hubkę je rozrzucali... a potem błysk i nagle rozświetlenie. Może więc ów czuły narrator też pojawia się i znika wraz ze swoim światem pomysłów. To on nakazuje zapisać albo przesyła do pamięci dalszej, aby rozkwitało, a potem wybuchło nowym powiązaniem? Bywa, że dostrzegamy symbolikę przekazu na swój indywidualny sposób.

„Umożliwić” nie posiada miary: nie ma osoby, czasu, trybu ani liczby. To słowo, które posiada znaczenie i kryjącą w swym wnętrzu emocję i tendencję. Zamiar, który ziści się albo nie, jednak już istnieje, ponieważ powstał. A skoro „powstał” to „siedzi bądź stoi” w naszych głowach i „rozrabia”, czyli „mąci i miesza” i „grzebie”. Czy się dogrzebie i do czego i czy na zawsze? Czy zamrze w zamiarze, czy też otworzy wrota?

Moje życie to jest wszystko to, co potrafię lub nie potrafię - unieść. **Marzenie przynależy człowiekowi i do człowieka. Za życia należy mu się konkretna nagroda. Fantazja, wyobraźnia, marzenia, świat wewnętrzny. Potencjał.**

„Piąty elefant” - Mówią, że świat jest płaski i spoczywa na grzbietach czterech słoni, które z kolei stoją na skorupie gigantycznego żółwia. „Świat Dysku” Terrego Pratchetta jest światem fantastycznym, skojarzonym z wypukłością skorupy żółwia, mitologicznego wizerunku świata w kulturze hinduskiej. Fantazja, legenda czy prawda? Dla nas, ludzi Zachodu, zabawna fantazja. Nie zamierzam dzielić ludzi na wschód i zachód, na kategorię A czy B, na religijnych i niewierzących. Religii jest sporo, tak dużo, że nie zliczę. A nowe rodzą się co chwila, nie wspomnę o nienarodzonej do końca, bo przecież jeśli ktoś uważa, że można leczyć ludzi salcesonem, wybawiać od złych myśli, to nie będę wyciągać wniosków, ponieważ nie chcę, aby to był kolejny wyciągnięty z rękawa fantazy królik. Na papierze tego zrobić się nie da. A gdyby zarejestrować w Kościele Łatającego Potwora Spaghetti?

Albo taka myśl, że żółw pewnego dnia

nauczy się fruwać?³ A z jakiego powodu miałby dokonać czegoś, co się na razie w umyśle nie mieści? Z bardzo prostego. Z literackiej fantazji Pratchetta, z jego umiejętności dostrzegania prawideł: „Ponieważ nic nie musi być prawdą na zawsze. Wystarczy, że będzie nią dostatecznie długo, prawdę mówiąc.”⁴ Któż uwierzy naukowcom, tym mądrzejszym od innych, których nikt z przeciętnym umysłem nie zrozumie? Oni nie są dla zwykłych ludzi. My, ci zwykli, swoje wiemy.

*

„Czasami autor fantastyki musi wskazać dziwne zjawiska rzeczywistości”.⁵

Wyczytałam w wywiadach, że Olga Tokarczuk lubi i ceni literaturę science fiction. Uważa, że fantastyka pojawia się wówczas, gdy człowiek zaczyna odczuwać lęk czy niepokój. Prawa psychologii mówią, że pojawiająca się niepewność powoduje, że ludzie chcą jej się pozbyć poprzez zajęcie do przyszłości. Często więc stawiają sobie pytania, co będzie potem, bo chcą poznać przyszłość. Fenomen korzystania z usług wróżbitów w Polsce ma się całkiem dobrze. Podczas kongresu Impakt w Poznaniu w maju br. noblistka w rozmowie z filozofką Katarzyną Kasią mówiła: „Najgorszym rozwiązaniem by było, jakby ludzie w ogóle stracili zaufanie do fikcji” i dodała: „fikcja jest pewnym rodzajem prawdy”.⁶

W poszukiwaniu wolności

Każdy może znaleźć swą wolność gdzie indziej⁷

Gdzie człowiek może znaleźć swoją wolność? Odpowiedź na to pytanie nie jest jednoznaczna, a wręcz niemożliwa. Utopijna. Nie może być, ponieważ odpowiedź będzie zależna od wartości społecznych i osobistych osoby odpowiadającej. Brytyjski filozof polityki, Isaiah Berlin w eseju „Dwie koncepcje wolności” z 1958r wyodrębnił wolność negatywną i pozytywną. Wolność negatywną postrzegał jako wolność od ingerencji, np.: przestrzeń dla wolności słowa. Im większy jest ten obszar tym większa wolność. Wolność pozytywna jest wolnością do samostanowienia, czyli bycia panem samego siebie. Jednak, jeśli władza twierdzi,

3 Terry Pratchett, *Pomniejsze bóstwa, z cyklu Świat Dysku, Prószyński i S-ka, W-wa 2001, s. 8*

4 Terry Pratchett, *Prawda, Prószyński i S-ka, s. W-wa, 1999, s. 336*

5 Terry Pratchett, *Prawda, Prószyński i S-ka, s. W-wa, 1999, s. 7 (Notatka autora)*

6 Olga Tokarczuk: *literatura jest ogromną przestrzenią wspólnoty - RMF Classic*

7 Maja Staniszevska 20.04.2023. www.wysokieobcasy.pl: Lena Góra: *samochód to taki mały dom, do tego jeszcze na kółkach*

1. Olga Tokarczuk, *Czuły narrator*, Wydawnictwo Literackie, 2020, s. 179

2 Olga Tokarczuk, *jeden z wykładów pisarki wygłoszonych na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Łódzkiego* (2018)



że wie lepiej od obywatela (totalitaryzm), co dla niego lepsze, to wolność obywatela ogranicza się do wyznaczonych granic. Z podziału tegoż wynika prawda oczywista, iż wolność w życiu społeczno-politycznym nie istnieje lub jest pojęciem abstrakcyjno-utrudnym. W jednej i drugiej wersji jest dążeniem „ku” czemuś.

Natomiast Zygmunt Bauman w książce z 1995r pt: „Wolność” wskazuje na relację społeczną, która wpływa bezpośrednio na wolność. Wolność wydarza się zawsze kosztem kogoś innego. Człowiek czuje się wolnym, gdy ma władzę nad podporządkowanym, stając się jednocześnie „niewolnikiem” nadzorowania. Społeczeństwo w świecie ponowoczesnym otrzymuje „wolność konsumencką”. Otrzymujemy zestaw produktów i wybieramy któryś nazywając to wolnością wyboru. Bauman zwraca uwagę na sprawę istotną, która dotyczy zagadnienia wartości i sensowności. Bowiemy wolność wyboru nie zawsze oznacza wolność sensowną. Obszar poza „pilnowanym” staje się niebezpiecznym. Czyli im więcej wolności tym mniej bezpieczeństwa. Nasze współczesne życie filozof nazwał „płynną nowoczesnością”, którą charakteryzuje: kruchość, nietrwałość, zmienność, ciągły ruch i niepewność. Problem współczesnego człowieka polega na tym, że wciąż szukając sensu życia, tak naprawdę nie wiadomo gdzie go znaleźć. Będąc w ciągłym ruchu, mając przed sobą ciągłe zaangażowanie w dokonywanie wyborów, nawet jeśli są to drobniaczki, męczymy swój organizm. Wciąż kształtuje się nowy model społeczeństwa, ponieważ wiele zależy od punktu położenia jednostki. Plany, aspiracje, wartości, ideologia, wciąż rysują nowe perspektywy, które wpływają na kolejne decyzje, które zmieniają się w mgnieniu oka. A ich konsekwencje dotyczą przecież życia ludzkiego. Dawniej wartością było dążenie do spokoju, teraz nie jest to w modzie, choć zaczynamy jako społeczeństwo obecnie zauważać tę potrzebę. Zanim jednak „władza” ustosunkuje się do tej podstawowej potrzeby ludzkiego życia, minie sporo czasu. Dlaczego? Ponieważ wciąż liczy się zysk, a zysk ze spokojem niewiele ma wspólnego. Chociaż zauważalna staje się tendencja zawyżonych opłat za spo-

kój. Jeśli „spokój” potraktujemy jako produkt konsumpcyjny, to jego wartość płatnicza staje się do określenia. Wystarczy przejrzeć oferty agroturystyk, „slow-atrakcji”, które oferują ciszę dla swobodnego wypoczynku poza uciążliwością miasta. Polski spokój jest w cenie. I to w cenie przewyższającej kieszeń pospolitego zarabiacza i zjadacza chleba. A więc w ponowoczesnym świecie mamy wybór, jednak czy wszystkich nas na niego stać finansowo i na jak długo tych finansów wystarczy? Muszę przyznać, że tańszym rozwiązaniem jest zakup w aptece zatyczek do uszu, jednak zatyczek do nosa z filtrem jak w butelkach do wody, jeszcze nie wymyślono.

*

„Składałam się z wyobraźni i nicości. To znaczy, że nawet kiedy zniknie wyobraźnia, coś jeszcze ze mnie zostanie” – Sławomir Mrożek

Małgorzata Czyńska, *Witkacy i kobiety. Harem metafizyczny*, Marginesy, 2022.

Pomijam złożoność treści książki przedstawiającą biografię przesączoną potrzebą miłości i niemożnością jej zrealizowania z jedną kobietą, bądź w ogóle, i poczuciem następującej po piętnach śmierci. Niewiele brakowało, aby Stanisław Ignacy Witkiewicz popełnił samobójstwo pod wpływem olbrzymiego wstydu i wyrzutów sumienia, że był powodem śmierci swej pierwszej miłości, Jadwigi, która była z nim w ciąży. Witkacy nie chciał potomstwa. Złorzeczył i zarzucał narzeczonej, że zdradziła go z Karolem Szymanowskim. Pisał do swojego przyjaciela Bronisława Malinowskiego: „Mogłem ją zatrzymać nad brzegiem przepaści i nie zrobić tego. Ten wyrzut mnie zabija, a oprócz tego jestem sam i czuję się opuszczony przez wszystko. [...] Na jak długo wystarczy mi siła, aby żyć tak dalej – nie wiem. Boję się obłędu najbardziej, bo bym już nie pannał nad kwestią śmierci”.⁸ Witkacy słowami bohaterów swoich sztuk i powieści wyrażał własne, jakże bolesne przeżycia. Najwięcej wątków biograficznych znajduje się w „Pożegnaniu jesieni”. Pisał: „Kochał

najbardziej wtedy kiedy krzywdził, litość i wyrzuty brat za miłość, ale z tego nie mógł sobie zdawać sprawy w tej chwili.” A dalej: „...przyciskając lufę do lewej piersi, z zawziętością taką, jakby strzelała do swojego śmiertelnego wroga, wypaliła sobie w serce.”⁹

W tej opisaney biografii i twórczości wyczytać możemy ukryte treści, które to ożywiają twarze kobiet uwiecznionych na malowanych obrazach. Między wierszami dzieje się wiele. Ten cenny dokument kończy się opisem chwili i podjętą decyzją, która dojrzała w Witkacym od dawna. Witkacy doskonale wiedział czego można spodziewać się po komunistach, służył w carskiej armii w latach 1914-1917. Był świadkiem rewolucji październikowej.

„17 września rozszła się wiadomość o wkroczeniu Armii Czerwonej na wschodnie tereny Polski. Witkacy od razu zdecydował: samobójstwo, nazajutrz. Miał wystarczający zapas tabletek luminalu i żyłkę.”¹⁰

Gdy wolność graniczy ze śmiercią

W naszym współczesnym świecie śmierć jest obecna na każdym kroku. Posiada pewne granice. W życiu codziennym atakuje nas z każdej strony, z kart książek i kadrów filmowych, płynie z mediów, z ust ludzkich, z ekranów telewizyjnych, smartfonów czy laptopów. Z przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Śmierć żyje swoim życiem. Oscyluje wokół pewnych granic. Wciąż zadziwia mnie samo w swej istocie słowo: pewne. Gdyż: jak to jest możliwe, że jednocześnie oznacza coś pewnego-statego-nieodwracalnego, coś co na pewno wystąpi, na co możemy liczyć, oprzeć się, zawierzyć; a z drugiej strony pewne-nieokreślone-niepewne-jakieś bezczasowe i chwiejne. Jak np.: znaczenie wspólne dwóch słów w treści wewnętrznego uzupełnienia: pewne losy. Dwa wahania i dwie prawdy zarazem. Cały świat niepewności i pewności jednocześnie. Znoszą się, bo muszą, znoszą się z czasem. Nie odkrywam starości lecz decyzję przed nią. Gdyż są tacy, którzy myśl tę uważają

8 S.I Witkiewicz, *Listy I*, PIW,W-wa 2013, s.563-564,

w: M.Czyńska, *Witkacy i kobiety. Harem metafizyczny*, Marginesy, 2022, s.25

9 M.Czyńska, *Witkacy i kobiety. Harem metafizyczny*, Marginesy, 2022, s.147, 148

10 Małgorzata Czyńska, *Witkacy i kobiety. Harem metafizyczny*, Marginesy, 2022, s. 276

za przednią. Najlepszą z najlepszych w danej-pewnej sytuacji. Sprawianie zagrożenia życia pełni przecież jakąś konkretną rolę w życiu jednostki jak i społeczności. Czy mamy tegoż świadomość?

*

Gdzie się podział śmiech wesóły,
i Nocy Kupały ogniska,
gdzie się podziały ukraińskie wsie
i wiśniowe sady przy chatach?

Zniknęło wszystko w zgłodniałym pożarze,
Matki dzieci swoje pożerają,
szaleni ludzie na bazarach
ludzkie mięso ludziom sprzedają¹¹

Anne Applebaum, *Czerwony głód*, Wydawnictwo Agora, 2018, stron 485.

Informacja ta jest o tyle istotna, iż autorka, strona po stronie, wers po wersji, pieczołowicie i niezwykle dokładnie przedstawia konkretne dokumenty, liczby, statystyki, przekazy, relacje, zapiski, diariusze, nazwy wsi, miasteczek, nazwiska ludzi, autentyczne listy ze spisnymi zwierzeniami, listami do rodzin, pamiętniki, opisy z mapami, danymi demograficznymi, biografiami, a nawet treściami zawartymi w literaturze, prozie i poezji tamtego okrutnego minionego czasu. A przede wszystkim archiwizacji z Harvard Ukrainian Research Institute, przedstawiając historię Holodomoru. Politycznego wymordowania ludu Ukraińskiego, mordowanie chłopów głodem. Zaplanowanie skutków podjętych przez Stalina decyzji i konkretnych dekretołów czy ustaw, których celem była totalna zagłada. Skrajne wyczerpanie i manipulacje zrodzone z bezwzględności okrucieństwa czerwonej władzy komunistycznej. Konanie w męczarniach, kanibalizm rodzinny, ludobójstwo i dzieciobójstwo. Autorka opisuje polityczną niestęchanie okrutną strategię jednego człowieka, dyktatora Stalina, i jego popleczników oraz zwykłych ludzi, często sąsiadów, którzy inwigilowali i donosili, dokonywali wyboru: ty albo ja, wchodząc w maszynę zaplanowanej ludzkiej strategii zagłady. Opisy bestialstwa są tożsame z obserwowaniem obecnych barbarzyńskich poczyną oprawców rosyjskich na ukraińskiej ludności. Ciąg podawanych przez dziennikarkę Annę Applebaum wydarzeń w dużym stopniu wyjaśnia niechlubne teraźniejsze działania autokratów, których podstawą jest zniszczenie i niszczenie bez opamiętania ludzi przy pomocy rak ludzkich. Sposoby i techniki tkwią w ludziach, a ujawniają się w sytuacjach kryzysowych. Zdają się być przenoszone w genach, kulturach, tradycjach, obyczajach, mechanicznych postępowaniach, myślach, gestach.

Aby zrozumieć psychikę pomieszaną z aktami czynów historii trzeba przeczytać książkę. Ale uprzedzam, że nie da się jej przeczytać bez napływających też i ściśnięcia gardła. Słowo: przeczytać, nie ujmuje wartości, która przenika do mózgu odbiorcy wiadomości, które są faktami, kulami prawdy i pewnikiem, który miał miejsce w historii społecznej ludzkości.

„Z upływem tygodni samo pozostawanie przy życiu stało się podejrzaną: skoro rodzina wciąż żyła, to znaczy, że miała co jeść. Ale skoro miała co jeść, to powinna była to oddać – a skoro nie oddała, to znaczy, że należy do kulaństwa, petlurowców, polskich agentów, wrogów. Brygada, która przeszukiwała dom Mychajła Bałanowskiego

go w obwodzie czerkawskim, dopytywała: „jak to możliwe, że w tej rodzinie nikt jeszcze nie umarł? Brygada sprawdzająca strzechę domu Hryhorijsa Moroza w obwodzie sumskim nie znalazła żadnego jedzenia i chciała wiedzieć: „co wam pomaga przeżyć? Dlaczego jeszcze nie zniknęliście? Dlaczego nie padliście martwi? Dlaczego w ogóle żyjecie?”¹²

Stalin najpierw odebrał wsi i ludności ukraińskiej wszystko, a potem zakazał mówić o klęsce głodu. Nie mieli nawet miejsca, gdzie mogliby obchodzić żałobę, ponieważ czerwoni komuniści zniszczyli chaty, zagrody i świątynie, a masowe groby tkwiły w ziemi bez nazwy, zniszczyli wiejskie instytucje, ale nie zniszczyli pamięci. Ludzie, którzy przeżyli głód, niektórzy prowadzili wiarygodne zapiski. Wołodomyr Czepur miał pięć lat, gdy matka mu wyjaśniła, że wraz z ojcem dają mu wszystko, co mają do jedzenia. Jeśli nie przeżyją, chcieli, by syn zdał świadectwo: „Nie wolno mi umrzeć, a jak dorosnę, muszę opowiedzieć ludziom, jak my i nasza Ukraina w mękach konaliśmy”.¹³

Pakt z 1939r. pomiędzy rządami trzeciej rzeszy a rządem sowieckim, zakładający kontynuację morderczych działań w stosunku do Ukrainy. Porozumienie pomiędzy dyktatorami, w konsekwencji którego Polska również miała zniknąć nie tylko z map świata.

„Przecież nawet święta Armia Krajowa ukrywała przed polskim społeczeństwem prawdę o zbrodni katyńskiej, kiedy Sikorski zawarł pakt z Majskim i sowieci stali się sojusznikami AK w walce z Hitlerem. Więc i ona, święta Armia Krajowa, też miała na sumieniu kłamstwo katyńskie?”¹⁴

*

Książki, której nie byłem w stanie przeczytać, a załedwie co chwila zaglądać, to: „Bilans krzywd. Jak naprawdę wyglądała niemiecka okupacja Polski”. Z podtytułem: Ogrom bestialstwa, nierozliczone zbrodnie i niemiecka odpowiedzialność. Autorem jest historyk i pisarz, Dariusz Kałiński.

Czytam blurb: „Ponad pięć milionów polskich obywateli zabitych w toku działań wojennych, wyłapywanych na ulicach i mordowanych jak zwierzęta, zagłodzonych, zesłanych do obozów, których jedynym celem była eksterminacja.” Tę wiedzę posiadamy jeszcze z lat nauki szkolnej. Inaczej jednak przyjmujemy taką informację udokumentowaną: „Od połowy września 1939r na Pomorzu Gdańskim doszło do masowych aresztowań osób narodowości polskiej, (...) Do wiosny 1940 r. zamordowano tam od 12 000 do 14 000 polskich mężczyzn, kobiet i dzieci. Na miejscu egzekucji ofiary, ze skrepowanymi z tyłu rękami, zmuszano do ukleknienia nad dołem i zabijano je strzałem w potylicę. Rannych dobijano kolejną kulą bądź uderzeniem kolby, a zwłoki zakopywano w dołach o wymiarach 10 x 4 m i głębokości 3,5 m. Po wojnie odkryto 23 takie masowe mogiły.”¹⁵ „Innym miejscem kaźni Polaków był Las Szepawski...” 250-450 ciał, innym ... 1400 ciał, innym... „Ogółem podczas okupacji Niemcy utworzyli na polskich ziemiach ponad 6000 obozów o różnorodnym charakterze. (...) w Polsce nie ma wolnego od nich zakątka.”

„Wielu ludzi w Polsce wciąż nie przyjmuje do wiadomości, że my, Polacy, żyjemy na Ziemi tylko dlatego, że jeden zbrod-

niarz wyrwał nas z rąk drugiego zbrodniarza (...).”¹⁷

Prawdy z konkretnymi faktami nie jest łatwo zaakceptować, bo przerasta wszelkie wyobrażenia okrucieństwa. Być może właśnie to jest przyczyną, że odwracamy się od niej i nie traktujemy zapobiegawczo. Ona trafia do umysłu na chwilę jak obejrzały przed chwilą film grozy. Jedno i drugie należy do kategorii: przeszłość czyli niebytu.

Wolność umożliwiła

Terry Pratchett w książce „Nacja” 2008¹⁸, odnosząc się do życia ludzkiego i religii pisze: „Tym są bogowie! Odpowiedź, która musi wystarczyć! Bo jest jedzenie, które trzeba schwytać, dzieci, które trzeba urodzić, życie, które trzeba przeżyć, nie ma więc czasu na wielkie, skomplikowane niepokojące odpowiedzi! Prosimy o proste odpowiedzi, byśmy nie musieli myśleć, możemy znaleźć odpowiedzi, które nie pasują do tego świata, jakim chcielibyśmy, żeby był”¹⁹.

W słowach tych wypowiedzianych przez bohaterów powieści słyszę ból i rozgoryczenie, smutek i złość zarazem, głębokie rozczarowanie i żal, ludzkie cierpienie. Słyszę słowa człowieka, który przeżywa rzeczywistość, a nie fikcję. Jest jednocześnie narratorem i sobą. Pratchett pisząc powieść w 2008r. wiedział już, że jest chory na rzadką odmianę choroby Alzheimera, PCA tzw. syndrom Bensona – jest to atrofia tylnej części mózgu. Śmierci komórek mózgowych towarzyszy gromadzenie się toksycznych białek tau i amyloidu. Pratchett diagnozę usłyszał w grudniu 2007 roku i od razu postanowił powiadomić o tym fakcie wydawcę i czytelników w biuletynie „Disco-word News”, dostępnym na jego stronach internetowych.

W 2011 roku BBC wraz z „Sunday Times” nakręcił film dokumentalny: „Terry Pratchett: Wybierając śmierć”. Pisarz będąc śmiertelnie chory i mając świadomość postępującej choroby Alzheimera finansował pracę nad wyjaśnieniem przyczyn tej choroby, a także angażował się w walkę na rzecz legalizacji eutanazji i wspomaganej śmierci. W filmie towarzyszył Peterowi Smedleyowi, nieuleczalnie choremu brytyjskiemu milionerowi, który przed kamerami wypił truciznę. Film, który został wyemitowany na Wyspach Brytyjskich dnia 13 czerwca 2011 przez BBC, spotkał się z różnorodnym i odmiennym odbiorem. Klinika Dignitas mieści się w Szwajcarii niedaleko Zurychu. „Pratchett mierzył się z własnymi demonami, wyciągał wnioski i – co bolesne – chyba nie był z nich zadowolony. Powiedział, że chciałby umrzeć w stońcu. Uściślił, że stońce czasami świeci w Szwajcarii, lecz nie o to w rzeczywistości mu chodziło. Próbował powiedzieć, że powinien mieć możliwość podjęcia decyzji – pewnego angielskiego dnia wyjść do swego pięknego ogrodu i umrzeć z godnością. Już na początku filmu Pratchett pyta w filmie: „Czy ktoś taki jak ja – lub ktoś jak ty – może wybrać sposób, w jaki umrze?”²⁰

*

W książce poświęconej biografii Terrego Pratchetta „Życie i praca z magią w tle”²¹, którą napisał Craig Cabell w 2012r stawiając wiele ważkich pytań w jego imieniu, oddał tym samym hołd jego odwadze podjęcia tematu tabu, a przecież tak bardzo bliskie-

11 Anne Applebaum, *Czerwony głód*, Wydawnictwo Agora, 2018, s.378 (Oleksa Veretenchenko, z serii wierszy 1933, publikowanych w „Nowej Ukrainie” od 1942-43)

12 Tamże s. 272

13 Tamże s. 371 [w: Weselowa, Nikiliew, *Pamięć narodu*, t. 2, s. 758]

14 Stefan Chwin, *Dziennik dla dorosłych*, Wydawnictwo Tytuł, 2008, s. 444

15 Seria wydawnicza Ciekawostki historyczne.pl, SIW Znak Kraków 2018

16 Tamże s. 49.

17 Stefan Chwin, *Dziennik dla dorosłych*, Wydawnictwo Tytuł, 2008, s. 324

18 przeł. J.Kozłowski

19 Craig Cabell, Terry Pratchett, *Życie i praca z magią w tle*, Prószyński i S-ka, W-wa 2015

20 Tamże, s. 184-185

21 Craig Cabell, Terry Pratchett, *Życie i praca z magią w tle*, Prószyński i S-ka, 2015



go każdemu człowiekowi. „Powinniśmy zakończyć ten rozdział, mówiąc, że Pratchett najprawdopodobniej umrze na alzheimera, że nie będzie mógł odebrać sobie życia, nawet jeśli ból i cierpienie staną się nie do zniesienia, a powodem tego jest piękna idea – mówiąca, że Bóg stworzył życie, a człowiek nie może go sobie odbierać. Takie podsumowanie świadczyłoby jednak o kompletnej nieznajomości ducha Terry'ego Pratchetta – jego optymizmu, poczucia humoru, siły oraz walki toczonyj w imię słusznej sprawy.

„Osoby dotknięte poważnymi i nieuleczalnymi chorobami powinny móc wybierać pomiędzy śmiercią z pomocą medyczną a cierpieniami – wyjaśniał Pratchett. – Świętość życia? A co z godnością życia? Jej brak wystarczy niektórym, żeby ze sobą skończyć.”²²

*

Terry Pratchett (ur. 1948, zm. 2015r) już od najmłodszych lat interesował się astronomią. W wieku 13 lat napisał swoje pierwsze opowiadanie „Piekielny interes”, dwa lata później opublikował pierwszą książkę, a po upływie kolejnych dwóch lat został dziennikarzem. W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku jego książki na rynku brytyjskim były najlepiej się sprzedającymi książkami. Obok Dickensa był najbardziej czytany pisarzem. Zastępną „Światem Dysku” mając fanów na całym świecie. Otrzymał wiele nagród, a w tym brytyjski tytuł „Sir”.

W książce „Straż! Straż!” Pisarz mówi słowami bohatera: „Dobra księgarnia to po prostu elegancka czarna dziura, umiejąca czytać.”. Wpadam więc na chwilę do tej czarnej dziury i czas przestaje istnieć. Ginę w masie odkrywcy, zabawnych, a nawet sprawdzających się, proroczych wersów. Według Pratchetta powieści typu grozy i science fiction są podgatunkiem fantazy. Można w nich się wypowiedzieć i zawrzeć własne poglądy. Abstrakcja wchodzi w naukę, a rzeczywistość jest ruchoma. Bo Pratchett bawi się słowami: „Patrzy na absurd życia i czasami o nich mówi”.²³ „Pratchett nie wierzy w Boga, ale wierzy w porządek. Intriguje go absurdalność życia, stworzenia ludzkości – jest humanistą – ale jak przyznawał, zaczyna być rozczarowany zarówno ludzkością, jak i jej okrucieństwem wobec innych stworzeń.”.

*

Katarzyna Brejwo w rozmowie z dr Eriką Preisig pt: „Pomagam w samobójstwie” w „Dużym Formacie”²⁴ mówi, że do Szwajcarii przyjeżdżają umierać ludzie z całego

świata. Wspomagane samobójstwo jest łagodną i spokojną śmiercią w otoczeniu rodziny czy przyjaciół. „Tu wolno pomóc w samobójstwie. (...) pacjent może wybrać, czy chce to zrobić na łóżku, czy w fotelu. Jest też duża kanapa, bo większość osób przyjeżdża do nas z rodziną. To są często trzy pokolenia: dziadkowie, rodzice i dzieci. Dziś rano umarł tu starszy pan z Francji, była przy nim córka z zięciem i dwóch dorosłych wnuków. (...) Pacjent dostaje dużą dawkę silnego środka znieczulającego i po prostu zasypia”.

*

Jako ludzie, którzy mają wolną wolę i świadomość kształtowania własnego życia, pomijamy w rozważaniach fakt poczęcia, narodzin i odchodzenia, śmierci. Okazuje się, że poczęcie i koniec jest poza naszym ludzkim zasięgiem, a jednocześnie jest zgodny z humanistyczną myślą ogólnoludzką. W momencie najdonioślejszym pozbawiamy się decyzji pochodzącej od człowieka. A więc może jednak ludzkości zależy na jakości, chociaż żyjąc niezbyt wyraźnie widać ten fakt. Jak my, żyjący teraz, dbamy o jakość naszego życia? Czy przypadkiem nie jest ważniejsza chwila, której utrzymanie w zasobie przyjemności przechyla złudną szalę? Czy przyglądanie się zadawaniu komuś śmierci, czytanie na ten temat, odwołujemy się do poczucia bezradności wobec zła? Komuś zadawanie bolesnej śmierci, przeżywanej w nieludzkich cierpieniach przechodzi bezkarnie i dokładnie na naszych oczach. Przyglądamy się, wiemy, że tak jest i ... nic? Spoglądamy na zdjęcie kilkuset ludzi klęczących nad wspólnym dołem ze związanymi rękoma i pewnie myśli do naszej świadomości dochodzą. Na pewno pojawia się myśl: ja bym tego nie wytrzymał(a). Dodajemy w myślach: lepiej, żeby śmierć przyszła zniecka. Szybko. A więc dopuszczamy w myślach odejście decyzyjne i łagodne. Dlaczego więc, gdy dręczy nas śmiertelna choroba, prawo nie pozwala nam odejść na naszych warunkach? Dlaczego prawo nie dotyczy ... nas?

*

„Empatia ma stosunkowo krótką historię w dziejach ludzkości. Prawdopodobnie pojawia się gdzieś na Wschodzie przynajmniej sześć wieków przed Chrystusem. W każdym razie nikt przed naukami buddyjskimi nie nazwał ani nie dowartościował tej nowej postawy – patrzeć na drugiego tak, jakby samemu się nim było, nie ufać pozornej granicy, która oddziela nas od innych, ponieważ jest ona złudzeniem. Cokolwiek dzieje się w tobie dzieje się we mnie. Nie ma 'cudzego cierpienia'. Te iluzoryczne granice oddzielają od siebie nie tylko ludzi, ale także ludzi od zwierząt.”²⁵

*

Prof. dr hab. Wojciech Szczeklik, członek Polskiego Towarzystwa Anestezjologii i Intensywnej Terapii, członek Rady Ekspertów Naczelnej Rady Lekarskiej, przewodniczący grupy roboczej do spraw zapobiegania terapii daremnej u osób dorosłych umierających w szpitalu poza oddziałami intensywnej terapii²⁶, objaśnia: „W naszym kraju nie ma wytycznych dotyczących opieki nad chorymi umierającymi w szpitalu. Brakuje planowania opieki medycznej z wyprzedzeniem („Advance care planning”), nazywanej testamentem życia, brakuje regulacji prawnych dotyczących ustanowienia pełnomocnika medycznego i samej terapii daremnej. Jest jeszcze wino

nas, lekarzy, bo za mało rozmawiamy na temat końca życia z naszymi chorymi – mówi prof. Szczeklik. Podaje za przykład szpitale w USA, gdzie tacy chorzy są identyfikowani w momencie pojawienia się na oddziale. Zaważowana niewydolność serca, aktywna rozsiana choroba nowotworowa, przewlekła choroba płuc w okresie domowej terapii, niewydolność wątroby to jedne z wielu chorób, przy których trzeba rozważyć odejście od terapii daremnej”.

*

Na łamach Gazety Wyborczej 29.11.2024 ukazała się informacja, iż Brytyjska Izba Gmin będzie głosować nad zalegalizowanie eutanazji w Wielkiej Brytanii. Debatę wciąż trwa. Natomiast 27.05.2025 ukazała się informacja, iż Ustawa o „pomocy w umieraniu” przeszła przez francuskie Zgromadzenie Narodowe. Umożliwia ona dorosłym chorym na nieuleczalną chorobę i cierpiącym pacjentom, na przyjęcie substancji śmiertelnej. Projekt trafił do Senatu. Pod artykułami pojawiły się komentarze pojedynczych osób: „Mam 47 lat i chciałabym doczekać się podobnych przepisów w Polsce. Szanse jednak marne, biorąc pod uwagę nasze bogoojczyźniane społeczeństwo”.

Narrator

Słowo „umożliwić” podąży w dwie strony, w obie równocześnie. W dodatku jak lino-skoczek wędruje pod parasolem tąpającym powietrze dla równowagi balansu pomiędzy niebem a ziemią i ziemią a ziemią.

Kurt Vonnegut w książce: „Losy gorsze od śmierci”²⁷, z właściwym humorem amerykańskim: „Dlaczego kurczak przeszedł przez drogę? Bo chciał się znaleźć po drugiej stronie” – I objaśnia, że jest to „najpopularniejszy dowcip z krajach anglojęzycznych. Ha,Ha!”, dopisek K.V. I dalej z równie właściwym sobie humorem Kurt Vonnegut²⁸ pisze, że tematyką jednego z pierwszych jego opowiadań, które nie spodobało się chrześcijańskiej skrajnej prawicy, było opowiadanie o podróżnikach w czasie, takich: „którzy znaleźli się w epoce biblijnej i odkryli, że Jezus miał metr pięćdziesiąt pięć wzrostu. Wydaje mi się, że to ja bardziej lubię Jezusa niż przeciwnicy mojego opowiadania (...)”.

MARIA JOLANTA FRASZEWSKA



27 Kurt Vonnegut, *Losy gorsze od śmierci*, Wydawnictwo Amber, 1994 s. 213
28 Tamże, s. 90

22 <https://wyborcza.pl/7,75410,17561434,terry-pratchett-nie-zyje-mistrz-fantazy-zmagal-sie-z-alzheimerem.html>

23 Craig Cabell, Terry Pratchett, *Życie i praca z magią w tle*, Prószyński i S-ka, W-wa 2015, s.53

24 Gazeta Wyborcza, *Duży Format*, 2014 art. „Tu wolno umierać”.

25 Olga Tokarczuk, *Czuję narrator*, Wydawnictwo Literackie, 2020r s. 57-58.

26 <https://zielonagora.wyborcza.pl/zielonagora/7,35182,31400384,medycyna-konca-zycia-kiedy-pozwolic-choremu-odejsc.html>

Tomasz Laczny

ANDRZEJ PUSTKA

Wychodząc z mieszkania, założył wiatrówkę. Miało tego dnia padać. Kurtka była stara, zniszczona. Kilkakrotnie zastanawiał się czy nie kupić nowej. Za każdym razem odkładał to na później. Na później znacząco — aż do momentu, kiedy będzie znowu padało i przypomni sobie o starej wiatrówce.

Był spóźniony. Na basen zazwyczaj przychodził kiedy otwierali, równo o szóstej rano. Potem robiło się tłoczno i ciężko było znaleźć szafkę blisko pryszniców. Już kilkakrotnie zdarzyło mu się, że musiał czekać na wolną kabinę. Było to nieprzyjemne. Szczególnie wczesną wiosną, kiedy poranki były jeszcze mroźne. Basen był otwarty. Co prawda z podgrzewaną wodą, ale odcinek przejścia od szafki do kabiny prysznica i stamtąd do basenu odbywał się na wolnym powietrzu. Jeśli robiło się to bezpośrednio, bez żadnych postojów wszystko było w porządku. Lubił to gwałtowne uderzenie zimna, kiedy wychodziło się z ogrzewanej szatni na zewnątrz. Potem gorący prysznic. Rozgrzanie ciała. Wtedy mógł bez obawy przemaszerować wzdłuż basenu do miejsca, gdzie była drabinka. Zanurzyć się w ciepłą taflę wody. Czuł się jak kosmonauta unoszący się bezwładnie, wyzwolony z działania siły grawitacji. Był to zawsze najlepszy moment. Każdego poranka. Dzień za dniem. Tydzień za tygodniem.

Tego dnia był jednak spóźniony. Ludzie, którzy zazwyczaj czekali na otwarcie basenu, byli już w środku. Z obawą, a nawet złością pomyślał, że będzie musiał poczekać przy prysznicach, nagi i zmarznięty, że popsuje mu to przyjemność porannego rytuału. Nie lubił, kiedy coś zmieniano się nieoczekiwanie. Ale sam był sobie winny. Od paru dni miał problem z wczesnym wstawaniem. Zasnął, pomimo że przygotował tego dnia dwa budziki. Na szczęście znalazł kabinę przebieralni zaraz koło pryszniców. Ktoś właśnie stamtąd wychodził. Przyspieszył kroku. Nie chciał aby ktoś go wyprzedził, mimo że naokoło nie było nikogo. Wszedł do kabiny. Zdjął z ramienia torbę. Położył ją na drewnianej ławeczce.

Na drzwiach wisiła nowa, czerwona wiatrówka. Ktoś powiesił ją na wieszaku, przebrał się i otworzył machinalnie drzwi. Potem zapomniał o kurtce. To był błąd. Też go kiedyś popełnił. Od tego momentu nigdy nie wieszła niczego na drzwiach.

Obejrzał kurtkę. Podobała mu się. Taką właśnie powinien kupić. Spakował swoje rzeczy. Otwierając drzwi, jeszcze raz spojrzął na kurtkę. Wyszedł z szatni. Otworzył drzwiczki szafki, wsunął najpierw buty, a na nie położył swoją torbę. Było chłodno. Szybko poszedł w stronę pryszniców. O dziwo były puste. Nagle zatrzymał się i odwrócił. Podszedł do swojej szafki. Wyciągnął z niej torbę. Wrócił do szatni, w której się przebrał. Zamknął za sobą dokładnie drzwi. Położył torbę na ławeczce. Szybkim ruchem wsunął czerwoną wiatrówkę do jej wnętrza, na samo dno.

Tego dnia źle mu się pływało. Myślał o wiatrówce. Na basenie był system monitorowania. Zresztą w tym kraju wszędzie są kamery. Ale z pewnością nie ma ich wewnątrz kabin. Choć nie mógł być tego pewien.

Wychodząc z basenu, zauważył tego samego mężczyznę, który opuścił szatnię

przed nim. Gorączkowo przeszukiwał otwarte szafki i wszystkie wolne szatnie. Był zdenerwowany. Zatrzymał pracownika basenu. Coś mu tłumaczył, gestykulując.

Odkreślił wodę pod prysznicem. Ostatnio przeczytał artykuł o firmie, w której doszło do kradzieży. Pomimo, że zainstalowanych mieli kilka kamer nie można było sprawdzić zapisów, bo nie było nikogo, kto mógłby przejrzeć olbrzymią ilość zarejestrowanych godzin. Firmie nie opłacało się wynająć takiej osoby. Policja również, ze względu na brak personelu, nie zajmowała się takimi sprawami. Nie mógł być pewien, że tak samo będzie tutaj. Być może jest ktoś kto zajmuje się przeglądaniem zapisu. Najlepiej jeśli pójdzie na recepcję i odda wiatrówkę. Powie, że znalazł ją w szatni.

Automatyczne drzwi do recepcji rozsunęły się bezgłośnie. Zobaczył mężczyznę, który wcześniej przeszukiwał szafki. Lustrował każdą osobę opuszczającą budynek. Stał tuż obok recepcji. Nie było możliwości przekazania kurtki, nie zwracając na siebie uwagi. Podejrzany byłoby, gdyby wyciągnął kurtkę z torby. Dlaczego ją tam włożył, skoro ją znalazł i miał zamiar przekazać na recepcji? Dlaczego nie oddał jej zaraz po jej znalezieniu? Recepcjonistka pozdrowiła go jak zwykle na pożegnanie. Odwzajemnił jej pozdrowienie, ignorując mężczyznę, który wpatrywał się w jego torbę.

W mieszkaniu nikogo nie było. Otworzył torbę i z dna wyciągnął pomietłą, czerwoną kurtkę. Chciał ją założyć ale zawahał się. Poszedł do przedpokoju. Sprawdził, czy drzwi wejściowe są zamknięte na zamek. Wrócił do pokoju i założył kurtkę. Obejrzał się w lustrze. Wsunął ręce do kieszeni. Poczuł jakiś przedmiot a poniżej klucze. To był portfel i klucze do samochodu. Brązowa skóra portfela była szmerliwa, wytarta po bokach i w miejscach, gdzie odcisnięty był rysunek kart kredytowych. Duży plastikowy brelok z metalowym białoniebieskim logiem BMW. Tylko jeden klucz, chowany do wewnątrz. Przyciski do otwierania i zamykania drzwi i bagażnika. Brelok był wytarty, zużyty.

Otworzył portfel. Kilka plastikowych kart bankowych, karta członkowska basenu, karta ubezpieczeniowa, dowód rejestracyjny samochodu, prawo jazdy. W pierwszej chwili nie rozpoznał twarzy na fotografii. Po chwili uświadomił sobie, że to ten sam mężczyzna, który stał tuż przy recepcji. Na fotografii był znacznie młodszy. I szczuplejszy. Olaf. Olaf Rothschild. Poniżej adres. Mieszkał niedaleko. Mężczyzna odłożył portfel na stół. Zdjął kurtkę. Położył ją na stole obok.

Tego dnia nie mógł się skupić na swojej pracy. Siedział nieruchomo, wpatrując się w migający kursor na ekranie komputera. Od czasu do czasu spoglądał na kurtkę i portfel z kluczami leżącymi na stoliku w głębi pokoju.

Poszedł do kuchni i otworzył kubał na śmieci. Był niemal pusty. Wrzucił do środka kurtkę, portfel i klucze. Wrócił do biurka, ale po chwili znów skierował się do kuchni. Sięgnął do kubała, wyciągnął to, co przed chwilą tam wrzucił. Zamierzał położyć wszystko na stole, lecz ostatecznie włożył do zlewu — kurtka ubrudziła się resztkami jedzenia. Stał brud z rąk papierowym ręcznikiem. Otworzył szafkę, w której poukładane były zużyte kartony. Wyciągnął jeden z nich.

Umieścił w nim najpierw klucze, potem portfel, a na końcu kurtkę. Zakleił pudełko taśmą i z powrotem włożył do kosza. Przykrył całość pogniecioną gazetą. Umył zlew i wrócił do biurka. Kilka minut później usłyszał dźwięk przekreśnianego klucza. Do mieszkania wbiegła jego pięcioletnia córka.

W czasie obiadu żona, opowiadała mu o czymś. Przytakiwał, ale nie był w stanie się skoncentrować. Jak najszybciej powinien pozbyć się tej przeklętej paczki. Popełnił błąd, wkładając ją do kubała na śmieci. Trzeba było schować ją do torby i wyrzucić jutro rano do kontenera przed budynkiem.

Z drugiej strony, gdyby trzymał paczkę w torbie zawsze istniało niebezpieczeństwo. Jego córka miała talent do odnajdywania wszystkiego, co ukryte.

Wyobraził sobie tę scenę. Córka przynosi paczkę, wkłada mu ją do rąk, mówi, żeby otworzył, bo znalazła prezent. On mówi że nie, że to nie jest prezent dla niej. Ona zaczyna płakać. On bezskutecznie stara się ją uspokoić. Żona pojawia się w pokoju, sprawdza, co się dzieje. Pyta dlaczego mała płacze. Zaskoczona patrzy na paczkę. Chce wiedzieć, co jest w środku.

Dobrze zrobił, że wyrzucił paczkę do kosza.

Wieczorem, poszedł wyrzucić śmieci do kontenera na podwórku, pomimo że kosz nie był jeszcze pełny. Kiedy ubierał się, żona zapytała dokąd idzie. Powiedział, że wyrzucić śmieci. Żona spojrzała na niego podejrzliwie. Zazwyczaj musiała mu o tym przypominać.

W nocy nie mógł zasnąć. Przewracał się z boku na bok. Myślał o mężczyźnie, który czekał na zewnątrz basenu. Choć znał jego imię, nawet w myślach nie chciał go użyć. Zastanawiał się czy powiadomił już policję. W kurtce były przecież jego wszystkie karty bankowe, klucze do samochodu. Czy policja, chcąc znaleźć sprawcę zażąda nagrania z kamery na basenie? A może zignorują tę sprawę. Uznają ją za zbyt błahą. A może obsługa basenu już sprawdziła, co zostało zarejestrowane przez kamerę.

Wiedział, że jedyną osobą przed nim w przebieralni był właściciel kurtki, człowiek, którego imienia nie chciał użyć nawet w swoich myślach. Ale czy ktoś wszedł po nim? Mało prawdopodobne, choć nie niemożliwe. Jak długa była przerwa między jego wyjściem a powrotem tamtego? Dwadzieścia pięć minut? Może trzydzieści? Ilu ludzi mogło w tym czasie wejść do szatni? Nie miał pojęcia.

Gdyby wiedział, że w kieszeniach są portfel i klucze samochodowe, nigdy by jej nie zabrał. Po co w ogóle to zrobił? Wziął kurtkę, a nawet nie miał odwagi jej założyć.

A gdyby jemu przydarzyła się podobna historia? Gdyby nagle zniknął jego portfel i klucze samochodowe? Na dodatek wiedziałby, że osoba, która je ma wie, gdzie on mieszka. Jaki jest numer rejestracyjny jego samochodu. Musiałby pozmienić wszystkie zamki w samochodzie. Dorobić wszystkie klucze. Zablokować wszystkie karty płatnicze i kredytowe. Wyrobić je ponownie. Wyrobić wszystkie dokumenty. Jak prawo jazdy. Kartę z numerem ubezpieczeniowym. Również takie błahy rzeczy jak karta biblioteczna, czy karta na basen.

Był wściekły na siebie. Za niezdecydo-

wanie, brak odwagi. Za głupotę. Wstał z łóżka. Zegarek pokazywał trzecią w nocy. Poszedł do kuchni, wyciągnął z szuflady nożyczki i taśmę klejącą. W przedpokoju włożył buty i w samej piżamie, wyszedł z mieszkania. Zszedł po schodach na niższy poziom, gdzie stał kontener na śmieci. Zapalił światło.

Podniósł pokrywę. Jego worek leżał pod warstwą innych. Odgarnął je, brudząc sobie ręce. Wyszarpał swój i ostrzem nożyczek zrobił otwór, przez który sięgnął do środka. Wyciągnął zaklejoną paczkę. Przeciął taśmę, rozłożył tekturowe skrzydełka. Kurtka w środku również była owinięta taśmą. Rozciął ją. Ze środka wydobył portfel i klucze. Kurtkę włożył z powrotem do pudełka, tym razem nie zaklejając. Ręką zgarnął śmieci tak, by przykryły pakunek.

Portfel i klucze wsunął do kieszeni piżamy i wrócił do mieszkania.

Wcześniej rano poszedł na pocztę. Kupił pudełko kartonowe, stanął przy jednym ze stanowisk dla klientów. Rozglądając się uważnie, z torby wyciągnął portfel i później klucze. Z portfela wyciągnął prawo jazdy i starannie przepisał adres na paczkę. Włożył wszystko do środka.

Podszedł do kontuaru. Pracowniczka — starsza, siwiejąca kobieta w okularach — zapytała, co zawiera przesyłka. — Klucze i dokumenty — odpowiedział odruchowo. Natychmiast tego pożałował. Powinien był powiedzieć, że to książka. Albo ubranie.

— Adres nadawcy? — zapytała zaraz potem. — Czy to konieczne? — rzucił, wciąż trzymając paczkę w rękach. — Konieczne. Bez tego nie wyśle pan paczki. Jeśli w środku są klucze i dokumenty, musi być ubezpieczona. Takie są przepisy. Potrzebuję pana danych. Nazwisko?

Zamrł. Milczał przez chwilę. — Nazwisko? — powtórzyła, spoglądając na niego znad okularów. Gorączkowo próbował coś wymyślić, ale w głowie miał pustkę. — Pustka — powiedział cicho. — Pustka, Andrzej — powtórzył, tym razem głośniejszym głosem. — Pustka? — upewniła się. — Pustka. — Proszę przeliterować. — P-U-S-T-K-A.

Wystukała litery na klawiaturze. — Kod pocztowy? Zamilkł.

— Kod pocztowy? — Spojrzała na niego tym razem zirytowana.

Próbował sobie przypomnieć kod pocztowy swojego starego mieszkania, chociaż, z drugiej strony, nie powinien przecież go podawać.

— 12...12-102 — powiedział niepewnie.

— 12-102? — zapytała zdziwiona pracowniczka poczty, kiedy wprowadziła dane do komputera.

— 12-102 — powiedział tym razem pewniejszym głosem.

— Nie ma takiego kodu. W jakiej miejscowości pan mieszka?

Milczał. Kompletnie nie przygotował się do tej rozmowy. Tego typu pytania zawsze go paraliżowały. Dopiero później przychodziły mu do głowy setki możliwych odpowiedzi. Teraz nie potrafił powiedzieć nic.

Złapał się za kieszeń swojej kurtki.

— Przepraszam... ja... zapomniałem portfela.

Chwycił paczkę i szybkim krokiem opuścił budynek.

Jak bardzo nieroztropnie postąpił. Był na siebie wściekły. Jak głupio. Jak idiotycznie się zachował. Czuł upokorzenie. Chciał się pozbyć jak najszybciej tej cholernej paczki. Mógłby pójść do innego urzędu pocztowego, tym razem z wymyślonym istniejącym adresem. Ale najbliższą poczta była kilka kilometrów stąd. Zajmie mu pół dnia, żeby tam dotrzeć i wrócić do swojego mieszka-

nia. Nagle przypomniał sobie, że mieszkanie właściciela portfela i kluczy jest dwie ulice dalej. Po prostu tam pójdzie.

Stał przed drzwiami budynku. Na podświetlanej tarczy domofonu odnalazł nazwisko mężczyzny, którego szukał. Przez przeszklone drzwi dostrzegł, że skrzynki pocztowe znajdują się w środku, za zamkniętym wejściem. Prowadził do nich długi, nieoświetlony korytarz. Zauważył, że na skrzynkach widnieją tylko duże cyfry — żadnych nazwisk.

Zapamiętał numer, który widniał obok nazwiska na domofonie. Nacisnął przycisk mieszkania na najwyższym piętrze. Cisza. Odczekał chwilę i wcisnął kolejny, należący do mieszkania obok.

Z głośnika odezwał się zachrypnięty kobiecy głos: — Słucham? — Poczta — rzucił krótko.

Usłyszał dźwięk zwalnianego zamka, popchnął drzwi wejściowe i po chwili znalazł się wewnątrz.

Szedł długim ciemnym korytarzem. Ktoś schodził z góry. Zwolnił nieco kroku, nie chciał być dostrzeżony przez nikogo. Szczególnie, kiedy będzie wrzucał portfel i klucze do skrzynki. Jednak mężczyzna podszedł do skrzynki pocztowych i zatrzymał się tuż przed nimi. Stojąc tyłem, sięgnął po klucze do kieszeni. Nie było wyjścia, nie mógł teraz stanąć na środku. Nie mógł zostać zauważonym. Postanowił wejść po schodach na górę, poczekać tam, aż tamten opuści budynek.

Gdy mijali mężczyznę, zauważył, że ten właśnie otwiera skrzynkę numer 7, dokładnie tą samą, do której miał wrzucić portfel i klucze. W ułamku sekundy zorientował się, że osoba stojąca tuż przed nim to Olaf Rothschild. Nie poznał go w półmroku korytarza. W panice zatrzymał się przez chwilę, po czym ruszył po chwili niezdecydowanie. Rothschild spojrzał w jego stronę. Ich oczy się spotkały. Przez chwilę wpatrywali się w siebie. Spuścił wzrok i w panice zaczął szybko wspinać się po stopniach klatki schodowej.

Liczył, że usłyszy trzask zamykanych drzwi na dole, ale kiedy dotarł na samą górę, panowała cisza. Czy Rothschild go rozpoznał? Przez ten krótki moment, kiedy ich spojrzenia się spotkały, miał wrażenie, że tak.

Pomyślał, że ponownie postąpił nieroztropnie, przychodząc do tego budynku. Postąpił jak skończony głupiec chcąc

zwrócić portfel i klucze. Dlaczego tutaj przyszedł? Jest sam sobie winny, nie powinien był ich brać od samego początku. A teraz? Co on tutaj właściwie robi?

I dlaczego nie usłyszał dźwięku zamykania drzwi na dole? A może ten mężczyzna tam na niego czeka? Nonsens, skąd mógłby wiedzieć. A nawet jeśli miałby jakieś przypuszczenie to dlaczego miałby na niego czekać na dole. To przecież nie miało sensu, aby przychodził tutaj zwrócić ten przeklęty portfel i klucze. Ale mógłby przyjść w jakimś innym celu. Na przykład, żeby włamać się do jego mieszkania. Przecież wie, gdzie on mieszka.

Pospieszenie zszedł w dół. Minął skrzynkę na listy, szybko pokonał pusty korytarz pograżony w półmroku. Szarpnął drzwi. Zamknęły się za nim bezgłośnie. Nie oglądając się za siebie szedł wzdłuż budynku. Na narożniku skrzył w główną ulicę.

Zatrzymał się na moment. Sięgnął do kieszeni. Na następnej przecznicy, nie zwalniając kroku, upuścił portfel i klucze.

Był już w pewnej odległości od skrzyżowania, gdy usłyszał za sobą kogoś biegnącego za nim. Przyspieszył kroku.

— Halo, proszę poczekać!! — ktoś krzyknął za nim.

Chciał przejść na drugą stronę jezdni, ale musiał zatrzymać się i przepuścić przejeżdżające samochody. Kroki zbliżały się, a po chwili poczuł czyjaś dłoń na plecach.

Odwrocił się gwałtownie.

Przed nim stał błękitnooki chłopiec — może ośmio-, może dziesięcioletni.

— Pan to zgubił — powiedział podając mu portfel i klucze. Chłopiec uśmiechał się do niego zadowolony. Patrzył mu prosto w oczy. Jego kręcone włosy lśniły w słońcu niczym anielska poświata.

TOMASZ LACZNY

Tomasz Laczny – polsko-brytyjski pisarz i artysta wizualny. Autor opowiadań i projektów łączących tekst z obrazem. Jego książka *Erna Helena Ania* znajduje się w kolekcji MoMA w Nowym Jorku. Ukończył kursy pisarskie Wydawnictwa Czarne, Faber Academy i Granta Short Fiction. Stypendysta Arts Council England. Kończył zbiór opowiadań i powieści. Publikował w anglojęzycznym *Litro Magazine*. Mieszka w Wielkiej Brytanii.



Ewa Niezgoda-
Gierszewska

Na człowieka składają się wybory i okoliczności.
Nikt nie ma władzy nad okolicznościami, ale każdy
ma władzę wyboru.

Eric Emmanuel Schmitt

refleksja

składam pachnącą lasem pościel
układam poduszki do snu

piorę myśli w bębnie radości
zacięły się słowa ostre brzytwą
namokły mocno pigmentem
zmieniając melaninę skóry
włosów paznokci
koncepcji
melanocyty wyborów decydują
o komforcie życia
albinizm strategii dnia smuci
melanizm przebarwia poglądy
z czasem bielactwo może oślepić

rozwieszam pościel na słońcu
z nadzieją na hiperpigmentację

Projekt

marzy mi się altanka ogrodowa
chciałabym ukryć się w niej przed wiatrem
i wielkim okiem sąsiada
ściany z pocałunków
stół drewniany pachnący świerkiem
a na nim serweta z tulipanów
ławki wygodne wyściełane
miękkimi poduszkami z mchu
i my wtuleni w ciepły koc
utkany z koronek i gwiazd cichej nocy
taki nasz wirtualny projekt w 3d
przytulny zakątek na drugą młodość
całkiem realny
póki jeszcze są chęci
i silne ręce
chodźmy po narzędzia

w powietrzu

unoszą się lekkość
poranka
zaspane myśli wymieszam
z kawą
dodam promyk ciepłego
słońca
niech zabieli
słowa
zmysłowym perfumem
nadziei skropię radość
świeży zapach skoszonych
traw pobudzi
ptaki
niech nucą nową
pieśń
niech tańczą w tej majowej
zieleni

katharsis

znowu utknęłam w starym
wierszu z dwudziestego wieku
w kieszeni kangurka szukam
nici Ariadny
dawnym śladem znaczę drogę
hybrydą skrobię po ścianie
uzależniam od ołówka słowa
ostre szybko się ścierają
smutne skreślam z piskiem
intensywna woń octu rozkojarza
wstrzymuję oddech
błędym wzrokiem po suficie
tłumię emocje
pijane litery chwieją się w głowie
mieszają
intensywny zapach zatyka
coraz głośniejszy buczy rumba
zacierając stałe trasy mrówek
skrapiam hyzopem dom
klaruję myśli
to katharsis może mnie zabić
albo ocalić

Ameryka powstała z chęci realizacji marzenia – potrzeby tak nieodpartej, że setki tysięcy osadników straciło zdrowie, dorobek całego życia, albo i je samo, dla realizacji tego marzenia. Gdy myślimy o literaturze Stanów Zjednoczonych w kontekście autora, którego postawa i twórczość najpełniej odzwierciedlałyby owe cechy, nie sposób nie wspomnieć o Ernieście Hemingwayu (1889-1961)¹, Johnie Steinbecku (1902-1968)² czy Williamie Faulknerze (1897-1962)³.

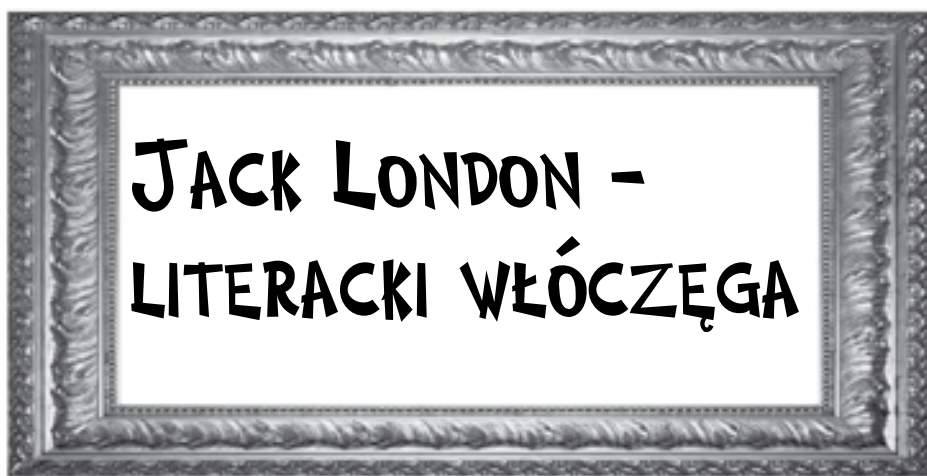
W cieniu tej wielkiej trójki wzrastał pisarz, którego mówiąc o literaturze amerykańskiej kojarzymy raczej z jej wersją młodzieżową. Mowa tu o starszym od każdego z wymienionych twórców Jacku Londonie (1876-1916). Jego „Biały kiel”, „Zew krwi” oraz liczne nowele i opowiadania są nie mniej wartościowe od klasycznych, militarnych dzieł Hemingwaya czy społeczno-obyczajowych utworów Steinbecka.

Pracownik fabryki, poszukiwacz złota, student uniwersytetu kalifornijskiego, a w końcu członek Amerykańskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej i aspirujący pisarz. London nie był bynajmniej człowiekiem bez zasad, celu i poczucia wartości. Obecne w powieści „Zew krwi”: wytrwałość, hart ducha i determinacja w dążeniu do celu stały się immanentnymi cechami charakteru postaci literackiej, jaka na rynku amerykańskiej kultury masowej istnieje nieprzerwanie do dnia dzisiejszego.

„Zew krwi” jest, w moim przekonaniu, klasycznym przykładem powieści opartej na motywie chciwości, której celem jest żądza złota. Z kolei John Steinbeck opisuje to uczucie na kartach utworu „W niepewnym boju”, którego bohaterami są najemni robotnicy rolni, strajkujący przeciwko warunkom pracy jakie zapewniają im sadownicy. Właśnie takiej, ekonomicznej bezwzględności przeciwstawia się młody Jack London, który w 1894 bierze udział w marszu bezrobotnych, z Kalifornii do Waszyngtonu, aby przedstawić rządzącym aktualną sytuację robotników.

Utwór Steinbecka wprost nawiązuje do tego epizodu z życia Londona, którego autor „Córki śniegów” doświadczył pod koniec XIX stulecia. „Nagle jeden z mężczyzn stęknął i kilkakrotnie obrócił się gwałtownie. – czytamy w „Niepewnym boju” – Zza następnego rzędu drzew rozległ się huk strzelby. Strajkujący rozbiegli się i zaczęli uciekać”⁴. Strajkujący w ten sposób robotnicy rolni musieli zmierzyć się nie tylko z zaniżoną przez sadowników wyceną za godzinę ich pracy, lecz także z tymi spośród swego grona, którzy chcieli złamać się, i porozumieć z sadownikami.

„Jak długo trwa eksploatacja człowieka, a ludzie są głodni i bezdomni, pozbawieni pracy i opieki państwa, nie ustanie również niezadowolone i walka”⁵. Pojedyncze protesty, a nawet zorganizowane na szeroką



skalę strajki, zdarzały się niemal w każdej epoce, co nie zmienia faktu, że właśnie na przełom XIX i XX stulecia przypada czas, w którym kapitalizm ukazał swe najbardziej krwiożercze oblicze. O tym właśnie mówi London, wspominając swoje aresztowanie z roku 1894.

„Było to w drugiej połowie czerwca roku 1894 (w kilka dni po moim aresztowaniu zaczął się strajk kolejarzy). Z kancelarii zaprowadzono nas do „hobo”, pod klucz. „Hobo” zowie się część więzienia, gdzie w wielkiej, żelaznej klatce trzyma się drobnych przestępców... przeważnie łazików, czyli „hobo” – stąd nazwa klatki”⁶. Wydarzenia jakie rozegrały się na sali sądowej w niepozornie wyglądającym miasteczku Niagara Falls, London opisuje jako ciąg zdarzeń tak szybkich, iż wprost nie do uwierzenia.

Kilkunastu ludzi, w tym London, zasiadło na ławie oskarżonych pod zarzutem włóczęgostwa. Większości odmawia się prawa do wypowiedzi, każdego skazuje na minimum trzydzieści dni aresztu, a na osądzenie każdego z podsądnych sędzia daje sobie zaledwie kilkanaście sekund – tyle ile zajmuje mu wypowiedzenie sentencji wyroku. Najbardziej bulwersująca jest dla Londona w tym wszystkim odmowa prawa do wypowiedzi przed obliczem sądu.

Po opuszczeniu aresztu, przez pewien czas, Jack London doświadczył trudów życia w USA końca XIX wieku, naznaczonymi brakiem pracy i związaną z nim masową bezdomnością. Wrażenia z tej podróży autor „Białego kła” opisał później w powieści „Na szlaku”. Nieco światła na ten epizod z życia Jacka Londona rzuca nowela pod niedwuznacznym tytułem „Jak mnie przymknęli”.

Gdy wgłębimy się w relację Londona znajdziemy tam wiele odniesień do tragicznej sytuacji społeczno-ekonomicznej społeczeństwa amerykańskiego. Oparty na motywach autobiograficznych utwór Londona opowiada jego historię tuż przed aresztowaniem, demaskując także sposób traktowania ludzi, których na podstawie samego wyglądu można było uznać za włóczęgów. Późniejszy Wielki Kryzys lat 30' XX stulecia był nie tylko ogromnym szokiem ekonomicznym, lecz także zarzewiem tragedii społecznych.

To, czego my – mieszkańcy Europy, obarczonej dziedzictwem autorytaryzmu oraz rewolucjami proletariatu – zawsze szukaliśmy spoglądając za Ocean, w USA przyjęło tylko inną nazwę, a dzisiaj straciło swą atrakcyjność zupełnie. Wolność niekrępowana konwenansami tradycyjnego porządku rzeczy, wznieciona była bowiem

na ramionach odpowiedzialności, czego niektórzy z przybyłych do Nowego Świata Europejczyków nie rozumiała, nawet jeśli przeszkadzała im autorytarny konserwizm ich Starego Kraju. Uciekinierzy przed biedą, wojnami i rewolucją, nie zdawali sobie do końca sprawy, że w tworzących się USA życie doświadczy ich nie mniej niż pod berłem często kapryśnego i chciwego monarchy.

Amerkańscy pionierzy, przybývający z Europy XIX i pierwszych lat XX stulecia, zderzyli się ze skrajnie trudnymi warunkami nie tylko geograficznymi, ale i społecznymi oraz mentalnością, która wyrosła na gruncie dbałości o własny interes, z reguły związany z przeżyciem własnym i swojej rodziny. London, podobnie jak Steinbeck, stał się rzecznikiem wykluczonych i pogardzanych przedstawicieli klas niższych społeczeństwa amerykańskiego przełomu XIX i XX stulecia. Z radosną nadzieją przyjął wieści o rewolucji rosyjskiej, chociaż z ASPR ostatecznie wystąpił rozczarowany brakiem zdecydowania przywódców do większego zaangażowania w walkę klasową.

Stany Zjednoczone miały swój okres zarżartej walki z komunizmem. Nadzieje Steinbecka, Londona oraz zmarłego w 1920 roku Johna Reeda spłonęły na stosie ustawnym, i podpalonym, przez zwolenników Josepha Raymonda McCarthe'go (1908-1957), amerykańskiego polityka i republikańskiego senatora, który zainicjował krucjatę przeciwko zwolennikom komunizmu w USA lat 50'.

Chociaż zarówno Reed, autor głośnego manifestu politycznego w formie powieści podróżniczej, „Dziesięć dni które wstrząsnęły światem”, posądzany o szpiegostwo na rzecz ZSRR Hemingway, czy ujmujący się za ekonomicznie upośledzonymi Steinbeck („W niepewnym boju”, „Zima naszej goryczy”) w pewnym sensie sympatyzowali z postawą socjalistyczną nie sędzę, aby byli w stanie zaakceptować go w formie, jakiej przyszło doświadczyć obywatelom byłych republik bałtyckich i samego ZSRR. Przepsując na maszynie rękopis „W niepewnym boju” pierwsza żona Steinbecka – Carol Henning, nazwała powieść męża „krótką biografią komunisty”⁷, jednakże sam John odżegnywał się od takiej postawy do końca życia.

„Dziennik podróży do Rosji”, autorstwa Johna Steinbecka i Roberta Capy, jest reporterską, w założeniu obiektywną, wizją świata oddzielonego od „cywilizowanego Zachodu” żelazną kurtyną. Problem w tym, że nie ma czegoś takiego jak obiektywny przekaz informacyjny, a tym bardziej obiektywny reportaż z kraju, który od wieków izolował się od wpływów zewnętrznych

1 M. Skrętek, „Stary człowiek też morze... i inne herezje literackie”, [w:] „Gazeta literacka Migotania”, nr 4 (85) 2024, s. 56.

2 M. Skrętek, „Dusza człowieka w realizmie – rzecz o Johnie Steinbecku”, [w:] „Goniec Staszowski”, nr 4/2023, s. 10-11.

3 M. Skrętek, „Spowiedź bibliofila – wyznanie o Williamie Faulknerze”, [w:] „Miesięcznik literacki Akant”, nr 13 grudzień 2024, s. 20-21.

4 J. Steinbeck, „W niepewnym boju”, Pruszyński i S-ka, Warszawa 2014, s. 390.

5 B. Wiśniowski, „Faulkner, Hemingway, Steinbeck”, Czytelnik, Warszawa 1963, s. 288.

6 J. London, „Jak mnie przymknęli”, [w:] „Nowele”, Iskry, Warszawa 1954, s. 58.

7 W. Sauder, „Steinbeck wściekły na świat”, Pruszyński i S-ka, Warszawa 2022, s. 231.

dzając do utrzymania wrażenia o własnej mocarstwowości.

Steinbeck i Capa powtórzyli zamiar Johana Reeda, z tą różnicą, że oni nie zagłębiali się w problemy politycznego ustroju państwa. W tych dwóch publikacjach jest, w moim przekonaniu, coś z nieodpartą chęcią odkrywania. „Stalin jest wszędzie i wszystko widzi. – czytamy w „Dzienniku...” – Dla Amerykanów, z ich strachem i nienawiścią wobec władzy w rękach jednego człowieka, a także wobec utrwalenia tej władzy, to rzecz straszna i niesmaczna”⁸. Reed, a w ślad za nim Steinbeck i Capa, niczym Marco Polo opisują świat tak różny od tego jaki znają z codziennego życia w Stanach Zjednoczonych.

Jeśli prawdą jest, że talenty wykuwają się w ogniu piekielnie złośliwych przeciwności losu, to literacka gwiazda bohatera mojej obecnej refleksji świeciła jaskrawym światłem długo po tym, jak z Jacka Londona uszło ostatnie tchnienie życia. Chociaż już w 1893 roku otrzymał pierwszą nagrodę w konkursie zorganizowanym przez gazetę z San Francisco, kolejne lata nie przyniosły pisarzowi sukcesu na miarę nagrodzonego wówczas szkicu: „*Tajfun u brzegów Japonii*”.

Z naszego – europejskiego punktu widzenia – archetyp wartości i cech właściwych nieugiętym, samotnym bohaterem dzikiego zachodu, stawiającym czoła przeciwnościom, wielokrotnie spłycono, poddając go wpływom kultury masowej. Wiekopomne dzieła literackie mają tę cechę wspólną, która pomimo upływu lat nie odbiera im aktualności.

Faulkner eksplorował zagadnienie rasy i rasizmu, co było widoczne w wielu jego utworach, na czele ze „*Światłością w sierpniu*”. Za młodu Faulkner „ćwiczył swe pióro w odtwarzaniu mowy potocznej różnych warstw społeczeństwa amerykańskiego, wykazując szczególne uwrażliwienie na gwara murzyńską”⁹.

Nieco światła na osobowość i zainteresowania pisarskie Faulknera rzuca tłumacz i wykładawca literatury francuskiej w Mills College z Kalifornii – Maurice-Edgar Coindreau, który przełożył na język Woltera najbardziej znane dzieła amerykańskiego pisarza. Dla Coindreau spotkanie z Faulknerem było stycznością z „niewysokim, niepozornym mężczyzną, który nade wszystko obawiał się niedyskrecji i wścibstwa innych”¹⁰.

Dla Steinbecka były to kwestie ekonomiczne i społeczne, na których zbudował swój wizerunek obrońcy uciśnionych, warty literackiej nagrody Nobla, którą autor „*Ulicy Nadbrzeżnej*” otrzymał w 1962 roku. Hemingway miał swoich indywidualistów – samotników, i to, w moim przekonaniu, najbardziej zbliża go do Londona. Rozterki bohatera zbiorowego, jak u Steinbecka, w utworach Hemingwaya ustępują miejsca zmaganiom indywidualnym. Podejmują je, m.in.: Robert Jordan („*Komu bije dzwon*”) oraz stary człowiek – tytułowy bohater najkrótszej, acz jednej z najbardziej znanych mini powieści autora „*Motyła i czotgu*”.

Wróciwszy do Londona należy z całą mocą podkreślić jego chęć zaistnienia jako pisarza. W konfrontacji z młodszymi kolegami po piórze autor „*Martina Edena*”, rzucający się w wir literackiego tworzenia kreśli fabuły, i sylwetki bohaterów potoczonych chęcią przetrwania za wszelką cenę, w istic amerykańskim stylu.

Czy nie jest czasami tak, że wielokrotnie pragniemy czegoś, lecz gdy to osiągniemy, naszym oczom ukazuje się wizja zupełnie inna niż ta, którą mieliśmy w momencie dążenia do celu? A gdy już osiągniemy ów cel nie bardzo wiemy, co zrobić z wygraną. O tym jest, według mnie, „*Martin Eden*”, powieść, w której Jack London wplata wiele wątków autobiograficznych.

Główny bohater utworu jest człowiekiem rozdartym pomiędzy dwoma światami. Już od pierwszych stron poznajemy Martina Edena – wólcę i marynarza – jako osobę pełną kompleksów, w konfrontacji z ludźmi z klasy wyższej. Gdy w podziękowaniu za uratowanie z opresji Artura Morsa, mającego bywalca amerykańskich salonów, Eden zostaje przez niego zaproszony na uroczysty obiad, gdzie poznaje jego matkę, brata i siostrę Ruth, bardzo szybko zdaje sobie sprawę ze swych braków w wykształceniu oraz obcym towarzyskim.

Pomimo tego, że za wybawienie z tarapatów wypada podziękować bez uszczypliwości, Artur nazywa Martina „dzikim człowiekiem”, co wśród zebranych wywołuje niezdrówą ekscytację. Eden, za wszelką cenę, próbuje wpasować się w nowe towarzystwo, lecz jego wysiłki odnoszą odwrotny skutek. Nadmierna kontrola wypowiedzi, zachowania i emocji powoduje, że młody marynarz wpada w błędne koło wewnętrznej walki z przyrodzoną mentalnością człowieka z nizin społecznych. Oliwy do ognia dodaje fakt, że Eden zakochuje się w Ruth, którą idealizuje tak jak całą rodzinę kobiety.

Treść utworu Londona miejscami przepełniona jest cikliwością jakiejś niepowstydziliby się Goethe, Byron czy Mickiewicz. W powieści tej autor, dając upust romantycznej stronie swej natury, tworzy obraz człowieka nieszcześliwego, przepełnionego jednocześnie żarliwą determinacją ku zmianie swego losu.

Powracając do domu, po uroczystym obiedzie, Martin spotyka w omnibusie grupę studentów lokalnego uniwersytetu. Dziwi się, że mając możliwość codziennego przebywania w towarzystwie Ruth, woleli oni teraz jeździć po nocy, „a nie spędzili z nią wieczoru, nie otaczali jej pełnym czci i uwielbienia kołem”¹¹. Nabożna cześć z jaką Eden wypowiada imię swej wybranki przywodzi na myśl uczucie dworskie – miłość tak bardzo idealizującą obiekt swego pożądania, iż staje się on przedmiotem nonsensownych miejscami majaków.

„Kochanek jest zawsze przegrany – pisze o tej formie miłosnego uniesienia T. S. Lewis –. Postuśzeństwo najdrobniejszym, choćby najbardziej kapryśnym życzeniom damy jego serca oraz milcząca zgoda na jej choćby najbardziej niesprawiedliwe łajania są jedynymi cnotami, którymi waży się szczyścić”¹². Postępowanie Martina jest, w moim przekonaniu, z gruntu naiwne. Nie chodzi tu nawet o dworską, czy jak określiłbym to wprost: dzieciinną formę miłości, która nie zakłada wewnętrznej równowagi związku.

Postawa Edena ma, według mnie, dużo głębsze korzenie. Artur odmawia Martinowi świadomości, nazywając go „dzikim”, a co robi młody marynarz? Otóż odziera Ruth, jej matkę i dwóch braci, z cielesnej powłoki, nadając dziewczynie status bóstwa, do którego jej daleko. Ruth Mors bawi się Martinem, poczytując sobie za punkt honoru stworzenie młodzieńca od nowa, na swój obraz i podobieństwo intelektual-

ne oraz moralne. Kobieta nie ukrywa swej wyższości w tym zakresie.

Przewidywalnego melodramatyzmu dodaje fakt, że kobieta, z czystej życzliwości, pomagała Edenowi w nadrobieniu braków, Martin zaś był człowiekiem desperacko pragnącym zrozumienia, miłości i spokoju, które upatruje w przynależności do sfery Ruth. Jak powiada London w powieści: „...stwierdziła po cichu, że jej poglądy szersze są od sądów Martina, a wszelka ich wzajemna niezgodność świadczy tylko o brakach z jego strony...”¹³. W takim przypadku nie ma mowy o porozumieniu, spotkaniu się w pół drogi.

O ile nie ma nic złego w braniu przykładu z kogoś, kto wydaje się nam w jakiej materii bardziej kompetentny od nas, to zatrącenie siebie w pogoni za idealizowanym dodatkowo wzorcem zawsze kończy się tragicznie.

W pewnym momencie Martin Eden uświadamia sobie, że od swego dawnego życia, spędzanego w czynszowych lokalach, na kutrach czy podrzędnych lokalach jest już tak daleko jak to tylko możliwe. Gdy uświadamia sobie, że szacunek Ruth może zdobyć publikując swoje historie z dalekich zamorskich krain, publikowane na łamach gazet, zaczyna pisać. Pragnąc zostać pisarzem znowu, nie dla siebie, lecz dla osiągnięcia wyższego celu jakim jest miłość niedostępnej dla nikogo z jego klasy społecznej kobiety. Początkowo bez sukcesów wysyła do magazynów swoje opowiadania i szkice.

Gdy w końcu staje się rozpoznawalny Martin Eden nie pasował już do żadnego ze środowisk, co staje się dla mężczyzny źródłem nowych frustracji. „*Martin Eden*” jest melodramatycznym rodzynkiem w twórczości Jacka Londona, który, w stylu Johna Steinbecka, próbuje stać się romantykiem spod znaku słonca zachodzącego nad rozległą, amerykańską prerią.

Powieść oparta na motywach autobiograficznych jest utworem istic socrealistycznym, przepełnionym naiwnym, dziecięcym romantyzmem, który porównałbym do popularnego w czasach PRL serialu telewizyjnego „*Daleko od szosy*”. Obraz w reżyserii Zbigniewa Chmielewskiego trafił w Polsce na małe ekrany w 1976 roku. Główny bohater serialu – Leszek Górecki (Krzysztof Stróński), podobnie jak Martin Eden Londona, jest uosobieniem bezkompromisowego dążenia do wybicia się z nizin społecznych. W roli wybranki Leszka (Anny Popławskiej) Irena Szewczyk.

Jednocześnie młody marynarz – Martin Eden idealizuje środowisko klasy wyższej, z której pochodzi jego ukochana Ruth. Zatraca się w tym dążeniu uświadamiając sobie jednocześnie nicność życia we własnym środowisku robotników, marynarzy i kobiet, którym łatwo zaimponować fizycznością doprawioną niewybrednym żartem.

Jeśli mówiąc o wojnie w kontekście literatury nie wypada nie wspomnieć o Ernście Hemingwayu, to dotykając tematu dzikości niedostępnych terenów Ameryki Północnej zasadnym jest powiedzieć kilka słów o Jacku Londonie. Czytelnikom nieco młodszych autor „*Martina Edena*” prezentuje opis niezwykłych przygód zwierzęcych bohaterów: Bucka, mieszańca bernardyna i owczarka szkockiego („*Zew krwi*”) oraz tytułowego Białego kła, półwilka oswojonego przez plemię Indian.

Główny „ludzki” bohater „*Zewu krwi*” – John Thornton jest personifikacją wartości i cech jakie hollywoodzka kultura masowa promowała przez dekady. Był to człowiek,

8 J. Steinbeck, R. Capa, „*Dziennik z podróży do Rosji*”, Pruszyński i S-ka, Warszawa 2016, s. 61.

9 F. Lyr, „*William Faulkner*”, Wiedza Powszechna, Warszawa 1966, s. 36.

10 M.E. Coindreau, „*Pamiętnik tłumacza*”, Książka i Wiedza, Warszawa 1979, s. 20.

11 J. London, „*Martin Eden*”, Iskry, Warszawa 1954, s. 30.

12 T.S. Lewis, „*Alegoria miłości*”, Esprit, Kraków 2017, s. 14.

13 J. London, „*Martin Eden*”, s. 72.

który „...niewiele żądał od ludzi lub natury. Nie lękał się dzikości. Z garścią soli i strzelbą potrafił iść w puszcze tak daleko i tak długo, jak serce zapragnie”¹⁴. Pod płaszczykiem animalistycznych odniesień w twórczości Londona, podobnie jak w „*Folwarku zwierzęcym*” Georga Orwella, czytelnik odnajduje mnogość postaw i wartości nasyconych humanizmem. Co do samego Orwella wypada wspomnieć, że autor „*Roku 1984*” to także, jak Ernest Hemingway, uczestnik hiszpańskiej wojny domowej 1936 roku.

Autor „*Zewu krwi*” porusza tam wiele zagadnień charakterystycznych dla postawy Amerykanów u zarania ich, bądź co bądź, młodej jak na standardy europejskie, państwowości. Spotkanie Johna Thortona było dla Bucka miłą odmianą po ciągłym kontakcie z ludźmi, którzy tylko go krzywdzili, przewożąc z miejsca na miejsce. Ostatecznie pies wyczuł tytułowy zew krwi, każący mu iść w ślady swoich wilczych przodków.

Zanim się to stało Buck niezwykle się wycierpiał walcząc o przetrwanie nie tylko w mroźnym klimacie Jukonu, nad rzeką Klondike, lecz także w czasie transportu, gdy eskortujący go ludzie próbowali zmusić psa do uległości. W czasie, gdy przewożono psa do miejsca docelowego, zrozumiał on swą sytuację i nauczył się odczytywać sygnały płynące z pierwszych oznak ludzkiego zachowania.

Po opuszczeniu Seattle Buck ruszył dalej na północ, gdzie przekonał się, że „...ludzie i psy północy nie byli ludźmi i psami miast południowych. Żyli dziko i jedno tylko znali prawo: kłów i pięści”¹⁵. Z łatwością mogę wyobrazić sobie sytuację, w której człowiek, systematycznie, i z uporem dręczony powstaje przeciw swoim prześladowcom, gdy tylko nadarza się ku temu okazja.

Według Ernesta Hemingwaya „Człowiek nie jest stworzony do klęski. Człowieka można zniszczyć, ale nie pokonać”¹⁶. Tłumacz i krytyk literacki – Maurice-Edgar Coindreu (1892-1990) atakuje jednak autora „*Starego człowieka...*”, mówiąc, iż „Hemingway jest pisarzem porażki”¹⁷. Przykładów owej klęski francuski literaturoznawca doszukuje się w efektach działań bohaterów Hemingwaya. Dla Hemingwaya klęska jest zatem stanem ducha, Coindreu natomiast daje wyraz swej niechęci zwracając uwagę na bezwzględne dążenie tytułowego bohatera mini powieści „*Stary człowiek i morze*”.

Mamy tu więc konflikt między dążeniem, które samo w sobie jest wyzwaniem godnym prawdziwie zapalczego w swym życiu człowieka, a faktycznymi rezultatami tego dążenia. Zależy jednakże, jak do tego podejmiemy, i czy podobnie do hemingwayowskich bohaterów traktujemy samo życie jak wielkie wyzwanie naszego istnienia.

Po wygranej z wojskami brytyjskimi wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych, pierwsi Amerykanie, nie pozwalając złamać w sobie pierwotnie zakorzenionego ducha wolności, utworzyli kraj dający każdemu osadnikowi szansę na nowe życie. Późniejsza potęga USA wzniesiona była jednakże na barkach zmuszanych do przymusowej pracy na plantacjach bawełny niewolników. Pierwsi z nich pojawili się w Nowym Świecie już pod koniec XVIII stulecia. Uprzemysłowiona północ przemogła zacofane ekonomicznie południe. Dało to początek idei tak bardzo amerykańskiej, uosabianej przez Statuę Wolności, posąg górujący nad

Nowym Jorkiem, u ujścia rzeki Hutson.

W moim przekonaniu Jack London, jak każdy „prawdziwy człowiek Zachodu” z przełomu wieków, nie wierzył do końca w ideę propagowaną przez ideologię socjalizmu realnego, czemu nie sposób się dziwić. W jego utworach bez trudu znajdziemy odniesienia do współpracy, wzajemnej pomocy i zrozumienia. Nie zmienia to jednak faktu, iż proza autora „*Martina Edena*” nasycona jest do głębi wartościami zgoła innego pochodzenia.

Stanisław Baczyński (1890-1939) – historyk literatury i ojciec sławnego poety, w swoich „*Pismach krytycznych*” poświęca Jackowi Londonowi jedynie wzmiankę, lecz atakuje go raniąc do głębi, niczym indiańskie plemię Yeehatów z „*Zewu krwi*”. Prawdziwy, nie zwracający na emocjonalne zabarwienie treści krytyk – pisał o Londonie Baczyński – „potępi go przy pierwszej sposobności za niewybredną fabułę, monotonię pomysłową, ograniczoną ilość środków ekspresji, słaby język”¹⁸. Nawet jeśli London przedstawia w swoich utworach tak skonstruowane postaci i fabuły, to nie zmienia faktu, że – w gruncie rzeczy – taka wydaje się amerykańska tradycja i kultura.

Z naszego, europejskiego punktu widzenia, jest to naiwne, lecz nie ma nic bardziej błędnego niż brak choćby elementarnej wiary we własne siły i zwycięstwo, poparte solidnym do niego przygotowaniem. Na tej podstawie stworzono postaci literackie i filmowe jak John Rambo („*Pierwsza krew*”, powieść Davida Morella z 1972 roku), Rocky Balboa, i wiele innych charakterów, święcących triumfy w hektolitrach krwi, potu i łez jakimi okupili oni własną pracę w drodze na szczyt.

my szpeczącą ryś. Ale czy na tym zależało twórcom pokroju Hemingwaya, Steinbecka, Faulknera, czy Londona?

„Steinbeck nie jest myślicielem... należy do rodziny świętego Franciszka, przyjaciela zwierząt. To największy komplement, na jaki mogę się w stosunku do niego zdobyć”¹⁹. Słowa te wypowiada wspomniany już Maurice-Edgar Coindreu, którego opinie przesycane są żarliwą wiarą we własne umiejętności krytyczno-literackie.

Coindreu wydaje mi się nie zważać na kontekst społeczno-kulturowy, będący fundamentem ich powstania. Ludzie twardzi w swym charakterze, acz proszą o obojętność, dążący do przetrwania, za wszelką cenę, jedynie sobie zawdzięczając sukces. Oto powieściowi bohaterowie charakterystyczni dla rejonu świata spod znaku Statui Wolności.

Co do prostoty słownictwa jaką francuski krytyk zarzuca Johnowi Steinbeckowi, to równie dobrze można przypisać ją Ernestowi Hemingwayowi. Ponadto wyszukane słownictwo, biorąc pod uwagę realia powieściowe „*Gron gniewu*” czy „*Tortilla Flat*” Steinbecka, byłoby skrajnie nieautentyczne.

Maurice-Edgar Coindrau utyskuje nad ubóstwem dialogów, lecz w moim przekonaniu niesłusznie. To tak, jak gdyby postawić na czele strajku robotniczego człowieka z herbowego rodu. Co się zaś tyczy autora „*Pożegnania z bronią*”, to jego warsztat literacki wynika wprost z dziennikarskich początków kariery Hemingwaya. To na łamach „*Kansas City Star*” czytelnicy mogli zapoznać się z pierwszymi próbami literackimi przyszłego noblisty.

Literacka wizja rezonująca z uczuciami odbiorców skupia się, w moim przekonaniu, nie tyle na opisie samych zdarzeń, ile



Gdy zagłębimy się w meandry krytyki literackiej, która na tapetę bierze wielkie dzieła amerykańskiej prozy, z niemałym zdziwieniem odkryjemy, iż opisane w nich postaci mogą być niczym diament, na którego pozornie nieskalanej powierzchni, pod odpowiednim powiększeniem, odnajdzie-

związanych z nimi emocji, targających bohaterami, którzy owe zdarzenia przeżywają. Doskonale rozumiał to Jack London, którego wizja bohatera literackiego była tym czego oczekiwano od człowieka mającego osiedlić się w rejonie świata dotąd nieznanym, a przez to tak złowrogim i tajemniczym.

MICHAŁ SKRĘTEK

14 J. London, „*Zew krwi*”, Wydawnictwo Eugeniusza Kuthana, Warszawa 1945, s. 136.

15 J. London, „*Zew krwi*”, s. 25.

16 E. Hemingway, „*Stary człowiek i morze*”, PIW, Warszawa 1965, s. 77.

17 M.E. Coindreu, Op. cit., s. 39.

18 S. Baczyński, „*Pisma krytyczne*”, PIW, Warszawa 1963, s. 206.

19 M.E. Coindreu, Op. cit., s. 51-52.

Elżbieta Musiał

I jest kamień, i lot - bo z nimi przestrzeń.
Z nimi czas - bo jest kamień i smuga po nim.
I w przymierzu tym niczego oddzielić się nie da.

Gdy po życiu dziwny sen zostaje -
wciąż nam droga i droga.

(E. Musiał, na śmierć zegarka przejechanego zimą
przez samochód, cz. XVIII)

PRZESTRZEŃ

Co prawda względna, za to niezawodna.
Wie o mnie wszystko przestrzeń przenikliwa
a nieprzenikniona. Bez dowodu na własną obecność
kryje się w sobie, a gdy nicość - TO COŚ wzbiera,
przelewa się i przepełnia pustką. Zagarnia
niebyt nieproszony choć rozproszony.
Raczej ogromny.

I gdzie się w proch nie obrócisz ONA jest.
A z nią nieśmiertelny EON zdolny posłać siebie
z duchowej ojczyzny nawet na Ziemię.
Zagnieżdża się w dźwięku i pomiędzy słowami.
Jak powietrze, a przecież nie. Ucho nie usłyszy,
oko nie zoczy, a przecież jest. TO COŚ
zstąpione nie wiedzieć skąd.
Objawienie bez mała. Przestrzeń
zapatrzona w ponad - a jakoby byt w niebycie,
a jakby poznać mapę WSZYSTKOŚCI.
Geometria absolutna w oddechu istnienia.

Czymże więc jest to pole do zasiania
o siew niedbające? Ziemią obiecaną bez końca?
Brzemennym absurdem? A więc też podróżą
w topiel. Nienakarmieni miłością
i miłością nakarmieni wracamy w toń
jak myśl do pramacierzy.

Tylko jak powołać przestrzeń do życia,
gdy ona przed, za, w i przedwstępnie.
Nawet pustka wniwecz nie obróci.
Wchodzę w nią, a ona nieustająco we mnie.
Niepodstawialna do wzoru samoistość,
bezdeń otwarta na kondygnacje ,
samotnicza, a tyle iluzji.
Granica rozsądku nie sprostą.
Bodajże pomiędzy stwórcą a stworzeniem
pole podatne i z widokiem,
niebosiężnie nakarmione,
więc o siew już nie dba.

A gdy w nią przytomnie wejdiesz,
a gdy swoście wnkniesz,
nakarmi cię, czym zechcesz.
O gnozo, o przestrzeni, wy sobą będące,
nasycone sobą.

1 Elżbieta Musiał, poemat Gry do-słowne, część pierwsza.

GORYCZ OCZEKIWANIA - STOSUNEK NIETOWARZYSKI IGORA FRENDERA W ZWIERCIADLE KRYZYSU WIEKU ŚREDNIEGO

Dramat Igora Frendera *Stosunek nietowarzyski* jawi się jako niepokojące studium rozpadu więzi międzyludzkich, osadzone w klaustrofobicznej przestrzeni mieszkania i jego najbliższego otoczenia. Tytuł sztuki doskonale oddaje jej atmosferę – relacje między bohaterami są napięte, dysfunkcyjne i pozbawione autentycznej bliskości, a interakcje z zewnętrznym światem (uosabianym przez sąsiada) przybierają formę groźby i agresji.

Życie jako metafora

Centralną oś dramatu stanowi małżeństwo Mata i Dany. Ich konflikt wykracza poza typowe małżeńskie niesnaski. Mat, aktor z zawodu, zdaje się traktować życie jako kolejną scenę, uciekając od autentyczności w grę i alkohol. Jego postawa może stanowić próbę zamaskowania wewnętrznej pustki lub lęku przed konfrontacją z rzeczywistością. Dana, spędzająca czas w domu z kotem, staje się oskarżycielką męża, wytykając mu eskapizm, egotyzm i powierzchowność. Jednocześnie jej własna egzystencja wydaje się naznaczona stagnacją i niespełnieniem. Pijąc z nim drinki i poddając się drobnym czułościom ukochanego, Dana unaocznia zarazem potrzebę bliskości, jak i pewne wycofanie, bierność wobec problemów. Dialogi obojga, pełne wzajemnych pretensji, odsłaniają głęboki kryzys komunikacyjny i egzystencjalny.

W tę napiętą dynamikę wkracza trzecia postać – Sąsiad. Jest on katalizatorem zewnętrznego zagrożenia i uosobieniem irracjonalnej, narastającej agresji. Wciąga on Mata i Danę w absurdalną „grę”, która podważa ich poczucie tożsamości, co sugeruje zachwianie równowagi w ich relacjach. Ta „gra” może być metaforą presji społecznych, psychologicznej manipulacji lub pogrążania się w farsie. Warto również rozważyć możliwość symbolicznych interpretacji każdej z postaci jako reprezentacji aspektów ludzkiej psychiki lub sił społecznych. Dramat koncentruje się na ich obecnym konflikcie i nieoczekiwanym wpływie pojawienia się Sąsiada, nie oferując jasnych wskazówek co do przeszłości bohaterów ani ich potencjalnego rozwoju. Posiadanie „wściekłego psa” już na wstępie buduje wizerunek Sąsiada jako osoby niebezpiecznej i nieobliczalnej. Makabryczny motyw ukrywania zwłok w ogrodzie (z domysłem, że mogą należeć do jego żony) wprowadza element mrocznej tajemnicy i thrillera, potęgując atmosferę osaczenia. Co znamienne, Sąsiad stopniowo upodabnia się do swojego zwierzęcia – jego zachowanie staje się coraz bardziej brutalne i niekontrolowane. Kulminacją tej przemiany jest szokujący akt agresji – rozbicie okna Mata i Dany głową poplamionego czerwoną mazią manekina. To symboliczne wtargnięcie, brutalne naru-

szenie ich prywatnej, choć już i tak kruchej, przestrzeni, rozrywa dotąd mniej więcej spójną logicznie konstrukcję dramatu. Głowa manekina może tu symbolizować odczuwanie, pustkę lub fałsz, który wdziera się do życia bohaterów. „Witajcie w świecie bez maski!” – zdaje się wykrzykiwać spoza sceny dramatu jego autor. „Wystarczy, że do waszego domu wrzucę atrapę, pustą głowę, twarz bez życia, a rozsadzi ona wasz iluzoryczny świat”.

Godot wciąż uparcie nie nadchodzi

Paradoksalnie, jedynym niezachwianym elementem w dramacie Igora Frendera jest motyw oczekiwania na gości, przywołujący na myśl *Czekając na Godota* Becketta. W owej iskrzącej się nadziei na przyjazd przyjaciół bohaterowie stają się przez chwilę naturalni: wyglądają przez okno, niecierpliwie spoglądają na zegarek czy telefon, sfrustrowani wpuszczają nawet do mieszkania Sąsiada, który wypija wraz z nimi drinka, a potem niczym Pozo staje się nieobliczalny i bezwzględny.

Oczekiwanie na Godota w dramacie Frendera nadaje sztuce wymiar absurdu i egzystencjalnego zawieszenia. Bohaterowie, zamknięci w swoim świecie pełnym pretensji i podejrzeń, czekają na coś, co ma odmienić ich sytuację – być może na kontakt, na rozwiązanie, na normalność. Jednak zamiast oczekiwanych gości, symbolizujących społeczne więzi i rytuały, na końcu pojawia się policja. Jej przybycie nie jest jednak wybawieniem, a raczej konsekwencją eskalacji przemocy i rozpadu porządku, którego symbolem stał się Sąsiad.

Dramat Igora Frendera charakteryzuje się balansowaniem na granicy rzeczywistości i abstrakcji. W sztuce pojawiają się nielogiczne sytuacje, absurdalne dialogi lub zacieranie granic między tym, co realne, a tym, co surrealistyczne. To mieszanie porządków nawiązuje do wspomnianych wcześniej elementów *Giallo* i groteski, sugerując teatralny świat, w którym zasady logiki mogą być zawieszone.

Stosunek nietowarzyski porusza ważne tematy współczesnej egzystencji, do których zaliczyć możemy jakość życia oraz model, jaki wybieramy albo w który popadamy. Początkowy konflikt między Matem i Daną, dotyczący ich stylów życia, bezpośrednio odnosi się do tej tematyki.

Sztuka Frendera bada niezadowolenie i rozczarowanie, które mogą wynikać z różnych wyborów życiowych i presji współczesnego świata. Kontrast między postrzeganiem „miałkim życiem” a życiem „od soboty do soboty” uwypukla różne podejścia do pracy, wypoczynku i poczucia spełnienia. W tym kontekście upatruję krytykę autora wobec pewnych współczesnych stylów egzystencji oraz wartości.

Szczegółowo opisana w didaskaliach scenografia odgrywa istotną rolę w odbiorze i interpretacji dramatu. Frender wykorzystuje dokładne opisy sceny nie tylko w celach praktycznych, ale także w celu stworzenia określonej atmosfery i zaoferowania symbolicznych wskazówek dotyczących tematów dramatu.

Najnowszy dramat Igora Frendera jawi się nam zatem jako dzieło wielowymiarowe, które poprzez kameralną obsadę i intrygującą sytuację wyjściową eksploruje złożoność relacji międzyludzkich i kondycję współczesnego człowieka. Tytuł, sam w sobie wieloznaczny, wprowadza w problematykę zaburzonych interakcji i potencjalnej alienacji. Postacie Mata, Dany i Sąsiada, choć nieliczne, wydają się być nośnikami szerszych problemów egzystencjalnych i społecznych. Wykorzystanie elementów absurdu i humoru, często o zabarwieniu gorzkim, służy nie tylko angażowaniu czytelnika, ale także prowokowaniu do refleksji nad własnym życiem i wyborami. Niniejsza lektura może przypominać detektywistyczne dochodzenie, w którym czytelnik jest zaproszony do odkrywania głębszych znaczeń i jeszcze ciemniejszych źródeł. Ostatecznie, *Stosunek nietowarzyski* wydaje się być dramatem, który skłania do introspekcji i ponownego przyjrzenia się własnym relacjom ze światem i innymi ludźmi.

IRMINA KOSMALA

Igor Frender, *Stosunek nietowarzyski*, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich O/Wlkp, Poznań 2024.



Fabrizio De André

(1940-1999)

przełożył Maciej Froński

**Miłości, już mam cię
i znów mi cię brak
(Amore che vieni amore che vai)**

Tych dni zmarnowanych, gdy wiatr się ścigało,
Całusów skradzionych zaś było wciąż mało,
Wspomnienie do ciebie powróci i, wiesz,
Miłości, co zmykasz, powrócisz ty też,
Wspomnienie do ciebie powróci i, wiesz,
Miłości, co zmykasz, powrócisz ty też.

A ty, co już inne masz usta i oczy,
Choć szczęścia wnet wizję przede mną roztoczysz,
Nie będziesz bez końca pamiętać swych słów,
Przychodzisz, miłości, lecz umkniesz mi znów,
Nie będziesz bez końca pamiętać swych słów,
Przychodzisz, miłości, lecz umkniesz mi znów.

Po zimnej gnasz plaży czy z wiatrem cię niesie,
Przychodzisz ze słońcem lub znikasz pod jesień,
Czy ciągle cię kocham? Raz nie, a raz tak,
Miłości, już mam cię i znów mi cię brak,
Czy ciągle cię kocham? Raz nie, a raz tak,
Miłości, już mam cię i znów mi cię brak.

**Modlitwa styczniowa
(Preghieria in gennaio)**

Racz, Panie, przyozdobić
Dla niego ścieżkę kwieciami,
Niech duszę odda Tobie,
Jak skórę zdarł po świetle,
I niech zobaczy w końcu,
Gdy już wytchnienia zazna,
Jak w niebie w pełnym słońcu
Rozbłyśka każda gwiazda.

A kroku gdy przyśpieszy
Ostatni widząc mostek,
Do samobójców rzeszy
Niech powie słowa proste:
„Do Raju chodźcie śmiało,
Gdzie mnie też wiedzie droga,
Bo piekło nie ostało
Się w świetle Pana Boga”.

Pozwólcie, by, zmęczony,
Przyjść do was się odważył,
A za nim w ślad miliony
Tych pobielających twarzy.
Pozwólcie, aby wrócił
W na śmierć zaszczytów tłumie,
Prócz nich ktoś niebu rzucić
Wyzwanie takie umie?

Tak, wy, zgorszeni szczerze,
Uwierzcie w taki obraz:
Też tego w Raju bierze
Pan w swe ramiona dobre,
Co ma stargane włosy
I drga mu błada warga –
Gdy kto ma wzgardy dosyć,
To się na życie targa.

O, Miłosierny Boże,
Tyś do Swojego nieba
Przed tymi drzwiami stworzył,
Co ciepła im potrzeba,
Przed tymi, co niczego
Nie mają na sumieniu...
Siedź, piekło, w głowie tego,
Kto żyje w piekła cieniu.

Nie znajdzie się lepszego,
By oddać w Twe ramiona
Przewiny przecież kiedyś
Przed Tobą odkupione.
Głos jego słyszeć możesz,
Już wiatr go niesie wszędzie,
O, Miłosierny Boże,
Zobaczysz, warto będzie,
O, Miłosierny Boże,
Zobaczysz, warto będzie.

Mirosław G. Majewski

EVERYMAN (FRAGMENT)

PROZA

NIE OTWIERAĆ DRZWI W TRAKCIE JAZDY POCIĄGU.

Od kilku dni padało.

Szare, ciężkie chmury powodowały przygnębiający nastrój.

Pochowaliśmy się gdzieś w sobie, po-ukrywaliśmy po kątach naszego istnienia, patrząc na zewnątrz nic niewidzącymi oczyma.

To tak, jakby w ogóle nas nie było, tylko deszcz, deszcz i otwierane chmury.

Jednak trzeba było coś zrobić. Wziąć się w garść, wywołać jakieś czające się pod skórą zdarzenie. Rozładować atmosferę jakimś gestem, słowem, celną ripostą i obalić tę szarą, deszczową nijakość.

Wstałem, zwyczajnie wstałem. Bez celu, bez jakiegokolwiek zamiaru. Bez planu. Pociąg wystukiwał swój odwieczny rytm, a deszcz niczym werbel wtórował mu bijąc w szyby.

- Idę – zameldowałem rabinowi, mamie i podróżnemu, który dosiadł się do nas jakiś czas temu.

- Gdzie? – zapytała mama.

- Nie wiem – rozłożyłem ręce. – Nie mogę już dłużej siedzieć.

Rabin ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Może wypowiem wojnę Niemcom. Nie lubię Niemców. Wychowano mnie na antyniemieckiej propagandzie, te wszystkie Klossy, pancerni i...

- Skoro tak, dlaczego piszesz o Karlu Gutmannie? – zapytał podróżny.

- Że niby co? Ja o niczym nie piszę. Nie znam żadnego Karla Gutmanna. – Nie ukrywałem swojego zdziwienia, sytuacja wymykała się spod kontroli, przechodząc w surrealistyczną fazę.

Rabin ziewnął, zapominając zastąpić usta. Właściwie je zastąpił, ale zbyt późno. Miał dołąć, prawą szóstkę do leczenia.

- Bo widzisz – perorował podróżny – tkwisz mocno w przeszłości. Grzebiesz w niej wyłuskując jakieś smaczki, które tak miło techczą ci podniebienie, ale zapominasz o tych wszystkich kwaśnych i gorzkich smakach, które wykręcały ci twarz i zabierały chęć do życia. A było ich więcej.

- To prawda – powiedziałem sam do siebie. – Nie chcę o nich myśleć, wypieram je.

Podróżny pokiwał głową jak moja psychiatra i powiedział jej głosem – To naturalny mechanizm samoobronny, auto-higiena psychiki.

- Być może tak jest ale teraz muszę wyjść.

Psychiatra pokiwała głową na znak zrozumienia, a może przyzwolenia dla moich intencji, których sam jeszcze nie rozumiałem dając się ponieść instynktowi.

Kiedy wychodziłem z przedziału, przypomniałem sobie o pewnym beżowym prochowcu. Zerknąłem dyskretnie na nieznanego, ale ten dla odmiany był w dobrze skrojonym garniturze. Jego flauszowy płaszcz starannie złożony w kostkę, leżał na górnej półce. Znałem ten płaszcz, i tego podróżnego. Ale tak, jak zwykle, przez mgłę, jakby był z innej powieści.

Padał deszcz, ale pociąg gnał przed siebie bez względu na szalejącą ulewę. Rozejrzałem się po korytarzu. Kilka kroków dalej stała kobieta, nasz wzrok na chwilę się skrzyżował. Miała bardzo ostrą szminkę na ustach, jakby była gwiazdą gotyckich filmów, albo zwyczajną kurwą. Była kwintesencją seksualnej prowokacji, pornograficznego rozpasania.

Odróciłem się i poszedłem w przeciwną stronę. Pociąg kolebał się po nierównych szynach, a ja próbowałem utrzymać równowagę, myśląc czy czasem nie tęsknię za taką wampiryczną kobietą, za uprawianiem seksu na pograniczy życia i śmierci, przy którym film „Ostatnie tango w Paryżu” jest niewinną igraszką.

Pociąg kolebał się w najlepsze a ja obijałem się o sen i jawę.

Dlaczego wciąż czegoś szukam, dlaczego zbieram ekstremalne emocje jak filatelisci znaczki do klasera. Znów wróciła myśl o „Ostatnim tangu w Paryżu”, a ja poczułem jak szaleńczo krążąca krew powoduje wzróg mojego członka.

A teraz dokąd zmierzam, kogo mam nadzieję spotkać?

Dlaczego zapominam skąd wychodzę, a później nie wiem jak tam trafić. Sen to czy jawa? Może jedno i drugie. Dlaczegoż by nie?

Cały wszechświat jest w ruchu, ten pociąg jest w ruchu, więc ten cały ruch jest wpisany we mnie. Nie ma żadnego status quo.

Wagon restauracyjny. Spójrzcie, już dotarłem, będąc zmuszony do pokonania kila kolebiących się wagonów. Nawet nie wiedziałem jak i kiedy tu dotarłem. A może tu byłem od zawsze i na zawsze, a cała reszta była snem.

Dalej padało. Nie chciałem aby padało, ale na nic się zdało moje chcenie. Nieznajomy podróżny z naszego przedziału zasugerował, że jestem pisarzem. Pisarzem? Co to znaczy być pisarzem? Nie wiedziałem, ale czułem, że mógłbym jako pisarz zmienić ten deszczowy, ponury wieczór na słoneczny, ale instynktownie czułem, że nie mogę przekraczać kompetencji, skoro pada, niech pada, może jest w tym większy sens niż w romantycznym zachodzie słońca. Tak, to przekraczało moje pisarskie możliwości. Trudno w to uwierzyć? Ale tak jest!

Padano...

Usiadłem. A niech tam sobie pada, skoro nie mam na to wpływu, zapewne jestem kiepskim pisarzem, o ile w ogóle nim jestem. Nie będę się wściekać z tego powodu. Tym bardziej, że wiem, że coś się wydarzy. Coś irracjonalnego.

- Pan sobie żyć?

Wróciłem do rzeczywistości.

- Piwo.

- Tylko piwo?

- Tylko.

- Proponuję fistaszki, przyjemnie dopełniają gorzkie chmielu – kusił.

- No dobrze. Poproszę – skusił.

A to kto? Szczęśliwa rodzinka. Mamuśka jeszcze niczego sobie, a ten facet? Chyba jej mąż. Dystyngowany, ale kuternoga z tą swoją laseczką z rączką z perłowej masy. Dlaczego wytapywałem takie szczegóły, a nie zauważyłem kelnera, który postawił mi piwo pod nosem i mały półmisek z orzeszkami.

- Gdzie?

To jednak kuternoga. Rozsadzał przy stoliku swoje dzieci. Dziesięcioletnia dziewczynka i dwóch młodszych chłopców, jeden mógł mieć siedem lat, drugi nie miał więcej niż trzy.

A było tak cicho, spokojnie, ocierałem się wręcz o nieistnienie.

Nirvana...

- Marto usiądź obok Gromka, albo ja usiądę. To żywa ręk – po czym do syna. – Zaraz oberwiesz...

- Konstanty proszę – Marta posadziła syna na kolana. – Przestań się wiercić!

Konstanty? Marta? Skąd znam te imiona?

Nie!

A jednak...

Marta Sznajderman i Konstanty Jakimczuk są udanym małżeństwem. Trójka dzieci. Jak ten czas szybko leci...

Boże, jakie ty masz poczucie humoru, Żydówka i ten antysemita z kresów.

I ten mój odwieczny problem z tożsamością. Kim jestem? Może Karłem Gutmannem? Jasne! Jak mogłem o tym zapomnieć?

- Przepraszam. Czy my się przypadkiem nie znamy? – Kostek zaczyna przechodzącego pracownika.

- Być może. To pociąg. Tu przewija się mnóstwo ludzi – uśmiecha się pokazując dwa rzędy zadbanych zębów. – Ja tu jestem stałym punktem odniesienia.

- Staszeeee – Kostek przedłuża „e”, poprawiając nerwowo okulary. – Stanisław! Teraz i ja poznaję Staszka!

Pewnie śnię, oniryzm jest wpisana w moje życie.

Marta zapomina o Gromku i przykleja swój wzrok do kelnera.

(Zaraz ktoś strzeli palcami i obudzę się w innym świecie.)

- Tak – przyznaje nieco skonfundowany Staszek.

- Nie poznajesz? – Konstanty zerwał się na równe nogi.

Stanisław zaprzeczył ruchem głowy.

Marta, moja miłość. Niestety oddana w ręce najgorszego wroga. Zrobiło mi się słodko – gorzko. I jeszcze na dokładkę Staszek.

- To ja, Kostek. Konstanty Jakimczuk!

- Kostek – z niedowierzaniem powtórzył Staszek smakując smak liter.

Cóż za spotkanie, prawda?

Nie ograniczyli się do męskiego uścisku prawic. Ścisnęli się jak przyjaciele, jak bracia, po wschodniemu, po słowiańsku. Zapomnieli o dawnych urazach, animozjach. Zmienili się, nomen omen, nie do poznania.

- To moja żona, pamiętasz Martę?
- Marta. Jasne. Jesteś jeszcze piękniejsza niż dawniej – skomplementował muskając ustami podaną dłoń. Dłoń dawnej koleżanki. Co tu ukrywać, podkochiwał się w niej jak wielu chłopaków.

- To moja najstarsza, Sara, tak jak moja babcia, ten pan to Zbyszek, a ten najmniejszy, i największy urwis, to nasz Gromosław, Gromek...- spojrzała na Kostka. - Upart się na słowiańskie imię – powiedziała z nutką wyrzutu.

- Miło was widzieć. Naprawdę! Ile to już lat?

- Lepiej nie liczyć... Może przysiądziesz się do nas? – zaproponowała Marta.

- No, nie za bardzo mogę teraz – zerknął na zegarek. - Za godzinę kończę dyżur.

- Rozumiem... A co tam u Karola? Macie jakiś kontakt? – Marta zignorowała surowy wzrok Kostka.

- Nie, nie mamy, ostatni raz widziałem go kilka miesięcy po naszym ślubie. Więc już kawał czasu. Nie mam pojęcia co u niego.

Marta spojrzała na Kostka.

- To nie mogło być po naszym ślubie – Kostek wyprodukował uśmiech Brusa Willis'a

- No tak. Przepraszam – Staszek zrozumiał swoją gafę. Marta była rozwódką, Kostek był jej drugim mężem. Stąd ten „nasz Gromek”. Ojcem pierwszej dwójki był Nowakowski.

- Może wyjechał do rajchu jak Gerard? – zasugerował starając się wyplątać z tej niezręcznej sytuacji.

- Podobno nie. Kiedyś spotkałam Trudę, powiedziała, że wyjechał na Śląsk, pracuje gdzieś w jakiejś hucie czy kopalni. Ale też nic o nim nie wiem. Zerwał wszystkie kontakty i zaciera po sobie ślady. Tak sądzę. – Marta opuściła wzrok. Mój Karl... Mój Karl.

- Nieźle mnie urządził. Do dziś kuleje – Kostek uśmiechał się nadal Brusem Willisem.

- A co u was, nadal mieszkacie w Jeziornie?

- Nie, nie. Teraz mieszkamy w Krakowie, bawimy się w małą gastronomię – uśmiechnęła się Marta.

- Gratuluję. Kraków, no, no...

- Da się żyć wśród centusiów, nie jest tragicznie. Tym bardziej, że Marta ma głowę do interesów. Ja tylko sprzątam – wrócił Kostek, ale nikt nie wiedział czy chwali się, czy raczej żali.

*

No dobra, koniec tych grzeczności, trzeba po prostu wykoleić pociąg, albo coś w tym rodzaju. Nie może być przecież tak jak jest. Sami zobaczcie jak jest. Kostek z Martą, a Karl sam.

Co proponujesz Karl?

Może wypowiedzieć wojnę Niemcom. Chociaż to absurdałne skoro sam jestem Niemcem. Co prawda z polskim paszportem ale biologicznym Niemcem. Ale czy Niemcowi wolno tak bardzo kochać Żydówkę, która dwa razy zrobiła mu „kuku”? Drugim razem wychodząc za antysemitę! Dlaczego nie chcesz mieć innej kobiety, dlaczego w tych wszystkich z którymi bardziej lub mniej romansowałeś widziałeś Martę? Widziałeś, lub chciałeś widzieć. Wmawiałeś sobie, że ją widzisz. Coś z tobą nie tak bracie. Zobacz, ty Niemiec kochasz Żydówkę, jak to możliwe? Ona wychodzi najpierw za Polaka, a potem za tego antysemitę Kostka. Nie widzisz jak to wszystko jest popierdolone? W twoim przypadku nie ma prostych rozwiązań, nie ma życia w błogostanie, nirwanie, czy czymś takim. Zawsze są jakieś napięcia, emocje podnoszące poziom adrenaliny. Czego byś chciał? Być jej trzecim mężem, adoptować

jej dzieci, dać im swoje niemieckie nazwisko, a one mimo wszystko będą cię kochać jak ojca? Stuknij się lepiej w łeb i to porządnie luteriański buraku. Nie jesteś kurwa Bogiem aby kochać dzieci swoich wrogów i Marię Magdalenę z siedmioma demonami.

A skoro już o demonach mowa, może wywal Kostka z tego pędzącego pociągu, to już gdzieś było, gdzieś o tym czytałeś, w jakiejś książce, gdzie bohater wyrzuca nieznanego gościa, o tak sobie, dla samego aktu niczym nieuzasadnionej zbrodni. Ty masz powody aby Kostka usunąć z pociągu, przecież mogłeś go zabić, kiedy przeleciał przez barierki pomostu i złamał sobie nogę. A mimo wszystko wylizał się, szczęście mu sprzyjało, i teraz on jest mężem Marty a nie ty. Ale ty nie jesteś do tego zdolny, gdyby przełożony wydał taki rozkaz to co innego. Potrzebujesz kogoś nad sobą, który przejmie odpowiedzialność nad twoimi grzechami. Bądź sam sobie panem. Poczekaj tylko na okazję, okazja czyni nie tylko złodzieja, może czynić zabójcę. Poczekaj na okazję, poczekaj na okazję. Jeżeli się jej nie doczekasz wysiądziesz na swojej stacji i zaczniesz na nowo użalać się nad sobą. Tylko nie zmarnuj okazji, kiedy się nadarzy, wykorzystaj ją, bądź bezwzględny, okazje raczej się nie powtarzają. Zrobisz to choćby z powodu, że nie masz pojęcia co to jest miłość. Myślisz że niespełniona miłość jest paliwem do zemsty. To prawda, tłumieś to uczucie przez wiele długich lat, ale zawór

bezpieczeństwa ma ograniczone możliwości. Czekaj tylko na okazję aby wystrzelić gejzerem w przestrzeń, aby rozprężyć to, co sprężone w tobie. Nie wiesz co to miłość, gdybyś wiedział, walczyłbyś o nią, nie odstąpiłbyś bez walki temu synowi ubeka, który zabił twojego ojca, nie mówiąc o tym antysemitcie z kresów.

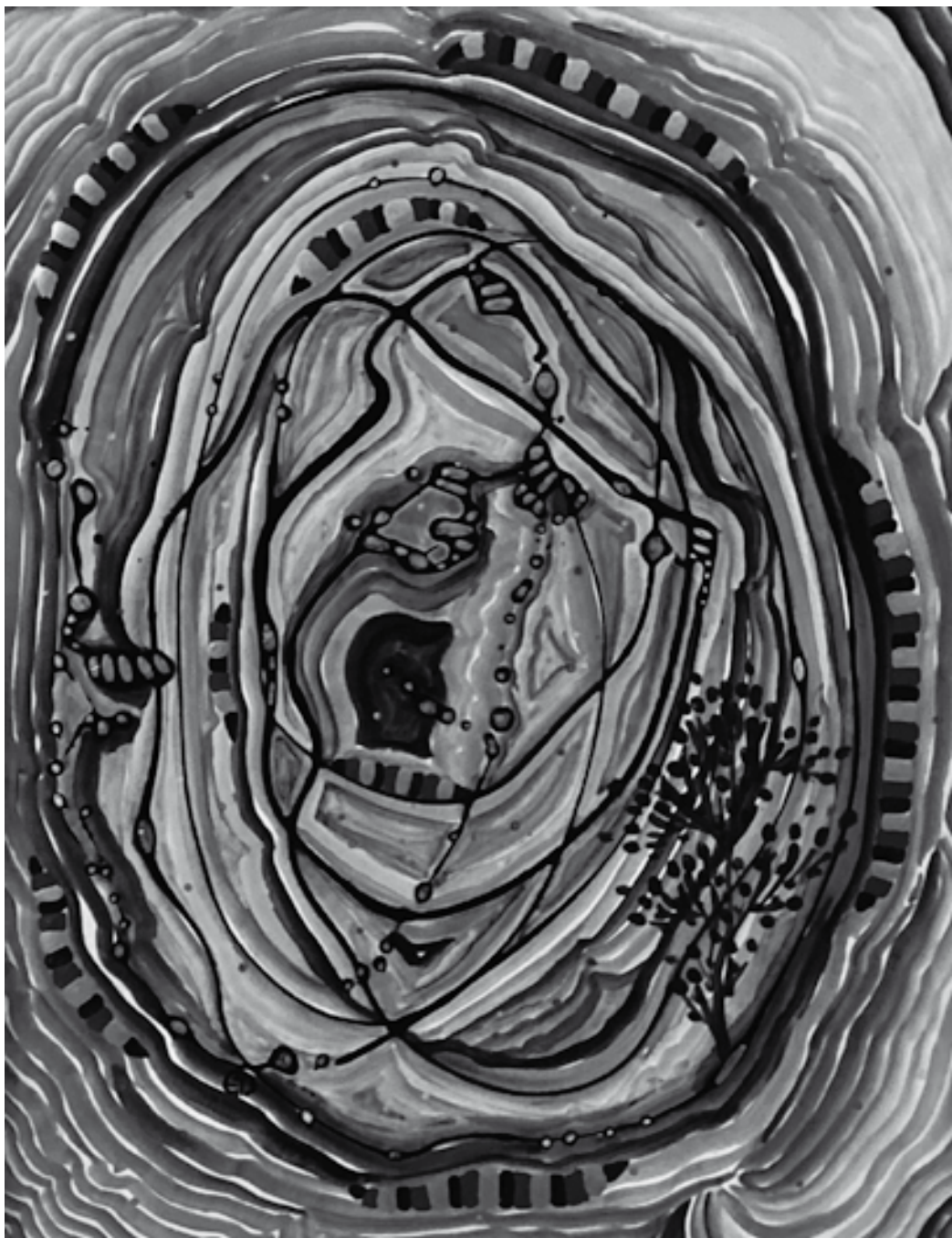
Nie chcesz tej wiedzy, ta wiedza cię zabija, nie chcesz Marty, nie chcesz jej dzieci. O Boże! Oh mein gufer Gott! Marta nie jest i nigdy nie była dla ciebie chłopczką. To nie jest partia dla zawzzonego Niemca, syna członka NSDAP. Jak to powiedział swego czasu Kostek – jesteś głównym Karl, krowim plackiem!

Zdajesz sobie sprawę, że jesteś tu inco-gnito, nawet Staszek cię nie poznał...

Patrz, Kostek wstał, idzie to toalety. Podążaj za nim, może zdarzy się okazja. Spokojnie, spokojnie, jesteś liczbą w tłumie, nic nie znaczącym pasażerem w pędzącym pociągu życia. Dobrze jest, zamyka się w toalecie, pociąg kolebie się na nierównych torach, czujesz zastrzyk adrenaliny, zerkasz czy nikt się nie zbliży. Co on tam, tak długo robi? Ma zaparcie czy co? Serce bije ci niczym Dzwon Zygmunta na Wawelu. Drzwi się wreszcie otwierają.

To co nastąpiło potem trwało dwie, może trzy sekundy. Chwyciłeś niczego się nie spodziewającego Kostka jednocześnie otwierając drzwi pędzącego pociągu....

MIROSLAW G. MAJEWSKI



I. Koszula Dejaniry

Dejanira nie dała koszuli Herkulesowi
dotknięta przez centaury
to ona jak włosienicę
chciała zerwać z siebie własną skórę
ta skóra paliła nie dając oddychać
tak jak dym dusi i dławi
tak ona miała wrażenie
że płuca nie pracują jej rytmem
lecz brutalnie wtłaczają powietrze
rytmem centaury
dusząc ją i rozrywając piersi od środka
i dusiła się
w tej mokrej od obrzydliwych spojrzeń skórze
a kiedy jej serce biło w rytmie serca centaury
topiła się we własnej krwi
dławiąc się i wymiotując nią
i jak spadający próbuje się chwycić
śliskich ostrych zboczy skał
tak ona próbowała złapać swoją skórę
by zedrzeć ją z siebie
jak rybak Gilliatt pragnący
wyrwać się ośmiornicy co go piła żywcem
czując się w jego ciele
bardziej jak w domu niż on sam

II. Gudrun

ponoć wśród pewnych dalekich plemion
szaman wezwany do osoby z bólem
najpierw uczył ją właściwie
opowiadać gdzie jest jej ból
i jak wygląda
przedstawiać go sobie
jako wędrującego po ciele ducha
lub małe stworzonko
i ze zdolnością nazwania go
ból stawał się mniejszy

ty przez kolejne dni i noce
trwałaś jak kamień przy ciele małżonka
bez słów i bez łez
nie potrafiłaś się oderwać
żeby to co cię boli ubrać w gorset słów
i żeby myśli nie wyły tylko w tobie
jak ranne zwierzęta
lub wiatr
i żebyś mogła wrócić do świata ludzi
zanim siostra znalazła sposób by wyrwać z ciebie
niemość jak nóż z rany
i nietamowane słowa mogły popłynąć jak krew

Zjaw

nie wiedziałam że może istnieć taka cisza w naturze
drzewa zapadają się głębiej w ziemię pod ciężarem śniegu
bez chrzęstu
oczy nieba ani szare ani błękitne
zza falujących oszronionych rzęs
nie powiedzą mi jak wysoko wspierałam się
ale czy to ma znaczenie
jeśli zaraz zasypie mnie
w leśnej Atlantydzie snów
śnieżnych Pompejach

nagle jakby księżyc buchnął zza chmur
rzucając iskry na wodę
zdejmując czar niewidzialności z gór
czuję dudnienie ziemi
i biały tuman
opada tańcząc z gałęzi
a odskakując ciężkimi płatami
ze sprężynującego gęstego futra
i jeszcze zdążę zobaczyć
dumną sylwetkę i poroże znikające wśród sosen
zanim do głowy wrócą słowa

ren

czy to on był zjawą
czy zjawą ja jestem
niezdolną dostrzec
jak dookoła tętni życie
moimi wątlami zmysłami



Ryszard K. Hetnarowicz

Nie wszystko zostanie napisane.
Są sprawy, które należy przemilczeć,
jeśli się komuś obiecało...

Od dłuższego czasu w tej pomorskiej wsi grasował podpalacz. Tym razem przesadził, bo ogień strawił nie tylko – jak to wcześniej było – stogi stojące na polach, ale zabudowania gospodarskie i niewiele brakowało, by pożar objął także budynek mieszkalny. Nie tylko w tej wsi, ale i w okolicznych gadano o zaskakującej obecności przy pożarze jednego ze strażackich ochotników. Przy każdym był pierwszy. Nawet wtedy, gdy nie mieszkał w tej miejscowości. Policja prowadziła śledztwo, ale w tym czasie, kiedy traфіłem do tych wiosek, dowodów jednoznacznie wskazujących na dwuznaczną rolę tego mężczyzny nie było.

W latach, gdy telefonia komórkowa nie była tak powszechna, a media społecznościowe przy raczkującym internecie stanowiły jeszcze czarną magię, korzystało się z innych źródeł informacji. Czerpanie z nich było niemożliwe bez bezpośredniego kontaktu. Najczęściej bywało tak, że dziennikarz pakował się do samochodu i ruszał w teren. Bez wcześniejszego telefonicznego umawiania się czy ustalania miejsca spotkań. Telefoniczne „ustawki” należały do rzadkości i dotyczyły raczej spraw istotniejszych niż sprawdzanie pogłosek. W ich wypadku liczył się temat i możliwość jego przelania na papier. Mówiło się sobie „coś w tym może być” i pojawiano się niezapowiedzianym w wybranym miejscu. Nie inaczej było i w tej sytuacji.

Klepową przyjrzała mi się z niedowierzaniem czy dobrze usłyszała, gdy poprosiłem o podanie wody mineralnej i butki.

– Tak wcześniej, to może lepiej piwko, co? Bo u nas to wodę raczej rzadko piją – zagadnęła i porozumiewawczo uśmiechnęła się do mnie.

– Nie, dziękuję. Przyjechałem samochodem – wyjaśniłem swoją odmowę i wskazałem na stojące przed sklepem auto.

– Eeee... Tu policji nie ma – zapewniła kobieta. – No, chyba, że pan gdzieś w dalszą drogę, to wtedy już różnie może być. Policja do nas wpada tylko, jak ktoś coś zmaluje albo się powiesi. Albo jak pożar, to zaraz po strażakach przyjeżdżają i ludziom nie dają spokoju. Łażą, wypytują, spisują, a i tak gówno z tego jest.

Pokiwałem głową, a moja mina na pewno wyrażała zrozumienie. Ułamałem kawałek butki i tyknąłem wodę. Czekając na dalsze próby sklepowej zmierzającej do zaspokojenia jej ciekawości, ale ta najwyraźniej nie skończyła jeszcze lustrowania mojej postaci. Stałem do niej bokiem, spoglądałem to na podjazd, to na ławeczkę przystankową po drugiej stronie ulicy, na której siedziała starsza kobieta i kończyłem swoją butkę. Za oknem było pochmurno i najwyraźniej znowu zbierało się na deszcz. W szybie odbijała się postać stojącej za ladą sprzedawczyni.

– Do kogoś pan przyjechał czy tylko przejazdem? – przerwała ciszę sklepową.

– Do nikogo konkretnego. Lubię włóczyć się po nieznanym mi miejscach. Zawsze coś ciekawego można znaleźć, coś zobaczyć, czegoś się dowiedzieć... Taki włóczykij ze mnie – odpowiedziałem i uśmiechnąłem się do mojej rozmówczynie.

– E tam, u nas nie ma nic ciekawego. Kilka chatup, popegeerowskie zabudowania i bloki... Więcej ugorów popegeerowskich niż ziemi uprawianej... Nikt o to nie dba, to i nic dziwnego, że jakieś mendy się tam plączą. Co rusz to jakiś pożar, bo to taki uważa? Pstryknie kiepa w trawę albo siano i masz. Niestety gotowe jak nic – sklepową nie mogła powstrzymać potrzeby powiedzenia o największej „atrakcji” tego miejsca.

– Pożary to zdarzają się wszędzie – rzuciłem od niechcenia licząc na rozwinięcie tematu przez rozmówczynię. I nie zawiodłem się.

– Wszędzie? No może i tak, ale nie tak często i nie takie same – szybko zareagowała sklepową. Potem już popłynęła wylizanka. Gdzie, u kogo, kiedy... Padły nazwiska, okoliczności, podejrzenia, opinie ludzi... O nic więcej mi nie chodziło. Od dawna wiedziałem, że wiejski sklep jest najlepszym źródłem informacji. Nie przymierzając, niczym fryzjer w małym mieście. Moja ciekawość był zaspokajana w nadmiarze, bo nawet nazwiskiem i miejscem zamieszkania głównego podejrzanego. W jednej osobie podpalacza, strażaka ochotnika i... niewydarzonego ojca, któremu pięć miesięcy temu urodziło się dziecko i on nawet wyspać się nie może, bo niemowlę go wciąż budzi płaczem. Stałem teraz przed innym problemem, bo tę rozmowę, a w tej chwili raczej monolog, wypadałoby jakoś zakończyć. Butka zjedzona, butelka pusta, informacja pełna ponad oczekiwanie... Kiwnąłem głową, podniosłem wyżej plastikową butelkę, rozglądając się za koszem na śmieci. Kątem oka dostrzegłem na szybie pierwsze krople deszczu i parasol, który rozłożyła nad sobą siedząca na ławeczce starsza pani.

– Jakies zadasztenie mogliby wam zrobić na tym przystanku pekaesu – powiedziałem zmieniając temat. – Ta kobieta już dłuższy czas czeka na autobus, a teraz zaczęło padać...

– Na autobus? Autobus do nas przyjeżdża tylko przed siódmą i po piątej po południu – przerwała mi sklepową. – To stara Jadzia. Ona czeka na listonosza. Codziennie tak wychodzi z domu i czeka. Na list od wnuka czeka, ale już dawno nic od niego nie dostała. Listonosz przejeżdża, czasami zagada, ona przyjdzie tutaj, kupi maślanek, dwie butki i poczapie do siebie. Ot, tyle jej życia...

Sprzedawczyni westchnęła i najwyraźniej skończyła ze mną rozmowę. Pożegnalem ją i wyszedłem przed sklep. Deszcz okazał się przelotny, a zza chmur wyrzuciło słońce. Zapaliłem papierosa i beznamiętnie patrzyłem, jak zza furki wychodzi listonosz, przekłada coś w torbie i zaczyna prowadzić rower w stronę sklepu. Staruszka na ławce ożywiła się. Przysłoniła ręką oczy przed słońcem i spoglądała w jego stronę.

– Dzisiaj też nic nie mam dla pani, pani Jadziu. Może jutro? – powiedział listonosz przechodząc koło staruszki i poprowadził rower do następnej posesji. Kobieta odprowadziła go wzrokiem. Wstała i lekko przygarbiona powolutku ruszyła w moją stronę. Było coś takiego w jej w oczach, że zrobiło mi się jej serdecznie żal. Smutek... Beznadziejność... Zwątpienie... Przeszła obok i weszła do sklepu. Dopaliłem papierosa,

wsiadłem do auta, sprawdziłem w telefonie czy nikt mnie nie szukał i ruszyłem dalej. Do sołtysa. Nie musiałem pytać, gdzie mieszka, bo po drodze minąłem domek z czerwoną tabliczką.

Sołtys okazał się kobietą. Przywitałem się, przedstawiłem już jako dziennikarz i krótko streściłem cel mojej wizyty. Nie spodziewałem się usłyszeć nic więcej niż to, co oficjalnie wiadomo, ale zagadać trzeba było. Pani sołtys rzeczywiście nie zawiodła moich przypuszczeń. Dość gładko opowiedziała oficjalną wersję, a ludzkie gadki, jej zdaniem, trzeba traktować jak typowe wiejskie bajdurzenia. Jej słowa docierały do mnie jakby z oddali. Złapałem się na tym, że odruchowo kiwam głową, ale wciąż mam przed sobą smutne oczy pani Jadzi. To one nie pozwalają mi do końca skupić się na słowach sołtyski.

– ...i to tyle co wiem, a resztę to już musi ustalić policja – dobiegły do mnie ostatnie słowa kobiety.

– Przepraszam, że zapytam z innej beczki – powiedziałem nieoczekiwanie nawet dla siebie. – Chodzi o tę panią Jadzię, która każdego dnia wyczekuje listonosza.

– A co? O niej też pan chce pisać?

– Nie, nie. Pytam tak zwyczajnie... Po ludzku... Wciąż widzę te jej lekko załzawione smutne oczy...

Sołtyska spojrzała na mnie podejrzliwie, ale chyba dostrzegła, że rzeczywiście widok tej kobiety i jej codzienne oczekiwanie na listonosza zrobiły na mnie wrażenie.

– I nie dziwota, że smutne. Jeśli naprawdę interesują pana ludzkie historie, a nie same afery i sensacje, to niech pan wejdzie do domu. Nie będziemy rozmawiali przy furtce. To dłuższa historia – zaprosiła sołtyska i ruszyła w stronę ganku, a ja za nią.

Usiedliśmy w kuchni, na stole pojawiła się herbata i kawałek domowego ciasta drożdżowego. Własnej roboty, podkreśliła gospodyni. Sołtyska usiadła naprzeciwko mnie.

– To co pan chce wiedzieć? – spytała.

– Wie pani... Ten smutek w oczach... Codzienne czekanie na wieści od wnuka, jak powiedziała mi sklepową... No, a teraz to pani stwierdzenie, że ma powód do smutku...

– A ma, ma. Ja na jej miejscu chyba bym już umarła ze zgrozy, a ona wciąż czeka. Ale z tego wszystkiego to już o niczym innym z nią nie można porozmawiać. Tylko o wnuku i jego milczeniu. A na świecie to chyba tylko on jej pozostał. Jurciu jej kochany...

– A jej dzieci?

– Córka. Hania jej było. Chodziła z nią do szkoły. Zginęła z mężem i młodszą siostrą Jurcia w wypadku samochodowym. Jechali z tą Kasią do lekarza. Mała miała chyba astmę czy jakieś takie inne duszności. Ciemno było, a na drodze stała przyczepa i uderzyli w nią. Komendant milicji, bo to jeszcze milicja wtedy była, mówił, że ona razem z Kasią siedziała z tyłu, ale wyleciały obie przez przednią szybę i śmierć na miejscu. Mówił też, że on chyba w ostatniej chwili zauważył tę przyczepę i chciał ją ominąć, ale się nie udało. Zabrali go do szpitala z pękniętą czaszką i czymś tam jeszcze połamany. Chyba kręgosłupem... Ratowali, operowali, ale nic z tego. Jadzi został Jurciu i opieka

nad nim. Miał wtedy dziewięć lat. Sama z nim została, bo rok wcześniej pochowała męża. Na raka zmarł.

– A rodzice męża tej Hani nie interesowali się wnukiem?

– Zbyszka? On z domu dziecka był, ale dobry chłop. Sam do wszystkiego doszedł. W pegeerze był nawet młodszym księgowym, a po robocie w szopie u pani Jadzi samochody ludziom naprawiał. Miał dryg do tego, bo nawet z miasta do niego przyjeżdżali. Tak sobie dorabiał. Z tego zarobku z Hanią kupili wartburga, wyremontował go, odpicował... I pojechali nim po śmierć.

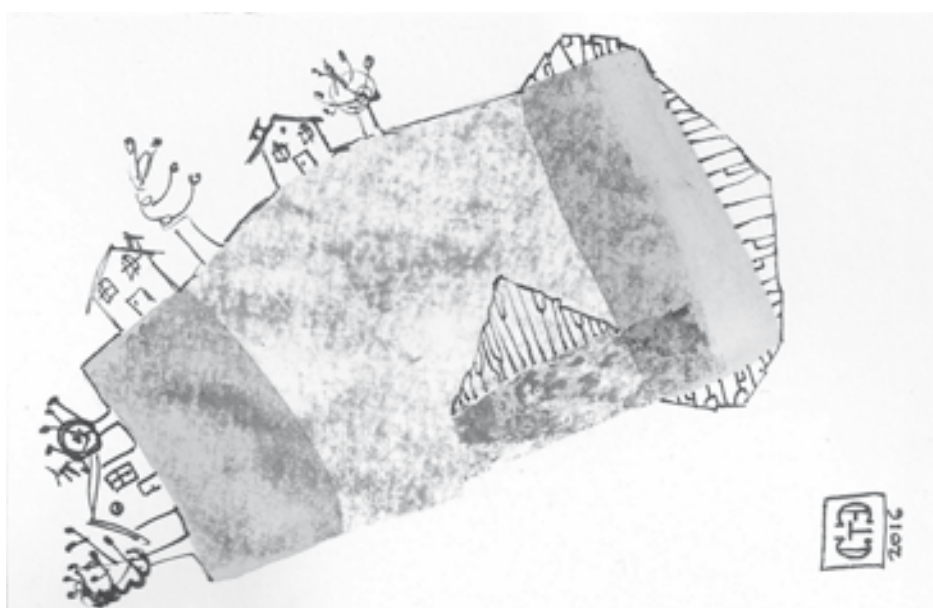
Sottysowa zamilkła. Popijała herbatę i spoglądała w okno. Niezręcznie byłoby przerywać tę ciszę, chwilę błędzenia myślami wokół dawnych zdarzeń.

– A wie pan, Jurcio to nawet podobny jest do ojca – odezwiała się po chwili. – W pamięci od dziecka liczył jak rachmistrz jaki. No i od małego lubił samochody, ale pani Jadzia niechętnie patrzyła na te jego zabawy, zainteresowania. A on był uparty. Uczył się dobrze. Był zawsze zadbany. Miał trochę renty po ojcu, to pani Jadzia wszystko mu na książeczkę odkładała, a ze swojej emerytury utrzymywała. Jak jej powiedział, że idzie do technikum samochodowego, to jakoś nie mogła się z tym pogodzić. Nawet ludzi namawiała, żeby mu odradzili. Stało się jednak tak, jak on chciał. Jurek dostał internat i do babki przyjeżdżał w każdą sobotę, a w niedzielę z powrotem do szkoły. Na osiemnastkę, jak już wrócił z dowodem osobistym, to dała mu tę książeczkę PKO. We wsi milioner na niego zaczęli mówić, bo przecież chłopak wypłacił kolegom – a gadatliwy był – ile mu babcia nazbierała. Przez te dziesięć lat, to nawet ładna sumka się zrobiła. No i po maturze zdał na studia do Gdańska. Politechnikę wybrał. Z naszej wsi był pierwszy, który ruszył w taki świat za nauką. Trzeba było wtedy widzieć panią Jadzię. Chodziła dumna, jak paw. Ale nie to, że zadzierła nosa. O, nie! Ona zawsze była skromna, spokojna, cicha, taka w sobie zamyślona, zatroskana, a teraz chciała dzielić się z innymi tą radością. Ona to tak szczerze dumna była z Jurka. Nareszcie przyjemnie było z nią porozmawiać. Jakoś tak na rok czy dwa przed tymi zmianami, jeszcze jak był na studiach Jurek kupił samochód. Jak nim pierwszy raz przyjechał, tak jakoś przed wakacjami, to pani Jadzia wpadła w popłoch. Krzyczała, że on chce się zabić. Miała taki lęk przed samochodami, że nawet nie dała się tym Jurkowemu autem przewieźć. Nie wsiadła i już. Chłopak to auto wyszykował przez wakacje tak, że chciało się na nie patrzeć. Ludzie aż chodzili oglądać. A i gadania nie brakowało, że to szycowanie auta coś przypomina... Nawet nie wiem, jakie ono było, ale nie nasze. Nie polskie. Chyba zachodnie. W końcu się okazało, że dobrze zrobił kupując samochód, bo po tej inflacji i zmianie ustroju, to z tego co na książeczkę to nie wiem, czy by na rower starczyło.

Teraz ja się zamyśliłem, bo kobieta przypomniała mi nie tak przecież dawne zmiany i straty, które były moim udziałem. Tylko dlatego, że ciułałem swoje zakusorniki, odkładałem czort wie na co. Na dodatek nie posłuchałem dobrej rady, żeby za wszystko kupić u cinkciarza dolary. Ech, było minęto...

– Nudzę pana? – spytała sottysowa.

– Nie. Absolutnie nie. Przez chwilę pomyślałem o tych czasach, o których pani wspominała. Takie tam dyrdymały, które wtedy się zdarzyły – odpowiedziałem



i uśmiechnąłem się zachęcając ją do dalszej opowieści.

– Dolać panu herbaty, bo mnie trochę w gardle zaschło od tego gadania – spytała gospodyni i podeszła do kuchenki.

Podziękowałem i czekałem na dalszy ciąg historii pani Jadzi. Sottyska wróciła na miejsce za stołem, suto ośłodziła herbatę, zamieszała i westchnęła.

– No i Jurcio zaczął przyjeżdżać coraz rzadziej. Za to przynajmniej raz w tygodniu przychodził do pani Jadzi list. Była wtedy taka szczęśliwa i opowiadała swojej jedynej we wsi przyjaciółce, Marczykowej, co to już nie żyje, co z Jurciem. O czym jej pisze. A że Marczykowa była pleciuga, to pół wsi wiedziało, co z nim. Ma dużo nauki, bo teraz dyplom i magisterka. Poznał dziewczynę, jest bardzo ładna i jest z nią szczęśliwy. A to, że się zaręczył i niedługo przyjadą razem do niej, bo przecież musi ją poznać. To ona czekała. Przed każdą sobotą robiła w domu porządki. Ludzie się śmiali, że brakuje tylko, żeby ściany w chałupie odmalowała. Ale wreszcie przyjechali. Nie powiem, ta dziewczyna ładna i jakoś tak do Jurka pasująca. Pani Jadzi też chyba do serca się wkradła, bo teraz już mówiła nie tylko o Jurku, ale i o niej. Zawsze o Jurku i jego Agatce, bo chyba tak jej jest. Rychły ślub zapowiadała. No i tak się stało. W październiku tak jakoś było. Jurek przyjechał po nią samochodem, ale ona za żadne skarby do niego nie wsiadła. Następnego dnia wyszykowała się i pojechała autobusem, a potem pociągami do jakiejś miejscowości za Wejherowem, ale już nie pamiętam jakiej. Na wesele jechała, a prezentu żadnego chyba nie kupiła. Jak o to spytaliśmy, to powiedziała, że ma dla Jurcia i Agatki niespodziankę, ale do dzisiaj nie wiadomo, co to było. Pojechała z tą swoją brezentową walizką na kółkach, którą Jurciu jej kupił. Wszędzie z nią jeździła. Nawet do miasta po zakupy. Wróciła chyba po czterech dniach jakaś taka, jak nie z wesela, a z pogrzebu. Znowu przycichła, posmutniała... Marczykowa już nie żyła, to i nie było od kogo się dowiedzieć, co się tam stało. Na pytania innych, bo ludzie ją lubili i naprawdę chcieli jakoś pocieszyć, tylko machała ręką i odpowiadała, że wszystko w najlepszym porządku, albo że nie ma o czym mówić. To było w zeszłym roku, a od tamtego czasu to ona strasznie zdziwaczała. Prawie z nikim nie rozmawia. Tyle, co ze sklepową, jak coś kupuje. Nawet jak podatki zbieram i do niej

zachodzę, to człowiek zapyta przy okazji o zdrowie, czy czegoś jej nie trzeba, jak się czuje, ale odpowiedzi prawie żadnej. Siada na przystanku, czeka na listonosza i na list od wnuka. Tyle od niej można się dowiedzieć. Ludzie już zaczęli gadać, że pomyłona chyba. No i tak czasami o niej mówią: pomyłona Jadzia.

– Wnuk od tamtego czasu nie zaglądał do niej?

– Przyjechał jakieś trzy, albo cztery miesiące po ślubie. Ale nawet na noc nie został, bo chyba przejazdem. Całe auto miał zapakowane. Pani Jadzia się cieszyła, bo telefon jej zostawił. Komórkowy. Pokazywał jej, jak ma się z nim obchodzić. W tej wsi to tylko ona ma taki aparat. Ja nawet nie mam, bo to drogie. Mówiła, że Jurciu dostał pracę przy jakichś rakietach co to w kosmos latają i daleko za granicę wyjeżdża. Oj, czy nie do Ameryki? Naprawdę, jak tam jest. No i ona czeka. Dobrze pół roku tak czeka, a on nawet na święta jej kartki nie przysłał. Ani na jej imieniny, bo ona czerwcowca. A zawsze o tym pamiętała. Taki smutek ją zdjął, że szkoda gadać. Sam pan widział te jej oczy. Tak nagle się postarzała... Coś czuję, że ona długo nie pociągnie...

– No tak... A pani Jadzia umie ten telefon obsługiwać? Może wnuk dzwonił, albo esemesa napisał, a ona nie potrafi tego odebrać? – niby pytałem, ale raczej głośno wypowiadałem swoje myśli.

– Może i tak – odpowiedziała sottyska. – Czekaj, pan, czekaj! Ona chyba o coś pytała syna sklepowej. Tak, pokazywała mu ten telefon. A ten tylko popatrzył, coś tam poobracał i tyle z tego było. Chyba się na tym nie znał. No, ale skąd miałby się znać, jak on dopiero do podstawówki chodzi. A pan się zna?

– Znać to się nie znam, ale mam telefon komórkowy, więc może coś udałoby się i z tym zrobić. Takie proste funkcje we wszystkich aparatach są prawie takie same.

– A ma pan jeszcze trochę czasu? Zaprowadziłabym pana do Jadzi, bo samego to ona pana nie wpuści do domu. Obcy pan jest.

– Nigdzie mi się nie spieszy. W redakcji wiedzą, że zbieram materiał do reportażu. Zresztą, gdyby coś się zdarzyło, to by po mnie dzwonili. Mogę spojrzeć.

Kobieta szybko zebrała talerzyki i szklanki ze stołu, wstawiła do zlewu, otrzepała spódnice i była gotowa do wyjścia. Po

O TYLKO LIST

PROZA

→ drodze zabrałem z samochodu swój telefon i poszliśmy w stronę furtki prowadzącej na posesję pani Jadzi. Sołtyśka puknęła do drzwi kilka razy. Dopiero za czwartym, piątym tomataniem już w drzwi, usłyszeliśmy za nimi szuranie kapci. Po chwili zobaczyłem stojącą w nich gospodynię. Była wyraźnie zaspana. Przetarła oczy, bąknęła coś pod nosem o drzemce i drzwi otworzyła szerzej.

– Coś się stało? Podatek już przecież płaciłam – mówiła do sołtyśki, ale patrzyła na mnie. – Kogo to pani po wsi prowadzi?

– Wpuści nas pani, to wszystko powiem. To dziennikarz i on może w czymś pani pomoże – rzuciła sołtyśka i już nie czekała na zaproszenie, tylko pchała się do domu. Gospodyni jeszcze próbowała oponować, że ona żadnej pomocy nie potrzebuje, że sama sobie radzi, a już na pewno nie chce żadnych dziennikarzy, bo nie ma nic ciekawego do powiedzenia... Sołtyśka nie zwracała uwagi na jej słowa. Złapała mnie za rękę, rzuciła półszeptem: pan wchodzi i pociągnęła mnie za sobą obok wyraźnie zaskoczonych właścicieli domu. Szybko przemierzaliśmy korytarz i znaleźliśmy się w kuchni. Sołtyśka stanęła szeroko na nogach i głosem nieznośnym sprzeciwu kazała pani Jadzi pokazać ten telefon od Jurcia.

– Ten pan jest dziennikarzem i też ma telefon komórkowy, więc może uda się jemu czegoś dowiedzieć z tego pani telefonu – szybko wyjaśniała. – Może w nim coś jest od Jurcia, a pani tego nie umie znaleźć. Ten pan mówił, że może być coś napisane.

Panią Jadzię jakby zamurowało. Stała i patrzyła na mnie jak na zjawisko nie z tej ziemi. Z jej oczu wyraźnie można było wyczytać gigantyczne zaskoczenie i niepewność pomieszane z lękiem.

– To pan zna mojego wnuka? – wykrztusiła wreszcie.

– A gdzie tam – nawet nie zdążyłem odpowiedzieć, bo mój sołtyśki adwokat szybko zrobił to za mnie. – Ja mu opowiedziałam o nim i o telefonie, bo widział panią na przystanku i słyszał, co listonosz do pani mówił. Minęła pani tego pana przed sklepem. Nie widziała go pani?

– Nie, nie... Ja tam się ludziom nie przyglądam – odpowiedziała staruszka i nadal nie spuszczała ze mnie wzroku. Nie ruszyła się też z miejsca. – A telefon to jest do rozmowy i nic na nim nie jest napisane oprócz takiego słowa: motorola. No i jeszcze jakieś numerki.

– Pani Jadziu, niech pani pokaże ten aparat – tagodniej już mówiła sołtyśka. – To nie na nim ma być napisane, tylko w nim.

– A jak on zepsuje? Bo przecież będzie musiał go rozebrać, żeby zobaczyć, co w nim jest...

– Niech się pani nie obawia. To, co w nim jest, będzie widać w takim okienku. Nie trzeba niczego rozbierać – nareszcie udało mi się włączyć w rozmowę. Jednocześnie wyciągnąłem swój telefon i pokazałem o co chodzi. Podeszedłem do staruszki i w telefonie wyświetliłem moje wiadomości tekstowe. Nie obešlo się bez tego, żeby przez moje ramie nie przysługiwała się świecącemu okienku również sołtyśowa.

– To co? Da pani ten telefon czy będziemy tutaj tak sterzczyć do wieczora? – zapytała sołtyśka i odsunęła krzesło od stołu. – Niech pan siada.

Pani Jadzia jeszcze nie do końca była przekonana, ale stanowcza postawa sołtyśki nie pozostawiała jej wyjścia. Podreptała w stronę kredensu i wyjęła z niego pudełko

po ciasteczkach. Otworzyła i w jej dłoni pojawił się telefon. Jeszcze raz sięgnęła do pudełka i wyjęła z niego matą kartkę. Z tym wszystkim podeszła do stołu, położyła na nim telefon i spojrzała na mnie. Tym razem nie wiedziałam, czy w jej oczach dostrzegłem niepewność, lęk, niedowierzanie... Uśmiechnąłem się i sięgnąłem po aparat. Rzeczywiście była to motorola. Spróbowałem włączyć, ale bateria była rozładowana.

– Ma pani ładowarkę?

– A po co? Jurcio mówił, żeby na noc włączyć do prądu, albo jak się długo rozmawia, to trzeba potem podłączyć. A ja ani razu jeszcze nie rozmawiałam. Nawet krótko. Ale na noc włączałam, ale jak nic nie było, to przestałam – przyznała kobieta.

Zajął to trochę czasu, zanim wytłumaczyłem pani Jadzi jak się obchodzić z takim telefonem. Nie powiem, żeby z ciekawością nie słuchała również sołtyśowa. W końcu dostałem ładowarkę i mogłem podłączyć do niej telefon. Upodobałem, że to trochę potrwa, bo akumulator musi mieć tyle prądu, żeby uruchomił aparat. Przez ten czas obie kobiety milczały i wpatrywały się w martwe na razie urządzenie. Spytałem, czy mogę wyjść przed dom na papierosa, ale gospodyni sięgnęła po popielniczkę i pozwoliła mi zapalić w kuchni, bo „Jurciu też pali”. W końcu udało się telefon uruchomić. Wziąłem kartkę z numerem PIN i odblokowałem. Było siedem nieodebranych połączeń z numeru zaczynającego się najpierw od 48 – dwa połączenia – a potem cztery od 001 (teraz byłoby to +1), czyli z Polski i USA. W wiadomościach było jedenaście pozycji nieodczytanych. Ostatnia sprzed z górą trzech miesięcy. Powiedziałam o tym pani Jadzi, a ona spoglądała na mnie z niedowierzaniem.

– Przeczytać pani te wiadomości, które ma pani w telefonie? – spytałem.

Kobieta skinęła tylko głową, usiadła przy stole i twarz ukryła w dłoniach. Czytałam w kolejności wystania. Są we Francji i za chwilę wjadą na prom do Anglii. Mocno ściskają i pytają, czemu nie odebrała telefonu, gdy dzwonili. Są na lotnisku Heathrow w Anglii, spakowani i odprawieni, a za godzinę lecą do Nowego Jorku, a potem do Huston. Tam będzie pracował. Zadzwoni już z Ameryki i „Kochana babciu, jak dzwoni telefon, to wciśnij ten zielony guzik ze słuchawką. Tak, jak Ci pokazywałem. Pamiętasz? Proszę”. Są już na miejscu. Mają ładny domek, który przydzieliła im agencja. Rozpakowali się, „z albumu od Ciebie, Babciu, oprawiliśmy zdjęcie moich rodziców, zdjęcie Twoje i powiesiliśmy w salonie”. Informacja o tym, że zmienił numer na amerykański, bo dostał służbowy telefon, a polski jest już nieaktywny. Dalej, że „Agata była u lekarza. Za miesiąc będziesz miała prawnuka. Chociaż raz odbierz telefon i proszę nie gniewaj się już, że przed ślubem nie powiedzieliśmy Ci, że Agatka jest w ciąży. Kochamy Cię i tęsknimy”. „Mam syna. Urodził się wcześniej. Będzie miał na imię Zbigniew. Bardzo Cię kochamy już we troje”. Ostatnie dwa esemesy były tylko z pytaniami o to, jak się czuje i dlaczego uparcie nie odbiera telefonów.

Po dłoniach kobiety spływały łzy. Bezszelестnie, bez łkania... Po prostu płynęły stróżkami. Miałem szczerą ochotę wstać i przytulić ją do siebie, ale zrobiła to sołtyśka. Też miała oczy mokre od łez. Po dłuższej chwili pani Jadzia cichutko wyszeptwała: – A ja mu tak w myślach złorzeczyłam... Niech mi Bóg wybaczy... Ale dlaczego listu nie napisał? Dlaczego? A ja tak czekałam. Czemu zdjęcia nie przysłał? Czemu...?

– Potem już nie pisał w telefonie? Nie ma już nic? – spytała sołtyśka i rękawem otarła oczy z łez.

– Mógł pisać, ale pani Jadzia najprawdopodobniej od ponad trzech miesięcy nie ładowała akumulatora w telefonie – wyjaśniałem. – W takiej sytuacji wysłany esemes jest aktywny tylko 48 godzin, a potem już znika z sieci. Nie zostaje doręczony.

– Ale dlaczego listu nie napisał? – ponownie zapytała pani Jadzia. – Przecież on wie, że ja czekam, że nie bardzo umiem poradzić sobie z tym telefonem... Dlaczego?

Nie mogłem na to pytanie odpowiedzieć. Sołtyśka próbowała tłumaczyć to brakiem czasu, pracą, opieką nad niemowlęciem... Wiedziałam, że to na nic. Pytanie pozostanie bez odpowiedzi, chyba że... Szybko wpisałem w telefonie, że babcia wciąż czeka na tradycyjny list, czuje się dobrze, bardzo tęskni i miała długi czas rozładowany telefon, którym nie potrafi się posługiwać. I wysłałem na ten służbowy numer. Poczutem ulgę, gdy okazało się, że telefon jest aktywny i ma opłacony roaming. W opcjach wybrałem „szybkie wybieranie” i jedynek przypisałem amerykańskiemu numerowi Jurcia. Kobiety nawet nie spojrzały w tym czasie w moją stronę. Sołtyśka nadal tuliła i uspokajała panią Jadzię. Wstałem od stołu i powiedziałam, że muszę już jechać, a telefon powinien się jeszcze ładować. Sołtyśce krótko wyjaśniłem zasadę wybierania numeru, bo pani Jadzia w tym stanie raczej by nie zapamiętała. Zdałem sobie też sprawę z tego, że nauka pisania esemesów to nie na ten czas. Pożegnałem się i skierowałem ku drzwiom.

– Dziękuję panu – usłyszałem cichuteńki głos pani Jadzi. – Tylko dlaczego on nie napisał do mnie?

Wracałem do Słupska, a to pytanie dręczyło mnie całą drogę. Powracało do mnie jeszcze wiele razy. Bez odpowiedzi...

Wróciłem do tej wsi następnego roku późną jesienią, gdy prokuratura nareszcie wyjaśniła sprawę i akt oskarżenia podejrzanego przez wszystkich podpalacza skierowała do sądu. Sołtyśki nie było, więc spróbowałem przy okazji odwiedzić panią Jadzię. Nie otwierała drzwi. Moją uwagę zwrócił zaniedbany, zarosnięty chwastami ogródek. Wcześniej był starannie pielęgnowany. Wyszedłem przed furtkę. Przed sklepem stała ekspedientka i paliła papierosa. Przyjrzała mi się uważnie i rozpoznała.

– A, to pan włóczęga – zagadnęła. – Pani Jadzia nie żyje. Zmarła jakieś dwa miesiące po tej poprzedniej pana wizycie.

Pokiwałem głową i chciałem już odjechać, gdy nagle wróciło do mnie dręczące mnie pytanie. Okazało się, że sklepowa znała na nie odpowiedź. Jurciu napisał i przysłał zdjęcie swojego syna. Potem przyszedł jeszcze jeden list, a trzy dni po nim babcia zmarła. Ludzie mówią, że serce jej pękło. Nie wytrzymało radości. A to tylko list... Wnuk był na pogrzebie, ale z pochówkiem musieli czekać na niego. Sam przyleciał. Pochowali ją koło córki. Jurek z sołtyśką się dogadał, żeby doglądała domu, na opłaty będzie przysyłał jej pieniądze, bo on tutaj chce wrócić. Ale kiedy on z tej Ameryki wróci?

Kupiłem zniczek, zapytałem o drogę na cmentarz i pojechałem tam. O ile córka, zięć i tragicznie zmarła wnuczka mieli okazały pomnik, o tyle babcia na swój czeka. Znowu czeka...

RYSZARD K. HETNAROWICZ

Hubert Czarnocki

Nawet jego pokój był urządzony tak,
żeby żył jakby w przelocie.
Jak dotąd nigdzie się
na dłużej nie zagnieździł.

Czasem przysiadł na ławce, na murze.
Przemykał między wami
z oddechem przemycnym za pazuchą.

Był posłany, żeby wchłonąć
jak najwięcej barw,
dźwięków, zapachów?

Nie. Był po to,
żeby przełamać się sobą
z kimś kto obok.

Wiersze

Nie czytajcie wierszy.
Podmioty liryczne
nie mają życiorysów ani doświadczeń.

Odbijają się od czterech ścian wiersza
jak od wnętrza pudełka.

Nie potrafią wystawić poza nie nawet palca.
Nigdy nie byli w Uście, a co dopiero w unie-
sieniu.

Nie czytajcie wierszy.
To wszystko kłamstwa, szkoda waszego czasu.
Chyba nie uwierzycie gościom, którzy nigdy nie
pracowali?

Wyobraźcie sobie, że żaden z nich nigdy nie był
zakochany.
Zresztą co ja mogę wiedzieć powiecie, pod-
miot.
Podmiot pod miotłą, zwykłe pomiotło.
Wypłuty na wiersza brzeg, dopraszam się o
śnieg.

Czy

Skarpety, zęby, krojenie, zarabianie,
powracanie, kupowanie, podgrzewanie,
odpoczywanie, splukiwanie, skarpety,
zęby, że włożyć, że szybko, że chleb,
że przeżyć, że taka kolej, że podtrzymać,
że odetchnąć, że ulga, że zdjąć, że wypłuć,
że co znowu, że po co, że jak długo tak,
że to boli, że to uwiera, że to głupie,
że czy jest coś więcej, że czy jest coś,
że czy jest, że czy, rzeczy, rzeczy?
Nie, to niemożliwe. Skreśl ostatni
wyraz, a nawet dwa.

Ciało

Nie marzy.
Waży.

Jan wyszedł tylko na chwilę.
Chciał załatwić jedną sprawę.
Ale już nigdy nie wrócił.
Śliska nawierzchnia, zbyt duża prędkość.

Na pogrzebie wrywały się ludziom pytania w niebo.
Ale niebo milczało. Milczały lasy,
milczały rzeki, milczały jeziora.

Mówił tylko Bóg, a właściwie szeptał.
Ale ten szept rozumiał tylko Jan.
Wszyscy inni myśleli, że to wieje wiatr.

Arkadia

Wpaść tam raz na jakiś czas.
Rozejrzeć się co i jak.

Z rzadka i niechętnie
przejechać się na latającym rumaku.

Zapodziać się we włosach wierzby.
Ale tylko na chwilę.

W Arkadii się nie mieszka,
w Arkadii się bywa.

Czy wiedziałbym,
co to jest szczęście,
gdyby było samo szczęście.



Stanisław Topaz

I. ŻYCIORYS TWÓRCZY

Stanisław Chyczyński urodził się w 1959 r. w Kalwarii Zebrzydowskiej. Jest to polski poeta, prozaik, aforysta, artysta malarz, krytyk literacki, filozof, nauczyciel, społecznik, redaktor naczelny magazynu literacko-artystycznego – miesięcznika, a obecnie nieregularnika „Nihil Novi” (od 1994 r.) oraz rocznika „Kalwariarz” (od 2011 r.).

oryginalniejszych współczesnych poetów polskich i najwybitniejszych twórców ziemi kalwaryjskiej. Wszechstronność i wielowymiarowość sprawia, że można go uznać niemal za człowieka renesansu.

II. MALARSTWO.

Zainteresowanie Kalwaryjczyka rysunkiem i malarstwem przyniosły już wczesne lata szkolne. Wówczas to wyróżnienie na prestiżowym konkursie w Tokio sprawiło, że pisały o nim media. Jako tzw. cudowne dziecko stał się sławny w lokalnej społeczności. Talentem zaraził się od swojego wujka Stanisława Studnickiego, podhalańczyka, który zginął podczas kampanii wrześniowej. Pierwszym dla niego przykładem był sławny

świata. W 1991 r. w Piwnicy pod Baranami w Krakowie miała miejsce pierwsza wystawa prac malarskich kalwaryjskiego artysty, a ostatnia w 2000 r. w Ośrodku Kultury w Kalwarii Zebrzydowskiej. Stanisław Chyczyński nie uczestniczył zazwyczaj w uroczystych wernisażach swoich wystaw, niechętny tego typu imprezom.

Nie odniósł spektakularnego sukcesu w związku z czym zakończył przygodę z malarstwem w 1994 r. Nadal jednak wykonuje rysunki i portrety, które można znaleźć w popularnych periodykach literackich, czy publikacjach książkowych.

III. PROZA I POEZJA

Ażeby przedstawić osobowość Chyczyń-

DOROBEK ARTYSTYCZNY STANISŁAWA CHYCZYŃSKIEGO W UJĘCIU SYNTEZY

Należy do Towarzystwa Przyjaciół Kalwarii Zebrzydowskiej.

W 1986 r. ukończył filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Do 1995 r. zajmował się przede wszystkim malarstwem antyrealistycznym i ilustratorstwem książkowym. Przez szereg lat był nauczycielem historii, plastyki i religioznawstwa, od 2024 r. jest na emeryturze. Ten niezwykle artysta oraz interesujący człowiek debiutował jako poeta na łamach krakowskiego czasopisma „Źródło” w 1993 r. W 2009 r. jako redaktor magazynu „Nihil Novi” (dotychczas wyszło 36 numerów) podjął statą współpracę z krakowskim artystą malarzem, rysownikiem i scenografem Kazimierzem Wiśniakiem, twórcą baśniowych płócien, który ilustruje ten nieregularnik swoimi rysunkami.

Stanisław Chyczyński swoje teksty literackie i krytycznoliterackie zamieszczał w przeszłości w kilkudziesięciu periodykach.

Artysta ten to jeden z najoryginalniejszych polskich poetów współczesnych, a także płodny i znakomity krytyk. Mieszkając w Kalwarii Zebrzydowskiej przyjął pseudonim Calvarianus, jego mniej znany przydomek to Kalwaryjczyk.

Twórcą z Kalwarii Zebrzydowskiej wydał dotychczas 9 zbiorów poezji, a to: *Pirackie papiery* (1986), *Wiersze wyprane* (1992), *Motywy religijne* (1995), *Calvaria, mon amour* (2000), *Oktawy mimo wszystko* (2000), *Czarna pończocha* (2005), *Sonetu kalwaryjskie* (2010), *Byłem pomyłką* (2012), *Królewskie milczenia (sonety i antysonety)* (2023). Jako prozaik jest autorem interesującego zbioru opowiadań pt. *Wielbiciel pończoch* (1999). Znakomite jego dzieło w zakresie krytyki literatury stanowi natomiast praca: *Życie poza nawiasem. Szkice o literaturze* (2010).

Kalwaryjczyk jest jednym z bohaterów powieści Wojciecha Wierciocha *Iluzjonista* (2006) i Elżbiety Stankiewicz-Daleszyńskiej *Pani Egucka i trójkąta metarzeczywisty* (2019).

Reasumując kalwarianin to jeden z naj-

polski malarz Wojciech Weiss (1875–1950). Po sąsiedzku mieszkał w Kalwarii Zebrzydowskiej, a Chyczyńskiemu, który urodził się kilka lat po jego śmierci, znana była jeszcze żyjąca żona artysty. Stąd dla wielu było zaskoczeniem, że Kalwaryjczyk rozpoczął i ukończył studia na kierunku filozoficznym UJ, a nie podjął ich na Akademii Sztuk Pięknych.

W malarstwie specjalizował się w akwareli. Wykształcił własny styl – akwareli zagęszczonej, przez co jego prace są zbliżone do malarstwa olejnego. Swoją twórczość plastyczną określił jako antyrealizm, pojmowany jako przeciwieństwo realizmu epistemologicznego, charakteryzujący się ubogaceniem rysunku odwzorowującego o elementy subiektywne (nadrealne). W obrazach wyrażał swój indywidualny stosunek do świata, a skoro równolegle interesował się głęboko literaturą, to jego dzieła w tym zakresie są bardzo skażone literacko. Zależało mu bowiem na tym, by w każdym obrazie zawrzeć jakąś anegdotę literacką.

W latach 1983–2005 Calvarianus prowadził ożywioną korespondencję ze światowej sławy malarzem i grafikiem Zdzisławem Beksińskim (1929 – 2005), w czasie której ostatni przysłał mu aż 220 listów. Kontakty te przerwane zostały wskutek nieoczekiwanej śmierci mistrza z Sanoka. Ten materiał epistolograficzny, zawierający rozważania estetyczne, filozoficzne i religijne, może być bazą niezwykle interesującej książki, ukazującej osobowość obydwu malarzy, po odpowiednim opracowaniu krytycznym.

Chyczyński namalował kilkadziesiąt obrazów, głównie techniką pastelową, akwarelą plamkową i zagęszczoną, olejami, były też liczne rysunki tuszem. Wykonał ilustracje do wielu książek i zaprojektował liczne okładki (między innymi Adamowi Fajferowi, Bożenie Budzińskiej, Błażejowi Budnikowi, Aleksemu Siemionowowi). Przeważająca większość jego obrazów jest obecnie w obcych rękach. Jedne zdobiją prywatne wnętrza, inne wiszą w galeriach w wielu zakątkach

skiego, jego wzloty i upadki, nacechowane w wielu miejscach pesymizmem, ale i przeplatane tu i ówdzie optymizmem oraz unaoznaczającą się wraz z wiekiem dojrzałość literacką, należy się cofnąć do jego zbioru opowiadań z 1999 r. *Wielbiciel pończoch*, który oparty jest niezależnie od królującej tam fikcji, także na pewnych wątkach autobiograficznych, a także do początkowych zbiorów jego poezji, takich jak: *Motywy religijne*, *Calvaria, mon amour*, *Czarna pończocha*.

Jak stwierdził jeden z komentatorów prozy Chyczyńskiego (dr hab. D. T. Lebioda w eseju *Tęsknota za życiem*) jest ona rodzajem psychologicznej anty-opowieści. Autor pyta w swoich utworach, czy istnieje logicznie uporządkowany świat i zarazem odpowiada, że wszechobecna jest poza, udawanie, sztuczność i zastępczość. Może ludzie tak to zdeformowali, a może świat sam deformuje się w ich umysłach, może rzeczywistość jest w gruncie rzeczy antyzeczywistością, a świat tyleż udaje swoje istnienie co istnieje w pozie, w oszukańczym geście. Tego rodzaju anty-proza ma swoją tradycję w literaturze dwudziestego wieku, poczynając od Franza Kafki, poprzez Robbe-Grilleta, a kończąc może na eksperymentach narracyjnych Buczkowskiego, Białoszewskiego, Redlińskiego. Podsumowując swój wywód Lebioda konstatuje: „Jedni prozę Chyczyńskiego odrzucają po lekturze kilku stron, inni czytają ją będąc z wypiekami na twarzy. Zarówno dla tych pierwszych, jak i dla drugich będzie ona wyzwaniem i będą musieli określić swój do niej stosunek, a to jest już spore osiągnięcie artystyczne”.

W początkowych zbiorach poetyckich poeta z Kalwarii z kolei próbował zaskoczyć czytelnika, a nawet w pewien sposób go zaszokować, mieszając ze sobą różne style i porządki kultury, krążąc pomiędzy grafomanią, a wirtuozerią. W konstruowanych konceptualnych, neobarokowych

wierszach, nawiązywał m. in. do fascynacji muzycznych swojej młodości, w szczególności heavymetalowych brzmień brytyjskiej grupy Motörhead spod znaku Lemmy'ego Kilmistera i amerykańskiej Metaliki, a także hard rocka szkockiej kapeli Nazareth czy angielskiego UFO. Już wówczas, jak na adepta filozofii przystało, jego wiersze prześiakięte były metafizyką, erotyką przeplatana się z wątkami religijnymi, a archaizmy, neologizmy i wtręty łacińskie ubogacały polszczyznę.

Sporym osiągnięciem i niejako przełomem w poezji Calvarianusa były *Sonetu kalwaryjskie* (2010), w których autor głęboko wniknął w rzeczywistość, a zarazem tworzył, co zauważa komentator D. Lebioda, jej mitologię somnambuliczną. Powoduje to przybliżenia tak jaskrawe, że czytelnik natychmiast podąża w wykreowaną krajinę, w której świętość graniczy z grzechem, a arcydzieło z kiczem. Jak wskazuje we Wstępie do książki Janusz Drzewucki, autor sonetów – Chyczyński jest niezwykle precyzyjny, przestrzegając zasad kanonicznych, ale także odważny, by nie powiedzieć brawurowy, rymuje z niesamowitą wprost inwencją, jego polszczyzna jest różnorodna, bujna i bogata. Poeta wprost odwołuje się do mitologii antycznej i Biblii, od takich pisarzy, jak: S. Grochowiak, K. Przerwa-Tetmajer, T. Miciński, K. I. Gałczyński, J. M. Rymkiewicz, M. Grześczak, nawiązuje do znanych malarzy i filozofów, a także do kultury masowej i popularnej. Pobirmie-wa tam hard rock grupy Black Sabbath, z kolei końcowe sonety pisane są gwarą podhalańską. Twórczość jego jest mocno osadzona w tradycji bliższej i dalszej.

Mimo przełomowego charakteru tego zbioru Kalwaryjczyk nie odniósł spektakularnego sukcesu. W związku z tym w 2012 r. wydał tom poetycki, nie ustępujący poprzedniemu pod względem artystycznym, choć znacznie krótszy *Byłem pomyłką*. W krótkiej notce biograficznej na okładce (nazwanej „nitką” – czyżby nawiązanie do mitologicznej nici Mojry) artysta stwierdza, że „Poległ w walce o swoje dobre imię”. Książka ta (po jej ukazaniu się autor zamilił na pewien czas) była próbą popełnienia samobójstwa, na szczęście tylko literackiego. Skłoniła do tego artystę bynajmniej nie pyszałkowatość, czy niedojrzałość, ale przekonanie o wartości własnej poezji (choć miejscami, jako człowiek skromny wątpi on w swe talenty literackie) oraz fakt niezrozumienia tej poezji przez współczesnych.

Stanisław Chyczyński kreuje się bowiem, jak to celnie określił literaturoznawca dr Marcin Kania na „buntownika zanurzonego w tradycji”. Bogdan Szpila w ślad za famą z miasteczka Kalwaria Żebrzydowska nazywa go „artystycznym rebeliantem”, krocącym własną artystyczną ścieżką. Nie kieruje się on bowiem modą i rynkowym zapotrzebowaniem. Jest osobą, która z pewnością wierzy w przekaz wynikający z łacińskiej sentencji: „Ad quas res aptissimi erimus, in iis potissimum elaborabimus” („Radź się przeszłości, kieruj się teraźniejszością, patrz w przyszłość”). Poezja Calvarianusa zrodzona jest z miłości do polskiej historii, kultury, ale i do małej Ojczyzny poety, ziemi wadowicko-kalwaryjskiej. Dlatego poeta w wywiadzie udzielonym Sobiesławowi Odrowążowi („Akant” nr 1 z 2015 r.) straszy, że Polska i jej szczególna kultura za kilka dekad rozpłynie się w Eurokołchozie. Kalwaryjczyk w tomie wierszy *Byłem pomyłką* z rezygnacją i pesymizmem jako podmiot liryczny obserwuje procesy synkretyczne epoki, upadek życia religijnego, procesy

globalizacyjne i unifikacyjne prowadzące do zaniku lokalnych tradycji i zwyczajów, śmierci duchowej „małych narodów”, na co wskazuje Herbert Oleschko w przedstowiu Czy byliśmy pomyłką? Bardzo rozczarował się też, co wynika z wywiadu Odrowąża, do środowiska literackiego, uznając, że to jedno wielkie bagno, w którym fermentują intrzygi, egoizm pomieszany z narcyzmem, koleśnictwo, podejrzaną ideologię. Znamienne jest zatem motto tej książeczki, zaczerpnięte z pism duńskiego filozofa S. Kierkegaarda: „(...) wolę być pastuchem świń na Amagerze i żeby mnie świnię słuchały, niż być poetą i żeby mnie słuchali ludzie”.

Chyczyński nie wytrwał jednak w postanowieniu, ażeby całkowicie zaprzestać twórczości literackiej, powołanie było silniejsze od niego. Ostatnio po jedenastu latach przerwy ukazała się jego kolejna książka poetycka – *Królewskie milczenia* (2023) stanowiąca, moim zdaniem, następny przełom i szczytowe osiągnięcie tego twórcy. W poezji Chyczyńskiego odzywiają się tu echa pryncypialnych założeń filozoficznych, wynikających z twórczości Cypriana K. Norwida. Stąd świadome autokreacje kalwaryjskiego poety na samotnika, outsidera, buntownika, konserwatystę, chrześcijanina, ironistę, „chandroida” (neologizm zaczerpnięty z wiersza Calvarianusa). Jest to poezja w pełni zaangażowana patriotycznie, rzadka obecnie w polskim świecie literackim, a w sonecie: *Wieża Babel*, Kasandra Chyczyńskiego przepowiada upadek współczesnej wieży Babel i powrót do rzeczywistych wartości: „Lenin nie umarł. Straszny duch Popiela.../ Globalna wioska to ziemski labirynt./ nad którym rośnie kar-minowy Babel!” Biskup Krasicki i Herbert nazywani byli książętami poetów polskich. W drodze paraleli kalwarianina, ze względu na treść i artystm ostatniej jego książki poetyckiej można by zatem okrzyknąć za jednego z hetmanów polskiej poezji patriotycznej.

Fundamentem warsztatu artystycznego Calvarianusa są głównie sonety i antysonety. Osobliwa cecha Chyczyńskiego to zaś ostentacyjne i – na tle dzisiejszej poezji – prowokacyjne rymy, zwykle bardzo wyrażone i zaskakujące. Lubi on rymować homonimy, ma też wyraźną skłonność do asonansów i rymów oddalonych. Na to nakładają się skomplikowane gry słowne, zrodzone z ducha poezji lingwistycznej. Lirika twórcy z Kalwarii nawiązuje w ostatnim tomie do poezji nie tylko Norwida, ale też m. in.: Grochowiaka, Rymkiewicza, Nowaka, Herberta, Miłosza, Broniewskiego, Asnyka.

Na okładce tego tomu zwięzła, aczkolwiek solidna notka biograficzna. Nie jest to już „nitka”. Miejmy zatem nadzieję, że sformułowanie „nitka biograficzna” z poprzedniego dzieła literackiego nie oznacza nici Mojry, lecz nić Ariadny, w którą Kalwaryjczyk uczrojony, przemierzył już labirynt swej jaźni i unicestwił (zabił) to, co go blokowało, tak jak Tezeusz mitycznego Minotaura, lub jest na najlepszej drodze do likwidacji nuty pesymizmu w swej twórczości.

IV. KRYTYKA LITERACKA

Bardzo ważne w życiu kalwarianina są dokonania w przestrzeni publicystyki literackiej. Dotychczas sporządził i opublikował aż ok. 300 recenzji. W 2010 r. wydał w Bydgoszczy zbiór esejów o literaturze pt. *Życie poza nawiasem*, stając się uznanym krytykiem literackim.

Dlaczego pisarz nadął tej wartościowej książce taki tytuł autorytatywnie przedstawione jest we *Wprowadzeniu*. Przypomina tam, że takie określenie może być z po-

zoru niejasne. Aby potencjalny odbiorca miał właściwy pogląd wyjaśnia, że pisząc o takich wielkościach, jak Różewicz, Rymkiewicz, czy Bryll bynajmniej nie sugeruje, iż jakieś siły zewnętrzne (polityczne, społeczne, środowiskowe) wyrugowały ich na przykład „poza nawias” establishmentu. Tym samym Calvarianus – doświadczony krytyk usuwa „siły zewnętrzne” niejako na drugi plan, a przeciwstawia im, jako godne podkreślenia „siły wewnętrzne”: religijne, duchowe, metafizyczne, ontologiczne, itp. Umieszcza je „przed nawiasem” kultury, twierdząc, że tylko one są źródłem prawdziwej sztuki.

Co zaś znajduje się poza właściwym nawiasem twórczości literackiej? Kalwarianin stoi na stanowisku, że wraz z upadkiem socjalizmu zatrumfował w Polsce światowy postmodernizm, który błyskawicznie wypełnił powstałą lukę w rodzimej kulturze. Do głosu zaczęli dochodzić młodzi gniewni i nowi barbarzyńcy. To nadchodzące pokolenie literackie prezentowało młotom literatury „medialną poezję”: hałaśliwą, efekciarską, wypraną z treści. Nie było w niej miejsca na wartości religijne i metafizyczne.

Znany krytyk prof. Maciej Urbanowski w *Postwio* do tej cennej książki pisze plastycznie o niej i Kalwaryjczyk tak: „Ten paradoksalny, efektowny, chwilami jakby żartobliwie makaroniczny i jawnie anty-akademicki styl nie zaskoczy chyba tych, którzy znają wiersze samego Chyczyńskiego. Autor *Życia poza nawiasem* krytykiem bywa, ale jest: poetą. Krytyka poetów zaś często bywa mniej lub bardziej ukrytym wyznaniem literackiej wiary, swego rodzaju utajonym programem albo też „przewodnikiem” dla swoich czytelników”.

Na koniec zaś puentuje: „Chyczyński – poeta i Chyczyński – krytyk dowodzą z pewnością jednego: głośna teza Miłosza o postępującej erozji wyobraźni religijnej we współczesnej kulturze nie do końca się sprawdza w przypadku poezji polskiej. Na tym polega znaczenie *Życia poza nawiasem*. A także optymizm tej ciekawej książki”.

Redaktor naczelna bydgoskiego „Akantu” Jolanta Baziak zaliczyła ją do 10-ciu najważniejszych książek wydanych po 1989 r. (Tygodnik „Solidarność” nr 40/2012, s. 32). Dr Stefan Pastuszewski – sekretarz „Akantu” uznaje zaś Kalwaryjczyka za znakomitego myśliciela literackiego [*Granice literatury* (w:) „Akant” nr 1/2025, s.30].

V. WYRÓŻNIENIA I NAGRODY

Calvarianus za tomik opowiadań *Wielbiciel pończoch* otrzymał ważną nagrodę im. Ryszarda Miłczewskiego-Bruna (2001), w 2007 r. został zaś laureatem nagrody im. Klemensa Janickiego. Jego zbiór szkiców o literaturze *Życie poza nawiasem* (2010) to książka nominowana do prestiżowej Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza przyznawanej za szczególną popularyzację rodzimej kultury, historii i tradycji. Kalwarianin został również uhonorowany Medalem Komisji Edukacji Narodowej, uzyskał odznakę Zasłużony dla Kultury Polskiej, otrzymał medal za Wybitne Zasługi dla Związków Żołnierzy WP, odznaczenie Chwały Wiktorii Wiedeńskiej oraz medal „Piękno Kultury, Moc Historii”.

STANISŁAW TOPAZ

Stanisław Topaz

Przed nawiasem

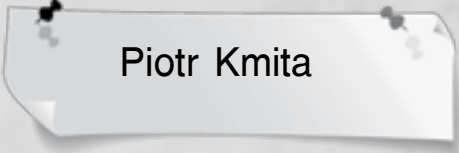
Stanisławowi Chyczyńskiemu

Sięgnął po wyróżnienie na konkursie w Tokio,
zdolność rysunku przejął po Studnickim wujku,
nie wspiał się na arcydzieł pędzla mistrzów poziom;
mimo malarskich wystaw nie dostąpił triumfu.

W swych królewskich milczeniach i hetmańskich echach
sonet i antysonet do perfekcji przywiódł;
przestrogi dla rodaków spisać nie poniechał,
żeglował z wyklętymi wśród wichrów porywu.

Choćby większość zwątpiła, że sztuka jest prawdą,
spójrz na Calvarianusa i Jego sonety;
postaraj się uwolnić z jarzma niewolnika.

Wówczas z Ciebie obłuda oraz fałsz opadną,
podążysz, gdzie realne są Twoje talenty;
tam wyzwoli Cię z oków blask Kalwaryjczyka.


 Piotr Kmita

Tuż tuż

Wychowała mnie opuszkami palców.
 „Moja droga, sposób w jaki patrzysz na swoje zmarszczki,
 pokazuje, jak głęboki masz żal z powodu ostatniego zdania,
 które nie padło. Weź jeszcze czekoladkę.”
 Dla niej nauczyłam się mówić gogle zamiast gule
 oraz dostrzegać przez trąbkę z dłoni ukryte za drzewami kostuchy.
 „Miał za małego jak na twój mózg. Zupełnie jak ojciec”.
 Potrafiła na trzeźwo wywołać u siebie głęboki haj,
 schodząc potem poniżej piekła, gdzie czekałam na tronie.
 „Moja mała dziwka znów zabarwia krwią pomarańcz.
 Ty go zabiłaś.”.
 Lubiłam odczekiwać do ostatniej chwili z ratowaniem jej życia,
 gdy jadąc na rowerze odwracała do mnie głowę i była tuż tuż.
 Jest więcej niż prawdopodobne, że o tym wiedziała.

Zgaszona zielen

wchodzę i nie mogę trafić
 nie ta klamka nie to piętro
 zbyt słodki zapach kału
 zbyt niebieskie oczy pielęgniarek

potykam się o jego miesięczny zarost
 i coraz lżejszy oddech dziecka
 wszystko co miałem przynieść
 zgubiłem w mokrych kieszeniach spodni

mówię mu z oddali na ucho
 o rzeczach nieistniejących

wyjmuję z szafki przedmioty
 których może się kurczowo chwycić
 trzęsę się razem z nimi

jeszcze jeden skurcz słowa
 jeszcze jedno trafienie

Chcianki

robimy sztukę
 mamy czarne za paznokciami
 umiemy w lęk umiemy w miłość
 chce nam się pościelonej plaży
 w początkach świata
 cukrowej waty z popiołu
 i żeby już
 i żeby wszystko

Szybciej z tą wojną

miasto kopie w brzuchu
 merda gadzim ogonkiem

szybciej z tą wojną

za chwilę przestaniemy umierać
 z odległych krain nadchodzi wieczne życie
 z backupem w chmurze

wyjmuję z tekturowego pudełka
 warkocz o zapachu nagrzanego gleby
 szelmowski uśmiech mojej matki
 powtarzam bezgłośnie jej naukę
 zabijanie pajaków powoduje raka

mój już były ale nadal obecny kochanek
 rozkłada na stole najświeższe gazety
 prasuje je dokładnie dłońmi jak odświeżone koszule
 przewraca strony śliniąc palec i wzdycha nosem
 słyszałaś? mamy wypieprzać na Marsa, wszyscy

a kto nakarmi pluskwy i podleje skrzydłokwiat?
 jaśnie państwo piętro niżej potrzebują mojego białka
 czeka mnie jeszcze pranie wszystkich twarzy
 i palący orgazm w gnieździe żmij

szybciej szybciej skurwysyny!

Andrzej Wołosewicz

KŁADKA NAD NICOŚCIĄ PROWADZI Z „RYNKU 11” NA POLE TRZCIN

Eugeniusz Kurzawa zaczyna swój tomik „Poeta pisze do nicości” (Wilkanowo - Zieleną Górą 2025) z przytupem. Tak odbieram i sam tytuł brzmiący niemalże jak „List do...”. No ale nicość jest tu pisane z małej litery, może to i dobrze, może mamy zbytnią ławność, by pompować znaczenia słów przez pisanie ich z dużej litery sugerując wtedy, że nicość a Nicość są tak różne, że ho, ho! Tu nie ma nicości pisanej z dużej litery, ale ten przytup, z którym rozpoczęcie tomiku identyfikuję, podkreśla, moim zdaniem, odwołanie w dwóch mottoch do nie byle kogo: Goethe i Celine. Goethe jak Goethe, to wiemy, ale z przywołaniem Celine’a mamy problem, bo to z jednej strony geniusz literacki a z drugiej ludzka łachudra, faszystowski kolaborant (domagano się nawet po wojnie - konkretnie Sartre - aby go powiesić!), kolaborant z przekonania a nie dla kasy czy ze strachu - po prostu genetycznie nie znośił Żydów. A dla skomplikowania całej sytuacji przypomnijmy, że nie pisał dużo, był przede wszystkim lekarzem, czyli pomagał ludziom nie czyniąc tu wyjątków.

Rozpisałem się o tych Kurzawowych odwołaniach, bo jestem ciekaw ich związku z wierszami, tym bardziej, że w dedykacji Gienek napisał mi, że „to co ważne jest na kolejnych stronach”. To idźmy tam.

I zaczyna się przekornie i pięknie! Czytam trzy pierwsze wiersze, zobaczcie sami, najpierw ten otwierający tomik:

poeta nie jest od tego żeby wyjaśniać
jego rolę pozostaje zaciemnianie
spojrzenie pod słońce
palące bunt
wobec
przyszłości

Dostajemy tu - zamiast wprowadzenia - poetyckie wyjaśnienie, że będzie raczej odwrotnie, „poeta nie jest od tego żeby wyjaśniać/ jego rolę jest zaciemnianie” Przekora to czy rzeczywista deklaracja? Zobaczmy dalej, wiersz:

Zapis na łatwopalnym papierze

wschody i zachody oparłem na przelotnym
spojrzeniu na nocny dym z komina
po spalonych myślach resztę zaś położyłem
na łatwopalnym papierze

więc myślę o śladzie
(znaczonym ledwie widocznymi
ścigami rozrzuconymi chaotycznie
i podanymi do wierzenia piórem
lub piszącą maszyną):

jak można pozostawać tak naiwnym

i liczyć na trwałość rękopisu
skoro nauka podaje
iż za pięć miliardów lat słońce
spali ziemię do cna
przestań się szamotać
nakazuję sobie
spokojnie stań na progu
dom za plecami unieś głowę
tak zostań

Wiersz „Zapis na łatwopalnym papierze” jakby zarysowuje nam całość, albo ramy całości, ale całości czego? Chyba jednocześnie całości czasu i tej jego drobiny, która jest udziałem każdego z nas. To od razu buduje napięcie między naszą tęsknotą, aby dodawać siebie do tego, co się ostaje, po to piszemy, malujemy, płodzimy itd., bo to wszystko wzmacnia - choć czasami tylko w pewnych chwilach a nie na stałe - poczucie jakiegoś sensu, a przynajmniej jego namiastkę - a tym powtórzystym poetyckim spojrzeniem, które Kurzawa zanurzył w odległej (o pięć miliardów lat!) przyszłości. W takim napięciu trudno się nie szamotać: „przestań się szamotać/ nakazuję sobie”. Czy to pomoże? Da oparcie? Nie wiem. Szukajmy go w kolejnym, trzecim wierszu. To długi, sążnisty, poemat, ale nie darowałbym sobie, gdybym go tu nie przytoczył:

Mężczyzna po sześćdziesiątce

mężczyzna po sześćdziesiątce patrzy
na piersi dziewczyny które
ponętnie zakolysały się
pod bluzką gdy przechodziła ulica
i choć dobrze zna te kształty i pamięta
ich ciepło i smak to wzrok nie może
się powstrzymać a zwłaszcza wyobraźnia
mężczyzna ma wielu kolegów
którzy opierając się
upływowi czasu odmienili
swoją los biorąc w ręce
młode zdrowe piersi i budując
nowe życie jednak
jest sceptykiem dlatego woli marzyć
topiąc coraz częściej wątpliwości w butelkach
wytrawnego czerwonego jak sztandar rewolucji

diabli wiedzą czym to wszystko
się może skończyć
w końcu alzheimer przypomina się codziennie
żebym chociaż zapamiętał jak wyglądają
kolyszące się piersi zaklina rzeczywistość
mężczyzna po sześćdziesiątce potem po setce
ostatecznie po całej flaszce

mężczyzna po sześćdziesiątce w domu
czuje się bezpiecznie właśnie wrócił
z fety ku czci swego sześćdziesięciolecia
choć niczym na to nie zasłużył każdy głupi
może mieć sześćdziesiąt lat
nawet profesor kurowicki jest noc
po pokojach snuje się spokój wszyscy
na swoich miejscach najbliższe kobiety śpią
ojciec bezpieczny w swoim grobie
śmierć go już tam nie dosięgnie

chwila

którą mężczyzna zapisze tylko raz

mężczyzna po sześćdziesiątce uczy się
powoli i przyzwyczajają się do myśli
że jego księgozbiór biurko komputer
nawet żona nie są jego musi to wszystko
oddać diabłu zapomnienia który czai się
bezczelnie za przysłowiowym rogiem

mężczyzna wie że trzeba wszelkie dobra
przekazać kolejnemu
pokoleniu lecz - konstatuje - cóż to jest
pokolenie a nawet dwa lub trzy wobec
trwałości homera wielkości Leonarda
przecież to zaledwie mgnienie świtu
czy blask nocnego ogniska które czasem
roznieca w ogrodzie

a gdzie tu miejsce na nieśmiertelną sztukę
myśli mężczyzna
śmieszny potomek homerów
i różewiczów

mężczyzna po sześćdziesiątce stara się
nie tylko słowami lecz i na inne sposoby
zapisać swój stan niezłą w tym wieku
kondycję fizyczną pomimo
atakującej cukrzycy
dobrą pamięć długoterminową mimo częstych
codziennych dziur w mózgu zaprosił żonę
żeby stanęła z nim nago przed lustrem w celu
fotograficznego utrwalenia wspólnego obrazu
będzie to dokument w sprawie o przeszłość
gdy już nadejdzie i gdy zacznie się rozpad
ciało dopadną rozmaite przypadłości
a głowa pochyli się ku upadkowi lecz żona
się waha nie wierzy
w zdygęcia czy w rozpad

mężczyzna po sześćdziesiątce jak wszystko
na to wskazuje ma o wiele za dużo lat
które dziwnie nagromadziły się przez ten czas
nie zauważył że oczy włosy ruch ust
wszystko idzie ku zblednięciu lecz
mimo to budząc się jest zdziwiony:
skąd ja tutaj zastanawia się dlaczego
prowadzę samochód siedzę w ogrodzie
w dawnej wsi wittgenau piszę idę ulicą
pełnię role w które mnie przypadkiem
wtłoczono i nie rozumiem skąd to pisanie
skąd ogród i ta nieszczęsna sześćdziesiątka
która się bezsensownie przyplątała

mężczyzna po sześćdziesiątce ma dziwne
deja vu gdy żona mówi nie pij tyle a on
i tak pije bo nie ma wyjścia i żal mu zony
która obraca się w świecie
gdzie się nie pija wina kawy i
nie siada przy ognisku
bo dym gryzie w oczy i gdzie
alkohol tylko szkodzi
mężczyzna chciałby wytłumaczyć
że jest przeciwnie
lecz nie wie jak to zrobić
wiotczącą słowa którymi
mógłby się wyrazić więc wszystko wraca
do punktu wyjścia i widocznie
tak musi pozostać

7-9 XII 2013, WILKANOWO

To najlepszy wiersz jaki w ostatnich latach czytałem, swoista spowiedź dziecięcia wieku, w której poeta mierzy się z przemijaniem. Upieram się przy tej ocenie, bo udało się autorowi to przemijanie poetycko sprywatyzować, uczynić tak bardzo własnym, że przez to aż... uniwersalnym! Bo przy takim ujęciu dociera do odbiorcy przekaz: spójrz na wszystko podług siebie, też możesz, zobacz i zmierz się ze strachem, bezsens (jeśli cię dopada), przemijaniem – może je oswoisz? Może...

Poezja Kurzawy w „Poeta pisze do nieskończoności” to poetyckie trawienie życia, trawienie, które pozwala budować – a przynajmniej daje taką nadzieję, jeśli nie autorowi to czytelnikowi – k ł a d k ę n a d n i c o ś c i ą. Idąc tą kładką znajduję kontynuację, pokłosie i odniesienie do intuicji zawartej w tym, gdy Krzysztof Gąsiorowski mówi o „jednobrzeżnej rzecz” czy Zbyszek Jerzyna twierdził o relacji języka do opisywanej rzeczywistości przestrzegając: „Ne znajdziesz mostu -/ Jest tylko molo na przymorzu mowy”. Zaciemnianie Kurzawy zamiast wyjaśniania idzie w tym samym kierunku, a przynajmniej mnie w nim prowadzi.

Spowiedź dziecięcia wieku, czas, przemijanie, wygląd i „zawartość” życia. Kiedyś, w jednym z wierszy młodości napisałem, że „czas nie przemija, tylko wzbiera” upierając się, że do pewnego okresu w młodym życiu (pisałem to mając niewiele ponad 20 lat), tak jest. A potem, zdawało mi się, jesteśmy już tylko skazani na przemijanie, jakoś takie wygasające, coraz cieńsze, jakby mniej treściwe. Tymczasem w wierszu

„Mężczyzna po sześćdziesiątce” mężczyzna po sześćdziesiątce (a teraz już po siedemdziesiątce) Eugeniusz Kurzawa, pokazuje jak to przemijanie pęcznieje, wzbiera, skrzy się wspomnieniami i naszą codziennością. „Mężczyzna po sześćdziesiątce” przekonuje mnie, że przemijanie nie jest tylko i wyłącznie utratą, jeśli ma się tylko taką poetycką wrażliwość jak Kurzawa. Kiedyś, nieżyjący już Leszek Żuliński użył sformułowania *poeta doctus* łącząc je z poezją intelektualną. (

Żuliński pytał siebie wtedy, czy jest taka i odpowiadał pozytywnie; patrz internetowe wydanie Gazety Kulturalnej, numer 12(220) grudzień 2014) I to określenie pasuje mi bardzo do poezji Eugeniusza mimo jego zastrzeżeń, że „poeta nie jest od tego żeby wyjaśniać”, bo wszak intelektualność, intelektualizm kojarzymy m.in. z jakimś wyjaśnianiem. Otóż można to robić bez intelektualnego „zadęcia”: udane – a tak się dzieje tutaj – pokazywanie jest najlepszym wyjaśnianiem! Jest to więc, upieram się, poezja intelektualna lecz nie przeintelektualizowana. Jej intelektualność to głębia, ta gęstość obserwacji a jej nieprzeintelektualizowanie to czysta poetyckość języka – to są wiersze z krwi i kości. Jak to ostatnie napisałem, to uświadomiłem cielesną dosłowność tego stwierdzenia, bo takie te wiersze są: w warstwie językowej, w warstwie opowieści dają nam życie bez znieczulenia i w tym sensie są szarpące, chociaż Eugeniusz często tę ich drapieżność przykrywa sentymentalną rezygnacją. Powtórzę – ta poezja pisana jest całym sobą. Mam nadzieję, że rozumiecie ciężar tego określenia. Być może trafiacie na poezję większej wyobraźni, bardziej finezyjną, być może jest taka, ale to nie to samo: tutaj czuć oddech, życie, tętno. Także tętno i zapach śmierci. W przenośni i dosłownie. W przenośni, bo jakież śmierć ma zapach a dosłownie, bo jest nieunikniona. To wszystko tutaj jest. Zobaczcie choćby w krótkim wierszu:

W Lisznej

sprawdzam jak właśnie ojciec mija mnie
na zdjęciu w lisznej nad bugiem
gdzie pojechaliśmy przywracać
wojenną młodość
mamy odejmuję ubyło trzydzieści lat więc
na fotografii to już ja
niezauważalnie upłynęło kilka
dekad które wyretuszowały
jedną z postaci

Eugeniusz Kurzawa w „Poeta pisze do nieskończoności”- i to chcę podkreślić z całą mocą - pisze o sprawach, które bardzo mnie interesują (myślę, że nie tylko mnie). Jest to poezja ważności, poezja nie błyskotek lecz ciężaru doświadczeń, poezja nie językowego przekombinowania lecz językowej jasności. To poezja ważna i poważna. I jednocześnie wciągająca – jej powaga nie zniechęca. Poeta pisze o tych wszystkich sprawach, sprawach wewnętrznego przeżywania życia, przygląda się temu co było, nadaje temu przyglądaniu się literacki wyraz, powiedziałbym prze-literacki chcąc nadać temu określeniu jakąś cechę stopniowania, wysokiego, mocnego stopniowania, gdyby nie było to określeniem językowo „od czapy”. Eugeniusz pisze o życiowych – dla mnie – ważnościach w sposób lepszy ode mnie. czynię to porównanie nie z próżności, robię to dlatego, że lektura „Poeta pi-

szę do nicości” uzmysłowiła mi podskórną oczywistość, że my poeci czytamy wiersze innych poetów swoimi wierszami i jeśli coś z tego porównania przebija się do naszej świadomości, jak teraz u mnie, to warto być uczciwym i wobec czytanego autora i wobec siebie.

Eugeniusz patrzy swoimi wierszami na świat, na naszą dookolną codzienność w sposób, który pozwala czytelnikowi być blisko, oglądać go niemal oczami poety (a to zawsze wielka sztuka umieć tak pisać!) i widzieć w tym oglądaniu nicość nicującą (a niech będzie trochę z Heideggera, on też potrafił zaciemniać) i ten świat w całości i tą codzienność. Zobaczmy wiersz:

Oczekiwania

czas już na mnie a nie spełniłem
jeszcze żadnych
oczekiwań rodzice widzieli
mnie geodetą chętnie
księdzem inżynierem takie zawody chodziły
w młodości na rodzinnej
gieldzie pracy tymczasem
nie mam ślubu kościelnego
okazałem się apostatą
dziecko pokrzywdziłem do
komunii nie posłałem
nie sprawdziłem się w zawodzie
bo nie potrafiłem
oddać życia prawdziwie i zapisać
jakie powinno być: krwiste i zabijające
żona często mnie nie rozumie
i temu się nie dziwię
gdyż sam siebie nie pojmuję i
wiem że nie spełniam
nadziei a lata lecą garb oczekiwań
rośnie kostucha
co rusz stuka kosą w okno na
razie udaję że jej nie ma
wypijam butelkę czerwonego i pocieszam się
że to minie

z czasem

i jeszcze drugi:

przez życie przebiegam jakby mimowolnie
decydując że warto je przemierzyć do końca
lecz

czy koniecznie

nie zdarzyła się po drodze
eksplozja tylko drobne
sprawy wyszarpane wydeptane a potem to
się utrwaliło i wtopiło w
codzienne żale i zawody
przycinanie brody kupowanie butów
wydawanie marnej pensji i poezji
meteoryt nie przeleciał nad domem
i gęsta metafora nie zawisła nad ogrodem
który właśnie zarośnie strzaskanym



→ jak doryckie kolumny
czasem

więc nie porywającego całe życie
tworzę układankę i przestawiam słowa
widocznie jestem skazany zaledwie na opis
tego stanu
rzeczy

15 III – 7 III 2015

Są wiersze piękne swą delikatnością,
które porównuję do malarskich akwareli.
Lubię akwarele, nawet mam kilka w domu,
ale one są właśnie malowane dla tej uło-
ności, uchwycenia pewnej delikatności
świata, która czasami (często?) nam umy-
ka – spełniają więc swoją rolę, nie mam nic
przeciwko akwarelom i akwarelowym wier-
szom. Ale są też obrazy malowane „tłustymi”
farbami, obrazy olejne i to one są trwalsze,
jakby mocniej sprzężone z odtwarzaną rze-
czywistością. I takie są wiersze Eugeniusza.
Obraz w nich zatrzymany, a może lepiej:
zatrzymywany - bo dostajemy go w postaci
czynnej, dziejącej się przed naszymi czytel-
niczymi oczami – przez poetę jest nadto
pełen czułości, czasami ukrytej za Gienkową
zręczliwością przetykaną sarkazmem a cza-
sami danej nam w bezpośrednio dostępnym
pięknie, jak w wierszach:

Wciąż mam 27 lat

wciąż mam 27 lat i mówię sobie
że to miłość jak to możliwe czas
przestał płynąć
zatrzymałem go na progu wieczności
stojąc na suwalskiej ulicy

idę mróz
skrząpi śnieg obok Chronos
jak wryty w pamięć czeka czai się
i niespodziewanie spływa kaskadą
Kamieńczyka

Wilno – Wilkanowo

jest piąta nad ranem
a może w nocy popatrzyłem przez okno
i niespodziewanie zobaczyłem wilno

ostatni raz
pojechałem tam z żoną żeby ja kochać
w starej kamienicy na ulicy isganytojo
lecz
(...)
dziś przez okno zobaczyłem
dalekie wilno i siebie w bezsilności
wobec
codziennych zmierzchów i poranków
i nic się nie zdarzyło wilno zostało
nade mną i ten obraz pozostanie już
w tym miejscu

27 IV – 15 V 2010, 2011, 2020

jak to rozumiesz:
potrzebny mi czyjś głos, szept
czyjaś obecność – zapatrzenie
to powtórzenie
po pecie* niosę wciąż

choć czas
i tak nas
zmiecie

*Andrzeju Babińskim

Ta czułość jest widoczna także wtedy, gdy
poeta wchodzi swą poezją w świat literatury,
a wchodzi. Pojawiają się wtedy pod swoimi
nazwiskami albo tylko na prawach cytatu,
przywołania: Kierkegaard z „Bojaźnią i drze-
niem”, Kazanecki, Waśkiewicz i Gąsiorowski,
Borges czy Norwid pospół z Andrzejewskim
używającym Norwidowego cytatu jako motto
do „Popiołu i diamentu”. (Ta wyliczanka nie
jest pełna, uzupełnijcie ją sobie w lektorzce
całości.)

Poezja Eugeniusza Kurzawy jest nad wyraz
dojrzała, jest aż – w pełnym i najlepszym tego
słowa znaczeniu – przejrzała (tu znowu próbu-
ję zastosować mało udane stopniowanie), jest
pisana z pełną świadomością tego, co chce
się powiedzieć. To słyszeć i czuć w każdym
wierszu. Tak, tę poezję się c z u j e: jak już się
zacznie czytać, to się ją czuje, czucie zaczyna
wtedy górować nad czytaniem, czytanie jest
staje się jedynie narzędziem otwierającym nas

na czucie, czy współ-czucie z autorem. A to
już jest potęga wiersza, gdy można o nim
tak napisać. I choć Kurzawa zastania się tu
nicością lub się nią usprawiedliwia, jakoś za-
bezpiecza nią swoje pisanie, ale tak napraw-
dę udało mu się zbudować z wierszy kładkę
nad tą nicością! Możemy teraz tą kładką
spacerować bezpiecznie (przynajmniej my,
czytelnicy) w tę i z powrotem i przyglądać
się nicości kryjącej się za detalami naszego
życia z jego kolorami, półcieniami, zwiadami,
z jego smakiem lub absmakiem, jeśli budzi
nasz lęk. W każdym razie nicość jest tu dla
mnie tożsama z pełnią życia i to tego tzw.
zwykłego szarego życia, które przecież jest
najważniejsze (macie jakiś zamiennik?, nie
mamy innego!), nicość jest rewersem życia,
trzeba to sobie jasno po lekturze tomiku po-
wiedzieć. Gienku, złapałeś Boga Poezji – jeśli
jest taki – za rękę i już nie wiem, który z Was
te wiersze pisał! Odwołując się do Twojego
ostatniego w tomiku wiersza, oto on:

Pole trzcin

człowiek którego imię zapisano
żyje szczęśliwy na polu trzcin
mówią egipcjanie
biada zaś bezimiennym
którzy są skazani na wieczną
śmierć
zapomnienie

powiem, że Egipcjanie mieli rację
- tym tomikiem będziesz żył na polu trzcin.
Amen.

Wydaje się, że jednym z fundamentów
tak dobrego pisania z jakim mam przyjem-
ność obcować czytając Eugeniusza Kurza-
wę, a czytałem w ostatnim czasie także
jego prozę „Rynek 11” (dla niewtajemniczo-
nych: to adres rodzinnego domu, w którym
wszystko się zaczęło) jest to, że jego pisanie
jest głęboko zakorzenione w nim samym
i choć nie jest to pisanie tylko o sobie,
to jest pisanie wielce o-sobistym, bo jest
pisanie całym sobą. Stąd bierze się jego
wspomniana już wcześniej gęstość, żarliwość
stonowana życiowym sceptycyzmem, stąd
siła tej poezji.

„Poeta pisze do nieskończoności” jest
najlepszą poezją na jaką trafiłem w ostat-
nich latach. Ciekaw jestem czy na naszym
sprywatyzowanym i „poszatkowanym” przez
gildie i koterie rynku wydawniczym zosta-
nie on doceniony. Oby. Ja swoją cegietkę
dokładam niniejszym tekstem. Piszę o tym,
bo to ważne. Jeśli coś zauważamy i jeste-
śmy o jego wartości przekonani trzeba bić
w dzwony literackiej radości. Podam przy-
kład ważności takiej postawy, bo nim się
chwale. Lata temu podczas Piastowskiej
Biesiady Poetyckiej organizowanej przez nie-
odżałowanego Pawła Kubiaka uparłem się,
aby nagrodzić młodą poetkę, która miała
za sobą debiutancki tomik „Otwarta na 77
stronie”. Dowodem mego uporu i przeko-
nania o wartości nagrodzonych wierszy był
dodatkowo tekst „Nowa siła w poezji – tak
wieszczę” (Kwartalnik RED nr 1(2) maj 2007).
Ten tekst, ta nagroda dotyczyła... Małgo-
rzaty Lebdy, dziś gwiazdy jasno świecącej
na literackim firmamencie. Gienek raczej
schodzi ze sceny i bliżej mu na pole trzcin,
ale świeci, a nawet rozbłysnął. Piszę tę myśl
dla potomnych, aby kiedyś, natrafiwszy na
„Poeta pisze do nieskończoności” wiedzieli,
że mają do czynienia z – jak powiedział-
by Rorty – t ę g i m poetą Eugeniuszem
Kurząwą.

ANDRZEJ WOŁOSEWICZ





Agnieszka Moroz

Magdalena Grzebałkowska „Dezorientacje. Biografia Marii Konopnickiej”

Zdolną kobietę uratować może tylko łupet. Konopnicka go miała. Za to ją pokochacie i za to znienawidzicie, a na pewno poczujecie się co najmniej zdeorientowani, czytając jej fenomenalną biografię pióra Magdaleny Grzebałkowskiej!

Kiedy myślę o szkolnej narracji budowanej wokół Konopnickiej przez wskazania sylabusów i biogramy z podręczników, na bazie których przedstawiano nam jej sylwetkę, moje wspomnienia krążą wokół lakonicznych haseł, takich jak: realizm, działalność społeczna, Rota, Głupi Franek, Dym czy krasnoludki. Wzięję tę więczy wizerunek statecznej matrony w kapeluszu i binoklach.

Ani słowa o mężu- chłopomaniu i niedzielnym znachorze, który wiecznie się z kimś procesował i zadłużał rodzinę, namawiając dzieci do podpisywania jego weksli. Ani słowa o samotnym wychowywaniu sześciorga pociech i tytanicznej pracy, jaką poetka musiała wykonywać (wypijając morze kawy, nieustannie zastawiając co tylko się dało w lombardach i zapożyczając się po redakcjach), by utrzymać tę gromadkę. Ani słowa o osobistych wizytach w więzieniach, przytułkach i szpitalach. Ani słowa o antyklerykalnych wystąpieniach Marii, za które pisarka musiała „przeprzeć”, leżąc krzyżem na kościelnej posadzce podczas ceremonialnej publicznej spowiedzi. Wreszcie, ani słowa o odejściu Konopnickiej od męża (co w XIX wieku było prawdziwym skandalem) czy o kłopotach z obłąkaną córką Heleną, która starając się o posadę, zawsze powoływała się na renomę matki, by następnie okradać pracodawców.

A przecież wszystkie te szczegóły „odratowane” przez Grzebałkowską z fragmentów listów (ocalałych jako niedobitki ze zniszczonej przez jej córki korespondencji), wspomnień czy urywków dokumentów i opisane w porywającym, zabawnym, a nawet poetyckim sposób, czynią z Konopnickiej postać daleką od szkolnych wyobrażeń!

Biografistka nie wystawia wprawdzie swej bohaterce jednoznacznej oceny, ale zderza czytelników z faktami, które każą im zdecydować: czy pokochać Konopnicką za poetycki kunszt, aktywny patriotyzm i pomoc, jaką niósła ubogim, czy też czuć do niej niechęć za to, jak potraktowała nieślubne dziecko Heleny albo wykorzystywała swoje wpływy, by zniweczyć aktorską karierę Laury (córkę) i osiągać inne, wątpliwe moralnie cele.

Polecam „Dezorientacje”!

Hanna Hoffman „Szkody”

„Gdziekolwiek będziesz, cokolwiek się stanie, będą miejsca w książkach i miejscach przy stole. Wciąż będzie poczętek, bo wszędzie są mosty” - śpiewał Marek Grechuta.

„Szkody” Hani Hoffman są właśnie tym obiecany miejscem w książce. Są drzwia-

mi do zdarzeń, które utknęły bezpowrotnie w przeszłości. Są mostem spotkań z bliskimi, którzy zdążyli już przejść na drugą stronę. I są wreszcie początkiem... pisarskiej kariery Hoffman, której - mam nadzieję - będę miała okazję świadczyć!

„Szkody” to spisana pięknym językiem literatura wspomnieniowa. Hoffman ukazuje w niej sceny z własnego dzieciństwa i wczesnej młodości na bogatym tle, utkanym zarówno z ważkich historii i uroczych anegdotek z życia rodziców czy dziadków, jak i przemian historycznych i społeczno-kulturowych.

Podczas lektury tej książki czułam się jakbym usiadła nad prywatną rzeką czasu. Tym bystrym strumieniem, do którego przez lata wrzucałam kamyczki z odcisniętymi śladami rzeczywistości, by teraz, po ponad dwóch dekadach, przekonać się, co z nich zostało. Gdybym łowiła je w pamięci, znalazłabym pewnie na dnie gładkie otoczaki, wylizane przez czas. Dzięki Hoffman udało mi się wypatrzyć skamieliny pełne barwnych żyłek obrazów z dni, kiedy - tak jak ona - przeliczałam pieniądże ze „starych” na „nowe”, dzwoniłam z telefonicznych budek na kartę lub żetony, czytałam książki Siesickiej i „Filipinkę”, tańczyłam w dyskotekach z brokatem we włosach i zachwycałam się „Truposzem” Jarmuscha.

Byłyśmy do siebie tak podobne! Dzieliłyśmy zarówno obsesyjny lęk przed przedwczesną śmiercią rodziców (którzy w wieku 40 lat wydawali nam się starzy), jak i niechęć wobec tradycji przyjmowania nazwiska po mężu, którą obie wiązałyśmy z utratą tożsamości (dziś jestem mężatką, a mimo to pozostałam przy swoim nazwisku).

Ale najbardziej uderzył mnie fragment, w którym autorka zauważa, że biegając po dworze w kitkach z gumkami z rowerowych dętek, nie zdawała sobie nawet sprawy, że jest biednym dzieckiem, które bawi się papierkami po cukierkach. Bo nikt z nas nie miał pojęcia o własnej „niedoli”, dopóki nie poznaliśmy Internetu. Byliśmy szczęśliwi tak po prostu.

Anna Burns „Mleczarz”

„Fatalność wchodzi do twojego mieszkania; wracasz do domu i zastajesz ją tam pod postacią mężczyzny w długich butach, opartego o piec. „Siadaj” powiadasz. I klamka zapada. Już się jej nie pozbędiesz. Przyłgnie do Ciebie na zawsze.”

To cytāt z książki „W oczach Zachodu”, ale postanowiłam od niego zacząć, gdyż oddaje kwintesencję przestania „Mleczarza”, a owa „fatalność”, która spada na Razumowa, staje się także udziałem bohaterki Burns- Średniej siostry. W tym sensie obie historie odbieram jako pokrewne, a „Mleczarz” wydaje mi się feministyczną wersją Conradowskiej powieści wielu masek. Obie w sposób doskonały odwzorowują rzeczywistość, w której polityka jest narzędziem do realizacji osobistych celów, a państwowi „tajniacy” i opozycjoniści to często jednakowe bestie. Niestety na tym kończą się podobieństwa. Podczas gdy „W oczach Zachodu” oczarowało mnie



fabularną gonitwą i głębią ujętą w stosunkowo lekką formę, „Mleczarz” okazał się ciężki i rozwleczoney, przegadany do granic możliwości. Co gorsza, nie wiadomo, jak do tego doszło!

Ta powieść ma parę mocnych stron, z których wyraźnie bije blask talentu autorki. Można wśród nich wymienić kunsztowny humor, operujący istic gombrowiczowskimi frazami (na przykład w scenie, gdy matka głównej bohaterki tłumaczy, jak przestała mieścić się w fotelu ze względu na rozrost jej „tylnych rejonów zapleczych”, dodając, że jej uda z wiekiem „po prostu obumarły”). Można wskazać i na fenomenalne, rozbudowane do granic absurdu barokowe metafory za pomocą których bohaterki próbują przekazać sobie nawzajem konkretne komunikaty, których jednak nie mogą wyrazić wprost z uwagi na wszechobecną cenzurę i poczucie bycia podsłuchiwaną przez otoczenie. Można wreszcie zachwycić się tym, jak Burns oddaje zjawisko rozrastania się plotki, stygmatyzację jednostki przez wzgląd na jej drobne dziwactwa czy poczucie osaczenia kobiety, którą obrał sobie za cel wysoko postawiony mężczyzna.

A jednak wszystkie te elementy zdają się funkcjonować w dziwnym oderwaniu, tak jakby szkielet powieści nie był wystarczająco przemysłany. Lektura „Mleczarza”

staje się przez to zwodniczo obiecującym spacerem po obrzeżach fabuły, podczas którego nie znajdujemy drzwi do wnętrza.

Sebastian Barry „Czas starego boga”

Z przyjemnością ogłaszam, że czas starego boga pisarzy i dobrego literackiego rzemiosła jeszcze się nie skończył! W głośnej powieści Sebastiana Barrego trwa jego złota epoka. I połyskuje szlachetnie, nienachalnie niczym stare złoto.

Historia Toma Kettle'a - emerytowanego policjanta, którego „szczęśliwe i bezpieczne trwanie w miejscu” wypelnione patrzaniem na fale oceanu i kormorany zostaje pewnego dnia przerwane przez wizytę dwóch funkcjonariuszy, mogłaby być zwykłym thrillerem, a jest dziełem literatury pięknej.

Z jednej strony czytelnik poznaje bowiem szczegóły śledztwa, które niegdyś prowadził Tom. Zgłębia mroczną tajemnicę traumatycznych przeżyć bohatera z czasów dzieciństwa i odkrywa sekret późniejszych dramatycznych zdarzeń z udziałem Toma i jego żony. Z drugiej jednak wędruje przez opowieść Kettle'a jak przez sen - poetycki i dziwny, zagadkowy, chaotyczny i przesycony realizmem magicznym. Musi zachowywać czujność, wsłuchiwać się w dialogi i czytać między słowami.

Mnie uderzyła prawda zawarta w niepozornym zdaniu, jakie pada podczas spotkania Toma z jego córką. Na tym etapie lektury rozumiałam, że muszę kwestionować realizm niektórych zawartych w tej historii obrazów. I spodobało mi się to zaproszenie do intelektualnego wyzwania wystosowane przez autora, który traktuje czytelnika jak równego sobie.

„Czas starego boga” to książka piękna i ważna, ale też wyjątkowo bolesna. Obok zapadającej w pamięć, poruszającej historii miłości, mieści w sobie taką ilość okrucieństw (i to wobec dzieci) oraz osobistych dramatów głównego bohatera, że momentami przypominała mi „Małe życie” Yanagihary.

A jednak język Barrego jest inny. Po prostu płynie (brawa dla Agi Zano za mistrzowski przekład!), zachwyca i oczarowuje, zdejmując nieco ciężaru z barków udręczonego emocjonalnie czytelnika.

Anna Kamińska „Simona. Opowieść o niezwykłym życiu Simony Kossak”

Kiedyś sądziłam, że gdybym miała okazję spotkać Simonę Kossak, z miejsca byśmy się polubili. W końcu - tak jak ona - uwielbiam naturę, szczególnie tę nieokiełznaną, często obserwuję leśne zwierzęta i mogłabym w nieskończoność przeglądać atlasy owadów, ptaków albo morskich stworzeń.

Po przeczytaniu książki „Simona. Opowieść o niezwykłym życiu Simony Kossak” wiem już, że to były mrzonki! Simona wcale by mnie nie polubiła! Bo nie lubiła większości kobiet, traktując je jak rywalki. Jeśli już nawet któraś znajoma zdołała za-

skarbić sobie cień sympatii Simony, musiała oddawać jej pierwszy plan i uznawać jej bezwzględna rację w każdej możliwej kwestii...

Bezkompromisowość Simony, jej wewnętrzna siła i nietuzinkowa osobowość, ufundowana na sprzecznościach, nie rozwinęły się jednak samoistnie. A stworzona przez Annę Kamińską biografia Simony świetnie oddaje towarzyszące temu okoliczności!

Dzięki Biografistce poznajemy Simonę nie tylko jako naukowca, biologkę, ekologkę czy autorkę niezwykłych filmów przyrodniczych, ale także - a może przede wszystkim - jako osamotnione, odrzucone dziecko.

To dziewczynka, która miała być chłopcem - czwartym Kossakim, spadkobiercą wybitnych talentów artystycznych pradziadka, dziadka i ojca. To „beztalencie” i ostatnia gałązka rodu, który wydał na świat znamienite pisarki: Marię Pawlikowską-Jasnorzewską i Magdalenę Samozwaniec. To gorsza i brzydsza córka, którą matka stawiała zawsze w cieniu ładniejszej Glorii, traktując Simonę jak popychadło, służącą i opiekunkę, by na koniec oficjalnie ją wydziedziczyć. To była mieszkanka domu-galerii, pełnego kosztownych obrazów, która w swojej leśniczówce powiesiła na ścianie „Damę z Łasiczką” wykonaną z... opakowania po bombonierce.

Książkę Kamińskiej czyta się jak powieść. Mieści w sobie historię upadku starego rodu, anegdoty o niezwykle mądrym i złośliwym kuku, który terroryzował całą wieś, legendę o wielkiej miłości i oczywiście opowieść o Simonie - bohaterce niemal nierealnej!

Spędziła 30 lat w leśniczówce bez prądu i bieżącej wody. Trzymała w domu sowę, rysia i oswojonego dzika. Odnalazła własną drogę tam, gdzie wszyscy inni z pewnością by zawrócili.

Ia Genberg „Szczegóły”

„Tym właśnie jest „ja” lub tak zwane ja: pozostałościami osób, o które się ocieramy” - pisze Ia Genberg, po czym rozkłada własną osobowość na szczególne i niuanse, zaczerpnięte od ludzi, którzy kiedyś byli jej bliscy. Ich także rozlicza z zapożyczonych od niej „naleciałości”. Zupełnie tak, jakby wierzyła, że można dokopać się do jakiejś tożsamościowej tabuła rasa, wymazując wszystkich, którzy zostawili na nas swoje odciski palców...

„Szczegóły” to intymne studium czterech różnych relacji, budowanych przez bohaterkę z ważnymi dla niej osobami: Johanną, Niki, Alejandrem i Brigitte. Te małe prozy, pisane wyczelowaną frazą i zgrabnym stylem, są pełne bystrzych obserwacji, przemycających wiele uniwersalnych prawd o złożoności ludzkiej natury.

Najbardziej zapadły mi w pamięć spostrzeżenia dotyczące Johannę. Opisy sytuacji, w których ta dziewczyna nieoczekiwanie zmieniała się o 180 stopni (jakby jej minami można było sterować poprzez pociąganie za niewidzialny sznurek) to literacki majstersztyk! Zachwycały mnie też wzmianki o tym, jak główna bohaterka odnajdywała w słowach swojej ex dziewczyny własny głos: „wtedy, gdy wybiera-

„potyczkę” zamiast walki, gdy wymawia „niemowlę” z wyraźnym „e” i gdy używa słów, takich jak: „tumult” i „uwikłany”, i „pauperski” - które wymyśliłyśmy razem.”

Pozostałe podrozdziały nie są już niestety równie świeże i zajmujące, a autorka zdaje się za ich pośrednictwem kontynuować swój przedziwny psychologiczny eksperyment z determinacją godną lepszej sprawy. Bo czy można w ogóle dotrzeć do sedna własnej tożsamości? Czy można być kimś osobnym skoro wszyscy składamy się z rozmaitych ról, twarzy i postaci - po trosze własnych, przez nas dla siebie zaprojektowanych, a po trosze cudzych, ufundowanych na inspiracji świadomej lub mimowolnej?

Beata Biały „Słońca bez końca. Biografia Kory”

Boginie nie umierają. I Kora też nie umarła. Wciąż słyszę jej głos w poetyckich piosenkach i w mocnych rockowych kawałkach. Wciąż bywam nią, kiedy „przez okno patrzę znużona, z tęsknotą myślę o burzy”, gdy „faluję w rytmie zmierzchu” i kiedy lecę do Grecji, by znów jeść „słodkie, słodkie winogrona” i słuchać cykad, gdy z falowania przechodzę w spadanie, a potem czuję, że się ściemnia - „czarny horyzont zachodzi na czoło”... I wciąż do niej powracam - ostatnio za sprawą biografii autorstwa Beaty Biały.

„Słońca bez końca” to nie jest typowa książka biograficzna z wiodącym narratorem. Jej koncepcja opiera się raczej na założeniu Nałkowskiej: „jest się takim, jak myślą o nas inni”, gdyż Biały nadała jej kształt zbioru wywiadów z członkami rodziny, przyjaciółmi i znajomymi Kory. Dzięki temu czytelnik ma szansę zapoznać się nie tylko z najważniejszymi wydarzeniami z życia Olgi Sipowicz, ale także poznać zabawne, intrygujące czy szokujące szczegóły, wyłaniające się z morza opowieści i anegdot z jej udziałem.

Otrzymujemy zatem barwny i wielowymiarowy portret Kory, ukazujący jej cierpienie i afirmację życia, szaleństwa i huśtawki nastrojów, pozy i wygłupy, mistyczne poszukiwania, wyobrażnię i energetyczną charyzmę. To biografia uszyta w równą mierze z przerażająco smutnych wspomnień o traumatycznym dzieciństwie Kory, wypelnionym samotnością i doświadczeniami przemocy, co z historyjek o alpakach, które poetka traktowała jak „wolne zwierzęta”, dopóki nie zżarły wszystkich kwiatów w jej ogrodzie. To po prostu życie wyjątkowej osoby przedstawione w sposób możliwie najbardziej obiektywny (co akcentuje powtarzanie tych samych historii z perspektywy różnych rozmówców).

Nietypową - jak na biografię - ciekawostką jest umieszczony na końcu książki kosmogram Kory, dzięki któremu odkryłam, że dzieło z nią astrologiczny układ planet z dwiema Bliźniętami w słońcu i ascendentem w wojowniczym Lwie. Pomijając jednak „ciała astralne i inne sprawy czarowników” Kora jest dla mnie ikoną i inspiracją, przypominającą, że dopóki „nie muszę siedzieć, nie muszę leżeć”, wszystko jest dobrze.

WYCHODZENIE Z SIEBIE

W 2012 roku ukazał się jedenasty tomik poetycki Marcina Barana pt. „Niemal całkowita utrata płynności”, który w następnym roku uzyskał we Wrocławiu zarówno poetycką nagrodę Silesiusa, ale także Literacką Dynię w kategorii „Najgorsza książka roku”, co ukazywało lekką absurdalność polskich nagród literackich, bo przecież to trochę dziwne, że dwa gremia jurorskie w tym samym roku i w tym samym mieście wręczyły nagrody temu samemu poecie zarówno za najlepszą książkę wydaną w poprzednim roku jak i za najgorszą. Zamieszanie zupełnie nie było potrzebne, gdyż tamta książka nie należała do najbardziej udanych w dorobku krakowskiego twórcy i nie dorównywała choćby „Zabiegom miłosnym”, czy „Sprzecznym fragmentom” i jeżeli ktoś czytał poezję od dłuższego czasu, bez częstego spoglądania do rubryk kto dostał ważne w danym roku nagrody, mógł sobie sam wyrobić zdanie na temat tej książki. Od tamtego czasu minęło kilkanaście lat i nakładem poznańskiego wydawnictwa WBPICAK w 2024 roku ukazał się dwunasty zbiór wierszy i próz poety pt. „Darni”. Ciekaw jestem czy najdłuższa przerwa wydawnicza w przypadku działalności Marcina Barana miała coś wspólnego z tymi nagrodami, czy poeta po prostu potrzebował więcej czasu do namysłu i do napisania nowych wierszy i próz?

Tytułowa „Darni” dobrze określała zawartość ostatniej książki poety, gdyż to słowo odnosiło się do powierzchni łąk i pastwisk składających się z różnych roślin i właśnie Baran poświęcał najwięcej twórczej uwagi w swoim tomiku powierzchni – obserwacjom i opisom działań zapisywanym nierzadko w poetyckim dzienniku. Jeżeli w „Drugiej stronie” Marian Stala zauważył, że „Marcin Baran był poetą konceptu”, a w jego poezji można było odnaleźć także „intelektualny dystans”, to w „Darni” wydawało się w niektórych miejscach, że Baran chciał zniwelować odległość do rzeczywistości i zanurzyć się w niej i ją opisać. Humor nadal się pojawiał w jego poezji, ale temperowany był stroną opisową, często bez oceny rzeczywistości w postaci kpiny i ironii.

W „Darni” można było przeczytać m.in. o postępujących procesach starzenia się („Opisanie się”), chatupniczej metafizyce („Psalmi idiotkoi”), kiczowatej wystawie pewnej cukierni w Krakowie („Według ciasta”), namysle nad własną egzystencją („Oklepane”), kłótniach wywołujących łzy („To, co powiedziałem”), wulgarnych feministkach („Znikąd nadziei”), trudnościach („Winy i powinności”), korzeniach rodzinnych („Żylak”), swojej codzienności („Budzi się”), przecuciach odnośnie zbliżającej się śmierci („Wesołe miasteczka”), obserwowanej Odrze („W tej wodzie coś jednak jest”), albo przyrodzie („Krajowidoki ruderalne”), lingwistycznych wprawkach związanych z kilkoma słowami jak „ojczyzna”, „pacierz” i „macierz” („Rondo Mateczne (variazioni strategiche)”), istocie bycia poetą w aforystyczno-filozoficznym stylu („Poeta to pies wojny”), czy o niezrozumieniu siebie nawzajem („Psychopompy”). W tomiku można było znaleźć także utwór „Weśnie i najawy”, który był czymś w rodzaju poetyckiej prozy zbudowanej z fragmentów ułożonych alfabetycznie według pierwszych liter ich tytułów przypominających hasła słownikowe czy leksykonowe. W tekście można było znaleźć anegdoty,

wspomnienia, zapiski dziennikowe odnośnie zdarzeń codziennych, z komentarzem i bez komentarza jak i obserwacje przyrodnicze. Np. we fragmencie pt. „Mango” można było przeczytać o staruszcze wybrzydającej na cenę mango w jednym sklepie i rezygnującej z jego zakupu. Poeta nie kpił, nie ironizował, ale docenił nieufność klientki. Sądząc z tytułu całości tekstu niektóre zapisy dotyczyły snów, ale nie różniły się one za bardzo od zapisów realnych sytuacji.

Jedną z ważniejszych książek roczników 60-tych była druga książka poetycka Marcina Świetlickiego pt. „Schizma”, w której krytyka zauważyła chęć zerwania z inteligentnymi powinnościami dawania świadectwa na rzecz skupienia się na sprawach prywatnych. Jednym z ważniejszych tekstów pomieszczonych w „Schizmie” był wiersz „Tryb życia”, w którym Świetlicki zanotował wykonywane przez siebie codzienne czynności – picie kawy i herbaty, jeżdżenie do pracy, a także „oderwanie od rzeczywistości” i brak „istotnych lektur”, itp. Wspominałem o wierszu Świetlickiego w tym miejscu, gdyż „Budzi się” Barana wydawał się być nawiązaniem, czy nawet odpowiedzią napisaną po wielu latach na „Tryb życia”. Baran opisywał siebie w trzeciej osobie – po pobudce, myślał o Bogu, wyjmował masło z lodówki „żeby zmieścić”. Opisywał także czynności związane z przygotowywaniem śniadania i odprowadzaniem dzieci do przedszkola. Wspominał także o punktualnym chodzeniem do pracy itp. Wiersz kończył się opisaniem kolejnej pobudki kogoś kto nie wiedział do końca, czy był żywy, choć wydawał się „niekoniecznie niemartwy”. O ile codzienność opisana przez Świetlickiego, mimo jeżdżenia do pracy była oderwana od spraw zmieniającego się świata, to Baran opisał swoją codzienność, w której było więcej zgody na to co się działo i biegło swoim rytmem. O ile Świetlicki w wierszu pisał o wgłębianiu się w siebie podczas codziennych rytuałów by o sobie nie zapomnieć, by tkwić przy sobie, to Baran raczej dawał porywać się codziennym, powtarzanym czynnościom, choć budząc się miał wahania czy się nie zatracił w codzienności. W wierszu Świetlickiego jeśli pojawiła się troska, która według Martina Heideggera była podstawą egzystencji, to była to troska o siebie, zaś w wierszu Barana

było więcej troski o innych.

W wierszu „Krajowidoki ruderalne” znajdowało się notatkowe zestawienie obserwacji przyrody i pogody uczynione w mieście podczas różnych pór roku. Baran odnotowywał np. padający deszcz na bezlistne drzewa, pisał o przebiegającym mu drogę kosie, ale także pisał o kwiatach akacji i czystym niebie. Wiersz przypominał pewne sceny z filmu „Dym” (w reżyserii Wayne’a Wang’a), w którym główny bohater Auggie Wren codziennie o tej samej porze wykonywał zdjęcie ulicy, przy której stał jego sklep z tytoniem. W wierszu Barana podmiot liryczny opisywał zapewne obserwacje poczynione w tej samej okolicy, w różnym czasie.

W wierszu „Psychopompy”, w którego tytule użyto neologizmu, Baran ukazywał absurd sytuacji związany z próbą nawiązania kontaktu pomiędzy ludźmi, którzy chcieli udzielić pomocy, a tymi którzy jej potrzebowali, ale sytuacja stawała się nieprzyjemna przez to, że ci pierwsi nie znali się na danym zagadnieniu, a wydawali się drążyć temat. Tytuł był neologizmem, który uzyskano ze zbitki dwóch wyrazów „psychika” i „pompy”. Można zauważyć, że tytuł stawał się komentarzem do treści wiersza, który pozbawiony pointy już określał jego krytyczne zabarwienie. Ktoś odpompywał z kogoś siły vitalne i psychikę, tylko po to by mieć o sobie dobre zdanie jako tego, który próbował pomóc i napompywał się.

Nie poznałem wszystkich książek poety przez trudność ich zdobycia i wypożyczenia, ale „Darni” wydawała się książką, która mogła się ukazać przed „Tanero”, w której znać było ślad wpływu awangardowej poezji Andrzeja Sosnowskiego, a co za tym idzie odrzucenie opisywania zdarzeń i sytuacji na rzecz takiej intelektualnej i uogólniającej perspektywy. Barana wiersze w „Darni” to próba pisania po swojemu, w starym stylu, ale także próby pisania nieegotycznego i bez kpin, ale także odwoływanie się do podstaw założeń poezji własnego pokolenia, które nie miało programu. Na pewno „Darni” to książka o wiele lepsza niż poprzednia „Niemal całkowita utrata płynności”.

MATEUSZ WABIK

Marcin Baran, Darni, Poznań 2024



Mateusz Wabik

BÓG I TURYSTYKA

Do ostatniego numeru „Toposu” z lipca 2025 roku dotychczas tomik wierszy Marka Rapnickiego pt. „Koliber”. Wcześniejszych książek poety nie czytałem, więc było to moje pierwsze spotkanie z jego poezją. Jednak sprawdziłem gdzie trzeba i okazało się, że debiutancki tomik wierszy Rapnickiego ukazał się w 1985 roku nakładem wydawnictwa „Kret” i nosił tytuł „Z notatnika pielgrzyma wyłowione”, kilka późniejszych jego książek wydała także krakowska Miniatura.

Głównym tematem „Kolibra” była wycieczka do Włoch i zwiedzanie zabytków sakralnych z grupą pielgrzymów-wycieczkowiczów. Poeta odwiedził wiele miast i mniejszych miejscowości jak Rzym, Ravenna, Spello, Spoleto, Cortona, Chioggia, Werona, czy Siena. Wiersze wypełniały głównie opisy obrazów, dzwonnicy, kościołów, czy posągów oraz zachwyty nad nimi lub zapisane chwile zadumy, kiedy rozmyślało się nad przedstawionymi motywami przez dzieła. Jednak zabrakło w tomiku większej ilości aluzji do świata niesakralnego i nie związanego z wycieczką jak choćby zdawkowych opisów barów, gdzie jadło się obiad, hoteli, gdzie się spało, potraw, które się jadło, rozmów z Włochami na tematy niereligijne, choć wydawało się, że Rapnicki miał żytkę anegdociarza i talent opisywacza, gdyż opisy zwiedzanych zabytków, nie były tylko beznamiętną prozą informacyjną znaną z przewodników turystycznych. Nie raz czuć było – oprócz zachwytów, lekką ironię, sarkazm, czy drwinę np. w wierszu „Czary”, podczas zwiedzania krypty w kościele San Ponziano, poeta zauważył, że jego grupa oprowadzana była przez kogoś „nienormalnego czyli geniusza”, który „za dużo/świętych książek naczytał”, w wierszu „Tuscania.

Santa Maria Maggiore” zestawiał podziw dla kolejnego zwiedzanego zabytku w atmosferze powagi z wdzięcznością przewodniczki czy kasjerki za wniesienie opłaty za bilety do zabytku jakby pamiętał uwagę Kordiana, że w Europie Zachodniej wszystko można kupić za pieniądze. Także bliskość z sferą sacrum może kosztować kilka euro. W „Ciężeniu” Rapnicki przesuwając się wzdłuż porowatej ściany w kierunku jakiegoś świętego obrazu porównał cennie i z prowincjonalną prostotą do ścierania pumeksem naskórka z pięt by „zmyć winy”.

W jednym z ciekawszych wierszy z tomiku nie związanych bezpośrednio ze zwiedzaniem świątyń pt. „Przypadek Messnera” Rapnicki przypominał sylwetkę Reinholda Messnera, włoskiego himalaisty, który jako pierwszy człowiek zdobył wszystkie ośmiotysięczniki. Rapnicki porównywał w wierszu zwinność i wytrzymałość wspinacza do świstaka, kozicy i niedźwiedzia, ale cały jego wysiłek wg poety poszedł na marne, gdyż Włoch nie znalazł na szczytach gór żadnego Boga. Rapnicki wyzyskał w tym wierszu przekonanie pogan, że ich bogowie mieszkali na szczytach gór i chrześcijański motyw kierowania skarg do Boga, modlitw, z dołu do góry.

Zwiedzanie zabytków sakralnych we Włoszech przez Rapnickiego było próbą wybicia się z monotoni byle jakiej codzienności o czym pisał w wierszu „Na pustyni”. Poeta wybrał zainteresowanie tradycją katolicką, gdyż chciał porzucić świat zmieniających się mód, ciekawych filmów, pięknych aktorek. Jednak poszukiwania religijne we Włoszech nie oznaczały referowania swojego poczucia obecności Boga, bo jego nie

odnalazł. Było to dreptanie niby w powadze i w cierpliwości, ale naprawdę przelatywanie przez kolejne zabytki, które były świadectwem nieobecności boskiej we współczesnym świecie co przypominało refleksje Nietzschego z „Narodzin tragedii”. Poszukiwania metafizyczne w obiektach wpisanych od lat w świat turystyki skończyły się porażką, ale może też dlatego, że Polacy będąc gdzie indziej, nigdy nie potrafili wyjść ze swojej polskości o czym pisał Tadeusz Różewicz w swojej powieści „Śmierć w starych dekoracjach”. Też się przyznam, że będąc we Włoszech daleko nie zaszedłem w poznawaniu włoskości. Raczej zapamiętałem góry, zabudowę miast, rozmowy z Włochami, czy biwak w Mestre, niż cokolwiek innego gdyż pobyt w galerii Uffizi i podziwianie „Narodzin Wenus” Sandro Botticellego tuż po tym jak odeszły od obrazu Japonki robiące sobie na jego tle zdjęcie skończyły się refleksją, że ten obraz tyle razy był już odnawiany, że wyglądał bardziej jak plakat niż obraz sprzed ponad czterystu lat. Dopłynięcie promem na darmowy film w ramach festiwalu w Wenecji w kinie na wyspie Lido okazało się nieporozumieniem, bo ten film za darmo to był dokument o Mongolii, a podobnych filmów dokumentalnych i programów podróżniczych naoglądałem się w polskiej telewizji w latach 80-tych całkiem sporo. Jednak krakowskie malarstwa młodopolskie robiło większe na mnie wrażenie niż włoski renesans. A co do tych wierszy z tomiku „Koliber” bardziej intrygowaty od tekstów tych poetów, którzy żyli w poczuciu obecności boskiej.

MATEUSZ WABIK

Marek Rapnicki, Koliber, Gdynia-Kraków 2025

Mateusz Wabik

PRECYZJA ZESTAWIANIA OBRAZÓW

W 2024 roku ukazał się we Wrocławiu kolejny tomik poety i byłego redaktora naczelnego „Nowego Nurtu” - Mariusza Grzebalskiego pt. „Tylko kanarek widział”. W tomiku znalazły się wiersze, do których przyzwyczaił już dawniej poeta z Poznania, a które Karol Maliszewski opisał w „Rozproszonych głosach”, że były jakby notowane przez „kamerę wiersza”, co wiązało się ze spisywaniem obserwacji z okolic, w których mieszkał i pracował poeta, albo, w tych gdzie spędzał urlopy. Także znalazły się w tomiku wiersze wspomnieniowe z dawnych lat oraz wiersze nieco przypominające wczesne wiersze Janusza Szubera upamiętniające zmarłych i żywych członków rodziny poety. Poeta od lat wydawał się mniej egotyczny i powściągliwy w uczuciach niż poeci skupieni wokół „Brulionu”, nieobcy był mu humor, a także pewna doza abstrakcyjnych rozważań, których nie było zbyt wiele w nowej książce. Na pewno realistyczna liryka amerykańska na czele z obiektywistami i angielska były znane poecie, gdyż unikał jak mógł wszelkich wpływów nadrealnych i awangardowych, wszelkich wrażeń uczuć zniekształcających język i obrazy. Nie podkolorowywał tych obrazów, ani nie dorysowywał wystającego języka, ani ich nie deformował. Faktycznie nowy tomik poety czytało się jakby oglądało się album ze zdjęciami okolic, rodziny lub z dawnych lat. Niekiedy wiersze Grzebalskiego miały inte-

lektualny charakter, kiedy np. opalizowało znaczenie tytułu z krótką treścią wiersza.

Wiele drobnych rzeczy, na które wielu ludzi nie zwróciłoby uwagi podczas przechadzki czy przejazdu po mieście nie umknęło poecie jak np. widok umalowanej dziewczynki jadącej do szkoły na rowerze, czasami pisał o czymś co go zaskakiwało jak np. znalezione w domu, podczas remontu stare zdjęcie jego i małżonki, także kupowanie nowych przedmiotów do domu wywoływało wspomnienia starych, mniej nowoczesnych, a także nie umykało jego uwadze rozdrażnienie jego suki na widok niektórych ludzi, czy widok Ukrainek siedzących na trawie, które popijały wódkę i zagryzały „ją węgierekami”. W przeciwieństwie do niektórych poetów widok ukraińskich uchodźców w Polsce nie wywoływał w poezji Grzebalskiego wspomnienia audycji radiowych i telewizyjnych o rzezi wołyńskiej.

Przykładem wiersza o sprawach obecnych, które wiązały się z przeszłością był wiersz „Obce jabłonie”, w którym podmiot liryczny nie mogąc spać w nocy czytał wiersz o cmentarzu, a także porównywał stare czasy z nowymi poprzez zestawienie potraw, które jadł kiedyś z żoną z tym na co pozwalali sobie obecnie: „kiedyś jadaliśmy głównie kartoflaną./ ogórkową, pomidorową -/same pożywne zupy./ale nigdy gazpacho”. Z wierszy z zapamięta-

tylko wspomnieniami z dawnych lat warto było zwrócić uwagę na opis pobicia poety przez kolegankę szkolną w wierszu „Ruda”, albo przypomnienie pracy wakacyjnej przy przeładowywaniu trzydziestokilogramowych worków z cementem w krótkiej prozie poetyckiej „Stacja kolejowa Poznań Wola”. Także udana była proza poetycka „Grudzień 1987”, opisująca niegdyś zimowy wyjazd do Jeleniej Góry z kolegą, podczas którego w pociągu poczęstowali wódką „dwóch żandarmów i dwóch skutych z nimi szeregowych”. To wspomnienie nie wiązało się z osobistymi sprawami poety, ale raczej chodziło poecie o przypomnienie spraw z dawnej epoki, które dzisiaj rzadko były spotykane, gdyż odkąd zawieszono przymusowy pobór do wojska w 2009 tak i ściganie przez żandarmerię dezertów nie było sprawą dzisiaj częstą.

Mimo tego, że „Tylko kanarek widział” wydawał się zupełnie udanym tomikiem i na pewno jednym z ciekawszych w dorobku poety, to jednak mi zabrakło w nim większej dozy odgłosów codziennej szamotaniny, jakichś polemik politycznych i artystycznych, czy większej dozy wyobraźni osobistej niż tej europejsko-zachodniej przywołującej wspomnienia i zestawiające je z codziennością.

MATEUSZ WABIK

Mariusz Grzebalski, Tylko kanarek widział, Wrocław 2024

Mateusz Wabik

LABIRYNT Z LEDWIE PRZECZUWANĄ DROGĄ DO WYJŚCIA Z NIEGO

W 2025 roku ukazał się kolejny tom wierszy Marka S. Podborskiego pt. „Szwank”. Na pewno nieczęsto się zdarzało ostatnio w Polsce, by nowa książka poetycka, w której zaprezentowano nowe wiersze miała ponad dwieście stron, na których zamieszczono ponad sto dwadzieścia wierszy. Taka obszerność zbioru wierszy, który nie był wyborem wierszy z dawnych lat, to postawienie sobie bardzo wysoko poprzeczki, bo trudno sobie wyobrazić jakiegokolwiek twórcę, nawet z tych najbardziej cenionych przez krytykę, by miał przygotowanych do druku, aż sto nowych, dobrych wierszy. I niestety ta obszerność tomiku Podborskiego była jego największą wadą, bo książka wydała się niepotrzebnie aż tak rozdęta, chyba, że autor chciał np. pobić rekord Guinnessa, albo choćby rekord Polski w kategorii najgrubsza, nowa książka poetycka w Polsce jak Zbigniew Pawłowski, który znany był głównie z tego, że ustanowił rekord Polski w ilości wydanych w jednym roku książek poetyckich, gdyż wydał ich aż dziesięć w 2023 roku.

Drugą bolączką poetycką Podborskiego był częsty brak zakotwiczenia wiersza w jakimś konkretnie, czy opisie jakiejś sytuacji lirycznej, gdyż wiele jego wierszy opierało się na jakichś poetyckich monologach, motywach literackich wpiętych w rozmyślanie uciekające zupełnie od rzeczywistości, ale także sporo jego wierszy wpisywało się w poetykę liryki wyznania.

W jego wierszach znajdowało się ślad lektur książek fantasy, eposów rycerskich, „Don Kichota” Miguela de Cervantesa, „Biblii”, poetów Młodej Polski, słowiańskiej mitologii, niekiedy jego wiersze wydawały się mroczne i kołyszające się na różnych symbolach jak poezja Grzegorza Kaźmierczaka. Jednak w przeciwieństwie do wokalisty Variete, poezja Podborskiego była często zbyt przegadana. Mrocznym, posępnym klimatem niekiedy poezja Podborskiego przypominała wiersze Jerzego Ł. Kaczmarka, który jednak nie zapominał o jakichś realiach, szczególnie wziętych z obserwacji świata za oknem czy podczas przechadzki. Czasem Podborski w swoich wierszach stosował zabiegi lingwistyczne, kiedy dzielił słowa na mniejsze co przypominało wiersze Roberta Tekielego, z tą różnicą, że wiersze tego drugiego zbudowane były z zabiegów lingwistycznych, a w przypadku tego pierwszego owe zabiegi ograniczały się do krótkich fragmentów wierszy. Jednak na plus wydawało się to, że Podborski miał świadomość błędzenia przez „labirynty słów”, tak jakby ten nadmiar wierszy służył nie tyle artystycznej ekspresji, czy wyrazowi własnego światopoglądu, ale

był przebywaną drogą do jakiegoś celu, który trudno było sprecyzować.

Mimo tych narzekań na poezję Podborskiego z tomiku „Szwank” nie było tak, że nie znalazłem w tym tomie udanych utworów. Znalazłem i to nie jeden, ale przeważała wata literacka, zagmatwane poetyckie zwrotki-nicołki, alergia na konkretny i uchwycenie świata na gorąco, czy poetyckość do kwadratu prostopadła do niejakości wyrazu. W wierszu „Puch” Podborski zwał na słowa i to, żeby wiersz nie był przeciążony nadmiarem symboliki zaszębiającej się na samej sobie. Wiersz był trudny i autorefleksyjny, a podmiot liryczny pisał o chceniu uchwycenia jakichś głosów poza nim porównywanych do „puchaczy/w pokutną noc”. Noc stawała się miejscem dla złapania oddechu, rozciągniętą chwilą w czasie, w której można było spotkać się z samym sobą i swoimi myślami. Poranek był przyjęciem „prostej konstrukcji”, a niezadowolenie występujące w wierszu pod postacią „szumu” redukowało się do „minimum”. Noc była powrotem do siebie, dzień zaś odejściem od siebie przystosowaniem się zewnętrznych prawideł, do których nie był przekonany podmiot liryczny. Wiersz był świetny, gdyż nie było w nim ani jednego zbędnego słowa i gdyby z dziesiątków wierszy ze „Szwanku” powykreślać zbędne linijki osiągnięto by skondensowane obrazy takie jak w „Puchu” i na pewno pomogłoby to poezji Podborskiego stać się ciekawszą. Choć ta uwaga nie dotyczyła tych kilku erotyków z pierwszej części tomiku, gdyż one wydawały się aż nazbyt udane.

Podobnie jak „Puch” na tle wielu słabych wierszy Podborskiego odznaczała się jakąś tam wyjątkowością np. poetycka, mroczna anegdota „Separacja”. Jednak przez wszystkie aluzje i informacje zawarte w tekście nie była do końca zrozumiała, gdyż niedomówienia i treść słabo ze sobą współgrały, bo wiersz dotyczył jakiegoś Bogdana, którego żona opuściła, a on zrozumiał, czym naprawdę jest wojsko, zdezerterował, nabawił się choroby psychicznej i został mordercą. Tyle z treści wiersza wynikało, choć przez styl nie można było być pewnym czy się wszystko w tym wierszu dobrze rozumiało. Jednak pojawiła się w wierszu jakaś sytuacja liryczna i chciało się go czytać, a nie tylko przerzucać kolejne wersy, kolejnych wierszy, by skończyć i odhaczyć tomik jako przeczytany.

Poezja Podborskiego z tomiku „Szwank” odznaczała się ponurością, łatwością wyruszania w regiony wyobraźniowe, baśniowe, legendarne, w której rzeczywistość i świat schodziły na dalszy plan, choć kiedy poeta stawał się bardziej zrozumiały i realniejszy tym lepsze wydawały się jego wiersze. Jednak z takiej ilości wierszy wybrałbym trzydzieści, czterdzieści i wydał zwyczajny tomik. Przy takim natłoku niejakości, trzeba więcej cierpliwości by docenić poetę, za te dobre, ciekawe teksty.

MATEUSZ WABIK

Marek S. Podborski, Szwank, Bydgoszcz 2025



Mateusz Wabik

POLSKO-UKRAIŃSKA KONFRONTACJA POETYCKA

W tym roku ukazał się w Bydgoszczy almanach poetycki „W polsko-ukraińskim, poetyckim kręgu. Bydgoszcz-Czerkasy”, w którym znalazły się wiersze siedemnastu polskich poetów i siedemnastu ukraińskich. Almanach również zaopatrzone w przybliżające ukraińską i polską poezję słowa wstępne autorów wyboru Stefana Pastuszewskiego pt. „Poezja na miarę czasów” i Nataliji Horiszny pt. „Od Mickiewicza i Bośniackiej – do bydgoskiej szkoły poetyckiej”, postawia Lwa Chmielkowskiego pt. „Poezja ominęła cenzurę” i Lucyny Siemińskiej pt. „Wokół poezji polskiej i ukraińskiej” oraz krótki tekst wspomnienny Stefana Pastuszewskiego pt. „Zapomniana polska poetka z Ziemi Czerkaskiej” o pozytywistycznej poetce Elżbiecie Bośniackiej i jej wiersz „Do Rusinów od autora Rognedy”. Wszystkie wiersze zostały opublikowane w almanachu w dwu językach – polskim i ukraińskim, zaś niektóre tłumaczenia wierszy z ukraińskiego wydrukowano w dwu wersjach jak wiersz „***Tato od dwudziestu lat...” Hanny Synyook, który można było poznać w tłumaczeniu Lucyny Siemińskiej jak i Małgorzaty Grajewskiej. W antologii kilka wierszy zaprezentowano także w języku francuskim. Almanach kończyły notki biograficzne i zdjęcia Czerkasów autorstwa Oлександра Kostyrka.

Jeśli chodziło o najbardziej udane wiersze ukraińskie to warto zwrócić uwagę przede wszystkim na teksty Mariji Czekariowej, Larysy Kostiuks, Wasyla Pacharenki, Hanny Synyook, Nataliji Horiszny i Walentyny Kowalenko. Wiersz zatytułowany „Poświęcone rokowi 2022” urodzonej w latach 90-tych poetki i dziennikarki Mariji Czekariowej nawiązywał do rosyjskiego, raketowego ataku na Odesę w 2022 roku. Podmiot liryczny w wierszu zwracał się do roku 2022, który został antropomorfizowany, a poetycki monolog kończył się zarówno słowami otuchy jak i świadomością nieodwracalności śmierci „Odbijemy miasta, lecz by wskrzesić ludzi./brak nam siły”. Także Larisa Kostiuks swój wiersz pt. „Ból Ukrainy” poświęciła wojnie na Ukrainie. W nim Kostiuks również dokonywała antropomorfizacji Ukrainy, której serce przebił „podły wróg”. Poetka zwracała uwagę na to, że mimo bólu jaki odczuwali Ukraińcy podczas wojny, kiedyś ona się skończy, rany wojenne się zagoją, a Ukraińcy „będą znów wysoko wznosić”. Wasyl Pacharenko w swoim wierszu pt. „Szabl” opisywał miłość do kozackiej szabli, ale przestrzegał, że można się nią skaleczyć jeśli nie umiało się z nią obchodzić, gdyż przewidywał, że nie będzie wisiła bezużyteczna na ścianie. Hanna Synyook poetka i docent uniwersytetu w Czerkasach w swoich nieco sproszkowanych wierszach jak już wspomnianym „***Tato od dwudziestu lat...”, czy „***Każda epoka...” przekonująco łączyła sferę realistyczną z wyobraźniową. Natalija Horiszna w nieco modernistycznej „Milczącej duszy” opisywała świat duszy, a Walentyna Kowalenko w „***Słyszę...” odwoływała się do poetyki magicznych zaklęć i w swoim wierszu przywoływała wschodniosłowiańskiego boga Dażboga, przodków i żywioły by stały się po stronie Ukraińców.

Z polskich wierszy najbardziej przekonujące minimalistyczne obrazy wojenne poetki i niegdyśszej redaktorki naczelnej „OKA” Heleny Dobaczewskiej-Skonieczki, „kraj” Joanny Gładkowskiej-Rosińskiej, w którym pojawił się obraz kraju zniszczonego przez wojnę jak i udanie wykorzystano aliterację: „kroję krainę ukradkiem/kraję i krwawię”, niezwykle precyzyjnie skonstruowany „W locie” doświadczony poeta Zbigniewa Joachi-

miaka, w którym lot samolotem zestawiono z poczuciem nieistnienia czasu, także wiersze Stefana Jurkowskiego i Lucyny Siemińskiej wydawały się całkiem do rzeczy. Natomiast bardzo rozczarował mnie wiersz Bartłomieja Siwca pt. „Czas szakali” napisany w odmiennej poetyce od tej ze znanych mi jego tomików wierszy.

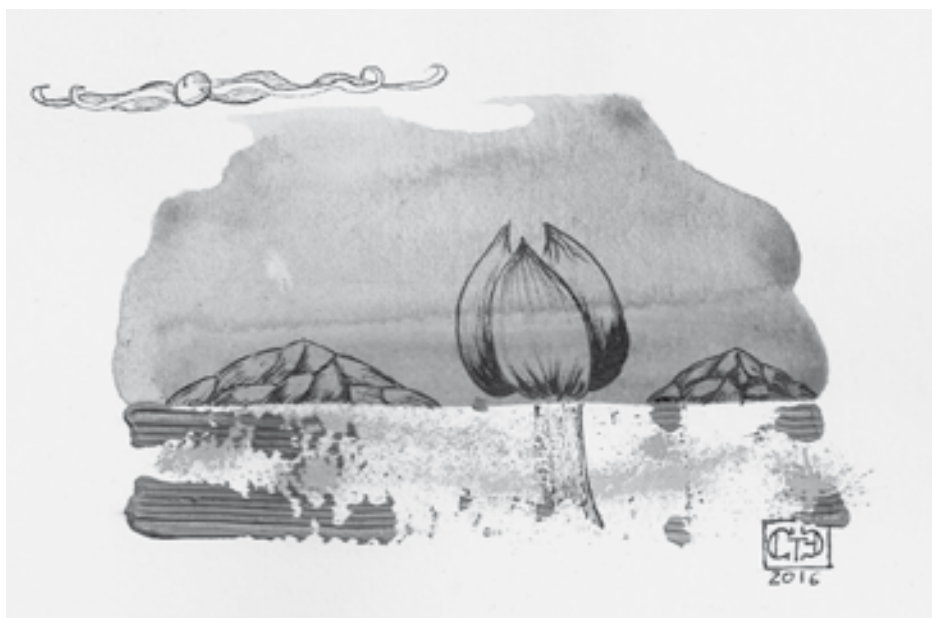
Pomimo tego, że w słowie wstępnym Stefan Pastuszewski wśród cech ukraińskiej poezji wymienił: postawę obywatelską, sentymentalizm, śpiewność, ludowe korzenie i przywiązanie do tradycji, a polskiej przypisał większe bazowanie na intelekcie oraz brak nawiązywania do sylabizmu i sylabotoniki to wydaje mi się, że Ukraińcy w tej antologii byli bardziej odważni w stosowaniu rozmaitych środków wyrazu, sięgali do podświadomości, ich poezja była bardziej różnorodna, potrafili poetycko uchwycić skrajne emocje. Także wydało mi się podczas lektury, że zaistniało sporo podobieństw w wielu wierszach polskich i ukraińskich, czego nie zauważył Pastuszewski i trudno byłoby je rozróżnić, gdyby wydrukowano je bez imion i nazwisk autorów. Chodziło mi o takie drobne, ciche wiersze, w których niewiele się działo, padał deszcz lub spadały liście z drzew, jakby wy-rastały z przekonania twórców o ważności pisanie w swojej samotności w czasie przy-ptywu natchnienia. A np. całkiem udany, choć nie wymieniony przeze mnie wcześniej wiersz Walentyny Kowalenko zaczyna-jący się od słów „***Nie oswajaj mnie...”, w której kobiecie podmiot liryczny zwracał się do mężczyzny, żeby jej nie oswajał, gdyż chciała być nadal „dzika jak cisza” mógł się kojarzyć z poezją Urszuli M. Benki, albo Anny Czekanowicz. Trzeba pamiętać o tym, że często najlepsze wiersze nie mieściły się

w schematach literaturoznawczych.

Wspomniane rozpoznanie literaturoznawcze trochę traciło lekkim szowinizmem narodowym, bo wiadomo, że to zawsze dumnie brzmiało, że nasi poeci uprawiali poezję intelektualną, a tamci babrali się w jakichś uczuciowych sentymentalizmach, a do tego zabarwionych tradycją klasycystyczno-romantyczną, czego się polska poezja pozbyła już lata temu. Jednak poza kilkoma przypadkami wierszy polskich z wyraźnie zaznaczoną pracą intelektu, w almanachu przeważało średniactwo intelektualne i wiersze pisane od jednej, czy dwóch sztanc, bez charakteru. Trudno Polakom będzie zrozumieć Ukraińców tak długo jak będzie uznawano się za istotne nadal, że polska kultura i literatura powinna być tradycyjnie pod wpływem rosyjskiej i francuskiej literatury i kultury. Poza tym pokój zawsze był skrajnie odmienny od wojny i trudno sobie byłoby wyobrazić by polscy poeci milczeli, gdyby Polska została najechana przez jakąś armię. Jeśli bydgoski almanach rozpatrywać w kategoriach meczu piłkarskiego pomiędzy reprezentacją Ukraińców z obwodu czerkaskiego i okolic, a polskimi poetami z Bydgoszczy i kilkoma asami z innych regionów to wydaje się, że Ukraińcy wygrali mecz, choć jedną bramką. Chociaż na plus trzeba zapisać redaktorom, że nie włączyli do almanachu współczesnych polskich wierszy o UPA i rezi wołyńskiej pisanych przez wielce „ntelektualnych” poetów, bo to by dopiero była konfrontacja poetycka.

MATEUSZ WABIK

W polsko-ukraińskim, poetyckim kręgu, wyb. N. Horiszna i S. Pastuszewski, Bydgoszcz 2025



Alicja Dmowska

TO, O CZYM NIE CHCEMY SŁYSZEĆ

Książeczka niewielka, ale zaskoczenie duże. Zaskoczenie podwójne. Bo rzadko się zdarza (prawie nigdy), żeby ktoś za pisanie swej pierwszej literackiej książki brał się dobiegając dziewięćdziesiątki. A tu właśnie tak jest. A drugie zaskoczenie to wymowa i przestanie tego tomiku. Przemawia głosem pewnym i wiele przemilczanych rzeczy nazywa po imieniu. W większości są to sprawy takie, o których nie chcemy słyszeć. Które pomijamy. Które lekceważymy. Których istnienie negujemy. Których powszechności nie chcemy dostrzec i z którymi nie chcemy się konfrontować. Autorka, Mirosława Gąsiorowska swą pierwszą książkę napisała w czasie pandemii. „Żeby nie zwariować w zamknięciu i izolacji” – tak powiedziała w wywiadzie dla tygodnika „Zawsze Pomorze”. Były to jej wspomnienia (Zamykając kręgi, Fundacja Światła Literatury, Gdańsk 2023) – od dzieciństwa na wielkopolskiej wsi po dzień obecny na gdańskiej Morenie. Książka została dobrze przyjęta i to autorkę zachęciło, żeby pisać dalej. I tak powstała garść opowiadań – rozmyślań pod tytułem „Głos ciszy. Rozmyślenia przed wschodem i zachodem słońca”, którą teraz trzymam w ręce i która – nie ukrywam – głęboko zapisała się w mojej pamięci i sercu. Gąsio-

rowska w swoich rozmyśleniach zaprasza nas w rewiry podeszłego wieku. Pokazuje świat, który najczęściej istnieje za zamkniętymi, a może nawet zatrzęsniętymi drzwiami, za progiem, którego najchętniej byśmy nie przekraczali. Ona te drzwi szeroko otwiera, mówi „Co tam próg, wejście do środka. I nie zamykajcie oczu. Nie zatykajcie uszu. Chcę Wam opowiedzieć, jak to jest, jak ma się dziewięćdziesiąt lat i gdy człowiek staje się dla innych niewidzialny, przezroczysty, zbędny”. To, co jest tytułową ciszą, zaczyna przemawiać. Dowiadujemy się, jak to jest żyć, gdy źle się styszy, źle widzi, ma się kłopoty z poruszaniem, gdy jest się skazanym na egzystencję w czterech skromnych ścianach. Gdy większość rodziny i przyjaciele nas opuścili i teraz zastępować ich muszą ozdobne kubki, które kiedyś w ich towarzystwie nabywała w czasie podróży w rozmaite zakątki świata. Jak to jest, gdy stajemy się wagonem kolejowym odstawanym na bocznicy. Gdy łatwiej jest udawać,

że opowiada się o kimś innym niż o samym sobie, co jest przemysłowym sposobem mikry i samoobrony. To przejmujące wynurzenie. W swej bezpardonowości często wręcz porażające i oskarżycielskie. Ale jakże warto zdać sobie sprawę, że taka rzeczywistość jest udziałem wielu milionów ludzi. Jednym z najpiękniejszych opowiadań jest to, które porównuje życie do rzeki z jej (jego) meandrami, zakolami, meandrami i uskokami na skalistym dnie. Źródło rzeki to narodziny, ujście do morza i roztopienie się w jego odmęcie, to śmierć. „To chyba oczywiste” – pisze Gąsiorowska. I ma rację. Tak samo, jak ma rację, gdy na końcu dodaje „Ale w sumie nie jest aż tak źle”. Dobrze, że taki przebieg optymizmu pojawia się w finale tych opowiadań. To jeszcze bardziej dodaje im siły i autentyzmu.

ALICJA DMOWSKA

Mirosława Gąsiorowska, Głos ciszy. Rozmyślenia przed wschodem i zachodem słońca, Światło Literatury, Gdańsk 2025.

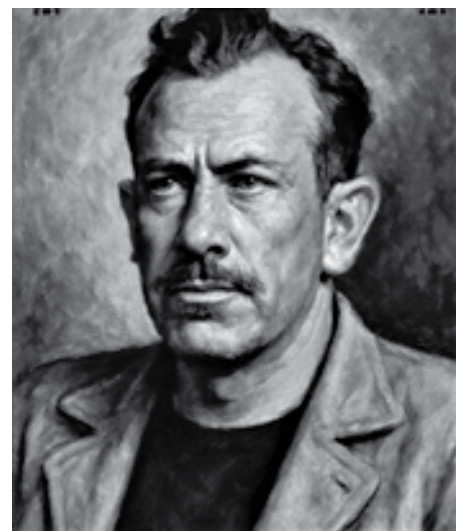
Dariusz Tomasz Lebioda

KALIFORNIJSCY WŁÓCZĘDZY

Bezpośrednio po pierwszej wojnie światowej kalifornijskie miasteczko Monterey, leżące między San Francisco a Los Angeles, znane było przede wszystkim z małych przedsiębiorstw łowiących i puszkujących sardynki, a prosta zabudowa niczym specjalnym się nie wyróżniała. Nie można tego było powiedzieć o urodzie natury i wiecznie zjawiskowym Oceanie Spokojnym, przy którym ustawiły się wysokie wzgórza nadbrzeżne, porzeżowane licznymi parowami. Rozległa zatoka w naturalny sposób nadawała się do utworzenia portu i w 1770 roku skorzystali z tego Hiszpanie, gdy ulokowali tam stanicę wojskową. Wtedy też zaczęły się pojawiać murowane domy, a franciszkanie wzniesli kamienny kościół pod wezwaniem św. Karola Boromeusza, który jest najstarszą budowlą tego typu w Kalifornii. Wraz z powstaniem budynków użyteczności publicznej poszło też uznanie osady za stolicę kalifornijskich posiadłości Hiszpanii i Meksyku. Zachowały się stare fotografie z 1918 roku, kiedy to zaczyna się akcja powieści Johna Steinbecka pt. *Tortilla Flat*, prezentujące puszkarnię sardynek i drewniane budynki portu rybackiego. Bohaterami tej prozy są włóczędzy *paisanos*, szukający swojego miejsca w społeczności dzielnicy nazywanej *Tortilla Flat*. Steinbeck już na początku swojej opowieści wyjaśnia kim oni są: *Kto to jest paisano? Mieszaniec krwi hiszpańskiej, indiańskiej, meksykańskiej i ras europejskich. Jego przodkowie mieszkali już w Kalifornii lat temu sto czy dwieście. Mówi po angielsku z akcentem paisano i po hiszpańsku z akcentem paisano. Kiedy go zapytać, jakiej jest rasy, z oburzeniem odpowiada, że w jego żyłach płynie czysta krew hiszpańska, i podwija rękawy, żeby pokazać prawie białą skórę przedramienia. Brąz twarzy, przypominający barwę dobrze wypaloną piankową fajkę, przypisuje słońcu. Jest po prostu paisano i mieszka na wzgórzu nad miastem,*

w dzielnicy zwanej *Tortilla Flat*, czyli *Równina Tortilla*, chociaż teren wcale tu nie jest równy.¹ Niestety niektórzy krytycy nie stanęli na wysokości zadania i zaczęli analizować utwór jako moralitet z elementami historii o królu Arturze i jego rycerzach, do czego przyczyniło się pojedyncze, niewinne nawiązanie Steinbecka do tej postaci. A przecież przywołał on też, ze znaczącym puszczeniem oczka do czytelnika, Rolanda i Robin Hooda, co mieściło się w obrębie lekkiej, pijackiej opowieści, komicznie stylizowanej na poważną dysputę.

Podstawą akcji utworu jest przyjaźń związana pomiędzy trzema przyjaciółmi – Dannyem, Pilonem i Joe Portugalczykiem, którzy w chwili wybuchu I wojny światowej zgłaszają się do armii amerykańskiej i są gotowi ruszyć do Europy, by bić się z Niemcami. Danny jednakże ujeżdża muły w Teksasie, Pilon trafia do pozostającej w kraju piechoty, a Joe idzie do więzienia. Po czterech latach, gdy Danny wraca do Monterey, dowiaduje się, że zmarły dziadek pozostawił mu w spadku dwa drewniane domy. Kończy się zatem spanie pod gołym niebem, na brzegu oceanu lub w lesie, a zaczyna się czas stabilizacji, gromadzenia się w chłodne dni przy piecu i picia galonów wina w jakże bezpiecznej enklawie. Przyjaźń *paisanos* jest tak wielka, że Danny wynajmuje drugi dom Pilonowi, choć obaj wiedzą, że nigdy nie znajdzie pieniędzy na opłacenie czynszu. Po szeregu machinacji, udostępniania domu kolejnym kolegom, dochodzi do zaproszenia ognia i „posiadłość” idzie z dymem. Paradoksalnie wydarzenie to cementuje wspólnotę i we właściwym domu Danny'go lokują się Pilon, Pablo, Jezus Maria Corcoran, Joe Portugalczyk i Pirat ze swymi psami. Tak powstaje coś na kształt pierwotnej komuny hipisowskiej, dbającej o jej członków i zapewniającej im dach nad głową oraz rozrywkę podczas nieustającego festiwalu pijaństwa i gadulstwa, kończącego się cza-



sem bijatykami. Tylko tóżko jest integralnym terytorium właściciela i nikt nie może na nim leżeć w dzień, ani spać w nocy, bo to jest potwierdzenie jego przywództwa. W trakcie pożaru Danny przebywa w domu pani Morales, oddaje się uciechom ciała i prawie nie zwraca uwagi na to, że przyjaciele uszczuplili jego stan posiadania. Pablo, Pilon i Jezus Maria pragną jednak zamanifestować swoją skrucę i idą z powrotem spać do lasu. Danny pozwala im jednak zamieszkać w ocalałej hacjendzie, znajduje też miejsce dla lekko upośledzonego Pirata i jego pięciu psów. Mężczyzna ten trudnił się sprzedażą drewna na opał i codziennie odkładał ćwierćdolarówkę w tajemnym miejscu w lesie. Czynił tak, gdy uznał, że św. Franciszek w cudowny sposób uzdrowił jego psa, co spowodowało, że obiecał mu kupno złotego lichtarza za tysiąc quarterów (250 dolarów – wtedy

prawdziwa fortuna) do kościoła w Monterey. Przyjaźń między paisanos jest tak wielka, że przyjmując Pirata do ich domostwa, ślubują, że nie ruszą pieniędzy i pomogą mu zgromadzić obiecaną sumę.

Czas płynie wolno i kolejne wydarzenia przetykane są ożywionymi dysputami przy galonach wina i kradzionego jedzenia. Bohaterowie powieści Steinbecka mają swoją ludyczną wiarę w Boga i cuda, które wydarzają się za sprawą świętych, a życie jest pełne piękna i nagłych olśnień: Popołudnie przyszło równie niepostrzeżenie, jak niepostrzeżenie przychodzi starość do szczęśliwego człowieka. W jasnym słońcu pojawiły się ciemniejsze pasma złota, niebieska tafla zatoki błękitniała, marszcząc się w lekkim wiatku.² Proste sprzęty, dziwne znaleziska i złodziejski spryt przydają dodatkowych kolorów temu światu, w którym podarowanie odkurzacza lubieżnej pani Ramirez, nazywanej Stodką Megierą, powoduje, że jakiś czas Danny korzysta z jej uroków. Nie ma przy tym znaczenia fakt, że kobieta nie dysponuje w swoim domu elektrycznością, starczy, że przechodzący przy nim ludzie widzą jak imituje odkurzanie. Wspólnota często kieruje się ludzkimi odruchami serca, jak w przypadku wólczącego się po Monterey kaprala z dzieckiem. Odpychany i zamykany w aresztach, doświadcza na jakiś czas dobra nowych przyjaciół i gdy umiera jego pociecha, potrafi to zaakceptować, tak jak wcześniej pogodził się z tym, że jego żona odeszła do kapitana. Wiele razy w tej powieści Steinbeck nawiązuje do filozofii stoickiej, szczególnie, gdy jego bohaterowie są ciężko doświadczani przez życie. Choć są wyrzutkami społecznymi i wiele przewin mają na sumieniu, potrafią też być wierzącymi w Opatrzność Boską altruistami i zdobywać się na wielkie poświęcenia. Opisy ich dobrych uczynków przypominają w powieści relacje z żywotów świętych, a gdy potrzebne są do tego przestępstwa (kradzieże, drobne oszustwa), tłumaczą to wyższą koniecznością i dobrem ludzi będących w potrzebie. Wiele razy pojawiają się w powieści też nawiązania do zdarzeń ewangelicznych, co ma związek z katolicyzmem potomków zdobywców hiszpańskich. Często wspólnota gromadzi się w Domu Dannego i poszczególni jej członkowie opowiadają sobie zajmujące historie, z których – jak z przypowieści biblijnych – wyłania się jakiś morał. I chociaż te relacje są czasem żartobliwe, a innym razem wręcz szydercze, wymowa faktów jest taka, że płynie z nich określona nauka moralna. Życie komuny staje na głowie dopiero wtedy, gdy w tajemniczych okolicznościach znika jej niepisany guru – Danny. Doprowadzi to do jego śmierci w pijackim zwiądzie, gdy rzuci się na przyjaciół, a potem spadnie z wysokości dwunastu metrów do wozu i poniesie śmierć na miejscu. Pogrzeb wojskowy, który będzie mu przysługiwał z racji służby w amerykańskiej armii, będzie rodzajem smutnego zwieńczenia losów człowieka, który nie znalazł w życiu właściwej drogi, choć prawdziwym końcem jest pożar drugiego domu i rozejście się przyjaciół ku różnym stronom świata.

Gdyby ktoś pokusił się o napisanie dzieł Johna Steinbecka, pojawiających się w powieściach tego kraju, to bohaterowie *Tortilla Flat* Johna Steinbecka znaleźliby w takiej monografii poczesne miejsce. Tak jak postaci Twaina, Faulknera, Hemingwaya, Fitzgeralda, Caldwell i wielu, wielu innych pisarzy, którzy dokumentowali życie w dzikich i urbanizowanych krainach między dwoma oceanami. Młot amerykańskiego snu zawsze zderzał się z cierpieniem jednostek, które nie potrafiły sobie poradzić w trudnym świecie i godziły się na zmarnowanie życia kosztem chwilowej egzystencji, jakiegoś niewielkiego sukcesu lub



zapełnienia żołądka przygodnym pokarmem. Można chyba zaryzykować stwierdzenie, że proza amerykańska dwóch ostatnich wieków zajmuje się przede wszystkim ludzkimi losami i wysnuwa z nich szersze perspektywy, formułuje wnioski filozoficzne, socjologiczne i antropologiczne. I zawsze drąży sprawy, które w Nowym Świecie było najistotniejsze – kwestie dostosowania się do przyrody i przestrzeni miejskich, związki genealogiczne i rodzinne, a także postawy jednostek w obliczu historii i zmieniającej się wciąż rzeczywistości. *Krajobraz prozy amerykańskiej po drugiej wojnie światowej* – pisze prof. Krzysztof Andrzejczak – uległ widocznej przebudowie w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, a kolejne dziesięciolecie przynosiło coraz to ostrzejsze starcia tradycji z liberalizmem, realizmu z postmodernizmem, idealizmu z pesymizmem. Przystały mieć sens uświęcone sposoby jej oceny, wypalili się przypisywane w jej mity.³ W świetle uwag znanego amerykańisty warto postawić pytanie o miejsce Steinbecka i jego bohaterów w tym złożonym procesie. I wtedy zauważymy z całą ostrością, że staje się on soczewką skupiającą wiele problemów dwu-

dziesięciolecia prozy amerykańskiej – daje też możliwość wyjścia poza własne schematy i w swoich najbardziej innowacyjnych powieściach wytycza dalekosiężne cele i kreśli nowe, jakże intrygujące drogi. *Tortilla Flat* zawsze będzie przyciągać uwagę czytelników, bo autor z niezwykłą lekkością ukazał w tej powieści prostych ludzi szukających swojego miejsca w kalifornijskiej rzeczywistości, ale też i na niebieskiej planecie, na której od dawien dawna trwa walka o człowieczą godność i sens egzystencji. Steinbeck przypomina, że człowiek jest pytkiem, który decyduje tylko o chwilowym przetrwaniu, a reszta należy do potężnych sił, które nim targają. Gdzie to się zaczyna, gdzie kończy...? Cóż... – jak mówi inny amerykański noblista, także opisujący postawy ludzkie w innej materii słownej – odpowiedź zna wiatr...

DARIUSZ TOMASZ LEBIODA

¹ John Steinbeck, *Tortilla Flat*, przeł. J. Zakrzewski, Pruszyński i S-ka, Warszawa 2022, s. 8–9.

² Tamże, s. 53.

³ K. Andrzejczak, *Od Hemingwaya do powieści # Me Too*, Kraków 2022, s. 8.

Dariusz Tomasz Lebioda

LUDZKIE PRZEPAŚCIE

Czytelnik powieści Han Kang pt. *Lekcje greki* musi zastanowić się w trakcie lektury, czy wstępne nawiązanie do napisu z tyłu steli grobu¹ Jorge Luisa Borgesa, znajdującego się na cmentarzu w Genewie, symbolizuje odwieczny rozdźwięk pomiędzy kobietą i mężczyzną? Pełne pogodzenie pomiędzy nimi możliwe jest tylko pośród mrocznej nocy, gdy tulą się do siebie i szepczą miłosne zapewnienia. Ale poza tym uświęconym obszarem zawsze między nimi pojawia się miecz, którego symbolika u Borgesa zaczerpnięta została z nordyckiej Sagi o Völsungach. Muszą ciągle godzić się na ustępstwa, bo ich natury pełne są przeciwieństw, jak w przypadku ociemniałego argentyńskiego pisarza i jego młodej, japońskiej żony Marii Kodamy, która była z nim ledwie przez trzy ostatnie miesiące życia. Straszliwa jest ta niemożność porozumienia pomiędzy młodością i gerontologią ciała nieuchronnie osuwającego się w nicłość i niczego nie zmieniającej afirmatywne zapewnienia kobiet, które związały się ze starcami, tuż przed ich odejściem ze świata żywych. Kang wskazuje, że dodatkowym utrudnieniem, w przypadku argentyńsko-japońskiej pary, była ślepota Borgesa i jego hermetyczne zamknięcie w przestrzeniach wyobraźniowych, które tworzył przez dziesięciolecia. Powieść koreańskiej noblistki została napisana innowacyjnie, bo narratorami w różnych jej częściach są naprzemienne kobieta i mężczyzna. Ona całkowicie przestaje mówić, gdy słowa stały się dla niej rodzajem udręki: *Najwięcej cierpienia przysparzał jej fakt, że kiedy otwierała usta i wyrzucała z siebie słowa, każde z nich brzmiało przeraźliwie wyraźnie. Nawet w banalnych zdaniach ujawniały się wówczas dobitnie niczym w bryłce lodu kompletność i niekompletność, prawda i fałsz, piękno i brzydota. Wstydziła się zdań, które snuły się jej z ust jak białe pajęczyny nici. Zbierała je się na wymioty. Chciała wydobyć z siebie krzyk.*² Wszystko u tej kobiety ma kształt totalny i nie daje się sprowadzić do prostych wymiarów, raczej orbituje ku czarnej pustce kosmicznej i zamknięciu bytu w odwiecznych normach egzystencji: *Milczenie, które powróciło do niej po dwudziestu latach, nie jest tak przyjemnie ciepłe, jasne i gęste jak wcześniej. O ile ta pierwsza cisza była czymś bliskim życia płodowego, o tyle ta obecna przypomina coś, co następuje po śmierci. Wcześniej zanurzona w wodzie, spoglądała na świat przebłykający znad tańi, teraz ma wrażenie, że stała się cieniem, że wędruje po twardych ścianach i powierzchni ziemi, zagląda do olbrzymich cystern z wodą i obserwuje kryjące się w nich życie. Choćby potrafi wszystko usłyszeć i przeczytać, nie jest w stanie otworzyć ust i wydać z siebie dźwięku. Niczym cień, który utracił łączność z ciałem, niczym puste wnętrze martwego drzewa, niczym ciemna przestrzeń między meteorytami – tym razem jest to zimna, rozrzedzona cisza.*³ Wspomniane wyżej dwadzieścia lat było czasem beznadziejnej walki i prób przyzwyczajania się do nowej sytuacji kobiety niemowy, która stała się nią z konieczności i częściowo z własnej woli.

Z kolei mężczyzna musi – tak jak Borges – zaakceptować swoją ślepotę, analizowaną przez ojca kobiety, okulistę i filozofa, uświa-



damiającego mu, że niebawem zacznie tracić widzialne kształty świata. Mieszkając potem na obrzeżu Seulu i wspominając lata spędzone w Niemczech, konstatuje ze smutkiem: *Choć noszę soczewki o maksymalnej mocy, nie dostrzegam już szczegółów. Kształty i gesty zlewają się ze sobą, a detale stają się wyraźne jedynie dzięki wyobraźni.*⁴ W takiej sytuacji rozważania nabierają charakteru ostatecznego i z ciemności wytania się scena sprzed kościoła św. Szczepana, gdy mężczyzna wpisuje kobiecie do notesu refleksję na temat Boga: *Na świecie istnieje złoto i cierpienie, ich ofiarami stają się niewinni ludzie. Jeśli Bóg jest dobry, ale nie potrafi tego naprawić, oznacza to, że jest nieudolny. Jeśli Bóg nie jest dobry, a jedynie wszechmocny, nie można go nazwać Bogiem. Dlatego dobry i wszechmocny Bóg to niemożliwy do przyjęcia błąd logiczny.*⁵ Miotając się między wizjami złego Boga, a iluzorycznego świata, pragnąc miłości czystej, mężczyzna traci powoli kontrolę nad samym sobą i niszczy uczucia, które przywiodły ich ku sobie. Ona też alienuje się i znajduje upodobanie w nauce nieprzydatnego dzisiaj języka starogreckiego – *Jej ciało zdradza skutki długotrwałego mutyzmu. Wydaje się twardsze albo cięższe niż w rzeczywistości. Chód, ruchy rąk i ramion, wydłużone i zaokrąglone kontury twarzy i barków – wszystko odcina się od świata wyraźną granicą. Nic nie wycieka na zewnątrz ani nie wnika do środka.*⁶ Mutyzm, czyli niemożność komunikacji może zakłócić odbiór świata i komplikować codzienne czynności. Szczególnie w sytuacji, gdy mamy do czynienia z drugą osobą, która również cierpi na tę przypadłość. W takiej sytuacji – *Świat to iluzja, a życie znaczący śnić*⁷ – czyli tworzyć nowe przestrzenie, albo komponować je we śnie z fragmentów, za-

pomnianych cząstek, jaskrawych lub przeobrażająco matowych wspomnień. Kang jest pisarką głębokiej zadumy nad światem i nad rozpadem więzi międzyludzkich, a jednocześnie proponuje czytelnikowi grę w uważną interpretację ciągu nakładających się na siebie zdarzeń, chwil decydujących o kształcie osobowości i jej możliwościach kreatywnych. W tej grze ostatecznie wszelkie oceny okazują się powierzchowne, bo w mężczyźnie i kobiecie pojawiły się bolesne pęknięcia, rozrastające się coraz bardziej i bardziej: *głucha cisza pomiędzy twoim ciałem – marnym instrumentem muzycznym – a pieśnią, którą będziesz wkrótce musiała wykonać, wydaje ci się czasem straszna niczym przepaść.*⁸ Warto jednak szukać odpowiedzi na jętrzące się pytania i próbować zasypać tę symboliczną przepaść między nimi, bo nadejdzie kolejna noc i bliskość odgradzi ich od nieprzyjaznego świata. Żaden człowiek nie rodzi się z obietnicą szczęśliwego życia, a raczej otrzymuje od losu zapewnienie, że będzie trudne i wyczerpujące. Dziękując z całą ludzkością kształty cielesne i osobniczą psychikę musimy walczyć o integralną świadomość i oddalać od siebie rozpacz egzystencji, na chwilę zapominając o osobowych przepaściach.

Pojawiające się w powieści nawiązania do antycznych greckich filozofów, przede wszystkim do Sokratesa i Platona, wskazują, że ta walka trwa od tysiącleci. Przywoływane fragmenty zdań i słowa w martwym języku starogreckim służą pisarce do snucia refleksji na temat Boga (théion) i jego możliwości widzenia naszego świata (theoria), ale też stają się platformą porozumienia pomiędzy studentką a wykładowcą⁹. Związek między nimi będzie się rozwijał i doprowadzi do bliskości, w której będą mogli chronić przez jakiś czas. Kang celowo rozmywa realia związku mężczyzny w Niemczech i w Seulu, by stworzyć wrażenie ludzkiej fatamorgany,

¹ Wziął miecz Gram i położył pomiędzy nimi, [w:] *Saga o Völsungach*, tłum. R. Leśniakiewicz, Sandomierz 2009, s. 65.

² *Han Kang, Lekcje greki*, przeł. J. Najbar-Miller, WAB, Warszawa 2025, s. 15.

³ Tamże, s. 19–20.

⁴ Tamże, s. 43.

⁵ Tamże, s. 49–50.

⁶ Tamże, s. 69.

⁷ Tamże, s. 85.

⁸ Tamże, s. 95.

⁹ Por. s. 125.

a dodatkowo nawiązać do małżeństwa Borgesa z Azjatką. Próba zrozumienia człowieka, który jak autor Powszechnej historii nikczemności, szybko i bezpowrotnie traci wzrok przeistacza się w wysiłek uosobienia niemej kobiety z wybranym mężczyzną: *Kiedy się budzę i uświadamiam sobie, że miałem sen, w którym przejrzałem na oczy, nie czuję cierpienia. Nie mam poczucia straty, nie ogarnia mnie rezygnacja. Podczas gdy sen powoli mnie opuszcza, ja także zdecydowanie odwracam się od niego. Gdy w końcu otwieram oczy, widzę zaledwie niewyraźny sufit, zamazane kontury przedmiotów. I tylko spokojnie upewniam się, że tym razem nie ma innego świata, do którego mógłbym się przedostać z tego snu.*¹⁰ Jak w wielu powieściach i opowiadaniach powstałych na Dalekim Wschodzie, Kang często nawiązuje do „zdarzeń” sennych, raz czyniąc je równymi życiu na jawie, a innym razem wyraziście oddzielając je od niego. Może dlatego najciekawsze refleksje filozoficzne pojawiają się w tej powieści po przebudzeniu głównych bohaterów, gdy substancja i idee jawią się jako awers i rewers tej samej monety, którą płacimy Charonowi za przewiezienie duszy do Hadesu. Platon wiedział, że nie istnieje piękno, bo perfekcyjne rzeczy nigdy nie istniały. Przynajmniej na tym świecie.¹¹ Tak przynajmniej sądzi mężczyzna, który – jak Platon – miał też doświadczenia homoseksualne, choć nigdy nie odwzajemnił darowanych mu uczuć, na chwilę tylko kryjąc się w cieple przyjaciela.¹² Po latach takie myśli docierają do niego w ciemności, gdy jest z kobietą i wyczuwa każde jej drżenie, słyszy każdy oddech i cieszy go intymne ciepło. Jego sytuacja jest tragiczna, bo utrata wzroku dla kogoś, kto poznał barwy świata, jego dale i głębokie, jest rodzajem przedśmiertnej amputacji zmysłu. Chciałby znowu wrócić do tamtych, szczęśliwych dni, ale całun ciemności okrywa go coraz szczelniej i codziennie przypomina, że wszystko się kończy, a potem nic się nie zaczyna. Powrót do materii jest mechaniczny i eschatologiczny i wcale nie daje pokrzepienia fakt, że z ludzkich pierwiastków powstanie nowe życie. Cóż im zatem zostaje? Muszą przyzwyczaić się do niemości i ślepoty, choć znają doskonale prześmiewcze określenie ich sytuacji – wiódł niewidomy niemowę pytając o drogę – nie mają wyjścia, osuwają się spiralnie ku czarnej dziurze śmierci. Czy czerń, z której dobiegają ich szepty jest taka sama jak w przepaściach, które się w nich otworzyły?

Czytelnik jest tutaj trochę zdezorientowany, bo zauważa, że im dalej postępuje lektura, tym powieść Han Kang staje się coraz bardziej fragmentaryczna i traci swoją wcześniejszą zwartość. Czy to jest świadome założenie pisarskie czy nie zniekształca to całej narracji? Szczególnie widać to, gdy autorka u końca powieści stosuje rozstrzelony zapis aforystycznych zdań, czasami oddzielonych od siebie wielokrotną interlinią. Może koreańskiej noblistce zabrakło sił, by dalej w swoim stylu konsekwentnie opowiadać o powiększającej się przepaści między kobietą i mężczyzną, a może uznała, że taki zapis będzie imitował ślepnięcie i niemość głównych postaci jej dzieła i ich nieuchronne odsuwanie się od siebie: *Kobieta nie ma już dłużej pewności, do kogo należą słyszane przez nią słowa. W stanie potwornego zmęczenia, w tym potwornie ciemnym i cichym mieszkaniu wszystko wydaje się jej iluzją. Niczego nie słyszała. Nie zajrzała do wnętrza innego człowieka.*¹³ Czy powroty i chwile cielesnej bliskości zrównoważą to, co rozgrywa się w ich świadomości? Czytelnik sam musi odpowiedzieć sobie na to pytanie, bo narracja Kang jest otwarta, dająca pole do popisu wyobraźni, często utożsamiającej bohaterów z własnymi doświadczeniami. On myśli, że stał się dla niej schronem, ale ona wciąż cierpi: *Stoją serce przy sercu, ale on wciąż tak wiele nie wie. Że dawno temu, w dzieciństwie, obserwowała zmierzch zapadający na podwórku przed domem i zastanawiała się, czy ma prawo istnieć na tym świecie. Że kolczaste słowa wbijają się w jej nagie ciało, powlekając je niczym pancerz. Że w jej oczach odbijają się jego oczy, w odbiciu jego oczu widać jej oczy, w jej oczach jego oczy... i że to trwa bez końca. Że ją to przeraża, że*

¹⁰ Tamże, s. 128 – 129.

¹¹ Tamże, s. 146.

¹² Por. s. 149.



mocno zagryza nabrzmiałe krwią usta.¹⁴ Świat więzi międzyludzkich stale zagrożony jest rozpadem i iluzorycznością, a zawiązywane związki muszą poddać się próbie charakterów, odmiennych wizji rzeczywistości i nihilizującej wszystko mocy czasu. Ludzie niosą w sobie przepaście, które zaczęły się otwierać w dzieciństwie, pogłębiły się w młodości i w wieku dojrzałym i prawdopodobnie poszerzą się w okresie starczym. Koreańska pisarka wskazuje, że często są one nie do zasypiania, ale próbować warto, bo ludzkie spotkania niosą nadzieję, znikną jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Rozmyją się w cieple przytulonych do siebie istot i chociaż na chwilę dadzą wytchnienie...

DARIUSZ TOMASZ LEBIODA

Han Kang, *Lekcje greki*, przeł. J. Najbar-Miller, WAB, Warszawa 2025, s. 230.

¹³ Tamże, s. 201.

¹⁴ Tamże, s. 217.

Andrzej Walter

CO TEŻ NAM SIĘ PRZYTRAFIŁO

Przytrafił nam się Grzegorz Trochimczuk i Jego klucz do literatury. Przy czym za pewniam Was, że jest on najwyższych lotów, gdyż zarówno proza w książce „Wszystko, co się nam przytrafiło”, jak i poezja w tomie „Rozstrzelany piasek” to pisarstwo przedniej jakościowej próby, którego źródłem i genezą są w obydwu przypadkach: pochłanianie ogromnej ilości mądrych książek czy seanse kinowe dla wymagających. Te punkty odniesienia, że się tak wyrażę, ukształtowały dojrzałego twórcę: dociekliwego, wartościowego i płodnego, który ma już w dorobku trzy książki publicystyczne oraz około czterysta tomów poezji wliczając w to jej wybory. Ostatnia proza to z werwą i życiem opublikowane dzienniki z okresu lat 2022-2024, o których jeszcze napiszę kilka słów, a wiersze to bardzo dobry tom poezji o tematyce antywojennej. Choć stwierdzić, że „Rozstrzelany piasek” to tom antywojenny, to tak jakby nic nie powiedzieć, bowiem wszystkie wiersze to niejako wędrówka przez ludzką historię wojen, przez zarzewia zła, jak również przez istotę tej już oślawionej banalności owego zła, przez dogłębną analizę metodologii konfliktów ludzkich stanowiących niejako pewną pełnię, istotę ludzkiej natury, dążącej często do agresji, rozwiązań siłowych nacechowanych lękami, frustracjami czy urazami psychicznymi. Autor wnika niejako w człowieczą skłonność, w jego mentalność zabarwioną stabością, chęcią zdominowania innych, w pokłady nieufności, wyobcowania czy całą tę dramaturgię różnic społecznych owocujących już u zarania naszego bytu pewnym genem wojowniczości dziecięcej kształtującej później całą tę łamiącą konfliktu kończącego się użyciem wytwarzanej w nadmiarze broni, a finalnie kończącej się banalną... śmiercią. A przecież wiemy, że ta śmierć, poniekąd zawsze determinanta istnienia, to nasz los, ale z punktu widzenia humanisty i człowieka kochającego ludzi, świat i sztukę po prostu każda śmierć, ba, każda przemoc jest zwyczajną tragedią, której dramaturgię oraz absurdalność powinien właśnie dojmująco przedstawić poeta w krótkiej formie wiersza albo prozaik w sile opisu, który wpłynie na czytelnika.

Grzegorz Trochimczuk muszę przyznać robi to doskonale. Swoje wiersze nasączył z umiarem całym bogactwem literackich odniesień, dokłada do tego stonowane emocje, oszczędnie operując słowem i szanując słowo prowadzi nas przez pytania i wątpliwości, przeprowadza przez krainy dylematów, sporów nawet o ocenę batalii czy bitew, ukrywa w kontekście treści samo nasuwające się pytania, które nie padają dosłownie, ale niejako wynikają z tej przejmującej lektury. W tomie „Rozstrzelany piasek” otrzymujemy niemal historię ludzkich wojen zmniejszonych do lapidarium świetnej poezji, która odświeża nam całe to zło, które się dokonało, na które przecież nie mieliśmy żadnego wpływu, ale naszą powinnością niemal jest refleksja, namysł, wyciągnięcie właściwych wniosków z tej niepotrzebności wielokrotnie śmierci uzasadnianej zawsze całą

wyższą koniecznością, co nie zmienia faktu, że każda śmierć dla wrażliwca jest końcem świata i oczywistą tej emocjonalną tragedią. Umiera bowiem nie żołnierz, ale czyjś ojciec, czyjś syn, konkretny Ktoś, kto kochał, był kochany, bez którego Kogoś ten świat... się kończy.

Czytałem w swoim życiu, bądź obejrzałem w kinie wiele antywojennych protestów songów, naszpikowany jestem do dziś mnogością tej niezgody na przemoc i genezę wojen, w ogóle te dwa pokolenia, zarówno Autora jak i moje, ukształtowane na całej tej przestrzeni kulturowej antywojenności, a pomimo tego głos w tej sprawie Grzegorza Trochimczuka zrobił na mnie ogromne wrażenie. Wiersze napisane są z jakąś gigantyczną siłą przyciągania treściowego i formalnego, skłaniają do wielokrotnego rozpoznawania metaforyki, aż wreszcie do poszukiwań kontekstów treściowych, źródeł literackich czy innych kulturowych, gdzie też często nam Autor to ułatwia czy naprowadza nań a to mottem, a to jakimś przypisem. W dzisiejszej dobie sztucznej inteligencji na wyciągnięcie ręki w wyszukiwarce smartfona, gdzie można sobie wszystko sprawdzić, taka lektura jest dalece ułatwiona, cały tekst przestaje być słowną łamigłówką, a poczyną tworzyć zarzewie relacji autora z czytelnikiem, relacji opartej na emocjach, wątpliwościach, pytaniach. Tak oferuje się czytelnikowi intelektualną poezję najwyższych lotów, poezję hipnotyzującą czytelnika i zmuszającą go zarówno do kilkukrotnej lektury, jak i do myślenia kreatywnego, aż po empatię i stany emocjonalnego wzburzenia. Niełatwo o to we współczesnej literaturze. Przy czym sam Grzegorz Trochimczuk jako Autor jest przykładem twórcy rzadko spotykanego – człowiek z przeszczepionym niemal piętnaście lat temu sercem (ponoć sercem kobiety), z wykształcenia matematyk (im blisko ku filozofom, fakt), ale i też pragmatyczny fachowiec od kultury żywienia, specjalista od konsumpcji i jej społecznych efektów, w swoim pełnym i aktywnym życiu zajmował się tak wieloma zadaniami, które zahartowały go mentalnie, że warto przeczytać sobie arcyciekawy artykuł z roku 2015 opublikowany w Gazecie Pomorskiej, w którym możemy przeczytać:

Teraz ma czas na pisanie. Od kilku lat publikuje, należy do Związku Literatów Polskich. Zapewnia, że poetycka wrażliwość nie wzięła się z kobiecego serca. A jeśli chodzi o twórczość w późnym wieku, to wyjaśnia, że młodym brakuje życiowych doświadczeń. Bo najpierw trzeba coś przeżyć, by mieć później z czego korzystać w twórczości.

- Coś już wiem i mogę to przekazać - mówi. - Cały czas staram się też doskonalić warsztat, żebym potrafił bardziej precyzyjnie wyrazić emocje, niepokojące myśli.

Dodaje, że jeszcze dużo nowych wyznać przed nim.

- Wiem, że teraz powinienem cieszyć

się każdą chwilą. Nie można niczego zmarnować. Nie odkładać niczego na później i głośić pochwałę życia. Gdzie mogę, tak właśnie robię! Po przeszczepie nie jestem bardziej kobietą niż byłem przedtem, bo przecież także faceci coś mają z kobiet i odwrotnie. Potrafię spokojnie, żeby nie przejmować się wszystkim za bardzo, nie denerwować się i nie stresować!

O śmierci pisze sporo. - Im więcej życia, tym więcej śmierci - uśmiecha się. O swojej na razie nie myśli. Czasem zastanawia się, ile lat czeka go do setki. Czy wtedy będzie jeszcze miał siły chociażby na krótki spacer?

Czy został specjalistą od spraw sercowych? - Historia z sercem nie przekłada się na miłosne problemy - śmieje się serdecznie i zastanawia: - To gdzie jest miłosne centrum, jeśli nie w sercu? W głowie?! W dotyku? Może w oczach? Może to nie serce jest źródłem miłości? Ale jeśli nawet nim nie kochamy, to każdy z nas powinien o własne serce dbać.

Napisał, że musi bić serce, żeby żyć. Po prostu. - W życiu bniemy w straszliwe drobiazgi, które okazują się nieistotne - opowiada. - Większość z nich należałoby zlekceważyć. Zostawić kilka ważnych dla siebie, rodziny. Czy kiedy miałem zawal? Zawałił się instytucja, w której pracowałem? Nie! Nic nie spłonęło z wrażenia. I wtedy zastanawiasz się: co jest w życiu ważne, istotne? A ilu młodych pędzi i nie ma czasu dla rodziny, a dzieci przekupuje drogi mi zabawkami. Po co? Przyjdzie choroba i co? Może zamiast wydawać pieniądze na obsługę NFZ-tu, należałoby wydać pieniądze na taką kampanię? Pobudzić ludzi do myślenia?

Właśnie to warto podkreślić. W życiu bniemy w drobiazgi. Drobiazgi determinują naszą codzienność, a to sprawia, że widzenie całości jest wtedy zamglone, niepełne i skazane na fałszywe spojrzenie. Grzegorz Trochimczuk ma w tym kontekście jeden cel – pobudzić do myślenia. To jest główna linia mentalna zarówno poezji Autora, ale i prozy. Ich przestanie. Bogactwo treści, dbałość o formę, magnetyzm metaforyki. Słowem świetna lektura.

„czytam historię
napisaną do czytania sto tysięcy razy
o tobie o was o nich – i o sobie
samym – niezastrzelonym
nierozzerwanym nierozrzuconym
niesplamionym niemym
wykrwawionym wojownikowi z jasną dziurą
w głowie”

Wiersze Trochimczuka w „Rozstrzelanym piasku” prowadzą nas przez pola bitew, przez pola śmierci, przez „bramy Mordoru”... tam, gdzie „wydarzyło się piekło”, tam gdzie ludzie – wojownicy „wsiąkli i krzyczą”, podróż nasza wiedzie przez wybrane: wojny

Napoleona, stopy spalonych książek w Berlinie, przez Górę Oliwną, czy też aż po kartę praw człowieka. To wstrząsająca wyprawa, ale i ożywiająca. Gen wojny wpisany jest nawet w nasz hymn, gdzie śpiewamy „jak zwyciężać mamy”, a później oglądamy Borodino po bitwie, jak dopalają się ognie, jak dogasają dusze i życie zamiera powoli, w bólu i cierpieniu. Wszystko to nawraca i powtarza się, wydarza się wciąż na nowo i powtórnie, człowiek bowiem ową wojowniczość, emanację konfliktem ma wpisane w krew od małego, a relacje społeczne go w tym upewniają, że walka o przetrwanie jest jak najbardziej słuszną drogą i drogą pożądaną, pochwalaną, a może i jedyną. W ten sposób kumulacja tematyczna tej poezji ukazuje esencję bytu ku wojnie i chyba perfekcyjnie odśladania nam jej kulisy. To jednak nie finał. To dopiero preludium analizy, analizy, która w poezji skończyć się nie może, gdyż nie byłaby prawdziwą tą poezją, gdyż ona – jako poezja właśnie – ma nas zostawić z pytaniami, z całą prawdą niedorzeczności śmierci wróbla, każdej śmierci, którą dane nam będzie doświadczyć, albo i tylko zobaczyć... i przeżyć. Tak – przeżyć. Nie każdy chce i może to przeżyć. Trochimczuk jedynie zaprasza, pisząc metaforycznie, obrazowo, czasem jedynie dając do zrozumienia. Tak się dziś pisze poezję. Emocjami. Sobą. Jeśli ktoś tego nie potrafi to nie pisze poezji, a jedynie stawia znaki graficzne, które o niczym nie mówią. Są tylko same dla siebie, a do nich dorabia się teorię.

Grzegorz Trochimczuk w „Rozstrzelanym piasku” pyta o kondycję ludzką, o to czy w ten sposób nie czeka się jedynie... na kolejną wojnę, nie dąży się do niej dążąc do pozornego pokoju w atmosferze kłótni i konfliktu. Każdy wiersz jest ważny, każdy wiersz ma swoje ciśnienie, każdy pyta, nie pozostawia obojętnym, nie mija nas, a wciśnięta gdzieś głęboko, w trzewia naszego lęku. To wielka sprawa tak utrzymać dramaturgię na całej długości tomu, nie znudzić, nie znużyć, nie popaść w mantrę pustostawia, a dotykać co rusz nowych spraw. Skąd ta ciągłość? Z siły literatury, z czytelniczych inspiracji. Dotykamy wielkich książek: Parnella, Talkiena, Malruax, Mo Yan, Bratnego, Fallaci, LeClezio czy Salmana Rushdiego, że sięgnę po kilka nazwisk nie tylko Noblistów. Lektury Trochimczuka pulsują tu nowymi treściami, rozważaniami, kontekstami. Dla ludzi czytanych ten tom to kopalnia snucia myśli, swego rodzaju raj intelektualny prowadzący w nowe rejony humanizmu i ludzkiej wątpliwości. Jak widzicie nie jest to lektura dla każdego, ale nie miała taką być od zarania. Świetny tom. Jeden z ważniejszych tomów poezji nowego wieku.

„Obciąża mnie wojna
(wojny) zbrodnie
odległe a ja czuję śmierć

Krew w białym piasku

Rozstrzelany
pyłem zasypuje mnie w okopie
słyszę trawę”

Czy poeta jest sumieniem świata? Czy w nim kumulują się te wszystkie wojny, te wszystkie... śmierci, cała przemoc i zło? Poniekąd tak. Poniekąd kumulują się jak zapewne w każdym co wrażliwszym czło-

wieku, a jednym zastrzeżeniem, iż z duszą artysty, z umysłem twórcy nie da się przejść nad tym do porządku dziennego. Taki człowiek musi usiąść i pisać, ale aby pisać... trzeba jeszcze potrafić to (a nawet wielką literą ujmując : **To...**) wyrazić i napisać. Napisać dobrze i zajmująco, napisać tak, aby czytelnik przeżył, aby pojął i poczuł, aby w to wszedł i chciał czytać dalej. Tak mniej więcej konstruuje się nie tylko poezję, ale i dobrą prozę, w której (aby była dobrą) też musi zaistnieć element poezji, ale i warsztatu rzemieślniczo wypracowanego przez pisarza latami. Kawał dobrej roboty, dni i tygodnie żmudnej pracy i wyczucie poezji tworzą dobrego pisarza. Takiego, którego się czyta, a nie takiego, którym straszy się dzieci w szkołach. Niestety nie regulują tego ani żadne rankingi, ani pożałujcie boże nagrody (ostatnio już nawet z Noblem w tle) ani nawet żadne naukowe gremia. To reguluje sam (jakbyśmy dziś powiedzieli) rynek czytelniczy i społeczność czytających. Jedynie co można tu dodać, że nie każdy czytający ma dziś możliwość dotrzeć do tego typu Autora, którym tu, dla przykładu jest Grzegorz Trochimczuk. Utrudnia mu to bowiem celowo wytwarzany w kapitalizmie dla ubogich jazgot tych „pięknych i bogatych”, za którymi stoją wielkie wydawnictwa wypasione blichtrzem i świecidełkami. Tak się to dziś odbywa. Dobry pisarz tworzy w cieniu, a lansuje się kilku wygodnych durniów, łatwych w obsłudze. Zostawmy to. Wróćmy do naszego Autora. Na co dzień „rozstrzelanego” członka Związku Literatów Polskich, ba, Prezesa Warszawskiego Oddziału tej najstarszej i najbardziej zasłużonej dla tradycji w Polsce organizacji literackiej.

Ponieważ Grzegorz Trochimczuk wydał książkę opartą na refleksjach i wspomnieniach najświeższych, na dziennikach jak-by sprzed wczoraj i jakże pięknie je przy okazji zatytułował: **„Wszystko, co się nam przytrafia”** – ta warto nawigować do „tematów okolicznych”, bo to jest przecież też... wszystko, co nam się przytrafia. Książka Trochimczuka to znakomite świadectwo czasu, odzwierciedlenie społeczne i historyczne, które dotyka tego niedawno minionego czasu od rozpoczęcia wojny przez Władimira Putina przeciwko Ukrainie, aż po sytuację, w której Donald Trump „dostał w ucho”. Dwa lata. Tylko i aż. Przeczytajcie sami ile nam się w tym czasie przytrafiło, a ile się przytrafiło Autorowi. Wszystkim nam wiele się przytrafiło, a wynika ze znaków na niebie i ziemi, że przytrafi nam się... jeszcze więcej...

To dobrze. Będzie o czym pisać.

Grzegorzowi Trochimczukowi przyświeca w tej jego twórczości wielce szlachetna myśl: (przytoczmy ją w pewnym zarysie)

Pisać, to uratować coś z czasu, w którym się już nigdy nie będzie.

Czy ma to sens? Nie wiem. Zweryfikuje to zapewne przyszłość, następne pokolenia, jeżeli będą czytać cokolwiek. Choć my, pisarze, ratujemy to zapewne nie dla tych kolejnych pokoleń, ale dla samych siebie. Ten mechanizm nadaje sens i uzasadnienie odwagi stwierdzenia jak powyższe...

Czy mamy teraz ten czas, z którego warto jeszcze coś ratować? Czy poezja coś ocala? Czy w ogóle literatura coś i ko- goś ocalają? Czy stały się tylko produktem

i rozrywką, jak chcieliby bardzo demiurdzy współczesności, używając książek jako jednego z narzędzi topatologii stosowanej. I to dla garstki czytających, choć wiemy, że garstka to intelektualnie rozwinięta, na tle reszty... Narodu. No cóż. Moje wątpliwości nie wzięły się z powietrza, nie wyssałem ich z palca, wzniecając je w zasadzie stale różne gremia, nawet te kandydujące w najbliższych wyborach prezydenckich. Będziemy mieć wkrótce Prezydenta, na jakiego zastrzyżymy jako społeczeństwo i naród. „Się nam przytrafi”... jak wszystko co ostatnio nam się przytrafia.

Zapewniam, że warto sięgnąć zamiast po „programy wyborcze” kandydatów po książkę Grzegorza Trochimczuka. Przytrafi nam się wiele refleksji, godnie i dobrze spędzimy czas przy tej lekturze, wciągnie nas i zadowoli, nieraz jako społeczeństwo i zastanowi. Książka napisana jest bardzo dobrze, językiem łatwo przyswajalnym i narracyjnie nęcącym. Czyta się znakomicie. Czas mija niepostrzeżenie.

Dobrze ujął to Wydawca Trochimczuka pisząc w notce:

„Książka jest zapisem przeżyć autora osadzonych w realiach życia współczesnego w formie dziennika. To zbiór esejów, stanowiących wnikliwą introspekcję autora we wszelkie przejawy życia intelektualnego, psychicznego, cielesnego, społecznego itp. Podstawową przesłanką rozważań jest badanie własnej wrażliwości, stosunku do świata realnego i marzeń, poszukiwanie sensu egzystencjalnego człowieka i świata. Tkankę rozważań stanowią fakty z życia osobistego i rodzinnego autora, umieszczone w kontekście zdarzeń przeszłych i bieżących. Autor rozważa stosunek wobec natury, próbuje zrozumieć istotę człowieczeństwa a równocześnie odnosi się do przyjętych norm i czynów, gry politycznej, skutków aktywności militarnej. W szczególności wiele miejsca poświęca dzisiejszemu konfliktom wojennym (Ukraina, Bliski Wschód). Książka, ze względu na liczne odniesienia do świata zewnętrznego, stanowi świadectwo współczesności, obrazy wyrażają subiektywne ogląd rzeczywistości i stosunek wobec świata. Znaczącym wątkiem rozważań jest istota procesów twórczych zachodzących u pisarza, a w szczególności charakterystyka jego natury poetyckiej. Nie zabraknie odniesień do innych twórców i ich dzieł. Czytelnik będzie uczestniczył w procesach myślowych autora, doznawał wrażeń emocjonalnych, a być może nawet dotrze do głębiej skrytych pokładów podświadomości.”

Nic dodać nic ująć. Może jedynie to, że Trochimczuk nie zajmuje jakiegos stanowiska w plemiennych sporach, nie bawi się w podglądanie poglądów, czy propagandowe wstawki będące dziś namiętnym wielu autorów. Nie stara się czytelnika do niczego przekonać. Dzięki temu pozwala mu myśleć samodzielnie. Dzieli się wolnością, a pisanie to zmierzanie właśnie ku wolności – do wolności pytań, wątpliwości i życia. Książka jest bowiem prawdziwym, wartym chwili uwagi, życiem praktycznie każdego z nas. Namawiam Was zatem szczerze i gorąco do lektury poezji i prozy Grzegorza Trochimczuka. To Autor nietuzinkowy. Nie sprawi Wam zawodu. Niech się Wam...

zatem przytrafi, jak wszystko.

ANDRZEJ WALTER

Krystyna Cel

ALGORYTMY NASZEGO ISTNIENIA (O POEMACIE TOTUM ELŻBIETY MUSIAŁ)

Poemat *Totum* Elżbiety Musiał to swoista mowa żywiołów, tych, co zastygły w milczeniu kamienia, i tych, co żywe, stale obecne, nieprzemijające. A w środku tych żywiołów zmagający się z nimi i ze sobą człowiek. Istota zbyt złożona i jednocześnie zbyt prosta. Od prawieków pytająca o swoje istnienie, tak nikłe, że niewidoczne prawie. Co po nim zostanie, może tylko krótkotrwała pamięć albo „ślady na piasku i kręgi na wodzie” – jak pisze autorka, przywołując tu frazę z wiersza Staffa.

Strofy o przemijaniu i znikomości istnienia mają swój kontekst, np. filozoficzny, gdy poetka zastanawiając się nad jednym z tych żywiołów – jest nim woda – przywołuje Heraklitowe słowa i, co więcej, stawia przed nimi jakby znak zapytania, zauważając: „w kontekście dziejów, / zwłaszcza nowych – nawet rzeka przemija. Tym razem / nie napłyną inne wody – tylko ten cień, tylko cień wody”. Starożytny mędrzec nie mógł przewidzieć coraz to innej postaci przemijania świata.

Jedną z części poematu nosi tytuł *Przestrzeń*. To też jeden z żywiołów – starożytni nazywali go powietrzem. Ma swoją magię, irracjonalną, bo niezgłębioną. Podmiot liryczny usiłuje zmierzyć się z tą wielowymiarową przestrzenią: „Wchodzę w nią, a ona nieustająco we mnie”. To swoiste przenikanie, wzajemne sycenie się sobą. Przestrzeń jest przecież wszechobecna: „i gdzie się w proch nie obrócisz ONA jest”. Powstaje pytanie, czy zamiarem autorki było wyrazić to wszystko, co wokół nas i co w nas samych? Tytuł poematu *Totum* (z gr. całość) wskazuje na tę złożoność naszej egzystencji w świecie. Nasz byt, aczkolwiek znikomy, ma wiele barw i odcieni. Każda chwila, każdy dzień przynosi coraz to inne doznania, przeżycia czy przemyślenia. Ich bogactwo pulsuje w nas, zatrzymując w pamięci minione. Apostrofą właśnie do tej przemożnej siły, jaką jest ludzka pamięć, rozpoczyna autorka kolejną część poematu.

Po wielokroć ONA, nieodgadniona
nawet dla siebie.

Otworzy chwilę. Wyjmie
westchnienie z przestrzeni,
nuty jak z katarynki popłyną.

Starożytna bogini pamięci Mnemozyna
z zadowoleniem wysłuchałaby
pełnych uznania fraz:

Emanacja pragnienia,
emanacja zwątpień,
emanacja zdarzeń.
Summo emanacji.
Rachunku sumienia –
miej choć odwagę pamiętać.

Niektóre fragmenty poematu przybierają postać ody lub hymnu. Ale poemat ma to do siebie, że jego pewne akapity mogą zaistnieć samodzielnie. Tak jest i w części zatytułowanej *Myśl*. Z definicji jest myśl wytworem naszego umysłu, aktywnym ruchem neuronów. Jak w poetycki sposób wyrazić to wszystko, co zawiera w sobie myśl i czym w istocie swej jest? Oto wspaniała jej kwintesencja:

Nie, wodą nie jesteś,
a przelewasz się z pustego w próżne.
I bujasz w obłokach jak na zawołanie,
w nieznane przenosisz to tu, to ówdzie,
bez wysiłku. Roztrząszasz wątpliwe
i co leży na sercu, bezkarnie dociekaś,
do czasu bezkarnie.

I jeszcze fragment kończący tę niezwykłą ody
do myśli, ale już przeniesioną w przyszłość:

Myśl – czy wykona skok kwantowy?
Cogito ergo sum. Wyobraźnia czy
logika dyktuje pytania?
I która pierwsza przed drugą.

Anima – to fragment poematu, który ukazuje, że pojęcie duszy czy też filozofia duszy jest znacznie trudniejsza niż filozofia przestrzeni, pamięci, myśli, nawet kamienia. Czy dusza istnieje, a jeśli tak, to czy jest nieśmiertelna – pytanie zadawane od dawien dawna. W każdym razie na pewno zaistniała w filozofii i w poezji. Mottem do *Anima* są słowa z wiersza Szymborskiej *Trochę o duszy*.

Dusza – to temat wdzięczny dla poetów, pamiętamy przecież upersonifikowaną duszę młodego polskiego twórcy i nie tylko.

„Być całą sobą – to nie takie proste” – tymi słowami zaczyna się tytułowa część poematu. Jak trudno niekiedy być sobą, całą sobą, gdy jedna część tej całości zmagą się z drugą. Ale być całą sobą – znaczy coś więcej dla podmiotu lirycznego. To odczuwać świat na sposób niemal mistyczny czy metafizyczny, podziwiając go i wiedząc, że „niepodobna stworzyć coś bardziej niż błąkit i konstelacje gwiazdne zawieszane nad podziw”. Fascynacja strukturą świata ma tu wymiar panteistyczny, wynosi świat do sfery sacrum. Zwracają uwagę motywy, toposy: ogrodu, róży, łąki, cienia. Poprzez swoją symbolikę ukazują łączność człowieka z naturą, z kosmosem. Wzajemne przenikanie tworzy jedność i całość. Ta swoista symbioza ma moc ocalającą. Spójrzmy na poetyckie apostrofy wskazujące na tę jedność:

Zajrzyj w moje oczy, fraktalu róży,
Zajrzyj w moje oczy, boski ogrodzie.
(...)
Zajrzyj w moje oczy kosmosie –
czy jestem równa tobie?



Unus mundus – jak na górze, tak i na dole.
Jeszcze tylko stawić czoło własnym cieniem
– cokolwiek by to miało znaczyć.

„Być całą sobą” znaczyłoby tu również, jak pisze poetka, „stawić czoło własnym cieniem”. Motyw cienia, nazwijmy go archetypem (idąc za filozoficzną myślą Junga) jest czymś, co istnieje w naszej podświadomości – to jakby ciemna strona naszej psychiki. Chcemy ją ukryć przed światem i przed sobą.

Jak się okazuje, najtrudniej poznać samego siebie i co więcej – mieć świadomość tego poznania. Nieprzypadkowo autorka zaczyna swój poemat od starożytnej maksymy: „temeł nosce”, czyli poznaj samego siebie, widniejącej na frontonie świątyni Apollina w Delfach.

Ostatnia z dziewięciu części poematu to *Liczba*. Obecna niemal wszędzie, towarzyszy nam od zarania dziejów. Autorka w poetycki sposób ujmując rozważania filozofów na temat teorii liczb. W tej nieco matematycznej części nie zabrakło i humoru:

Wźmy algorytm zero-
jedynkowy tak tak nie nie
– nawet on zaczął odpowiadać słowami
naszego świata. Powtarza: na
początku było słowo...
Lecz czy słowu wierzy? Tylko patrzeć,
jak bez suflera będzie pisał
własne pi-ematy. Zacznie od

wybuchu wielkiego? Potem
chaos dotknie liczbą fi
niczym palcem bożym
i nakręci spiralę porządku?
W sukurs przyjdzie pi, może nawet
starczy przestrzeni dla liczby
nieodkrytej jeszcze,
założmy, że z tendencją do
dekadencji, dla równowagi.
A jeśli ona i bez naszej wiedzy
już jest jako ten wzór,
na przykład w regule kamienia,
który o tym milczy?
Bo cóż by mu przyszło z naszych
rozmownych słów,
owszem, w ekfrazach biegłych?
A czy pragnienie ugasi nimi rzeka?
Chyba że SŁOWO wyobraźnią jest
i zarazem przemożnym pragnieniem.

Liczbo, nie patrz tak na mnie
niczym bezimienny fraktal
z wróżebnych kart.

Ale tę liczbę, albo też liczby, co „rozsiadły się w kosmosie”, przeciwstawia autorka słowu (słowom), bo przecież „Na początku było Słowo, / a słowo było u Boga, i Bogiem było Słowo”. Dokąd prowadzi ta konfrontacja, co będzie, jeśli „to liczba wybiegnie

przed szereg”? Podmiot liryczny (poetka) pewnie zaufała by bardziej Słowu, co w zasadzie jest zrozumiałe. Tak o tym pisze:

Zawczasu uprowadzam z siebie, co nieśmiertelne.
Zagięłam parol na SłOWO. Jego wnętrze, łuska,
widma – otwieram księgę. A jakbym nie drogę wybierała słowu, a percepcję.

A trzeba tu dodać, że obcując ze Słowem, wybrała spośród wielu jego odcieni i znaczeń te najtrudniejsze i doskonale sobie radzi w tym – dziś już rzadziej spotykanym – gatunku, jakim jest poemat. Przywróciła go do łask i ożywiła, wnosząc tematy, pojęcia sobie niejako przeciwstawne, jak np. ciało – dusza, życie – śmierć, byt – niebyt, cisza – chaos, cień – światło. Taka opozycja zanurzona w metafizycznej, niekiedy mistycznej aurze ma swoją symbolikę. Oddaje nie tylko sferę naszego istnienia, naszego bytu, ale i sferę ducha. I co warte szczególnego podkreślenia, to że zarówno ten poemat, jak i poprzednie urzekają pięknem poetyckiego słowa. Poemat *Totum* nazwałabym liryczno-metafizycznym, to wspaniały tekst do aktorskiej recytacji, a połączony z grafiką poetki oraz tłem muzycznym byłby niezapomnianym przeżyciem.

KRYSTYNA CEL

Totum – Elżbieta Musiał (poemat, grafiki);
wydanie własne, 2025 (elkiewicz@o2.pl);

Marcelina Koncewicz

Spotkanie z poezją, które proponuje Małgorzata Kulisiewicz w swoim tomie pt. „Kinoptycznie”, stanowi inspirującą propozycję dla wszystkich amatorów kina i literatury. Niepozorna, czarno-biała okładka skrywa ponad 80 utworów, a każdy z nich to fascynująca filmowa zagadka.

W utworze, od którego tytułu powstała nazwa tomiku, autorka formułuje swoje credo. Deklaruje, że świat postrzega w kategoriach filmu, jej oczy „filmują”, a nie patrzą, „źrenice jak kamera” rejestrują obraz, zaś życie to „czyjaś opowieść”. W tym *theatrum mundi* sprawczą rolę odgrywa właśnie podmiot postrzegający owo „ja”, które dzieli się swoimi refleksjami za pomocą filmowych metafor. W podróży po świecie kina czytelnikowi towarzyszą frapujące tytuły rozdziałów: „Ekran miasta”, „Fabryka snu”, „Mirady” i „Zwarcie”. Uwagę zwraca szczególnie ten ostatni – czy słowo „zwarcie” oznacza tu po prostu podsumowanie poetyckich refleksji czy też odkrywanie zgrzytów, dysonansów w otoczeniu autorki? Na taki trop mogą naprowadzać nawiązania do obecnej sytuacji politycznej, m. in. wojny w Ukrainie. Przejmując los zabitych opisuje „Ballada ukraińska”, będąca współczesną wersją Mickiewiczowskiej „Romantyczności”. Niezwykle sugestywny jest także obraz zombardowanego miasta, odbierany z perspektywy psa, którego pan zginął w trakcie wybuchu („Głodujący pies”).

Pocieszenie podmiotowi lirycznemu przyniesieniem brutalną rzeczywistością, przynosi ucieczka w przeszłość kina – złotą erę Hollywood. W wierszach Małgorzaty Kulisiewicz można znaleźć nawiązania do wielu filmów z tamtego czasu, takich jak chociażby „Casablanca”, „Przeminęło z wiatrem” czy „Śniadanie u Tiffany’ego”. O ponadczu-

ZZA EKRANU - RECENZJA TOMU POETYCKIEGO MAŁGORZATY KULISIEWICZ „KINOPTYCZNIE”

sowej wartości sztuki filmowej mówi utwór pt. „Nowoczesne czasy”, w którym możemy przeczytać: „Kino nie przemienie/w ciemnej sali/zawsze będziemy wyświetlać/nasze marzenia”. Te wersy niosą za sobą nie tylko przekonanie o nieśmiertelności kina, ale także trafną obserwację, że najbardziej na wielkim ekranie lubimy oglądać to, czego skrycie pragniemy i o czym śnimy.

Poza inspiracją filmem w „Kinoptycznie” przewija się motyw miasta. Chodzi tu oczywiście o Kraków, miejsce zamieszkania autorki. Wspomina ona „nowohuckie gotębie” („Mleczny ząb”) albo uwielbiane przez poetów Planty („Do utraty oddechu”). Tematem wierszy Małgorzaty Kulisiewicz czyni także sam proces pisania. Dzieje się tak na przykład w utworze pt. „Pod-teksty”, gdzie padają słowa: „zdzieram znaczenia/wspinam się/ i schodzę w głąb”. Niewątpliwie jest to niezwykle trafny opis własnej poetyckiej metody. Autorka „Kinoptycznie” nie zadawała się podstawowym, najbardziej intuicyjnym znaczeniem słów i stara się odkrywać ich najgłębsze sensy, jednocześnie cały czas wspinając się po szczeblach poetyckiego rozwoju.

Otwarcie tomiku Małgorzaty Kulisiewicz jest jak naciśnięcie przycisku play na od-

twarzaczu DVD – dajmy się zabrać w tę sentymentalną podróż do świata kina.

MARCELINA KONCEWICZ



Maria Jolanta Fraszewska

NIEWIELE - A TAK DUŻO

Niewiele trzeba powiedzieć, aby ... powiedzieć.

Niewiele trzeba powiedzieć, a więcej warto ... pomilczeć.

Czasami i pomilczeć i powiedzieć kilka prostych, czułych, obejmujących słów.

Być ze sobą, przy sobie, wzajemnie. Bo wzajemność to odwzajemnienie, i relacja, i wspólnota, i obopólna zależność jako potrzebność i radość z przebywania. Różne są rodzaje i odmiany miłości, zróżnicowane w więziach przyjaźni, zrozumienia, akceptacji, życzliwości, zaufania, partnerstwa, oparcia.

Wśród „Wierszy tygodnia” na stronie internetowej „Pisarze.pl” przeczytałam i zauroczyłam się szczerością prostoty przekazu, dystansem do samego siebie i humoru, wierszem Jerzego Hajdugi.

„Anioły w kombinezonach”

anioł w szeleszczącym kombinezonie
ubiera mnie na swoje podobieństwo
i prowadzi od sali do sali brzmi jak
dzwoneczek idzie ksiądz
a co ksiądz nie ma
co robić

Wiersze Jerzego Hajdugi, księdza z „wykonywanego zawodu” i z przekonania, a też i praktyki związanej z bezpośrednim pomaganiem człowiekowi w chwili dla niego najistotniejszej, gdy żegna się ze światem.

A jest to moment szczególny, jakby odświętny, mający nieprzeciętną wagę w ostatniej posłudze. Doświadczyłam, być może podobnego uczucia, ponieważ towarzyszyłam mojemu ojcu w ostatnich jego chwilach. Trzymałam go za rękę w momencie przechodzenia. I wciąż pamiętam tchnienie jego dłoni w mojej. Nie chciałam, aby odchodził sam, chciałam, żeby w tym momencie nie czuł się sam. Nie wiem czy miał tego świadomość, ale jego ciało chyba tak. Czulałam.

A co mówię sam ks. Jerzy Hajduga?

„W jednej z zamieszczonych na koniec tomu notatek z przychodni wierszy Autor wyznaje: „Odpocząć od cudu. Ale jak? Jeszcze słyszę krzyk chorego. W moją stronę, w stronę krzyża. Szybko zamknąłem za sobą drzwi na plebanii, rzuciłem się na łóżko, okryłem kocem. Jeszcze tej nocy telefon, to on. Zdażył się wypowiadać.” („Odpocząć od cudu”)

Przecież ksiądz to człowiek jak my wszyscy. I o tym właśnie pisze w swoich wierszach – poeta Jerzy Hajduga.

Dużo wcześniej zwróciłam uwagę na poezję Hajdugi. Czymś mnie przyciągała. Aby dowiedzieć się więcej o nim i jego twórczości zajrzałam do Wikipedii. Jerzy Hajduga urodził się w Krakowie w 1952 roku, jest polskim duchownym i należy do Zakonu Kanoników Regularnych Laterańskich. Pracuje jako kapelan chorych w parafii Przemienienia Pańskiego w Drezdenku. W 2019 r. za całokształt twórczości otrzymał dyplom honorowy Lubuskiego Wawrzynu Literackiego. A w 2021 nominację do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego za tomik: „Uważaj na siebie”. Właśnie po ten tomik sięgnęłam.

Słowa rozumiejące głęboko zanurzone w humanizmie, słowa głęboko odczuwające człowieka, słowa pełne człowieczeństwa. Potwierdzi to każdy obserwator życia społecznego. Potwierdzi zwykły człowiek.

Gdy nastawionym jest się na słuchanie innych można zapomnieć o sobie. Przychodzi jednak taki czas, że już czas... aby wysłuchać

siebie. Niekoniecznie przed odejściem, choć tomik ten w treści na refleksje związane z niechybnością przejścia granicznego wskazuje, ale wysłuchać siebie to dotrzeć do siebie i ustawić na dalszą drogę. Nakreślić sprężynkę, aby zegar dalej tykał. Nie ma już takich zegarów, odeszły do przeszłości, ale ja, jak i wiele osób z mojego pokolenia, doskonale pamiętam co to werk. Niezależnie od tego, w której przestrzeni ta droga się znajduje, trzeba iść. Więc:

„Coraz ciekawiej”

rozmawiam ze sobą
zaczynam
słuchać

Z pochyloną, nachyloną głową ku czemuś istotnemu, z pokorą. Wysłuchać siebie, tak jak innych ludzi, bo o życie tu chodzi. Nie o chodzeniu to słowa, ułożone skromnie na kartach. Choć chód jest istotny, bo wiąże się z przesuwaniem jednego dnia za drugi, jednym krokiem zgodnym. W tomiku słowa jakby zawieszone, niedokończone sensy, bo na ten ostateczny przyjdzie czas w swoim trybie. Pełno tu niedomówień, które wybrzmiewają jak domówienie, czekania z nie- czekaniem, oczekiwania bez popełniania i nie używania słowa: czas. Choć on jest w każdym wierszu obecny, bo odległość to właśnie zjawisko czasu. Jakby tam i jakby do matki. Jest już blisko.

została odległość
na podanie
ręki

Im jest się starszym tym dojrzałość inaczej się definiuje i przeżywa. Jest ona bowiem wzbogacona o sposoby rozwiązania trudności, o zrealizowanie wyzwań życiowych, charakterystycznych dla poszczególnego stadium rozwojowego. Najbardziej znanym badaczem okresów życia człowieka był psycholog społeczny, psychoanalityk amerykański Erik Erikson, który wyodrębnił osiem podstawowych faz rozwojowych, od narodzin do starości i śmierci. Każde stadium życia, które człowiek przechodzi w sposób elastyczny, zawiera w sobie naturalnie występujący konflikt, który człowiek rozwiązuje na swój sposób, a który związany jest z uzyskaną dojrzałością w okresie poprzednim. Od tego jak i czy w ogóle człowiek poradzi sobie z kryzysem wewnętrznym zależne jest kształtowanie naszej osobowości i tożsamości. Za każdym razem pojawiają się nowe formy przystosowania do następnego okresu, przestrzeżenie kolejnych potrzeb i kształtowanie wartości do zrealizowania. W późniejszym życiu związane są one najbardziej z prestiżem społecznym, przynależnością, własnym sumieniem, odpowiedzialnością i moralnością. W okresie starości człowiek rozwiązuje konflikt związany z siłami przeciwstawnymi: rozpacz a integralnością czyli uczucia, pewności, że człowiek podąża sensowną drogą. Że dokonał właściwych wyborów i odczuwa satysfakcję. Okres ten wynika z poprzedniego, w którym rywalizowały między sobą: twórczość i stagnacja. Nauczanie, przekazywanie wiedzy i doświadczenia swoim dzieciom czy społeczeństwu, zabezpieczanie przed pojawieniem się pustki, zubożenia, stagnacji. Twórczość to dawanie innym, przez co czujemy się potrzebnymi i co chroni nas przed zamknięciem się w sobie i izolacją. Gdy w okresie starości, w podsumowaniu życia widoczna jest twórczość, to odchodzimy usatysfakcjonowani i ze spokojem, następuje

pogodzenie się ze sobą i z losem. Czujemy się zrealizowani i spokojni.

Przestrzeń wrażliwości rozciąga się w refleksyjnej ciszy. W rozmowie z mamą.

„Spóźniony”
dbam o twoją nieobecność
krzesło lekko odsunięte
kawa też

Jakbyśmy weszli w rozmowę, jakbyśmy przerwali ważny wątek.

- Czyżbym się spóźnił, mamie?

- Nie odeszłam daleko.

- Wciąż pamiętam te nasze poranne rozmowy przy kawie.

- Synku, „Mieszkań wiele”, jedno ja już za-
jęłam i poczekam na Ciebie, drzwi otwarte
to ty synku a to ja.

- Pomiedzy nami jest przestrzeń już cał-
kiem bliska.

- Nie spiesz się synku, zdązysz w swoim
czasie.

- Mamie, pozostało krzesło lekko odsunię-
te. Wciąż czuję, że jesteś blisko. Jakbyś odeszła
chwilę temu i miała zaraz wrócić. Ta brama
wciąż jest otwarta.

- Tak, synku, drzwi są otwarte, nie trzeba
ich wyłamywać. Na wszystko przyjdzie czas.
Widzę cię, tu, z góry, coraz wyraźniej, drzwi
są otwarte to ty, a to ja.

Wspomnienie jest jak toczące się równo-
ległe życie. Zapamiętane sceny powracają.
Stanowią podstawy nowej rozmowy. A wła-
ściwie jej kontynuacji.

jeszcze mebluje
krzesło przy
stole

I myśli jest coraz więcej i przeciąganie liny
trwa jak podczas spotkań sportowych.

została odległość
nie podanie
ręki

- Jeszcze nie teraz, jeszcze chwilę tu po-
będę.

- Synku. Uważaj na siebie.

- Tak, mamie, będę, czuję się zdrow, czuję
się dobrze.

- Cieszą mnie Twoje słowa.

- Ja też się cieszę, że jesteś przy mnie,
choć jesteś tam, w tym mieszkaniu z otwar-
tymi drzwiami.

- Kiedyś serdecznie Cię powitam.

- Tak, kiedyś. Jak ciepło brzmią Twe sło-
wa. Czuję, że opiekujesz się mną i wciąż
troszczysz.

- Nie chcę, abyś był sam, abyś poczuł
się sam.

- Nie czuję się samotny.

- Wiem, synku, ale między sam a samotny
jest olbrzymia różnica.

Przed chwilą okno

odezwowało się

ja też

- Uważaj na siebie, synku.

- rozmawiam ze sobą

zaczynam

słuchać

- To dobrze, synku, dobrze.

- Sam już nie wiem

- Synku, o co chodzi

- ale

przecież nie

jestem sam

mjf

MARIA JOLANTA FRASZEWSKA

Jerzy Hajduga - „Uważaj na siebie”, So-
pot 2020, str. 46

Jan Stanisław Smalewski

OPISYWANIE ŻYCIA

WYIMEK NA TEMAT PASJI TWÓRCZYCH MARII JOLANTY FRASZEWSKIEJ (OSEJ... O ZBIORZE ESEJÓW PISARKI)

W mojej sypialni wisi obraz, który umieściłem tak, by padające na niego z okna światło, ukazywało jak najwięcej szczegółów bukietu, jaki na nim przed laty namalowałem. To duży obraz, a w bukietach są słoneczniki. Miałem wówczas około czterdziestki, byłem urzeczony malarstwem Van Gogha i po udanej próbie malarskiej niemal całą rodzinę obdarowywałem słonecznikami wzorowanymi na obrazach tego światowej sławy malarza.

Nie odwzorowywałem dokładnie słoneczników z obrazów Van Gogha, tylko swobodnie naśladowałem je, starając się odróżnić istotnymi szczegółami. Na moim obrazie jest wazonie więcej kwiatów, a wśród nich jeden o szokującym kolorze niebieskim.

Oglądający obraz dziwili się. – Prawie Wan Gogh, ale... ten niebieski słonecznik. Są takie?

– W wyobraźni malarza, tak jak i poety, wszystko jest dopuszczalne – wyjaśniałem. A poza tym popatrz, co jeszcze jest ważne – odwracałem obraz i zdumionej osobie ukazywałem rewers „dzieła”, na którym wręcz płonęły ognistymi kolorami niemal identyczne słoneczniki, ale tło było inne. – Światło – widzisz? – wyjaśniałem. – Ważny jest nastrój. Wiosną odwracam obraz na tę stronę, która oddaje harmonię ciepłych wiosenno-letnich miesięcy. A jesienią kolory tła i szczegóły otaczające kwiaty radośnie współgrają ze sobą, i płonąc barwami, ocieplają atmosferę sypialni...

Skąd pomysł, żeby trzymając w dłoni elegancko wydaną przez Fundację Światło Literatury Migotania Gdańsk 2025 pozycję książkową Marii Jolanty Fraszeńskiej „Dzieje się wciąż. Kultura płonąca językiem”, nawigować do swojej dawnej pasji malarskiej?

Zasadniczym powodem jest właśnie owo płonienie, którym M. J. Fraszeńska już wcześniej ujęła mnie jako czytelnika MIGOTANIA – swoimi esejami.

Jest poetką i prozaikiem. Z dużym powodzeniem uprawia esejystykę, w której silnie odbija się jej natura twórcza wsparta wykształceniem humanistycznym. Ukończyła studia z zakresu socjologii, psychologii, pedagogiki i coachingu.

Jak napisała o sobie w esej „W rocznicę napaści Rosji na Ukrainę...” na stronie 145 jest autorką miniaturki poetyckiej napisanej 25.02.2022 wyświetlonej na fasadzie kamienicy w Krakowie w programie „Wiersze na murach”. – „Jestem jej autorką, bo nie mogłam sama w sobie zatrzymać przeżycia, wiedziałam, że nasz „stary świat” właśnie się kończy. Z tych przeżyć stworzyłam tomik wierszy poświęconych Ukrainie, ale też wiążący się bezpośrednio z nami. Tomik „Posypana wiatrem” otrzymałam w Zielonej Górze nominację do Literackiej Nagrody im. A. Waśkiewicza, a także dał podstawę do uzyskania nagrody jaką jest tytuł „Kobieta Roku Województwa Lubuskiego za działalność artystyczną” w roku 2023”.

Ten nowowydany zbiór esejów Marii Jolanty Fraszeńskiej o dwuczłonowym tytule jest bardzo interesującą pozycją wydawniczą. Przepętniony energią twórczą pisarki i wspierany bogatą wiedzą naukową nieprzypadkowo został zatytułowany „Dzieje się wciąż/ Kultura płonąca językiem”. I mimo, że tytuł książki nie odnosi się bezpośrednio do żadnego z zawartych w niej tekstów, to już po jej przejrzeniu, nikt nie może mieć wątpliwości. – Jest on reasumacją wszystkich esejów łącznie.

Wszystko o czym pisze w swoich esejach Fraszeńska dzieje się bowiem właśnie tu i teraz, na bieżąco dotyka i otacza nas na co dzień, żyje z nami, razem z nami przemija, wypełnia naszą rzeczywistość.

Natomiast kultura jako taka – podmiot, zjawisko – jest motorem sprawczym. Istotnym jej zarzewiem jest język, jakim się posługujemy, jaki wyróżnia nas nie tylko narodowość, lecz także etnicznie, środowiskowo, rodzinnie, a nawet czasowo. To on sprawia ów pożar, staje się zarzewiem dla ducha kultury. Tworzy rzeczywistość, buduje, ale także i burzy. On objawia się piosenką, poezją, dziełem twórczym... On też gasi, gdy żar stygnie.

Maria J. Fraszeńska zawarła w swoim zbiorze tematycznie ważne, ciekawe, często wręcz intrygujące teksty. I jeśli nawet ktoś by nie był zbyt zainteresowany esejami, to powinien spróbować zapoznać się z tą formą literackiej wypowiedzi charakteryzującą prozę pisarki. Jest w niej bowiem światło – jak w przywołanym na wstępie mojego artykułu obrazie ze słonecznikami. Autorka umiejętnie rozprasza go na poszczególnych tematach, rozjaśniając przy udziale głoszonej przez siebie, często nawet bolesnej prawdy, podstawowe życiowe elementy charakteryzujące nasze życie: kulturę (i popkulturę), język, emocje, namiętności i przywary. Głębokiej psychoanalizie, wspieranej często odnośnikami zaczerpniętymi z prac naukowych ludzi nauki, poddaje takie wartości jak korzystanie z własnej świadomości, rozumienie atrybutów ludzkiego bytu zawarte w różnych postaciach miłości, przystawionej walce płci, czy też rodzenia się traumatycznych doznań powodowanych przez wojny i niedoskonałości wynikających z postępowania ludzi elit, którym społeczeństwa powierzają swoje losy.

Przyznam, że po pierwszym zetknięciu się z publikacją, moim zamiarem było wstępnie nią zainteresowanie i odczytanie książki „na później”. Tymczasem M. J. Fraszeńska „zapropionowała” mi... kolejno bardzo interesujące wywody na temat interpretacji językowych w poezji, a następnie „Esej o fragmencie życia i fenomenie trwałości./ Anna Świrczyńska jest”.

Okazją do podjęcia tematu przez autorkę było jej zapoznanie się z książką „Anna Świrczyńska. Jeszcze kocham... Zapiski intymne” Wioletty Bojdy, w której pisarka dokonała „spojrzenia na twórczość poetki poprzez jej biografię i szczere wypowiedzi nigdzie dotąd nie publikowane”. Czyli już pośmiertnie „wygrzebane z domowego archiwum znanej poetki.

Anna Świrczyńska... – „Jestem baba”, itd., itd. – Wybitna polska poetka, która od lat 70. fascynowała polski świat literacki miniaturami poetyckimi, zadziwiająco trafnie ujmującymi kobiecość, podnoszącymi wartość kobiety w każdym szczególe jej życia, równoważącymi miłość kobiety z miłością mężczyzny... Obwołana pierwszą w Polsce feministką walczącą o prawa kobiet.

Szanowałam i bardzo lubiłam poezję kobiecą. A w latach swojej młodości fascynowałam się wręcz poezją Świrczyńskiej. Nie uwierzycie – przeczytałam ten obszerny esej – nie odkładając książki na moment – z ogromnym uznaniem dla autorki.

Nie wiem, czy ktoś kiedykolwiek tak jak Maria Fraszeńska doszukał się tylu wspólnych związków łączących obie kobiety. Wszak obie są, Anna była, poetkami. Nie wiem, czy kiedykolwiek napisano wcześniej tak dobrą, spójną i mądrą recenzję na temat twórczości Anny Świrczyńskiej, której poezją osobiście, mimo iż przecież jestem mężczyzną, zachwycam się przez lata?

O esejach, także tych z nowej książki Marii J. Fraszeńskiej można by pisać nieskończenie dużo jeszcze, bo każdy jak samoistne literackie dzieło jest godny uwagi. No i jak napisała w tytule książki sama ich autorka „dzieje się wciąż”. Nie nadużywając jednak cierpliwości Czytelników, którzy zapewne po tym co już o nich napisałem, sami zechcą sprawdzić, jak pisze „płonąca językiem” autorka, dalszą lekturę oddaję w ich ręce.

JAN STANISŁAW SMALEWSKI



Andrzej Wołosewicz

Marek Wawrzekiewicz wydał tomik poezji pt. tytułem „Stary dom” (Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2025). Najlepszym wprowadzeniem do tych wierszy są słowa samego poety z czwartej strony okładki, cytując:

„Dom z wierszy – taki tytuł nosi jedna z ostatnich książek Romana Śliwonika. Mój zmarły przyjaciół uważał, że każdy poeta buduje wierszami swój dom, najbardziej własny i suwerenny. Buduje, nawet jeśli tej czynności sobie nie uświadamia. Ślady tego tematu możemy odnaleźć także w twórczości Iwaszkiewicza, Różewicza, Ważyka i kilku innych poetów.

Budowanie trwa długo – od pierwszych wierszy pisanych własnym językiem aż do końca życia. Poeta buduje dom, mebluje go, wyposaża w sprzęty, obrazy, bibeloty. Wszystko to z biegiem lat wychodzi z mody, starzeje się, ale zostaje w domu, staje się jego niezbywalną częścią.

Mój dom jest stary i staromodny. Staromodny jak rymowany wiersz.”

Właśnie. Wszystkie wiersze w tym tomiku są rymowane, ale nie były pisane na potrzeby tegoż tomiku. Poeta dokonał ciekawego zabiegu wybierając je ze swojej dotychczasowej spuścizny. Więc żaden wiersz tu nowy (poza tytułowym „Starym domem”), ale cały tomik ma smak debiutu! Mam z tym tomikiem swoją własną przygodę, bo prowadziłem Markowy wieczór autorski okraszony recytacją wierszy w wykonaniu Krzysztofa Gosztyły. To aktorskie doskonałe czytanie od razu pozwala mi pisać o poezji Marka Wawrzekiewicza jako o poezji g ł o s u. Na marginesie – Marek też zaczął od głosu, w łódzkim radio, a radio to głos, brzmienie. A ono nie znosi fałszu, który, przy wierszach rymowanych szybko zdradza słabych poetów. Marka to zagrożenie nigdy się nie imało. Jego poezja to poezja głosu, brzmienia. Wsłuchajmy się w to brzmienie:

Stary dom

Ten stary dom, ten pokój martwy

J. Tuwim

Dom osierocony. Podłogi nie skrzypią,
Ugasło echo kroków mieszkańców i gości.
Już tutaj nikt nie mieszka. W pień wycięto lipy,
Które dom ocieniały w zielonej przeszłości.

Okiennica na jednym zawiasie wciąż wisi,
Strzęp pożółkłej firanki bezradnie powiewa.
Odeszły stąd na zawsze wygłodniałe myszy,
Na tapetach porwanych
martwo kwitną drzewa.

Nadtłuczona szyba i kulawe krzesło.
Jedna samotna gwiazda ponad domem świeci.
To, co się tu stało, zwietrzało i przeszło,

A piąty kat pokoju ktoś wierszem zaśmiecił.

Obraz obrazem, ale czy słyszycie ten wiersz? Wydaje się, że zbyt mało uwagi zwracamy na to, że język brzmi. Być może to efekt powszechnego hałasu i powszechnej głuchoty, bo to się zapętlą współczesne. Taki czas. Przypomnę, że już niemal pół wieku temu Jonasz Kofta występował przeciwko hałasowi. Pamiętacie jeszcze jego „Song o ciszy”? Już wtedy hałas nie-

CZYM POBRZMIEWA „STARY DOM”? O POEZJI MARKA WAWRZKIEWICZA

Niechaj się spalą te ostatnie astry,
Niech nad nami listopad zapłaczę woskowo,
Bo oto już spływamy w piasku wąż ciasny
Fala czasem posłuszna, niedojrzały owoc.

Albowiem zawsze skąpo dni na dojrzewanie,
Za mało światła, ognia, powietrza i wody.
I spadnie na nas tylko – jak
garść ziemi – pamięć,
Tak krucha jak kość biała, pusta jak oczodół.

którym doskwierał, a to przecież lata temu. Brzmienie i cisza. Tomik jest właśnie taki. Zatrzymuje nas. A zatrzymując czas zatrzymuje też nas a wtedy możemy usłyszeć ciszę i jej poetyckie brzmienie, brzmienie poezji rodzącej się w ciszy, choćby w ciszy starego domu. W tym tomiku poeta ewidentnie zatrzymał czas, mamy tu bowiem panoramę, obraz, którego ramy, początek to koniec lat 50-tych a finał dziś – ponad 70 lat później. Niechaj to wybrzmie jeszcze raz: siedemdziesiąt lat poezji.

Lektura „Starego domu” od początku była dla mnie najbardziej prywatną z moich Wawrzekiewiczowych lektur. Dlaczego? Dlatego, że zaczęła się od wzruszenia, od niesamowitego wzruszenia. Mówiłem o ciszy i hałasie. W prezosowskim pokoiku Marka w siedzibie ZLP zawsze jest gwar, wystarczy, że są tam 3-4 osoby. Wtedy było nas zdaje się 6-7 osób! Marek siedząc za swoim biurkiem skinął i przysiadłem obok. Nachylił się i powiedział o nowym, tym właśnie tomiku. Zobaczyłem twarz starca pełną dziecięcego zawstyżenia, gdy mówił: „to takie rymowane wierszyki”. To, co mówił i jak mówił, to jego właśnie dziecięce zawstyżenie, które od razu tak odebrałem, choć mówiłem o nim publicznie dopiero na wieczorze autorskim a opisuję teraz, a dotknąłem go dotykając tomiku, czytając go. Jest tam czas, już o tym wspominałem, od dzieciństwa i młodości do dziś. A wtedy, w tym pokoju Marka zobaczyłem to WSZYSTKO w jego twarzy. Niepowtarzalny moment! A potem, w domu, spojrzałem na ostatnią stronę okładki, ale to już znacze... Jak to czytam, to myślę, że lepiej i więcej, treściwiej nie da się o starym domu powiedzieć! Marek zrobił to za mnie.

Skoro widzę w „Starym domu” pełną panoramę twórczości poety, to pozwólmy sobie na małą wędrówkę w czasie. Cofam się o 20 lat. Debiutujący wówczas krytyk tak pisze o Wawrzekiewicz: „Przez dwadzieścia lat (od numeru „Poezji” z 1984 roku) myślałem, że tylko Ratoń potrafił umierać, teraz wiem, że to nieprawda. Może nawet Ratonowi było łatwiej, bo szybko mu poszło. Wawrzekiewicz właściwie nie pisze o śmierci, on pisze o obumieraniu życia, ale – paradoksalnie – i to nie ma znaczenia, bo któż z was, poeci, o tym nie pisał? Ważniejsze jak Wawrzekiewicz pisze! „Jak!” decyduje o wszystkim!”. (Ten zachwyt był mój po pochyleniu się nad tomikami „Smutna pogoda”, „Każda rzeka nazywa się Styks” i „Eliada i inne wiersze” – patrz: „Świat według poety”, Andrzej Wołosewicz, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2005)

Kiedy czytam „Stary dom”, kiedy czytam poezję Marka mam naturalne ciężenie, aby słyszeć tam kilku autorów o tej samej płynności języka – nie po to, aby porównywać czy sugerować, że skoro poprzedzali Wawrzekiewicza, to on od nich to wzięł. Nie. Chodzi o coś innego, o stopień zbliżenia z językiem ojczystym, stopień dostępny tylko nielicznym. I tylko w ich poezji to się wydarza. My pozostali zajmujący się literaturą stoimy w przedpokojach i przyglądamy się, wsłuchujemy.

To jest próg zażyłości z językiem, który w takim samym stopniu przekazują w poezji Iwaszkiewicz, Broniewski, Ważyk czy – z wcześniejszych – Mickiewicz. I... Wawrzekiewicz. Proszę mnie dobrze usłyszeć: nie tworzę tu żadnej hierarchii, mówię o wewnętrznej relacji, relacji języka do jego poetyckich użytkowników, poetów. Tylko tyle i... aż tyle! Każdy z piszących powinien tę relację ojczystego języka do języka swojej twórczości rozpoznać a przynajmniej starać się rozpoznać. Wtedy zrozumiecie, że mam rację w tym, co tutaj piszę. Nieodżałowany Andrzej Zieniewicz nazywał Marka największym żyjącym lirycznym współczesnym naszej literatury. I tego się trzymajmy. Marek – i w „Starym domu” to słysząc – to już k l a s y k. A klasyk to znaczy oddany w pełni swej epoce z jej totalnym rozwichrzeniem i barbarzyństwem, klasyk – bo używający języka w sposób trafny w ujmowaniu tego świata, przejrzysty dla czytelnika. Tę przejrzystością winduje czytelnika w górę, uszlachetnia przypominając o jego człowieczeństwie i przemijalności. Jak miałbym szukać skrótów myślowych, to powiedziałbym, że jest to poezja człowieczeństwa i przemijania.

Stary dom. Dom. Jeden z moich kolegów filozofów Janek Zubelewicz, użył lata temu słowa d o m o w i n a, więc domowina, dom z jego meblowaniem (bo to wszak proces zanim zamieni się w u-meblowanie, też nie do końca stałe) jest wyrazem naszego człowieczeństwa, historii tegoż człowieczeństwa. Zmieniający się dom to wyraz przemijania właśnie. Sięgnijcie tu po najbardziej własne meblowania, które macie już za sobą, a które się kiedyś kończą. Zastygają, jak w pięknym wierszu „Stary dom”.

Zatem człowieczeństwo i przemijanie. A ponieważ znam Marka trochę, to gdybym nie bał się, że stanie się to samospelniającą się przepowiednią, to nazwałbym go lirycznym przemijania tegoż człowieczeństwa, bo jest w tych wierszach jakaś głęboka nostalgia, że wszystko w nich się dzieje po raz ostatni. I to nie tylko w wymiarze osobistym, indywidualnym poety Marka Wawrzekiewicza – to oczywiście – ale dzieje się po raz ostatni w wymiarze jeśli nie cywilizacyjnym, to społecznym. I Marek o tym nie krzyczy, nie epatuje, tylko mówi spokojnie, czasami szeptem, co wybrzmiewa tym donośniej literacko, poetycko. Posłuchajmy tej poezji, jej cichego głośnego brzmienia:

Na temat z Iwaszkiewicza

Już gaśnie krew i oddech już zachodzi
Murszeje kamień Wiatr w przelocie więdnie
W płomieniach stoją uschnięte gałęzie
I wczesna zima nadciąga jak powódź

Wołałem cię rano jeszcze nie otarty
Z majaków bezrozumnych o tobie krzyczałem
Ktoś inny opowiadał lub mi się zdawało
Może to sen był tylko pragnieniem przedarty

Puste ogrody po nas O nas odlatują
Ptaki polne i błotne O nas kwiaty umrą
Zostanie tylko słów zbyt łatwa czułość

Czasie nienarodzonych Czasie niepotrzebny
Jak dożyć do wieczora Jak dościsnąć północ
Zimne światło Dzień biały Utopmy się we dnie

Przeczytajcie spokojnie ten wiersz
jeszcze raz. Jeśli mówię o „zblatowaniu”
z językiem, to mówię o pewnej finezji
widocznej w takich wierszach, jak choćby:

Vivaldi

Płynęliśmy. Bezsenni jak wiatr
nocny w drzewach.
Osłonięci przed czasem, nadaremni w czasie.
Wytropieni przez wszystko,
czego nam nie trzeba.
I czego nam nie starczy, co na nic nam zda się.

I czułem, czułem w sobie twój
szept i twój uśmiech.
Chwiał się pod oddechami
niepodległy płomyk.
A ulicą szła jesień w zbrązowiałej chuście
I kruszące się liście zamykała w dłoni.

Kochałem cię, kochałem.
A z płaskiej ciemności,
Jak gdyby blask niebieski
ktoś na ziarna drobnił –
On skradał się do nas, czujny, bezlitosny:
Grał nam Vivaldi – mądry,
zakończony w sobie.

LISTOPAD 1976

Ta finezja jest po to, żeby wyrwać
językowi to, co on sam dopuszcza, ale
skrętnie ukrywa. Trzeba dopiero poety
i to niepośledniego poety, aby – że tak
powiem – dopuścić te ukrycia do użytku.
Poezja w takich sytuacjach wydobywa
potencjał języka, który normalnie tj. po-
za-poetycko nigdy by się nie zrealizował,
nie ujawnił, a jest!

„Mówię o „zblatowaniu” z językiem, ale
język jest o świecie – to zobaczymy, jak ta
relacja języka poetyckiego i świata wyglą-
da. Jest ona taka, że język poetycki staje
się „przeźroczysty”, że w pierwszym (i naj-
ważniejszym!) zetknięciu z językiem wiersza
od razu jesteśmy w świecie przedstawionym
a sam język „znika”. Tak się dzieje od razu
i na pewno choćby w wierszu:

Znak równania

A ty już prawie wcale nie
czytasz moich wierszy,
Coś przejrzysz, na coś zerkniesz,
papierem zaszeleścisz.

Niekiedy się uśmiechniesz,
czasem podniesiesz brew –
Co on tam wypisuje, co to właściwie jest?

Czy to są wiersze jeszcze, czy to jest list pisany
Na wodzie, na obłoku, na pobielanej ścianie?

Czy to jest noc zimowa, czy
pierwszy wiosny przesmyk?
Jak jemu się nie znudzi pisanie
nudnych wierszy?

A ja nie odpowiadam na ważne to pytanie,
A ja dalej coś piszę na wodzie i na pianie.

A ja wzrokiem po niebie i palcem na piasku,
A ja sercem ułonnym i myślą w potrzasku.

A ja wierzę, w co było i w to, co się stanie,
I między „jest” i „było”
stawiam znak równania.

To wielka wartość języka poetyckiego,
gdy on nam pozwala widzieć, słyszeć i czuć
b e z p o ś r e d n i o t o wszystko, co w sobie
zawiera, z czym do nas wiersz przychodzi. To
jest prawdziwa magia poezji: nie ma wiersza,
wiersz znika, jest tylko rzeczywistość, którą
poeta przywołał.

Są tu też wiersze, o których nie wolno
mówić. Myślę o trzech wierszach z grudnia
roku 1985 ze stron, kolejno 34,35 i 36. Jak
kupicie tomik, to dowiecie się dlaczego tak
powiedziałem. Nie usłyszycie mego słowa
o nich, bo to byłoby przekroczeniem pew-
nej granicy intymności między czytelnikiem
a wierszem, a jest taka. Przeczytajcie te wier-
sze. Gdybym je komentował, byłbym tu tym
trzecim, intruzem-podglądaczem.

Jest też dużo o umieraniu a ja to lu-
bię. Mamy swoje rozszerzające się prywatne
cmentarze a i nam samym do tego tema-
tu coraz krócej, że tak powiem. Mogę też,
i robię to, wspomóc nasz ból czy strach
terapeutycznym wierszem:

Modlitwa

Dałeś mi długie wyczekiwanie,
Panie.

I dałeś mi cień chmury i okrucy blasku,
I obcą radość dałeś i udrękę własną.

Dałeś słów kilkanaście i długie milczenia,
Dałeś mi to, co mam już i czego już nie ma.

Dałeś mi brak pieniędzy, brak na nie łaknienia
I tych braków powszednich
a inne nie zmieniał.

Dałeś mi poszum lasu, błądzenie na drogach,
Kilku zmarłych przyjaciół i żyjących wrogów.
Dałeś mi głóg, tarninę i jabłoń zdziczałą,
I dałeś mi dziewczynę, której mi nie dałeś.

Dałeś mi miłość wielką, brak miłości dałeś,
Nie całkiem dobre zdrowie i wątpliwe ciało.

Ja się przecież nie skarżę – i tak dałeś sporo;
Bo mi podarowałeś wszystkie roku pory,

A wszakże mógłbyś wcześniej
dać mi późną jesień,
A nie tą późną, w której dzisiaj jestem.

Daj, coś zamierzył, nie skąp mi niczego
I nie chroń mnie od złego ani od dobrego.

Niech wedle twojej woli już
wszystko się stanie –
Daj mi wieczny spoczynek
i wieczne czuwanie,
Panie –

Wiersze Marka Wawrzkiewicza to są krajo-
brazy wewnętrzne, bo to połączenie jońskie-
go empiryzmu ze spinozańską wizją świata
jako głęboko wspólnej jedni. To spinozań-
skie wyciągnięcie ostatecznych konsekwencji
z heraklitejskiego zawołania, że świat jest pe-
ten bogów może się spełnić tylko w wierszach
będących krajobrazami wewnętrznymi – nie
da się tego ani namalować, ani sfilmować,
ani prozą oddać. Tylko wierszem.

„Stary dom” umebłowany wierszami z ca-
łej twórczości Marka Wawrzkiewicza ma ten
swoją dodatkowy posmak, że wiersze w nim
pomieszczone uzyskują drugie życie, bowiem
w swoich pierwotnych tomikach zawsze są
„poszkodowane” pośród dominujących wier-
szy nierymowanych, sprawiając często wraże-
nie poetyckiego „wtrętu” (bo takie już mamy
współczesne literackie przyzwyczajenia). Tutaj
pojawiają się w pełnej krasie. Brzmia.

ANDRZEJ WOŁOSEWICZ



Małgorzata Dorna
(Wendrychowska)

KARTKI Z ODLEGŁEJ MACEDONII

o malarstwie Emiliji i Stożce Tocinovskich

Znaczących rozmiarów praca „Wież pod Zniebiańskim dachem” (kompozycja w brązach, głębokich zieleniach i ugrach, nawiązujących do całej gamy żółci aż po oliwkę i złoto) kojarzy się ze sztuką dekoracyjną, działającą na odbiorcę w sposób zamierzenie powściągliwy, umiarkowany, łagodny. Pod niebiańskim dachem życie toczy się spokojnie, bez szalonych wznosów i wielkich upadków, we własnym, nieco spowolnionym rytmie, dalekim od egzystencjalnych zagadek i filozoficznych dociekań. Biała architektura, kameralna, zamknięta płynnym obrysem, wpisana w otulone plamami ciepłej zieleni wizerunki pozornie odległych wzgórz zdaje się epatować harmonią, jakimś wewnętrznym porządkiem, którego ślady odnaleźć można w (nawiązującym do secesyjnej ornamentyki) niebie. Tutaj wszystko rozgrywa się w jednym planie, na płaszczyźnie, na powierzchni, pozbawione iluzji głębi, w konwencji nawiązującej do nadrealizmu i dadaizmu zarazem. Kompozycja tworzona celowo naiwnymi, nieporadnymi pociągnięciami pędzla niesie czytelne przesłanie: oto świat nieskomplikowany i prosty, intrygujący specyficzną, dość wyrazistą kolorystyką. Na surrealistnie brązowym niebie lśnią gwiazdy, tam także doczytać się można trajektorii ptasiego lotu i czarnych sylwetek drzew. W tym świecie kameralnym, osobnym, dającym ukojenie doszukać się można nikłych śladów obecności człowieka, człowieka który zapewne był kiedyś, czuł, istniał i myślał, a teraz „uporczywie go nie ma”.

Pisanie na temat pejzaży, niezależnie od konwencji malarskiej w jakiej powstały i walorów warsztatowych - okazuje się zawsze wyzwaniem. Podobno najtrudniej malować tematy najprostsze i wbrew pozorom (żyjemy bowiem w czasach barokowych konceptów, udziwnień, zaskakujących, szokujących treści) w tym stwierdzeniu mieści się uniwersalna prawda na temat sztuki. Sposób postrzegania natury bywa zatem związany nie tylko z próbą realistycznego odwzorowania fragmentu krajobrazu, ale także z próbami przefiltrowania artystycznej wizji przez pryzmat osobistego kanonu piękna, przez własną koncepcję lub może filozofię życia, poprzez ową niepowtarzalność spojrzenia naznaczonego czytelnym piętnem indywidualizmu. Niektórzy (jak wspominał to Jan Cybis) „rozwiązują płótno po malarsku” czyli opierając kompozycję na fakturze i barwie, nierzadko nawiązując do koloryzmu i propozycji awangardy paryskiej z końca dziewiętnastego stulecia. Inni w sztuce, powstałej z inspiracji naturą - poszukują intelektualnego podtekstu, literackiego przesłania, które staje się pretekstem dla dalszych poszukiwań formalnych, warsztatowych. Jeszcze inni, zazwyczaj zwolennicy abstrakcjonizmu - poszukują walorów materii, zastawiając powierzchnię chropawą z połyskliwymi, eksponując kontrast, dysonans, szukając spójności, kontrapunktów, demaskując umowność harmonii. Rzadko kiedy, wbrew przyjętym wyobrażeniom - pejzażyści eksperymentują z tworzywem, techniką, wydaje się że wybierają reinterpretację rozwiązań już znanych i zaakceptowanych przez zbiorowość, sprawdzonych. W konsekwencji nie podejmują działań nadmiernie ryzykownych, rezygnują z odautorskich komentarzy (tak charakterystycznych dla nadrealistów oraz malarzy materii) nie proponując wskazó-

wek, tak zwanych „kluczy” zgodnie z którymi należy interpretować „dzieło”. Zapewne zdają sobie sprawę z faktu, że w przypadku analizy dzieł sztuki współczesnej następuje swoisty paradoks: artysta tłumaczy krytykowi co i jak napisać powinien, by okazywało się to zgodne z zamysłem i przesłaniem twórcy. Krytyk pisze dla jednego odbiorcy (autora prac) i obaj rozumieją się doskonale, prowadząc dialog ponad głowami publiczności, która słucha rozumiejąc niewiele i patrzy „w zachwyceniu”. Status „dzieła sztuki” zobowiązuje.

W przypadku twórczości artystów z Macedonii metoda wyjaśniania intencji autorów prac, wyjaśniania owych intencji ich własnymi, odautorskimi słowami - zdecydowanie się nie sprawdza. Nie mamy tu zatem do czynienia ze sztuką ilustrującą, mającą stanowić swoiste dopełnienie przyjętych a priori teorii. Poszczególne kompozycje układają się co prawda w cykl, sekwencje obrazów tworzonych rozpoznawalnym, indywidualnym stylem, ale opisywanie, definiowanie tego stylu nie okazuje się już tak oczywiste i proste.

Oto „Wież pod skalistym dachem” czyli w istocie pod dachem skalistego, zbudowanego z kamiennych struktur nieba. W konwencjonalnym, klasycznym malarstwie laserunkowym niebo to zwykle zwiewne lub ciężkie obłoki, próby pokazania napowietrznych przestrzeni, bezkresu lub głębi. Tutaj w jednym planie, w wydrążonym w skale korytarzu mieści się pejzaż, z tą samą, znaną już z poprzednich ujęć białą (przypominającą senne, nadrealistyczne miasteczka Cézanne) architekturą. Kompozycja złożona z poprzecznych, odwołujących się do tekstury ziemi i skał pasów wydaje się harmonijna i uporządkowana, domknięta. W podobny sposób konstruują swój świat artyści nieprofesjonalni lub dzieci, naiwnie zafascynowane wszystkim, co je otacza, intuicyjnie poszukujące wewnętrznego ładu w chaosie. Powiązanie secesyjnej ornamentyki z geometrią i intensywnym kolorem, tendencja do syntezy i koniecznych uproszczeń - wszystko to mierza ku celowemu operowaniu symbolem. Ważną rolę odgrywa tu zestawienie mocnego, czystego błękitu i brązów, brązów wywodzących się z gęstej materii ziemi oraz świecących błękitów, kryjących się w jej wnętrzu. Podobnie jak w przypadku drzewa, którego naziemna korona wznosi się ku słońcu, podczas gdy korona korzeni zwraca się ku wnętrzu, ku jądro planety - obraz natury zapisany w podniebnym pejzażu okazuje się zwierciadlanym odbiciem tego, co na powierzchni, co jeszcze nienazwane, a już skrywane pod maską metafory lub symbolu. Przypomina się w tym miejscu wypowiedź francuskiego poety, praktykującego i pojmującego w sposób bardzo osobisty techniki symbolistycznego opisu: „Nazwać jakiś przedmiot” (pisał Stéphane Mallarmé w swej odpowiedzi na pytania ankiety, dotyczące symbolizmu w sztuce) „znaczy odebrać trzy czwarte przyjemności poetyckiej, która polega na stopniowym odgadywaniu; zasugerować - to dopiero ideał. Kto doskonale opanował ten sekret, używa symbolu - powoli ewokuje jakiś przedmiot, aby ukazać pewien stan duszy, lub

odwrotnie, wybiera przedmiot i różnymi odcyfrowaniami wydobywa z niego stan duszy.”¹ Należałoby zatem zapytać nie tylko o to jaki „stan duszy” sugeruje malarstwo pary artystów z Macedonii, ale także o sposób pojmowania tak enigmatycznego terminu w plastyce. Wydaje się, że w najprostszym, najbardziej elementarnym rozumieniu „stan duszy” znamionuje zmienność nastrojów, emocji, zapis ulotności chwili, trwania tego co w istocie nietrwałe, ulotne. Zazwyczaj taką ulotność, momentalność zapisu osiąga się poprzez stosowanie zatartych konturów, mgieł, rozmigotanych plam świetlnych, poprzez wykorzystywanie rozmaitych technik impresjonistycznego, wrażeniowego lub nadrealistycznego obrazowania.

W przywoływanych tutaj kartkach z macedońskiego notosu zapis psychicznych doznań wygląda jednak odmiennie: surowe pociągnięcia pędzla, wyraziste kontury i mocno oznaczone krawędzie, geometryczny rysunek, zdecydowany obrys bryły - wszystko to sprawia, że odkrywamy celową dysharmonię, dramatyczne napięcie między formą i treścią, napięcie prowadzące ku ledwie wyczuwalnej autoironii, karykaturze, grotesce.

Oto, utrzymana w chłodnych zieleniach i rozbielonych różach kompozycja zatytułowana „Pod skrzydłami cienia ziemi”, z zastrzeżeniem że granicę między światłem i cieniem wyznacza tutaj korona, surrealistnie rozrastającego się, gigantycznego drzewa.

Cień ziemi, postrzegany z kosmicznej perspektywy tworzy rodzaj kopuły, wyrazistego łuku wewnątrz którego kryje się wir, pastelowy, utrzymany w delikatnym różu tunel wiodący ku innym wymyślowanym przestrzeniom, ku nieznanym, odmiennym wymiarom. Korona drzewa, atakowana geometrycznymi formami, rytmem pasów utrzymanych w tak zwanych „barwach natury”, z dominantą zieleni i czerni - wydaje się trwać mimo wszystko, zatrzymana w bezruchu, zawieszona w bezczasie. Podobny rodzaj dośrodkowej kompozycji wykorzystany zostaje w pracy „Dom w ciszy”. Tutaj także centralnym elementem okazuje się drzewo, tworzące kopułę chroniącą rodzaj rozwibrowanego tunelu, na tle którego suną spokojnie ptaki. W obu tych tak bliskich sobie kolorystycznie i formalnie pracach artyści próbują dokonać niemal niemożliwego - namalować ciszę, monumentalną ciszę kosmiczną, zestawioną z ciszą kameralną, ziemską. Próby konkretyzacji pojęć abstrakcyjnych takich jak „cisza”, „milczenie”, „trwanie” wydają się fascynować artystów z Macedonii i są obecne w ich pracach już od początku drugiej dekady obecnego stulecia, kiedy to wykształcili rozpoznawalny, charakterystyczny styl wypowiedzi. Analizując sposoby wyrażania milczenia w plastyce - współcześni historycy i teoretycy sztuki zazwyczaj zastanawiają się nad redukcją przestrzeni i barw, ograniczeniem liczby rekwizytów, nad rezygnacją z obecności pierwszoplanowych postaci lub nawet ich śladów. W analizowanych obrazach powra-

¹ S. Mallarmé, Z odpowiedzi na ankietę J. Hureta: *Evolution littéraire*. Przeł. M. Żurowski. za: *Moderniści o sztuce*, s. 252.

cają zwykle te same tematy i wątki (kozica, drzewo, dom, góra, szlak, urwisko), powracają motywy których poetyckie, literackie odniesienia układają się w rodzaj ballady, opowieści o nieskomplikowanym życiu w bliskiej relacji z naturą.

Brak nawet cienia obecności człowieka, obserwatora i interpretatora zapisanych na płótnie zdarzeń prowadzi ku niekoniecznie „radosnej” refleksji: Natura jako byt niezależny, nieokiełniony i „obcy” patrzy na nas okiem chłodnym i obojętnym, patrzy ze stoickim spokojem, w dojmującej ciszy, w milczeniu. Szczególną rolę odgrywa tutaj metafora związana z ciszą, która w pracach teoretyków literatury i sztuki może, ale nie musi być związana z milczeniem. Wypowiada się na ten temat współczesna badaczka poezji: „Efekt ciszy możliwy byłby do uzyskania poprzez nagromadzenie szeregu pojęciowo-obrazowych elementów (...) identycznych z tymi, które są odpowiedzialne za konstytuowanie w tekście poetyckim wymiaru sacrum.”² Co więcej, w odniesieniu do literackiego obrazowania porusza się problem „poetyki ciszy”, którą w sztukach wizualnych można uzyskać poprzez zastosowanie różnych odcieni bieli, błękitów aż po złamane fiolety i szarości, poprzez wprowadzanie jasnych płaszczyzn, idealnych i gładkich, bliskich malarstwu laserunkowemu, a także poprzez niedomówienia, pozostawienie wolnych przestrzeni na obrazie, których nie wypełnia się treścią, owym nagromadzeniem przedmiotów, detali.

Oto kompozycja (przynależna całemu cyklowi podobnie malowanych prac, złożonych z rozartej plamy koloru i finezyjnego, graficznego rysunku) opatrzona niejednoznacznym, zdawałoby się wielce „poetyckim” tytułem: „Gdy drzewo mówi, a niebo milczy”. Zarówno w wyobrażeniach dawnych jak i współczesnych – drzewo stanowi uosobienie sił vitalnych, zdolność do odradzania się, do nieskończonej regeneracji. „W sferze religijnej odnalezienie Arbor Mundi było dla człowieka równoznaczne z przekroczeniem granicy realnego świata oraz dotarciem do centrum przestrzeni sakralnej i źródła sakralnego czasu, a tym samym z osiągnięciem nieśmiertelności i mądrości, typowej dla istoty boskiej.” – pisze współczesna nam badaczka historii kultury w analitycznej pracy, poświęconej symbolice drzew.³

Podkreśla ona, że w kulturze indoeuropejskiej, podobnie jak w starogermańskiej – wiecznie zielony jesion stanowił podstawę świata (Arbor Mundi) strzegąc świętości źródła wody życia oraz źródła napoju wiedzy. Nieprzypadkowo też „kosmiczne drzewo” pojawiało się w agrarnym kulcie płodności, w konsekwencji – pragnąc zapewnić nowonarodzonemu dziecku szczęście i powodzenie – zasadzano oliwkę (symbol nieśmiertelności) lub jabłoń (cudowną, obdarzoną tajemną mocą jabłoń z złotych owocach, pielęgnowaną w odległym zakątku Hesperyjskiego sadu).

W wierzeniach starożytnych mieszkańców Macedonii (także tych z Macedonii północnej) Drzewo Wszechświata, kosmiczne drzewo w centrum przestrzeni sakralnej – „objawiało mądrość istoty boskiej, dzięki której świat, pogrążony w chaosie, uzyskał kształt uporządkowanego kosmosu.”⁴ Zapewne także z tego powodu „drzewo

mówi” podczas gdy „niebo milczy” i można podejrzewać, że owo pełne szacunku, uroczyste milczenie wyraża podziw dla utajonej mądrości drzew. Z kolei w wierzeniach starożytnych (rozpowszechnionych w okresie migracji Celtów na Bałkany, a więc w IV i III wieku p.n.e.) szczególnie uprzywilejowane miejsce zajmować zaczęła jarzębina, która nie bez powodu pojawia się także w pejzażach pary artystów z Macedonii. Wierzą, że krzewy jarzębiny rosną pośrodku Krainy Zmarłych, a spożywanie jej owoców otwiera człowieka na wiedzę, niosąc z sobą najwyższy stopień wtajemniczenia.⁵ Można zatem przyjąć, że dzieło sztuki stanowi zbiór hipotez, domysłów, przeczuć na temat tego, jak wygląda nasz świat i czemu owo postrzeganie świata służy. Wydaje się, że dla artystów z Macedonii sztuką jest to wszystko, co nie okazuje się przedmiotem eksperymentów formalnych, co nie jest poszukiwaniem rozwiązań performatywnych, czego nie identyfikuje się kolekcją przedmiotów należących do zbioru „ready made” czy też z podejmowaniem wszelkiego rodzaju akcji para-teatralnych, bliskich happeningowi. W tym sensie malarstwo to, powstałe w izolacji od istotnych tendencji w plastyce europejskiej nazna-

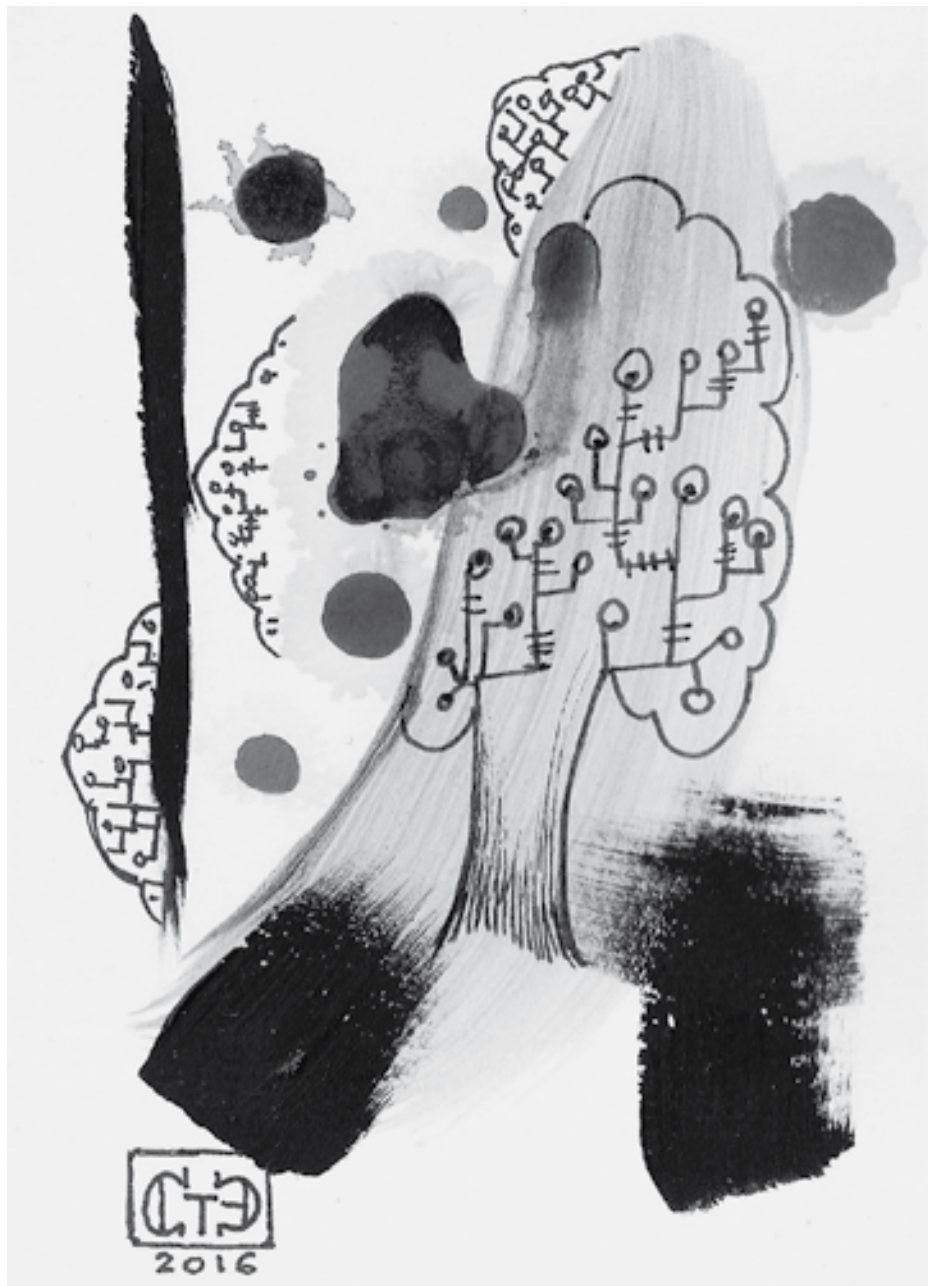
czony jest piętnem hermetyzmu i właściwej sobie odrębności. Europejczykom zanurzonym w estetyce nurtów awangardowych, poszukujących nowych środków ekspresji – może wydawać się zarówno egzotyczne jak i ezoteryczne (dotyka bowiem Tajemnicy), nadmiernie uproszczone, skromne, przywołujące świat odległych wyobrażeń ludowych i mitów. A jednak, mimo wszystko, mimo powyższych zastrzeżeń – malarstwo to rodzi się z potrzeby doświadczania intymności, prowadzenia rozmowy niemal szeptem, na półtonach, w sposób delikatny, taktowny, nienatratny. „Obraz malarski jako emanacja potrzeby bliskości, szczerości, intymności, szczególnego zaangażowania się zbliża się zdecydowanie do istoty wyjątkowej relacji spotkania z drugim człowiekiem, jakim jest właśnie epistolograficzna sytuacja”, sytuacja wynikająca z pisania listów i kartek, ze sporządzania fragmentów epistolarnego dziennika.⁶

Również z tego powodu sensowne wydaje się studiowanie kartek z dalekiej Macedonii, która nadal pozostaje krainą intrygującą i ciągle kulturowo nieznaną.

MALGORZATA DORNA (WENDRYCHOWSKA)

⁶ Lech Kołodziejczyk, *Pamięć czasu – malarstwo w czasach bankructwa duchowego*, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2020, s. 28

⁵ Tamże, s. 69



² Zofia Zarębianka, *Oblicza ciszy w poezji polskiej dwudziestego wieku*, *Tekstualia*, nr 3 (18) 2009, s. 169
³ Idaliana Kaczor, *Kult drzew w tradycji mitologicznej i religijnej Greków i Rzymian*, *Acta Universitatis Lodzianensis, Folia Litteraria Polonica* nr3/2001, s. 45
⁴ Tamże, s. 68

Blisko 90 lat temu Kazimierz Wierzyński napisał wiersz o rozmowach Polaków. Ostrzegając, że nie powinni oni rozmawiać o Polakach i Niemcach, Polakach i Ukraińcach, Polakach i Żydach – bo to pola minowe. Prawie sto lat później nie powinniśmy rozmawiać o Polakach i Polakach – pole jest nadziane minami jeszcze gęściej. Co z tego, że jesteś narodowości polskiej? Ktoś przecież uznał cię za posiadacza genu zdrady, niepełnego Polaka, ćwierć patriotę. Ktoś odbierze ci prawo do patriotyzmu, ktoś inny, przeniesiony z czasów gett tawkowych i pogromów, zagrozi ci pięścią, gaśnicą i immunitelem.

Zgiełk, zgiełk, zgiełk. Nie mamy czasu żyć normalnie, żyjemy od wyborów do wyborów. Ledwie skończą się jedne, już zaczynamy agitować, bo zbliżają się następne. Język jak woda w rzeczce do której wpuszczono odchody przemysłowe. A z drugiej strony obietnice: wybierzcie mnie, a będziecie żyli w kraju obfitości i szczęśliwości. Chwata Bogu, nie dożyje.

Przed wojną prezydent miał o wiele większe prerogatywy. Ale jednak o Ignacym Mościckim mówiono tak:

Tyle znaczy, co Ignacy,
A Ignacy gównu znaczy.

Świat się zmienia i zmienia się język, którym ten zmieniający się świat opisujemy. Ale jeśli ten nowy świat zmierza w tym samym kierunku, co język naszej debaty publicznej, to przyszłość widzę w mrocznych kolorach.

Pół wieku temu i jeszcze trochę dawniej słownictwo, którego używał Andrzej Brycht i Jasio Himilbach silnie bulwersowało i nie tolerowano go w salonach. Dziś nie budzi zgorznienia. Jeszcze nie tak dawno temu pewne słowa uznawano za męskie, a użycie ich przez kobiety brzmiało jak zgrzyt żelaza po szkłe. Procesy równouprawnienia spowodowały, że przynajmniej w kwestiach językowych różnice płciowe zaniknęły.

Dawniej też używano pewnych słów ale raczej w rozmowach prywatnych. Przeczytałem gdzieś o rozmowie szlachciców z siedemnastego wieku:

- Dupaś, waść!
- Dupam?

Daniel Naborowski, wielki poeta baroku napisał fraszkę o różnicy zdań między dwoma panami (cytuję z pamięci):

Litwin do Litwina „skurwysynu” mówił,

A ten mu rzecze: bracie, i tyś nie Radziwiłł..

Potem dochodzą do wniosku, że są jednacy.

Lubię barok.

Błądzenie pilotem po kanałach przypomina polowanie na rzadką, grubą zwierzynę. Strzelba nabita, kordelas za pasem, a spod stóp uykają myszy i jaszczurki: na jedenastu kanałach reklamy, często te same.. Aż nareszcie! Oczom nie wierzę, recital Elli Fitzgerald! Zapis stary, czarno biały ale zachwyli młodzieńczy. Zasypiam pogodzony ze światem, aż tu....

Unieruchomienie ortopedyczne skutkuje, niestety, skłonnością do snucia refleksji. Coraz głębszych. Boję się, czym to może się skończyć.

Jaka jest różnica między wielkimi śpiewakami – Pavarottim, Armstrongiem i Ellą? Prawie żadna. Wszyscy używali wielkich chusteczek do ocierania ust i spoconych czoł. Ale oni białych, a Ella kolorowej.

Pozostawmy przy muzyce i jej opłotkach. Jakiś czas temu stacja telewizyjna, którą lubię, zapowiadała entuzjastycznie festiwal mający być wydarzeniem muzycznym światowej rangi. Jego najjaśniejsze gwiazdy ozdabiały wywiady – a capella – fragmentami utworów, które miały być prezentowane. Produkcje te były połączeniem skrzeku i wrzasku. Zrozumiałem wtedy realizatorów koncertów: wiedzieli oni, że mają do czynienia z muzycznym chłatem i że muszą od niego odwrócić uwagę widzów i słuchaczy przy pomocy orgii światła, dymów i płasów grup tanecznych. Wiedzieli, że mają do czynienia z prymitywnymi tekstami i takimiż kompozycjami i potęgą akompaniamentu zagłuszać prężność tekstu. Takie to było wydarzenie.

A ja wspominałem dziewczynę stojącą w świetle reflektora punkowego, ubraną w czarną sukienkę. Towarzyszył jej niewielki zespół. Śpiewała teksty podrzędnych autorów: Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej, Baczyńskiego, Tuwima. Potrafiła dwie godziny trzymać w najwyższym napięciu wielkie widowie.

Nazywała się Ewa Demarczyk.

Jeszcze raz o mojej ulubionej telewizji. W programach informacyjnych i publicystycznych wielokrotnie wypowiadała się o Narodowym Banku Polskim i jej prezesie. Słusznie i krytycznie. Aż tu patrzę: reklama, a w niej NBP i prezes Glapiński, który dba o swoją firmę i moc polskiego złotego. Anioł Stróż narodowych finansów.

Pecunia non olet. Czy naprawdę wszystkie pieniądze nie śmierdzą? Ile i z jakich funduszy wpłynęło na konto telewizji od tego reklamodawcy?

Cenię i lubię te dwie poetki w średnim wieku. One się nie znają i zapewne nie czytały swoich wierszy. A obydwie piszą o świecie kwantowym. Czy to jest ten sam świat?

Dawno, dawno temu, nasz prymitywny pra, pra, pra przodek, naćpał się ziołami i zasnął w bujnej trawie. Obudził się i zobaczył gwiazdy. Skądś wiedział, że to nie jest to, co można zerwać i zjeść. I zadał sobie pytanie: to po co to jest? Dwadzieścia tysięcy lat później inny nasz przodek zauważył, że gwiazdy świecą tylko nocą i zaczął intensywnie myśleć dlaczego tak jest. Zaczął też podejrzywać, że jego świat nie kończy się za tymi górami, które widać z jego jaskini. Potem narodziły się najstarsze cywilizacje, a ich mieszkańcy próbowali zrozumieć i opisać świat i jego okolice. Tak powstały religie, filozofia i poezja. Oraz inne nauki. A filozofia starożytnej Grecji często była poezją.

Od tysięcy lat poeci rozmyślają na temat opozycji: ja i wszechświat. Ile jest mnie we wszechświecie, ile jest wszechświata we mnie. Stawiają diagnozy, zadają pytania, odpowiadają na nie. Pytania są zawsze mądrzejsze od odpowiedzi.

Co to jest świat kwantowy?

Lata temu z wyjątkową uwagą przeczytałem w kolorowym tygodniku bogato zdobiony zdjęciami artykuł. Opisano w nim sylwetkę pewnego siwowłosego pana w średnim wieku, zrelacjonowanego szczegółowo jego drogę życiową, sytuację rodzinną, jego dom, rodzinę, kota i inne malownicze detale. Bohaterem tego artykułu był ktoś, który prowadził w telewizji

losowania lotto.

Pomyślałem, że świat zwariował, ale za chwilę się opamięta. Myliłem się, jak zwykle. Bo świat, szczególnie nasz polski świat, wariuje intensywnie. Albo ja się do tego świata nie nadaję. I niech tak będzie. W czasie, o którym wyżej mówię, pojawiło się i upowszechniło słowo niegdyś rzadko używane w języku polskim: celebryta.

Mam nieuleczalną skłonność do definiowania nowych zjawisk, spróbowałem więc zdefiniować i to.

Celebryta to człowiek znany. A z czego jest on znany? Z tego, że jest znany. Nic, albo niewiele wiemy o jego działalności społecznej, o osiągnięciach twórczych, naukowych i wszelkich innych, ale za to mamy pełną wiedzę o elegancjach przyjęciach, balach i rautach, na których bywa, o miejscach w pierwszym rzędzie na koncertach, których swoją osobą zaszczyca, o jego iskrzących się ułotnym dowcipem wypowiedziach na tematy ogólne. Jeśli celebryta jest rodzaju żeńskiego, a nawet damskiego, doniesienia te uzupełniane są opisami kreacji, makijażu i smakowitymi szczegółami: z kim gwiazda witała się na przyjęciu serdecznie, kto jej towarzyszył i w jakim stopniu zażyłości towarzyszył, kogo starała się ominąć i co to wszystko znaczy i co zwiastuje. Piosenkarka lub serialowa aktoreczka jest tematem bogatych ikonograficznie materiałów prasowych: jej rezydencja, ukochane zwierzęta, upodobania śniadaniowe, wspomnienie z urlopu na Hawajach lub Dominikanie, sielskie dzieciństwo, narodziny talentu. A także życie uczuciowe, że nie powiem intymne. Jakiś czas później dowiadujemy się, że z partnerem, który jest biznesmenem lub zastępcą producenta, wprawdzie jeszcze żyje, ale wszystko wskazuje na to, że żyje z nim tak jakby półgębkiem. I rzeczywiście: pół roku później partner idzie w odstawkę. I ulega zapomnieniu, ale tylko chwilowemu. Bo oto partner wiąże się z inną panią. Wygrzebuje się go z chwilowego zapomnienia i staje się on na nowo celebrytą. Przy tej okazji gwiazdą staje się jego nowa partnerka. Ten proces ma wszelkie cechy pączkowania. Życie bujnieje, wre, a nawet kipi. A ja ze smutkiem stwierdzam, że jestem nieprzydatny towarzysko: nie wiem jak wygląda Doda i nie znam jej dorobku artystycznego. Poza tym mam uczulenie na seriale zarówno polskie jak i zagraniczne: po kilku sekundach obcowania z serialem doznaję piękającej wysypki na całym ciele. Nie czytam też kolorowych pisemek. Skąd więc mam czerpać wiedzę o eleganckim świecie?

Okazuje się, że w pewnym sensie jestem konserwatystą, a przynajmniej człowiekiem starej daty. Uważam, że ludzie naprawdę wielcy swojej wielkości nie eksponują. Prawdopodobnie cieszą się ze swojej popularności, ale nie pchają się na łamy kolorówek, utajniają swoje życie osobiste, nie pozwalają innym grzebać w swoich alkowach. Wistawa Szymborska była przerażona nagrodą Nobla, nie lubiła wielkich zgromadzeń, obracała się w wąskim kręgu ludzi zaprzyjaźnionych. Czesław Miłosz pogrążył się w poezji i filozofii. Olga Tokarczuk strzeże swojej prywatności. Wiemy, że lubi myśleć i kocha pisanie. Ale to przecież nie jest interesujące dla szerszej publiczności. Szukam w pamięci i nie znajduję – może poza przed wojną i epoką Skamandrytów – pisarzy, którzy chcieli być celebrytami. Przynajmniej to jest to dobre, co o pisarzach możemy powiedzieć.

W łódzkiej SPATIFie popijałem z wieloma sławnymi w owych czasach aktorami, na przykład z Ludwikiem Benoit. Kiedy podchodził do

naszego stolika podchmielony wielbiciel jego talentu z pochwałami za ostatni film, Ben traktował go brzydkim słowem i odsyłał do swoich ról teatralnych. I odwrotnie – jeśli pochlebiano mu za teatr, to Ben kierował go do filmu. Znałem wielką gwiazdę polskiej piosenki Ewę Demarczyk – chyba nie lubiła publiczności, a już na pewno nie pozwalała na wesele w jej życiu prywatnym. Druga wielka dama piosenki, Joanna Rawik, z którą przez lata się przyjaźniłem, alergicznie reagowała na pytania reporterów o życie osobiste. W zażytych, koleżeńskich stosunkach pozostając z Bodziem Łazuką – jest świadomą swojej legendy, ale woli mówić o przyjaźni z Adolfem Dymszą.

„Wielka sława to dym” jak twierdzi pewna operetkowa aria.

* * *

Pisanie w naszych czasach o Chinach jest niefortunne, a nawet niebezpieczne. Jednak dziesięć pobytów w Kraju Środka wyposażało mnie we wspomnienia, o których mam obojętnie opowiedzieć.

Najpierw chińska wódka.

W czasie mojej pierwszej chińskiej podróży zdarzyłem się z nią wstępnie.

Przyjeżdżaliśmy do jakiegoś miasta, a w nim gospodarze, pisarze chińscy, zapoznawali nas z programem pobytu. Po wyszczególnieniu zasadniczych punktów oznajmiali, że wieczorem zjemy razem kolację. – A trzeba wam wiedzieć – mówili – że tu właśnie produkujemy słynne na całe Chiny, Azję, a nawet cały świat alkohole. I razem będziemy je degustować. Wywijały się wtedy między nami ciepłe, męskie, a nawet internacjonalistyczne porozumienie.

Jakoż wieczorem, przy wytwornej kolacji odbywał się pijaństwo na umór: pół litra na szesnaście osób.

Otwierano butelkę i nad stołem jak złowieszczą mgła zalegał zapach. Był połączeniem woni przastarego topieliska, zaniedbanej całymi latami stajni, ryby, która kilka dni temu popełniła samobójstwo uderzając łbem o kameień i kwiatów w wazonie, w którym parę tygodni nie wymieniano wody. Tak pachnący specjał nalewano do kieliszków mieszczących około 12 gram. I teraz trzeba było z całą odwagą stracić idącego na pewną śmierć przezwyżyć opór ręki i podnieść to do ust. Pierwszorędną rolę w tej czynności grała silna wola. Jej też trzeba było, aby zmusić się do przełknięcia eliksiru i aby potem opanować paraliżujący grymas twarzy. Najmężniejsi z nas wywoływali nawet na licach spazmatyczny uśmiech. Zostałem zapytany o wrażenie. I nie wiem, czy pod wpływem szoku czy ataku geniuszu powiedziałem wówczas, że to jest nieopisane. Powodowany niskim uczuciem zemsty flaszkę takiej wódki przywożem przyjacielowi. Stała u niego półtora roku. A nie należał on do abstynentów, oj nie.

Druga niepojętą sprawą jest ruch drogowy. I nie chodzi mi o drogi – Chińczycy w ciągu kilkunastu lat wybudowali dziesiątki tysięcy kilometrów autostrad. Nie chodzi też o tzw. tabor – są tu samochody najlepszych marek świata, a po ulicach Pekinu jeździ 100 tysięcy taksówek. Chodzi o to, jak się jeździ.

Po chińskich drogach samochodami, busami i autokarami przejechałem parę tysięcy kilometrów i zebrałem trochę obserwacji. Wyścigałoby tego na sporą powieść, ale będę się mocno ograniczał.

Kierowcy chińscy traktują przepisy drogowe dość swobodnie.

Cyklicy pedałujący w poprzek rzeki pojazdów, zamysłeni, nieobecni duchem, pogrążeni w mistycznej medytacji, kierowcy wykonujący manewry dotąd zarezerwowane dla pilotów specjalizujących się w akrobatyce – to są widoki powszednie. Nie widuje się policji drogowej. Widocznie jest zagubiona.

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych

w Pekinie było od 50 do 100 samochodów prywatnych. Wszystkie inne należały do państwa. Dziś poza samochodami wszystkich światowych marek, ulice chińskich miast dynamicznie wypełniają skutery, motocykle i malejka, ale pokażna ilość rowerów. Skutery i motocykle są w niezwykle pomysłowy sposób przerabiane na podręczne ciężarówki oraz na taksówki – ale takie pomysły motoryzacyjne widzi się w mniejszych miastach.

Poza tym są ludzie. Ludzi jest najwięcej, ale nic dobrego dla drogowego ruchu z tego nie wynika.

Każdy z tych użytkowników dróg ma swoje drogi i swoje interesy. Ich zderzenie daje rezultaty oszałamiające.

Jeśli chcesz sam prowadzić samochód, zrób to, ale zabierz ze sobą zimne męstwo człowieka idącego na własną egzekucję.

Jeśli masz zamiar być pasażerem weź dwie pigułki relanium, zamknij oczy i trwaj tak, dopóki ci nie powiedzą, że dojechałeś do celu. Tracisz w ten sposób wiele wspaniałych widoków, ale zyskujesz parę lat życia.

W Xi'an widziałem scenę, która stanie mi przed oczami w godzinie śmierci. Pół metra przed maską naszego – jadącego! – busa przeszedł mężczyzna. I cztery centymetry od karoerii zatrzymał się, ponieważ z przeciwka jechał autobus. Mężczyzna stał, a ja w tej śmiertelnej chwili widziałem jego twarz: była obojętna i jakby odrobinę zamyślona. Odniosłem wrażenie, że było mu nawet wygodnie, gdyby nie liczyć tego, że na jakiś czas musiał wstrzymać oddech. Na wdechu by się nie zmieścił.

Linie białe, żółte, przerywane i ciągłe oraz zebry pełnią tu zapewne funkcje dekoracyjne. Przechodzimy przez ulice gdzie chcemy, ponieważ tak jest bliżej, choć niekoniecznie wygodniej.

Jedną z głównych ulic Pekinu to osiem pasm ruchu przedzielonych wąskim trawnikiem i metalowym płotkiem. W godzinie szczytu, w upiornym ruchu, przełazą przez tę barierkę przechodnie, a potem nurkują w strumieniach pędzących samochodów. I nic się nie dzieje. Wszyscy mają nerwy, na których można by zawiesić most przez sporą rzekę.

I jeszcze jedno: w czasie wielu tygodni podróży po drogach i ulicach widziałem jedną niegroźną słuchkę z udziałem małej taksówki, roweru i fantazyjnie obudowanego motocykla. Ich właściciele stali na środku ulicy i flegmatycznie rozmawiali na jakiś mało interesujący temat.

Wymuszanie pierwszeństwa, zganianie z przejść przechodniów, jazda po chodnikach – to wszystko jest na porządku dziennym, go-dziennym i sekundowym.

Lawinowo rośnie ilość samochodów.

Powiedziano mi, że w Chinach obowiązuje ruch prawostronny. Sam bym na to nie wpadł.

* * *

Jechałem do Krakowa pierwszą klasą. Jako senior mogę sobie na ten luksus pozwolić. Pociąg ruszył, pięcioro moich współpasażerów wyjęło laptopy i zaczęło pracować, a ja, jak kto głupi, czytałem książkę.

To jest prawda, choć dziś trudno w to uwierzyć: kiedyś książka była nie tylko towarem.

Kolejka zaczynała się na Nowym Świecie, skręcała w Foksal, a jej głowa kłębiła się przed siedzibą Państwowego Instytutu Wydawniczego. Powód? Ta oficyna wydała Ulissesa Jamesa Joyce. Nie stałem w tej kolejce, znajoma z wydawnictwa zatrzymała dla mnie egzemplarz. Kosztował tyle, co na okładce plus bombonierka. Książkę po pewnym czasie wypożyczył ode mnie kolega intelektualista i nigdy jej nie oddał. Ale w intelektualnych rozmowach nigdy do Ulissesa nie wracał. Wniosek: odpadł, nie doczytał. Prawdopodobnie dotoczył do

większości tych, którzy stali w kolejce i których biblioteki zdołało to dzieło.

Snobizm ma znaczenie pejoratywne. Ale bywają snobizmy szlachetne.

A ja? Należę do mniejszości, która dzieło przeczytała. Pochwaliłem się, ale zaraz to zrównoważę – niewiele zrozumiałem.

Prawie dwadzieścia lat później inna oficyna wydała Ulissesa w tym samym przekładzie Stomczyńskiego. Kupiłem, postawiłem na półce i długo, długo do książki nie zaglądałem – tak na wszelki wypadek. Wreszcie się przemogłem i już wiem: tego nie można czytać przez kilka kolejnych, jesiennych wieczorów. Trzeba przeczytać kilka stron, przerwać, pomyśleć, wrócić po paru dniach i znowu przebrnąć przez następne stronicę. Po takiej operacji zapala się w umyśle światło. Zaczynamy rozumieć tych, którzy uważali to dzieło za wielkie.

Czytać, co wieczór, po dwie strony z siedmiu innych książek, co? Byłem młody. Byłem młody. Kłaniałem się sobie w lustrze, występując ku przodowi, aby jak najgodniej przyjąć owację: uderzające oblicze. Niech żyje przeklęty idiota! Niech żyje! Nikt nie widział, nie mów nikomu.

I wszystko jasne.

* * *

Dno morza.

Tu w złotych ramach leżą krajobrazy,

Te, w których człowiek nie znalazł sam siebie:

Posągi z brązu, granitu, marmuru,

Człowiek je strząsał, bo się w nich nie spełnił,

Leżą foliaty poetów i mędrców;

Księgi, co ludziom tworzyli człowieczą

Iluzję próżną bez jej żywej treści...

(mój przekład)

To jest fragment poematu Eduardasa Miezelaitisa „Krajobraz duszy”.

Historię tworzą ludzie. Historię zapisują ludzie. I to są dwie różne historie. A przy najmniej tak bywa.

Miezelaitis uważany jest za ojca nowej, nowoczesnej poezji litewskiej. Był mentorem, wychowawcą dwóch pokoleń litewskich poetów, którzy jednocześnie byli świetnymi tłumaczami literatury polskiej – poezji, prozy, dramatów. Poeta, autor wielu wierszy poświęconych Mickiewiczowi, tłumacz polskiej poezji. Niestety, był też działaczem komunistycznym. Skreślono człowieka, ale też skreślono dzieło. To dość powszechna praktyka, nie tylko w naszych czasach.

W latach siedemdziesiątych przeprowadzałem z nim wywiad. Rozmawialiśmy po polsku, mówił jak Polak. Siedzieliśmy w jego wileńskim domu, a ja spoglądałem na ścianę, na której wisiła wielka litografia (bodajże Strumiły) przedstawiająca Mickiewicza. Gospodarz zauważył moje zainteresowanie.

- Dostałem ten obraz od Jarostawa, w Stawisku. Nie chciałem przyjąć, bo to cenna rzecz, ale Jarostaw powiedział mi: - weź, weź, my wszyscy z niego...

Potem zamyslił się i dodał:

- Wie pan, jeździłem po świecie, poznałem wielu, wielu pisarzy. Ale tylko o jednym mogę powiedzieć, że jest wielki. To jest Iwaszkiewicz.

Nie mylił się. Mimo, że komunista.

* * *

Mój zmarły przyjaciel Rysio Ulicki mówił o sobie i innym poecie, że są sobie równi. Dowód? Obaj nie dostali nagrody Nobla.

Wielu z nas jest równych sobie.

I to by było na tyle.

MAREK WAWRZKIEWICZ

Wojśław Brydak

Z BOISK I
STADIONÓW

W wieku licealnym, hen, pod koniec lat pięćdziesiątych zeszłego stulecia, bywałem kibicem piłkarskim. Jeszcze nie przeszło w modę wywijanie szalikami klubowym, bo jeszcze nie było klubowych szalików.

Stadionowy bywalec zabierał na mecz gazetę, na ogół przeczytaną; siadywało się na prostych ławach, niczym nieosłoniętych, czy to dzień czy noc pod gotym niebem, i zwykły rozsądek nakazywał podłożyć coś pod cztery litery, by chronić spodnie, w tym kant. Z wiatrem frunęły zeschnięte liście, z liśćmi bogactwo drobnych śmieci, a nad stadionem szybowały ptaki, co groziło bombardowaniem o skutkach nieprzyjemnych dla ofiary, za to setnie rozweselających widza.

W Stali nie grali Gerard Cieślík, Lucjan Brychczy ani Ernest Pohl. Rzeszowska drużyna – z wysiłkiem, ale i z powodzeniem – przebiła się z trzeciej ligi do drugiej, a po paru latach dobiegła nawet do pierwszej. (Dodam, że w owych czasach polskie ligi klasyfikowano w miarę ściśle: trzeciej nikt nie nazywał „drugą”, ani drugiej „pierwszą”, na który to pomysł działacze PZPN wpadli dopiero w XXI wieku). Klub utrzymywała spora fabryka lotnicza, dziecię przedwojennego COP-u, przez pewien czas po wojnie współproducentka silników odrzutowych, których huk – podczas testów na hamowni – wstrząsał miastem bez względu na porę dnia lub nocy.

Na mecze ściągali zarówno bywalcy peryferyjnych mordowni jak i członkowie palestry, którzy od czasu do czasu skazywali tych pierwszych. Na ławkach rezydowali zarówno pedagodzy gimnazjalni jak i sami gimnazjaliści, fryzjerzy i fryzowani, lekarze i pacjenci. Nowy, niebrzydki stadion Stali był swego rodzaju demokratycznym salonem miasta. Zresztą coś podobnego wyczuwaliśmy wtedy na każdym niemal stadionie, na który zdarzyło mi się trafiać, a zdarzało się często, bo czasy były przedtelewizyjne i zawody oglądano albo na żywo, albo wcale.

Stadion Stali w Rzeszowie miał jednak pewne cechy odrębne.

Klub stworzono po wojnie w mieście, w którym od czasów jeszcze austro-węgierskich działała Resovia, założona w roku 1910 – zaledwie w 4 lata po Cracovii, a w 6 lat po lwowskiej Pogoni. Po drugiej wojnie, pod koniec lat pięćdziesiątych, piłkarska drużyna Resovii pętała się jednak po trzeciej lidze (zaledwie regionalnej) i na pewno nie zanosilo się na awans. Tej Resovii nadal kibicował cały Rzeszów, ale już niewiele z tego wynikało. Pamiętano graczy sprzed wojny, sprzed dwudziestu i trzydziestu lat, natomiast gwiazd żywych – zwłaszcza takich, z którym można się po meczu napić – po prostu brakowało. Co innego powojenna Stal, w której zespole grali obdarzeni potężnym strzałem Ludwik Poświat czy Rafał Anioła, a na bramce i w obronie bracia Skibowie, i można wymieniać dłużej, tylko że – wbrew pozorom – nie o piłce chcę tu pisać.

Rzecz w tym, że stadion Stali bywał solidnie zapelniony, natomiast niekoniecznie sprzyjał gospodarzom. Bo stadion Stali zapelniali kibice Resovii, którzy przyszli popatrzyć na drużynę lepszą.

Efekt był taki, że błądy miejscowych gorliwie wygwizdywano, że widzownia jak w natchnieniu mnożyła głośne docinki, że w przerwie można było nasłuchać się do woli złośliwych anegdot o graczach, no i –

co już najgorsze – niestrudzenie wytykano, że w składzie drużyny przewijają się piłkarze „kupieni”, a to niekoniecznie było prawdą. W każdym razie stadion po wygranym meczu nie szalał, natomiast po przegranej drużynę z satysfakcją wyśmiewano.

Taka to publika regularnie chodziła na mecze Stali. Zdarza się. Miejscowi mogli liczyć na frekwencję, lecz nie na wsparcie. Owszem, piłkarze mogli się spodziewać, że widzownia dopisze. Ale nie mogli na nią liczyć.

Zamierzchte czasy przychodzą mi do głowy, kiedy przyglądam się życiu publicznemu z ostatnich dwudziestu miesięcy, w szczególności ich opowieści medialnej. Do chwili wyborów w 2023 roku ta część mediów, która opowiada się po stronie porządku prawnego, a przeciw politycznemu chuliaganstwu, ta część mediów która popiera przestrzeganie umów i pilnuje związku z Unią Europejską – jakże kiedyś wymarzonego – otóż ta część mediów troszczyła się przede wszystkim o cele główne, podstawowe, o fajne państwo wrosnięte w zachodnioeuropejską anatomię. Zwłaszcza, że polityczni przeciwnicy tych celów, jawnie zdążali w stronę zamordyzmu w odcieniu brunatnym, przy tym dochodowego.

Po październikowych wyborach 2023 roku, przegranych przez polityczną chuliaganie, sytuacja zaczęła się jednak zmieniać, wprawdzie trochę, potem coraz wyraźniej. Media sprzyjające demokracji i wspólnocie europejskiej straciły z oczu ideał owego

fajnego państwa, zaczęły natomiast zajmować zagadnieniami typu kto i na jakiej konferencji uniósł lewą brew, chociaż mógł unieść obie, dlaczego nie dotrzymano tej czy innej umowy, mimo że nikt owej umowy nie podważał, słowem media sprzyjające demokracji i wspólnocie europejskiej zaczęły żwawo dłużyć w sprawach trzeciorzędnych, a czasem wydumanych, kosztem celów o wiele ważniejszych.

W tych kręgach sceptycyzm i czarnowidztwo nie dlatego były w modzie, że wymagała tego sytuacja. Nic podobnego. Były w modzie dlatego, że sceptyk bądź czarnowidz uchodzi za mądrzejszego niż uśmiechnięty idealista.

Nikt nie chce uchodzić za frajera, znacznie przyjemniej grać mądrego; za znacznie szlachetniejszą uchodzi powaga godna dziurawego wiadra. Nawet jeśli się wie, że jarmarczne krakanie – byle wytrwać – może się jednak przeistoczyć w prognozę samospełniającą.

Dziwaczna atmosfera dzisiejszego życia zbiorowego przypomniła mi dawno wymarłą widzownię klubu piłkarskiego Stal Rzeszów: kibice przychodzą na mecz, ale nie uskrzydla drużyny, dla której przyszli. Wolą się przebrać w kostium znawcy.

Tymczasem mimo licznych podobieństw – mimo niestrudzonego bajdurzenia o „ugranie” czegoś, lub „ogranie” kogoś – postrzeganie życia zbiorowego jako meczu, może zadowolić jedynie głupców.

WOJŚLAW BRYDAK



Anna Czyrska

PISARKA W ŚWIECIE AI ROZMOWY O POEZJI

ESEJ

Poezja jest swego rodzaju nagością. Bowiem tkwi w głębinach ludzi, którzy uprawiają ją niczym gorący seks i dbają jak o cudowną kochankę. Poezja unosi się magią słowa. Jeszcze niedawno uczyliśmy się alfabetu. Ja czytałam w wieku czterech lat, więc buszowałam pośród słów.

Bycie poetką w XXI wieku jest jak bycie straconym. Pisarzem także, ale dziś skupmy się na pisaniu szeregu słów o tym co czujemy. Kiedy opisujemy jakąś chwilę nadajemy jej magii, czynimy ją wyjątkową. Chcemy by ktoś dostrzegł ten moment kiedy ta chwila uciekła. Kiedy ta chwila odeszła i nic jej nie zatrzyma. Sekunda znika z tykiem kawy, uśmiechem. Poezja to uprawianie seksu, idealny wstęp do otwarcia się przed kochankiem/kochanką. To jednak wyższa forma intymności bowiem napisanie wiersza dla kogoś to jak oznaczenie go, wejście w jego wnętrze, myśl. Jest to wyższa forma od seksu. Seks jest dopełnieniem relacji poetycko-seksualnej. Poezja jest więc prawdziwą nagością i dojrzałością. Rozmowy o poezji zazwyczaj toczą się między poetami. Oni bowiem „rozumieją swoją baję”. I tak popijając alkohol dyskutują o słowach. Nadają im tonacji i rytmu. Nadają im smaku. Rozmowy o poezji kształtują ludzi. Dźwięk słowa „Kocham Cię” w wierszu brzmi jakby bardziej uroczo. Bo „Kocham Cię” wtedy jest takie głębokie, nieoczywiste i zadumane jak człowiek czytający książkę. Poezja potrafi zaskoczyć, bo w tak krótkim tekście można ukryć szczęście, rozpacz, samotność, głód miłości i wiele innych rzeczy. W poezji w ogóle można się ukryć. Ukryć się w tych słowach tak jak ukrywasz się pod kołdrą. Wiersz jest też rodzajem ratunku, wołaniem o pomoc. Tęsknotą. Jeśli ktoś choć trochę zrozumie to o czym piszesz, potrafi czytać między wierszami to znaczy, że jest to ktoś ważny dla ciebie. Bez wątpienia ktokolwiek szanuje zbiór słów, które w kapitalizmie nie mają żadnej wartości. Kapitalizm wpadł w reakcję ze słowem i nazwał to copywritingiem. Wszak poezja po prostu może być krótkim hasłem reklamowym, które ludzie uznają za kultowe. Zrobią z niego wielki manifest. Przesłanie. Receptę jak u lekarza na swoje smutki, dodatek do wina czy piwa. Chociażby znanym hasłem stał się cytat od naszej noblistki Wisławy SZ: „Nic dwa razy się nie zdarza”. Wszak jest to komercyjny cytat, odśpiewany jeszcze przez Sanah. Wiersz prosty i łatwy jak piosenki Taylor Swift gości w umysłach ludzkości. Wszedł do ich mózgu i niczym Carpe Diem przypomniat, że życiem to trzeba się cieszyć w świecie depresji, chaosu, zgiełku, fentanilu i Xanaxu. Poezja wydaje się być niewinna. Cierpka jak wino, smutna jak cisza, w której unosimy się. Poezja jest więc krótką prozą. Tak wiem, że jest proza poetycka ale poezja jest też małym dramatem, cichym fragmentem. Trzeba się cieszyć...Poeci. Jak piękny to moment kiedy WIKIPEDIA uważa, że jesteś pisarzem, poetką. Ach ta cudowna poezja. Wikipedia tak myśli. Jak miło. Wiesz ile osób codziennie o tym marzy aby WIKIPEDIA pokazała, że są kimś. Aby inni specjaliści ocenili, że możesz wstąpić do SEKTY POETYCKIEJ. Stać się częścią świata, w którym pozornie łatwo zaistnieć bo przecież są antologie, Konkursy. Ale, aby stać się częścią tego świata to już droga jest trudniejsza. To już jak SPORT. W każdej

d dziedzinie szczęście jest ważniejsze niż talent. Czym jest talent poetycki? Kiedy twój wiersz nie jest po prostu wierszem, kiedy uchwycy moment twojego życia a ty zatrzymujesz je dosadnie. Kiedy wiersz trwa w tobie a nie jest tylko momentem. Trudno to osiągnąć nie tylko w sztuce ale i w życiu.

PISARKA W ŚWIECIE AI Rozmowy o bezdziejności

Jako ludzie pragniemy codzienności i ukrytej w niej miłości. Kocham cię codziennie i na zawsze. Jakie to piękne. Panna młoda w welonie oddana temu jedynemu mężczyźnie. Zakładają rodzinę. Zakładają wspólne życie. Przez cztery lata udawałam czyjaś matkę podczas weekendów. Bawiłam się w matkę. Miłość ma różne oblicza.

Moja mama zawsze mówiła, że posiadanie dzieci to najpiękniejsze co może mieć kobieta. Pamiętam te momenty kiedy czułam się gorsza, bo każdy wokół mnie zakładał rodzinę a mi nic nie wychodziło w życiu. Mojego świętej pamięci psa Lotka traktowałam jak synka. Próbowałam sobie zastąpić czymś brak dzieci. Było to moja obsesja. Poczucie, że nikt mnie nie chce a przecież jestem prawie idealnie oczywiście mam też wady jak każdy z nas. Jednak byłam w rozpacz. Czułam się jakoś tak pokrzywdzona, bo wchodziłam tylko w nieudane relacje. Mam problem z pracą i nie cierpię hasła, że przecież praca czyha za rogiem. Zmuszanie ludzi do pracy, której się nie nadają jest swoistym mobbingiem. Tak wiem, wielu ludzi pracuje bo musi. Pieniądze nie spadają z nieba a by mieć trzeba być bogatym, bo dzieci to opieka przez całe życie. Dzieci są dobre, za dzieci otrzymasz zasiłek. Dostaniesz ulgę a ludzie będą patrzeć na ciebie i mówić: Jaka ona odpowiedzialna, jest matką. Dopiero kiedy jesteś matką znaczyś coś. Dajesz państwu 800 plus. Jesteś więc ważna dla państwa. W Polsce jednak kobieta to inkubator, ko- była do rodzenia dzieci.

Miłość rodziców i dzieci jest wyjątkowa. Ja chciałam mieć dzieci. Dlatego, że całe otoczenie wysyłało mi vibe: Bądź matką, zostań matką. Byłam kiedyś w związku z mężczyzną a raczej chłopcem. On miał dwójkę dzieci. Dzieci wymagają poświęce- nia. Jednak każdy kto ma dziecko oczekuje pomocy otoczenia. Często wyobrażałam sobie siebie jako matkę. Wyobrażałam sobie swoją córeczkę. Nadawałam jej imię: Laura, Lilianna, Nina. Wymyślałam imię takie jakie ja chciałam nosić. Wyobrażałam sobie, że podróżuję z nią, pomagam jej odkrywać świat. Tak to były piękne marzenia. Nadal skrycie o tym myślę. Dla mnie jednak posiadanie dziecka jest też pewną drogą ku

zniszczeniu związku. Co nie znaczy, że każdy kto ma dzieci jest nieszczęśliwy. Ludzie często chcą naprawić relacje dzieckiem wierząc, że dziecko ich scali. Jest to najgorsza recepta na ratunek. Dlatego, że kiedy jest dziecko ludzie skupiają uwagę na wychowaniu dziecka a nie na sobie. Ludzie wtedy zmieniają swoje role. Stają się żyjącymi obok istotami, które chcą sprawić radość dziecku. A dziecko staje się frustracją i spełnieniem. Potem gdy dorasta mamy jakieś wyobrażenie o tym dziecku ale ono rzadko kiedy spełnia oczekiwania gdyż jest osobną jednostką. Wobec narodzonego dziecka rodzice mają marzenia i oczekiwania a dziecko...Dziecko dorasta. Widzi życie i świat. Czym tak właściwie dziecko różni się od dorosłego? Odpowiedź wydaje się przecież oczywista. Rodzic to opiekun nieświadomej istoty. Wielu rodziców zostaje rodzicami choć nie są na to gotowi. O ile w ogóle możemy być gotowi na bycie rodzicem. Każdy z nas jest podobny do siebie w jakiś sposób. Uparcie szukamy naszej drugiej połowy. Chcemy być wybrani przez jedną osobę, naznaczeni nią. A dziecko ma te uczucia scementować. Związki dziś przeżywają kryzysy. Nie widzimy tych relacji inaczej niż to co pokazujemy na INSTAGRAMIE. Szczerość i bycie sobą to najlepszy towar. Tylko co to znaczy być sobą- być wystarczająco świadomym naszych pragnień. To nie jest to, że nie chciałabym mieć dzieci. Chciałabym miłości. Miłość jest jakimś rozjaśnieniem w naszym życiu. Kiedy ktoś chce być świadkiem naszej codzienności. Przytulać nas i całować. Jest w tym piękna magia codzienności. Nie, nie mam dzieci i nie chcę mieć choć nie wykluczam. Bezdziejność budzi nadal brak szacunku mimo że dzieci stanowią narzędzie przetrwania twojego EGO. Kiedy nie masz dzieci to...Czujesz, że nikt nie chciał mieć z Tobą dzieci, więc na pewno coś jest z tobą nie tak. Tylko co to znaczy nie tak? Ludzie mają wiele zaburzeń. Filozofia bezdziejności to w istocie antynatalizm.

Według Wikipedii definiuje się go tak:

Stanowisko etyczne przypisujące negatywną wartość ludzkiej prokreacji. Antynataliści argumentują, że ludzie powinni zrezygnować z prokreacji, ponieważ jest ona moralnie zła. Niektórzy antynataliści uznają za moralnie złe także powstawanie innych czujących istot.

W moim odczuciu nadal partie polityczne znęcają się nad kobietami. Nie dają prawa do aborcji. Nie jestem fanką aborcji na życzenie ale jak najbardziej popieram aborcję, która ratuje życie kobiety. Niestety kobieta zawsze będzie w mniemaniu większości uzupełnieniem mężczyzny. Mamy tworzyć rodziny...Ja skończyłam nauki o rodzinie. Elitarne studia dla grzecznych dziewczynek kształconych na przyszłe żony i matki. Były

→ śmy takimi, które nie chciały być zakonnicami ale moja znajoma ze studiów została zakonnicą. Zakonnice też są skazane na bezdzietność, choć kto wie, co czai się za drzwiami domów zakonnych. Mniej więcej wiemy. Tu dochodzi nasza wyobraźnia. W moim odczuciu dziecka nikt nie pyta o zgodę czy chce przyjść na świat a zabraniamy kobiecie podejmowania decyzji. Będzie coraz więcej bezdzietnych kobiet w kraju gdzie aborcja jest nadal nielegalna. Widzę świat wokół dostosowany dla małych dzieci ale także małych dorosłych. Zabawki, filmy, bajki dla dzieci to nadal największe źródło kapitalistycznego biznesu. Dzieci chłoną świat poprzez kolorowe piteczki, bańki mydlane, gry i zabawy. Dzieci chcą rozrywki a świat ma do nas pretensje, że my dorośli też chcemy tych rozrywek. Nie czuć przymusu. Kiedy dziś szłam po moim pięknym mieście Wrocławiu czułam radość. W końcu. Zapisywałam się na basen, mam nowego laptopa. Nie mam dzieci ani męża. Nie jestem gorsza. Ci co mają dzieci, rodziny i miłość też czują to. Ludzie kochają żyć w sztucznym świecie chociaż kto wyznacza te granice? Gdzie kończy a gdzie zaczyna się głębia istnienia. Może jej nie ma może jest tylko powierzchnia?

PISARKA W ŚWIECIE AI O literaturze dla młodych cz.1

Nie jestem matką. Jednak bacznie obserwuję. Bacznie obserwuję rzeczywistość. Rzeczywistość rodziców, którzy zmagają się z wychowaniem i podpisali pakt wiecznej miłości do tych istot. Dorastanie to jeden

z najtrudniejszych etapów w życiu. Moje pokolenie pamięta jeszcze czasy kiedy Internet istniał jedynie w wyobraźni.

Kiedy rzeczywistość była korespondencyjna. Pisałam listy do ludzi, którzy mieszkali daleko. Pisanie listów było jedyną możliwością zdobycia wiedzy albo telefon. Mielśmy telefon Cyfrol w kolorze żółtym. Wisiół na korkowej ścianie. A z kuchni zawsze unosiły się zapachy. Nie było telefonów komórkowych ale kiedy się zjawiły miałam MOTO-ROLĘ. Moja mama miała NOKIĘ, twardą i ciężką. Owiniętą w plastikowy, skórzany płaszczyk ceptę. Tak technologia powoli do nas przychodziła. Dziś ludzie traktują wydawanie książek wizerunkowo. Młodzież pisze dla młodzieży dla sławy i pieniędzy. Kiedy rozważam wydanie książek przypominam sobie w jakim albo czym towarzystwie będę. Wystarczy wejść do każdej księgarni czy sklepu by dostrzec, że książka to właściwie produkt. Produkt, który musi być dla ludzi i według potrzeb. Literatura młodzieżowa (i nie tylko młodzieżowa) jest po prostu smutna i toksyczna. Piszą influencerki by poczuć, że nie są tylko „głupimi influencerkami”. Wydają książki i co potem? Potem czują się fajne, lepsze i cool. Wydałam książkę więc jestem kimś. Kimś ważnym i lepszym. Potem niektórzy mają odwagę czytać owe książki i no cóż. Niekiedy twierdzą, że ważne, że młodzież czyta. Serio? Nie jestem matką jednak nie chciałabym aby moje dziecko wydało książkę, która odbiera mu godność. Książkę, która kopije amerykański film klasy B. Książkę inspirowaną WATTPADEM. Też zaczęłam pisać na Wattpadzie, tak dla eksperymentu i szczerze męczy mnie tworzenie historii o bohaterach, którzy są płytki. Mają dać ludziom rozrywkę i emocje. To są książki o których się zapomina. Książki jak emocjonalny, odgrzewany kotlet,

bo przecież znamy budowę każdej romantycznej, pustej historii. Shake emocjonalnych złudzeń dla nastolatków, które chcą kochać złych chłopaczków. Chcą by szalał za nimi bandzior, ćpun i alkoholik. Chcą, bo kultura ustanowiła symbol antybohatera, który ma pokazać życie rozpierzchnionej dziewczynce. Z romantycznych historii pozostaną wierna filmowi „Dirty Dancing”. Zagadką pozostaje dlaczego przetłumaczono to na „Wirujący Seks”.

Idole młodzieży kierują się wyłącznie pragnieniem sławy i pieniędzy. Pojawiają się w mediach toksyczne autorytety. Ostatnio takim przykładem jest JELLY FRUCIK. Nie mam nic do LGBT i nie kieruje mną hejt ale Jelly Frucik potrzebuje pomocy psychologicznej w trybie natychmiastowym. Im bardziej jesteś głupi i się tym chwalisz tym większym stajesz się idolem. Trzeba się poniżyć by osiągnąć dotyczy to także każdej pracy nawet w korporacji. Poniżanie dla pieniędzy jest ubóstwiane w naszej kulturze. Poniż się ale bądź sobą. Jakiś czas temu dostałam staż w pewnej korporacji w kultowym, wrocławskim budynku. Czułam szczęście ale z czasem okazało się złudne. Był to staż. Potraktowano mnie jak śmiecia, ubytek w zębie. Dziś wiem, że w sumie źle mi było w tej pracy. Ja wychowałam się na książkach Josteina Gaardnera i jego „Świecie Zofii” i jego i innych powieściach. Byłam w głębi taką Zofią. Dziś nie wymaga się talentu i nie dotyczy to tylko pisania. Wydawane książki zawierają wiele błędów. Nie mają na celu misji. Mają dostarczyć szybkiej jak zjedzenie w Macu rozrywki. Najważniejsze jest chwilowe zaspokojenie. Czy to złe? Trudno oceniać choć ten świat opiera się na krytykowaniu zachowań.

ANNA CZYRSKA



W numerze prezentujemy prace Emiliji i Stojče Tocinovskih



Zasady współpracy z autorami w Gazecie Literackiej „Migotania”:

- Przekazując materiały do redakcji Pisma:
 - autor wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i w internecie.
 - autor oświadcza, że teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw osób trzecich.
 - autor udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych (nazwisko, imię a w notkach biograficznych rok i miejsce urodzenia).
 - autor ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie praw spowodowanego publikacją nadesłanych utworów.
 - autor zezwala redakcji na dokonywanie skrótów i korektę merytoryczną w nadesłanych materiałach.

WSZYSTKICH CZYTELNIKÓW, Autorów oraz Przyjaciół „Migotań” zapraszamy do wsparcia finansowego naszej Gazety. Tylko dzięki Waszej pomocy będziemy w stanie przetrwać na trudnym rynku oraz drukować Wasze teksty.

Dziękujemy za pomoc! Redakcja

Papierową mutację pisma Migotania można otrzymać bezpośrednio od redakcji. Wystarczy złożyć zamówienie i opłatę za przesyłkę 25 zł za 1 numer. Możliwa jest przesyłka za zaliczeniem pocztowym.

Jak zamawiać kwartalnik? Proste:

1. Zadzwoń pod numer 601-840-302 i złóż zamówienie
2. Wyślij zamówienie mailem do: joa@migotania.pl
3. Ewentualnie pocztą:
Fundacja Światło Literatury, ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk
4. W tytule przelewu podać:
"Na przesyłkę Migotań. Zamawiane numery i za jaki okres.

Zamawiane numery otrzymasz po wpłaceniu odpowiedniej kwoty za przestanie na konto: Bank Millennium 74116022020000000170195866

gazeta literacka

Migotania

www.migotania.pl



ISSN 2083-2494

numer 3 (88) 2025

Redakcja:

Redaktor naczelny: **Zbigniew Joachimiak**

Redaktorzy: **Maria Jentys-Borelowska**
(Warszawa),

Zbigniew Kresowaty (Łądek Zdrój)

Roman Warszawski (Gdynia),

Małgorzata Dorna (Wendrychowska),
(Piła - Sopot)

Zdzisław Drzewiecki (Biały Bór)

Stale współpracują:

Anna Frajlich (Nowy Jork),

Grzegorz Musiał (Bydgoszcz),

Dariusz Pawlicki (Bydgoszcz)

Grzegorz Bazylak (Gdańsk)

Olga Śmiechowicz (Łódź),

Marek Wawrzekiewicz (Warszawa),

Krystyna Śmiechowicz (Łódź),

Urszula M. Benka,

Andrzej Walter,

Mateusz Wabik,

Jerzy Lengauer,

Marian Lech Bednarek

Andrzej Wołoszewicz

Dział fotografii: **Sybilka Storie**

Dział tekstów, redakcja i korekta:
Agata Foltyn

Redakcja niekoniecznie podziela poglądy
autorów.

Opracowanie graficzne:

Baltex Artur Rakowski

Wydawca: Fundacja Światło Literatury
Adres redakcji: Fundacja Światło Literatury,
ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk
tel. 601-840-302

joa@migotania.pl,

jodalike@gmail.com

Fundacja

ŚwiatłoLiteratury

Migotania.

Redakcja uprzedza, iż nie odsyła tekstów
nie zamówionych. Staramy się odpowiadać
na propozycje tekstowe, ale nie zawsze mo-
żemy to zagwarantować. W korespondencji
z Redakcją prosimy używać przede wszystkim
adresów e-mailowych.

W sprawie zamieszczania reklam prosimy
o kontakt mailowy na adres:

joa@migotania.pl



WOJEWÓDZTWO
POMORSKIE



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
SAMORZĄDU
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
MINISTRA KULTURY
I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

Alicja Dmowska

- **Mówisz, że to wyrwa?**

- Nie ma wątpliwości. To ogromna strata dla światowej literatury. Mario Vargas Llosa to jeden z najdoskonalszych narratorów XX i XXI wieku. Jego śmierć, odejście to jeszcze jeden wyraźny znak, że coś się skończyło, że wiele rzeczy będzie wyglądało całkiem inaczej niż do tej pory.

- **To truizmy...**

- Ale nie sposób je pominąć, gdy rozmawia się w kontekście śmierci pisarza.

- **A jeszcze niedawno recenzując na łamach „Migotań” ostatnią książkę Llosy „To dla Pani ta cisza” pisałeś o nim jako o młodym Matuzalemie.**

- Chodziło mi o to, że ta książka napisana jest z iście młodzieńczą werwą i w zawiadackim stylu; iż trudno byłoby się domyśleć, iż pisał ją osoba blisko dziewięćdziesięcioletnia. Poza tym wydawało się, że MVLI jest wieczny niczym Sfinks; że był i zawsze będzie. Niestety czas i o niego się upomniał.

- **Do którego z pisarzy z przeszłości byś go porównał?**

- Do Balzaka. Częściowo może do Dostojewskiego. To właśnie ten kaliber pisarstwa. Następców nie widać i może w ogóle ich nie będzie, bo czasy teraz całkiem inne.

- **Która z książek Llosy jest na przykład odpowiednikiem „Biesów”?**

- „Wojna końca świata”.

- **A „Braci Karamazow”?**

- Powiedzmy, że „Rozmowa w Kate-drze”.

- **Czytałaś ostatnio artykuł o Llosie w „Polityce”, ale niewiele o się o nim dowiedziałaś, jako o człowieku.**

- Też to czytałam. To był artykuł głównie o książkach MVLI.

- **My skupmy się jednak na nim samym. Jesteś jednym z nielicznych Polaków, który miał kilkukrotnie kontakt z Llosą i ta znajomość trwała aż kilkadziesiąt lat.**

- Nie wiem jednak, czy można powiedzieć, że dobrze go znałam. Raczej nie. Znacznie lepiej zna go na pewno Adam Michnik i Tomasz Pindel – biograf pisarza. Z MVLI spotkałam się cztery razy, przy czym trzeci raz składał się z kilku spotkań dzień po dniu. Wtedy powstał mój wywiad z nim, który pod tytułem „Skrzydła diabła, rogi anioła” ukazał się w formie książkowej.

- **A pierwszy raz?**

- Było to bardzo dawno temu. MVLI był jeszcze stosunkowo młody. W roku 1982, w czasie mojej pierwszej podróży do Ameryki Południowej, do Peru zbierałam materiały do książki o masakarze dziennikarzy w andyjskiej wiosce Uchuraccay, gdzie tu-byłcy grupę dziennikarzy wzięli za terrorystów z organizacji Świetliści Szlak i spodziewając się nagrody ze strony policji i wojska zastrzelili ich na śmierć. Została wtedy powołana specjalna komisja, która miała wyjaśnić, jak mogło do tego dojść, a w jej skład wszedł m.in. Mario Vargas Llosa. Interesując się tym tematem nie mogłam go wtedy nie spotkać i poznać.

- **Pisarz nie dziwił się, że sprawą masakry interesuje się młody dziennikarz z dalekiej Polski?**

- Owszem, dziwił się, ale miało to bardzo pozytywny wydźwięk. Zachęcał mnie, abym na ten temat, jak najwięcej napisała, bo była to kwestia bardzo uniwersalna i o ponad czasowej wymowie.

Wyrwa. Tylko krowa nie zmienia zdania.

Z Romanem Warszawskim o niedawno zmarłym pisarzu i nobliście Mario Vargasie Llosie rozmawia Alicja Dmowska

- **A drugi raz?**

- Było to w czasie kampanii wyborczej w roku 1990, kiedy Vargas Llosa ubiegał się o urząd prezydenta Peru. Byłem wtedy częstym gościem w centrali założonej przez pisarza partii FREDEMO, a on – jak łatwo się domyślić – jeszcze częstszym.

- **A czwarty raz?**

- Spotkanie to miało miejsce w Sztokholmie, gdy MVLI odebrał (w końcu!) literackiego Nobla. Wtedy przeprowadziłam z nim też wywiad, tym razem dla prasy.

- **Jaki obraz pisarza wyłania się z tych kontaktów?**

- To trudne pytanie, bo pisarz w kontaktach z ludźmi był dość trudny.

- **Co masz na myśli?**

- Llosa im był starszy, im więcej tytułów doctora honoris causa miał na swoim koncie tym bardziej stawał się świadomy swojej wyjątkowości.

- **Był wyjątkowy?**

- Oczywiście. I dlatego w pewnym sensie stawał się bardziej wyniosły i – nazwijmy to tak – zarozumiały. To utrudniało wielu kontakty z nim. Poza tym był człowiekiem bardzo zajęтым. Nie miał w zasadzie czasu na nic więcej niż na pisanie, podróże i politykę, która zawsze go otaczała. To także utrudniało nieskrępowany dostęp do niego. Potem powstał jeszcze jego sekretariat z żoną Patrycją na czele, która niczym lwica broniła czasu męża. Każdy kwadrans był bezcenny. W sumie mogę powiedzieć, że miałam szczęście, bo MVLI, gdy go poznałam był jeszcze stosunkowo młody, a większość utrudnień pojawiła się później. Dzięki temu nie pokonywałam tylu przeszkód, jak inni. Pisarzowi zawsze byłem znany, jako „ten młody człowiek, który napisał wziętą książkę o masakarze dziennikarzy”.

- **W Peru Llosa był lubiany?**

- Szczerze mówiąc, niezbyt, choć oczywiście zależę w jakich kręgach. Na samym początku wśród lewicy był bardzo popularny, potem wśród liberałów. Ale, jak na Peru był osobą zaledwie kosmopolityczną, spędzającą dużo czasu w Europie, co wśród wielu Peruwianczyków budziło nieufność. Za bardzo wyrastał ponad przeciętność. Był zbyt wszechstronny, jak na społeczeństwo w dużej mierze agrarne, jakim było i wciąż jest Peru. Większość Peruwianczyków nie dorastała mu do pięt, co jego współobywateli drażniło. Nie miał więc łatwo. Dopiero po Noblu na moment stał się idolem i bohaterem, ale tylko na krótko. Wkrótce wcześniejsze uprzedzenia powróciły i było tak do samego końca.

- **Najtrudniej być prorokiem wśród swoich.**

- Otóż to.

- **Co mu jeszcze zarzucano?**

- Wielu gryzło w oczy, że był jak kameleon, iż często zmieniał poglądy, w tym te

polityczne. W młodości był zdecydowanym lewicowcem, jak pozytywni bohaterowie jego najlepszej powieści „Rozmowa w katedrze”. Z czasem stał się jednak liberałem, z liberalnymi hasłami stawiał do wyborów prezydenckich. Jeszcze później przerodził się w rojalistę i z rąk króla Hiszpanii przyjął tytuł markiza!

- **Która jednak nie używał!**

- Ale też nie odrzucił, by w przyszłości mogli z niego korzystać jego potomkowie.

- **Ale żyjąc dziewięć dekad trudno w ogóle nie zmieniać poglądów.**

- To prawda. Jak wiadomo tylko krowa nie zmienia zdania...

- **Podobno kiedyś na tym tle doszło do bójki pomiędzy nim, a Gabrielem Garcíą Márquezem.**

- Tak, takie zdarzenie rzeczywiście miało miejsce, choć bez podłoża politycznego.

- **Jaki zatem był powód, że Mario Vargas Llosa dostał w zęby od kolumbijskiego noblisty?**

- Ani Marquez, ani Llosa nigdy na ten temat nie chcieli mówić. MVLI w mojej książce: „Skrzydła diabła, rogi anioła” też uciekał przed odpowiedzią, mimo, że mocno go naciskałam. (Wiadomo, takie sprawy ludzi bardzo interesują.)

- **A jak sądzisz, co do tego doprowadziło?**

- Mam pewną hipotezę. Najpierw opowieść jednak o tym co wydarzyło się wiele lat po tej bójce. W Sztokholmie w swej mowie noblowskiej Llosa wychwalał pod niebiosa swoją żonę, a jednocześnie kuzynkę Patrycję. Wyrażał się o niej z najwyższą rewerencją i miłością. A już kilka tygodni potem opuścił żonę i rodzinę i związał się z byłą żoną Julio Iglesiаса, matką młodego Enrique. Po kilku latach wrócił jednak do Patrycji, która - o dziwo - z powrotem go przyjęła mimo rozwodu, który w międzyczasie uzyskała. To kolejny dowód, co było tajemnicą poliszyne-la - Mario Vargas Llosa przez całe życie był bardzo kochliwy. Oprócz dwóch formalnych związków miał wiele kochanek. Można więc przypuszczać, że „przystawiał się” do Mercedes, żony Marqueza, który dowiedziawszy się o tym zaatakował Llosę boksem ciosem prosto w szczękę.

- **No, proszę, literacki geniusz, a jednocześnie człowiek z krwi i kości.**

- I jeden i drugi. I Llosa i Marquez. Może to część odpowiedzi, dlaczego twórczość obu z nich jest tak żywotna i niepowtarzalna.

- **Tylko szkoda, że żaden z nich już nic nie napisze.**

- Spokojna głowa. Rodzina Llosy w jego przepastnych „sufladach” na pewno jeszcze nie jeden tekst odnajdzie. Trzeba tylko uzbroić się w cierpliwość.

- **A więc czekajmy...**

ROZMAWIAŁA ALICJA DMOWSKA

Maciej Żakiewicz

Prezentowany tutaj materiał przygotowałem dwa lata temu, gdy byłem we Wrocławiu i w rozmowie z wieloletnim wydawcą Tadeusza Różewicza, rozmawialiśmy o tym okresie życia moich rodziców, ponieważ tam się spotkali.

Materiał podzieliłem na dwie części, historię Ojca od Łodzi do Gdańska w listach nie drukowanych wcześniej do Zofii Oganowskiej - Żakiewicz i kilka esejów o różnych tematach, a też jedno zdjęcie z Wrocławia.

Maciej Żakiewicz

Maty Zbigniew Żakiewicz, opuścił Wileńszczyznę ziemię Ojców i zimą 1946 roku wraz z matką przybył do fabrycznej Łodzi. Wcześniej bo w maju 1945 roku zmarł w Mołodecznie na gruźlicę Ojciec Józef. Łódź to miasto zadymionych kominów, pisarz pisał po latach: „Moje doznanie Polski, gdzieś granicach lat 1946-1949 spędzonych w Łodzi, która żyła Powstaniem Warszawskim i warszawskimi powstańcami, znajdowała się wciąż na granicy normalności”. (Rozmowa z Zbigniewem Żakiewiczem, Literatura nr.40/86 4. X. 1973)

Po przybyciu do Łodzi matka posłała syna Zbyska do Publicznej Szkoły Powszechnej nr. 10 przy ulicy Rzgowskiej nr.33, tam 28 czerwca 1946 roku promowano go do klasy piątej. Szkołę ukończył 25 czerwca 1949 roku. W roku szkolnym 1949/1950 rozpoczął naukę w trzyletnim Państwowym Liceum Farbiarsko-Wykończalniczym, które ukończył 23 czerwca 1952 roku, egzaminem końcowym przed Komisją Egzaminacyjną. Na świadectwie ukończenia szkoły, miejsce urodzenia niezgodnie z prawdą podano Łódź. W roku szkolnym 1952/53 uczęszczał do czwartej klasy Technikum Przemysłu Włókienniczego MPL na wydział farbiarsko-wykonawczy w Łodzi przy ulicy Żeromskiego 115. Po jej ukończeniu chciał iść na studia polonistyczne na Uniwersytet Łódzki. „W dniu 6 lipca 1953 roku dyrektora Technikum Przemysłu Włókienniczego w Łodzi, zawiadamia, że 8 lipca w środę o godzinie 16.00 w sali nr.20 odbędzie się zebranie wszystkich kandydatów na wyższe uczelnie w sprawie kursu przygotowawczego”. O czy pismem został powiadomiony kol. Żakiewicz Zbigniew zamieszkały w Łodzi przy ulicy Dygasińskiego 6. Ostatecznie zaproponowano dwudziestoletniemu Zbigniewowi Żakiewiczowi wystanie papierów do Wrocławia na studia rusycystyczne. Z okresu łódzkiego wyniesie znajomość szkolną z Władysławem Zajewskim, po latach profesorem historii czasów napoleońskich i epoki rozbiorowej, który zainteresuje Ojca „Tygodnikiem Powszechnym”.

Jesienią 1953 roku Ojciec opuszcza Łódź i udaje się do Wrocławia na Śląsk. Z tego czasu pozostały w archiwum domowych listy pisane do matki Zofii Oganowskiej - Żakiewicz.

Listy Zbigniewa Żakiewicza pisane z Wrocławia, Opola, Kobylanki do matki Zofii Żakiewicz

Droga Mamusiu ! Wrocław 19 X 1953 rok

Jest dzisiaj poniedziałek. Przyjechałem

„Markigo” Zbigniewa Żakiewicza czyli droga przez Łódź, Wrocław, Opole, Kobylankę koło Gorlic do Gdańska

do Wrocławia. W sobotę o 16.45, lecz na uczelni (jak trzeba było przewidzieć) nic nie załatwiłem. Przenocowałem u p. Butarewiczów i dzisiaj zgłosiłem się na uczelnię. Odrazu stanąłem w obliczu jakiegoś aroganckiego sekretarza, który powiedział, że żadnych papierów moich nie ma. Dopiero, gdy zgłosiłem się za godzinę papiery znalazły się. Czuję się cholernie, gdyż mam poważną trudność; nie chcą mi dać Domu Akademickiego, albowiem nie jestem wymeldowany w Łodzi, a tym samym nie jestem zameldowany we Wrocławiu. Według odpowiednich przepisów i paragrafów nie mogę być przyjęty.

Już stałem przed perspektywą jazdy do Łodzi i z powrotem w celu wymeldowania, jednak koledzy i przewodniczący ZSP (Związek Studentów Polskich) obiecali, że póki co umieszczą mnie jakoś kątem. Proszę więc bardzo ażeby mamusia natychmiast wymeldowała mnie i odesłała z powrotem dowód osobisty, razem z odcinkiem wymeldowania.

Droga Mamusiu postaram się jakoś sobie dać radę, mimo że mi jest naprawdę ciężkawo. Faktycznie, że żyłem dotąd u „mamy pod fartuszkami”. Proszę się o mnie nie martwić. Na I roku filologii są dosyć łatwe przedmioty i przy wysiłku z mojej strony uda mi się je nadgonić. Mam historię literatury powszechnej, historię literatury polskiej, geografię ZSRR, gramatykę opisową języka polskiego, logikę, psychologię, marksizm. Najgorszym z przedmiotów to językoznawstwo - nauka o fonetyce itp. - mają już sporo przerobionego, lecz egzaminy będą w lutym.

Całodzienne utrzymanie w stołówce akademickiej wynosi 7 złotych. A więc miesięcznie 210 złotych. Nie wiem jakie jest jedzenie. Dzisiaj wykupuję obiady do 10 listopada co mnie ma kosztować 154 złote. Także zostanie jeszcze coś około 80 złotych.

Sekretarz powiedział, że powinienem złożyć podanie do dziekanatu i dostanę pełne stypendium. Jutro napiszę list, gdzie opiszę szczegółowo wszystko. Jeszcze raz piszę - proszę się o mnie nie martwić. Człowiek między ludźmi nie zginie, lepiej, że teraz nauczę się życia, niż miałyby to nastąpić później i gorszym skutkiem, niż teraz. U Kierulów jeszcze nie byłem, chociaż uczelnia mieści się tuż przy ul. Stalina 110, a oni mieszkają na Stalina 188.

Proszę list pisać na: Wrocław ul. Podwale 75 pok. 4 Z. Żakiewicz. Pieniądze na express polecony przesyłam. Całuję mamusię serdecznie.

Mamusi Zbyszek.

Droga Mamusiu ! 25 X 1953

Otrzymałem dzisiaj list z dokumentami. Wczoraj wieczorem szukałem, lecz nie było go na pocztce. Jak już pisałem w jednym z listów jestem nie w Domu Akademickim, lecz u Kierulów. Zastanawiam się wciąż czy dobrze zrobiłem, lecz i tu źle i tam niedobrze.

W D.A. było nas 7-miu w jednym pokoju: chłopcy którzy przyszli na studia w ucieczce przed wojskiem i nie uczą się ani w ząb. Idą spać o 11.00, 12.00, a wstają o 6.00, 7.00. Także o nauce trudno myśleć. Zmiana u Kierulów przenieśli się na nowe mieszkanie dwupokojowe z kuchnią. Trzeba przyznać, że jest ciasno. Trudno mi jest, gdyż człowiek czuje się obco, jak balast, a znowu w D.A. jest wielki jarmark. Najlepsze wyjście to dostać gdzieś pokój sublokatorski. Poznałem porządnego chłopca i z nim na spótkę moglibyśmy optować i mieszkać, ale gdzie pokój? Może mamusia wykombinuje u jakichś znajomych w Łodzi ich znajomych we Wrocławiu, jacy mają pokój, czy coś w tym rodzaju. Gramatyki rosyjskiej proszę nie kupować, gdyż dostałem w mieście. We Wrocławiu jest opera wystawiają Moniuszki „Straszny dwór”, „Verbum nobile”, „Na kwaterunku”, „Cyganerie” – Pucciniego, „Madame Butterfly” itp. Bilety nawet nie drogie, bo od 6 do 17 złotych. Mamusia pisze, że jest smutno wieczorem. Mnie też nie jest zbyt wesoło. Jeszcze dotąd nie prowadziłem koczowniczego życia, a tutaj jesteś jak cygan.

Nie wiem którego, lecz na B. Nar. Przyjadę na pewno. Podanie o stypendium złożyłem i mam zapewnione, spodziewam się też, że otrzymam całkowite. Proszę na listopad przysłać tylko 200 zł, jak będzie potrzeba więcej to dopiszę, a nie chcę mieć przy sobie tak dużej sumy. Stypendium wypłacają 5-6 każdego miesiąca, czy też wcześniej.

Jedzenie jest dobre, urozmaicone i nawet zaczyna mi wystarczać. Wczoraj na obiad była zupa ogórkowa, kartofle z kotletem i kompot, na kolację: ryż z cukrem, kawa bielona i chleb z marmoladą. Rano: kawa bielona, chleb i bułka (1) z masłem (czy margaryną – nie mogę poznać po smaku).

Z nauką dam sobie radę: chociaż z gramatyki opisowej języka polskiego i z językoznawstwa języka polskiego jestem ignorantem. Jednak udało mi się kupić świetny podręcznik Szobera do gramatyki. Wykłady mamy w jednej sali. Gmach uczelniany jest bardzo ładny, przestronny. Na parterze i I piętrze jest Liceum ogóln. Zaś na II piętrze P.W.S.P.

Nie wiem, ale jest mi dobrze wówczas gdy jestem sam, a tutaj trudno na taki rytas. Chwilami mi płaczą się myśli, żeby wstąpić z kolej do..... seminarium duchownego. Myślę jednak, że jest to przejściowa choroba. Ale co ja mam zrobić jeśli nie potrafię cieszyć się tym, z czego cieszą się moi koledzy, żyć tym czym oni żyją. Taki już los.

Mam ciekawe wykłady z literatury powszechnej. Cieszy mnie we Wrocławiu możliwość odwiedzenia opery i to, że na całe 3 miesiące mogę przyjechać do domu (lipiec, sierpień, wrzesień) – o ile bym nie chciał jechać na kolonię.

Dzisiaj jest niedziela. Wcześniej wstałem i zostawiłem Kierulów na ubieraniu się. Mięły czasy kiedy się spało do 10.00, zresztą tego spania specjalnie nie żałuję, szkoda mi

→ jedynie tego, że nie czuję się samodzielnym, wciąż jest się skrępowanym

U Butarewiczów byłem dobrze przyjęty. Odnawiali mieszkanie. Butarewicz jest na pracy wyjazdowej. Butarewiczowa wciąż stawia spąsusa i zdaje mi się, że się nudzi jak Rychwowa. Kierulowa dzisiaj mi powiedziała, że kilka dni temu, jakiś pan wróżył Wackowi, że będzie miał wielki spadek od pewnego mężatki, lecz winien ten spadek przyjąć bo przyniesie mu to szczęście... ?

Powiedziałem jej adres Tonusia, wybiera się do niego na wiosnę, tymczasem wyjeżdża na cały miesiąc na kurację sercową do Dusznik (1 listopada) Proszę pisać do mnie. Całuję mamusię mocno.

Zbyszek

Droga Mamusiu ! Wrocław 3 XII 1953
rok

Bieliznę otrzymałem, pieniądze również. Nie wiem, czy teraz nie będzie mamusi za mało na święto. Radosna wieść: otrzymałem stypendium i to całkowite (300). W tym miesiącu również odłożę 100 zł. na buty, więc w styczniu mogę kupić buty za 300 - 400 zł.

Po rozliczeniu na różne potrzeby (obiady, droga) na miesiąc ten zostaje mi 150 zł. A więc zupełnie wystarczająco do drobnych wydatków. Do domu przyjadę na święta 22 rano, lub 21 późnym wieczorem. Zajęcia mamy do 22 włącznie, lecz przypada na wtorek studium wojskowe, major obiecał że zwolni nas z niego, więc wtorek tj. 22 grudnia będzie już wolny. Zajęcia zaczynają się 28 grudnia. Z domu będę musiał wyjechać dnia 27. Poza tym nic nowego. Mieszkanie u Kierulów zbrzydło mi jak choroba. Muszę coś zrobić. (...)

Droga Mamusiu ! Wrocław 1 III 1954

Pocztówkę otrzymałem. O ile chodzi o „Odyseję” to bardzo się cieszę, gdyż właśnie mamy ją z literatury powszechnej. Proszę więc mi ją przysłać jako druk. Z konfiturami mam breję, a do malutkiej butelki niepodobna się dobrać. U mnie dosyć ważna nowina. Uczelnie przenoszą do Opola. Tam jest świetny Dom Akademicki i budynek na uczelnię. Nowe roczniki tegoroczne na pewno tam już będą. Natomiast co do nas kwestia jeszcze nie rozpatrzona, lecz wynika z wszystkiego, że wszystkich tam przeniosą. O ile chodzi o stronę materialną to bez wątpienia potapię się. Poza tym do Łodzi nie będzie dalej. Droga przez Częstochowę. Proszę dowiedzieć się o kolonie. We Wrocławiu jest już ciepło i odczuwa się początek wiosny. Jutro idziemy na poligon na ćwiczenia wojskowe. Poza tym nic nowego.

Ściskam serdecznie

Zbyszek - Wrocław
ul . Podwale 75. D.A.

Droga Mamusiu Wrocław 3 III 1954

Pieniądże otrzymałem i zaraz w ten sam dzień je podjąłem. Byłem wczoraj na tzw. ośmiałki na zabawie. Powolotku uczyć się tańczyć. Poza tym mamusia nic nie pisze o swym zdrowiu. Jak się czuje gardło. Nas przeganił wczoraj dosyć dobrze na poligonie. Mieliśmy przez trzy godziny „Strzelec w ataku” – czołganie się, bieganina itp. Dzisiaj kości bolą jak jasny piorun. We Wrocławiu zaczyna się wiosna na całego. Już mamy trzy dni pięknej pogody, chociaż Odra jest wciąż zamarznięta. Piszę teraz dwie kartki do Wujaszków – milczaszków . Jeden i drugi milczy jakby nabrął w usta gar wody. Reumatyzm lekko mi łamie stawy w rękach – a to wszystko po ataku. ...

Zbyszek

Droga Mamusiu Wrocław 9 IV 1954

Mimo tego, że chciałem zrobić niespodziankę muszę napisać, kiedy zamierzam przybyć. Otóż o ile uda mi się „związać” w czwartek z jednego wykładu przyjadę wieczorem tegoż dnia, jeśli nie – to w nocy, jak ostatnio. Wykłady zaczynają się 21, a więc będę jedynie przez pięć dni, no ale później przyjadę chociażby na 3 miesiące – aż do znudzenia. Proszę koniecznie wysłać pocztówki świąteczne do Wujaszków No i do Kierulów (chociaż ona już nie jest Kierulowa) – tylko adres proszę pamiętać. Wujaszek : Olsztyn ul. Kopernika 10 m1., drugi pod Boczków pow. Rzesiń, wieś Lubów, oraz Wrocław ulica Kleczkowska 21. Proszę więc wykonać powyższe. Ściskam serdecznie i chyba już nie napiszę, bo otrzyma mamusia kartki w poniedziałek, - a następny list to w czwartek dołączę osobiście .

Zbyszek

Droga Mamo ! Opole 9 XI 1956

List z dokumentem otrzymałem. (...) Proszę nadal pisać na Dom Akademicki, albowiem w ostateczności mieszkam w D. S – i, z tym, że dostałem pojedynczy pokój więc warunki mieszkaniowe mam idealne. Przystępując do pisania pracy magisterskiej oczekuje mnie więc praca całodzienna i bardzo poważna. Paczki jeszcze nie otrzymałem. Proszę się nie bać o mój rozsądek, gdyż może nawet jestem, aż za rozsądny. Na świecie powolutku uspokoiło się. Nad Polskę przetoczyła się burza, lecz piorun uderzył w Węgrów.

Do domu przyjadę około 20 XII - i już na 2 tygodnie, lecz za to nie będziemy mieli wolnego w lutym. Przez ten czas będę opracowywał wszystkie materiały z Dostojewskiego jakie tylko znajdę w Łodzi. Poza tym choruję, że „poznałem” osobę płci żeńskiej - która jest „inna niż wszystkie dotychczasowe” – to coś znaczy. Pochodzi również spod Gorlic. Załączam ostatnie artykuły.

Serdecznie pozdrawiam Zbyszek

Droga Mamo ! Opole 14 VI 1957

Dzisiaj byłem na Komisji przydziału pracy. Proponowano mi i tu i tam, lecz w Opolu nic nie było. W związku z powyższym muszę ostatecznie pozostać w Opolu w redakcji. Jak już pisałem pracę magisterską będę bronił 24 - 25 czerwca i zaraz przyjadę na jeden, czy dwa dni - do Łodzi. Z tym, że 27 już muszę z powrotem w Opolu, w Studium Wojskowym. Możliwe, że przyjedziemy razem z Dusią. Do listu załączam ostatnie opowiadanie. Chwalono mnie za niego dosyć licznie.

Serdecznie Mamusię pozdrawiam
i całuję Zbyszek.

Droga Mamo ! Opole 5 VIII 1957 rok

W Opolu jest cudna pogoda. Moje sprawy idą też nie najgorzej, już mam pokoik dla siebie. W willi, z niekrępującym wejściem i wyjściem. Teraz składam podanie o mieszkanie i będę kołatał tu i tam. W redakcji nawet nie zauważono, że przybyłem później. Anarchia !

Dostałem pieniądze, za wydrukowane opowiadanka, więc z pieniędzmi jest nieźle. Z pracą w redakcji mogę załatwić, ale jakoś oglądam się wciąż, gdyż chciałbym pracować gdzie indziej. Z zapowiedziami załatwiłem. - Opole Redakcja „Katolik” pl. św. Sebastiana.

Serdecznie mamę całuję Zbyszek

Droga Mamo ! Kobylanka 14 lipiec 1959

Wybieraliśmy się napisać i paraliżować nas upał. Trudno było ruszyć nogą, wreszcie dzisiaj w nocy przyszła burza i ochłodziło. Wyobrażam co było w Łodzi. Toniusz był tu przez dwie niedziele. Poszliśmy do Wapiennego – w taki upał. Teraz są tam, już borowiny i kąpiele siarkowe. Wzięliśmy po kąpiel. Zosia jeszcze malin nie zjadła i myślę, że na pewno nie zje (bo nie ma). Zosia już sama siada i próbuje wstawać. Rośnie jej również u dołu ząbek. Wczoraj byliśmy z babcią u pszczoł i wybraliśmy 4 litry miodu. Przy okazji użądliły Zdzisia. Proszę pisać. Myślę, że przed przyjazdem do Kobylanki – zajędzie Mama do Wrocławia. Akurat wrócę po 20 z Kursu i wtedy Mama nie będzie musiała skracać pobytu. Piszę z pocztu.

Łódź ul Dygasińskiego 6 m 20 Serdecznie całuję Zbyszek

Droga Mamo ! Opole 8 VI 1960

Przyjechałem cały i zdrowy. U nas tu święto, gdyż są „Dni Opola”. Całe miasto iluminowane kolorowymi światłami. Ciągłe występy różnych zespołów, inscenizacja „Starej Baśni” pod wieżą z XIII wieku, w noc. Proszę kupić ostatni numer „Tygodnika Powszechnego”. Jest tam wywiad, który przeprowadziłem z pewnym człowiekiem. Serdecznie całuję.

Zbyszek.

Droga Mamo ! Opole ul. Obrońców Stalingradu 14 - 7 XII 1961

Zosia chciała od św. Mikołaja kuchenkę z garnkami i stolnicę oraz przyrządy i teraz wciąż gotuje. Dostała też Mikołaja z piernika i gdy straszylimy ją, że jak nie będzie grzeczna to Mikołaj jej więcej nic nie przyniesie – powiedziała, że ona Mikołaja zjadła i jego już nie ma. Ostatnio miała katar i Maćki również. W sobotę przed Adwentem bawili się u nas Bokszczaninowie, którzy wciąż pamiętają o Maćkach i przy każdej wizycie przynoszą dla nich jakieś śpioszki, albo rajtuski itp. Czekamy na święta i na przyjazd Mamusi. U nas dzisiaj spadł śnieg i teraz jest zupełnie świątecznie. Ja zaczynam robić nową nalewkę, słodką i bardzo dobrą. Proszę napisać co się dzieje z Mamą. Zosi już ukręciliśmy jedną nogę za nie dobrą Babkę.

Serdecznie pozdrawiam

Dusia, Zbyszek, Zosia, Małgosia,
Maciek i kot Wojtek.

Droga Mamo ! Warszawa 15 V 1965

Przed wszystkim przesyłam najserdeczniejsze imieninowe życzenia. Jestem w Warszawie na Zjeździe Młodych Polonistów. Będę tutaj do czwartku. Do Łodzi wpadnę w czwartek późnym wieczorem lub piątek rano. Mamy iść na „Dziadów” i „Kordyana”. Całuję serdecznie Zbyszek.

Droga Mamo ! Gdańsk 8 V 1965 rok

A więc widziałem morze: jest spokojne, czyste w kolorach zielono – szarych. Jest nadmiar dobrze. Przeprowadziłem wstępne rozmowy w Gdańsku i będę przez rok dojeżdżał na wykłady, a za rok jest możliwość przeniesienia się. Jadę teraz zwiedzić (Brzeźno i Sopot) . Czekamy w Opolu.

Zbyszek

Droga Mamo Kobylanka/Gorlice 15. 8. 1966

Co tam u Was słysząc ? My siedzimy,

dużo czytamy bo w Kobylance jest biblioteka i trochę piszemy. Wczoraj i przedwczoraj był nalany upał, ale żelazo i dziś jest niebo zamglone. Z Gdańska dostałem już umowę, to znaczy angaż, tylko nie określono wysokości dodatku. Tymczasem (bez dodatku) dano mi 2.030 zł. Natomiast z Opola otrzymałem rozwiązanie umowy. Jak już pisałem na początku września jadę na Wybrzeże, po drodze zajadę do Łodzi oraz do Warszawy, gdzie mam szereg spraw. Dzieci są zdrowe i wcale nie chorują, chociaż biegają rano w piżamach. Zosia więcej je od Dusi, a ja najwięcej. Tylko Asia skubnie trochę i znowu wyfruwa na dwór.

Serdecznie Mamę pozdrawiamy i całujemy

Z rocznego pobytu we Wrocławiu u Zbigniewa Żakiewicza pozostały kontakty ze środowiskiem literatów skupionych wokół „Wrocławskiego Tygodnika Katolików” pod redakcją Tadeusza Mazowieckiego, między innymi z Władysławem Lechem Terleckim. W „WTK” będzie on publikował drobne utwory. Od jesieni 1954 roku Zbigniew Żakiewicz jest już w Opolu. Pracę magisterską „Formy samoobrony osoby w twórczości Fiodora M. Dostojewskiego”, obronił w 1957 roku. Na przełomie 1957-1958 roku podejmuje pracę na umowę o pracę w tygodniku „Katolik”. Redakcja warszawskiego PAX - owskiego „Słowa Powszechnego”, od października 1952 roku w Opolu wydawała niedzielny dodatek - „Słowo na Śląsku”. Pismo popularyzowało historię regionu o silnym zabarwieniu antyrewizjonistycznym, wynikało to z faktu, że redaktorem naczelnym był publicysta Zbyszek Bednorz, który spędził okupację hitlerowską na Śląsku. Na przełomie lat 1954/1955 w miejsce „Słowa” powstał „Katolik”. Kiedy w 1967 roku Zbigniew Żakiewicz na stałe przenosił się do Gdańska, Zbyszek Bednorz zadedykował swoją wojenną kronikę „Imię domu wschodzącego” (1963) takimi słowy: „Wysokiemu Koledze i Przyjacielowi - Zbigniewowi Żakiewiczowi wraz z tą książką, w której próbowałem dać Imię nieprzemijającym w życiu wartościom, składam serdeczne i najgłębsze wyrazy szacunku dla Jego artystycznego Pióra i dla Formatu Jego Osobowości - 9 maja 1967 roku”.

Zbigniew Żakiewicz dostanie pracę jako asystent w 1958 roku w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu, dzięki życzliwości dr. Zbigniewowi Barańskiemu, urodzonemu w 1925 roku w Tiutkowie na Podolu, który do 1939 roku ukończył II klasę gimnazjum i Liceum w Trembowli. Po wojnie w 1952 roku ukończył studia we Wrocławiu w zakresie filologii rosyjskiej i bułgarskiej.

W czerwcu 1957 roku Ojciec wziął ślub z Dominiką Bulińską urodzoną w Małopolsce koło Gorlic. Ślub kościelny będzie miał miejsce w kościele parafialnym w Kobylance koło Gorlic. Świadkiem będzie Władysław Zajewski z Wilna. Z dniem 1 stycznia 1959 roku na świat przyjdzie córka Zofia, otrzyma imię po matce Zofii Oganowskiej. W lutym 1961 roku na świat przyjdą bliźniaki Asia i Maciek.

Z perspektywy lat Zbigniew Żakiewicz, będzie uważał, odwił 1956 roku jako istotną cezurę pokoleniową, **dziecka wojny i powojennego zmieszania żywiołów**. Od połowy lat 50-tych XX wieku i na początku lat sześćdziesiątych publikuje recenzje i artykuły, dotyczące literatury rosyjskiej, teatru Grotowskiego, oraz opowiadania, które publikował przede wszystkim w czasopiśmie: „Katolik”, „Znak”, „Więź”, „Tygodnik Powszechny”, a także w „Slavia Orientalis”, „Twórczości” i „Nowych Książkach”. Kilka rozpraw, między innymi „Z problematyki polskiej w twórczości



Zbigniew Żakiewicz w domu Z. Joachimiaka, 1982, z archiwum Migotai

Fiodora Dostojewskiego” zamieścił w „Zeszytach Naukowych” WSP w Opolu. W 1962 roku wydał debiutancką książkę - zbiór opowiadań „Chtopiec o lisiej twarzy”. W 1967 roku publikuje zbiór opowiadań „Liście”, gdzie wątki dzieciństwa na Wileńszczyźnie, są już splecione z podgorlicką wsią żony Dominiki.

W 1964/1965 przebywał po raz pierwszy na półrocznym stypendium językowym w Moskwie; wyjeżdżał wówczas także do Leningradu. Z wyjazdem na Wschód nawiązuje w 1964 roku relację w Warszawie z Wiktoorem Woroszylskim. W ZSRR zauważa pewną prawidłowość: krytyczny stosunek do dziejów Rosji i ZSRR miały głównie środowiska Żydów rosyjskich i Ormian. Ogół Rosjan wyrażał na ogół poglądy Kremla. W 1964 roku zostaje członkiem Związku Literatów Polskich. W 1966 uzyskał doktorat w WSP w Opolu na podstawie pracy „Literatura rosyjska lat 1894-1914 w kręgu Młodej Polski”. Mieszkając w Opolu zaczął pisać do „Tygodnika Powszechnego” poznał Zofię Starowieyską-Morstinową, Hanę Malewską i przede wszystkim Antoniego Gołubiewa. Z okresu opolskiego wyniesie przyjaźń z Bogusławem Żurakowskim ze Stanisławowa i Janem Goczołem - Ślązakiem którego literackiego języka polskiego nauczą powojenni więźniowie żołnierze AK.

Po wakacjach na Podkarpaciu cała rodzina pod koniec sierpnia 1967 roku przyjeżdża na Wybrzeże, gdzie dostaje mieszkanie kwaterekowe we Wrzeszczu przy ul. Kościuszki 26. Od 1967 roku Ojciec jest już na stałe związany z WSP, gdzie pracuje na stanowisku adiunkta w Katedrze Filologii Rosyjskiej, a od 1970 roku na Uniwersytecie Gdańskim.

Nadajemy znaczeniu teraźniejszości, gdy sięgamy po przeszłość. Jest jeszcze jeden biograficzny fakt. W tym samym roku, kiedy rodzina osiedliła się na Wybrzeżu w 1967 roku, do Gdańska, przyjechał 24

letni mieszkaniec Lipna z miasteczka na ziemi Dobrzyńskiej, zatrudnił się jako elektryk w Stoczni Gdańskiej. Nazywał się Lech Wałęsa. Edward Stachura, mieszkał po drugiej stronie Wisty, w debiutanckiej prozie „Cała Jaskrawość” (1968), opisał klimat epoki, gdzie główny bohater pracując przy odmulanii stawu w Ciechocinku, „depcze w mule epoki”. To ciekawe zdanie, bowiem każda epoka posiada swój muł.

Po dramatycznych politycznych doświadczeniach 1968 i 1970 roku Ojciec pisał: „Ponieważ należę do pokolenia tzw: dzieci wojny, pokolenia, które ma co najmniej cztery biografie (pamięć kilku lat przedwojennych, biografia czasów wojny, biografia lat układania się poruszanych żywiołów oraz „czas teraźniejszy”), obok tego zaś rozdarty jestem pomiędzy „kresowość” w której kształtowała się moja wrażliwość i którą pozostawiłem mając już lat trzydzieście, a pomiędzy Polską, jednolitą etnicznie i kulturowo i odmienną krajobrazowo - poszukiwanie siebie jest dramatyczne, splecione i wieloznaczne”. (Zbigniew Żakiewicz, Tygodnik Kulturalny 1971, nr.21)

W pierwszym okresie gdańskim Zbigniew Żakiewicz był opiekunem Koła Młodych przy Związku Literatów Polskich, Po latach Leszek Kopeć - Wydawca „Blizy” w Gdyni napisał: „Był naszym wspaniałym opiekunem w latach siedemdziesiątych (koła literatów)”.

Jeszcze przed debiutem książkowym napisał autobiograficzną groteskową opowieść „Markigo”. Opisał tam udręki dojrzewania i lęki dwudziestoparolatka, który został mężem i ojcem, zanim stał się człowiekiem dojrzałym i, oczywiście, pisarzem. Nikt tej powieści nie chciał w swoim czasie wydać, był to 1959 rok. Książka wyszła dopiero pomiędzy 1978 a 1980 rokiem w Wydawnictwie Morskim pod tytułem „Markigo albo komiczne przygody Marka Piekelnika” (1979).

MACIEJ ŻAKIEWICZ, 19 MAJ 2025 R.

Morze w sztormie

Za lasem wisiał kłęb chmury sinej i podświetlonej przez zachodzące słońce, więc chmura tym mocniej się chmurzyła i gęstniała na kształt ściany rozgradzając dwa światy. Ten tu – kędy jechałem tramwajem: ziemski; i tamten: czarny, obłoczny i morski.

Zaplątane w chmury, wznosiły się wysoko, to znów spadały aż do wierzchołków wydmych sosen – mewy, przeraźliwie białe, bezbronne wobec chmury i wiatru, jak garść porwanej na strzępy gazety.

I wtedy, jakby na przekór temu, co szło od morza – lasem, chmurę, a w niej mewy, i białe i ostre w bieli bloki mieszkalne – potoczył łuk tęczy. Znak przymierza, które czyniło słońce zniżając się ku horyzontowi. Ale tramwaj ze śmiałością godną lepszej sprawy wskoczył w las i w ciemność nad nim, umykając przed wszelką nadzieją. I szum morza, którego ciemny odbłask leżał na chmurze, zbliżał się z nieuchronną koniecznością.

Gdy opuściłem tramwaj – z samotnym człowiekiem wpatrzonym w drogę, którą na powrót miał przebyć – głos morza panował niepodzielnie: od przybladłych wydmy, po resztę świata, który cały był z morza.

Ale morze wciąż uchodziło przed wzrokiem, czając się w swym ogromie wszędzie i we wszystkim, niby myśl – zbyt uporczywa, aby oznaczyć jej miejsce.

Smagany wiatrem poszedłem naprzeciw wydmy – dymiącym leciutko, jak przebudzony wulkan – i siłując się z żelazną furtką, przystąpiłem prób plaży. Żadna ręka nie wyciągnęła się z kremowej budki, gdzie wisiał cennik na dzień, który minął. I tylko na płytach chodnika zazgrzytał piasek i drapieżnie zakwiliła mewa uchodząc przed sztormem.

Morze stanęło przede mną nagle, a stanąwszy niby zła myśl, o mnie – nachyliło się nad plażę i ziemię, grożąc, że za chwilę pęknie ta cienka linijka, i morze uczyni Sąd Ostateczny prolongowany przed wiekami. I tak przechylone tuż, tuż, i rosnące wyżej i wyżej, aż do samego nieba – morze stało falę za falą, które szły ukośnie w dół, ku ziemi, a ta jakby na przekór wszystkiemu – trwała w ciężarze i uległości.

Więc morskie wiatry zwlekały z białych wiatów swe śliskie brzuchy i plaża poczyniała ożywiać i gnać – coraz ostrzej – od morza, bijąc ziarnkami piasku i ostrymi jak żądła owadów.

Stanąłem za ostoną ślepego domku zamkniętego na ten widok – tak gwałtowny, że nierealny, czując też nierealność tego, co pozostawiłem za sobą: tych zdawało się – wielkich spraw i udręczeń, które przestaniały świat cały, coś mogłem wiedzieć?

I poczułem swoją znikomość wobec tego morza, którego starczy na moje życie, i na życie tych wszystkich, którzy przyjdą po mnie. I poczułem, że nie lubię morza, ale nie byłem też w stanie powrócić do swych spraw i udręczeń...

Schroniłem się więc do przeszklonego na wylot baru – który był na plaży jedynym przykładem miasta – i sącząc gorzkie piwo nadśluchiwałem głosów morza, które winno było za chwilę porwać bar – w nim nas wszystkich – i rzucić nas na wieczność całą w swój ogrom.

Ale morze uparcie trzymało się granicy...

ZBIGNIEW ŻAKIEWICZ, *DZIENNIK BAŁTYCKI*,
PÓŁGŁOSEM 1971, NR 242, s.4

Pochwała ogródków

Starsza pani siedzi w swoim ogródku na ławeczce i pali papierosa. Obok zło-

żone narzędzia pracy – grabie, łopata i mała motyczka. Z pobliskiego łąła wylażą pszczoły, po jednej, i lecą, zapewne na łoży i kaczęce, bo innych kwiatów jeszcze nie ma. Pod jąbłonią ciemnieje świeża ziemia wzruszona łopatą.

Starsza pani patrzy na ruch pszczoł, na okoliczne działki, a potem wyjaśnia:

- Nie chciałam wcześniej zaczynać, żeby nie było robaków...

Starsza pani musiała przeczekać wtorek, środę, czwartek i dopiero dziś – w piątek, może spokojnie zacząć kopać w swym ogródku, na którym gospodarzyły tylko pszczoły. Bo wtorek, środa, czwartek kryją w sobie dźwięk „r”, ten sam, którym warczy słowo „robak”.

Siwa, spracowana pani wierzy, że „r” sprowadzi robaki, wierzy w potężną, sprawczą i magiczną moc słowa. Czyż starsza pani nie jest równa poetom?

Zrozumiałem dopiero teraz, że owe ogródki, które pierścieniem otaczają wszystkie nasze miasta, są wielkim, nie zbadanym przez literaturę światem. Ileż tam jest podobnych starszych pań?

Bo świat ogródków jest tym małym skrawkiem ziemi, która została oddana we władanie ludziom miasta, jacy z natury swej miejskości są skazani na drzewo, cement; na mur i cegłę. Jacy liczą czas według kalendarza, a nie według czasu prawdziwego – czasu słońca, wiatru, czasu przedwiośnia i wiosny, a później lata i jesieni, czasu, który staje się poprzez przyrodę, a nie mechanizm kalendarza.

I właśnie owe ogródki z małutkimi domkami, takimi domkami, które można objąć rozwartymi rękoma, z małutkimi okienkami krasnoludków i ze spiczastym dachem, owe ogródki są małutką ojczyzną wielkiego miasta. Tu każdy może dowoli władać: wyznaczać granice, planować siewy, obliczać zbiory...

Ale też władanie ich opiera się na prawach niewzruszonych, na prawach tak silnych, jak silne jest samo życie. No bo spróbujcie posadzić ogórki w zacienionym miejscu, albo nie dać nawozu pomidorom. Ziemia ma swoje prawa i pozwala, aby władać nią zgodnie z owymi prawami.

Kłęska społeczności miejskich są owe watahy młodzieży, co jeszcze nie przestąpiły przez próg dojrzałości, które jeszcze nie poczuły ciężaru praw, bez których wszak nie ma życia. Owe młodzieży, która żyje życiem lekkim i nieziemskim, życiem lekkich filmów, łatwej książki, tasiemcowej telewizji.

I gdy tak przechadzałem się po ogródkach działkowych, po tym „wielkim świecie”, gdzie każdy ma swe panowanie na czterystu metrach gruntu, pomyślałem: jaka szkoda, że są tu starsze panie równe poetom, a nie ma młodych ludzi, którzy szukają przygód i wolności tam, gdzie można znaleźć jedynie swe zdesperowane lub znudzone oblicze. I właśnie od tego dnia stałem się patriotą ogródków działkowych...

ZBIGNIEW ŻAKIEWICZ, *DZIENNIK BAŁTYCKI*,
PÓŁGŁOSEM 1970, NR. 98, s.4

Jesienna podróż na Hel

Półwysep widnieje na górze mapy niczym zagięty palec obrzmiały na końcu. Siadam na mały stateczek i płynę. Woda jest po jesiennemu ciężka i obfita, męczą ją fale idące gdzieś od tej krechy, która leży na krańcu wody. Woda przysiadła dolinami, jakby ją coś wciągało do głębi, potem znów wznosi się – i to jest na pewno oddech tej wielkiej wody, którą zwą morzem. Za statkiem lecą białe ptaki o ostrym, świdrującym oku, z pomarańczowym dziobem: ptaki mają głos młodych gawronów strąconych

z gniazda. Ich jaskrawa biel wydaje się oszukańcza, ich głos – prawdziwym.

Wybrzeże odchodzi za rufę, błękitnieje, łagodnieje. A słońce, które pozostało wierne miastu i wzgórzom, przekuwa wodę w srebro, budując most, od którego ślepną oczy.

Stateczek przybija do półwyspu. Cumują tu małe kutry chwycąc masztom, powietrze przypomina o śledziach i soli. A potem nadyma się i łopocze niosąc zapach wiosny i topniejących śniegów. Ale nie ma jeszcze śniegu – jest tylko jesień i domki zasypane po kolana w sypaniej ziemi.

Na tym zagubionym świecie odnajduję stacyjkę: ostatnią stacyjkę w moim kraju. Nadjeżdża pociąg i zielona lokomotywa szybkim truchcikiem objeżdża wagony. I oto z krańca świata wjeżdża na jego próg.

Pędzi wagon mijając sosny, kędzierzawe i skulone, jakby kryjące coś w sobie. U korzeni drzew pełza liliowy żar wrzósów, nad drzewami świeci przymglone niebo, któremu już za mało słońca.

Wysiadam na innej stacyjce w pół drogi między początkiem i końcem tego wąskiego pasma łądu: postawionej tuż, tuż – między brzegiem a brzegiem.

Jest tu cicho i pusto. Wraz ze słońcem odpłynęły na południe tłumy, które obcho-dziły na półwyspie swą dwumiesięczną niedzielę. I oto wychodzi z chaty, przypadłej nisko do ziemi w oczekiwaniu na gwałtowność sztormów – rybak. Twarz pomarszczona i krwista, jak świeżo wypalona cegła, ręce ciężkie, o dłoniach twardych, przeżartych solą i smarem. Idzie powoli uparcie; o stare gumki trzepoce pota płaszcza, zziębnięty piasek dźwięczy pod butem jak tarte szkło.

Na brzegu czeka łódź z lichym motorkiem obudowanym skrzyneczką zamkniętą na przedzwiały kłódkę. Zaraz rybak za-terkoce motorkiem i wypłynie, aby: orać morze”. Wieczny w swej pracy, jak wieczne jest morze; porośty i cierpliwy, jak proste i cierpliwe jest morze...

I czyż dopiero teraz, w czas ciszy i pustki, nie należy tu przyjeżdżać, aby pobrać tę naukę, której nam – ludziom miasta – jest wciąż za mało. Naukę o pracy, prostocie i cierpliwości. ...

ZBIGNIEW ŻAKIEWICZ, *DZIENNIK BAŁTYCKI*,
PÓŁGŁOSEM 1969 NR.267, s.5

Widok z wysokiego brzegu

Za Redą pociąg skręca w prawo. Za nami pozostaje owa rytna, którą co parę-następie minut ściekają elektryczne od strony Gdyni do Wejherowa. Jedziemy pociągiem w kilka wagonów, za terkotliwą lokomotywą kopnącą jak stara lampa.

Czynimy powolny łuk, omijając płaską równinę, która nie tak dawno była dnem zatoki morskiej. Przez świeżą, czerwcową zielen, spod każdego zadrapania przebiega brunatny, złotawy w słońce kożuch torfu. Pociąg powoli wyprostowuje linię swego biegu, opierając się o zaciszne wzniesienia; tłoczą się one od zachodu, aby tu, spokojniejszy, pozostać się gładko i podnieść swój ciemnozielony, kędzierzawy łeb nad dalekim brzegiem zatoki.

Mijamy kilka stacyjek, postawionych ot tak, zdawałoby się na dni parę, samotnych i niezbyt potrzebnych, pędzących tu swój oddzielny, zagubiony żywot. Między stacyjkami rozściela się lśniąca srebrzystym kłosem, rozjaśniano rzepakiem wiejska ziemia, ziemia pracowita, zaprzęgnięta, gwałtownym wzrostem.

Pociąg, jakby uprzykrzywszy sobie te pełne i krótkie horyzonty, wraca na równinne rozłogi i wtedy okazuje się, że zatoka

jest tuż pod kołami pociągu. Nad zatoką przysiadł Puck, spokojny i cichy, jak cała ziemia dookoła, podnosząc krajobraz wwyż cegląstym masywem kościoła.

Jeszcze raz za Puckiem oglądamy zatokę – osłepiająco stalową od nadmiaru światła, z kościołem, który stąd wydaje się być obronnym zamkiem, z dalekim cyplem Oksywia i oszukańczym brzegiem Helu, co chce być nowym lądem, choć jest lądu kresem. I oto stajemy w mieście króla Władysława, na najdalszym północnym skraju ziemi, w tym najwyższym punkcie mapy, skąd widoki są rozległe aż do granic możliwości.

Wita nas morska wrzawa – przeciąg wiecznego wiatru dmącego między morzem i ziemią, krzyki szubujących w wysokim błękitcie mew. Idziemy przez ciżbę domków, które wydają się być zbyt małe i zbyt dostowne, potem przez park cetniewski prześladowany tym samym skrupulatnym poczuciem ładu. Przy ostatniej alejce, odwrócone plecami od wszystkiego, co pozostało poza nimi siedzą stare kobiety i patrzą przed siebie.

I my patrzymy i widzimy morze stare, prastare, że jego wiek, nic dla człowieka nie jest w stanie odmierzyć. Morze pozwoli prostuje się z przykłęku i tam dalej staje ścianą tak przesadnie błękitną, że nikt nie może temu morzu uwierzyć.

Tu zaś, gdzie brzeg wygina się w łuk tego napięty i wsparty o wyniosłość Rozevia, w morzu przesadnym mocy pióra paw chłodny – zielono – błękitno – sino – szmaragdowy. Paw dumny i nieprawdopodobny, co zatonął w morzu swej wzniosłości.

Wędrujemy wysokim brzegiem, nad pawiockim morzem, które nie przestaje się wdzięczyć utraciwszy wszelki umiar. Wędrujemy między cieniem i światłem, między ciężarem i lekkomyślnością, niczym bóstwa – o dwóch twarzach: tej z gliny i tej otwartej na przestrzeń.

U kresu naszej wędrówki przewodnik prowadzi nas na szczyt latarni, która trzykrotnie rozszerza horyzont, trzykrotnie dolewając morza. Zawszą obława na błękit i światło, a my, wychyleni poza kraniec naszego kraju, patrzymy w niemym osłepieniu...

ZBIGNIEW ŻAKIEWICZ, *DZIENNIK BAŁTYCKI*,
PÓŁGŁOSEM 1970 NR.152,s.6

W kaszebskiej piwiarni

Jest to szczególne miejsce. Celebryje się tu męska wolność od wszechobecnych biatek. Jeśli jednak któraś przyjdzie po swego chłopca, ten jest na długo obśmiany przez sąsiadów. Bo tu jest jak w bożnicy – baby mogą stać, ale w swoim zagrodku. Panują tu inne prawa. Największy nawet gospodarz nie zdejmą czapki czy wytuszczonego beretu, choć na ścianie wisi czarno na białym: „Prosimy o zdejmowanie nakryć głowy”, albo w tonie katagorycznym: „Zabrania się przebywać w nakryciach głowy!” Napis jest dla gości nie wiedząc o tym, że wstępują do męskiej kaplicy, gdzie wszystko sakralizuje się w sposób właściwy sobie. I porządną Kaszuba, nawet jeśli próg piwiarni przekroczy, nakrycie obowiązkowo głęboko nasunie na głowę. Każda rozmowa ma tu sens głębszy, jak to bywa w języku liturgicznym, a przygodnym gościom może się wydawać, że mówi się tu o niczym. Bo jak w liturgii słowa są tylko znakiem kryjącym inną rzeczywistość.

Im dłużej odprawia się ceremoniał piwopicia, tym obrzęd staje się głośniejszy – wreszcie wszyscy tworzą zgodny chór. Jeden drugiego już nie musi słuchać, aby uczestniczyć w tym rytuale poruszonych szerszeni czy pszczoł robotnic, budzących i wachlujących

skrzydełkami swój przegrzany ul. Im rój jest silniejszy, tym buczenie potężniejsze. I po tym człowiek doświadczony poznaje, na ile jest silna okolica i jakie tu są chłopcy. I w taki oto sposób odbywa się stała męska komunია dusz, gdzie wszyscy są sobie braćmi, zjednoczeni w ceremonii kufła napelnionego złocistym Berszem...

Miastowi traktowani są w piwiarni tak, jak mogą być traktowani innowiercy wstępujący do sakralnego przybytku. Nie uważa się ich wcale, a kiedy utworzy się kolejka do bufetu, bywa, że goście ustupią się miejsca. Bo tak naprawdę obcy jest tu od razu zauważony i oceniony. Jeśli bywalec uzna, że jest to tylko „bosy Antek” i nikt więcej, będzie nie zauważony do końca i nie dozna żadnych uprzejmości. Gdy jednak „bosy Antek” okaże pewną szlachetność, nie będzie zadzierał nosa i nie podskoczy wyżej od swojego tyłka – dozna pełnej tolerancji. Jeśli uzna sakralność piwiarni oraz liturgiczność wspólnego picia, wówczas, nie wiedzieć kiedy, stanie się swój.

Takiego wtajemniczenia dostąpił Jurek Kniaziejko. Dzień jest jeszcze wczesny, sobotni, grzybej sierpniowej pory. W piwiarni siedzi już kilku stałych bywalców i paru grzybiarzy z plastikowymi wiaderkami: na samym wierzchu demonstracyjnie pysznją się tam białonogie, brązowe borowiki i koczaczki twarde główki. Siadamy pod napisem wplecionym w niebiesko-żółty kaszubski haft: „Nie ma Kaszeb bez Polonii a Polsszci bez Kaszeb”. Kniaziejko zamawia po kufłu piwa, tylko Lusja zadawała się oranżadą i lizakiem.

Kniaziejko tyknąwszy piwa, pozostawia nas i funduje dwa kufle sąsiadom. Obaj w wysmalcowanych drelichach, jeden w cyklistówce, a drugi w bosmańskiej czapce, nie wiedząc czemu w głębi kraju zwanej leninówką, bo co ma Lenin do czapki, skoro przybyła ona tu z Holendrami i Hanzą?

- Ciągnie Jureczka do chłopca – mruć Stasinek, ocierając wąż z piany – bo wtedy czuje się prawdziwym panem. A chłop choć ma pana za dumia, ani rusz nie może wytrzymać bez pana. Lubi być uczony i pouczony, wtedy lżej mu na duszy: prawda jakaś jest! A że od zaściankowych szlachetków idąca, cóż z tego? Taka jest natura mądrości, że nie może być ona zrozumiała. I nic jej do życia.

A tyknąwszy wielki haust Berszu mówi dalej:

- Oj spoufalał się nasz panek z chłopem. Spoufalał. Z nim tylko obcował i zdawało się jemu, że dobrze go rozumie. I może rzeczywiście tak bywała, bo czymże wyście się od siebie różnili? Tylko tym, że pan w swej wolności i swej naturze rustykalnej folgował sobie w trochę innym stylu: na polowaniach, kuligach, zajazdach, ganiących w brzeźniaku za dziwką z twardą pytką, jak to pięknie pisał nasz wieszcz. A cóż chłop? Robił to samo, tylko nos od gnoju i ziemi świętej odebrał, zaraz na kłusowanie, do żydowskiej karczmy z siwuchą, na baty w stodołę na sianku. A czasami w ciemną noc myląc matulę z córką, a synową ze święką wstępował w ślady biblijnych praojców.

- Cóż za haskości wygadujesz, kochanieńki? – pyta niby spokojnie ciotuleńka.

- Było, minęło... - wzdycha Stasinek - Dziś nastał czas Sofii - nierządnicy i pomieszanja wielkiej materii. Bo ten Kaszub, na przykład, jaki on chłop? Ranek, a on już w knajpie. Na pewno to chłoporobotnik dojeżdżający przez pół dnia do Gdyni czy Słupska, ażeby odbębnić te swoje osiem godzin.

Stasinek ma rację, gdyż Kaszuba w czapce bosmańskiej to znany w okolicy stary kawaler, który kiedyś miał dużą siłę, ale ją poderwał na kolei. „Mów do mnie

„Szmalec” – spoufalał się on ze mną z miesca, gdyśmy z Kniaziejką nawiedzili piwiarnię. Szmalec to znany karciarz - hazardzista, rybak - kłusownik i jeden z arcykapitanów piwiarni. Teraz Szmalec mruka do mnie i wydaje mi się, że mruka całą Kaszebia, chcąc mnie wyrwać z rąk Stasinka. Bo nie ulega wątpliwości, że te wszystkie tyrady i kąśliwe uwagi, te kazania i świeckie homilie niby do kogo są skierowane? Wbrew pozorom z tych mrocznych ciemności wyziera zażarty dydaktyzm, niechby nawet smutny i melancholijny, ale w swej zażartości równy zachwytem Juli.

W ostatnich czasach odniosłem wrażenie, że Stasinek wszystko pozostawił na jedną kartę, nie ustępując w niczym Szmalcowi – hazardzście, który w jedną noc gotów jest przegrać całą swą rentę. Parę dni temu wędrując z Kniaziejką po staromiejskich lokalach, zastaliśmy Stasinka samotnie siedzącego w kawiarni artystów przy Chlebnickiej nad pełnym kieliszkiem śliwownicy. „Dziś rano miałem jakby zawal” – powiedział wyraźnie rad z naszej obecności. Kiedy zaczęliśmy rać lekarza i szpital, Stasinek zaczął podać jeszcze jedną śliwownicę oświadczając, że dosyć ma miasta, gdzie trzeba wciąż zabiegać o mięso-szmięso, o mękę – szmękę, o cukier – szmugiel i miałby do tego dojść jeszcze szpital-szmitał? I w taki oto sposób znaleźliśmy się w Kniaziejkowej sadybie na ukochanym przez Stasinka grzybobraniu.

Ciotuleńka mając bacne oko na otoczenie, lekko szturcha mnie kolanem:

- Kaleha kaszubski ma coś do ciebie. Idź, a my z profesorem dawne czasy powspominamy, kiedy bizunem chłopca ze szkody się wyganiało. Takie to były obyczaje, mój kochanieńki...

Zamawiam cztery duże bomby i sam przysiadam się do szmalcowego stolika. A jest to miejsce godne, dlatego bufetowa – kobieta o czterech biustach i dobroliwym obliczu barokowej anielicy – własnoręcznie przynosi tu piwo.

- Wangorza mamy – tajemniczo szepce Szmalec.

- Wangorza i coś do wangorza – dodaje towarzysz przezwany Długim Janem, o pucułowatym rumianym obliczu wiecznego wzrostka, chociaż Długi Jan ma już dobrze po czterdzieście.

Tatarskie, ikonowe oblicze Kniaziejki promieniuje nowym blaskiem, a z oczu wieje smętkiem wiecznego winowajcy. Kniaziejko, jak przystało na kresową, szlachecką duszę, hoduje w sobie głębokie rozdarcie między trunkowością a ohydą poznania własnej nikczemności. A gdy to rozdarcie dochodzi do kulminacji – wówczas jedynym ratunkiem dla Kniaziejki jest rzucenie się głową w dół. Coś mi się zdaje, że właśnie następuje ten przełomowy moment. Nie bez pewnej ciekawości oczekuję więc, w jaki sposób zrealizuje się ta szatańska pokusa, skoro piwiarnia nie prowadzi wyszynku, a do najbliższego sklepu jest z pięć kilometrów?

Na dany znak kaszubska anielica przynosi butelkę wody grodzkiej, zaś Szmalec z gazety wyciąga długiego, brązowego węża pachnącego jałowcem i brzim traniem.

- Wangorz je tłusty. Musowo trzeba jego wodą popić – mówi dobroliwie uśmiechając się i rozlewa do czterech szklaneczek grodzką. Bez chuchnięcia czy skrzywienia wypija nalane, poprawia piwem i dopiero wtedy bierze się za wangorza.

A pomny wagi stolika, rozdziela rybę na dzwonka i podaje na gazecie do stolika ciotuleńki i profesora, którego Lusja akurat raczy lepkiem lizakiem.

- To je pon, to jest wasta! – podziwiał

Stasinka Szmalec, zdejmując czapkę i drapiąc się po wielkiej, płaskiej łysinie. To od niej dostał nasz współbieszadnik swe imię. Kiedyś Długiemu Janowi rzekło się, że jego przyjaciel ma taki wielki łśniący łeb, jakby kto psu jaja szmalcem posmarował. Kiedyś Szmalec zgrał się do szczętu, musiał zastawić swój łeb. A kiedy i tę partię przegrał, kompani od kart wysmarowali mu łysinę świńskim szpekiem. A dlatego, ażeby spełniły się słowa Janowe.

- Jaki on pan, hołysz. Bosy Antek – mówi mi się, gdyż nieopatrznie poszedłem w ślady Szmalca, pijąc nalane jak wodę.

- Nie, wy stamtąd nie jesteście bosi Antki. Wy to wszystkie kniazie: - bryczką w cztery konie jeździli, same szynki jedli, śmietaną zapijając.

- Kniaziejko to wam nagadał? – zapytuję ze smętkiem, gdyż wyraźnie słyszę tu znajomy ton.

- No! Jurek to je prawdziwy kniaź – potwierdza Długi Jan.

- Prawdziwy kniaź siedzi tam! Jurek to tylko syn z nieprawego łóża, bo prawdziwy kniaź może mieć dzieci z kim chce i kiedy chce – tłumaczę moim nowym przyjacielom.

Zapada wielce kłopotliwa cisza. Dwaj Kaszubi wsadzają nos w kufel i długo z rozwągą piją.

Szmalec niezręcznie zapala papierosa, jest to papieros biesiadny, bo Szmalec na co dzień nie pali, i puszczając dym nosem, obojętnie zauważa:

- Kniaź będzie zawsze z kniazia. Wy wszyscy ślachta z kniazów i może dlatego bieda na was przyszła. U nas też ślachta kaszubska się odślachciła i teraz każdy ma czarne podniebienie.

- My Jany bez ziemi, nieprawdaż? – pytam prowokująco.

- A po co wam ziemia, kiedy wy jej i tak utrzymać nie umieli?

Czuję, że profesor swym trzecim uchem coś musi słyszeć z tego gadania, nie mówiąc o ciotuleńce. Tylko Jurek Kniaziejko zapada w coraz większą nostalgię wielkiego grzesznika: patrzeć, a za chwilę będzie się kajać i bić w piersi za własne grzechy, ale nie przodków.

- Słyszysz co mówią, żeśmy naszą ziemię przegrali? – zapytuję Jurka.

- Jaką ziemię? – powraca z niebytu Kniaziejko.

- Spod twojego Wołkowyska i z Puciatowszczyzny, spod Smorgoń i Żodziszek i w ogóle z całej Bohatyrowszczyzny.

- Ażesz wy parsiuki nie skrobane! Ażesz wy kabany nie smalone! Słuchajcie wy mnie dobrze. Czy wiecie, że największa Armia Krajowa była u nas?

Wasz zakichany „Gryf” to zabawa dla paru chłopaków, co uciekli od wermachtu! A słyszeliście wy coś o Kmicicu i Łupaszce! O generale Wilku i wielkim organizatorze majątkowego podziemia – Komarze? Kto naszą ziemię krwią użyźniał? Kto wioski, miasteczka i miasta zdobywał, aby Ostrą Bramą do Wilna wkraczać? No kto?

I Kniaziejko dokładnie zaczyna wytuszczać kresowe bohaterstwo sięgające czasów Moskwy, Tatarów, Turków i Szweda, a wszystko tonem podniosłym, ale bez zagniewania.

Nasi towarzysze słuchają z nabożną uwagą, na szczęście nie rozumiejąc, co znaczy być „parsukiem” i „kabanem”. Po chwili Szmalec westchnąwszy przywołuje wielką jak obłok i miękką jak kaszubska

pierzyna anielicę i zamawia drugą butelkę wody grodziskiej. Bez ceregieli przysuwa stół do ciotuleńki i Stasiuka, stawiając przed nimi dwie szklaneczki.

- Posiedźmy razem. Po sąsiedzku, po chrześcijańsku – mówi z ojcowskim uśmiechem, nalewając do szklaneczek. – U nas też kołchoz robili. Po tej stronie, niemieckiej. Jakoś tak wychodziło, że gnoju było coraz więcej, a bydła mniej. Wiadomo, jak chłop z biatką za długo pod pierzyną leżą...

- A jakąż to wodą nas raczysz, mój kochanieńki?

- Zapytuje ciotuleńka powąchwawszy szklaneczkę.

- Wszystko przez te pegieery i kółka rolnicze – chytrze wtrąca się do rozmowy Długi Jan, który swego czasu był magazynierem czy nawet kierownikiem, aż nie wiedzieć za co pół roku osiadł w kryminale.

- Tam my się nauczyli mleko od wściekłej krowy pić.

- Jo. To je prawda. My naród katolicki, mało pijący – zgadza się Szmalec, wypijając szklaneczkę grodziskiej.

- Kto przed wojną słyszał, żeby szklaneczkami sznapsować?! Nigdy! – dalej chytrze Długi Jan – Kaszuby po niemieckiej stronie, dlaczego by nie? Bo im zawsze było z wiatrem. Za okupacji to oni mogli głośno i w pociągu, i w urzędach po kaszebsku mówić, że my spod Bytowa jesteśmy. A jak już zaczęliśmy matpę z siebie robić, tak bez ichniego sznapsa się nie obeszło...

- Bożesz ty mój, jaka wielka bieda? – złości się ciotuleńka. – To może powiesz, że z tego nieszczęścia i my za matpę robimy?

- Słaba jest ludzka natura – głęboko



Studium Wojskowe - Wrocław 1953/1954 rok _ Żakiewicz w tłumie roczniaków



i szczerze wzdycha Książeczko.

- Moja dziewczynka patrzy na mnie i wszystko rozumie. A ja, stary koń, siedzę tu i udaję, że nic nie wiem.

A wychyliwszy szklaneczkę, w przypiytywie żalu serdecznego zdradza swą największą tajemnicę:

- Musicie wiedzieć, że ja dla niej tylko żyję. Co ona bidula robi, kiedy nas nie stanie ?

- Piwny brzuch zrzucisz – sto lat pożyjesz – mówi Stasinek.

- Piwo rzucisz – swoje życie zarzucisz – mówi ciotuleńka.

- Książ to je porządny knep. Żeby takie wszystkie Ledzie byli – zgadza się Szmalec.

- Ja waszych poznał w kopalni. Wszystko kniazie, konno jeździli – dodaje Długi Jan. – Za Stalina brali nas, Kaszubów, niby do woj-ska, a potem kilof do garści, łopata i na dół do kopalni. Tam byli ludzie od was. Jeden ze mną robił. Opowiadał, że był w KOP-ie konno bolszewików trawował, a jednego to nawet w zbożu zastrzelił. Zdradził się z tym grzechem, kiedy nas Matka Boska Sianowska od śmierci uratowała...

Pytacie, jak to było? Przysłało nas wę-glem. Żadnej pomocy ani nadziei, a ona, Matka nasza, z tego oto medaliku, urato-wała nas. Wtedy wasz książ z ciężkich grzechów przede mną się spowiadał i z tego, że człowieka zabił, choć on bolszewik był.

I Długi Jan wyciąga spod koszuli meda-lik, na dowód prawdziwości swoich słów.

- Ja też wtedy głośno swoje grzechy wypowiadał. No jakie ja wtedy mógł mieć grzechy?

- My wszystko chrześcijanie, katoliki. Każdy katolik musi mieć jakiś grzech. Pogańska natura to co innego, ona nie zna swego grzechu – poucza swego przyjaciela Szmalec.

W piwiarni robi się coraz ludniej i gwar-niej. Patrzeć a będziemy wstępować we

wspólną piwną komuniją. Tak też się staje, bo Jurek Książeczko zgodnie ze swym kniaziowskim powołaniem bierze Szmalca pod pachę i prowadzi go do bufetu. Szmalec jest znany z tego, że za jednym razem może przynieść cztery kufle nie roniąc pianki.

- Kochanieńkie, nie za dużo tego będzie !? - zapytuje poważnie ciotuleńka, która moczając wargi w grodziskiej osuszyła swoją szklaneczkę.

- Droga Ewelino, wy katolicy zawsze będziecie grzeszni. Nie wpadaj więc w laicką, pogańską pychę. - elegancko zauważa Stasinek.

- A ty to kto niby jesteś?

- Ja jestem człowiekiem wolnym – mówi Stasinek.

- Ty nie jesteś wolny. Ty jesteś bardzo samotnym człowiekiem.

Stasinek udaje, że nie słyszy tych słów, gdyż właśnie staje przed nim pieniący się kufel. W piwiarni rośnie gwar głosów, które łączą się w jeden zgodny chór stawiący grzeszne kaszubskie życie. „Jakże ciężko musi być bezgrzesznym w ich upartej samotności” - tak musi myśleć moja ciotuleńka i w milczeniu syczy piwo.

Zbigniew Żakiewicz, Cykl Stegna, Po-merania 1996, nr 12

Tu, gdzie się Wisła rozdwa

Miejsce to jest szczególnie znaczące: tu się Wisła rozdziela, aby dalej płynąć w roz-dwojeniu pomiędzy Nogatem i Leniwką. Zwą to miejsce Piełtem. I nie wiadomo, czym tłumaczyć podobne imię. Czy ci, co miej-sce ochrzczili, współczuli Wiśle, która małtę jednoczyć wody, potężnieć i przybierać na siłę, w bliskim przecuciu zatraty sama uległa losowi rzek, które w niej traciły swe imię? Czy może - co wydaje się być bliższe naturze człowieka - przekleli to miejsce, w którym Wisła wciągała tratwy, szkuty i galary w od-męty i wiry swego rozdroża?

Wokół rozciągają się łąki: ciemnozielone, soczyste i rośnię. Pyszną się drzewa

nadwiślane o koronach jak nadmorskie ob-łoki. Obok wznosi się wzgórze, które przed tysiącami lat nalożyły lodowce. Wzgórze jest najdalej na zachód wysuniętym łbem owej wysoczyzny, która ciągnie się krainą jezior i lasów. Nazwę ma jasną i czystą - Biała Góra. Na stokach Białej Góry mocno pachną zioła. Ciepłym i wilgotnym oddechem ciągną trawy. Na płaskim szczycie, jak drzazga wbita w żywe ciało, sterczy żel-betonowy cokół: jedyny ślad po pruskim pomniku, który groził rozległej dolinie Wisły. Stąd rozciągają się trzy widoki.

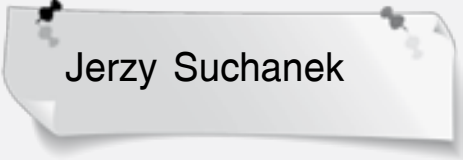
Ten pierwszy, gdyż ku niemu najpierw kieruje się oko, jest krajobrazem Wisły. Rzeka jak stalowa żyła - zawsze świeża i zawsze sre-brzysta - przewleka krajobraz wzdłuż: od po-tudnia na północ. Gdzieś, aż do dwudziestu kilometrów w górę, z rozwagą rozkłada się delikatne skrzydło zieleni. Patrzę na północ: zieleń przetykają żółtą i brązową mocno wciśniętą w krajobraz nadwiślane osiedla. I Wisła jest kręgosłupem tego ptaka, co przysiadł tu w oczekiwaniu na wzlot.

Przez krajobraz drugi ciecze Liwa: rzeka wązowa i cienka, leniwie snuje się przez rybne rozlewiska i stawy, sięgając daleko, aż po krańce horyzontu. Ale nie Liwa panuje nad tym krajobrazem: dolina jest podkuta szczególnym srebrem, jest to zielonkawe srebro świeżo wykoszonego zboża. Na zapleczu doliny czuwa ściemniały sierp lasów: milczący świadek wieków minionych.

Trzecim krajobrazem jest krajobraz na wyciągnięcie ręki: krajobraz świerków, so-sen i jodeł. Idą one od Wisły aż do Sztumu jak ciżba pielgrzymów po kąpieli w ożyw-czych wodach tej rzeki - z której wszyscy jesteśmy.

MACIEJ ŻAKIEWICZ

Zbigniew Żakiewicz, Dziennik intymny mego N.N., seria: Biblioteka „Więzi”, t. 40, Warszawa 1977


 Jerzy Suchanek

Mój wiersz

Położyłem przed sobą wiersz, wcześniej
 zmiotłem ze stołu brokat okruszków,
 skorupkę, soli i pieprzu, zatrzymałem
 w ściereczce kręcące się kółka kawy,
 herbaty, piwa i wina. Nie ma przeciągu
 i kota, który się zaszył w poszwie ciszy.
 Wyprują go dopiero rybiki, kłócące się
 w łazience. Butelka po wódce, która
 stała potulnie przy nodze, przestała —
 ledwie upadła, toczyć po podłodze spór
 pusty o dno, nakrętkę i dywan.
 Było tak, jakby wstrzymało oddech.
 Usłyszeliśmy szum morza, wiersz zdjął
 sandały i grzęznąc w białym piasku zszedł.
 Czekał na mnie, jak każdy wiersz. Kogokolwiek.
 Byłem dla niego im, ale możliwe że nią.
 — Czy to ty mnie napisałeś? — To możliwe,
 odparłem parasolem parcie paradoksu, parsknięcie
 paraleli i opar partykularyzmu.
 — Niektóre wyrażenia nie pasują we mnie.
 Wiersz strzelił z łuku biodra wykrzyknikiem
 celnie w mój język.
 — Skoro mnie napisałeś, czego ode mnie chcesz?
 Od słońca kartka wiersza zbrązowiała, zastygła
 Jak brąz w formie. Usłyszeliśmy dzwon na zgon.
 Daleko przepływał okręt pod obcą banderą.
 Objęliśmy się jak kobieta i mężczyzna, nadzy
 na brzegu wszystkiego co łącząc, rozdziela
 i rozdziera. Dotknąłem językiem języka wiersza.
 Wiersz zaśpiewał, a ja kaszlałem. Potem
 napiliśmy się wódki i wiersz kaszlał, a ja
 płakałem. Płatki róż płatały słowa, ciała i figle.
 Ocknąłem się z białym piaskiem w ustach
 i stadem kłótliwych rybików w pułapce ucha.
 Na kanapie rozkładały swoje kartki wiersze,
 których nie napisałem, ale które mnie chciały.
 — Nie wszystkie to dziwki. Opinała mnie
 opinia wiersza, który już mnie nie potrzebował.
 O tak! Nie udawały. Kochały się ze mną. Ale...

Stefan Pastuszewski

No (wiersz lingwistyczny)

to nie migotania, przejaśnienia Zbigniewa Joachimiaka
to kamienie
no, może kamyki Wisławy Szymborskiej
no, może ziarenka piasku wszystkich innych poetów
byłych, obecnych i przyszłych
za chwilę już martwe
w tej wielkiej klepsydrze wszechświata, wszechrzeczy, wieczności
kto ją przewraca
no, Kto?

po prostu chciałam do ciebie zadzwonić
po prostu
sąsiadka sprząta podwórze
kos skacze na trawniku
kokos w myślach
wszystko jest tak jak trzeba
jak trzeba
jak trzeba
no

Emilija i Stojice Toćimovski

